



W życiu jak  
w porzekadle,  
lepsze jest  
wrogiem  
dobrego.

IZABELA PIETRZYK

LEPSZA  
POŁOWA

Prószyński i S-ka

IZABELA PIETRZYK

LEPSZA  
POŁOWA

Prószyński i S-ka

A CO BY BYŁO,  
GDYBY BÓG Z ŻEBRA ADAMA  
ZROBIŁ DRUGIEGO ADAMA?

(Stanisław Jerzy Lec)

Kiedy w korytarzu zadzwonił telefon, Marta nie wiedziała, czy odebrać i wzywać pomocy, czy zostać w kuchni i wachlować powietrze ścierkami, aby wypędzić gryzący dym za okno. Wybrała drugie rozwiązanie, więc oddzwoniła dopiero pół godziny później.

– Przepraszam, miałam wypadek z ciastem...

– Wypadek? – zdziwiła się Jolka. – Zjadłaś całe i sprowokowałaś wymioty? Wpadłaś w bulimię?

– Przy mojej wadze to prędzej bulimia wpadnie we mnie... – Marta ciężko opadła na fotel. – Mało domu nie spaliłam. Dostałam rewelacyjny przepis. I zadymiłam całą chałupę.

– W przepisie kazali zadymić?

– Kazali upiec – tłumaczyła spokojnie Marta. – Ale nie zauważyłam, że blacha jest dziurawa; tłuszcz wyciekł na grzałki i buchnęło. Najadłam się strachu, a nie ciasta. Właśnie skończyłam gasić, a potem szorowałam piekarnik.

– Czyli: ciasto, ciasto i po cieście?

– No coś ty? Wyczyściłam grzałki, wywietrzyłam kuchnię, sprawdziłam szczelność drugiej blachy i zagniotłam jeszcze raz. Znowu piekę. Mamy dwadzieścia minut na pogaduchy. Potem wyciągam i biorę się do wierzchu. Sporo mnie czeka paprania: orzechowo-śmietankowo-jagodowa pianka. Ostrożnie trzeba robić.

– Że też ci się chce – westchnęła ze współczuciem Jola. – Nie dość, że w robocie harówka, to po godzinach jeszcze pełen etat kucharki.

– Nie przesadzaj. To ciasto jest warte grzechu. Jeśli masz czas... – Marta odruchowo spojrzała na zegarek: zostało piętnaście minut. Obejrzała się na kuchnię, z której na szczęście nic się nie dymiło, więc dokończyła wesoło: – ...wpadnij jutro do nas. Sama skosztujesz.

– Do jutra nic dla mnie nie zostanie, bo twój mąż i synalek zeżrą wszystko, a ja będę mogła tylko blachę powąchać.

Fakt. Apetyt mieli niczym nienasycone bestie z gier komputerowych. Godzinę po obiedzie lub pół godziny po kolacji potrafili wyskoczyć z zachcianką na coś słodkiego lub kwaśnego, jakby ich żołądki były w nieustającej ciąży.

– Odkroję kawałek i schowam dla ciebie. – Często tak robiła, kiedy chciała ocalić trochę ciasta na następny dzień.

– Spokojnie. Po pierwsze, nie mam jutro czasu, a po drugie, moja lodówka pęka w szwach. Przez cztery dni trzymałam dietę i prawie nie jadłam. – Jolka przyciszyła głos. – Pamiętasz, co dzisiaj miałam?

– Oczywiście – skłamała Marta. Nie wiedziała, czy z racji wieku, czy przez nawał obowiązków zapominała o czymś średnio sto razy na dobę. – I jak było? Fajnie?

– Oszalałaś? Kolonoskopia to nie masaż czekoladą! Wczoraj o siedemnastej wypijałam litr czegoś tak obrzydliwego, że nie da się opisać. Potem jeszcze dwa litry wody, więc nie pytaj, gdzie spędziłam noc! Dzisiaj o piątej trzydzieści znów to samo, z pićm i całą resztą. Było mi tak niedobrze, że bałam się, czy taksówki nie zarzygam.

– Jejku... – Martą szarpnęły wyrzuty sumienia. Sama powinna zadzwonić i zapytać, jak poszło badanie, ale uciekło jej z pamięci. – Dałaś radę?

– Dałam – zapewniła wesoło Jolka. – W szpitalu kazali się rozebrać od pasa w dół i zafundowali eleganckie spodenki z rozcięciem z tyłu. No, mówię ci, hit mody! Dobrze, że zabieg był pod narkozą i nie musiałam oglądać miny lekarza na widok mojej wielkiej dupy.

– Bez przesady. Na pewno widział znacznie większe. – Marta poprawiła się w fotelu, modląc się w duchu, by nigdy nie dostała skierowania na kolonoskopię. – Szybko cię wybudzili?

– Szybko. Ale musiałam jeszcze godzinę leżeć na pooperacyjnej. Całkiem przytulna. Nawet telewizor miałam. Chociaż nie wiem, czy dobrze, bo w kółko nadawali o katastrofie na Śląsku. I straszne, i śmieszne.

– Śmieszne?

– Jeśli minister obiecuje, że „zmarli zostaną otoczeni troskliwą opieką”, to pusty śmiech mnie ogarnia. „Opieka nad zmarłymi”? Ale w sumie... optymistyczna nazwa dla zakładu pogrzebowego, nie?

– No nie wiem... – Marta nie podzielała rozbawienia przyjaciółki. Na co dzień zajmowała się ludźmi chorującymi na alzheimera. Pracowała w świetlicy, do której rodziny odstawiały mniej lub bardziej ogarniętych demencją bliskich, i ciążyło jej poczucie, że sprawuje opiekę nad zmarłymi. – Powiedz lepiej, jak wyniki badań.

– Jeszcze nie wiem. Ale zabieg nawet sprawił mi przyjemność.

– Mianowicie?

– Zawsze mnie wkurzało, że bielizna kosztuje fortunę, a w ogóle jej nie widać. Tym razem mogłam przynajmniej się pochwalić. Pielęgniarka zapytała, gdzie kupiłam takie śliczności. – Jolka od lat szyła bieliznę u zaprzyjaźnionej gorseciarki, dzięki czemu jej kształty wołały o interwencję chirurga plastycznego tylko wtedy, gdy była kompletnie naga. W ubraniu wyglądała przynajmniej o trzy numery szczuplej i o dziesięć lat jędrniej. Opłacało się zatem inwestować pokaźne sumy w przypominające betonowy odlew biustonosze i gorsety. Być może wspomnienie ekskluzywnej bielizny przywołało finansowe skojarzenia, bo nagle zmieniła temat. – Wyobraź sobie, że dostałam dziś idiotycznego mejla z banku. Piszą: „Droga Jolanto...”. Swoją drogą, skąd znają moje imię? Konto mam w innym banku, a z tymi nigdy nie korespondowałam. A tu proszę! Nawet „na ty” jesteśmy. Czyżbym gdzieś poszła w tango i nie pamiętam, jak strzeliłam brudzia z całym bankiem? Ostatni raz ostro zapijałam ze dwadzieścia lat temu, ale wtedy nie miałam jeszcze komputera, więc nie mogłam im dać mojego adresu mejlowego.

– Co głupiego napisali? – Chaotycznej w narracji „drogiej Jolanty” należało pilnować. Nie były mistrzyniami pamięci i wiele razy zdarzało im się gubić wątek: „O czym to mówiłyśmy?”. Jolka notorycznie gubiła także klucze i upierała się, że ma początki alzheimera, a Marta uspokajała ją fachowo: „Coś ty! Jeśli nie pamiętasz, gdzie położyłaś klucze, to masz tylko sklerozę. Jeśli nie będziesz wiedziała, do czego służą klucze, wtedy masz prawo się bać”. Nie zmieniało to faktu, że pamięć im szwankowała, a wątki umykały, nie mogły więc pozwolić sobie na pączkujące dygresje o imprezach sprzed lat. – W tym mejlu z banku – uściśliła.

– A! – Jolka rzeczywiście zapomniała, o czym mówiła przed chwilą. – „Droga Jolanto! Oszczędzanie jest dziecinnie łatwe!”.

– A dalej?

– Dalej nie czytałam. Po tym jednym zdaniu krew mnie zalała. Usunęłam wiadomość, żeby wylewu nie dostać! – zagulgotała w słuchawkę. – „Oszczędzanie jest dziecinnie łatwe”? Słyszałaś głupsze zdanie?! Raz, że dzieci zupełnie mi się z oszczędnościami nie kojarzą, a dwa, że nie mam czego ani też z czego oszczędzać. Siebie przecież oszczędzać nie będę. Na drugie mam: Promocja.

– Genialne! Opatentuj, bo ktoś ci ukradnie.

– Co? Brak umiejętności oszczędzania? Kochana! Kobiety jadą na tym patencie od tysiącleci. – Zaraźliwy śmiech Jolki osiągnął teraz wyższe rejestry. Rżała jak koń: wciągała z powrotem powietrze w nozdrza i wydawała przy tym odgłos przypominający wibracje w końskich chrapach.

– Nie, nie! – zachichotała Marta. – Powinnaś opatentować swoje drugie imię. W *Misiu* była Tradycja. Ale teraz wszelkie tradycje można już tylko na kolonoskopii zobaczyć. A ty odkryłaś, że narodziła się nowa, świecka Promocja.

– Ładne imię dla dziewczynki: Promocja... – Jolka rżała coraz głośniej. – Masz rację. Kolonoskopia oprócz polipów wykryje u mnie różne tradycje. I ani jednej promocji!

Rozmawiały kilka minut i o nowych promocjach, i o starych tradycjach.

– A ja, tradycyjnie, prosiłam Roberta przez tydzień, żeby sufit w łazience pomalował, bo przy kratce wentylacyjnej zrobiły się ciemne smugi, że to nie sufit, tylko syfit przypominało, ale, zgodnie z tradycją, znudziło mi się proszenie. Kazał pan, musiał sam... – Marta z westchnieniem wyginała się w fotelu. – Skrzywiłam sobie kręgosłup w drugą stronę. Nie wiem, jak się to zwyrodnienie nazywa. Chyba sufitoza... Gdybym się zapała, zrobiłabym skłon w tył dalej niż radziecka gimnastyczka. Ale w chodzeniu trochę ta sufitoza przeszkadza. W siedzeniu i w leżeniu zresztą też. Najlepiej bym się czuła w stanie nieważkości, ale nie mam jak sprawdzić... Halo! Jesteś tam? – W słuchawce nie było słycać końskiego rżenia.

– Jestem. Zatkanęło mnie – sapnęła Jolka. – Pomalowałaś sufit? Jakim cudem?

– Nie cudem. Wałkiem malarskim. Fakt, że łatwo nie było: kręgosłup pęka, ręce mdleją, no i trudno mrugać z farbą w oczach, a do tego...

– Przestań! Ja się pytam, jakim cudem sama malujesz sufit, skoro masz w domu dwa zdrowe woły, którymi tylko orać! Przez ciebie wykarmione na dodatek. Za co im ciasto pieczesz? W nagrodę, że znowu cię olali?!

Na dźwięk słowa „ciasto” Marta spojrzała na zegarek – za pięć minut trzeba wyjąć z piekarnika – i dość obojętnie słuchała reprimendy przyjaciółki.

Jolka od czasu rozwodu, czyli od ponad dziesięciu lat, pałała nienawiścią do gatunku męskiego i wielokrotnie próbowała uświadomić przyjaciółce, że daje się wykorzystywać dwóm wołom. Przy czym było to najdelikatniejsze z określeń, jakimi ich obdarzyła.

– Gdybym kiedykolwiek znowu związała się z facetem, to na pewno nie z kimś pokroju twojego Roberta. Szukam takiego, co zajmie się całym domem.

– Znajdź, kochana, znajdź – życzyła jej Marta ze szczerego serca. – Chętnie go poznam.

– Zwariowałaś? Czy ty myślisz, że przedstawię ci gościa, który sprząta, pierze, prasuje i gotuje? Słowem nie pisnę! Na noc przykuję go do kaloryfera, a w dzień przedłużę sznurek, żeby do każdego kąta dosięgnął.

– Nie podejrzewałam, że taka z ciebie egoistka. – Marta wstała z fotela i rozmasowała ból zwany sufitozą. – No dobra, przepraszam, ale muszę lecieć. Mój czas wolny się skończył. Idę do kuchni ciasto wyjąć i robić piankę.

– Szkoda. Chciałam ci opowiedzieć, co mój synek nawywijał. Następnym razem. Chociaż boję się, że zapomnę. Pamiętaj: „testy szóstoklasisty”. Jak rzucisz hasło, zaskoczę.

Kiedy się pożegnały, Marta wstała z fotela i powtórzyła w myślach: „testy szóstoklasisty, testy

szóstoklasisty, testy szóstoklasisty”.

Ledwo weszła do kuchni, szlag ją trafił.

– Cześć, Jolciu. – Wróciła na fotel. – Opowiadaj, co z tymi testami? Masz pół godziny.

– Co się stało?

– Zapomniałam włączyć piekarnik...

Może i Jolka miała rację, że Marta karmi w domu dwa leniwe woły; Robert i Dominik rzeczywiście nie rwali się do prac domowych. Zawarli niepisany pakt, na mocy którego otrzymała status ukochanej, jedynej, najdroższej... służącej. Cóż mogła jednak poradzić, że nie czuła się tym obrażona i nie planowała nic zmieniać ani w bliższej, ani w dalszej przyszłości? Gotowała im obiady, piekła ciasta, a każdego ranka wstawiała pół godziny wcześniej, żeby przyszykować górę kanapek: dla synka na uczelnię i dla mężusia do pracy.

Gdyby miała teraz dwadzieścia lat i dopiero zakładała rodzinę, z pewnością inaczej by to zorganizowała, ale urodziła się pół wieku wcześniej, w czasach socjalistycznej biedy z nędzą. Ustrój zafundował kobietom niezłą szkołę przetrwania – feminizm polegał wówczas na walce o to, by nie dać się zdeptać chłopu w kolejce po papier toaletowy. O parytetach też nikt nie słyszał: górnicy dostawali na kartki siedem kilogramów mięsa – dwa więcej od kobiet w ciąży i trzy razy więcej od inteligentów bez względu na płeć.

Niełatwo było wówczas inteligentnym kobietom w ciąży...

Tym bardziej że każda miała instynkt karmienia rodziny, więc pękała z dumy, gdy mogła podać mężowi kotlet schabowy. Schab przewijał się we wszystkich doniesieniach prasowych i zyskał charakter strategiczno-polityczny, a zatem wykwintny obiad choć na chwilę wynosił mężczyznę do rangi ambasadora, dom stawał się placówką dyplomatyczną, a żona – złotą rybką zamieniającą chama w pana.

Marta nie różniła się od milionów ówczesnych kobiet: sterczała w kolejkach, kombinowała, wsadzała w słoiki wszystko, co się do tego nadawało, i czuła się szczęśliwa, gdy mogła nakarmić tymi rarytasami Roberta i Dominika. Przez lata skupiona była wyłącznie na dogadzaniu im, więc jakoś umknęły jej przemiany społeczne. Im również...

Kiedyś nie wiedziała, że można inaczej, a kiedy już się dowiedziała, uznała, że za późno na zmiany. Nauczyła się czerpać przyjemność z opiekowania się nimi i nie zwracała uwagi na zmęczenie i nawał obowiązków zawodowych. Bogiem a prawdą, źle jej nie było. Gnuśny Robert i leniwy Dominik dawali po sobie jeździć do woli, więc mogła na nich odreagowywać frustracje. Stanowili prymitywne w obsłudze urzędnika – jeśli mieli pełne żołądki, schodzili jej z drogi, aby uniknąć konfliktu.

Stworzyła więc własną filozofię: „coques ergo sum” – gotuję, więc jestem. I miała w nosie zdanie Kartezjusza, a tym bardziej Jolki, wściekającej się o pomalowanie sufitu.

Ileż miała jej tłumaczyć, że Roberta nie należy dopuszczać do żadnych prac domowych, bo skończy się to nieszczęściem? Delikatny, nienawykły do fizycznej pracy małżonek pracował w firmie ubezpieczeniowej, której jedno z haseł reklamowych brzmiało: „Tworzymy przyszłość polskiej likwidacji”. Tak bardzo wziął sobie do serca tę sentencję, że kiedy brał do ręki jakiekolwiek narzędzie, likwidował albo kawałek własnego ciała, albo naprawiany obiekt. Dobrze więc, że nie zajął się sufitem w łazience. Gdyby cudem nie zleciał z drabiny (łamiąc przy tym kości i dewastującabinę prysznicową), to przez tydzień kazałby sobie zakraplać oczy, bo farba niechybnie wyżarłaby mu gałki aż po potylicę.

Dominik prześcignął ojca w ewolucji na tyle, iż był świadom, że jest człowiekiem-katastrofą, więc przezornie nawet nie próbował wchodzić na drabinę.

Cóż z tego? I tak ich kochała. Chociaż niemal codziennie wystawiali jej miłość na poważną próbę...

Na początku roku Robert został zmuszony przez pracodawcę do zrobienia badań kontrolnych. Jak na pięćdziesięcioczeroletniego mężczyznę wyniki miał całkiem niezłe. Z wyjątkiem jednego – z takim poziomem cholesterolu mógł się starać o wpis do *Księgi rekordów Guinnessa*. I chociaż on zupełnie się tym nie przejął, ona natychmiast włączyła program naprawczy i wypowiedziała wojnę złym tłuszczom. Opróżniła lodówkę i szafki ze śmierniczośnych produktów, a ich miejsce zajęły: indyk, chudy nabiał, niskosodowa różowa sól himalajska oraz czarna cypryjska, cukier muscovado z Madagaskaru oraz pachnące polskim sadem ekologiczne warzywa.

Z nostalgią wspominała czasy polowania na socjalistyczny schab. Bo cóż to za filozofia – stanąć na kilka godzin w jednej kolejce do jednego sklepu? System kartkowy – jak właśnie odkryła – posiadał też zalety: wyliczone skrupulatnie kilogramy produktów mieściły się w niewielkiej siatce. No, może górnikom się nie mieściły, ale inteligentna ciężarna szczecinianka mogła je nieść w torebeczce zawieszanej na małym palcu.

A teraz? Nie dość, że zjeżdżała całe miasto w poszukiwaniu cypryjskich cudeniek, to kręgosłup pękał od dźwigania siat – szyja ledwo utrzymywała głowę, kark pulsował, a lędźwie paliły żywym ogniem. Potrzebowała szybkiej ulgi, więc po wejściu do bloku natychmiast przybierała postawę orangutana: wlokła ręce po posadzce i wsiadała do windy. W tej pozycji wjeżdżała na ósme piętro, a potem ciągnęła za sobą tren z wypchanych toreb prosto do mieszkania.

Pewnego dnia, kiedy człapała z windy, zobaczyła na końcu korytarza Dominika. Ślepy i głuchy na wszystko zamykał drzwi. Ból pleców połączony z dzikim zmęczeniem wywołał wizję: syn odwraca głowę, upuszcza klucze, patrzy na skonaną matkę, a potem biegnie na pomoc – obraz w zwolnionym tempie, jak w czołówce *Słonecznego patrolu*. Wprawdzie Dominik nie miał na sobie kąpielówek, nie trzymał też pomarańczowej bojki na długim sznurku, ale i tak wyglądał lepiej niż David Hasselhoff. Jaki on przystojny... Z wrażenia aż jęknęła na cały korytarz.

– O, idziesz? To nie zamykam. – Syn odwrócił głowę i dostrzegł matkę, po czym ruszył do niej ospale, patrząc z kpinią na tren z reklamówek. – Więcej nie dało się kupić?

– Dało się, ale rąk mi zabrakło, żeby przynieść!

– Nic dziwnego, skoro każde badziewie pakujesz do oddzielnej reklamówki. Tu jedna papryka, tam dwie cytryny... – Przyglądał się przezroczyстым woreczkom, jakie dyndały wokół wielkich toreb. – Zero logistyki, zero ergonomii. Albo się pracuje głową, albo mięśniami.

– Dominik!

– No co? – Grymasem podsumował jej bezmyślność. – Z Mają się umówiłem. Nie dzwoń na policję, jak zniknę do jutra, dobra?

– Może byś mi pomógł, zanim znikniesz?

– Nie przesadzaj. – Cmoknął ją od niechcienia w policzek. – Trzy metry ci zostały. – Obejrzał się, by oszacować odległość. – No, może sześć. Lecę, bo winda mi zwieje. Kocham cię. Pa!

Cóż... Marta miała większe szanse na romantyczne spotkanie z Davidem Hasselhoffem na plaży w południowej Kalifornii niż na pomoc syna lub męża w dźwiganiu zakupów przez kilka metrów korytarza.

Oprócz tego, że antycholesterolowa dieta uświadomiła jej zalety socjalizmu, udowodniła też, że dotychczas w kuchni tylko baki zbijała. Uwięziona między garami uczyła się przyrządzania potraw, o których wcześniej nie miała pojęcia. Indyk w odtłuszczonym jogurcie. Pianka deserowa na chudym mleku. Biodynamiczne buraczki, oprószone ksylitolem (zamiast cukru), pławiące się w soku z kwaśnych jabłek i cytrynki (zamiast octu). Kotlety mielone z gotowanego kurczaka i warzyw rosołowych. Ciasto bez mąki na otrębach owsianych i siemieniu lnianym. Własna aromatyzowana oliwa z ziołami

uprawianymi w korytkach na parapecie...

A wszystko niesłychanie pracochłonne, podawane jak w najlepszej restauracji, żeby efekt wizualny wynagrodził deficyty smakowe.

Raczyła swoimi specjałami nie tylko Roberta. Ona z Dominikiem też przeszli na cudowną dietę. Po pierwsze – zdrowa, a po drugie – w bólu trzeba się jednoczyć.

Czasami miała ochotę wyć z przepracowania, ale natychmiast przypominała sobie o cholesterolu męża – łąpała za tarkę i wyżywała się na malutkich ekologicznych burakach, jeżdząc nimi po ostrych krawędziach oczek z takim zapamiętaniem, że dopiero tryskająca do miski własna krew sprowadzała ją na ziemię. Robiła wtedy na palcach „laleczki” z bandaża i wracała do buraczanej egzekucji.

Z upływem tygodni złość przerodziła się w radość: spodnie, spódnice, sukienki i bluzki zaczęły dyndać luźno wokół pasa i bioder – najwyższa nagroda za kuchenne katusze. Poczwała się młodziej, lżej, pewniej. Jedno ją niepokoiło: dlaczego organizmy Roberta i Dominika nie zareagowały na dietę? Nie dość, że nie schudli, to wręcz przybrali na wadze. Jakim cudem? Przecież cała rodzina przestrzegała spożywania pięciu zdrowych posiłków dziennie.

Na zdrowy rozum, powinni ją prześcignąć, bo kiedy mlaskała nad gotowaną rybą, oni żuli rybnie mięso, krzywiąc usta, jakby cierpieli na paradontozę. Jedli połowę tego, co ona, a ich waga, zamiast w dół, szybowała w górę – niepojęte!

– Gdzie dożeracie? – Pewnego dnia nie wytrzymała ich pełnych obrzydzenia min na widok potrawy, która miała zero cholesterolu i wymagała czterech godzin siedzenia w kuchni. – Albo się przyznacie, albo was zabiję! – Wobec zgodnego milczenia popartego głupimi uśmieszkami podniosła do góry nóż.

– Kebab jadłem. Ale drobiowy! – zapewnił Robert głosem świadomego pacjenta. – I jeszcze te... no... dwa hot dogi na CPN-ie.

– Na CPN-ie? – Dominik zmarszczył nos. – Wysokocholesterolowe musiały być: dziewięćdziesiąt osiem oktanów. – Zaśmiał się głośno z własnego żartu.

– Nie wierzę. Po prostu nie wierzę! – Marta wpatrywała się w męża, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. – Biegam po sklepach, sterczę godzinami przy garach, nakrywam stół jak dla biskupa! Wyłażę ze skóry, żebyś tylko był zdrowy! A ty robisz ze mnie idiotkę? Niszczysz wszystko śmierdzącymi kebabami i hot dogami?

– Wcale nie były śmierdzące.

– Ale trujące na pewno były!

– Nie były. Przecież żyję.

– O cholesterol chodzi!

– Daj spokój. – Robert odsunął talerz z rozgrzebaną rybą na szpinaku. – Kumpel z pracy powiedział, żebym się nie przejmował. Wiesz, że dzisiaj normy są celowo zaniżane? Kiedyś były znacznie wyższe. Cholesterol też. Specjalnie to robią, żeby nam wciskać różne tabletki.

– A ten kolega to kim jest? Lekarzem czy aptekarzem? – zapytała najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

– Kim ma być? Agentem ubezpieczeniowym. Mówiłem, że z pracy...

– Szlag mnie trafi! U agenta ubezpieczeniowego będziesz się leczył, jak cię miażdżyca zabije?

– Jak mnie zabije, to już u nikogo leczyć się nie będę musiał – odparł, spoglądając na Dominika. – Prawda, synu?

– Nie zabije cię miażdżyca! – Marta ponownie wystawiła nóż zębami w górę. – Ja to zrobię, idioto skończony! Nie szanujesz własnego zdrowia, to przynajmniej szanuj mnie!

– Mamo, wyluzuj. Żaden adwokat nie podejmie się obrony, jeśli zabijesz męża za to, że wolał kebab od szpinaku. – Dominik wziął przykład z ojca i odsunął talerz na kraniec stołu. – Jeśli mam dożyć setki na



otrębach, to wolę, żeby mnie cholesterol zabił przedtrzydziestką. Tego nie da się jeść. Też codziennie wciągam coś na mieście.

– Zabiję was obu! – Bała się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Tren z reklamówek, pękający kręgosłup, sól himalajska, cukier z Madagaskaru, zioła w korytkach, krew na tarce...

– Trudno. Dostaniesz podwójne dożywocie.

– Przestrzegaliście przynajmniej pięciu posiłków dziennie? – Szukała pozytywnych efektów medycznej edukacji.

– Oczywiście! W domu jadłem śniadanie i kolację, a na mieście trzy obiady. – Po tym wyznaniu pokój zatrzęsł się od chóralnego męskiego rechotu.

– Mniejsza o cholesterol... – Odchrząknęła. – Nie zauważyliście, że schudłam o dwa rozmiary na tej diecie?

– Schudłaś. – Robert nie podzielał jej entuzjazmu. – Ale mnie bardziej się podobałaś dwa rozmiary bogatsza. Przynajmniej było za co złapać – zaśmiał się rubasznie.

– Też cię wolałem w poprzednim wydaniu – zawtórował mu Dominik. – Wprawdzie za nic cię nie łapię, ale wtedy dało się z tobą żyć. A teraz? Jesteś sto razy bardziej wściekła niż normalnie.

– Ja?!

– A kto na nas wrzeszczy od pięciu minut? Ja? – syn przedrzeźniał jej podniesiony głos.

– No właśnie. – Robert natychmiast go poparł. – Sama sobie narobiłaś kłopotu, a na nas się wyżywasz. Czy myśmy prosili o to... – z odrazą wskazał na talerze – albo żebyś się odchudzała? Ja bym wolał, żebyś odzyskała stracone kilogramy.

– Popieram! Zbrzydło mi żarcie na mieście. Mamo, strasznie się stęskniłem za żeberkami po amerykańsku...

Dominik objął Martę, a mąż ucałował ją w obie ręce. Prześcigali się w zapewnieniach, do jakich heroicznym czynów się posuną, jeśli daruje im w końcu dietę antycholesterolową.

– Nigdy nie rzucę mokrego ręcznika gdzie popadnie!

– Każdą pustą butelkę po wodzie mineralnej wyniosę z pokoju!

– Naprawię, co każesz! Natychmiast!

– Ja też, jeśli tata nie znajdzie czasu! Albo razem naprawimy!

Złość Marty rosła wprost proporcjonalnie do ich radosnej żarliwości. Wiedziała, że ani jeden, ani drugi nie spełni tych obietnic.

– Róbcie, co chcecie! Jedzcie, gdzie chcecie! Mam was dość! – Wstała od stołu i z furią przeszła do kuchni, gdzie wyrzuciła do śmietnika rozgrzebaną zawartość talerzy. Nie zdawali sobie sprawy, ile pracy ją to kosztowało. Przecież dla nich, a nie dla siebie, się starała.

– Mamo...

– Wynocha!

Nie odzywała się do nich trzy dni, ale w końcu skapitulowała. Cóż mogła poradzić, że ich kochała?

Byli identyczni i od dwudziestu trzech lat tworzyli mocny sojusz. Kiedy Dominik przyszedł na świat, Robert też urodził się na nowo – zamiast dorosnąć do roli ojca, dzieciinniał.

Najpierw razem przechodzili etap niemowlęcy: domagali się bezustannej uwagi, towarzystwa w łóżku i karmienia na żądanie.

Po roku trafili do piaskownicy, gdzie, wchodząc w pierwsze relacje społeczne, zachowywali się podobnie.

– Tato! On mi zablął folemkę!

– Walnij go łopatką. Jeśli nie odda, popraw wiaderkiem.

Trzymali sztamę i na etapie przedszkola. Marta kazała synkowi myć ząbki, układała go do snu i godzinę czytała bajki, a kiedy małe oczka zaczynały się zamykać, przechodziła w szept: „Po wielkiej łodydze fasoli Jaś wspinał się coraz wyżej i wyżej...”. Najczęściej w tym momencie drzwi od pokoju otwierały się z hukiem.

– Cześć, mały! A co to? Śpisz już? Tata wrócił z pracy! Chodź do tatusia! Masz ochotę na czekoladę?

– Tata! – Dominik wyskakiwał z łóżka i bawił się z ojcem do północy. Żaden nie pomyślał, że następnego dnia pobudka o siódmej. A wstawać rano obydwaj nie znosili...

W podstawówce oraz w gimnazjum przechodzili etap zafascynowania męskimi sportami, które wspólnie uprawiali: połamane ręce, rozbite głowy, zwichnięcia i drobniejsze, niewarte wspomnienia kontuzje. Dziecko radziło sobie z nimi zdecydowanie lepiej niż tatuś.

– Marta! Przynieś mi herbatę!

– Marta! Mamy coś przeciwbólowego?

– Marta! Nie mam co czytać!

– Marta! Telefonu potrzebuję!

– Marta! Okład już całkiem wysechł. Zrobisz nowy?

– Marta! Głodny jestem!

– Marta! Pomasuj mi kostkę, bo strasznie mnie rwie!

Nienawidziła wtedy swojego imienia.

Kiedy Robert przechodził po raz drugi podstawówkę i gimnazjum, był permanentnie zabandażowany, a domaganiem się opieki wyćwiczył struny głosowe tak, że gdyby miał talent muzyczny, zatrudniliby go w szczecińskiej operze.

Liceum spędzili, kontynuując sportową pasję, która przeszła z fazy uprawiania w fazę oglądania.

– Ale szmatę puścić! Prawda, tato?

– Jasne! Unikał kontaktu, bo się bał, że w kostkę go kopną. Mięczak!

Dwóch twardzieli, oprócz krytykowania kadry narodowej, siedziało na kanapie i zgłębiało tematy damsko-męskie, zaprzatające ich nastoletnie umysły.

– Synu! Skoro ona ci się podoba i chcesz ją poderwać, pamiętaj: nie zwracaj na nią uwagi. Ignoruj ją. Nie patrz, nie zagaduj. Zobaczysz, po godzinie sama do ciebie podejdzie.

– Co za bzdury wygadujesz? – wtrącała się Marta. – Odwrotnie powinien zrobić: porozmawiać, zaprosić do kina, kupić kwiaty.

– Dobra... – odpowiadali jednogłośnie z intonacją „nie znasz się”.

Po maturze Dominik dostał się na architekturę. Nieźle sobie radził. Nie dość, że jechał na piątkach i czwórkach, to znalazł dziewczynę. Maja była jego koleżanką z roku i spodobała mu się już podczas spotkań adaptacyjnych. Ignorował ją i na szkoleniu BHP, i na zebraniu w sprawie lektoratów, i na imprezie integracyjnej. Wtedy do niego podeszła i zagadała: „Cześć, Maja jestem. Zdaje się, że razem studiujemy. I chyba tylko ciebie jeszcze tu nie bardzo kojarzę...”.

Skojarzyli się na dobre.

Maja pochodziła z Koszalina, więc na czas studiów musiała znaleźć sobie lokum w Szczecinie. Początkowo mieszkała w akademiku, a potem na ciągle zmieniających się stancjach. Nie raz i nie dwa zdarzyło się, że między jednym a drugim wynajmem nie miała gdzie się podziać, więc pomieszkiwała u swojego chłopaka. A raczej u jego rodziców...

Marta lubiła tę dziewczynę głównie dlatego, że syn przestał łązić po dyskotekach i nie wracał do domu w stanie upojenia alkoholowego, które nieodwracalnie zabija milion szarych komórek. Nie do końca jednak akceptowała rezydowanie Mai w ich domu.

– Czy ona nie czuje się przy nas skępowana? A co na to jej rodzice? Ciekawe...

– Daj spokój. – Robert wzruszał ramionami. – Przeszkadza ci? Prawie z pokoju nie wychodzą.

Naprawdę cię obchodzi, czy jej rodzice o tym wiedzą?

– Ja bym chciała wiedzieć, gdzie Dominik mieszka, co robi, z kim się spotyka...

– Przecież wiesz, gdzie mieszka, co robi i z kim się spotyka. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Nie była w stanie wytłumaczyć, o co jej chodzi, bo Robert rozwijał się w równym tempie z synem i dopiero dotarł do wieku studenckiego, więc – chociaż byli małżeństwem – dzieliła ich pokoleniowa przepaść.

Trudno zatem powiedzieć, czy to Dominik wdał się w ojca, czy może raczej Robert wdał się w syna. Jedno było pewne: im bardziej odkrywała, że mąż jest dziecinny, rozkapryszony lub zbuntowany, tym Dominik goręcej go wielbił. A ich sztama zacieśniała się z każdym dniem.

– Jaka cudna przypowieść! – Pewnego razu przerwała im oglądanie filmu, pokazującego znacznie częściej rozprute serią z karabinu wnętrze niż twarze. – Posłuchajcie!

Z łaski oderwali na chwilę oczy od telewizora, a ona trzepnęła dłonią w gazetę i czytała ze wzruszeniem:

*Bóg, tworząc kobietę, szósty dzień pracował bez wytchnienia i strudził się okropnie.*

– *Po co poświęcasz jej tyle czasu?* – zapytał Go anioł.

– *Widziałeś instrukcję?* – zdenerwował się Bóg. – *Nie może bać się wilgoci, ale nie może być plastikowa. Powinna składać się z tysiąca poruszających się detali, których nie da się wymienić. Musi utrzymać się na kawie i szczątkach bezkalorycznego jedzenia.*

– *A potrafi myśleć?*

– *Ha! Nie tylko myśleć! Wciąż musi dyskutować i udowadniać swoje racje. I dopóki istnieje jakiegokolwiek wyjście z sytuacji, nie może powiedzieć: „stop, mam dość”.*

– *Oj, przepraszam, Panie, ale chyba twój model przecieka.* – Anioł dotknął kobiecego policzka. – *Trzeba ją uszczelnić.*

– *Nie przecieka. To łzy.*

– *A po co jej łzy?*

– *Poprzez łzy będzie wyrażała radość, smutek, gniew, ból, rozczarowanie, samotność, dumę, upokorzenie, namiętność, lęk, miłość, bezradność, wzruszenie...*

– *Panie!* – przerwał mu anioł. – *Naprawdę jesteś genialny!*

– *Co wy na to?* – Marta walczyła z „rozszczelnieniem oczu”. – *Piękne, prawda?*

– *Piękne* – przytaknął beznamiętnie Dominik. – *Przynajmniej masz winnego i nie będziesz się więcej wyżywać na mnie i na tacie. Do Boga zgłaszaj pretensje.*

– *Właśnie!* – Robert natychmiast poparł syna.

– *Do mężczyzn nie miał żadnej instrukcji. Zrobił was na oko, za bardzo nie dbał o efekt. Pewnie się nie spodziewał, że kiedyś wylezicie z lasu.*

KAŻDA KOBIETA POTRAFI  
ZROBIĆ Z NICZEGO TRZY RZECZY:  
KAPELUSZ, SAŁATKĘ I SCENĘ MAŁŻEŃSKĄ.

(przysłowie francuskie)

– Pyszne... – Dominik zlizywał z kącików ust orzechowo-śmietankowo-jagodową piankę. – Rewelka!

– No! – potwierdził Robert, także cały umazany na biało-fioletowo.

Opowiedziała, ile nerwów ją to kosztowało i jak omal kuchni z dymem nie puściła.

– Jolka wciąż się dziwi, że chce mi się trzy razy ciasto gnieść, żeby wam dogodzić – rzuciła, czekając na słowa wdzięczności.

– Co u niej słyhać? – Roberta mało interesowała rozwścieczona feministka, ale zdobył się na grzecznościowe pytanie.

– Na pewno ciągle po nas jeździ. – Dominik też nie przepadał za przyjaciółką matki.

– Walczy z testami dla gimnazjalistów. – Kobięca solidarność zabraniała opowiadać o kolonoskopii. – Jej Filip kończy w tym roku gimnazjum, to się kobieta szarpie.

– Nie dziwię się. Zdecydowanie za wysoki poziom dla... – Chłopak zamilkł pod ostrym spojrzeniem ojca.

– A konkretnie z czym się szarpie?

– Z głupotą własnego dziecka! – Ciężkie spojrzenie matki spoczęło na jedynaku, ale Dominik tylko wyszczerzył zęby w bezczelnym uśmiechu, więc zwróciła się do męża: – Przerabiają razem matematykę i Jolkę szlag trafia. Musiała opanować cały materiał, bo szóstą klasę skończyła trzydzieści pięć lat temu. Kłęła, że tak późno urodziła Filipa, i doszła do wniosku, że w ciążę najlepiej zajść już w liceum. Wtedy więcej się pamięta ze szkoły i łatwiej pomagać dzieciakom w nauce, rozumiesz? – Robert przytaknął, więc kontynuowała: – W furję wpada, bo wbiła smarkaczowi teorię do głowy, a on jeszcze ani jednego zadania prawidłowo nie rozwiązał. Za każdy błąd zrobiony z roztargnienia ona każe mu robić dziesięć przysiadów. Ale nic to nie daje. Zastanawia się, co bardziej skutecznego od przysiadów wymyślić, żeby go zmusić do koncentracji.

– Trening komandosów z Navy Seals – poradził Dominik. – Im gorzej młodemu będzie szło z matką, tym szybciej dostanie robotę w oddziałach specjalnych. Ponoć niezłą kasę można tam zarobić. Do tego adrenalina gwarantowana.

– Według mnie lepiej stosować wzmocnienia pozytywne. – Robert wciąż uśmiechał się do żony. – Zamiast karnych przysiadów powinna dawać mu nagrodę za każde prawidłowe działanie. Naj...

– Najlepiej finansową! – Syn wszedł mu w słowo. – Mały zarobek i zero adrenaliny, ale na gimnazjum wystarczy.

– Nie miałem na myśli pieniędzy. Raczej pizzę, chipsy, słodczy.

– Jasne! Jolka ustawi w kuchni wózek z hot dogami i będzie wydawać po bułce z parówką, kiedy geniusz odróżni plusa od minusa! – Marta zaczęła zbierać brudne talerzyki. – Nie wiem, czym myślicie, ale na

pewno nie głową. Jeden bez przerwy o pieniądzach, a drugi udaje sponsora rozdającego nagrody! Szkoda, że dla mnie nie macie tyle fantazji. Nie pamiętam, żebym kiedyś jakieś pozytywne wzmocnienie od was dostała za prawidłowe działanie.

– Ale przysiadów nie każemy ci robić za karę – przypomniał Dominik.

– Za jaką karę?

– No przecież mało brakowało i spaliłabyś chatę. A my nic. Ani o przysiadach, ani o skłonach nawet nie wspomnieliśmy. Chociaż przez ciebie pod mostem byśmy teraz spali. Prawda, tato?

– Bez pożaru pod most powinnam was wysłać! – Starła się upchnąć w lodówce resztki ciasta, ale patera nie mieściła się na żadnej z półek, więc z wściekłością miażdżyła nią jogurty, sery i pojemniki z wędlinami. – I to nie ja, ale wy powinniście po sto skłonów trzy razy dziennie robić. Dla własnego dobra! Od pomagania mi zakrzepicy niedługo dostaniecie! – Obrzuciła wściekłym wzrokiem mężczyzn swojego życia. W bezruchu przyglądali się jej krzątaniu; żaden nawet palcem nie ruszył, aby zebrać naczynia i włożyć do zmywarki, albo schować ciasto... Już zamierzała im to uświadomić, gdy usłyszała dziwne chrupnięcie. Z przerażeniem zlustrowała wzrokiem lodówkę...

– Dosyć! – wrzasnęła. – Jeśli mam wam usługiwać, musicie zapewnić mi do tego godziwe warunki! – Na widok niezrozumienia w ich oczach wściekła się jeszcze bardziej. – Od roku powtarzam, że ten rupieć dogorywa! Wciąż trzeba rozmrażać, szuflady powyginane, a teraz to! – Kawałek pękniętego szkła jak na złość nie dał się wyszarpać i rzucić na stół. – Rzygać się chce, chociaż myję bez przerwy! Widzicie? W rękach się rozlatuje! Jazda po nową lodówkę! Teraz! Zaraz! Dzisiaj! – jeszcze bardziej podniosła głos, bo miny męża i syna doprowadziły ją do stanu porównywalnego z emocjami Jolki rozwiązującej testy gimnazjalne.

– Mam projekt zaliczeniowy. – Dominik natychmiast wykorzystał tradycyjną wymówkę. – Chcesz, żebym oblał sesję?

– Chcę, żebyście pojechali do sklepu i kupili lodówkę. Zajmie wam to godzinę, może mniej. Jedna godzina nie zrujnuje chyba twojej kariery naukowej?

– Tak się wydaje: godzina. – Syn spojrzał na matkę z wyrzutem. – Dojechać, poszukać, pomierzyć, kupić, odstać przy wypisie karty gwarancyjnej, umówić transport...

– ...odebrać, ustawić, wypoziomować. To nie takie hop-siup. – Starym zwyczajem Robert natychmiast poparł jedynaka. – Poza tym my wybierzemy, a tobie się nie spodoba, i co? Przez trzy dni będziesz cięta jak osa, a przez dziesięć lat, przy każdym otwieraniu lodówki, nasłuchamy się, jakie z nas patałachy.

– „Trzeba mózgu nie mieć, żeby wybrać tycią szufladkę na warzywa. Co mam tu zmieścić? Czosnek?”.

– Dominik parodiował wysoki głos matki. – „A trudno było pomyśleć, że dziury na jajka są w bezsensownym miejscu? Jeden głupi chłop wymyślił, a dwóch głupich kupiło!”. – Odchrząknął. – Mamo, najlepiej będzie, jak sama pojedziesz, wybierzesz model, a my z tatą załatwimy potem formalności.

– Już ja was znam! – Postanowiła, że tym razem nie ustąpi. – Zanim wy się weźmiecie do załatwiania formalności, przestaną produkować model, który wybiorę. Nie chcecie, nie jedźcie. Proszę bardzo. Oznajmiam tylko, że dopóki nie będzie nowej lodówki, nie gotuję. Od jutra obaj stołujecie się na mieście!

Odkąd dieta antycholesterolowa przeszła do historii, chłopaki znowu wpadali do kuchni głodni jak wilki i buszowali po garnkach, bo nie mogli się doczekać, kiedy jedzenie znajdzie się na talerzu. Wcinali wszystko, oblizywali się przy tym po uszy, a ona razem z nimi. Nie miała ani siły, ani czasu, żeby robić jednocześnie posiłki dla nich i dla siebie, więc całe odchudzanie poszło w diabły: wróciła do swojego rozmiaru, a nawet padła ofiarą efektu jo-jo i przybrała na wadze. Zniosła to dzielnie, wspierana

pochwałami za przytycie.

– Mamo, nie łam się. Fajnie, że odzyskałaś formę. Po co ci odchudzanie? Planowałaś zmieścić się w ciuchy sprzed trzydziestu lat? Chyba stać cię na nowe, nie?

– Nasz syn ma rację. Zamiast się wściekać, idź i kup sobie nowe rzeczy. Albo... – Robert strzelił palcami. – Kiedy schudłaś, tak się cieszyłaś, że spódnice i spodnie z ciebie spadają, prawda?

– Prawda – przytaknęła.

– Więc idź i kup sobie wszystko o dwa rozmiary za duże. Znowu będzie z ciebie spadać.

Zrezygnowała z genialnego patentu, ale odświeżyła szafę. Poszalały z Jolką po sklepach i natychmiast poczuła się lepiej. Tym bardziej że Robert i Dominik wszystko zgodnie podziwiali. Wiedziała, że się podlizują, żeby karmiła ich po staremu.

Dieta antycholesterolowa na coś się jednak przydała – Marta zrozumiała, jaką bronią dysponuje, gdy zdała sobie sprawę, że żeberka po amerykańsku albo jajecznicza na bekonie mogą być narzędziem szantażu. Teraz sięgała po nie zawsze, kiedy chciała coś wywalczyć. Nie miała wątpliwości, że i zakup nowej lodówki załatwi tym sposobem.

– Od jutra obiadek na mieście! – powtórzyła dobitnie, a widząc ich zrozpaczone miny, wskazała ręką drzwi. – Albo jazda po lodówkę!

– I nie będziesz wybrzydzała? – Mąż wyraźnie się łamał.

– Nie będę.

– Przysięgasz? – Skinął głową na Dominika. – Dziecko biorę za świadka.

– Przysięgam. – Gdyby Marta trzymała ręce pod stołem, zatarłaby je z radości, ale stała obok dogorywającej lodówki i nie chciała ich drażnić gestami triumfu. – Tylko pamiętajcie... – zaznaczyła – musi oszczędzać prąd.

Westchnęła na wspomnienie ostatniego rachunku, do którego załączona była ulotka zatytułowana: „Drogi konsumencie!”. Nie miała pojęcia, że ludzie konsumują prąd. Ale skoro Jolka jest z całym bankiem na „ty”, a jakiś polityk otacza zmarłych troskliwą opieką, to czemu Marta nie miałaby konsumować prądu?

Z ulotki dowiedziała się, gdzie popełnia konsumpcyjne błędy i jakie urządzenia sprzyjają diecie wyszczuplającej rachunki z zakładu energetycznego.

– Nie patrz na cenę. Patrz na zużycie, dobrze? – powtórzyła.

– Dobrze. – Robert wstał od stołu i machnął na Dominika. – Ruszaj się.

– Robię projekt. Nie możesz sam...? – Syn niechętnie podniósł się z krzesła.

– Nie! Jedziemy, a matka sobie w tym czasie odpocznie.

Odpoczęła jak cholera – najpierw sprzątnęła kuchnię, a potem opróżniła starą lodówkę. Kiedy całą zawartość ułożyła na blatach, spojrzała na warczący rupieć z mściwą satysfakcją. Chwyciła się z nim za bary: wyciągnęła wtyczkę z gniazdka, a potem odciągnęła złom dwa metry od ściany. Zamarła na widok odsłoniętego fragmentu podłogi – totalny syf! W ruch poszły detergenty. Niestety, nie zachowały się jak ich sobowtóry z telewizyjnych reklam: jedno pociągnięcie szmatą, zamiast przemienić kafle w nieskazitelne zwierciadło, zamieniło twarde syf w obrzydliwe błoto. Pomógł dopiero stary pocziwy ocet i druciana szczotka.

Miała wrażenie, że odbyła mozolny trening wioślarski – nie czuła rąk.

Spocona, obolała i odurzona oparami octu, opadła na taboret. Uśmiechała się jednak z satysfakcją – nie dość, że zdążyła z robotą, to może sobie pozwolić na chwilę odpoczynku.

Godzina wylegiwania się z gazetą na kanapie przyniosła prawdziwą satysfakcję: ból stawów ustąpił, ocet wywietrzył z zatok, a w głowie odezwała się duma: Ha! Długo ich nie ma, czyli wzięli sobie moją

prośbę do serca i nie przywiozą byle czego. Aż dziw, że jeszcze nie dzwoniли, czy wolę półki z podwieszanymi pojemniczkami, czy tradycyjne rozwiązania. I dobrze, bo sama nie wiem.

Po kolejnej godzinie rzuciła gazetę na stół i krążyła od ściany do ściany: Ileż można? Zadzwoń... Nie. Nie mogę. Obiecałam się nie wtrącać... Ale czy oni mają pojęcie, że jeśli zaraz nie przywiozą lodówki, to całe żarcie pójdzie do śmieci? Poczynając od jogurtowo-jagodowej pianki, która zaczyna cieknąć, aż po mrożone... Jezus, Maria! – Stała w połowie drogi między jedną a drugą ścianą i poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. – Jeśli coś się stało?! Może mieli wypadek? Krzyczałam na nich jak opętana i wysłałam do sklepu, a przecież mogłam do jutra poczekać. To niemożliwe, żeby przez trzy godziny nie zadzwonili i o nic nie zapytali. Nie ma opcji, żeby tyle czasu debatowali nad czymś, co nie ma pilota i do czego nie da się podłączyć słuchawek... Boże jedyny! Jeśli zamiast po lodówkę wysłałam ich po śmierć?!

Starła się pozbyć czarnych myśli: na pewno utknęli w korku albo jeżdżą po mieście, żeby jej udowodnić, że kupienie lodówki to nie takie hop-siup.

Jednak uspokajająca autoterapia na nic się zdała.

Zbyt sobie cenią swój czas, żeby go tracić na złośliwości. Prędzej wróciliby po kwadransie z komunikatem, że w całym Szczecinie zamknęli wszystkie sklepy AGD. A gdyby stali w korku, Dominik najpierw wysłałby sto zdjęć dokumentujących uliczne więzienie, a potem pięćdziesiąt razy zadzwonił z pretensjami, że przez nią obleje zaliczenie projektu. Musiało się coś stać!

Trzęsącymi się dłońmi chwyciła telefon. Wybrała numer Roberta. Nie odebrał. Spróbowała do syna. Z podobnym skutkiem.

Przerzucała komórkę z ręki do ręki.

– Samobójstwo popełnię, jeśli coś złego im się stało... – szeptała do siebie w panice.

Zastanawiała się, czy powinna zadzwonić na policję, czy na pogotowie. Doszła do wniosku, że lepiej na policję: mają wiadomości ze szpitali i szybciej wszystko ustalą.

Wystukiwała dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem, ale zatrzymała się po drugiej dziewiątce. Przypomniała sobie o numerze sto dwanaście – Europejski System Alarmowy. Czy ma prawo angażować policję z całej Unii Europejskiej do poszukiwań Roberta i Dominika? Przecież nie wysłała ich po lodówkę do Brukseli.

Czuła, że zaraz zwariuje.

– Jolka będzie wiedziała, gdzie szukać pomocy! – Zastanowiła się. – Nie, lepiej nie. Raczej zabroni mi dzwonić gdziekolwiek. Każe mi się cieszyć, że wreszcie zniknęli. A to przez nią dzisiaj wrzeszczałam i robiłam im awanturę o nic. Wciąż mnie przeciwko nim buntuje.

Zdecydowała się w końcu na regionalne dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem – nie ma sensu po trzech godzinach od zniknięcia stawiać na baczność Scotland Yardu i Bundespolizei.

– Pogotowie policji, proszę czekać na zgłoszenie dyspozytora. Informujemy, że rozmowa będzie nagrywana... Pogotowie policji, proszę czekać na zgłoszenie dyspozytora. Informujemy, że rozmowa będzie nagrywana...

– Rozumiem! – wydarła się do słuchawki. – Z człowiekiem poproszę!

– Pogotowie policji, proszę czekać na zgłoszenie dyspozytora. Informujemy, że rozmowa będzie nagrywana...

– Kochanie, jesteśmy! – usłyszała radosny okrzyk męża.

Kamień spadł jej z serca.

– Gdzieście byli tyle czasu?! – Omal nóg nie połamala, gnając do przedpokoju, żeby ucałować całych i zdrowych mężczyzn swojego życia. Oraz nową chłodziarkę, o której sobie natychmiast przypomniała. – Czemu telefonów nie odbieracie? Umierałam z nerwów. Nawet polic... – Urwała na widok wielkiego

płaskiego kartonu, który Robert z Dominikiem ochoczo targali w kierunku salonu. – Co to? Składana lodówka? – To nie było mądre pytanie: malunki na beżowej tekturze jasno informowały o zawartości pudła.

– Telewizor – potwierdził dumnie syn. – Lodówkę osobiście wybierz, a my dowieziemy i ustawimy. Nie kupiliśmy, bo przy każdej się baliśmy, że do czegoś się przyczepisz i nas od durniów nawyzywasz.

Oparła się o ścianę – żeby nie zemdleć i żeby ułatwić im przejście do pokoju. Śni czy co?

Wyrzuty sumienia ulotniły się jak kamfora. Z przyjemnością rozjechałaby ich na dwa placki, uciekła z miejsca zdarzenia i, ku radości Jolki, udawała, że nic się nie stało.

– Pewnie kosztował tyle, co mały samochód? – wykrztusiła.

– Słyszysz, tato? A podobno to ja wciąż myślę o pieniądzach.

– Bo myślisz, młody, myślisz. Ale po kimś musiałeś odziedziczyć tę niemłą przypadłość.

Skupieni na bezpieczeństwie telewizora nie dostrzegli, że ich dowcipkowanie coraz bardziej drażni Martę.

– Zwariuję! – Dotarła za nimi do salonu i klapnęła tam, gdzie niedawno w błogim spokoju czytała gazetę. – Na żadnej ścianie się to nie zmieści.

– Zmieści się, zmieści... Kilka obrazków się zdejmie i się zmieści. – Mąż nawet nie spojrzał w jej stronę, zajęty instruowaniem Dominika. – Nie tak. Ustrojstwem do góry, a kineskopem na dół... Daj w lewo, bo zahaczysz o witrynę... O, teraz dobrze. – Odsapnął z zadowoleniem i wyprostowawszy plecy, najpierw obrzucił zachwyconym wzrokiem karton, który zakrył połowę dywanu, a potem popatrzył na syna. – Widzisz? Daliśmy radę. A ty chciałeś transport ze sklepu zamawiać. Wiesz, ile byśmy dopłacili? – Potargał czuprynę Dominika. – Jeszcze sporo mogę cię nauczyć.

– No. – Chłopak poddawał się szorstkiej pieszczocie bez protestów. – Zobaczymy, ile zabulisz za swoje pomysły. Gdybyśmy wzięli transport, to na parkingu nie mielibyśmy przypału z...

– Sam jesteś przypał. – Robert, wciąż tarmosząc czuprynę syna, kilka razy stuknął go w czoło. – Chwila milczenia dobrze ci zrobi, a potem montujemy, co?

– Jasne! – Dominik zerknął na ojca ze skruchą.

Oszłomiona Marta nie zauważyła wymiany dziwnych zdań i spojrzeń.

Kolejny raz zignorowali jej potrzeby. Znowu potraktowali ją jak przygłupią gospozię, która nie ma w domu nic do gadania. Liczą się tylko ich zachcianki. Chociaż krew ją zalewała, postanowiła nie krzyżeć. Przynajmniej chwilowo.

– Wyjaśnicie mi coś? Dwudziestoletnia lodówka rozleciała się na kawałki, a nasz telewizor ma zaledwie trzy lata i działa bez zarzutu. Powiedzcie, dlaczego kupiliście telewizor zamiast lodówki? Po co wam?

– Nam? – zdumiał się Robert. – Kupiliśmy go dla ciebie.

– Dla mnie? – Na szczęście fotel miał wysokie oparcie, bo z wrażenia by spadła. – Czy ja was prosiłam o telewizor?! Bo może się przejęzyczyłam i nie pamiętam. Kupiliście telewizor z myślą o mnie?!

– Oczywiście. Uwielbiasz filmy przyrodnicze. Wyobrażasz sobie jakość obrazu? Poczujesz się, jakbyś tam była. W swoich ukochanych dżunglach i przy wodospadach.

Skądinąd racja – jeszcze nie podłączyli telewizora, a ona już czuła się jak w dżungli...

– Mamo, czepiasz się. Powiedziałaś, że zaakceptujesz wszystko, byle było energooszczędne. A ten telewizor jest wyjątkowo energooszczędny. Do tego: pięćdziesiąt pięć cali, rozdzielczość dwa tysiaki na tysiaka, częstotliwość czterysta herców, wbudowany tuner defalbeta i defalbe, i defalbees. Czysta analogia!

– Skoro o analogii mowa... – Nie zrozumiała ani słowa z wyliczanki Dominika. – Czy analogicznie do



lodówki telewizor będzie mi przechowywał żywność? Bo... – z odrazą odwróciła wzrok od „prezentu” – ...z tego, co widzę, tylko kabanosy się na nim zmieszczą. I to poukładane w wagoniki, jeden za drugim. Co mam zrobić z resztą żarcia? Do śmieci wyrzucić?

– Daj spokój. Lodówka pracowała dwadzieścia lat, to jeszcze kilka dni wytrzyma... – Schylił się i wyciągnął z kartonu styropianowe ochronki, przy czym wypiął tyłek prosto na żonę. – Młody, leć po nożyk albo cążki. Rękami nie dam rady porozrywać obręczy. Plastik twardy jak cholera. A może to igelit? Rozciąga się, a nie puszcza.

Matko Boska! Głupek nie ma świadomości, że coś źle zrobił. Cieszy się nową zabawką jak mały chłopiec – zadowolony, ubawiony po pachy, beztrocki...

Miała ochotę wypłacić mu porządnego kopa. Wyobraziła sobie tarczę na wystawionym pod nos dupsku i celowała w najwyższej punktowane miejsce.

Zamiast porządnego kopa szturchnęła go lekko kapciem. Fakt, że prosto w „dziesiątkę”, więc Robert zachwiał się i wykonał kilka rozpaczliwych ruchów, by nie upaść na telewizor. W końcu złapał równowagę.

– Co robisz? Nie widzisz, że krwawię? – Pokazał zadrapaną igelitowymi obręczami dłoń. – Chcesz mnie dobić?

– Starej lodówki już nie ma! – Marta była bliska płaczu. – Odłączyłam ją, wyciągnęłam na środek kuchni, pół godziny rozmrażałam suszarką do włosów i pucowałam. Drugie pół godziny podłogę szorowałam... – Głos jej się łamał, więc zamilkła, żeby nie uronić ani łzy. Twarda będzie!

– Wyniosłaś ją z domu?

– Mało wam orania mną? Jeszcze lodówkę mam za was dźwigać?! – Stał do niej przodem, więc wołała nie wyobrazać sobie środka tarczy, bo źle by się to dla niego skończyło.

– Czyli lodówka wciąż jest w kuchni? – Wzruszył ramionami. – W czym problem? Podłączę i schowasz żarcie. Po co je wyciągałaś? Powiedziałem, że jedziemy do sklepu, a ty masz odpocząć. – Dominik skwapliwie pokiwał starganą czupryną.

– Mamo. – Odgarnął włosy z czoła. – A dlaczego przez godzinę pucowałaś starą lodówkę? – Zaakcentował słowo „starą”, patrząc na ojca. – Rozumiesz to?

– No cóż... – Robert hamował śmiech z podobnym trudem, z jakim Marta powstrzymywała płacz.

– Dwa debile! – Poderwała się z fotela. Zdecydowanie wołałaby teraz szukać ich po szpitalach: fizyczne urazy da się leczyć. Gorzej z psychicznymi... – Czy coś kiedyś dotrze do waszych tępych łbów?!

– Kochanie...

– Sranie nie kochanie! Nie dziwię się, że Dominik głupi. Ma czas na zmądrzenie. Ale ty?! – I uciekła z salonu.

Układała na powrót wędliny, sery i jogurty w wypucowanej na błysk starej lodówce. Kiedy podłączyła ją do gniazdka, rozległo się zniechęcające warczenie – była pewna, że kółeczko na liczniku prądu wirowało teraz trzy razy szybciej.

Jako konsumentka energii elektrycznej planowała, że od dziś będzie się tą energią wyłącznie delektować. Niestety, wróciła do „wielkiego żarcia”.

Żółć wylewała się jej uszami, bo tradycyjnie sama musiała sobie z tym poradzić. Żaden nie przyszedł, nie przeprosił, nie pomógł. Słyszała dobiegające z salonu entuzjastyczne okrzyki.

Wypłakała się szynkom, jajkom i serkom śmierdziuszkom. Jogurtowo-jagodowe ciasto wylądowało w worku na bioodpady. Było delikatniejsze niż Marta – nie przeżyło czekania...

– Gównu wam upiekę! – Otarła łzy i ruszyła dziarsko do oddalonej od salonu sypialni. Zamknęła starannie drzwi, a potem zadzwoniła do Jolki.

– Dla mnie telewizor kupili! – prychała w słuchawkę. – Siedzą niczym sycylijscy mafiosi! Nie zaprosili mnie na żaden film przyrodniczy, od razu włączyli mecz. Zapytam, czy chcą piwo. Po godzinie chyba już się schłodziło. Jak myślisz?

– Wiesz, co myślę...

– Wiem. Ale przysięgam! Jutro znajdę lodówkę i jak pokażę Robertowi rachunek, to jego wyraz twarzy wszystko mi wynagrodzi. Będzie miała defałbe i defałbees, i diabli wiedzą, co jeszcze. Wybiore największą i najdroższą. Kupię, choćby się miała do kuchni nie zmieścić!

– Błąd, kochana, popełniasz błąd...

– Czemu?

– Znowu stawiasz się na przegranej pozycji, bo chcesz ich wyręczyć. Pomysł z lodówką za miliony nie jest zły, ale dlaczego ty masz jej szukać? Niech oni jutro latają po całym mieście: od Skolwina po Podjuchy i od Załomia po Bezzecze! – instruowała przyjaciółkę Jola. – Ty tylko wymyślaj, wydziwiał, kręć nosem i krytykuj. Jak im już nogi w dupy powłóżą, to powiedz, że znalazłaś wreszcie lodówkę swoich marzeń... w Ikei.

– Przecież w Szczecinie nie ma Ikei.

– A to twoja wina? Niech jadą do Berlina. Albo do Poznania.

– Daj spokój. – Marcie średnio przypadł do gustu ten plan. – Do usranej śmierci będę skazana na starą zdezelowaną lodówkę.

– Masz starego zdezelowanego męża, a lodówki się czepiasz? Nie poddawaj się! Dowal im tak, jak oni ci dowalają. Zajeżdżą cię na śmierć, a ty będziesz przeproszać, że umierasz.

– Nie znasz ich...

– Ho, ho! Znam ich na wylot. To nie żadna sycylijska Cosa Nostra, tylko dwóch Arabów! – Przyjaciółka jak zwykle waliła prostu z mostu. – Islam by przyjęli, ale na twoje szczęście za bardzo lubią wieprzowinę. Jestem pewna, że gdyby nie zakaz jedzenia schabowych i żeberek, od dawna latałabyś zakutana szmatami od czubka głowy po kostki!

– Może? – Marta ziewnęła potężnie. – Kończymy, co? Jutro przed szóstą wstaję. W pracy mam piętnastu dziecienniałych starców, w domu dwa wykształcone debile... Nie wiem, ile wytrzymam. Po robocie będę musiała za lodówką się rozejrzeć...

– Żal mi ciebie. – Głos Jolki rzeczywiście przepełniony był współczuciem. – Strasznie jesteś słaba. A oni to bezczelnie wykorzystują.

– Masz rację.

Nie chciało jej się tłumaczyć setny raz tego samego. Tym bardziej że Jolka setny raz by nie zrozumiała.

GDYBY TAK DO MÓZGU  
CZOPKI MOŻNA BYŁO WPUSZCZAĆ.

(Witkacy)

Nowa lodówka została zakupiona w centrum Szczecina, a nie w poznańskiej Ikei. Miała wszystko, o czym marzy królowa kuchni, więc Marta zapomniała o feralnym dniu, kiedy do ich domu trafił telewizor przypominający wyniesiony z kina ekran. Wołała nie wspominać przykrych chwil ani wylanych z tej okazji łez. Uznała temat za zamknięty, bo całe towarzystwo było zadowolone – dwóch chłopców bawiło się w kino, a ona rzucała zachwycone spojrzenia na chromowane drzwi, za którymi budowała swoje królestwo, pełne pojemniczków, szufladek i przegródek. Znalazła tam nawet cudeńko produkujące lód: kruszony bądź w kostkach – wedle uznania.

Jedyne, co ją martwiło, to fakt, iż Robert zachwycił się tym cudeńkiem i coraz chętniej z niego korzystał. I stanowczo zbagatelizował jej obiekcje.

– Nie moja wina, że wybrałaś lodówkę, która mnie rozpija. – Zaśmiał się, widząc oburzone spojrzenie żony. – Nie dramatyzuj, dobrze? Strzelę sobie przed snem dwa drinki, a ty od razu oskarżasz mnie o alkoholizm.

– Dwa drinki? – fuknęła. – Co rano nalewam wodę, bo zbiornik prawie pusty.

– Wielki mi zbiornik. Nawet szklanka wody się w nim nie mieści. – Mąż zarechotał jeszcze głośniej. – Siądź kiedyś ze mną wieczorem. Zobaczysz, ile piję.

– Nie mam takiej luksusowej pracy, żebym mogła wieczorami drinki popijać! – Lekceważący śmiech Roberta doprowadzał ją do szału. Synowi potrafiła wybaczyć nonszalancję, ale od męża wymagała przynajmniej minimum rozsądku, na który latami bezskutecznie czekała. – Gdybym nie musiała wstawać przed szóstą i gdybym miała służącą, to co innego. Niestety, tylko tobie przysługują podobne luksusy!

– Wstaję po tobie, ale wracam wiele godzin później. – Robert się obruszył. – Zauważyłaś, że siedzę w pracy dwa razy dłużej? A późne wyjazdy do klientów? Bo tylko wtedy mają czas.

– Nawet gdybyś trzy razy dłużej w pracy siedział, to połowy mojej roboty byś nie zaliczył. Tyram dwadzieścia cztery na dobę!

– I zła też jesteś dwadzieścia cztery na dobę. Nie pamiętam, kiedy byłaś zadowolona ze mnie albo z Dominika.

– Może jakieś wnioski z tego wyciągniecie? – Marta machnęła ręką na kolejny przejaw męskiej bezmyślności. – Nie mam do was siły... Padam z nóg. Idę do sypialni.

– Nie zapomnij przed snem zadzwonić do Joli.

– A ty nie zapomnij zrobić sobie drinka.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Gdyby nie miłość, dawno dokonałaby mężobójstwa i dzieciobójstwa. Kochała ich jednak, więc

wszelkie niesnaski wcześniej czy później puszczała w niepamięć. Nawet jeśli obrażała się i trwała w milczeniu wiele dni, wciąż robiła im rano kanapki, a po pracy wracała ze stukilowymi zakupami i szykowała obiad. Robert z Dominikiem próbowali od czasu do czasu wciągnąć ją w beztrioskie pogaduszki. Kiedy odpowiadała im głucha cisza, kontynuowali prymitywne dyskusje o wyższości analogu nad cyfrą albo komiksów niemych nad komiksami z tekstem.

Dziecięca paplanina dobrze robi złym nastrojom, więc Marta w końcu odzyskiwała humor i od nowa starała się wychowywać niesforną dwójkę. Atmosfera w domu przypominała wtedy powietrze po burzy – chłopcy wesoło bajdurzyli, a ona zastanawiała się, ile czasu potrwa sielanka i co tym razem na nią spadnie. Im dłużej trwał spokój, tym bardziej się bała. Nie żeby była Kasandrą, ale życie ją nauczyło, iż nie należy do kobiet wiodących wygodne życie.

– Tak? – Podniosła słuchawkę domofonu, zostawiwszy na słuchawce grudki rozwodnionej mąki.

– Zastałem pana Roberta Gawrońskiego?

– Jest w pracy.

– Przyniosłem list polecony. Może pani otworzyć i odebrać?

Mieszkali na ósmym piętrze, więc zanim doręczyciel stanął w progu, zdążyła wpaść w popłoch: „Co tym razem?”. Wymyślanie czarnych scenariuszy pochłonęło ją do tego stopnia, że zapomniała o umyciu rąk.

– Proszę podpisać.

– Kluski zagniatam... – Strącała z opuszków kawałki ciasta. – Przepraszam... – Ubrudziła podany długopis. – Jego imieniem podpisać? Czy swoim?

– Swoim. Dziękuję, do widzenia.

Zamknęła drzwi, wytarła dłonie w fartuch i rozdarła kopertę.

„W dniu piętnastego marca zostałem poszkodowany w wypadku samochodowym, którego sprawcą był Robert Gawroński. Nie uczestniczyłem w incydencie osobiście, albowiem przebywałem wówczas poza samochodem...”. – Marta potrząsnęła głową. Ledwie dwa zdania, a już nie rozumie: kto gdzie nie był i kto w czym uczestniczył? Przebiegała oczyma kolejne linijki, jeszcze dziwniejsze od poprzednich: – „Domagam się zapłaty zadośćuczynienia w wysokości pięciu tysięcy złotych, gdyż mam uszkodzony zderzak, światła i mechanizm podnoszenia maski. W wyniku zderzenia z wózkiem, oprócz uszkodzeń mechanicznych, doznałem krzywd związanych z moim życiem zawodowym. Tygodniowy brak samochodu skutkowało mniejszą wydajnością pracy oraz obniżeniem zarobków...”. – Nieco się uspokoiła, bo list wyglądał na idiotyczną reklamę. Nie wiedziała, co reklamował, ale była pewna, że nie skorzysta z oferty. Spodziewała się, że następny akapit poinformuje ją o sposobach uniknięcia niemądrych roszczeń i jaka firma zapewnia odpowiednią ochronę. Zamiast tego przeczytała, że „Pan Robert Gawroński, legitymujący się dowodem osobistym numer... i PESEL-em numer...”. – Znowu potrząsnęła głową. Nie знаła numeru dowodu osobistego męża, ale PESEL na pamięć. Właśnie ten. – „Pan Robert Gawroński będący kierowcą wózka towarowego, za którego prowadzenie ponosi odpowiedzialność, nie dopełnił ciążących na nim obowiązków i spowodował wypadek samochodowy...”.

Policzyła do dziesięciu, wróciła do kuchni, umyła ręce, siadła na taborecie i spokojnie raz jeszcze przeanalizowała całość.

Najogólniej rzecz biorąc, chodziło o to, że Robert kierował wózkiem towarowym, nad którym stracił kontrolę, i rozbił samochód marki BMW X6... W życiu nie czytała podobnych bzdur!

Idiotów zatrudniają teraz w branży reklamowej? Opowie Jolce, to nie uwierzy – postanowiła i schowała list do koperty, po czym ustawiła na stole między solniczką a pieprzniczką. – Który wózek towarowy rozwija prędkość miażdżącą bmw? Chyba ciągnięty przez lokomotywę? A kierowca w czasie

słuczki nie siedział w samochodzie? Zdążył uciec czy jak? – Gniotąc ziemniaki z mąką, chichotała na wspomnienie fragmentu informującego, że właściciel bmw ma uszkodzony mechanizm podnoszenia maski. – Ciekawe, gdzie on ten mechanizm i maskę ma? Bidulek, jeździ najnowszym modelem, a kilka dni bez samochodu zrujnowało mu życie finansowe? Głupszej reklamy nie widziałam – westchnęła, a ponieważ kula ciasta wyglądała idealnie, więc Marta zabrała się do formowania kluseczek. – Jedno im się udało: pismo wygląda na autentyczne, więc na pewno niejeden frajer dał się nabrać i dzwonił pod wskazany numer, ze strachu przed wymienionymi na końcu paragrafami... Człowiek musi dzisiaj uważać na każdym kroku. Jak nie przekręt na wnuczka, to numer z wózkiem towarowym. Mało im naciągania przez esemesy? – prychnęła, gdy przypomniała sobie codzienną dawkę wiadomości: „Dziś twój szczęśliwy dzień! Wyślij: TAK, a już jutro dostarczymy pod wskazany przez ciebie adres sto tysięcy złotych!”. – To skandal, żeby banda oszustów miała bezkarny dostęp do ludzi. Tyle się mówi o ochronie danych osobowych, a tu proszę: posługują się prawdziwym PESEL-em Roberta. Skąd go wzięli? – zastanawiała się, robiąc kciukiem wgłębienia w kuleczkach ciasta. – Pewnie z tego samego źródła co bank, w którym Jolka nigdy nie była, znał jej adres mejlowy oraz imię... Granda w biały dzień!

Po chwili zapomniała o wszystkim, bo skupiła się na buzującym w garze wrzątku. Chłopaki zaraz wrócą na obiad, a ona jeszcze nie zrobiła surówki.

Jedną ręką gotowała kluski i podgrzewała gulasz, a drugą mieszała kapustę kiszoną z poszatkowanymi jabłkami.

– Pyszne! Poproszę jeszcze. – Dominik wyciągnął w stronę matki pusty talerz, więc natychmiast przerwała jedzenie i rzuciła się do garnków, by nałożyć mu solidną repetę. Chłopak się rozwijał, chodził na siłownię, no i cholesterol miał bez zarzutu, więc jego wilczy apetyt cieszył serce.

Nie pomyślała, że Dominik ma dwie zdrowe ręce i dwie młode nogi, a na dodatek siedzi znacznie bliżej kuchenki niż ona, więc sam może się obsłużyć. Krótka pochwała „pyszne” oraz prośba o dokładkę sprawiły, że przepełniło ją bezgraniczne szczęście.

– Proszę bardzo. – Podsunęła mu pod nos stertę kluch polanych gęstym sosem. – Weź też trochę surówki.

– Nie. Surówki nie chcę. Sucha ta kapusta. I kwaśna.

– Spieszyłam się. Na łapu-capu doprawiałam... – Znowu odeszła od stołu, aby po chwili wrócić z oliwą i cukiernicą. – Polejcie, posłodźcie. Żeby wam smakowało.

– Może faktycznie trochę sucha... Gdzie się pchasz przed ojca?! – Robert trzepnął Dominika sięgającego po oliwę. – Ale wcale nie za kwaśna. Raczej za mało ostra. Podasz pieprz?

– Sól też? – Marta kolejny raz odłożyła sztucce i złapała za dwa pojemniki: czarny i biały. Kiedy podniosła je do góry, na środek obrusa upadła zapomniana koperta.

– Co to?

– Aaa, głupia reklama – zaśmiała się. – Nie wyrzuciłam, bo chcę wieczorem Joli przeczytać.

– Reklama? – Dominik przyglądał się kopercie. – Ręcznie adresowana? Ze znaczkiem? Z kodem kreskowym i „za potwierdzeniem odbioru”? Dziwne.

– Prawda? Nie dość, że ludzi naciągają, to jeszcze ganiają listonoszów po schodach... – Ręce jej mdały od trzymania w powietrzu solniczki i pieprzniczki. Ślamazarny Robert obchodził się z oliwą dostojnie, jakby udzielał surówce ostatniego namaszczenia.

– Co ci proponują? Cudowny środek na odchudzanie? Czy na zmarszczki? – Przechyloną butelką wykonywał nad kapustą znak krzyża, rysując go pojedynczymi kroplami. – Klara z Pacanowa pomyliła krem do twarzy z pastą do butów i rano nie wierzyła własnym oczom?

Dzięki fantazji reklamodawców wielokrotnie płakali ze śmiechu i lubili wspólnie czytać co ciekawsze

sensacje, w stylu: „Pani Jowita z Łęczycy przypadkowo zaplątała się w wacie szklanej. Kiedy się z niej wydobyła, zobaczyła, że w ciągu trzynastu minut odmłodziła o dziesięć lat. Jej zmarszczki zostały dosłownie wysrane! Dziś Jowita przerywa milczenie”.

– Ani zmarszczki, ani odchudzanie. – Marta oparła łokcie o stół, żeby ulżyć drętwiejącym mięśniom. – Do ciebie ta reklama.

– Do mnie? – Robert skończył sakrament. Chciał przekazać „oleje” synowi, ale Dominik nie reagował: siedział sztywno i czytał list z taką miną, jakby zobaczył młodziejącą w wacie szklanej Jowitę z Łęczycy.

– Co to? Widzę, że robi wrażenie.

– No! – Kiedy mąż przejął od niej sól i pieprz, mogła wreszcie zjeść obiad. – Jakaś firma ubezpieczeniowa robi ci konkurencję.

– Ooo? – Robert odsunął się od stołu i zastygł z ciasno splecionymi ramionami. – Jakie warunki proponują?

Marta dawno zauważyła, że psychomotoryka mu szwankuje: albo myślał i mówił, albo się poruszał – naraz nie potrafił. Niby nic złego, bo gubił zbornosć tylko przy wybitnie stresujących kwestiach. To bywało kłopotliwe na mieście. Starła się wtedy z nim nie rozmawiać, bo natychmiast się zatrzymywał. Pół biedy, jeśli na chodniku. Gorzej, gdy pokonywali akurat przejście dla pieszych. Stawał w połowie i gadał, gadał, gadał... Ona, rada nierada, sterczała razem z nim. Sygnalizator migał, więc ciągnęła go za sobą. On gubił wątek, a gdy już szczęśliwie docierali na chodnik, znowu przestawał ruszać nogami i odzyskiwał zdolność płynnego wyrażania myśli: marudził, że zielone tak krótko się świeci. Kiedy się wyzalił, szli dalej. W milczeniu, oczywiście.

Miał szczęście, że pracowała z chorymi na alzheimera i że w porównaniu z jej pacjentami wydawał się całkiem sprawny...

Na widok Roberta porzucającego obiad i odsuwającego się od stołu na wieść o konkurencyjnej firmie ubezpieczeniowej zrozumiała, że intensywnie myśli, co nie pozwalała mu posługiwać się ani żuchwą, ani widelcem, ani solniczką czy pieprzniczką.

Nie chciała, żeby jedzenie wystygło, więc postanowiła jak najszybciej go uspokoić.

– Idiotyzm w stylu Klary z Pacanowa... Napisali, że wózkiem towarowym roztrzaskałeś bmw x6. Superinteligentny samochód, bo sam jechał. Kierowcy nie było w środku. Dobrze, nie? – Wybuchnęła śmiechem. – I dołączyli groźby za uchylanie się od zadośćuczynienia!

Pakowała kluski z sosem do szeroko rozciągniętych ust i nie rozumiała, dlaczego ani syn, ani mąż nie dzielają jej wesołości.

– Otwierasz moją korespondencję? – Robert szurnął krzesłem, czym powiększył dystans między brzuchem a stołem.

– Wielka mi korespondencja. – Wzruszyła ramionami. – Co się gapicie? Od jutra możecie otwierać wszystkie reklamy, jakie do mnie przychodzą. Nie widzę problemu.

Przedłużająca się cisza sprawiła, że Marta przestała się uśmiechać i poczuła rosnący gniew: jedyne, co te lenie potrafią zrobić w domu, to aferę o nic.

– Mam tego dość! – Rzuciła sztućcami; straciła humor i apetyt. – Przeczytałam. I co?! Teraz jestem cenzorem albo pocztowym złodziejem?!

– Mamo... – Dominik odchrząknął. – To nie reklama. Naprawdę rozwaliliśmy z tatą beemwicę zwykłym wózkiem. I naprawdę była bez kierowcy. Do czasu, oczywiście... – Ryknął śmiechem na całą kuchnię. A Robert mu zawtórował.

– Zbierasz, co zasiałaś. Dawno mówiłam, że wyhodowałaś jełopy, więc teraz Ameryki nie odkrywasz.

Powiedz lepiej, jak oni to zrobili. – Jolka postanowiła zrozumieć coś, co nawet autorom testów gimnazjalnych się nie śniło. – Wózkiem towarowym w samochód bez kierowcy? Jak?

– Normalnie! – Marta użyła słowa, które wcześniej nijak nie pasowało do sytuacji z listu. – Pamiętasz? Pojechali po lodówkę...

– Dwie godziny opowiadałaś o niej jak o Kaplicy Sykstyńskiej, więc trudno zapamiętać.

– Nie, nie! Wtedy pojechali po lodówkę, ale przywieźli telewizor... Boże, nie mam siły. Zarzynam się dla nich, a oni takie numery robią... Dawno powinnam się rozwieść... Sama nie wiem, dlaczego wciąż służę i jestem wierna jak pies... – Przygnieciona najnowszymi wydarzeniami ledwo składała zdania. – A widziałaś, jacy podli? Gdybym przypadkowo nie odebrała tej „reklamy”... – prychnęła – ...to pewnie do śmierci bym się nie dowiedziała o słuczce. Ciekawe, jakie jeszcze mają tajemnice? Ile razy coś ukryli, a potem nabijali się za moimi plecami...

– Skup się! Co z wózkiem towarowym i bmw? Wróć do tematu!

– Już wracam. No więc kupili cholerny telewizor, ale postanowili, że nie skorzystają ze sklepowego transportu. Żeby pieniędzy nie trwonić, tacy oszczędni. Rozumiesz?

– Jasne! – kpiła Jolka. – Wybierasz telewizor, za który można kupić trzy lodówki, i własnym samochodem wiesz go do domu. „Oszczędzanie jest dziecinnie łatwe”, jak powiedziałby mój nowy przyjaciel bank.

– Szkoda, że im tego nie wytknęłam. Że telewizor w cenie trzech lodówek z oszczędności... Ty masz na wszystko odpowiedź, a mnie ich bezczelność zatyka; albo ryczę, albo krzyczę. Nie wiem, co mam bardziej zszargane: gardło czy nerwy?

– Szkoda i jednego, i drugiego. Oni odbierają bodźce tylko przez skórę. Żeby dotrzeć, musisz kopnąć prądem.

– I wtedy jełop zrozumie? – Była gotowa wrzucić mężowi do wanny pracujący odkurzacz, żeby tylko coś do niego dotarło.

– Nie. – Jolka uratowała Robertowi życie. – Nigdy nie zrozumie, ale poczuje ból i na przyszłość będzie unikać bólogennych sytuacji... Dosyć! – Cmoknęła niecierpliwie. Marta nigdy się nie postawi i wiecznie będzie utyskiwać na los. – Powiedz wreszcie, jakim cudem skasowali cudzy samochód.

– Pojechali do molocha na Mieszka I. Zostawili samochód na krótszej części parkingu. Tak trochę z boku, z lewej, jak wjeżdżasz od Mieszka. Z Piastów wpadasz i potem w Mieszka i stamtąd na parking, i zaraz w lewo.

– Lewo... z Piastów... od Mieszka... – Jolka potrzebowała czasu, by w nakreślonej perspektywie odtworzyć fragment Szczecina. – No! Już wiem! I co dalej?

– Podziękowali za transport, wrzucili telewizor na wózek i wyszli ze sklepu. Wyobrażasz sobie, jak im karton wystawał na boki?

– Aha! Niech zgadnę. Karton zasłonił beemwicę i przywalili w nią wózkiem?

– Głupia jesteś? Nie sprzedają telewizorów większych od samochodu. Na szczęście. Bo już by wisiał u nas na ścianie... Dosyć! Jeśli jeszcze raz przerwiesz, każę ci robić przysiady.

– Tylko nie to. Zapomniałam, jak wygląda wyprostowany Filip: albo się wije na krześle, rozwiązując zadania, albo kuca. Mam syna fistaszka... Przepraszam! Już nie przerywam. Kontynuuj.

– Podeszli do naszego auta, otworzyli, złożyli siedzenia, a potem na „trzy, cztery” dźwignęli telewizor z wózka. No i stało się.

– Co?!

– A pamiętasz, gdzie zaparkowali? Płasko tam jest czy z górki?

– Z górki... – Jolka na chwilę zawiesiła głos. – O matko! Pusty wózek ruszył z górki i przypierrr... – pociągnęła drżącą spółgłoskę i rżała jak klacz – ...w bmw?

– No! Dominik zobaczył przyspieszający w dzikim tempie wózek, zamknął oczy, skulił ramiona i tylko czekał, co usłyszy.

– Co usłyszał?

– Najpierw wrzask Roberta: „Nie puszczaj telewizora! Nie puszczaj telewizora!”. A zaraz potem głośny huk i wyjący alarm.

– Wyjący alarm beemwicy?

– Właśnie. I to nie byle jakiej. Nówka sztuka. Trzy miesiące temu z taśmy zesła.

– O rany...

– Za co mnie Bóg pokarał feralnym chłopem? Jełop powinien mieć na imię Piątek, a na nazwisko Trzynasty! Inny przywaliłby w wiekowe cinquecento albo jeszcze starszą skodę. A ten? Jak zwykle sobie nie żałował: trafił w furę, której jedna kłamka kosztuje tyle, co dwie piersi z silikonem. Cud, że wózek, jadąc w dół, nie zahaczył o jego spodnie i nie pociągnął go za sobą. Nie zdziwiłabym się, gdyby rozwalił za jednym zamachem i własny łeb, i cudzy samochód. O telewizorze nie wspomnę.

– Jaką karę wymyśliłaś?

– Ma zrobić tyle przysiadów, ile złotych będzie kosztowała naprawa beemwicy? To pójdzie w tysiące, więc bardziej humanitarnie byłoby go od razu zabić.

– Fakt... – Rzenie ucichło. – Wykorzystaj kajanie się i wywalcz coś dla siebie.

– Czyje kajanie? Roberta? – Marta westchnęła z rezygnacją. – W ogóle się nie kaja. Gdera, że bezprawie, że ten od bmw zawyża koszty, a architekci naruszyli normy, które poza terenami górzystymi nakazują niwelację terenu pod parkingi.

– Naprawdę? Parkingi muszą być płaskie?

– Skąd mam wiedzieć? Jak go znam, grama prawdy w tym nie ma. Nauczył się w pracy wciskać ludziom ciemnotę, to i mnie wciska.

– Czyli tradycyjnie wszyscy dookoła winni, tylko nie on? Dziecko... – stękała Jolka. – Filip ma identycznie.

– A myślisz, że Dominik dojrzałszy? – Przypomniała sobie zapał, z jakim syn bronił Roberta. – Mało mi oczu nie wydrapał: „Czego się drzesz? Skąd mogliśmy wiedzieć, że wózek śmigie w dół?”.

– Jasne. Tylko absolwenci Instytutu Technologii w Massachusetts wiedzą, że koła same jadą z górki. Resztę świata podobne cuda zaskakują! – ironizowała Jolka. – To się nie dziw, że twoje muły patrzyły na uciekający wózek jak na chodzącego po wodzie Jezusa.

– Nie, nie. Oni wiedzą, że z górki koła same ruszają. – Poczwała się w obowiązku sprostować. – Dominikowi chodziło o to, że sklepowe wózki się zacinają i stają w poprzek, zamiast jechać prosto. A ten? Jak na złość! – Chrząknęła niepewnie. – Trochę racji ma... Jeszcze nigdy nie trafiłam na taki, który by z górki zjechał. Wciąż mam stopy poobijane, bo chociaż pcham w sklepie, po równej podłodze, to wózek stoi. I wpadam na cholerne żelastwo... – Znowu chrząknęła. – Może gdybym z nimi była, też bym nie przewidziała, że odjedzie?

– Błagam! Nie mów, że się do tego przyznałaś i pogłaskałaś ich po głowie.

– Żartujesz? Zrobiłam dziką awanturę. Pół ulicy mnie słyszało. Wyzwałam ich od najgorszych i co najmniej tydzień nie będę się do nich odzywać. Fakty są, jakie są: przywieźli telewizor zamiast lodówki, przez własną głupotę rozwalili nowe bmw, a ja muszę teraz wyrzucać kasę w błoto. Powinnam założyć polisę na ich głupotę, ale żadna firma ubezpieczeniowa na to nie pójdzie. Zbankrutowałyby.

– Jestem z ciebie dumna – pochwaliła ją przyjaciółka. – Bałam się, że ciasto im upieczesz w ramach nagrody pocieszenia za przeżyty stres.

– Coś ty? Od jutra zalewajka i chleb z cebulą. Nie stać nas przecież i na nowy telewizor, i na remontowanie cudzych samochodów, i na normalne jedzenie. Jak dotąd w totka nie wygrałam. – Marta



zaśmiała się, ale niezbyt wesoło. – Jedno mnie tylko cieszy.

– No?

– Mam nadzieję, że w najbliższych dniach będzie spokój i zdążę odpocząć, zanim znowu coś wywiną.

DUSZA CZŁOWIEKA Z BÓLU SIĘ WŚCIEKA  
I JAK TU NIE KŁAĆC...?!

(Konstanty Ildefons Gałczyński)

W pozycji orangutana przeciągnęła zakupy przez próg domu. Rozpakowała je, ułożyła w szafkach i na półkach cichutkiej lodówki. Leciała z nóg, ale była w doskonałym humorze, bowiem reszta dnia zapowiadała się cudownie: Robert z Dominikiem uprzedzili, że wrócą po dwudziestej, więc legła na kanapie, wzięła gazetę i napawała się ciszą.

W brzuchu jej burczało, jednak nicnierobienie było atrakcyjniejsze – wytrzyma; poczeka na chłopaków i z nimi zje kolację. Krótka głodówka nikomu nie zaszkodziła, a krótka prasówka tym bardziej.

„Katy Perry podczas trasy koncertowej po Japonii stylizuje się na tamtejszą nastolatkę. Spaceruje w niebieskiej plisowanej spódnicy i białej koszuli. Do tego dwa warkocze, czerwona torebka i maska higieniczna na ustach – używa jej w celach zdrowotnych czy dekoracyjnych?”

Marta zamrużyła oczami. Chociaż nie miała pojęcia, o kim czyta, poczuła sympatię do tej Perry, bo w pracy, całkiem jak ona, też czasami zakładała maskę higieniczną. A do tego gumowe rękawiczki. Zdecydowanie jednak nie w celach dekoracyjnych.

Kto wie? Może Katy Perry przewijała chorych Japończyków?

Chciała przerzucić stronę, ale śliniony właśnie palec został na ustach, a czasopismo przykryło ramiona. Zasnęła niczym schowany za gazetą kloszard spod mostu.

– Łup! Łup! Łup!

Zwinęła się w kłębek, prawe ucho przycisnęła do obicia kanapy, a lewe zatkała zdjęciem Katy Perry.

– Łup! Łup! Łup! – Odgłosy dobiegały z pokoju Dominika.

Marta nie miała pojęcia, ile czasu spała. Nieźle musiało ją zmorzyć, jeśli nie słyszała, kiedy syn wrócił do domu. Postanowiła, że poleży jeszcze trochę.

– Łup! Łup! Łup!

Starła się nie zwracać uwagi na ciągi potrójnych łupanek. Za każdym razem, gdy zalegała cisza, miała nadzieję, że hałas się więcej nie powtórzy, ale – jak w przypadku większości swoich nadziei – nie doczekała się spełnienia. Zaczęła liczyć serie: dwanaście... trzynaście... czternaście...

– Łup! Łup! Łup!

– Dosyc! – Po dwudziestej serii poderwała się gwałtownie, aż jej w oczach pociemniało. Przytrzymała się ściany, a gdy zawroty głowy ustąpiły, ruszyła do pokoju Dominika.

– Ruski miesiąc moje „łup” popamiętasz! – mrucała pod nosem i omal klamki nie urwała, otwierając drzwi. Zabije gówniarza, przedtem głośno i szczegółowo wyjaśni za co.

– Dzień dobry. – Dziewczęcy uśmiech był wyjątkowo promienny. – Wyspała się pani?

– Dzień dobry. – Z trudem hamowała zalewającą ją krew i żółć. – Gdzie Dominik?

– Na uczelni. Nie mówił, że wróci dopiero wieczorem?

– Czemu nie jesteś razem z nim? – Marta pamiętała: owszem, Dominik mówił, że wróci wieczorem, ale słowem nie wspomniał o wizycie Mai. – Skąd miałaś klucze?

– Od niego. Powiedział, żebym tu przyszła i czekała. Bał się, że wyjdzie pani na zakupy. Nie chciał, żebym stała pod drzwiami jak głupia, więc mi dał. Kochany, prawda? – Maja pokazała zęby aż po trzonowe.

– A ty? Czemu nie poszłaś na zajęcia?

– Dzisiaj po południu są same wykłady. Nieobowiązkowe, to po co się klonować? Dominik robi notatki i wszystko mi powie. A za tydzień moja kolej: ja idę, on ma wolne. Fajnie się uzupełniamy, nie? – Dziewczyna ćwierkała niczym wróbelek z piórkami puszczonej przez prostownicę. Nie była jednak głupiutką ptaszynką. Na widok grymasu złości na twarzy „teściowej” dorzuciła szybko: – Poza tym nie wysiedziałyby na wykładach. Głowa mnie koszmarnie boli. Dominik mówił, że na pewno da mi pani coś na migrenę, ale nie chciałam budzić... Ma pani coś?

– Tak. Zaraz przyniosę. – Marta poszła do kuchni i grzebiąc w apteczce, próbowała zebrać myśli. Znowu została oszukana...

Na początku roku akademickiego zapytała syna, dlaczego co drugi wtorek siedzi na uczelni do wieczora, a w pozostałe zjawia się w domu przed obiadem.

– Zajęcia nam zablokowali. Wykładowcy są z Poznania i z Wrocławia. Nie będą co tydzień naginać do Szczecina – wyburczał z intonacją „o co ci znowu chodzi?!”.  
Czemu nie powiedział prawdy?

Poza tym nie podejrzewałaby go o uczucia wyższe: troskę, kulturę, zrozumienie drugiej osoby. A tymczasem... dał Mai klucze, żeby nie czekała pod drzwiami jak głupia. Szkoda, że nigdy nie przejął się matką, czekającą jak głupia, aż on raczy przyjść, pomóc, zrobić, o co prosi.

Czym to wyjaśnić?

Niczym – odpowiedziała sama sobie, patrząc, jak musuje przeciwbólowa tabletką. – Przecież od tego jestem. Mam czekać i podawać obiadki albo leki.

– Łup! Łup! Łup! – Rozległo się kolejny raz w pokoju Dominika.

W co ta dziewczucha tak wali? I po co? Swoją drogą dziwne, cierpi na migrenę, a hałasuje, że zdrowemu człowiekowi łeb pęka...

Marta była mniej bystra od Jolki, więc dłużej jej zajęło skojarzenie faktów, ale w końcu zaskoczyła.

A to mała oszustka! Cwańsza niż Dominik. Nieźle się dobrali... – Wylała zawartość szklanki do zlewu. – Tak cierpi na migrenę, jak ja na ząbkowanie! – Żeby nie faszerywać smarkuli prochami i żeby obydwie zachowały twarz, Marta ponownie sięgnęła do apteczki i wyjęła wapno na wzmocnienie kości. – Rąk sobie przynajmniej nie połamię waleniem... – doszła do wniosku i rozpuściła w wodzie wielką białą pigułę.

– Szybko poczujesz się lepiej. Bardzo silny środek. Zawsze pomaga. – Podała „synowej” spieniony płyn. – Może położy się, dopóki nie zadziała?

– Nie mam czasu. – Dziewczyna siedziała na podłodze, tuż obok biurka. Pustą szklankę wsunęła pod blat i natychmiast o niej zapomniała. Marta uznała, że ta para naprawdę doskonale się uzupełnia. Nie tylko w kwestii wtorkowych wykładów... Jeśli kiedyś założą rodzinę, ich dzieci trafią do ochronki, a oni umrą na świerzb albo salmonellę. – Muszę skończyć niespodziankę, zanim Dominik przyjdzie.

– Jaką niespodziankę?

– Rocznicę dzisiaj mamy. Nie lubię banalnych prezentów. Wymyśliłam takie coś. Podoba się pani? – Maja niepewnie wyciągnęła zza pleców deseczkę.

Deseczka liczyła sobie jakieś piętnaście na trzydzieści centymetrów. Przykryta była papierowym szablonem z napisem LOVE, wbite gwoździki zapełniały całą literę L i połowę litery O.

– Niebanalne... – Marta patrzyła z przerażeniem: ile jeszcze „Łup!” musi znieść, nim cały napis zostanie wybity? – Rób dalej prezent. Gdyby migrena nie przechodziła, zawołaj mnie.

– Na pewno przejdzie. Niech się pani mną nie przejmuję i sobie odpocznie. – Maja pochyliła się nad kawałkiem drewna. Przyłożyła do niego gwóźdź, celowała w powietrzu kilka razy na próbę, a potem walnęła młotkiem z całej siły: „Łup! Łup! Łup!”.

Marta wróciła do kuchni. Z rozgrzebanej apteczki wyciągnęła melisę. Przeczytała dopuszczalne dawkowanie – żart czy bezdzielny zielarz pisał?

– Łup! Łup! Łup!

Zatopiła we wrzątku cztery saszetki.

– Wyobrażasz sobie? To ludzkie pojęcie przechodzi! – zakończyła dramatyczną relację, która nie zrobiła na Robercie wrażenia; gapił się tępo przed siebie, nie wspierając żony choćby małym: „och, przykro, że cię obudziła i nie dała odpocząć”. – Mniejsza o mnie. W trumnie się wyśpię. Ale ty wiesz, czego się przy okazji dowiedziałam o naszym synu? – Słowo „syn” wywołało błysk zainteresowania. – Wiesz, że co drugi wtorek ucieka z wykładów?

– Nie ucieka, nie ucieka... – Błysk zainteresowania zgasł i Robert przemawiał swoją zwykłą beznamiętną intonacją, ledwo otwierając usta. – Wykłady są nieobowiązkowe, to raz, a dwa, Maja wtedy za niego słuca i notuje.

– Co takie fiu-bździu potrafi usłyszeć albo zanoto... – Mózg Marty, zmęczony obowiązkami i nadgryziony sklerozą, dopiero teraz przerobił dane. – Skąd wiesz?!

– Dominik mi powiedział.

– Z tego, co pamiętam, Dominik mówił o zablokowanych zajęciach, bo nauczyciele są spoza Szczecina, nie wspomniał natomiast, że chodzi na wykłady na zmianę z Mają. Okłamał nas! To znaczy... mnie okłamał... to znaczy... wy mnie okłamaliście...

– Za duże słowo: okłamaliście. Błagam, nie rozpłacz się. Nie ma o co. – Mąż patrzył na nią z mieszaniną litości i otuchy.

– Ani mi się śni płakać!

Miała raczej ochotę pokopać go prądem, żeby wreszcie odczytał jakiś bodziec. Ale Jolka miała rację: tylko ból poczuje, a reszty i tak nie zrozumie, więc porzuciła kuszącą wizję wsadzenia mu palców do gniazdk. Narobiłaby tym kłopotu wyłącznie sobie – co najmniej do końca roku musiałyby słuchać wołania paralytyka symulanta: „Marta, przynieś mi herbatę! Marta, nie mam co czytać! Marta, głodny jestem!”.

Nie dość, że chłop, co tylko przez skórę bodźce odbiera, to na dodatek z upośledzonym rozwojem – balansując między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, mentalnie był w wieku okołostudenckim, więc aż dziw, że nie wpisał się w grafik wykładów Dominika i Mai – mogliby wtedy chodzić na uczelnię nie co drugi, ale co trzeci wtorek.

Co za egzemplarz?

Po krótkiej refleksji ogarnęło ją współczucie dla tej niedojdy – starego chłopca, który bagatelizuje wszystko niczym nastolatek. Może dlatego brudzi i nigdy po sobie nie sprząta? Może dlatego traktuje mnie jak matkę albo raczej jak szkolną wychowawczynię, przed którą ma się klasowe tajemnice?

Dominik i Robert są jak niesforne dzieci... Dlatego podżerają w mieście hot dogi i zatajają wagary. Na dodatek wyjątkowo głupie dzieci – nie odróżniają telewizora od lodówki i nie przewidują, że pojazd na kółkach stoczy się z górki. Może powinnam ich zapisać na zajęcia wyrównawcze?

– Załatwiłeś sprawę z kierowcą od beemwicy? – zagadnęła pogodnie.

– Na jutro jestem umówiony.

– A jak w pracy? – Mało brakowało, by się przejęczyła i zapytała: „Jak w szkole? Nie zgubiłeś worka z kapciami?”. – Bo wyglądasz, jakbyś chciał coś powiedzieć, ale się boisz. – Widząc drętwiejącego męża, zakrzyknęła w duchu: „Mam cię!”. Była pewna, że trafiła w problem, który go przytłaczał. Odczekała cierpliwie kilka minut, a że wciąż milczał, postanowiła go ośmielić beztróskim śmiechem. – No! Co cię tak zatkało? Znowu skasowałeś czyjeś auto?

– Niczego nie skasowałem. – Wykrzywił niemrawo usta. – Całe popołudnie latałem, żeby się dobrze przygotować na jutrzejsze spotkanie z burakiem od beemwicy.

– I...?

– Nie uwierzysz, co się stało, kiedy byłem u doradcy.

– No...? – Czekala na nieszczęście. Co tym razem? Urwał klamkę przy drzwiach do biura? Wylał na kogoś gorącą kawę? Bawił się papierami i niszczarką, kiedy zostawili go samego? Wszystkiego mogła się spodziewać.

– Bartka spotkałem.

– Jakiego Bartka? – Odetchnęła z ulgą, chociaż lekki niepokój pozostał: jeśli jej mąż na kilka minut zdrętwiał, coś musiało być na rzeczy. Miała nadzieję, że kimkolwiek ów Bartek jest, Robert nic mu nie wyrwał, nie zniszczył, nie poparzył kawą...

– Naszego Bartka! Bąka nie pamiętasz?

Tym razem to ona zamarła. Miłe rozczarowania zdarzały się tak rzadko, że z trudem przyjmowała je do wiadomości.

– Bąka? Naprawdę?! – Miała ochotę ucałować męża, ale siedział na kanapie, a ona w fotelu, więc musiał wystarczyć uśmiech. – Jejku, ile lat się z nimi nie widzieliśmy? Dziesięć?

Nie dość, że jełop nie wywinął żadnego numeru, zrobił wreszcie coś pożytecznego: odnalazł dawno niewidzianych, bardzo bliskich przyjaciół.

Robert poznał Bartka na studiach. Przez niemal pięć lat wiedli bujne młodzińcze życie i w zasadzie wszystko robili razem. Tylko seksu wspólnie nie uprawiali, a jednak również na tej płaszczyźnie ich biografie bliźniaczo się zbiegły.

– Pijemy! – Pewnego dnia Robert wpadł do pokoju, jaki zajmowali w akademiku Politechniki Szczecińskiej. – Pijemy, aż oślepnjemy! – W ręku dzierżył dzwoniącą butelkami sznurkową siatkę. – A po nas choćby potop!

– Czemu nie? – Zakup torby piwa był wówczas równie trudny, co nabycie rakiet balistycznych, więc Bartek patrzył na kumpla z podziwem. Zamaszystym ruchem zrzucił na podłogę książki i zeszyty. – *Voilà!* Stół nakryty! – Wskazał czysty blat. – A z jakiej okazji oślepnjemy?

– Marta zaciążyła.

– Zaciążyła?! Ja pier... – Brzęk szkła zagłuszył przekleństwo. – Co teraz zrobisz?

W tamtych czasach ludzkość znała tylko jedno wyjście.

– Będiesz moim świadkiem?

– Oczywiście! – stęknął Bartek, jakby zgadzał się na bycie sekundantem w pojedynku Roberta z zawodowym snajperem. – Urządziłeś się... – Wziął dwie butelki, zahaczył kapslem o kapsel, otworzył i pił, jakby zamiast gardła miał rurę kanalizacyjną. – ...na perłowo. I już, chłopie, po życiu.

– No. – Robert w podobny sposób opróżnił butelkę. Do tego na stojąco, bo z wrażenia zapomniał usiąść. – Ale damy radę. Zaraz kończę studia. Ona szkołę... Jakoś to będzie.

– Jasne! Zajebicie będzie: pieluchy i darcie mordy na dwa głosy. – Bartek pocieszał przyjaciela iście po męsku. – Jak mogłeś wtopić? Pijany byłeś?

– Błąd w sztuce zdarza się nawet najlepszym.

– Ja moją sztukę obsługuję bezbłędnie. Głową, a nie tylko... – Uczony wywód przerwało głośne beknięcie. – Jeśli kiedykolwiek zapłodnię Beatkę, to wyłącznie z premedytacją. A ty? – Bartek zanucił przebój Laury Branigan, goszczący akurat w czołówce list przebojów. – *You take my self, you take my self control...*

Nie minął miesiąc, a do pokoju, jaki razem zajmowali w akademiku Politechniki Szczecińskiej, wpadł Bartek, podnosząc do góry brzęczącą butelkami sznurkową siatkę.

– Pijemy, aż oślepiemy. Beata zaciążyła. Będziesz moim świadkiem?

Stworzyli zgraną paczkę przyjaciół – oni zjednoczyli się we wspólnym dźwiganiu odpowiedzialności, a one łatwiej obywaty się bez narzeczonych niż bez siebie.

– Okropne, że będę się nazywać Bąk – biadolila Beata. – I dziecko też. Ledwo poczęte, a już napiętnowane... – Pogłaskała płaski brzuch. – Nienawidzę tego nazwiska!

– Możesz zostać przy swoim. – Martę dręczył inny problem: zaczynała się zaokrąglać, więc kolejne fasony sukien ślubnych odpadały na wstępie. – Albo weź dwuczłonowe: swoje i jego... – Kiedy Beata wybuchnęła głośnym śmiechem, uświadomiła sobie, że chociaż są przyjaciółkami, nie wiedzą o sobie podstawowych rzeczy. – Jak masz na nazwisko?

– Że... Że... – Beata bezskutecznie wyduszała z siebie jedną sylabę.

– Że co?

– Żelazny. Beata Żelazny – przedstawiła się, ocierając łzy.

– Jeśli zachowasz dwuczłonowe nazwisko, będziesz się nazywać Żelazny-Bąk? Faktycznie, kiepsko.

– No! Nigdy nic przez telefon nie załatwię. Każdy rzuci słuchawką, jak powiem: „Dzień dobry. Mówi Żelazny-Bąk”... Nie śmieć się! Tobie dobrze, bo będziesz się nazywać Gawrońska.

– Jeśli poprawi ci to humor, nazywaj mnie Gawronem.

Ustały, że Marta i Robert od tej pory będą Gawronami, a Beata i Bartek – Bąkami. Potem skupiły się nad wyborem imion dla dzieci.

– Robert, tradycyjnie, nie zamierza wysilać się na zapas. Powiedział, że najpierw ustalimy płeć na USG. On jest we wszystkim taki niezorganizowany i leniwy... Strach pomyśleć, co mnie czeka po ślubie.

– Nie boisz się USG? – Metoda badania ciężarnych dopiero debiutowała na medycznym rynku i miała wśród kobiet swoje zwolenniczki i zagorzałe przeciwniczki. Beata należała do drugiej grupy. – Chcesz się naświetlać promieniami?

– Czytałam, że są nieszkodliwe.

– Mama Bartka mówiła, że jej sąsiadka zrobiła USG, a dwa dni później dostała krwotoku i poroniła. Ja nie pójdę. Zresztą po co? Mój też się nie wysila. Postanowił, że urodzę Aleksandra albo Aleksandrę. Więc po co mam iść? – Przeciwniczki ultrasonografu uważały, że jest on urządzeniem służącym wyłącznie do ustalania płci. – Lepiej uważać i wytrzymać kilka miesięcy. Nawet fryzjera odwołałam. Żadnej trwałej ani farby, bo teściowa ostrzegła, że chemikalia szybko dotrą przez skórę do płodu i zdeformować mogą...

Na szczęście matka Roberta mieszkała dwieście kilometrów od Szczecina. Dzwoniła raz w miesiącu, korzystając z telefonu i uprzejmości sołtysa, co uchroniło Martę przed podobnymi rewelacjami: wolna od zabobonów zamieniła się w blond pudlicę i wystawiła brzuch pod promienie – USG wykazało syna.

Robert zdecydował, że pierworodny dostanie ponadczasowe, dumne imię: Piotr. Zgodziła się, ale gdy rosnący do niebotycznych rozmiarów brzuch i zatrucie ciążowe zrobiły z niej bezkształtną bryłę, zmieniła zdanie.

– Albo będzie Dominik, albo się rozwodzimy!

– Dominik? Też ładnie... – Rozwód kusił, ale świeżo upieczony mąż miał dosyć atrakcji na jeden rok.

Może przez ciążę taka nieznośna? Może po porodzie znormalnieje? – A dlaczego akurat Dominik?

– Bo jak słonica wyglądam! – Z rozpaczą wskazała na spuchnięte od góry do dołu nogi i to, co nad nimi wyrosło. – Damy Dominik, żebyś do śmierci pamiętała, że słonia w sobie nosiłam!

– Aaa... – Dotarło do niego, że mówi o bajce *Proszę słonia*. – Niech będzie Dominik... Czemu krzyczysz? Nie powinnaś się denerwować.

– Jak mam się nie denerwować?! Ciekawe, czybyś się nie denerwował, gdyby ci uwiązali do brzucha wór ziemniaków, a przy kostkach opony?! – Chciała spektakularnie wyjść z pokoju i trzasnąć drzwiami, ale zamiast tego kiwała się na boki, nieporadnie suwając czymś, co bardziej przypominało słupy niż nogi. O trzaskaniu drzwiami też mogła sobie tylko pomarzyć: obie ręce zajęte były dźwiganiem wielkiego cisnącego na pęcherz balona.

– Kochanie, uspokój się. Złość udzieli się naszemu Dominikowi. – I tak zawartość balona przestała być Piotrem.

– Idziesz spać?

– Zaraz. Film dokończę.

– Dobranoc. – Miała nadzieję, że Robert rzuci wszystko i pobiegnie za nią do łóżka. Wymasuje opuchnięte stopy, zapewni, że wcale nie wygląda jak słonica, i zacznie od nowa namawiać na Piotra. Ale, jak zwykle, wybrał najprostsze rozwiązanie: zaakceptował Dominika i obejrzał film, a ona godzinę nie mogła sobie znaleźć miejsca, żeby ułożyć brzuch kopany od środka rączkami i nóżkami.

W końcu nadeszło rozwiązanie. Mordowała się ponad dwie doby, przekonana, że rodzi prawdziwego słonia, co upewniło ją w wyborze imienia.

Beata, dla odmiany, przez całą ciążę czuła się świetnie. Nawet w dziewiątym miesiącu poruszała się lekko i zgrabnie, jakby pod sukienką schowała ważącą dwa gramy piłkę plażową, a drobniutką Olę urodziła w niespełna trzy godziny.

Może dlatego, że nie zrobiła USG i trwałej? – zastanawiała się Marta, obserwując z zazdrością jej nienaganną figurę. Beata wróciła do formy w ciągu kilku dni. A u Marty wprawdzie nogi odzyskały dawny kształt i znowu widać było, że składają się ze stóp, kostek, łydek, kolan oraz ud, ale wyżej wciąż przypominała słonicę.

Na szczęście nie miała czasu zastanawiać się nad własnym wyglądem, bo całą dobę opiekowała się synkiem i zdzienniałym nagle mężem – przez pierwsze dwa lata Robert różnił się od Dominika tylko tym, że nie przewracał się przy chodzeniu i nie sikał w pieluchę. Potem już niczym.

Małżeństwo Bąków było inne. Bartek zachował zdrowy rozsądek – traktował Olę jak córkę, a nie jak koleżankę z piaskownicy: dbał, żeby miała co jeść i czym się bawić, natomiast proces wychowawczo-socjalizacyjny w całości scedował na żonę.

Marta zazdrościła więc koleżance nie tylko figury, ale i normalnej rodziny. Podczas towarzyskich spotkań, a szczególnie w czasie wspólnych wakacyjnych wyjazdów, dotkliwie odczuwała powody owej zazdrości.

– Ola, koniec zabawy. Idziemy się myć i do łóżeczka. – Beata wypowiadała dwa zdania, a dziewczynka dawała tatusiowi całusa na dobranoc, oddalała się z mamą i tyle ją widzieli.

W rodzinie Gawrońskich podobna sytuacja była nie do pomyślenia.

– Domiś, koniec zabawy. Też idziemy się myć. – Marzyła o tym, żeby synek wziął przykład z ukochanej Oli, razem z którą gubił mleczone zęby. – Daj tatusiowi buziaka i chodź. – Jej wyciągnięte ręce jak zwykle pozostały puste.

– Nie chcę! – Dominik, owszem, dał Robertowi buziaka, ale broń Boże nie na dobranoc. – Tatusiu, zagramy w piłkę?

– Jasne! Przynieś gałę.

– Jutro zagracie... – Wciąż stała z wyciągniętymi bezradnie rękami. – Zobacz, Domisiu, Ola już się kąpie. Wskoczysz pod prysznic zaraz po niej. Potem poczytamy bajki...

– Nie mam czasu. Idę z tatusiem grać w piłkę.

Marcie opadały ręce. Finał był zawsze identyczny: Domiś bawił się, aż nie padł ze zmęczenia. Zasypiał w ramionach Roberta, który zanosił synka do łóżka w brudnych ciuchach, z czarnymi nogami, z kuleczkami piasku w kącikach ust...

Wiele razy robiła awantury, stawiając mężowi za przykład najserdeczniejszego przyjaciela.

– Jak Beata coś powie, to święte! Bartek zawsze trzyma jej stronę! Dzięki temu Ola wie, co wolno, a czego nie. A wy z Dominikiem w ogóle się ze mną nie liczycie!

– Przecież oni mają córkę, a my syna.

– Co z tego? Czym się różni matka syna od matki córki? Tym, że matkę syna można mieć w dupie, a matkę córki się szanuje?! – Próbowwała dotrzeć do sedna męskiej logiki.

– Jezu, nic nie rozumiem... Matka syna... matka córki... Pogubiłem się... – Robert bezskutecznie dociekał powodów dzikiej chryi. – Możesz jaśniej? Z matką... i z dziećmi.

– Czym się różnię od Beaty?

– No... – Obrzucił ją wystraszonym spojrzeniem. – Masz krótsze włosy?

– Jako matka czym się od niej różnię?!

– Aaa... – Odetchnęła z ulgą. – Jako matka niczym.

– Więc dlaczego Bartek potrafi szanować zdanie Beaty, a ty mojego nie?!

– Przecież szanuję.

– Kiedy? – Walczyła z przemożną chęcią zdzielenia go w łeb. – Domiś bawi się do północy i chodzi spać utyłany jak świnia!

– Aaaa... – Nie widział związku między szacunkiem i brudnym dzieckiem. – Nie histeryzuj. Wakacje są. Niech się bawi, ile wlezie, niech się utyłą jak świnia. Nie umrze od tego.

– Przecież ja nie o tym... – Marta się nie poddawała. – Zobacz, jak oni fajnie spędzają urlop. Do wieczora są rodzicami, a potem Ola idzie spać i mają czas dla siebie.

– Guzik mnie oni obchodzą. Nie chcę tylko bywać ojcem. Nie chcę! – zapewniał z mocą. – Jestem ojcem całodobowym, a nie do wieczora. Jesteśmy rodziną, a nie opiekunami cudzego dziecka.

– Rodzina, rodzina... Szkoda tylko, że nie spędzasz z rodziną więcej czasu.

– O co ci chodzi? – Jego twarz wyrażała tęsknotę za rozumem. – Że za mało czasu spędzam z Dominikiem? Czy za dużo?

– Cholera jasna! A ja? Zaliczam się do rodziny czy nie? Chcesz się bawić tylko z nim?

Robert znieruchomiał w pozie Pomysłowego Dobromira: skulił ramiona, podparł brodę i zmarszczył czoło. Brakowało mu tylko skaczącej po głowie malutkiej żółtej kuleczki, żeby wyglądał jak bohater ulubionej bajki syna.

– Aha! – ucieszył się. – Złóscisz się, że idziemy bez ciebie na boisko, tak? Przecież możesz się do nas przyłączyć. Kto ci broni? – Wzruszył ramionami. – I o co ta awantura? Skąd mogłem wiedzieć, że lubisz grać w nogę? Nigdy nie wspominałaś.

– Dalsza rozmowa nie ma sensu!

Na jego gust ich rozmowa od początku nie miała sensu: matka syna... matka córki... za dużo czasu... za mało czasu... z rodziną... bez rodziny...

Całym sercem pragnął happy endu, więc zaproponował wspólny mecz. Choć słabo widział ten sparing, zdobył się na poświęcenie, bo myślał, że jej na tym zależy, ale ona, zamiast się ucieszyć, znowu się wściekła. Czemu?!

Odetchnął z ulgą, kiedy poszła do domku kempingowego, by zasnąć obok zapiaszczonego od pięt po



czuprynkę syna.

– Jutro pogoda gwarantowana, nie? – zagadnął wesoło Bartka i Beatę. – Widzicie to? – Zadarł głowę i spoglądając w rozgwieżdżone niebo, pojechał Gałczyńskim: – „Nocą słowiki, gwiazdy jak byki. Księżyc, że tylko mu w mordę dać. Dusza człowieka z bólu się wścieka i jak tu nie kląć, kurwa go mać!”.

– Gdzie Marta?

– Śpi. To jak? Po piwku?

NIECODZIENNI MĘŻCZYŹNI RODZĄ SIĘ NOCĄ...  
W SNACH.

(Magdalena Samozwaniec)

Dziwnie się ludzie dobierają...

Marta żałowała, że jej mąż nie przypomina Bartka, ale nie miała pojęcia, jak bardzo przyjaciółka zazdrościła jej Roberta. Beata od początku nie lubiła nowego nazwiska, bo czuła, że nie wróży ono niczego dobrego, i szybko przekonała się, że jej obawy były słuszne – pan Bąk zajmował się wyłącznie zbijaniem bąków. Oszalałaby ze szczęścia, gdyby choć przez jeden dzień zajął się ich dzieckiem tak, jak Robert zajmował się Dominikiem przez wszystkie dni w roku... Niestety, Bartek uważał, że prowadzenie domu i wychowywanie dzieci to wyłącznie domena kobiet – dzielił się swoją opinią przynajmniej trzy razy na dobę. Czasy były takie, że wielkiej sensacji tymi poglądami nie wzbudzał – kobiety bez jego mądrości same wiedziały, gdzie ich miejsce. Nie urodziły się przecież w Anglii, żeby brać przykład z Margaret Thatcher. Mieszkały w Polsce, więc bliższy im był model Danuty Wałęsy: zapierniczały na drugim planie, wypełniając małżeńsko-matczyną misję. Beata również wywiązywała się ze swoich obowiązków bez zarzutu, podobnie do wszystkich pań, które знаła. Jedynie Marta się wyróżniała. Może nie tyle ona, ile raczej Robert wyróżniał się z tłumu identycznych mężów. W kwestiach prowadzenia domu stapał się wprawdzie z pospółstwem, ale jako ojciec był wyjątkowy. Beata przyglądała się zabawom Roberta i Dominika z niezmienną sympatią, ale i z frustracją.

A że bawili się bez przerwy, odczuwała rozżalenie za każdym razem, gdy spotykała się z Gawronami. Chyba przez zwykłą babską zazdrość ani razu nie przyznała się Marcie do swoich myśli. Nigdy też nie wspomniała Bartkowi, że ma dosyć jego lenistwa i braku zainteresowania ich córką. Choć niezadowolenie rosło z każdym rokiem, robiła, co do niej należało, wypełniając swoją misję.

Ludzie dobierają się w pary na dziwnych zasadach...

Marta zazdrościła Beacie, a Beata Marcie, natomiast Robert często ubolewał, że jego żona nie przypomina Beaty.

I nie chodziło mu wcale o ciało lżejsze o piętnaście kilogramów czy o dwadzieścia centymetrów dłuższe włosy. Zazdrościł kumplowi, że ma przy boku uśmiechniętą, kochającą partnerkę, która nie zrzędzi, nie krytykuje, nie wyrzeka na los.

Kiedy postanowili spędzić pierwsze wspólne wakacje pod namiotem, Marta jęczała, jakby jechała na misję do Zimbabwe. Następnego lata podnieśli więc standard o jedną gwiazdkę – domek kempingowy pasował wszystkim, tylko nie jej: bo bez łazienki, bo śmierdzi wilgocią, bo w głuchym lesie, daleko od plaży. Podczas kolejnego wypadu wzięli domek z łazienką, w samym centrum, trzy kroki od moło. Okazało się, że też źle – ludzie łążą, drą się całą noc i budzą dzieci, a do tego Robert z Bartkiem zaprzyjaźnili się z załogą bazy rybackiej i bladym świtem wyruszali z nimi na połów, wieczorami zaś przesiadywali w knajpach.

– Cudowny urlop! – wylewała na męża pretensje. – Ty się bawisz, a ja niańczy dziecko, gotuję, piorę i sprzątam!

– Przecież chciałem zabrać Dominika, ale mi nie pozwoliłaś.

– Jeszcze nie zwariowałam, żeby go puścić na drewnianą łajbę pełną alkoholików! Utopiłby się i nikt by nie zauważył! Wystarczy, że za każdym razem, jak wypływacie, umieram ze strachu o ciebie...

Bla, bla, bla!

Nie zamierzał się z nią spierać. Wolał słuchać, a raczej udawać, że słucha. Swoje wiedział: wakacje to wakacje – muszą mieć pewne uroki, żeby różniły się od dni powszednich. Dlatego on z Dominikiem mogliby żywić się wyłącznie frytkami i goframi na pobliskim deptaku, dostać parcha z brudu albo chodzić dwa tygodnie w jednych majtkach. Natomiast Martę opętywały demony na samą myśl o starym tłuszczu, pustych kaloriach i brudzie, który ich niechybnie zabije, jeśli nie przebiorą się trzy razy dziennie.

Cierpiał, gdy widział, że ich syn wygląda niczym wakacyjny idiota, niecierpliwie wypatrujący rozpoczęcia roku szkolnego, więc brudził go przy pierwszej możliwej okazji. A że zbierał za to cięgi? Trudno. Szczęście dziecka było dla niego najważniejsze. Dla Marty pewnie też. Tyle że zdecydowanie inaczej to szczęście rozumieli.

– Nie pozwolę mu z tobą iść! Masz mniej rozumu od niego!

Bla, bla, bla... Zobojętniały mu jej krzyki, pretensje i absurdalne zarzuty.

Symulował skruchę, chociaż w duchu chichotał, bo – na tle wakacyjnej scenerii – wyglądała komicznie. Rzuciła wściekłym spojrzeniem, krzyczała rozjuszonym głosem, gwałtownymi gestami wskazywała na zawieszony praniem sznur, ciągnący się przez pół ośrodka. Ale z drugiej strony...? Stała pod słońce, ubrana w letnią sukienkę z przezroczystej tkaniny, więc widział ją półnagą. Do tego z wałkami na głowie! Gdy je zdejmie, będzie miała rynnę zamiast grzywki. Ha, ha, ha!

Takie były czasy, takie były fryzury. Ale wałki na wakacjach...? Niczym nie potrafił takiego dziwactwa wyjaśnić. Podejrzewał, że Marta odczuwa potrzebę bycia wiecznie idealną, a zatem nigdy nie pozwoli sobie na spontaniczność. Robert miał odwrotnie. Trudno pogodzić wodę z ogniem, więc po kilku nieudanych próbach machnął ręką – ani on jej nie pojmie, ani ona nie zrozumie jego. Wycofał się, ustąpił pola i tylko czasami tęsknił za swoją bezpretensjonalną osobowością, którą tak lubił, ale z której musiał zrezygnować, żeby żona w napadzie szału nie wyrwała sobie rynny z głowy.

Niezależnie od kobieco-męskich rozterek znajomość Bąków i Gawronów kwitła. Przerwała ją przeprowadzka Bartka, który rozwijał się równie prężnie, co firma, w której pracował, nic więc dziwnego, że pewnego dnia dostał awans i propozycję lepszej pracy, tyle że w Poznaniu. Nie dało się żyć jedną nogą tam, a drugą w Szczecinie, postanowił ściągnąć rodzinę do siebie. Chociaż zapewniali się o dozgonnej przyjaźni, odległość zrobiła swoje: kilka wizyt i wspólne wakacje nie załatwiły sprawy, kontakty stawały się coraz rzadsze, aż w końcu urwały się kompletnie.

Z upływem lat w pamięci Roberta minione chwile zatarły się tak bardzo, że kiedy wszedł do biura doradztwa prawnego i szturchnął niechcący ukochanego kumpla, burknął tylko: „przepraszam”. Gdy poczuł na sobie natrętne spojrzenie, w pierwszej chwili nie rozumiał, dlaczego facet świdruje go oczami. Da mu w mordę, bo lekko go potrącił?

– Gawron?

Robert odwrócił się i patrzył, patrzył, patrzył...

– Bąku! Chłopie, co tu robisz?! – Zwarli się w ciasnym uścisku. – Ja pierniczę! – Walili się dłońmi po ramionach. – Żyjesz?

– Pewnie. Żyję. I to jak! Brachu! Ileśmy się nie widzieli?

– Dychę albo dłużej! – Robert nasilił poklepywania.

– Przepraszam... – bąknęło siedzące za kontuarem dziewczę. – Czy panowie są z kimś umówieni? Nie chcę przeszkadzać, ale...

Rozeszli się szybko do dwóch oddzielnych pokoi, ale jeszcze szybciej zeszli się w pobliskim pubie, w którym spędzili kilka godzin, nie mogąc się nagadać. W zasadzie to Bartek gadał, a Robert głównie słuchał, nie mając niczego ciekawego do opowiedzenia. W paru zdaniach pochwalił się tylko synem.

– A Marta?

– Co Marta? – nie zrozumiał pytania.

– Co u niej? Jak wam się wiedzie?

– Normalnie. – Jednym słowem streścił wiele lat pożycia.

– Czyli dobrze?

– Dobrze – przytaknął Robert, a po chwili zastanowienia rzucił niepewnie: – Może byście do nas wpadli? Napijemy się jak ludzie, a nie tak... – Skinął z odrazą na puste filiżanki po kawie i ledwie do połowy opróżnione kufle z bezalkoholowym piwem.

– Czego się krzywisz? Od początku mówiłem, żeby zamówić browar.

– Samochodem przyjechałem.

– Ja też. I co z tego? Przecież możemy zostawić fury i wrócić do domu taksówką. To co? Po piwku?

– Nie, nie...

– Chłopie! Gdyby każdy był taki akuraty jak ty, taryfiarze z głodu by pozdychali. Myślisz, że oni nie ludzie? Rodziny nie mają? Zarabiać nie muszą? Bądź filantrop! To co? Po piwku?

– Kiedy indziej. – Robert był filantropem, ale na pewno nie kamikaze. – Moja by się wkurzyła.

– Wciąż spod pantofla nie uciekłeś? – Śmiech Bartka odbił się echem po kamiennym sklepieniu. – Kiedy się usamodzielnisz?

– Jestem samodzielny... – Szyderczy rechot drażnił, ale w imię dawnej przyjaźni Robert puścił go mimo uszu. – Powiedz, kiedy możecie do nas wpaść? Pasuje wam najbliższa sobota?

– Nam wszystko pasuje. A Marta? Nie wkurzy się?

– Będzie zachwycona! – Wątpił w to, ale raz kozie śmierć! – W sobotę o siedemnastej?

– O siedemnastej?! – Śmiech Bartka znowu słyhać było w całym pubie. – Na „Teleexpress” nas zapraszasz? Tylko dziadki spotykają się tak wcześnie.

– To o której?

– Dwudziesta pierwsza? Dwudziesta druga?

– Trochę późno... A może dwudziesta? – negocjował, bo wiedział, że Marta o dwudziestej drugiej śpi już kamiennym snem. Fajnie, gdyby chociaż trochę posiedziała z gośćmi.

– No dobra. Niech będzie dwudziesta. Mam nadzieję, że spóźnimy się tylko trochę.

– Czyli sobota o dwudziestej? – Nie wspomniał, że małżonka na spóźnienia reaguje furją.

– O dwudziestej. Tak mniej więcej. Bardziej mniej niż więcej. Wiesz, jak baby długo się szykują?

– Postarajcie się być punktualnie. Marta przyszykuje coś na ciepło. Będzie zła, że stygnie.

– Niech niczego nie robi. Może tylko siebie na bóstwo? To jej dłużej zejdzie... – Bartek, niezmiennie uradowany, rąbnął kumpla w ramię. – Gawron! Jak ja się cieszę, że cię spotkałem!

– Ja też. – Nie kłamał, ale obawiał się, że Marta zareaguje na gości z mniejszym entuzjazmem.

Przewidział reakcję, więc postanowił trzymać się swojej wypróbowanej przez lata strategii: milczeć, a jeśli zmusi go do mówienia, odpowiadać w najbardziej lakoniczny sposób. Taktyka niezbyt mądra, ale skuteczna – im później się dowiadywała, tym później zaczynała marudzić. Chyba lepiej, żeby pretensje spadły mu na głowę dopiero w sobotę, a nie już dziś wieczorem?

Święty spokój do soboty? Bezcenne! A potem choćby potop...

Przesadził z marzeniami o świętym spokoju.

Wprawdzie ucieszyła się z niespodziewanej wizyty, jednak przygotowania przekraczały zdrowy rozsądek – wpadła w kulinarno-porządkowy obłąd i wyróciła dom do góry nogami. Panowie nie mieli wyboru: musieli się ratować, więc pewnego dnia „zupełnie zapomnieli”, że obiecali pomagać w porządkach, i „zupełnie spontanicznie” poszli sobie na kręgle. Dostali za to solidny opieprz. Cała ulica usłyszała, kim są oraz kim nie są. Obrzuceni wyzwiskami rozpierzchli się po pokojach, skąd ślali do siebie rozpaczliwe esemesy.

„Synu, musimy przeżyć z godnością. Jesteśmy mężczyznami!”.

„Z tego, co krzyczała, wcale nie jesteśmy. Co z nią? Okres ma?”.

„Nie ma”.

„Pewnie jutro dostanie”.

„Od dwóch lat nie ma”.

„A wściekła, jakby od dwóch lat miała”.

„Widzisz, ile warte są ich teorie o hormonach?”.

Pisali kilkanaście minut, a każdą wiadomość, zależnie od treści, kończył odpowiedni emotikon: płacząca buźka, wytrzeszczone oczy, turlające się ze śmiechu główki, uniesione bądź opuszczone kciuki.

„Po cholere zapraszałeś gości?” – odpisał Dominik na ubolewania ojca, że długo nie rozegrają takiego ostrego męskiego turnieju w kręgle jak dziś. – „Wiedziałeś, że wpadnie w szal gotowania i sprzątanania!”.

– Wstawił obrazek skrzywionego rogatego diabła.

„Masz rację...” – Żółta kuleczka zalewała się łzami.

Dalsza korespondencja zajęła im niemal pół godziny. Zakończyli zapewnieniami o wzajemnym wspieraniu się w strategii: „przecież nic się nie stało” i „o co ci chodzi?”.

– Przestań pucować całą chatę! Wujek będzie łązić po domu i sprawdzać, czy mamy porządek w szufladach?

– Wujek taki sam czyścioch jak wy: ani by nie zauważył, że nasrane na środku dywanu ani że wdepnął.

– Machnęła ręką na dalsze wyjaśnienia. – Jak ojciec wróci, jedzcie po nowy karnisz. Pamiętasz, jak wygląda?

– Pamiętam. Widziałem ojca dzisiaj rano. Przez te parę godzin raczej się nie zmienił.

– Bardzo śmieszne. – Dowcipy Dominika, podobnie jak żarty Roberta, częściej ją drażniły, niż bawiły.

– Macie kupić dokładnie taki, jaki wybrałam. I żebyście zamiast karnisza nie przywieźli nowego telewizora albo komputera!

– Spoko.

– Dlaczego w to wątpię...? – Westchnęła i wróciła do sprzątanania szuflad.

Chociaż mężczyźni jej życia przyjechali bez nowego sprzętu RTV i chociaż – o dziwo – kupili dokładnie to, co mieli kupić, dalej już nie było różowo. Okazało się, że rozstaw śrub jest inny niż układ otworów, które zostały w ścianie po starym karniszu.

– Trzeba zaszpachlować i nawiercić nowe. – Nie rozumiała, skąd cierpiętnicze miny męża i syna.

– Łatwo powiedzieć: zaszpachlować... – Robert stękał, jakby musiał przewieźć do Polski Chiński Mur i otoczyć nim Szczecin wraz z okolicami. – Po pierwsze, nie mam szpachli, a po drugie, zostaną ślady.

– Zamalujesz. Dominik skoczy po farbę do garażu.

– Mamo, ślady i tak zostaną. Wiem, co mówię. Egzamin z materiałówki na pięć zdałem! – protestował chłopak. – Ściany malowaliśmy wałkiem, nie? A wałka nie mamy. Jak pociągniemy pędzlem, wyjdzie kicha. Zmiana narzędzia zawsze powoduje zmianę struktury. A poza tym farbę można przechowywać najwyżej rok. Potem już się nie nadaje do poprawek, bo są różnice w kolorze. Utlenia się. Rozumiesz?

Słońce, kurz na ścianach i inne czynniki...

– Zaraz mnie krew zaleje! – przerwała bzdurną wyliczankę. – Jutro wracam z pracy i widzę karnisz na ścianie! I nie widzę dziur w ścianie! Mam gdzieś, czy je zamalujecie pędzlem, czy wałkiem, albo czy kolor będzie utleniony!

– Kochanie...

– Koniec dyskusji!

– Mamo...

– Nie dacie rady kilku głupim śladom mniejszym od jednogroszówki? Sama bym zaszpachlowała i pomalowała, ale mam popołudniowy dyżur w ośrodku. A potem zakupy i gotowanie. Nie rozerwę się! – Wyszła z pokoju, żeby nie patrzeć na ich zbolale twarze. Czy tylko ona ma w tym domu jaja?!

Następnego dnia mniej umordowała się w pracy niż na zakupach. Jeździła po mieście w poszukiwaniu jędrnych czerwonych papryk na leczo i równie dorodnych krwistych polędwiczek, które planowała podać w sosie pomarańczowo-imbirowym z ziemniaczanymi dufinkami i z bakłażanową zapiekanką. Do tego krem z porów, kilka rodzajów sałatek, śledzie w czosnkowej zalewie, koreczki krabowe, półmiski wędlin, deski serów schowanych pod pierzynką z kiełków rzodkiewek i winogron, a na finał ciasto oblane orzechowo-śmietankowo-jagodową pianką.

Postanowiła przygotować wykwintną kolację, aby goście poczuli się wyjątkowo i żeby nie mieli wątpliwości, jak bardzo ją cieszy ich wizyta, do której tak starannie się szykowała. A że Robert pokręci nosem na brak golonki albo żeberka? Trudno!

Miała nadzieję, że kiedy tłuła się od sklepu do sklepu, zdobył się na heroizm i zawiesił karnisz tudzież zapacykował farbą milimetry ściany.

Włokąc za sobą wypchane reklamówki, otworzyła drzwi i weszła do ciemnego przedpokoju. Nie miała wolnego palca, żeby zapalić światło, więc stąpała po omacku. Rozum ją opuścił – powinna przewidzieć, że tu nigdy nic nie jest normalnie. Należało nacisnąć kontakt choćby nosem, ale zmęczona i szczęśliwa, że dotarła wreszcie do domu, zapomniała o własnym bezpieczeństwie.

Zrobiła dwa kroki i z hukiem zważyło się na nią jakieś żelastwo. Odruchowo rzuciła torby i splótła dłonie nad głową.

– Co to? – jęknęła.

– Cześć, mamo! – Dominik przybiegł do przedpokoju.

– Cześć... – Wyprostowała się, aby spojrzeć na sufit, a potem na syna, zbierającego wysypane z siatek warzywa. – Co się stało?

– Nic. Wlazłaś w stary karnisz. Nie zdążyliśmy go wynieść na śmieci.

– Czyli daliście radę zamontować? – Odetchnęła z ulgą.

– Daliśmy. To znaczy ja dałem. Tata zatrzymał się na etapie planowania.

– Widzisz? Korony wam z głów nie pospadały. – Zapaliła światło, podniosła dwa metalowe drągi, oparła je o ścianę i przykucnęła, aby pomóc Dominikowi. – Tyle że te cholerne rury zwały się na mnie. Nie mogłeś ich od razu wynieść na śmieci?

– Miałem ważniejsze rzeczy na głowie.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się kąśliwie. – Maja przyszła?

– Nie. Tata chciał wyjść.

– Dokąd?

– Do nieba.

– Jezus Maria! – Upychana w reklamówce cukinia wylądowała z powrotem na podłodze. – Co się stało? – Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Robert wciąż nie pojawiał się w przedpokoju. – Gdzie on

jest?!

– W sypialni. Stracił sporo krwi i trochę mu było słabo. Odholowałem go do wyrka. Pewnie śpi.

Marcie też zrobiło się słabo, ale po paru sekundach obezwładniającego strachu włączyła wyćwiczone przez lata pracy chłodne myślenie. Zaczęła przetwarzać dane z prędkością komputera.

Po pierwsze: Roberta musiał obudzić hałas, jakiego narobiła, wpadając na karnisz.

Wniosek: nie śpi.

Po drugie: jeśli nie śpi, czemu nie wyrzał z pokoju?

Wniosek: wykrwawił się do nieprzytomności albo... Nie dokończyła wniosku.

Po trzecie: wezwać pogotowie! Wiele razy dzwoniła z pracy po karetkę i przerobiła setki rozmów z dyspozytorkami.

Wniosek: zanim wykona telefon, potrzebuje kompletu danych.

– Co się stało? – Spokojnie podnosiła się z kucek, chociaż nogi odmawiały jej posłuszeństwa. – Możesz opisać zdarzenie?

– Opisać zdarzenie? Po jakiemu ty mówisz? – Dominik wzruszył ramionami. – Wsadź palec pod wiertarkę, to zobaczysz zdarzenie.

– Przewiercił sobie palec?

– No. Aż paznokiec zdarło. Bryzgał jak na *Teksańskiej masakrze piłą mechaniczną!* – Chłopak uśmiechał się bez troski. – Zdaje się, że resztki farby z garażu nie starczą, żeby zamalować.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś po pogotowie albo nie zawiozłeś go do szpitala?

– Chciałem, ale wiesz, jak on reaguje na lekarzy. „Poczekam na mamę”, powiedział.

– A gdybym nie wróciła? Dałbyś mu umrzeć?

– Nie. Czekałbym, aż straci przytomność, i wtedy wezwałbym karetkę.

– Skąd wiesz, że nie stracił przytomności? Jak mogłeś zostawić go samego? – Z łomoczącym sercem obejrzała się na drzwi sypialni: być może została właśnie wdową! – Długo tam leży?

– Krótko. Nawet gdyby coś... – Syn przewrócił oczyma. – Wciąż jest ciepły. Zaglądałem pięć minut temu.

– Przestań! – Jego młodzieńczy cynizm przerażał, ale doceniła, że sprawdzał niedawno, jak się czuje Robert, dorzuciła zatem łagodniej: – Sumienia nie masz?

– Wyluzuj. – Dominik podniósł już spakowane reklamówki. – Gdzie to? Lodówka? Szafki?

Była zbyt zdenerwowana, by odwzajemnić się złośliwą uwagą, że dwudziestoparoletni człowiek potrafi chyba odróżniać produkty trzymane w szafkach od tych, które należy przechowywać w lodówce.

– Do kuchni.

– Dobrze, że powiedziałaś, bo do łazienki zamierzałem zanieść. – Chłopak oddalił się, wyrzekając głośno na ciężar toreb, które ona sama tachała przez cztery dzielnice Szczecina, a on przez cztery metry mieszkania.

Znowu zacisnęła zęby, bo uznała, że nie czas na wychowawcze pogadanki. Przede wszystkim należało zajrzeć do Roberta. Na szczęście adrenalina nieco spadła, a wizja wdowieństwa zniknęła. Jej miejsce zajęło inne złe przeczucie: „Teraz dopiero się zacznie!”.

Zaraz będzie musiała zabrać go do chirurga i zastanawiała się, o kogo powinna się bardziej bać: o męża czy o lekarza?

NIE KAŻDY WIE, ILE RÓŻNORAKIEJ PRAWDY  
MIEŚCI SIĘ W WYKRZYKNIKU KOBIETY:  
„TEN TO MĘŻCZYŻNA!”.

(Eliza Orzeszkowa)

– Weszłaś do sypialni i co? Żył?

Rozmawiały przez telefon, więc nie widziała twarzy przyjaciółki, ale głos sugerował, że ucieszyłaby ją odpowiedź: „Niestety, przyszłam za późno”.

– Żył.

– No trudno... – Podejrzenia Marty się potwierdziły. – I co? Faktycznie mocno poharatany?

– Nie dałam rady stwierdzić: palec zapakowany w tyle bandażu, że na całego faraona by starczyło. W kółko powtarzał, że na pewno wszystko się przykleiło do rany, a lekarz mu to oderwie, nie zważając na jego wrażliwość. Tłumaczyłam jak dziecku, że nie takie rany odwijają z opatrunków, i zapewniałam, że nawet nie poczuje, kiedy będzie po wszystkim, ale on dalej swoje! – Stęknęła na wspomnienie podróży do szpitala; za każdym razem, gdy stawała na czerwonym świetle, bała się, że mąż otworzy drzwi i ucieknie z samochodu.

– Ty święta jesteś... I co? Popłakał się, jak odrywali?

– Bo myślisz, że on pozwoli sobie coś oderwać?

– No, no? Dawaj! – Jolka już nie żałowała, że Robert przeżył.

– Wchodzimy do gabinetu. Zaczynają odwijać palec. Odwijają, odwijają... Pół podłogi w bandażach, a końca nie widać. Dalej odwijają, odwijają... Pielęgniarka się uśmiecha, lekarz chrząka i patrzą na mnie jak na idiotkę. W końcu im wyjaśniłam, że syn robił opatrunek, a nie ja. Zaznaczyłam, że po powrocie do domu znalazłam w sypialni Tutenchamona i go przywiozłam.

– Nie obraził się?

– Coś ty? Ogłuchł ze strachu. Patrzył na ubywające bandaże, aż w pewnym momencie krzyknął: „Koniec. Dalej nie!”. Odepchnął pielęgniarkę, a lekarzowi powiedział, że też ma się nie zbliżać.

– Żałuję, że mnie przy tym nie było! – W słuchawce rozległo się rzenie.

– Ja żałuję, że byłam... – Nawet teraz, chociaż niby na wesoło opowiadała o nieszczęsnej wizycie w szpitalu, czuła na policzkach rumieńce wstydu. – Jeśli miałabym kiedykolwiek spotkać tego lekarza, to niech przedtem któreś z nas zapadnie na alzheimera. Nikomu źle nie życzę, więc niech to będę ja...

– Co zrobili, kiedy ich odepchnął? Amputowali mu palec razem z resztką bandaża?

– Nie. Prośbą i groźbą próbowali przemówić mu do rozsądku, ale schował rękę za plecy. Wciąż kręcił głową i powtarzał, że zostało mu w środku co najwyżej pół litra krwi, więc każdy gram jest na wagę złota i nie mogą uronić ani kropelki. Wyobrażasz sobie podobny cyrk?

– Dziękuj Bogu, że tylko łapę pokaleczył. Gdyby niechący na wiertle usiadł i przewiercił sobie dupę, to dopiero byś miała cyrk. Kolonoskopii na bank by nie przeżył! – Jolka pękała z dumy, że mężnie przeszła badanie, które chętnie zamieniłaby na szycie wszystkich dziesięciu palców. – Jak się skończyło?



Lekarz zadzwonił po łowców krokodyli, żeby zarzucili Robertowi łąso na pysk i skrępowali plastikową taśmą?

– W gabinecie mieli umywalkę. Lekarz napełnił ją wodą, zanurzył jełopa po łokieć i zawołał następnego z kolejki. Chyba z dziesięć osób przyjął, a my staliśmy jak dwa parasole. Obok zszywali głowy i nastawiali kości, więc mało nie zemdłał. Tym bardziej że woda w umywalce coraz bardziej czerwieniała, a pamiętasz, że każda kropla na wagę złota?

– Pamiętam. Cztery litry rozbryzgał po salonie... Ale chociaż przestał marudzić?

– Przestał. Chyba wstydział się przy ludziach.

– A właściwie jakim cudem się poharatał? Nie widział, że ma palca między ścianą i wiertłem?

– Kobieto, przecież on się poharatał, zanim zdążył podejść do ściany! – Marta prychała po każdym zdaniu. – Wykrwawił się zaraz po podłączeniu wiertarki do prądu. Trzymał ją w ręku i objaśniał Dominikowi plan działania.

– Plan działania czego? Wiertarki?

– Ich plan działania, rozumiesz?

– Właściwie nie. Żeby przykręcić karnisz, trzeba mieć plan?

– Łatwo powiedzieć: przykręcić... – naśladowała intonację męża. – Trzeba wejść na drabinę, odkręcić stary karnisz, zejść z nim z drabiny... Widzisz? Jeszcze nie wspomniałam o przykręcaniu nowego, a już się urobił po pachy. Ogromne logistyczne przedsięwzięcie.

– Faktycznie. I co? Poharatał się od dyskusowania nad planem?

– Raczej od gestykulowania. Instruował Dominika, jak powinni ustawić drabinę, żeby za jednym podejściem sięgnąć do dwóch końców karnisza i...

– Przecież się nie da naraz do dwóch końców! Macie okna na całej ścianie. Musiałyby być pytonem, żeby się rozciągnąć od drabiny do obu narożników.

– Ale miło, że próbował, prawda?

– Oczywiście, miło – przyznała Jolka równie uprzejmym tonem. – Ale szkoda, że zapomniał o BHP.

– Ano zapomniał. Trzymał wiertarkę w ręku, omawiał plan i niechcący nacisnął czerwony guziczek. Akurat końcem wiertła pokazywał na swoim palcu proporcje w odległościach czegoś tam, to wystarczyła sekunda i cztery litry krwi poszły w kosmos! To znaczy na ściany...

– Skąd masz do niego nerwy? – Jolka spoważniała.

– Z miłości – odparła bez zastanowienia Marta. – A może z litości? – dodała po chwili namysłu. – Gdybyś go widziała... Cały wystraszony, bezradny... Kamień by się wzruszył.

– Zszyli mu w końcu ranę? Czy wciąż tam siedzi z ręką w umywalce? – Jolka była twardsza niż kamień.

– Okazało się, że nie będą szyc. Że zamiast tego posklejają go specjalnymi plasterkami. Nawet nie wiesz, jak ta wiadomość go ucieszyła. Rozgadał się, podowcipkował, nawet zaczął flirtować z pielęgniarką.

– Jak to?

– Normalnie. Był w szoku, to nie zauważył, że mogłaby być jego córką.

– Tego żaden chłop nie widzi. Czy w szoku, czy bez szoku. Ale czemu go nie zszywali?

– Lekarz powiedział, że na wiertle na pewno było pełno bakterii i trzeba zostawić ujście, żeby organizm wyrzucił cały szajs na zewnątrz.

– Pierwsze słyszę! – W szyderyczym śmiechu próżno było szukać radosnego chrupkania. – Chcieli się go pozbyć. Wiedzieli, że przy szyciu albo ich pogryzie, albo zejdzie na zawał.

– Czy to ważne? Grunt, że przestał histeryzować. Wprawdzie nie na długo, bo myślał, że już po wszystkim, a okazało się, że musi jeszcze dostać serię zastrzyków. Dwa dali od razu, a trzeci dopiero po godzinie.

– Czemu? Uciekł i godzinę go szukałaś?

– Nie, nie. Trzeba było odczekać, czy nie pojawi się niepożądana reakcja. Wiesz? Wstrząs anafilaktyczny albo inne cholerstwo.

– Cholerstwo to jest nasza służba zdrowia! Banda bezdusznych idiotów!

– Coś ty? Złego słowa nie dam powiedzieć... – Rzeczywiście, Marta wciąż czuła podziw dla wyrozumiałości, cierpliwości i fachowości personelu. – Oni byli jedynym szczęściem w całym tym nieszczęściu.

– No właśnie! Na mój gust zajęli się twoim mułem aż za dobrze!

– To dlaczego banda bezdusznych idiotów?

– Bo zaopiekowali się nim jak normalnym człowiekiem, a ciebie mieli w dupie! Nie zorientowali się, co za egzemplarz im przywiozłaś?

– Nie rozumiem...

– Co tu rozumieć? Chyba logiczne, że najpierw tobie należało podać coś przeciwwstrząsowego i dopiero potem zajmować się jego palcem i jego wstrząsami. A oni? Trzymali cię bez znieczulenia i kazali na trzeźwo czekać na następny zastrzyk. Skandal! Pewnie piekło przeżyłaś przez tę godzinę?

– Lekko nie było. Wyszliśmy z gabinetu, usiedliśmy na krzeselkach. Trzymałam go za rękę... Tę zdrową, oczywiście. Chorą podniósł nad głowę i nie opuszczał, bo się bał, że dostanie krwotoku z posklejanego palca. Drętwiała mu, więc albo lekko ją zginał i kiwał na boki, albo prężył z całej siły do góry. Wyobrazasz sobie ten widok? – Martę ogarnął pusty śmiech na wspomnienie męża, który przypominał nadgorliwego ucznia wyrrywającego się do odpowiedzi. – Nic dziwnego, że co rusz podchodziły do nas kursujące po korytarzu pielęgniarki: „Pan mnie wołał? W czym mogę pomóc?”. On im cichutko: „W niczym. Jestem po operacji dłoni. Lekarz zalecił taką pozycję”. Oczywiście lekarz żadnych pozycji nie zalecał, a skoro tak, z czystym sumieniem go opieprzyłam, aż wióry poszły. Szybciutko opuścił rękę i krwotoku jakoś nie dostał.

– Słusznie. – Jolka rzadko chwaliła przyjaciółkę. Czyniła to bez większego entuzjazmu, wiedząc, że „chwali dzień przed zachodem słońca”. – Mam nadzieję, że zabroniłaś mu też otwierać usta i nie męczyć cię narzekaniem?

– Bez przesady. Bolało go, to miał prawo marudzić.

– Przez całą godzinę? – Jednak pochwaliła przed zachodem.

– Owszem... Najpierw gderał na bezmyślnych wytwórców wiertarek: „Kto montuje guziki, co się same wciskają?!”. Potem na tych, którzy odpowiadają za strzykawki: „Nie do wiary, że w dwudziestym pierwszym wieku produkuje się takie grube igły! Chyba mają wspólną taśmę z fabryką rowerów, bo szprychą mi drugi zastrzyk robili!”. Potem na mnie: „Już nigdy ci nie uwierzę! Mówiłaś, że nie będzie bolało, a mało nie umarłem! Nie chciałem histeryzować, ale w pewnym momencie zrobiło mi się słabo, że aż...”.

– Że aż zobaczył w tunelu zmarłych babcię i dziadka! – Jolka miała dość kompromitującej opowieści. – Trzeci zastrzyk przeżył bez umierania?

– No właśnie z trzecim było najgorzej. W tyłek dali... – Wyczuwając w głosie koleżanki rozdrażnienie, darowała sobie cytowanie pielęgniarki: „Proszę się rozluźnić... Nie wbiję się, jeśli nie rozluźni pan mięśni... Proszę nie spinać mięśni...”. – Zapytali, który pośladek sobie życzy. Wybrał lewy. Zaaplikowali i uprzedzili, że przez jakiś czas może nie mieć czucia w lewej nodze. Zrobił wielkie oczy, ale słowem się nie odezwał. Nawet „dziękuję” ani „dobranoc” nie wydusił na odchodne. Kiedy wyszliśmy z gabinetu, obsztorcowałam go po całości: za histeryzowanie, kompromitację, brak kultury... Byliśmy w połowie drogi na parking; ja się drę na całą drogę, a ten nagle: „Marta, zaraz przestanę chodzić”. I faktycznie przygięło go do ziemi.

– Pavulon mu dali? – zachichotała Jolka. – Cofam wszystko, co powiedziałam o bezdusznej służbie zdrowia. Czyli jednak pomyśleli o tobie. I na dodatek ładnie się zachowali: całą winę wzięli na siebie.

– Łatwo ci się śmiać, a masz pojęcie, w jaką panikę wpadłam? Że dostał jakiegoś wstrząsu...

Naprawdę przeżyła chwile grozy na widok osuwającego się na asfalt Roberta. Z trudem go doprowadziła do ławki, gdzie opadł bezwładnie, i nie wiedziała, co robić. Z powrotem lecieć do szpitala po pomoc? A jeśli on straci w tym czasie przytomność? Albo zrobi mu się niedobrze i zadławi się własnymi wymiocinami? Było grubo po północy, więc wokół panowała głucha cisza – jak na złość nikt nie szedł do dyżurnego punktu medycznego ani stamtąd nie wracał. Robert stękał coraz głośniej, coraz żałośniej, coraz rozpaczliwiej. Chwycił poręcz ławki i trzymał się jej kurczowo wszystkimi palcami: włącznie z tym zmasakrowanym, posklejanym plasterkami. Postanowiła rozedrzeć się na cały głos: „Ratunku!” – szpital zbudowano na planie litery U, więc echo powinno odbić jej krzyk i przywołać ludzi. Na szczęście włączył się jej zawodowy instynkt: najpierw szybki wywiad z pacjentem, bo zanim nadejdzie pomoc, może stracić przytomność, a zatem jak najszybsze zebranie danych, aby później przekazać je lekarzowi.

– Co ci jest? – Przykucnęła i zajrzała Robertowi w oczy. – Gdzie cię boli? – Starła się dostrzec w ciemnościach jego źrenice. – Masz zawroty głowy? Duszności? Jaki rodzaj bólu odczuwasz? Pulsujący? Ćmiący?

– Napierdalający! – Mąż puścił poręcz i złapał się równie kurczowo za oba półdupki. – Nie mogłem, idiota, przed podaniem zastrzyku powiedzieć, że stracę władzę w nodze? Wybrałem lewy pośladek, bo w prawym mam koszarne zakwasy po kręglach. Czub skończony! Przez niego dwie nogi mi odjęło! Chodzić nie mogę, a ty wisisz nade mną i wypytyujesz bez sensu o zawroty głowy! Mało ci, że mam zawroty nóg?!

Powoli wstała z kucek. Marzyła, by rozedrzeć się jeszcze głośniej, niż planowała: „Ratunku!”, ale zamiast tego szeptem wyzwała go od najgorszych, nie żałując ani przykrych, ani brzydkich słów.

– Zobaczysz! Kiedyś się zapomnę. Pójdę siedzieć, ale przynajmniej sobie odpocznę – zakończyła awanturę, czy raczej przemówienie, bo mąż nie odezwał się ani razu. – A teraz podnoś swoje zbolące półdupki i jazda do samochodu! – Wskazała palcem w kierunku parkingu. – Zdążysz za mną, to cię zabiorę, a jeśli nie, dzwoń po taksówkę.

Ruszyła przed siebie i szła najszybciej, jak umiała. Z satysfakcją słuchała kroków podążającego za nią Roberta. Trudno to było nazwać krokami – szurał butami, a każdemu szurnięciu towarzyszyło stękanie.

– Przestań jęczeć, do cholery!

Przestał jęczeć i zaczął szurać jakby szybciej.

Dotarli do domu o pierwszej w nocy. Dominik jeszcze nie spał.

– Ja pitole... – Patrzył zdumiony na ojca, który w dziwny sposób starał się dojść do sypialni: łapał rękoma za prawą nogę i wysuwał ją do przodu, potem robił to samo z lewą nogą. – Przecież tylko palec miał chory... Kto go tak urządził? Ty czy lekarze? – Spojrzał na Martę.

– Kręgle z wiertarką go tak urządziły! – zaśmiała się zjadliwie. – Bądź łaskaw odstawić teraz tatusia do łóżeczka. Na pewno chętnie ci opowie, co przeżył. Zrób mu herbatkę, a potem masaż pośladków.

– Tylko że ten... no... Projekt właśnie skończyłem. Jutro rano muszę oddać. O ósmej... Ostatni termin. Facet specjalnie dla nas w sobotę przyjdzie...

– No to popchnij ojca. Niech się przewróci i śpi w przedpokoju – poradziła. – Przykryj kocem, żeby nie zmarzł. I nie nadepnij jutro rano, bo przepukliny dostanie.

– Synu, dam sobie radę. – Robert niestrudzenie kontynuował wspomagany rękoma marsz. – Idź spać. Ja też idę. Dobranoc.

– Tato, jakbyś chciał...

– Dobranoc! – Krokiem robota przekroczył próg sypialni i zamknął za sobą drzwi.

– Co oni mu zrobili? – Dominik pytał półgłosem, żeby nie zakłócić nagłej ciszy. – Czemu przez palec u ręki stracił władzę w nogach?

– Zejdź mi z oczu, bo też stracisz władzę w rękach i w nogach! – W przeciwieństwie do syna Marta chrząkała ciszę. – Po co tu sterczysz? Kanapkę chcesz? Zupę? A może naszła cię ochota na ciasto? Upiec? Ugotować?

– Pójdę spać...

– Idź, idź. Mordowałeś się przy projekcie, jutro zrywasz się na ósmą... Musisz odpocząć, biedaku... – Zniknęła, zanim dokończyła ostatnie zdanie.

Poszła do kuchni. Blaty i lodówka wypełnione były torbami. Miała nadzieję, że kiedy siedziała z Robertem w szpitalu, Dominik przynajmniej powyciągał wszystko z siatek i ułożył, gdzie trzeba. Niestety...

Syn kierował się prostą zasadą – jeśli na wierzchu zobaczył sery i wędliny, wpychał całą reklamówkę do lodówki, chociaż pod serami i wędlinami były cztery rolki papieru toaletowego, odświeżacz powietrza tudzież ozdobne serwetki. A widząc pakiet zapachowych świeczek na górze, nie pofatygował się zajrzeć głębiej. Zostawił na blacie całą torbę, a pod świeczkami były pistacjowo-orzechowe lody, naturalne jogurty do wyszukanych sosów, krwiste polędwiczki...

Wyjęła z lodówki papier toaletowy i serwetki, wyrzuciła do śmieci rozpuszczone lody. Ratunku!

Nie mogła krzyczeć, bo przecież za jedną ścianą spał ciężko chory pacjent, a za drugą – niemiłosiernie zmęczony student. Z szacunkiem dla ich spokoju pracowała sobie cichutko przez kilka godzin. Wydrążyła środki papryk, obrała je, podzieliła na drobniutkie paseczki. Wypłukała piach z porów, poszatkowała w cieniutkie krążki. Pocięła śledzie, zmacerowała, zanurzyła w zaprawie. Wydłubała najmniejszą pestkę z każdego rozkrojonego na cztery winogrona. Bezpestkowych – jak na złość – nigdzie nie było...

Wciąż nie miała ani jednej potrawy na przyjęcie Baków, ale „kuchenny front” był gotowy – jutro tylko podsmaży, uwarzy, przemiesza, doprawi.

Zanim zgasła światło, rzuciła okiem na zegarek: trzecia pięćdziesiąt. Padła na łóżko równie bezwładnie, co Robert zmasakrowany znową kręgielni i szpitala.

– Marta... – dobiegło ją płaczliwe mamrotanie. – Gdzie byłaś?

– Na Majorce!

– Musisz mi koszulę uprasować na jutro. Tę w niebieskie prąążkiii... – Mamrotanie przeszło w ziewnięcie. – Boże, jak mnie dupa boooliii... Pomasujesz?

– Nie! Ale chętnie kopnę!

Czekała na odpowiedź. Zamiast niej usłyszała pojękujące chrapanie.

KIEDY UMRE,  
POCHOWAJCIE MNIE NA STOJĄCO,  
BO CAŁE ŻYCIE PRZEŻYŁAM  
NA KOLANACH.

(Paulo Coelho)

Sobota. Mogłaby dłużej pospać, ale jej organizm od dawna nie odróżniał dni w kalendarzu – świątek, piątek czy niedziela budziła się około szóstej i nie dawała rady ponownie zasnąć. Było to szczególnie irytujące podczas urlopu albo w przypadku takich poranków jak ten – przecież do czwartej walczyła w kuchni, więc powinna być zmęczona. Na dodatek przychodzą goście, a zatem fajnie by było nie ziewać za stołem... Niestety, bez względu na to, o której i w jakim stanie się kładła, zawsze wstawała o szóstej rano i zawsze ziewała o dziewiątej wieczorem.

– Ojej, dwudziesta druga, a ty jeszcze nie śpisz? – kpił Dominik na widok krzątającej się po domu Marty.

– No. Też się zastanawiam – wtórował mu Robert. – Sylwester dzisiaj czy co?

Rzadko mieli okazję do podobnych żartów, bo i rzadko można ją było zobaczyć o tej porze. Po „Wiadomościach” i entym odcinku ulubionego serialu uciekała do sypialni, brała książkę i zasypiała, nim doczytała stronę.

No, chyba że chłopcy wywijali jakiś numer, podnosili jej poziom adrenaliny i na długie godziny wytrącali z równowagi. Tak jak wczoraj, kiedy zabrali się do montażu karnisza...

Spojrzała na leżącego obok męża. Wyglądał niczym reklama środków nasennych – bezwładny, pogrążony w nirwanie, z lekkim uśmiechem na ustach.

No nie do wiary, że przeżył gehennę i ledwo uszedł z życiem! – ze złości miała ochotę go obudzić. – Ciekawe, co mu się śni, że taki zadowolony? Na pewno nie szpital i nie igły grubości szprychy! Prędeż pielęgniarka... – westchnęła, z odrazą wspominając jego żalosne flirtowanie. Dziewczyna uśmiechała się grzecznie i słuchała beznadziejnych tekstów, a Marta paliła się ze wstydu: najpierw urządził cyrk przy odwijaniu palca, a teraz udaje Hugh Hefnera!

Boże, co te chłopcy mają we łbach? Nawet jej podopieczni... Pozapominali wszystko, włącznie z własnymi imionami, ale nie było dnia, żeby któryś sobie nie przypomniał o złapaniu jej za tyłek, gdy się nad nimi pochylała.

Nie ma co chorym się dziwić, skoro zdrowi faceci też są pod tym względem chorzy. – Ponownie obrzuciła niechętnym wzrokiem śpiącego rozkosznie męża. – Na dodatek ten mój zatrzymał się w rozwoju; mentalnie dopiero na studia razem z synem poszedł... Czy on naprawdę nie wie, że flirtując z młodą dziewczyną, wygląda jeszcze starzej i jeszcze żałośniej niż normalnie? Albo że dla niej może to być obrzydliwe?

Wstydziła się za męża i współczuła pielęgniarce. Kiedy miała jej lata, dorabiała w knajpie jako kelnerka. Na każdej zmianie wśród klientów zdarzał się chrząniący farmazony piernikowaty tatusiek, a jej

zbierało się na wymioty. Musiała jednak uśmiechać się równie szeroko, jak wczoraj pielęgniarka uśmiechała się do Roberta. Dlatego, nim wyszła na korytarz, szepnęła przeproszająco do dziewczyny: „Niech mu pani wybaczy. W szoku jest”. Pielęgniarka beztrąsko pokręciła głową: „Nie takie rzeczy tu się działy. Przywykłam”.

Szkoda, że ja nie mogę przywyknąć do niego! – Marta wstała z łóżka i ruszyła do łazienki. W przedpokoju natknęła się na oparte o ścianę stare karnisze, które wczoraj omal jej nie zabiły. Przystanąła, popatrzyła, uśmiechnęła się złośliwie...

Po chwili w całym mieszkaniu rozległ się huk. Dominik wystawił głowę ze swojego królestwa.

– Która godzina? – Walczył z opadającymi powiekami. – Co się stało?

– Piętnaście po szóstej – odpowiedziała uprzejmie. – Nic się nie stało. Szłam do łazienki i zahaczyłam nogą o karnisze. Gdybyś je wczoraj wyniósł na śmieci, to...

– Po szóstej? – Syn ani myślał słuchać, co by było, gdyby wyniósł karnisze. – Uważaj, jak chodzisz. Tatę obudzisz.

– To może byś je wyniósł? – Bardzo delikatnie opierała metalowe drągi o ścianę.

Wczoraj Dominik nie wykazał się podobną subtelnnością, więc ostre krawędzie zryły tynk. I nikt poza Martą tego nie zauważył.

Czym wytłumaczyć męską bezmyślność? Przecież po demontażu wystarczyło z powrotem założyć na karnisze obłe ozdobniki. Jednej rysy by nie było. Ale nie! Najłatwiej odkręcić, zdjąć, rozpieprzyć wszystko po kątach. A nieoszlifowanymi końcówkami rur zharatać ścianę! I co? Znowu trzeba będzie szpachlować... Sama to zrobi! Znajdzie coś w Internecie: filmik instruktażowy potrwa góra pięć minut. Występujący w nim fachowiec, śliczny niczym walet kier, nie upaprze ściany mazajami ani nie skończy u chirurga.

– Zwariowałaś? Mam o szóstej rano ganiać z żelastwem po śmietnikach? – Syn patrzył już znacznie przytomniej. – Co ja? Złomiarz jakiś? – Cofnął się do pokoju, zanim jednak zdążył zamknąć drzwi, w mieszkaniu ponownie rozległ się metaliczny huk. Głośniejszy od poprzedniego, bo tym razem karnisze zostały ciśnięte na wykafelkowaną podłogę.

– Ojej! – Uśmiechała się niewinnie. – Przepraszam, znowu się osunęły...

– Jasna dupa! Nie dotykaj ich, dobra?! – Całkiem wybudzony stanął obok matki. – Zaraz zabiorę.

Jego rozdrażnienie sprawiło jej dziką satysfakcję. Żałowała, że musi uciekać się do niecznych podstępów, by wymóc na leniwcu pożądane zachowania, ale cóż – cel uświęca środki. Grunt, że karnisze znikną.

– No to leć. – Rozpromieniła się. – Śniadanko ci w tym czasie przygotuję. Na co masz ochotę?

– Na nic! – Chłopak ciasno splótł palcami włosy i ruszył z nim do... swojego pokoju.

Kubatura pomieszczeń nie pomagała w transporcie dwumetrowych drągów, więc zahaczył nimi tu i ówdzie, a biały tynk sypał się z sufitu na kafle. Kiedy wreszcie dotarł z kłopotliwym bagażem do własnego królestwa, w mieszkaniu Gawrońskich po raz trzeci rozległo się: „łubu-du!”.

Nie wierzyła własnym oczom ani uszom. Patrzyła osłupiała na zatrzaśnięte drzwi, które otworzyły się ponownie, zanim zdążyła mrugnąć.

– A na śniadanko poproszę jajecznicę. Nie teraz, bo godzinkę jeszcze pościę. Aha... Usmaż, a nie tylko wymieszaj, dobra? Nienawidzę biało-żółtych glutów! – Zamknął drzwi, nie zauważywszy, że zostawia matkę w totalnym szoku.

– Marta!

Zacisnęła zęby.

Ucieknę! Przejdę się spacerkiem na dworzec, żeby ostatni raz popatrzeć na Szczecin. Potem wsiądę do pierwszego lepszego pociągu. Wszystko jedno, dokąd mnie zabierze. Byleby był dalekobieżny. Bardzo

dalekobieżny...

– Maaartaaa!

– Czego chcesz?!

– Co się dzieje?

– Nic!

– A te hałasy?

– Niechcący wpadłam na karnisze.

– Trzy razy? – Chciał usiąść, ale syknął z bólu i z powrotem padł na poduszki. – To jak ty chodzisz?

– Kujawiakiem! Z radości, że spałam dwie godziny, że nastał nowy dzień i że mogę wreszcie iść do kuchni! A mogę? – Uśmiechnęła się drwiąco. – Chyba że sułtan życzy sobie usługi w alkowie.

– Nie żartuj. Zapomniałaś? – Wystawił do góry zabandażowany palec.

– Wczoraj tłumaczyłaś pielęgniарce, że facet może nie mieć ręki ani nogi, grunt, żeby nie był kaleką – wypomniała mściwie.

– No właśnie! A ja jestem kaleką. Przez kręgle i zastrzyki straciłem czucie od pasa w dół.

– W takim razie leż i odpoczywaj. Poproszę Dominika, żeby zrobił ci wózek inwalidzki ze starych karniszy. Niech się wreszcie na coś przydadzą te jego studia i projekty. Śpij i nic się nie martw. Wszystkim się zajmę.

– Już nie zasnę. – Spuścił oczy, by nie zobaczyła w nich wyrzutu. Po jaką cholere wstała o szóstej rano i egoistycznie obudziła cały blok wściekłym hukiem? Zamiast skruchy wyzłośliwia się teraz, aż jej jad z zębów kapie, a za chwilę pójdzie napieprzać garnkami głośniejsze niż karniszami. On ma niby spać i odpoczywać? Dobre sobie! A że nie chciał zdenerwować jej jeszcze bardziej, więc jak zwykle przemilczał własny ból i pretensje.

– Zrób mi herbatę i przynieś jakąś gazetę. Albo książkę.

Razem z herbatą dostał dziesięć książek i stos gazet z ostatniego miesiąca. Udawał, że nie dostrzega złośliwości. Po pierwsze – unikać konfliktu.

– Dominik idzie na ósmą, to pewnie zaraz śniadanie mu zrobisz?

– Tak. Zażyczył sobie jajecznicę.

– O! Też chętnie zjem. Tylko nie ścinaj za bardzo. Ma być jajecznica, a nie sztywny placek, dobrze? – Podniósł chorą rękę, aby rzucane na łóżko lektury nie trafiły go w rozharatany palec. Czy ta kobieta sumienia nie ma? Nigdy nic jej nie bolało, że taka bezduszna?

– Oczywiście! – Bezduszna kobieta wyglądała, jakby chciała poderżnąć mu gardło. – Zjesz z nami? Czy tutaj ci przynieść?

– Tutaj. Nie dam rady usiąść. – Ponownie próbował spionizować tułów, ale szybko się poddał: bo piorun bólu strzelił go w lewą nogę i w dwa pośladki. – Jezu! Ona mi jakiś nerw uszkodziła. Kto pozwala zatrudniać w szpitalu młode siksy?

– Skoro tak źle z tobą, zadzwoń do Bartka i przełoż wizytę na następny tydzień. Powiedz, że dzisiaj nie możesz się z nimi zobaczyć, bo ani nie zmieszczę w sypialni stołu z krzesłami, ani nie zaholuję cię z łóżkiem do salonu. Wybacz!

– Do wieczora na pewno mi przejdzie. – Uśmiechnął się pokrzepiająco. – Nie przejmuj się mną.

Aż się zatrzęsała ze złości. „Nie przejmuj się mną”?! Głupszego zdania nie mógł wymyślić! Wiedziała, że będzie musiała się nim przejmować cały dzień.

I faktycznie, nawet przez kwadrans nie pozwolił o sobie zapomnieć. Bez przerwy czegoś się domagał.

– Marta! Zrobisz kawę?!

Bo wczoraj stracił tyle krwi, że ciśnienie spadło mu prawie do zera...

– Marta! Telefon potrzebuję!

Bo był umówiony z klientami; musi ich powiadomić, że miał ciężki wypadek...

– Marta! Coś słodkiego bym zjadł!

Bo poziom glukozy spadł mu bardziej niż ciśnienie...

– Marta! Opatrunek trzeba zmienić!

Bo lekarz kazał to zrobić po dwunastu godzinach, a właśnie mija jedenaście godzin i pięćdziesiąt siedem minut...

– Marta! Mamy coś przeciwbólowego?

Bo zmiana opatrunku spowodowała, że palec zaczął go teraz boleć bardziej niż pośladki...

Chyba faktycznie obeszała się z nim mało delikatnie, gdy odwijała posklejaną ranę, ale prowokująco syczał, krzyczał i cofał rękę jak dziecko. Ileż można się pieścić?

Najchętniej skopałaby ten obolały męski tyłek!

W kuchni chwyciła za nóż i przemawiała cicho do lśniącego ostrza: „Jeśli jeszcze raz zawoła, razem pójdziemy, dobrze? A teraz poćwiczmy na cebuli...”.

Lubiła gotować, więc podczas szykowania wykwintnych dań relaksowała się i odreagowywała fanaberie „obłożnie chorego” męża. W ogóle mu nie współczuła. Znała go na wylot – żeby się wymigać od przygotowań, pozostanie w agonii mniej więcej do szóstej, może siódmej. Ale gdy tylko ona zrobi czary „stoliczku, nakryj się”, on cudem ozdrowieje.

Ciekawe, czy Beata też wyhodowała leniwego macho? – zastanawiała się, krojąc cebulę. – Pod tym względem Bartek bardzo się od Roberta nie różnił – wspomniła ich wspólne wakacyjne wypady: „Beata, przynieś!”, „Beata, wynieś!”, „Beata, podaj!”. Marta zazdrościła przyjaciółce, że mąż nie przeszkadza jej w wychowywaniu Oli, ale w pozostałych kwestiach równo latały: przynosiły, wynosiły i podawały swoim panom. – Może udało się Beacie to zmienić? Czy wciąż, jak ja, potulnie mu służy?

Nie mogła się doczekać, kiedy o tym pogadają. Nie tylko o tym. O wszystkim...

Sporo czasu przecież minęło, w jeden wieczór nie da się opowiedzieć. Ola pewnie wyrosła na śliczną pannicę. Też już studentka, jak Dominik. Może przyjdzie z rodzicami, by zobaczyć ukochanego kumpla z dzieciństwa?

Nakazała synowi zostać w domu i zabawiać Olę. Na wszelki wypadek, bo mąż jełop, chociaż spędził z Bartkiem dwie godziny w pubie, niczego konkretnego, jak zwykle, nie umiał powiedzieć. Ponoć nie rozmawiali ani o Beacie, ani o Oli, ani o niczym konkretnym.

– O czym wyście gadali? O Formule 1? – dociekała zdumiona. – Nie zapytałeś, co studiuje Ola? Gdzie pracuje Beata? Dlaczego wrócili z Poznania do Szczecina?

– Ogólnie tak... Opowiedziałem o skasowaniu beemwicy. Pytał, co robiłem u radcy prawnego. Bartek mówił, że motor chce kupić.

Westchnęła ciężko i odpuściła sobie dalsze przesłuchanie. Najwyraźniej Beata podzielała jej los: nawet rozmawiać o nich nie warto.

Szatkując cebulę na leczo, pocieszała się, że za kilka godzin pogadają sobie do woli, zarówno na temat tego, co wydarzyło się w ich życiu, jak i tego, co – niestety – się nie wydarzyło. Robert z Bartkiem na bank upiją się do nieprzytomności, jak dawniej, a o żonach przypomną sobie dopiero wtedy, gdy na stole czegoś zabraknie.

Nasze imprezy były naprawdę fajne... – westchnęła z nostalgią. – Ale jak myśmy się umawiali? Skąd wiedzieliśmy, kto do kogo i o której przychodzi? Nie mieliśmy przecież telefonów. Mniejsza o komórki z filmów science fiction, ale nawet stacjonarnego nam nie zamontowali. Telepatycznie ustalaliśmy godziny czy co? – Zmusiła szwankującą pamięć do intensywnej pracy, aż wreszcie pacnęła się cebulą w czoło. – No tak! Robert z Bartkiem robili za „głuchy telefon”, umawiali imprezy i przekazywali nam



wiadomości...

CUDZE CHWALICIE, SWEGO NIE ZNACIE,  
SAMI NIE WIECIE, CO POSIADACIE.

(Stanisław Jachowicz)

W jednym miesiącu zaliczyli wpadkę, z różnicą dwóch tygodni stanęli na ślubnym kobiercu, a magisterkę bronili w tym samym dniu, u tego samego promotora. Nawet tytuły prac mieli identyczne. Różniły się zaledwie dwoma słowami: u Roberta był „fluorokrzemian sodowy”, a u Bartka „kwas fosforowy”.

Czasy były takie, że to nie ludzie szukali roboty, lecz robota ludzi, więc po odebraniu dyplomu ganiłi od zakładu do zakładu i tylko wybrzydzałi na warunki – musieli wszak zapewnić byt całej rodzinie. Koniec końców zatrudnili się w Policach – kombinat chemiczny najwidoczniej potrzebował fachowców od fluorokrzemianu sodu tudzież kwasu fosforowego, bo oprócz niezłej pensji zaproponowano im mieszkania zakładowe. Podobny luksus mało komu był wtedy dany, zatem zgodzili się z pocałowaniem ręki. Potem trochę kręcili nosem: liczyli na zameldowanie przez ścianę w jakimś polickim hotelu robotniczym, a tymczasem pracodawca rozrzucił ich po Szczecinie: Bąki do wieżowca na Niebuszewie, a Gawrony – na Pomorzanach.

Dwaj muszkietierowie dotkliwie przeżywali rozłąkę, a na pytania o przyczynę rozpaczali odpowiadali żonom jednym głosem: „Co wy wiecie? Co wy rozumiecie? Myśmy razem pięć lat w akademiku spędzili, a teraz nas rozdzielają i każą mieszkać z obcą babą!”. Zdarzało im się głośno marzyć: „To może my we dwóch pójdziemy na Niebuszewo, a wy na Pomorzany? Albo my na Pomorzany, a wy na Niebuszewo? Bo nam w zasadzie wszystko jedno gdzie. Ważne z kim”. Udawały rozbawienie, a po cichu zastanawiały się, w ilu kościołach zamówić mszę za długie życie tego, kto przydzielił im odległe lokalizacje.

Ku uciechu panów w robocie ich nie odseparowano – pracowali ramię w ramię, tworząc centrum zarządzania rodzinnymi spotkaniami.

– Zaprosiłem Gawronów na sobotę. Przyjdą koło szóstej.

– Beata kazała ci przekazać, że jutro o jedenastej będzie z Olą w parku. Masz czekać tam, gdzie zawsze.

I tak, mimo braku telefonu oraz dzięki „rozbiciu dzielnicowemu”, kontakty towarzyskie Bąków z Gawronami kwitły – na zdrowym, a nie patologicznym gruncie.

Świeżo upieczone żonki-mamusie pękały z dumy. Ich koleżanki po ślubie zwykle pomieszkiwały kątem we wnęce korytarzowej u teściów, a one już na starcie dostały od Roberta i Bartka pałace. To znaczy trzydziestometrowe kawalerki: pałace może ciut ciasne, ale własne!

Prześcigały się w pomysłach na ich urządzenie. Świat nie znał wtedy słowa „logistyka”. One też go jeszcze nie znały, a już potrafiły zastosować rozwiązania, jakie nie śnią się dzisiejszym dizajnerom.

– Pralkę kupiliśmy! – zakomunikowała pewnego dnia Beata. – Automatyczną. Jutro Bartek będzie mnie uczył ją obsługiwać. Mam nadzieję, że dam radę... – Pralka miała jeden przycisk i jedno pokrętko, ale w porównaniu z Franią wyglądała jak statek kosmiczny, więc było czego się bać.

– Fajnie masz... – Marta wszystko prała ręcznie, a większe rzeczy, na przykład pościel, deptała nogami w wannie o rozmiarach metr na pół metra. W niewiele większej łazience. Bąki miały identyczną, zaintrygowała ją więc bardzo istotna kwestia: – Gdzie ją wstawicie? Przecież to wielkie pudło.

– Nie zgadniesz, na co wpadłam. Bartek kupi mocne deski i ułoży je tak, żeby łączyły brzegi wanny. Postawimy na nich pralkę. Super, nie? – Energicznym potakiwaniem Beata nagrodziła własną genialność. – I węża nie trzeba będzie nigdzie podłączać, naturalny odpływ: do wanny.

– Ale jeśli wstawicie pralkę do wanny, gdzie będziecie się kąpać? U sąsiadów? Możecie u nas. Tylko daleko trochę...

– Skup się! Pralka nie będzie w wannie. Będzie nad wanną. Na deskach stanie, opartych o brzegi wanny. Nie rozumiesz?

– Rozumiem! – odpowiedziała Marta równie niecierpliwie. – Ale jeśli zabudujecie od góry wannę deskami i ustawicie na nich pralkę, to gdzie się będziecie kąpać? O to się pytam!

– Nie, nie... – Beata machnęła ręką. – Wszystko obliczyliśmy co do centymetra. Głównie klatę Bartka, żeby sprawdzić, czy się zmieści i da radę się wykapać. Na szczęście się zmieści.

– Jezu! Gdzie Bartek ma się zmieścić?

– Ojej! Nie zabudujemy deskami całej wanny. Zostanie trochę miejsca, żeby się wsunąć pod spód. Załapujesz?

– No... A nie boicie się, że pralka na kogoś spadnie w czasie kąpieli?

– Boimy się. Dlatego Bartek musi znaleźć bardzo mocne deski.

Po powrocie z parku Marta natychmiast wymierzyła wannę oraz szczelinę, w jaką mogliby się z Robertem wsunąć, gdyby na górze stanęła pralka. Wyszło dziewiętnaście i pół centymetra.

Porażka!

Przez kolejne lata przyszło jej pracować pościel przez deptanie, ale za to miała inne sukcesy aranżacyjne.

– Dominik jest na tyle duży, że kupiliśmy mu amerykańkę.

– Naprawdę?! – Beata aż jęknęła z zazdrości. Odkąd Ola wyrosła z niemowlęcego łóżeczka, spała z mamą i tatą na rozkładanej kanapie. – A gdzie wstawiliście?

– W lewy narożnik. To mebelek typu „junior”: złożony w fotel liczy metr dwadzieścia z oparciami. Miejsca było na metr czterdzieści, więc Robert wymyślił, że małe półeczki jeszcze zrobi między regałem i amerykańką. Nawet zaczął, ale przywalił młotkiem w palec... – Krótkim westchnieniem Marta podsumowała trzeci w miesiącu wypadek męża. – Powiedział, że dokończy, ale muszę poczekać, aż paznokcie mu do końca zejdzie. Dałabym się pokroić, że poczekam co najmniej rok. Mówię ci, moje pazury rosną w krogulczym tempie, a u niego w miejscu stoją. Wiem, że jest lekko opóźniony w rozwoju, ale żeby nawet z paznokciami nie nadążał? Widzisz, co ja z nim mam?

Beata pominęła milczeniem kontuzję Roberta. Gdyby była jego żoną, wyniosłaby z domu wszystkie ostre i ciężkie przedmioty. Nie musiałyby mieć żadnych półek. Wystarczyłby jej ciepły mąż i fajny ojciec dla Oli. Bartek nigdy się niczym nie pokaleczył ani nie poobijał. Montując pralkę na wannie, zadbał o supermocny drewniano-metalowy stelaż – prędzej strop by się zarwał niż jego konstrukcja. Szkoda, że serce, zarówno dla żony, jak i dla córki, również miał drewniano-metalowe...

– W dupie z ich nadążaniem i nienadążaniem! – zaśmiała się beztrąsko. – Weź lepiej wyjaśnij, jakim cudem zmieściliście amerykańkę w pokoju. Lewy narożnik miałaś wolny, bo drzwi się na ten kawałek otwierają. Wyjęliście z futryny?

– Coś ty? Gdzie bym wtedy wieszala kurtki i płaszcze? – Przedpokój był połowę mniejszy od łazienki, więc jesienią i zimą drzwi z łazienki i pokoju robiły za garderobę.

– W takim razie nie rozumiem, skąd wolne miejsce.

– Nie uwierzysz, na co wpadłam! Przecież kiedy drzwi są zamknięte, to jakby ich nie było, nie?

– No... – przytaknęła niepewnie Beata.

– I stąd wolne miejsce!

– Nadal nie rozumiem.

– Ojej! To proste: najpierw idziemy się po kolei kąpać, sikać, myć zęby... – Marta opisywała cowieczorną rzeczywistość. – Potem wchodzimy razem do pokoju, zamykamy drzwi i rozkładamy amerykańkę.

– Czyli barykadujecie wyjście z pokoju na amen?

– Jakie „na amen”? Tylko do rana. A rano składamy, otwieramy drzwi i wychodzimy.

– Aha... – Beata, przekonana, że wyłącznie ona posiada dziwne procedury mieszkaniowe, zrozumiała, iż życie przyjaciółki stanowi bardziej skomplikowaną materię. – Czyli chodziecie spać po dobranocce? Razem z Dominikiem? Bo przecież jak mu pościelicie, to koniec. Do rana nie macie wejścia ani wyjścia. Nocniki kupiliście razem z amerykańką?

– Kochana! Widziałaś, żeby Dominik poszedł kiedyś spać po dobranocce?! Szaleją z Robertem do dwunastej. W ogóle by się nie kładli i bawili do rana, gdyby nie ja. Zapomniałaś, że mam nienormalnego męża?

– Racja. – Kiwnęła głową Beata. – Zapomniałam...

Jej mąż był „normalny”: nigdy nie bawił się z Olą. Bo niby czym i w co? Lalkami w dom? Nie miał pojęcia o życiu domowym, więc nawet gdyby chciał, toby nie umiał. Inne zabawy również go przerastały. Gdy poprosiła, aby nauczył córkę jazdy na rowerze bez bocznych kółeczek, wrócił po dziesięciu minutach: „Nie da się. Błędnik chyba ma uszkodzony. Na twoim miejscu poszedłbym z nią jutro do lekarza, żeby ją zbadał”. Zamiast do lekarza poszły do parku, z którego Oleńka wróciła do domu, śmigając na dwóch kółkach. Tatuś, owszem, pochwalił, ale gdy dowiedział się, ile czasu zajęła im nauka, szepnął do Beaty: „Jeśli wszystko będzie przyswajać w takim tempie, podstawówki nie skończy. Rób, jak uważasz, ale ja bym ją przebadał”.

– Ano właśnie! – stękała Marta. – Kiedyś z nim zwariuję. Nie znam dnia ani godziny, kiedy coś wywinie.

– Nie przesadzaj...

– Tak? Posłuchaj, co mi ostatnio zafundował. Wiesz, że na sobotę i niedzielę przyjechało do Szczecina wesołe miasteczko?

– Mhm... – Beata chciała się wybrać, ale mąż miał inne plany. Zapakowali namiot i spędzili weekend na brzegu dolnej Odry. On łowił ryby, a ona z Olą wykorzystywały dary lasu i budowały domki dla szyszkowo-żołędziowych laleczek. Kiedy spytała, czemu Gawrony z nimi nie jadą, Bartek aż poczerwieniał: „Przestań! Lubię Martę, ale nie wytrzymałbym marudzenia, że namiot za niski, a drzewa za wysokie. Tylko jej tego nie mów, dobra?”. – I co? Byliście na karuzelach? Nam się nie udało. Do teściów pojechaliśmy...

– Oszalałaś? Mało mi karuzeli w domu? – prychnęła Marta. – Zabrał Dominika i poszli we dwóch. Umówiliśmy się, że wrócą na obiad, na piętnastą. Ugotowałam, nakryłam punktualnie, a ich nie ma. Szesnasta – nie ma... Siedemnasta – nie ma... Boże jedyny! Nie wiedziałam, na milicję lecieć czy po szpitalach ich szukać. Myślę sobie: jak nic urwały się te okropne krzeselka z łańcucha. Płakałam i czekałam, kiedy zastuka w drzwi smutny pan w prochowcu i poprosi o zidentyfikowanie zwłok... – Zatrzęsa się na to wspomnienie. – A oni wrócili trzy godziny spóźnieni: rozbawieni, zadowoleni, beztroscy. I nie uwierzysz... Z chomikiem!

– Z chomikiem? Wygrali na strzelnicy?

– Nie! Kupili na giełdzie małych zwierząt, która rozłożyła się obok wesołego miasteczka.

– Aha... Czyli macie nowego domownika? – Beata mogła tylko pomarzyć o równie spontanicznym

zachowaniu swojego męża.

– Domownika? Szczur obrzydliwy, z zębami do ziemi. Dziabnął mnie, ledwo rękę wyciągnęłam. Nienawidzę go!

– Kogo? Chomika czy Roberta?

– Jednego i drugiego! Obu bym się pozbyła! Jak zwykle nikt nie zapytał mnie o zdanie, postawili mnie przed faktem dokonanym... – Marta ze złości przeszła w bezsilność. – Co mam teraz zrobić? Wyrzucić zębatego futrzaka za okno? Przecież tatuś kupił dla synka. Bo synkowi tak bardzo zależało. A czy mnie to pasuje? Czy należało to ze mną uzgodnić? Oczywiście, że nie! Odgrzewany obiad pominę...

– Ciesz się, że ugryzł ciebie, a nie Roberta. Trzymaj ich z daleka, bo nieszczęście gotowe. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby chomik dziabnął go w schodzący paznokieć?

– Problem w tym, że się zaprzyjaźnili i wcale nie mają zamiaru się gryźć! – Ton Marty świadczył, że naprawdę nie wie, którego bardziej nienawidzi. – Bawią się w najlepsze.

– Biegają razem w kołowrotku?

– Żeby w kołowrotku! Wymyślił coś ciekawszego: wrzuca chomika za koszulę, a potem zapina szczelnie kołnierzyk i rękawy. Kubuś... tak nazwali tego głupiego zwierzaka... Kubuś lata po nim, szukając wyjścia. Oczywiście Dominik też tak chciał, ale nie ma żadnej prawdziwej, zapinanej na guziki koszuli. Poryczał się z zazdrości, więc Robert obiecał, że mu taką kupi. I w poniedziałek wrócił z pracy z koszulą dla Dominika. Teraz chomik lata raz po jednym, raz po drugim, a szczytem zabawy jest przekazywanie sobie Kubusia za pomocą tuneli z rękawów. Wyobrażasz sobie?!

– Średnio... – Beata, z wiadomych powodów, zupełnie sobie tego nie wyobrażała. – Gdzie dał radę kupić koszulę?

– Nie znasz go. Kiedy mu na czymś zależy, spod ziemi wydobędzie.

– Koszuli chyba spod ziemi nie wydobył?

– Łaził po ludziach i dotąd pytał, aż mu w końcu kobieta z portierni podpowiedziała, że w Policach mają sklepik z dewocjonaliami, gdzie sprzedają między innymi chłopięce koszule do komunii.

– Rozumiem.

– To ci zazdroszczę, bo ja nie! Jak można wydać pieniądze na komuniijną koszulę dla chomika?

– Dla Dominika – poprawiła Beata.

– Właśnie że nie! Dominik nie potrzebował koszuli! Robert ją kupił dla chomika! Jakkolwiek by patrzeć, kupił chomikowi koszulę do komunii! – Marta gotowała się ze złości, a chichot przyjaciółki zdenerwował ją jeszcze bardziej. – Bawi cię to, bo masz normalnego męża, więc nie potrafisz sobie wyobrazić, co znaczy życie z jełopem! Wesołe nie jest.

– Przepraszam... – Beata jak zwykle nie przyznała się, że marzy o życiu z jełopem. Woląla zmienić temat. – Wpadniecie do nas w sobotę? Albo za miasto wyskoczymy, jeśli pogoda dopisze? Ty ugotujesz jajka, ja zrobię małosolne... – starała się udobruchać Martę. – Chłopaki ustalą szczegóły.

– Na mnie nie licz! Niech Robert jedzie sam. To znaczy z Dominikiem. I z Kubusiem.

– Przestań się gniewać. Nie chciałam cię urazić.

– Zwariowałaś? – Marta uśmiechnęła się ciepło, ale zaraz potem zacisnęła usta. – Na Roberta się gniewam, nie na ciebie. Mamy ciche dni.

– Do soboty mnóstwo czasu. Przejdzie ci.

– Po takim numerze? I moich nerwach, że się na krzeselkach pozabijali, a oni zamiast tego przynieśli Kubusia? I forsie wyrzuconej w błoto na koszulę komuniijną dla obrzydliwego gryzonia? Nie! – Poderwała się z parkowej ławeczki. – Do soboty na pewno się do niego nie odezwę!

Rzeczywiście, Gawrony spotkały się z Bąkami dopiero pod koniec miesiąca. Było wesoło, miło, sympatycznie. Na wszelki wypadek nikt nie zapytał o chomika. Wszystko wróciło do normy.

Wprawdzie nie na długo, bo Robert miał dar wyprowadzania żony z równowagi, więc po paru dniach względnego spokoju znów czymś jej się narażał, a ona znowu wpadała w swój cykl: najpierw wrzask, od którego pękało szkło, a potem kilka dni ciszy, od której dzwoniło w uszach.

Bąki jakoś się do tego przyzwyczyły. Gdy zbliżały się ważne rodzinne uroczystości, Beata błagała męża: „Za tydzień urodziny Oli. Będzie jej przykro, jeśli Dominik nie przyjdzie. Poproś Roberta, żeby nie wywinął czegoś w międzyczasie i nie zdenerwował Marty”.

Bartek na podobne apele wzruszał ramionami: „To nie on wywija, tylko ona. Z nią gadaj o urodzinach Oli i ją poproś, żeby nie wywijała”.

Mimo drobnych towarzyskich zawirowań oba małżeństwa przez lata pozostawały w przyjaźni i nie mogły bez siebie żyć.

PIENIĄDZE ALBO ŻYCIE!  
– ZŁODZIEJ ZOSTAWIA NAM WYBÓR,  
ŻONA ŻĄDA JEDNEGO I DRUGIEGO.

(George Byron)

W dziewięćdziesiątym piątym roku polickie zakłady chemiczne przekształciły się z państwowego przedsiębiorstwa w spółkę akcyjną. Skutki tego pociągnięcia dotknęły wszystkich: od dyrekcji aż po portierkę znającą namiary na koszule dla chomików. Niezależnie od wykształcenia czy stanowiska jedni nie umieli się odnaleźć w trybach restrukturyzacyjnej maszyny, a drudzy te tryby napędzali.

Robert należał do nieufnych i wycofanych. Ku przerażeniu Marty coraz częściej wspominał o odejściu z pracy. Natomiast Bartek jakby skrzydeł dostał – zapisał się na wszelkie możliwe kursy, wyjeżdżał za granicę na szkolenia, błyskawicznie awansował coraz wyżej i wyżej. Beata była z niego dumna i po raz pierwszy nie zazdrościła przyjaciółce – współczuła jej.

– Zdechniemy z głodu. Zobaczysz, że tylko dla Kubusia jedzenia starczy. I dobrze. Musi być tusty, bo niedługo podam go na obiad.

– Przesadzasz! – Nie miała odwagi spojrzeć Marcie w oczy, więc obserwowała dzieci. Dominik pomagał Oli naprawić rower, którym właśnie wjechała w kosz na śmieci i wykrzywiła ramę. Gdyby dziewczynka patrzyła przed siebie, zauważyłaby przeszkodę, ale wciąż oglądała się na niego, bo gonił ją, pedałując zawzięcie. – Mam nadzieję, że Olcia znajdzie w Poznaniu równie fajnego kumpla.

– W Poznaniu? O czym ty mówisz?

– Przeprowadzamy się. Bartek nawiązał kontakty, dostał korzystną ofertę pracy... Nie chce dojeżdżać do Szczecina na weekendy, a że dają mu mieszkanie, ściąga nas do siebie.

– Nie! Tylko nie to! Już całkiem sama zostanę?

– Będziemy się odwiedzać. A sama nie zostajesz. Masz przecież męża i syna.

– Nie mam ich. To oni mają mnie!

– Jak zwał, tak zwał...

– Robert na pewno wie o waszej przeprowadzce? – Kiedy Beata przytaknęła, Marta zacisnęła pięści. – Oczywiście! To jego ulubiona zabawa: „a dziad wiedział, nie powiedział”. Musiałby mnie pocieszać i patrzeć, jak... jak płaczę... – Głos jej się załamał. – Dziewczyno, nie rób mi tego.

– Myślisz, że jestem szczęśliwa? Nikogo tam nie znam. A Ola? Jeszcze nic nie wie. Strach pomyśleć, jak zareaguje.

– Więc zostań, a on będzie dojeżdżał na weekendy.

– Próbowałam go przekonać, ale grochem o ścianę... – Ciężkie westchnienie potwierdziło efekt bezowocnych negocjacji. – Mówi, że nie po to się żenił, by samemu robić zakupy, odkurzać, myć okna i stołować się w barze mlecznym.

Marta rozplakała się na dobre, wiedząc, że to koniec.

Mogłaby walczyć, gdyby Bartek ściągał Beatę do Poznania z romantycznych pobudek, śpiewając przy

księżycu: *snu już nie znam, step odmierzam, by odnaleźć cię*, podobne bzdury łatwo wyśmiać i obalić.

Ale z tęsknotą za garami i ścierami nie sposób dyskutować. Uświadomiła sobie beznadziejność sytuacji: Beata wyjedzie. Przecież musi mu sprzątać i gotować. Marta postąpiłaby dokładnie tak samo. Też przeprowadziłaby się za Robertem do Poznania, Radomia, Ustrzyk Dolnych i Górnych.

– Rzeczywiście, nie masz wyjścia. Cud, że tyle miesięcy sam dawał radę. Mój trzech dni by nie wytrzymał. Przy pierwszym sprzątaniu albo by się zabił, albo przynajmniej pokaleczył... – Zamaszystym ruchem wytarła jednocześnie nos i powieki: dość mazania, trzeba kolejny raz wziąć się z życiem za bary!

– Przedwczoraj zapchała nam się wanna. Nasypał zajzajer, zalał wrzątkiem, ale nic nie gulgotało, to wsadził palec, żeby zamieszać. Chwała Bogu, że odpływ ciasny i tylko palec się zmieścił, bo zżarłoby mu rękę po łokieć. Sama powiedz: czy on jest normalny? – Śmiechem maskowała rosnący żal: do przyjaciółki, że wyjeżdża, do męża, że o tym nie powiedział, do Bartka, że rozdziela je na zawsze.

– A co planuje w związku z pracą? Zostaje w Policach? – zapytała Beata.

– Chce jak najszybciej stamtąd uciec. Dobry pomysł. Cud, że wciąż żyje, pracując w pobliżu chemikaliów... Za tydzień ma rozmowę kwalifikacyjną w firmie ubezpieczeniowej. Jeśli go przyjmą, natychmiast każe mu wykupić polisę. Durny łeb niech ubezpieczy na złotówkę, ale każdy palec u ręki na miliony. A że palców ma dziesięć i wiecznie wtyka je nie tam, gdzie trzeba, to w przyszłym roku z pieniędzy za odszkodowanie kupię Pałac Kultury i Nauki. Zostawię jedno piętro specjalnie dla was. Zawsze będziecie mogli do nas wpaść. Ile jedzie pociąg z Poznania do Warszawy? Pięć godzin? Sześć? – trajkotała Marta. – Na taksówce z dworca zaoszczędzicie, bo to przecież rzut beretem... Które piętro sobie życzysz?

– Wszystko jedno – zachichotała Beata. – Mogą być podziemia.

– Coś ty? W podziemiach służba będzie mieszkać!

Siedziały na ławeczce, na przemian śmiejąc się i płacząc. Poprzysięgły sobie dozgonną przyjaźń, której niestraszna żadna odległość. Poznań nie Madagaskar, więc zaplanowały wspólne imprezy, ferie i wakacje na kilka najbliższych lat. Ze wzruszeniem patrzyły na Olę i Dominika, myśląc w duchu, jak to by było cudownie zostać kiedyś teściowymi.

– Umrę tu bez ciebie.

– Przynajmniej będziesz umierać na swojej ziemi, a ja? W zaborze pruskim! – Beata zamachała rękami, aby przegonić łzy. – Boże! Jak ja nie chcę tam jechać. Ale muszę... Rozumiesz, że muszę?

– Pewnie. Musisz. Nie po to jesteś żoną, żebyś robiła, co chcesz.

– Trafnie to ujęłaś.

– Bo jestem żoną. – Uśmiechnęła się smutno Marta. – Od dnia ślubu robię tylko to, co oni chcą... Rozumiem cię. – Pokiwała głową. – A może nie będzie tak źle? Może pójdziesz do pracy? Znajdziesz sobie towarzystwo?

– Bartek nigdy nie pozwoli mi iść do pracy. Nie znasz go?

– Fajnie masz. Ja niedługo będę musiała się za czymś rozejrzeć. Robert zapowiedział, że bym zapomniała o pensji, jaką dostawał w Policach. No i socjalne odpadnie. Kto dzisiaj ma fundusz wczasów zakładowych albo tym podobne? Przecież nie prywatna firma ubezpieczeniowa. Dobrze, że mieszkanie zdążyliśmy wykupić na własność...

Rzeczywiście utrzymywali później kontakt, ale coraz rzadziej. Ostatnie wspólne wakacje bardziej przypominały wymuszony wyjazd integracyjny niż przyjacielski wypad nad morze.

Dominik z Olą w ogóle się nie dogadywali, demonstrując w całej krasie uroki nastoletniego buntu: on nie wyłączał walkmana i wypowiadał trzy słowa na dobę, a ona z chorobliwym natręctwem smarowała się olejkami do opalania i krzywiąc usta, wydłubywała z koca pojedyncze ziarnka piasku.



Panowie, starym zwyczajem, znikali wieczorami na męskie piwo, ale zaraz potem uciekali do własnych sypialń, by zrelacjonować wybudzonym żonom swoje odczucia.

– Poznań całkiem mu w głowie poprzewracał. Będzie mnie pouczał i radził, co mam robić? – Robert tłuł się między łóżkiem a szafą. – Srala-mądrala.

– Kładź się! – Marta naciągała kołdrę i wpychała luźne kawałki poszewki w uszy. – Przestań gadać, bo głównie mnie to obchodzi!

Beata też nie miała łatwo.

– On w jakimś innym świecie żyje. Odleciał z orbity! – zżymał się Bartek. – Powiedział, że się szwedzkim palantom sprzedałem!

– Zgaś światło... – prosiła i chowała się pod kołdrę.

Ale i one, chociaż niby nadawały na tej samej fali, również traciły kontakt.

Marta w międzyczasie skończyła specjalistyczny kurs pielęgniarstwa i podjęła pracę w świetlicy opiekującej się chorymi na alzheimera. Miała na głowie dom i robotę, bo ani Robert, ani Dominik nie zauważyli, że zaczęła pracować i ma teraz znacznie mniej czasu na spełnianie ich zachcianek. Wręcz przeciwnie, jakby na złość, jedli dwa razy więcej i bałaganili trzy razy bardziej niż kiedyś. Doba jej się skurczyła, a mężczyźni rozrośli: Dominik przeistaczał się z pokracznego chłopca w przystojnego mężczyznę, a Robert – z przystojnego mężczyzny w tyjącą pokrakę, bo żeberka, golonka, ciasta i piwko zbudowały mu sylwetkę, dzięki której czuła się przy nim wiotką trzcinką.

Opieka nad chorymi w pracy i dogadzanie zdrowym w domu były tak eksploatujące, że wieczorem właściwie bardziej traciła przytomność, niż zasypiała. Na długo wyczekiwanym urlopie marzyła zatem wyłącznie o ciszy, spokoju i śnie.

Beata przyjechała nad morze z odwrotnymi oczekiwaniami – po ciszy i spokoju w domu chciała się śmiać, gadać i bawić do białego rana. W Poznaniu nie znalazła żadnej przyjaciółki ani nawet koleżanki. Zajmowała się jedynie obskakiwaniem męża.

Oleńka, chociaż histerycznie zareagowała na przeprowadzkę, szybko zapomniała o Szczecinie, a z każdym rokiem zdawała się zapominać o rodzicach. Planowała spędzić te wakacje na młodzieżowych obozach, jednak Beata zarządziła, że pierwszą połowę lipca ma zarezerwować na wyjazd z mamusią, tatusiem, ciotką, wujkiem i Dominikiem. Dziewczyna zagroziła, że umrze z nudów, ale fochami nic nie zdziałała, więc rada nierada pojechała „ze starymi nad głupie morze”, gdzie od rana do nocy chodziła z dramatyczną miną.

Zachowanie córki irytowało Beatę. Początkowo wstydziła się za nią, ale gdy zobaczyła „głuchoniemego” Dominika, uznała, że młodzi są sobie warci. Trzeba tylko prosić Boga, aby chłopak nie dostał zapalenia uszu od dwutygodniowego zatkania słuchawkami i żeby Ola nie złapała parcha od natłuszczenia skóry.

Podzieliła się swoim pobożnym życzeniem z Martą, ale nie zobaczyła na jej twarzy nawet cienia uśmiechu.

– On się nie zatkał na dwa tygodnie. On jest wiecznie zatkany słuchawkami.

– Aha... – Czyli z ich córką nie jest źle; była raczej dobrym dzieckiem i pierwszy raz urządziła ostentacyjny bojkot. Zapewne z zemsty za zepsucie wakacyjnych planów. – A Dominik czasem coś mówi?

– Mówi. Potrafi nawet parę zdań zbudować: „Co na obiad?”, „Kiedy kolacja?”... – Oskrobany młody ziemniaczek wpadł do garnka z takim impetem, że woda ochlapała je obie. – Erudyta, po ojcu!

Wprawdzie wieczory nie spełniały nadziei Beaty na szaloną zabawę, bo Marta kładła się spać zaraz po kolacji, ale w ciągu dnia mogły się nagadać. Głównie przy okazji szykowania posiłków: razem cięły, szatkowały, skrobały, tarły. Nikt im wtedy nie przeszkadzał, bo kto niby – oprócz nich – miałby w tym towarzystwie ciąć albo szatkować?

Chociaż gadały godzinami, to zamiast zbliżyć się do siebie, obydwie czuły, że coraz bardziej się oddalają. Każda rozmowa uświadamiała im przepaść, jaka dzieli ich światy. Właściwie łączyło je już tylko narzekanie na mężów, których paradoksalnie wciąż sobie zazdrościły.

– Myślałam, że najgorsze, co Bartek może mi zgotować, to idiotyczne nazwisko. Ale przeprowadzką do Poznania wszystko przebił. Zdycham z nudów.

– Chętnie bym się z tobą zamieniła. – Marta też zdychała, ale ze zmęczenia.

– Wydaje ci się. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

– No właśnie.

– Wiesz, że postanowił wziąć kredyt i budować dom?

– Nie. – Robert ani słowem się o tym nie zająknął, wolał marudzić rozespanej żonie, że najserdeczniejszy kumpel sprzedał się szwedzkim palantom i za chwilę tacy jak on doprowadzą do czwartego rozbioru Polski, w którym po raz pierwszy udział weźmie Skandynawia. – Złóścisz się, że będziesz miała dom?

– A z czego mam się cieszyć? Po pierwsze, boję się dużych kredytów, a po drugie, jestem pewna, że cała budowa spadnie na mnie. Nie wspomnę, że działka na wypiórdziejewie. Godzinę drogi od centrum.

– Dobrze będzie... – Nie miała zamiaru współczuć Beacie własnego domu.

Też zastanawiała się nad wzięciem kredytu, żeby wreszcie pralka do łazienki weszła i drzwi pokoju stały otworem, gdy komuś się zachce za potrzebą.

Firma ubezpieczeniowa okazała się dobrym pracodawcą. Połączone zarobki umożliwiły zakup przestronnego, trzypokojowego mieszkania, ale jełop trząsł tyłkiem na każdą zmianę. Mnożył problemy i wygłaszał teksty w stylu: „Jeśli coś się stanie, bank położy łapę na naszych pieniądzech i pod mostem wylądujemy!”. Bał się trzech pokoi, a co dopiero działki i domu?

Niechże zatem Beata przestanie marudzić!

– Rwij sałatę, a ja pójdę do kuchni i przygotuję sos.

– Dobrze.

Gdy Beata usiadła na ganku i darła zielone liście, zjawili się panowie. Po śniadaniu poszli wędkować i właśnie wracali z pustymi rękoma, za to mocno podchmieleni.

– Wstaaań, unieś głowę, wsłuuuchaj się w słowa pieeeśni o małym ryceeerzu!

– Gdzie rybki? – Marta stanęła w progu. Mieszała jogurt z sokiem z cytryny. Wyglądała, jakby własnymi zębami wycisnęła ten sok, a resztki mięszu wciąż trzymała w ustach.

– Ciesz się, że bez rybek wracamy! – Robert zignorował kwaśną minę żony. – Znacie ten kawał? Przychodzi facet do domu z niezłą laską przy boku. Żona się drze: „Gdzieś był?”. On: „Na rybkach”. Żona znowu się drze: „A ta pani kim jest?”. Mąż bierze laskę za rękę i mówi: „Rybko, przedstaw się”.

Bartek zarechotał tak głośno, że nawet Dominika wyrwało z letargu: wstał z odwróconego tyłem do całego świata leżaka i zaintrygowany ściągnął słuchawki.

– Co na obiad? – Robert mrugnął wesoło do Marty. – Rybko!

Miała ochotę go zabić. Za to, że głupi, że niedojda, że domu nie zbuduje.

Odwróciła się na pięcie i uciekła przed wstydem.

– Tato, pokopiemy trochę?

– Dobra! Ale po obiedzie. Rybki posprzątają, a rybacy zagrają. Prawda, Bąku?

– Jasne – potwierdził ochoczo Bartek. – Olusia, idziesz z nami? – zagadnął siedzącą na kocu córkę.

– Nie.

– Czemu?

– Też jestem rybka?

– Oczywiście. Najładniejsza ze wszystkich.

– A widziałeś rybkę, co się pcha do rybaków? – Pannica wzruszyła ramionami i wyduła usta. – Za takie sieci... – obrzuciła całą trójkę pogardliwym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na Dominiku – ... dziękuję... – Podniosła się, przemknęła przez kłującą trawę i zniknęła za rozwieszoną w drzwiach kurtyną z drewnianych koralików.

– Oj, Bąku, rośnie ci zołza! – zarechotał Robert. – Chwała Bogu, że ja mam syna. – Poczochrał czuprynę pierworodnego. – Leć no i spytaj, za ile obiad. Głodny jestem jak cholera.

Kiedy Dominik wszedł do kuchni, Marta odcedzała ziemniaki, a Beata kończyła podsmażanie boczku z cebulką.

– Za ile obiad?

Obydwie zamarły, jakby nie wiadomo co powiedział.

– No widzisz? – Matka zamachała w jego stronę parującą pokrywką. – Mówiłam, że umie zbudować proste zdanie.

– O co chodzi? – Najeżył się: najpierw Olka patrzy na niego jak na śmiecia, a teraz te dwie jak na idiotę. – Tata kazał spytać.

– Przepraszam, tym razem tata mu dyktował... – Pokrywka delikatnie trąciła ramię Beaty. – Ale przysięgam, że bez podpowiedzi mistrza też dałby radę.

– O co chodzi? – powtórzył, bo wciąż nie rozumiał.

– Słyszysz? – Marta ponownie zamachała pokrywką do przyjaciółki. – Znowu zbudował całe zdanie!

– Uważajcie, bo pękniecie ze śmiechu. – Ostentacyjnie odwrócił się na pięcie.

Niestety, podczas ostatniego wspólnego urlopu Bąków i Gawronów niewiele było wesołych momentów. Znacznie częściej dąsali się na siebie, niż razem bawili. Owszem, zdarzały się fajne sytuacje, ale przeważały sprzeczki między żonami, mężami, dziećmi. Rozjechali się do Poznania i Szczecina bez ustalania planów na kolejne zimowe ferie i letnie wakacje. Turlali się, zderzak w zderzak, by pokonać ciąg nadmorskich deptaków, a gdy wreszcie dotarli do wylotówki, jeden samochód ruszył w prawo, drugi w lewo.

– Beata ma za dobrze. Nie to co ja! – Czekwała na reakcję męża, ale jej pretensja tradycyjnie trafiła na głuchą ciszę.

Też zamknęła się w milczeniu, choć kłębowisko myśli nie pozwalało się skupić.

– Szczecin, czterdzieści cztery kilometry... – odczytała informację wypisaną na autostradowej tablicy. – Rozpakujecie samochód, a ja polecę na zakupy. Przygotuję kolację, potem zrobię pranie.

Znowu cisza.

– Czemu nie wspomniałeś, że kupili działkę i będą stawiać dom? – Uznała, że czas wyciągnąć strusiowi łeb z piachu.

– A co? Też chcesz dom?

– Nie. Wystarczy mi jeszcze jeden pokój. Czy zauważyłeś, że w porównaniu z nimi...?

– Zauważyłem! – przerwał szybko. – Chciałem z tobą o tym pogadać dopiero wieczorem, ale widzę, że nie dasz mi nawet godziny spokoju. No więc dobrze! Dostaniesz te swoje wymarzone dwa pokoje plus sypialnię. W poniedziałek zacznę załatwiać wszystkie bankowe papiery. Poproś w kadrach o zaświadczenie o dochodach. Natomiast co do Bąków... Bartek kompletnie zdziwaczał. Uprzedzam, że nigdy nie będę taki jak on. Nie doczekasz się ani domu, ani nawet działki... – Robert oderwał wzrok od drogi i popatrzył na Martę, spodziewając się zaciętych ust. – Uśmiechasz się? Co to ma znaczyć?

– Szczyt radości!

– Bo nie będziesz miała domu?

– Bo będę miała sypialnię! – Głaskała go spojrzeniem od pedału gazu aż po zagłówek fotela. Nie

wierzyła, że tak gładko poszło. Dwie minuty temu kipiała złością, a teraz miała ochotę śpiewać ze szczęścia. Należało kuć żelazo, póki gorące, czyli stanąć murem za małżonkiem. – Wiesz? Beata też bardzo się zmieniła. Praktycznie nie miałyśmy o czym gadać. Żyje jak pączek w maśle, a bez końca utyskuje. Ciekawe, jak długo by z wami wytrzymała? Po trzech dniach albo by was zabiła, albo uciekła w siną dal. – Rozciągnęła uśmiech jeszcze szerzej z nadzieją, że nieudane wakacje naprawdę czegoś go nauczyły.

Niestety.

Robert nie miał pojęcia, że powinien odpowiedzieć: „Ja też bym z nią trzech dni nie wytrzymał. Dlatego jestem z tobą i nigdy nie zamienię cię na inną kobietę. Beata ci do pięt nie dorasta. Ani żadna inna. Może faktycznie mam trudny charakter, ale doceniam wszystko, co dla nas robisz, i naprawdę bezgranicznie cię kocham”.

Ba! Nawet gdyby dostał tekst na kartce, za żadne skarby by go nie odczytał. Po pierwsze, na pewno nie miał trudnego charakteru, a po drugie, nie wiedział, za co ma doceniać Martę, która przecież niczego szczególnego nie robi.

Jeśli wyróżniała się czymś niezwykłym, to wiecznym brakiem zadowolenia.

Ile trwała jej radość z decyzji o zakupie nowego mieszkania? Pół minuty!

Przez trzydzieści sekund uśmiech i ciepłe spojrzenie, a potem stara śpiewka: „Beata by z wami trzech dni nie wytrzymała. Żyje jak pączek w maśle, nie to co ja!”.

Od dawna bił się z myślami o kredycie. Przerazały go argumenty „przeciw”, ale przeważył powód „za” – Marta dostanie wreszcie parędziesiąt metrów kwadratowych, zajmie się urządzaniem i minimum przez rok nie będzie zrzędzić, głądzić ani wytykać wad. To było warte każdej ceny.

Nie był pewien, czy potrwa to aż rok, ale nie przypuszczał, że zaledwie pół minuty!

Piętnaście lat spłacania banku za trzydzieści sekund zadowolenia żony?! – szybko przeliczał w myślach kredyt. – Wychodzi równo sześć miesięcy za sekundę. Równy jak w mordę! Pół roku mojego płacenia rat i odsetek za jedną sekundę jej szczęścia! Czy jakikolwiek facet zgodziłby się na coś podobnego?!

Uznał, że jest skończonym idiotą i jeśli święty Piotr osobiście nie wyczyści mu butów, w których pójdzie do nieba, to znaczy, że nie ma sprawiedliwości ani na tym, ani na tamtym świecie!

Miał ochotę wysadzić ją na poboczu i odjechać w siną dal, gdzie żyłby sobie bez kredytów, bez marudzenia, bez ciosania kołków na łbie... Ale była matką Dominika, więc nie mógł tego zrobić. Jak dobrze, że jest Dominik...

– Synu! Ty z Olą też nie za bardzo, co?! – wydarł się na cały samochód, żeby dotrzeć do zatłoczonych muzyką młodych uszu. Nie zauważył, że żona omal zawału nie dostała przez ten niespodziewany wrzask. Zorientował się natomiast, że nadaremnie zdziera gardło. Zamachał więc kilka razy w kierunku tylnego siedzenia.

– Do mnie? – Chłopak odchylił lewą słuchawkę.

– Jak Ola?

– Nijak.

– Coś ty? – Robert mrugnął do wstecznego lusterka. – Fajna dziewczyna! Tylko rwać i płakać, że się starzeje!

Marta jęknęła. Żeby trzydziestoparoletni chłop ślinił się na myśl o piętnastolatce?

Miała na końcu języka kąśliwą uwagę, ale przypomniała sobie, że Robert jest cofnięty w rozwoju i dorasta równolegle z synem. Co z tego, że pije piwo, posiada dowód osobisty, a nawet prawo jazdy? Psychicznie jest teraz piętnastolatkiem, więc całkiem „mądrze” się odezwał jak na swój wiek...

Postanowiła nie przeszkadzać w rozmowie dwóch nastolatków.

– Widziałeś ją na plaży? Istna syrena.

– Bo zaplątała się nogami w wodorosty. – Dominik wyduł usta zupełnie jak Ola. – Coś jeszcze? – Ponieważ ojciec zaśmiewał się z żartu o wodorostach, a matka siedziała w złowrogim milczeniu, chłopak z powrotem zatkał sobie ucho słuchawką.

No i po rozmowie...

Przez czterdzieści kilometrów rozmyślała o przeszłości i przyszłości. Była pewna, że ostatni raz spędzili wakacje z Bąkami – dzieci totalnie straciły kontakt, ona z Beatą częściej milczały, niż rozmawiały, natomiast panowie popijali razem piwko, ale ich biesiady kończyły się krzykliwymi, mało zabawnymi dyskusjami, żeby nie powiedzieć – awanturami. Kłócili się, który mądrzejszy, a który głupszy; kto zaprzedał ideały, a kto zachował honor; co znaczy „honor” i czym są „ideały”...

Myślałby kto, Sokrates z Platonem rozstrzygają w Międzyzdrojach tajemnicę bytu!

Pitolili górnotłone farmazony, w których więcej było bluźnierstw niż normalnych słów, a że uczone dysputy trwały do białego rana, zdarzyło jej się kilka razy wyskoczyć na ganek.

– Zamknijcie się! – warczała zduszonym szeptem. – Trzecia w nocy, a wy klniecie na cały ośrodek!

– Ooo! Martuś przyszła... – Robert wyciągał ręce, próbując wstać. – Chodź do nas, kochanie... – Ciężko podnieść się z leżaka po pijaku, więc ledwo uniknął zaplątania się w płótno i przytrzaśnięcia palców drewnianymi listewkami. – Czemu nie śpisz?

– Bo drzecie mordy! – zachrypiąca wściekle. – Bądźcie ciszej! Nie umiecie normalnie rozmawiać?!

– Gawronowa! Czego się wtrącasz? – Bąk powstrzymał przyjaciela przed kolejną próbą dźwignięcia się z leżaka. – To są męskie rozmowy.

– Robert! – Wskazała mężowi drzwi. – Starczy!

– Starczy jest uwiad... – Bartek z powrotem usadził podnoszącego się nieporadnie kolegę. – Nie będzie nas baba do łóżka wysyłać!

– Róbcie, co chcecie. – Skapitulowała, bo już wiedziała, że nie wygra z ich zamroczeniem. – Tylko, błagam, przestańcie bluzgać.

– Słuchaj, no! – Palec Bartka wysunął się w stronę werandy. – Są sytuacje, kiedy trzeba bluzgać. Mówi się krótko: „Co ty, kurwa, robisz!”, a nie: „Szanowny kolego, czy mógłbyś odsunąć się razem z lutownicą, gdyż kapiesz na mnie rozgrzaną cyną?”.

– Rozgrzaną cyną? Lutujecie coś teraz, że przeklinacie bez przerwy?

– Owszem. Rozmowę z Gawronem lutujemy. Czy mogłabyś nam uprzejmie nie przeszkadzać? Weź przykład z mojej Beatki i idź spać. Dziękuję bardzo, dobranoc bardzo.

– Dobranoc! – Wróciła do łóżka.

Szczecin – dwadzieścia dwa kilometry...

Niepotrzebnie się darłam. Powinnam mu raczej flaszkę postawić – uśmiechnęła się na wspomnienie podpitego, pyskatego Bąka. – Jeśli rzeczywiście zaczniemy od poniedziałku załatwiać sprawy kredytowe i kupimy nowe mieszkanie, to tylko dzięki Bartkowi. Jeżeli Robert wreszcie się ruszy i zacznie działać, to wyłącznie dlatego, że przez dwa tygodnie ukochany kumpel maltretował go uczonymi wywodami o życiu i byciu. Wprawdzie Robert się z nimi nie zgadzał, ale musiał w końcu dostrzec, iż fakty przemawiają na jego niekorzyść: wszak Bąki zabierały się do stawiania domu, a oni ciągle gnieździli się w jednym pokoju, gdzie wciąż nie otwierały im się drzwi zabarykadowane przez amerykankę.

Marta godziła się ze straconą przyjaźnią, ale była pewna, że Bartka zachowa w miłej pamięci. To dopiero mężczyzna! Nie dość, że dba o własną rodzinę, niechcący poprawi warunki życia Gawronów.

– Jakie papiery załatwisz w poniedziałek? Mam coś wziąć z pracy oprócz zaświadczenia o zarobkach? Kiedy pojedziemy do banku? Kupimy mieszkanie przez biuro nieruchomości? Czy sami poszukamy, bez pośredników? – zaatakowała niespodziewanie.

– Pośredników? – Po godzinie milczenia lawina naglących pytań zaskoczyła go tak, że omal kierownicy nie puścił. – Daj spokój! Jeszcze do domu nie dojechaliśmy, a znowu zaczynasz.

– Co zaczynam? Normalnie, chcę wiedzieć, na czym stoję.

– Tu i teraz?

– Właśnie!

– Tu i teraz na niczym nie stoisz, bo chwilowo jedziesz. A jak dojedziemy, rozpakuję z młodym samochód, a ty skoczysz po zakupy na kolację. Głodny jestem! Kiszki mi marsza grają...

– Lepiej mów, co od poniedziałku, bo inaczej zdechniesz z głodu – sapnęła, prychnęła i dorzuciła: – Kurwa mać!

Robert spojrział na nią z mieszaniną strachu i rozbawienia, a potem skinął w kierunku tylnego siedzenia.

– Ciszej. Dziecko usłyszy.

– Szkoda, że dopiero teraz się o to martwisz. Przez dwa tygodnie nie przejmowaliście się z Bartkiem, że słyszą was wszystkie dzieci w całych Międzyzdrojach! A ten, tam... – obejrzała się na syna – ...ma na łbie słuchawki i jest kompletnie głuchy! – Półprzymknięte oczy Dominika potwierdziły jej podejrzenia, więc wygłosiła mężowi kazanie, nie żałując sobie ani brzydkich słów, ani pretensji, ani gróźb, ani brutalnej prawdy na temat jego safandulstwa, niedołęstwa, bierności tudzież życiowej niezaradności, przez którą cierpi cała rodzina.

Kiedy zaparkowali pod domem, Dominik otworzył oczy.

– Jesteśmy wreszcie? Super! – Zdjął słuchawki. – Co na kolację?

– A na co masz ochotę? – Matka niespiesznie odpinała pasy. – Rozpakujecie z tatą samochód, a ja skoczę do sklepu. Co kupić?

– Byle nie rybę. Rzygam rybami! Może spaghetti byś zrobiła?

– Pasuje ci spaghetti? – zwróciła się do męża. – Z przyjemnością wam ugotuję.

– Jasne. Wszystko mi pasuje... – Robert odetchnął z ulgą; zachowanie syna wskazywało, że faktycznie nie usłyszał ani słowa ze steku wyzwisk, jakimi uraczyła go małżonka.

W sklepie Marta niemal fruwała między regałami.

Nareszcie ustalone: od poniedziałku zbierają dokumenty, występują o kredyt i szybko kupią mieszkanie. Obawiała się, że z radości nie zmruży oka co najmniej przez trzy noce. Nim doszła do kasy, już wiedziała, jak urządzi salon i sypialnię. Dominikowi zostawi wolną rękę: dzieciak nie miał dotąd własnego kąta, spał na za krótkim łóżku, lekcje odrabiał przy kuchennym stole... Nigdy nie marudził, więc należy mu się radocha – niech sam wybierze meble i zadecyduje o kolorze ścian w swoim pokoju. Ależ się ucieszy!

Postanowiła przekazać mu dobrą nowinę przy kolacji, więc bardzo się starała, by wszystkie produkty były najlepszego gatunku. Żadnych gotowych sosów – dokładnie oglądała każdego pomidora...

Zapchała reklamówki tysiącem różnych rzeczy. Przed wyjazdem opróżniła lodówkę i odłączyła od prądu, a zatem musiała ją dzisiaj od nowa napełnić – masłem, serami, jogurtami, jajkami, wędlinami, kiełbasami, owocami, warzywami... Kolacja kolacją, ale przed snem na pewno będą mieli ochotę jeszcze coś przekąsić. No i na śniadanie też coś trzeba zrobić.

Objuczona siatami ledwo doszła do domu. Wściekła się już w prog, gdy zobaczyła, jak Robert z Dominikiem „rozpakowali” samochód – ustawili walizki w przedpokoju i zatarasowali wejście do mieszkania. Zacisnęła zęby i nakazała sobie spokój: wkrótce po otwarciu drzwi zobaczy przestronny hol, a nie ciasną kłitkę.

Poza tym nie chciała nadszarpywać nerwów męża – dość mu dzisiaj wygarnęła. Obawiała się przegrzania zwojów mózgowych, nad którymi postanowiła odtąd pracować według świeżo sprawdzonej metody: opieprzyć z góry na dół, a potem pchnąć do przodu.

Choć przyjaźń z Bąkami dobiegła kresu, wiedziała, że dożywotnio pozostanie w uwielbieniu dla Bartka. To on, niechcący, wskazał jej drogę, a raczej instrukcję obsługi do pierdołowatego Roberta: wytknąć, zwyzywać, zdenerwować, a finalnie ruszyć z posad. Zainspirował ją i od tej pory wedle tej instrukcji postępowała.

Działało! Z Międzyzdrojów wrócili w sierpniu, a na Boże Narodzenie spełniła jedno ze swoich marzeń: kupiła ogromną choinkę, i bombki, i światełka... Do tej pory na święta wyciągała z szafki plastikowe drzewko wysokości widelca i zastanawiała się, czy ustawić je na miniaturowym stoliku, czy raczej na parapecie – żeby stolika nie zagracać.

– Zauważyłaś, że Bąki pierwszy raz życzeń nam nie przysłali? – Robert siedział w fotelu z podniesioną do góry zabandażowaną ręką. Pień nie mieścił się w stojak, więc musiał go obciosać. Skończyło się jak zwykle.

– Ja też zapomniałam wysłać im życzenia. – Kręciła się wokół choinki; miała ochotę całować zielone igiełki, złoty brokat na bombkach, czerwone łańcuchy, wielokolorowe lampki.

– Jak to? Dlaczego nie wysłałaś?

– Zastanów się! Cały dom na mojej głowie! Nie zdążyłam jeszcze wszystkich kartonów rozpakować po przeprowadzce. Do tego zakupy, sprzątanie, karp na Wigilię, bigos na święta! Bez przerwy przyłazicie z Dominikiem i dyktujecie, co wam ugotować. Darmozjady! Żaden nie pomoże, żaden palcem nie kiwnie! Żreć tylko umiecie! A ja mam wszystko przynieść, zrobić, podać, pozmywać i jeszcze pamiętać o świątecznych życzeniach?! Naprawdę jesteś tak leniwy, że nawet w tym nie umiesz mnie wyręczyć?! Nie bój się! Od pisania nikt jeszcze się nie pokaleczył!

– To idę. Wyślę im parę słów. A może zadzwonię?

– Rób, jak chcesz!

Wyszedł z pokoju, a ją pochłonęło dekorowanie drzewka. Tak długo zmieniała sploty łańcuchów i przekładała kabelki światełek, aż w końcu osiągnęła perfekcję – każdy element podkreślał urodę choinki. Oglądała swoje dzieło i czuła wylewające się uszami szczęście.

– Wesołych świąt, Bąku! – Uśmiechnęła się do bombki w kształcie owada, która średnio kojarzyła się z Bożym Narodzeniem. Ale gdy zobaczyła szklane cacko na ulicznym straganie, musiała je kupić.

– Pszczółka Maja? To dla dziecka? – Sprzedawczyni delikatnie zawijała bombkę w papier. – Coś jeszcze?

– Dziękuję. – Marta grzebała w portmonetce, szukając drobnych. – To nie dla dziecka. Dla mnie. I nie pszczółka, tylko bąk.

BÓG STWORZYŁ KOBIETY  
BEZ POCZUCIA HUMORU  
– W REZULTACIE POTRAFIĄ ONE  
TYLKO KOCHAĆ MĘŻCZYZN,  
ZAMIAST ŚMIAĆ SIĘ Z NICH.

(Ingmar Bergman)

Czas zaciera szczegóły i pozostawia w pamięci uczucia, które silniej wryły się w nią przed laty – albo same dobre, albo same złe.

Przyjaźń Gawronów z Bąkami obfitowała zdecydowanie w pierwsze, więc Marta z biegiem dni zapomniała o nieudanym urlopie i o znajomości dogorywającej w spóźnionych życzeniach, coraz rzadszych telefonach i przegapionych urodzinach...

Za to z detalami mogłaby odtworzyć przyjemne chwile: przegadane babskie godziny, pełne śmiechu imprezy, wyjścia z dziećmi do Pleciugi, zimowe zjazdy na sankach w parku Kasprowicza, letnie pikniki nad Miedwiem...

Szatkowała cebulę na leczo i marzyła, aby już wreszcie nadeszła dwudziesta. Najpierw ich wyściska, a potem razem powspominają dawne piękne czasy!

„Razem”, czyli ona i Beata, bo Robert z Bartkiem, wiadomo, zajmą się męskimi tematami, a o żonach przypomną sobie, jeśli zakąski zabraknie.

Zaangażowała się pełną parą w przygotowania do miłej wizyty. Postanowiła, że stół będzie uginał się od zakąsek, a potem wygrzebała z zakamarków stare albumy ze zdjęciami dokumentującymi ich młodzieńczą przyjaźń. Kiedy je przeglądała, płakała ze śmiechu i ze wzruszenia. Jedno zdjęcie szczególnie ją rozbawiło: malutka Olusia z malutkim Domisiem siedzą w wannie. Nie pamiętała już, dlaczego dzieci trafiły do wspólnej kąpieli. Trzeba je było studzić w upały? A może impreza się przeciągnęła i Marta musiała wykąpać synka u Bąków, żeby nie poszedł spać brudny? Mało istotne. Grunt, że fotografia uwieczniła superlogistyczną łazienkę z pralką na wannie. Dominika ledwo dało się dostrzec – zniknął pod drewnianą konstrukcją. Za to jego mama była doskonale widoczna – Marta z wymuszonym uśmiechem kurczowo trzymała drzwiczki bębna, jakby wierzyła, że jeśli deski się zarwą, zdoła przytrzymać pralkę w powietrzu i uratować synka. Do tego te ciuchy! I fryzura! Bluzka z żabotem lepszym niż Ludwik XVI, bufiaste rękawy rodem z *Pana Tadeusza*, a na głowie Bobby Farrell z Boney M.

Pozostałe zdjęcia były równie komiczne, więc oglądała albumy, kwicząc i rżąc niczym Jolka. Mężowi ich nie pokazała i słówkiem nie pisnęła, że chce z nich zrobić główną atrakcję imprezy – Robert, podobnie jak Dominik, reagował entuzjastycznie wyłącznie na nowości. Gdyby obejrzał zdjęcia razem z nią, pośmiałby się, powzdychał, może nawet ciut wzruszył, ale następnego dnia byłby już znudzony. Przy gościach z pewnością by ją ofuknął: „Daj spokój z sentymentami! Bąki nie przyszły na wspominki. Zamiast przeglądać czarno-białe starocie, powiedzcie lepiej, co nowego u was słyhać?” – „dziecko” już



się albumami pobawiło i znudziło. A dzieci nie lubią się nudzić...

Nie planowała, oczywiście, poświęcić całego wieczoru na studiowanie zdjęć. Zależało jej na miłym nastroju – chciała odtworzyć klimat dawnej przyjaźni, obudzić zapomniane uczucia i przywołać najlepsze wspomnienia. Wierzyła, że dzięki nim bezboleśnie przejdą z przeszłości do terażniejszości. Nawet nie tyle przejdą, ile przeskoczą: nad wieloma latami przykrego milczenia – wszak musiały kryć się za nimi jakieś wzajemne żale i pretensje.

Wiedziała, iż małe zadry potrafią utkwic w ludziach na zawsze i popsuć najlepsze intencje. Dlatego obawiała się, że spotkanie rozpocznie się od drętwej atmosfery, a zakończy na „praniu brudów”: po kilku flaszkach Robert z Bartkiem na bank zechcą sobie wyjaśnić powody zerwania przyjaźni.

Marta uznała, że zdjęcia są idealnym remedium zarówno na drętwy start, jak i na wybuchowy finał. Obejrzała albumy, pośmiała się, uroniła kilka łez i skrętnie schowała przed mężem, aby swoim dziecinnym znudzeniem nie popsuł rozjemczego planu.

Poza tym też była bardzo ciekawa, co porabia Beata, co u Oli, dlaczego wrócili do Szczecina, czym się teraz zajmuje Bartek.

Nie pojmowała, jakim cudem Robert nie zna odpowiedzi na żadne z tych pytań, choć spędzili razem ponad godzinę w pubie – za to wie, że Bąk zaczął jeździć na quadach. No naprawdę, ważna informacja! Ciekawe, czy gdyby ona spotkała się z Beatą, to w pierwszej kolejności opowiedziałyby sobie, czym teraz jeżdżą?

Upośledzenie Roberta już dawno przestało zaskakiwać Martę, ale żeby Bartek – idealny, mądry, nad wyraz rozgarnięty – również cierpiał na niedorozwój? Nie do wiary!

Z drugiej strony chyba lepiej, że nie miała pojęcia o życiu Bąków. I bez tego wystarczająco stresowała się ich wizytą.

Beata na pewno wygląda kwitnąco. Waży góra sześćdziesiąt pięć kilo... – Marta miała nadzieję, że przyjaciółka z wiekiem przytyła, więc dorzuciła dziesięć kilogramów do zapamiętanej szczupłutkiej sylwetki. – Przyjdzie w ciasnej bluzce i opiętych dżinsach... Boże! A ja? Co mam włożyć?! – analizowała zawartość szafy wypchanej ubraniami w kształcie trapezów i prostokątów. – Jak ja będę przy niej wyglądać?!

Ola zapewne też prześcignęła Dominika we wszystkim: wyrosła na młodą, gniewną i studiuje coś dziwnego za granicą. Ciekawe, czy jest akurat w Polsce i czy z nimi przyjdzie? Ciekawe, czy rozpoznałabym Olę na ulicy? Chyba nie... Dzieciaki zmieniają się nie do poznania. Szczególnie dziewczyny: makijaż, farbowane włosy...

A Bartek?

Mimo upływu czasu Marta wciąż miała słabość do tego faceta, więc odrzuciła tezę, że przytył i wyłysiał jak Robert. A nawet jeśli zaskoczy ją nieciekawym wizerunkiem, to na pewno nie stracił przebojowej osobowości. Musiał dostać rewelacyjną ofertę pracy, skoro wrócił do Szczecina. I pewnie założył własną firmę. Nadadzą mu tytuł honorowego obywatela miasta, bo wszystkie szczecińskie przedsiębiorstwa redukowały etaty, przenosząc centralę do Poznania, a on jako pierwszy odwróci taką tendencję.

Ciekawe, gdzie zamieszkali w Szczecinie?

Pewnie sprzedali dom w Poznaniu, a tu kupili piękną willę. Już gotową, bo kto w tym wieku ma siłę użerać się z budową od zera? A może kilkusetmetrowe mieszkanie na ostatnim piętrze apartamentowca – z tarasu widzą cały Szczecin i pół Niemiec?

Marcie najbardziej ciążyła świadomość, że Bąki brylują po komfortowych metrażach, a ona dusi się w betonowej klitce. Niechby Beata ważyła pięćdziesiąt kilo, niechby Bartek wyglądał jak Adonis, niechby Ola studiowała prawo na Uniwersytecie Yale i nosiła koronę Miss Polonia – Marta przyjęłaby to

spokojnie i wcale by nie czuła, że jej rodzina jest gorsza. Oblewała się za to rumieńcem wstydu na myśl o przyjmowaniu luksusowych gości w szarej wielkiej płycie. Kiedyś, owszem, trzy pokoje oraz stojąca w salonie duża choinka wydawały się rajem, ale świat idzie do przodu, a normalni ludzie przeprowadzają się do coraz większych mieszkań w coraz bogatszych dzielnicach. To przecież naturalny przejaw ewolucji, taki sam jak zejście człowiekowatych z drzew...

Niestety, Robert z powodzeniem mógłby wciąż wisieć na gałęzi i chodzić na czworakach, podpierając się na kostkach zgiętych palców. Wszędzie mu było dobrze i niczego nie potrzebował. Gdyby nie bunt żony, zapewne do dziś gnieździłoby się w kawalerce na Pomorzanach i spali w kuchni, bo Dominik z Mają zabarykadowaliby wejście do pokoju amerykanką typu „junior”. Też by mu nie przeszkadzało – jeszcze by przekonywał Martę, że tak lepiej: nie nachodzi się po chałupie i ledwo się podniesie z podłogi, a już może mu smażyć jajecznicę na śniadanko.

Pasywny minimalizm męża porażał. Wiedziała, że nic już z niego nie wykrzesze, więc nie dzieliła się swoimi marzeniami o domku z ogrodem.

Ale gdyby zakręcić się koło jakiegoś parteru z malutkim kawałkiem własnej ziemi? Pełno podobnych osiedli otaczało przedmieścia Szczecina: wyjście z balkonu wprost do miniogródka. Może mini, ale i grill się zmieści, i ławeczka, i kilka krzaczków.

Wzorowo spłacili kredyt zaciągnięty na betonową klitkę, to na pewno daliby radę z parterowym mieszkaniem na peryferiach miasta. Bała się jednak wspomnieć o tym Robertowi. Natychmiast wynalazłby tysiąc i jedną przeszkodę: „Musielibyśmy wstawać godzinę wcześniej, żeby dojechać do centrum”, „Wracalibyśmy godzinę później”, „Trzy samochody by trzeba kupić”, „Tak się łatwo mówi: miniogródek. Minitrawę też trzeba kosić i nawozić, krzaki przycinać, ławeczkę przed zimą zaimpregnować...”.

By nie słuchać litanii utrudnień, machnęła ręką na marzenia. Ożyły dopiero w związku z niespodziewaną wizytą Bąków.

A może Bartek swoimi opowieściami o luksusach, jakie ich otaczają, zdenerwuje Roberta i zmobilizuje go do działania? Tak jak kiedyś – podczas ostatniego wspólnego urlopu w Międzyzdrojach? Wszak historia lubi się powtarzać.

Oni go zdenerwują i zmobilizują, a Marta zacznie kuć rozgrzane do czerwoności żelazo...

Biegała w przyspieszonym tempie między lodówką, garnkami i półmiskami. Robiła dziesięć rzeczy naraz, niczym Kali, hinduska bogini posiadająca kilka par rąk: mieszała, obierała, doprawiała, układała, dekorowała. Na patelni skwierczało, rondle buzowały, a piekarnik buchał gorącem, więc okienne szyby, fronty szafek i czoło Marty spływały strużkami wody. Wysiłek ani pot jej nie przeszkadzał; przyzwyczyła się, że wciąż jest w biegu i wciąż jest mokra. Martwiła się tylko, czy do przyścia gości zdąży z kąpielą i ułożeniem włosów. Obfitość żarcia była ważniejsza niż ona, zatem zwiększyła obroty, aby ze wszystkim się wyrobić. W ferworze pracy zapomniała o „obłożnie chorym” mężu, który omal nie zginął od karnisza i wiertarki.

Niestety, wszystko, co dobre, szybko się kończy.

– Martaaa... – usłyszała w drodze z kuchni do salonu. Niosła akurat ostatnią partię zimnych przekąsek na stół. Niczym wieloreka Kali zdołała zabrać naraz deskę z serami, śledzie w zalewie czosnkowej, koreczki krabowe, półmisek wędlin oraz sałatkę ryżową. Tej ostatniej nie planowała, ale Dominik nie wyobrażał sobie kolacji bez ulubionej sałatki. Jak mogłaby odmówić dziecku?

– Marta!

– Zaraz! – wrzasnęła w stronę sypialni. – Nie drzyj się! Głucha nie jestem!

Ustawiła zakąski, zmieniła kilka razy układ talerzy, bo ledwo wystarczyło miejsca na to, co dotychczas

przyniosła, a przecież musiała jeszcze zmieścić gorące dania: polędwiczki w sosie pomarańczowo-imbrowym, ziemniaczane dufinki, zapiekanekę z bakłażanem, krem z porów. I ciasto polane orzechowo-śmietankowo-jagodową pianką, które czekało w lodówce na swoje wielkie *entrée*.

Oglądała z zadowoleniem przepięknie nakryty stół. Mogłaby go sfotografować i przesłać zdjęcie do najlepszych kulinarnych czasopism. Aż się w oczach mieniło od soczystych potraw ustawionych na stonowanym obrusie koloru gołębiego, w towarzystwie starannie zrolowanych, ciemnoszarych lnianych serwetek wsuniętych w obręcz serwetników. No, po prostu cudo!

Pała oczy – takie efektowne momenty wynagradzają ludziom wielogodzinny, a często i wielodniowy zmudny trud. Syn z mężem zarzucali jej od kilku dni, że wpadła w amok, jakby spodziewała się sanepidu. Może faktycznie przesadziła, ale bardzo chciała ocieplić „klitkę w wielkiej płycie”. Chciała udowodnić Bąkom, że tylko u nich poczują się kimś wyjątkowym.

Dzieło własnych rąk w stu procentach spełniało jej pragnienia i rekompensowało wysiłki. Wzięła się pod boki.

– Idealnie! – sapnęła po szczegółowych oględzinach salonu. – Czyściutko, pachnąco, elegancko. Mogą przychodzić.

– Marta!

Wiedziała, że goście zaraz się pojawią, więc Robert, który od rana udawał agonię, żeby wymigać się od pomagania w kuchni, zbliża się do cudownego ozdrowienia. Przewidywała je w okolicach godziny siódmej. Zegar wskazywał osiemnastą czterdzieści, czyli miała rację.

– Czego chcesz? – Stała w drzwiach sypialni z ironicznym uśmiechem na twarzy. – Gorzej ci? Odwołać Bąków?

– Nie, nie. – Gramolił się z łóżka. – Wciąż mnie rwie w palcu, ale wytrzymam.

– To po cholerę mnie wołasz?

– Uprasowałaś koszulę w niebieskie prążki? Idę się kąpać i chcę ją włożyć, kiedy wyjdę spod prysznic. Uprasowałaś?

– Uprasowałam. – Zagryzła zęby. – Mogę wykąpać się przed tobą? Stół zastawiony, zupa i polędwiczki pyrkają na małym ogniu. Muszę tylko pieczywo pokroić, ale to na ostatnią chwilę, żeby nie schło. Mam akurat troszkę wolnego i planowałam...

– O nie! – przerwał jej. – Wleziesz do łazienki na dwie godziny. Mnie wystarczy dziesięć minut. Odpocznij sobie w tym czasie.

Za każdym razem, kiedy mówił: „odpocznij sobie”, ręce Marty zaciskały się w pięści. Troskliwy dżentelmen, psia jego mać! Nie zauważył, że ostatni raz odpoczywała, kiedy była w dziewiątym miesiącu ciąży! Leżała spuchnięta, przyduszona, ziająca ogniem zgagi. I odpoczywała sobie. Przed porodem.

– Dobrze, idź pierwszy. – Ugięła kolana, opuściła nisko głowę i zrobiła szeroki zapraszający gest w kierunku przedpokoju.

– Dzięki. – Przeszedł obok żony, nie reagując na jej drwiący poddańczy ukłon. Czemu znowu się wścieka? Kąpiel naprawdę zajmie mu najwyżej dziesięć minut. Gdyby puścił ją przodem, goście zastaliby go nieumytego i nieogolonego. Przecież zdążą oboje.

Nie było jednak sensu tłumaczyć oczywistości. Wedle zasady: „grunt to nie drażnić”, udał, że nie dostrzega pokornie zgiętych pleców. Po co niepotrzebne nerwy? Dość się nasłucha, i dzisiaj przed snem, i pewnie przez kilka kolejnych dni...

On brał prysznic, a ona stała w salonie i rozkoszowała się nieskazitelnym widokiem pomieszczenia, a głównie stołu. Poprawiła jeszcze wijące się na półmiskach, finezyjne warzywne łańcuszki, ozdobione dodatkowo gałązkami aromatycznych ziół.

– Martaaa...

– Co?!?! – W krótkim słowie zawarła tyle złości, że przeciętnie rozgarnięty człowiek natychmiast by zamilkł. Ale Robert był nieprzeciętnie nierozgarnięty, więc złość żony mu umknęła.

– Zaraz kończę! – przekrzykiwał szum wody. – Przygotuj mi ubranie!

– Powiedziałaś, że mam odpoczywać! – Stała pod drzwiami. Po chwili wahania nacisnęła klamkę i weszła do środka: ileż można się drzeć? – Boże! Co to jest?! – Nie wierzyła własnym oczom. Nad kabiną zobaczyła wystawiony w górę palec zwieńczony... kobiecym tamponem. Sznureczek oplatał białą bawełnę na wysokości bliższego paliczka. – Zwariowałaś do reszty?

– Co mówisz? – Zakręcił kran i mocował się ze szklanymi skrzydłami. – Pomóż mi. Śliskie... Nie dam rady jedną ręką w dwie strony pociągnąć.

– Skąd to wzięłaś? – Otworzyła kabinę.

Miała przed sobą nagiego mężczyznę, więc na zdrowy rozum powinna patrzeć z zainteresowaniem na jego przyrodzenie. Cóż poradzić, że bardziej intrygował ją pospolity palec u ręki? Raczej niepospolity... Przyrodzenie każdy facet posiada – banał! Natomiast goły facet z tamponem na palcu?! Która kobieta widziała coś podobnego? Marta była pewna, że tylko jej zostało to dane.

– Co mówisz? – Skakał po zielonym dywaniku, przechylając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Nastąpił cud ozdrowienia: ani za pośladki się nie łapał, ani nie narzekał, że brakuje mu czucia w nogach. Wręcz przeciwnie, wytrząsywał wodę, hycząc niczym pasikonik.

– Pytam: skąd to masz?! – Chciała zedrzeć tampon, ale sznurek stawiał opór.

– Przestań! Rany mi porozrywasz! – Mąż schował dłoń za plecy. – Oszalałaś?

– Skąd to masz? – powtórzyła pytanie: od dawna nie kupowała podpasek ani tego typu środków higienicznych.

– Poprosiłem Dominika, żeby zrobił mi solidny opatrunek. Nie mogę przecież moczyć plastrów, a pamiętasz, jak fachowo opatrzył mnie zaraz po wypadku?

– Dominik założył ci tampon na palec?!

– No. Powiedział, że jeśli reklamy nie kłamią, lepszej ochrony przed wilgocią nie znajdziemy. Trochę się nagłowiliśmy, zanim doszliśmy, jak to zrobić, ale w końcu się udało. – Robert wysunął zza pleców dłoń i zachowując bezpieczną odległość, pokazał żonie kukiełkę z tamponu. – Sprytny chłopak, prawda?

– Skąd wziął? – Patrzyła na pacynkę w grubej białej sukieneczce, zakończonej ciasnym ściągaczem z cienkiej niebieskiej nitki... Sen czy jawa? Komedia czy dramat? Ile jeszcze niespodzianek zafundują jej te dwa półgłówki? – Do czego nasz syn używa tamponów?

– Do niczego. Też się zdziwiłem, kiedy mi dał... Auć! – Robert zaczął rozbierać kukiełkę od niebieskiej nitki. – Za mocno zawiązał... Krążenie straciłem... Nie straciłem! – Odetchnął z ulgą po udanym zgięciu i wyprostowaniu palca. – To tampony Mai. Trzyma u niego w biurku. Podobno okres potrafi zaskoczyć ją bardziej niż abdykacja Benedykta XVI... Auć! – Ściągnięcie białej sukieneczki wymagało delikatności: pojedyncze bawełniane włókna zahaczały o plastry. – Boli! – jęczał, dopóki nie pozbył się osobliwego opatrunku. – Widzisz? Ani kropli wody. Suchutko! – Wystawił do góry palec. – Sprytny chłopak! Moja krew.

Marta patrzyła z politowaniem na ten żaloszny obrazek. Stoi goły, cały mokry, z wzniesionym wysoko suchym palcem. Obraca go i podtyka jej pod nos, żeby podziwiała...

– Jesteś beznadziejny! – oznajmiła.

Żenowała ją tamponowa kukiełka. I Maja, która znosi do ich domu intymne akcesoria. I syn główkujący, jak by te akcesoria wykorzystać podczas kąpieli ojca. I że sprytny chłopak – jego krew! – pomógł, dzięki Mai, którą okres zaskakuje bardziej niż abdykacja papieża...

Opuściła w pośpiechu łazienkę, bo wolała patrzeć na wijące się po półmiskach warzywne łańcuszki niż

na męża. Stół napawał ją dumą. On nie.

Jak go pokazać gościom? Czym obolały safandula może zabłysnąć? Co pomyśli o nim Beata? Jezu, spraw, by przez wzgląd na starą przyjaźń nie śmiali się głośno ani z niego, ani z ciasnej betonowej klatki.

Chociaż? Z drugiej strony... – Wykrzywiła mściwie usta. – Niech go wyśmieją! Niech go wezmą do galopu! Niech ruszy leniwą dupę i zastanowi się nad kupnem mieszkania z przydomowym ogródkiem. Ciekawe, czy ich też uraczy litanią problemów: „bo kredyt, bo dalekie przedmieścia, bo trawę trzeba kosić i ławeczkę impregnować”. Głośno go wyśmieją! A ona wtedy dołoży swoje: że nigdy nic w domu nie robi, więc i ławeczki nie będzie musiał impregnować, a na koszenie trawy osobiście da mu zakaz – przecież niedojda obetnie sobie nogi kosiarką, zanim podłączy ją do prądu!

Szamocząc się z myślami, sama już nie wiedziała, co lepsze – czy Bąki mają się śmiać, czy nie?

– Marta! Przynieś mi ubranie!

Westchnęła ciężko i poszła po spodnie oraz koszulę w niebieskie prążki.

Rano, gdy wyprasowała cały strój, zawiesiła wszystko na drzwiach szafy w sypialni. Na wierzchu. Ale przeceniła jego samodzielność.

– Masz. – Wsunęła wieszaki przez uchylone drzwi. – Idę pokroić chleb. Potrafisz się sam ubrać?

– Potrafię. – „Niewidzialna ręka” zabrała spodnie i koszulę.

Zamknęła drzwi, ale nie zdążyła zrobić nawet kroku w stronę kuchni.

– No co ty mi dajesz?! A gdzie slipy? A skarpety? Przynieś!

Przyniosła. Szarpnęła klamką i rzuciła na oślep. Nie miała pojęcia, czy spadły na podłogę, czy trafiły go w twarz.

Krojenie pieczywa nieco ją uspokoiło. Na wszelki wypadek kupiła różne rodzaje: białe, czarne, bez ziaren, z ziarnami, żytnie, pszenne, pszenno-żytnie; chleby wiejskie, bułki miejskie, bagietki francuskie, rogalie etruskie...

W wyściełanym białą serwetą wiklinowym koszu układała kromki rozmiarami i kolorami. Starła się stworzyć geometryczny wzór przypominający nabrzmiały pąk róży. Rzadko dostawała kwiaty, ale pamiętała, że płatki mają końce nieco ciemniejsze, więc posypała skraje białych kromek okruszkami razowego chleba, a obrzeża pajd z razowca – czarnym pumperniklem.

Gdy skończyła, zachwyciła się efektem. Cudo! Idealnie pasuje do równie cudnego stołu.

Niosła ostrożnie swoje dzieło korytarzem, uważając, by okruszki zdobiące krańce „płatków róż” nie ucierpiały w transporcie. Stąpając na palcach, dotarła do salonu.

Dominik i Robert – elegancko ubrani w to, co im wyprasowała i przyniosła – siedzieli na sofie i oglądali mecz.

– Zobaczcie! – Przykucnęła, by mogli podziwiać w pełnej krasie różaną kompozycję z pieczywa. – Ładnie, prawda?

– Ładnie – pochwalił syn, ale nie oderwał wzroku od telewizora.

Mąż okazał się nieco łaskawszy, zaszczyił jej dzieło przelotnym spojrzeniem.

– Idealne. Możesz w konkursie dożynkowym startować... – Głos sprawozdawcy stał się nerwowy, więc szybko skupił się na meczu, a po sekundzie krzyczał głośniej od komentatora. – Ja pier...! Ale szmatę puścił! W sam środek bramki!

– No! Widziałas, mamu? Zaraz będzie replay! Popatrz! Gorszej pierdoły nie zobaczysz!

Marta odwróciła się od nich, od telewizora, od szmaty puszczonej w sam środek bramki – bez replayów wiedziała, jak wygląda najgorsza pierdoła.

Kiedy przyniosła pieczywo, znowu musiała poprzestawiać talerze, żeby wiklinowy koszyk znalazł się w centrum. Pracowała nad logistyką, a oni fałszowali hałaśliwie: „Nic się nie stało! Polacy, nic się nie stało!”.

Zachowywali się, jak gdyby w ogóle nie oczekiwali gościa. Jedynie ich odprasowane stroje świadczyły, że to nie jest zwykły wieczór. Jak zwykle wszystko zwalili na nią.

– Może wyrównamy? – Dominik rozsiadł się jak basza na kanapie. – Zostało czterdzieści minut.

– Gównu wyrównamy! – Robert skopiował pozycję syna. – Cholerne patałachy! – Sprawdził, czy ze sportowych emocji nie uszkodził opatrunku: delikatnie gładził ochronne paseczki, które na szczęście trzymały się solidnie i broniły dostępu do głębokiej rany. Położył ostrożnie dłoń na oparciu kanapy. – Zobacz, synu, jak oni się ruszają. Jak muchy w smole! Przez czterdzieści minut, zamiast wyrównać, ze trzy szmaty złapią! – Wysunął głowę i krzyknął prosto w ekran: – Do baletu, chłopcy! Do baletu, a nie na boisko!

– Nie podniecajcie się. Do końca meczu i tak nie obejrzycie. Za piętnaście minut przychodzą Bąki, więc macie wyłączyć telewizor.

– Czemu? – Dominik nawet na sekundę nie oderwał oczu od piłki. – Są uczuleni na LED-owe oświetlenie?

– A skąd wiesz? – Zaskoczona dziwnym terminem nie dopytywała, co to znaczy. – Może akurat są?!

– Odwołaj imprezę. Materiały budowlane też mają radiację. Jak dorzucisz do tego linie energetyczne, instalacje elektryczne, nadajniki radiowe, komórki... Nie chciałabyś wiedzieć, w czym mieszkasz. LCD przy tym wszystkim to pikus. – Machnął ręką, wciąż nie patrząc na matkę. – Jeżeli mają alergię na zwykły luminofor, padną, zanim dojdą do stołu.

– Nie wiem, czy są uczuleni na lumiforon, ale ja jestem uczulona na chamstwo. Dlatego zapowiadam, że wyłącza...

– Lumiforon! Dobrze! – Dominik ryknął śmiechem. – Lumiforon... – powtórzył. – Co to mogłoby być?

– Świecąca lodówka? – zgadywał ubawiony Robert. – Widocznie matce już znudziła się nowa i freudowsko się przejęzyczyła.

– Podświadomie marzy o świecącej lodówce? – Chłopak spojrzał na Martę; krótko, ale za to z wielkim zainteresowaniem.

– Kobietom z wiekiem fantazje się zmieniają. Korzystaj, póki Majka młoda i woli ciebie niż lodówkę.

– Z Majką nie ma takiej opcji!

Śledząc piłkę, przekomarzali się, gdzie w układach damsko-męskich „jest opcja”, a gdzie „opcji nie ma”.

Martę zatkąło. Nie wierzyła, że są prostymi bucami, a zatem szukała naprędce powodu wyjaśniającego beczelną dyskusję, którą prowadzili, nie zważając, że ona wszystko słyszy.

Znalazła tylko jedno rozwiązanie: Harry Potter nakrył ją peleryną niewidką.

– Luz. Jestem z Mają od dawna, a wciąż umiem ją rozpalić – przechwalał się Dominik. – Byś się zdziwił.

– Po mnie to odziedziczyłeś!

Uniosła w zdumieniu brwi: co niby odziedziczył? Chyba tylko wygodne trwanie w związku. Bo przecież nie umiejętność rozpalania.

– Też byś się zdziwił, gdybyś zobaczył, jak szybko twoja matka codziennie ze mną dochodzi!

– Codziennie? – Na twarzy chłopaka malowały się jednocześnie obrzydzenie i podziw.

– Codziennie! Codziennie szybko ze mną dochodzi... do kasy w supermarkecie! – Ojciec zarechotał. – A gdybyś słyszał, ile razy wykrzykuje przedtem moje imię na cały sklep! „Robert, szybciej!”, „Robert, poczekaj na mnie!”, „Robert, gdzie wkładasz?!” – mnożył przykłady. Dominik z uciechy turlał się po kanapie, aż czkawki dostał. – Zapamiętaj, młody! Kobiety z wiekiem, żeby dojść, potrzebują naprawdę wielkiego i grubego... portfela!

Pletli bez sensu, a ona miała ochotę rzucić się mężowi do szyi i gryźć, dopóki własnozębnie nie

przecznie mu gulgoczącej wesoło tchawicy.

Znalazł się macho rozpalacz!

Może i rozpalał, ale w czasach Breżniewa i Gierka, kiedy jeździł na obozy, gdzie zdobył w trzy dni odznakę harcerza przyrodnika oraz kilka druhen drużynowych. Marta pojawiła się w jego życiu znacznie później i załapała się na niekontrolowane zapłodnienie, dzięki któremu trafiła do elitarnego klubu mężatek, w którym ekstazy nie uświadczyła. Z biegiem lat rozpalanie kojarzyło jej się wyłącznie z fajerką na kuchence.

A gdzie ten jego wielki i gruby... portfel? – prychnęła w duchu: ha, ha, ha, wyborny żart. – Wciąż jojczy, że z forszą krucho, i mówi, żeby się ograniczała z niepotrzebnymi wydatkami, chociaż nigdy w życiu nie zrobiła żadnego zbędnego zakupu. W przeciwieństwie do niego.

Po cholere był mu nowy telewizor w rozmiarze kinowego ekranu? Już zapomniał, ile kasy wyrzucił w błoto? Nie dość, że na telewizor, to jeszcze na naprawę beemwicy, którą rozwalił przez własną bezmyślność.

Do tego natrząsa się, że ona już tylko o lodówce potrafi fantazjować. Cymbał skończony! Rzeczywiście, pragnęła lodówki, ale cóż poradzić? Jaki mąż, takie fantazje!

Jełop nie rozumie, że ona nie ma czasu ani warunków, by marzyć o czymś więcej niż sprzęt AGD? Domagała się lodówki tylko ze względu na niego i na Dominika. Musiała przecież gdzieś zmieścić tony żarcia, którego wciąż się domagają...

Miała dość: zarówno tematu tej głupkowatej rozmowy, jak i pitolącego Roberta. Nie dojrzał, trudno. Ale powinien pamiętać, że mówi do syna, a nie do kolegi ze studiów...

– Zamknijcie się! – Zrzuciła pelerynkę niewidkę. – Jeśli będziecie tak gadać przy gościach, spalę się ze wstydu! Bartek jest facetem z klasą, więc Beata i Ola nie zrozumieją waszych prymitywnych tekstów! – krzyczała głośniej niż spiker, gdy piłka trafia w pole bramkowe. – Uprzedzam, jak Bąki przyjdą, koniec z oglądaniem meczu! I zapowiadam, że macie wyłączyć...

– Zapowiadaj sobie, na zdrowie! – Dominik przydusił guziczek ze znakiem plusa i zagłuszył matkę.

– Oddaj! – Robert złapał za pilota. – Wyłączymy telewizor, gdy tylko zadzwoni domofon. – Naciskał szybko guziczek ze znakiem minusa.

– Tato! Co ty? Pół godziny do końca! Nie mów, że wyłączymy, bo każe nam...

– Milcz! – usadził syna i pokornie uśmiechnął się do stojącej za ich plecami żony. – Pooglądamy, dopóki nie przyjdą, dobrze? A potem my też będziemy facetami z klasą.

– Jasne! – Pochyliła się nad talerzami i setny raz poprawiła nakrycie stołu. – Pamiętajcie: domofon dzwoni i koniec z meczem.

– Oczywiście... – Robert rozwalił się na kanapie i stracił zainteresowanie resztą świata.

– Tato...

– Milcz.

– A jeśli wyrównają i będzie dogrywka? I karne?

– Słyszałeś, co ustaliłem z mamą? Koniec dyskusji.

Marta odetchnęła – wreszcie coś dotarło do tępego łba.

Minęło piętnaście minut, dwadzieścia, pół godziny, godzina...

Oni obejrzeni dogrywkę wraz z rzutami karnymi, a ona co chwilę biegła przemieszczać zupę z porów i podać wodą skwierczące polędwiczki, żeby nie wyschły na wiór i nie utraciły pomarańczowo-imbrowej nutki.

– Zadzwon do Bartka. Może coś się stało? – upominała przy każdym kursie do kuchni. – Sprawdzałeś telefon? Nie napisał, czemu są spóźnieni?

– Nie napisał. Widzisz? Elita każe na siebie czekać. Za to prymitywy są na każde zawołanie, więc doceni męża prostaka.

– Niby ty jesteś na moje zawołanie? – Marta odpląciła mu równie ironicznym spojrzeniem. – Kiedy do stołu wołam? – Mimowolnie rzuciła okiem na ustawione dawno temu wykwintne dania. Bała się, że jeszcze parę minut i przestaną apetycznie wyglądać. Ozdobne milimetrowe wstążeczki z marchewki i ogórka powoli traciły kolor i sprężystość, do tego krem z porów zamieniał się w gęstą paciaję. – Zadzwoń do niego. Mieli być prawie dwie godziny temu.

– Wyluzuj... – Dominik od zakończenia meczu wiercił się po kanapie, jakby miał owsiki. Kilka razy próbował uciec do swojego pokoju, ale kazali mu siedzieć i czekać: matka, bo dostała świra na punkcie gości, a ojciec, bo bał się zostać ze świruską sam na sam. Korespondował zatem z Mają esemesowo. Dziewczyna zasypywała go pretensjami, że czeka na Skypie, a jego wciąż nie ma. – Mamo, daj spokój. Przyjdą, to przyjdą, nie przyjdą, trudno. W czym problem?

Walnę go! Pierwszy raz w życiu strzelę gówniarza, aż mu krew z nosa pójdzie! – z całej siły zacisnęła szczęki i pięści.

– Dryń, plum, ćwir, dryń! – W przedpokoju rozległ się dźwięk domofonu, równie wyszukany, co jej potrawy. – Dryń, plum, ćwir, dryń!



DROGA DO SERCA MĘŻCZYZNY  
PROWADZI PRZEZ ŻOŁĄDEK,  
ALE SĄ KOBIETY,  
KTÓRE ZNAJĄ KRÓTSZĄ DROGĘ.

(Jacques Tati)

– Oleńko! Jakżeś ty wyrosła! – Podekscytowana Marta nie mogła się doczekać, aż goście staną w progu, więc pobiegła powitać ich przy windzie. Gdy metalowe drzwi rozjechały się na boki, natychmiast chwyciła w objęcia smukłą dziewczynę i zaciągnęła ją na środek klatki schodowej. Nie spodziewała się, że córeczka Bąków zmieniła się do tego stopnia. Pewnie przez ostry makijaż i zafarbowane na kruczoczarno włosy wyglądała na znacznie starszą od Dominika. – Śliczna panna z ciebie... Co ja mówię? Kobieta, nie panna! – wykrzykiwała pochwały i starała się ją jeszcze mocniej przytulić, ale poczuła silny opór. – No wiem, wiem... – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Domiś też nie lubi czułości. Taki wiek... Ale co poradzić? Wciąż jesteście dla nas dziećmi, a dzieci chce się przytulać bez przerwy, nawet duże. Ty też jesteś troszeczkę moim dzieckiem... – tłumaczyła się z przypływu emocji. – Pamiętam twoje łyse dziąsełka i poharatane na rowerku kolanka, i pamiętam, jak się posikałaś z nerwów w pierwszy dzień szkoły...

– Nie posikałam się w pierwszy dzień szkoły – wydukała dziewczyna.

– No jak nie? Zapytaj mamę albo tatę... – Odwróciła się w stronę windy, ale na tle zamkniętych metalowych drzwi stał jedynie Bartek z wielkim bukietem kwiatów w rękach. – A gdzie Beata? – Rozejrzała się po klatce i zrobiła parę kroków w nadziei, że przyjaciółka schowała się za załomem, żeby zrobić jej psikusa. Zobaczyła tylko puste schody. – Stało się coś? Czemu nie przyszła? – Spoglądała nerwowo na Bartka i Olę.

– Myślałem, że wiesz... Robert nie powiedział?

– O czym?! – Echo niosło nerwowy krzyk na kilka pięter w górę i w dół. – Mów! – Pod Martą ugięły się kolana: białaczka, udar, wypadek samochodowy?

– Skoro cię nie uprzedził... – Bartek uśmiechnął się szeroko i wskazał na dziewczynę. – Poznaj Sandrę.

– Kogo? – Zmienili dziecku imię? Trudno. Od urodzenia była ekscentryczna, więc pewnie razem z imieniem nazwisko sobie poprawiła na Bąkowska albo Bączyńska. Ale co z Beatą? Czemu jej nie ma?

– Miło mi. Sandra jestem. Zdaje się, że jakieś nieporozumienie zaszło... – Panienska wyciągnęła rękę.

– Zdaje się... – Marta udała, że nie widzi wysuniętej w geście powitania dłoni. – A gdzie Beata? – Równie ostentacyjnie zignorowała bukiet: przyjęła, ale opuściła tak, że płatkami zamiatała posadzkę. – Co z nią? – Wpatrywała się natarczywie w Bartka.

– Nie jesteśmy razem. Nie wyszło nam. – Wzruszył ramionami. – Opowiedziałem wszystko Gawronowi. Przepraszam, jeśli czujesz się zaskoczona. Może nie życzysz sobie...? – Widząc jej minę, nacisnął czerwony guzik, aby przywołać windę, która w międzyczasie zjechała na parter. – Przełożymy na kiedy indziej...

Zimno, gorąco, zawroty głowy, zimno, gorąco, mdłości, zimno, gorąco, mroczki w oczach – jakby klimakterium wróciło. Nie wiedziała: śmiać się, płakać, krzyczeć? A może zemdleć?

Jasne! Omdlenie byłoby najlepszym rozwiązaniem – uwolniłoby ją z idiotycznej sytuacji. Leżałaby sobie nieprzytomna, nie myślała i nikim się nie przejmowała. A tak? Trzeba zaakceptować fakt, iż Ola jest Sandrą, która przyszła zamiast Beaty – groteskowe qui pro quo...

Boże! Jakim cudem dała się wpakować w tę farsę? Komu podziękować, że wyszła na głupią i ma powtórkę z klimakterium? Zimno, gorąco, zimno, gorąco, mdłości, zimno, gorąco...

Potrząsnęła kilka razy głową. Nakazała sobie pełną mobilizację: dała radę znieść tę karuzelę przez wiele miesięcy, da radę przez jeden wieczór. Za godzinę powinno wrócić myślenie, za dwie odetka jej się przełyk, za trzy będzie pijana, za cztery może nawet się uśmiechnie z przymusem. Natomiast za pięć, gdy goście... Tfu! Wielcy goście! Gdy ta parka pójdzie w cholerę, rozprawi się z Robertem.

Bez przerwy stęka: „Czego się wściekasz?” i kwęka: „Czemu wciąż na nas krzyczysz?”, i jocy: „Dlaczego codziennie jesteś albo złośliwa, albo obrażona?”.

Nooo...! Teraz dopiero się przekona, jak wygląda prawdziwa wściekłość i złośliwość. Ile decybeli wynosi jej krzyk i na jak długo potrafi się obrazić. Cud, jeśli go nie zabije!

Znowu ją okłamał, znowu bezczelnie z niej zadrwił.

Głupia, cieszyła się na wizytę dawnych przyjaciół, tak się starała. Sprzątanie, zakupy, gotowanie... Nawet wygrzebała albumy ze starymi zdjęciami. Głupia, głupia, głupia!

Wszystko na nic i wszystko przez niego – tchórzliwego, beznadziejnego dupka. Zabije go!

– Piętro ósme – odezwał się automat i drzwi windy rozjechały się na boki.

– Raz jeszcze sorry. Do następnego razu.

– Nie, nie... – Marta skrzywiła się w „uśmiechu numer pięć”. – Zrozumcie. Zaskoczona jestem. Robert nie powiedział, więc się nie spodziewałam... – Machnęła w kierunku mieszkania, przy czym zamiotła bukietem płytki. – Zapraszam! Śmiało!

Puściła gości przodem. Wbrew zachętom nie wyglądali na ośmielonych, co sprawiło jej satysfakcję: tchórzliwy dupek załatwił ich identycznie jak ją – wszyscy musieli teraz „jeść tę żabę”, natomiast on tryskał humorem.

– Wreszcie! Cześć, stary koniu! Długo kazaliście na siebie czekać! Wolę nie pytać, coście robili, że tyle wam zeszło! – Wpił usta w dłoń Sandry. – Bardzo mi miło. Wiele dobrego słyszałem. Gawron jestem. Moją już poznałaś?

„Moja” z niedowierzaniem odkrywała w głosie męża rzeźkość, werwę i entuzjazm. Znała go raczej z innej strony: stękająco-kwękającej. Przyglądała mu się zatem okiem badaczki zdolności językowych małp, które ponoć mówią, choć zdania uczonych są podzielone: mówią, bełkoczą czy po prostu małpują człowieka?

– Synu, przywitaj się. Wyrósł chłop jak dąb, nie? – Szympan poczochnął małpiątko po głowie.

– Cześć, wujek! – Dominik dał się poczochnąć także Bartkowi, a potem przerzucił wzrok na stojącą obok niego łanię. – Cześć...

– Tylko nie ciociu! – zaprotestowała natychmiast Sandra, czym rozbawiła męskie towarzystwo. – No co? – Uroczo się nadała. – Nie śmiećcie się ze mnie. Przecież nie jestem jego ciocią, prawda?

Marta stała z boku i obserwowała ich, jak gdyby film jakiś oglądała. Przypomniała sobie raptem relacje uczestników katastrof: „Nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę, że biorę w tym udział”. Wypisz wymaluj jak ona teraz...

Na szczęście sytuacja nie przypominała kataklizmu: nie zalewały jej tony wody ani nie siedziała w pikującym w dół samolocie, więc patrzyła na dziwny „film” i z ciekawością rejestrowała

zdumiewające szczegóły.

Po pierwsze, Harry Potter znowu nakrył ją peleryną niewidką – nikt nie zwracał na nią uwagi. Ba! Wręcz starannie omijali wzrokiem miejsce, w którym stała.

Po drugie, Dominika w ogóle nie zaskoczyła nieobecność Beaty i Oli. Wiedział? Od Roberta? Synowi powiedział, a jej nie?

Po trzecie, Bartkowi najwidoczniej scenariusze się pomyliły: zamiast grać rolę wujka i kumpla, robił za rycerza – zdejmował płaszcz z ramion Sandry, jakby była kryształkiem, który przez jeden nieopatrzny ruch rozleci się w pył, i wpił w nią wzrok meteopaty śledzącego słupek barometru. – Dobrze jest? Wygodnie ci?

Brakowało tylko merdania ogonkiem i stawania na dwóch łapkach.

Przed oczyma Marty zaczął przewijać się zupełnie inny film: czarno-biały, z Beatą w roli głównej służącej. Pęka z dumy, bo mąż kupił automatyczną pralkę i ustawił na wannie... Zrywa się z parkowej ławeczki, żeby obiad na czas podać... Przychodzi na wspólną popijawę, targając miski żarcia... Po północy błaga go, by wreszcie pożegnał się z Gawronem, a on macha ręką: „Chcesz, to idź. Kto cię trzyma?”.

Odtworzyła w głowie całe archiwum i nie znalazła choćby jednego kadru, w którym Bartek delikatnie zdejmuje z żony kurtkę czy już na początku imprezy, zanim na dobre weszli, martwi się o jej samopoczucie. Wręcz przeciwnie.

Pogrzebałaby dłużej we wspomnieniach, gdyby nie uwolniona z płaszcza Sandra: lśniąca chabrowymi łuskami sukienka w fasonie „tyci za pici, z dekoltem od sutków do półdupków” zapierała dech w piersiach. – Prosto z wesela przyszła czy planuje tu do sylwestra zostać? – zastanawiała się Marta.

Z zadowoleniem odnotowała, że syn wydaje się podobnie skonsternowany. Pozostała dwójka wyglądała, niestety, na oczarowanych chabrową kreacją, a raczej tym, co spod niej wystaje.

– Wchodźcie dalej! – Robert pełnił honory, bo Marta wciąż tkwiła pod peleryną niewidką. – Siadajcie. Przygotowaliśmy kilka zimnych zakąsek, a zaraz podamy coś na ciepło.

Przygotowaliśmy? Podamy? My?

Gdy przeszli do salonu, Marta dostrzegła kolejną życiową ciekawostkę.

Bartek nie spuszczał wzroku z Sandry. A kiedy usiadła na podwójnej sofie, przycupnął obok.

Głupia, głupia, głupia! – Marta drwiła z siebie w duchu. – Kombinowałam, co zrobić, by chłopaki zbytnio się sobą nie zajęli, a tu proszę: niepotrzebnie się martwiłam! W ogóle wszystko zrobiłam niepotrzebnie...

Sandra zareagowała na stół podobnie jak Marta na jej sukienkę.

– Urządzacie komuś wesele? – Wytrzeszczyła chabrowe oczęta. – Ile ludzi przyjdzie? Pięćdziesiąt?

– Dla was to przygotowaliśmy. – Robert uśmiechnął się promiennie. – Wyłącznie dla was.

Co ja tutaj robię? A raczej co oni tutaj robią? – Marta nie mogła wyjść ze zdumienia. – To na pewno mój mąż?

– Marta, daj no ciepłe! – Mąż omiół ją wzrokiem i skinął w kierunku kuchni. – Czego się napijecie? –

Wskazał na boczny stolik zapchany butelkami. – Czyściocha? Łyskacz?

– Niczego nie przynóście. Siadajcie! – Sandra klepnęła w oparcie pobliskiej trzyosobowej kanapy. –

My po dwudziestej nie jemy, prawda, Bączku?

– Tak, Pszczółko – potwierdził Bąk. – Dla mnie czyściocha.

– Dla mnie winko. Cabernet sauvignon, poproszę.

– Białe czy czerwone?

Sandra rozkosznie zachichotała.

– Słyszałam, że masz nieprzeciętne poczucie humoru i że muszę na ciebie uważać... – Kiwała

odchyloną w tył głową, a długie pasma włosów tańczyły jej na plecach. – Nie żartuj sobie, dobrze? Taka głupia nie jestem. Wiem, że nie ma białego caberneta. Tym razem nie uda ci się mnie nabrać. – Wycelowwała w niego palcem. – Widzisz? Jeden zero dla mnie!

– Nie ciesz się. To początek meczu – zarechotał Robert. – Ledwo weszłaś do drużyny, więc dałem ci fory. – Dyskretnie zezując na etykiety czerwonych win, starał się odnaleźć właściwy szczep. Łatwo nie było, bo jak zerknąć, gdy butelki stoją tuż pod nosem, a drobne litery widzi się dopiero z odległości metra? Dostrzegł wreszcie dwuczłonowy napis zaczynający się od wielkiego „C”. Albo „O”, albo „G”. – Proszę, cabernet sauvignon. Innego nie posiadam. Nalać? Czy dzwonić po taksówkę, żeby przywiozła konkretne zamówienie?

– Wariat z ciebie! – Włosy zatańczyły aż poza łopatki. – Nalej. Carlo Rossi też lubię. – Sandra podstawiała kieliszek i spojrzała na Martę. – Masz naprawdę niesamowitego męża.

– Tak? Zawsze myślałam, że to raczej on ma niesamowitą żonę. – Najchętniej walnęłaby w łeb chabrową madame Cabernet, która nie konsumuje po dwudziestej. Sądząc po wyglądzie, obce jej było również puszczanie gazów, a sikanie zamieniła na dializę. – Zaraz wracam. Pójdę tylko wyłączyć garnki, skoro nie chcecie jeść.

– Przestań! – burknął Dominik. – Naczekałem się przez nich z kolacją, a teraz co? Mam umrzeć z głodu, bo im się nie chce jeść?

Być może niezbyt grzecznie się odezwał, ale osiągnął zamierzony efekt.

– Przepraszamy za spóźnienie... – Lejdi wreszcie spoważniała. – Moja wina, ale nie jesteśmy z Bączkiem przyzwyczajeni do tak wczesnych wizyt. Na ogół wychodzimy z domu koło dwudziestej drugiej, trzeciej. Prawda?

– Prawda. – Bączek głaskał ją od nadgarstka po łokieć. Na chwilę udało mu się oderwać oczy od Pszczółki, żeby spojrzeć przelotnie na Dominika. – A ty nikim się nie zajmuj i wcinaj. Rośniesz przecież.

– Już dawno urosłem. To będzie w końcu ta kolacja? – Obejrzał się ponagląco na matkę. – Daj wreszcie coś.

Marta triumfalnie popatrzyła na gości – połędwiczki razem z całą resztą wjadą jednak na stół! Ktoś chętnie zje, chociaż minęła dwudziesta. Nieźle ci mój syn nosa utarł, co? Ale Sandra przekrzywiła głowę i z ciekawością przyglądała się Dominikowi. A potem ciepłym daniom, które trafiały na stół.

– Naprawdę nikogo oprócz nas nie będzie? – zapytała znowu.

– Naprawdę. – Robert chwycił za brzegi gorących naczyń i uchylał je lekko w stronę Pszczółki i Bączka; podnieść nie mógł, bo bał się poparzyć jedyną zdrową dłoń. – Częstujcie się.

– Bardzo chętnie. – Dominik złapał salaterkę z leczo i napełnił talerz po brzegi.

– Hamuj! – Ojciec pogroził mu palcem. – Dla gości zabraknie.

– Przecież mówili, że nie będą jeść. – Widząc zgodne potakiwania, dorzucił sobie jeszcze jedną łyżkę. – Czemu takie suche? – Pogrzebał w talerzu. – Mało sosu jakoś...

– Sos był, ale wyparował przez wieczne podgrzewanie! – Marta odpowiedziała synowi tak głośno i dobitnie, jakby niedosłyszała. – Dwie godziny temu sos był!

Oczekiwała, aż Sandra znowu przeprosi za spóźnienie. Chociaż wyglądała na bezgranicznie głupią, zrozumie chyba, że skazała wszystkich na łykanie gęstej mamałygi zamiast leczo?

Ale chabrowa panienska ani myślała o skrusze. Patrzyła na skrzywionego Dominika i coraz głębiej wsysała kąciki ust – jakby hamowała śmiech albo komentarz.

– Częstujcie się! – Robert ponowił apel i postawił na stole półmisek wędlin. – Może wolicie na zimno?

– Generalnie wolimy na gorąco – zachichotała Sandra. – Prawda?

– Prawda! – Męskie palce zatrzymały się i rytmicznymi ruchami ugniaty kuliste zakończenie drobnego

stawu. – Ale nie przy ludziach! – ryknął śmiechem Bartek, a ona perliście mu zawtórowała.

Nie przy ludziach? Dobre sobie! – Martę rozwścieczyły ich pieszczoty. – Urządzają ruję, nikim się nie przejmując. Mogliby przynajmniej poczekać, aż Dominik pójdzie do swojego pokoju.

Ciskała gromami z oczu w Roberta, ale nie był tego świadom: ze spuszczoną głową i schowanymi pod obrusem rękoma dociskał plasterki. No i oczywiście, jak zwykle, uśmiechał się głupawo, Bóg wie do kogo.

– Gdyby mój niedorozwinięty mąż raczył mi cokolwiek o was powiedzieć, lepiej bym się przygotowała do wizyty.

– Lepiej? Co znaczy „lepiej”? Przecież niczego tu nie brakuje. – Sandra wskazała na stół. – Chyba tylko trzypiętrowego tortu.

– Przestań, bo polecą i upiecze! – przerwał szybko Robert. – Nie znasz jej możliwości: pół godzinki i będzie trzypiętrowy tort. Prawda, kochanie? – Sięgnął po dłoń Marty, by ucałować ją z należyтым szacunkiem, ale dłoń, razem z resztą ciała, odsunęła się na odpowiednią odległość.

Niech nie myślą, że ćwierkająco potwierdzi: „Prawda, kochanie”, bo ani „prawda”, ani „kochanie”. Dość miała masy krytycznej – liczba idiotów już się nie mieściła na metrze kwadratowym, więc po co robić większy tłok?

– Tort nie ma nic do rzeczy. Spodziewałam się po prostu innych gości – wyjaśniała uprzejmie. – Byłam pewna, że Bartek przyjdzie z Beatą i Olą. Spędziliśmy razem kawał życia i cała trójka wcinała z apetytem, bez względu na godzinę. Szczególnie on... – Kiwnęła na Bąka. – Pamiętasz? Kładliśmy się spać przekonani, że na śniadanie niczego nie brakuje, a rano lodówka świeciła pustkami. Słyszałeś z nocnego podżerania.

– Kiedy to było? – Machnął ręką. – Dawne czasy.

– Wtedy obowiązywała inna kultura żywienia. Dietetycy nazywają to syndromem reglamentacyjnym. Jeśli ktoś przeżył Oświęcim albo wegetował w komunizmie, wbija sobie podprogowo do mózgu lęk głodu – perorowała Pszczółka, która w przeciwieństwie do Bączka w ogóle nie wyglądała na zakłopotaną. – Afryka wciąż odczuwa ten syndrom, ale w Polsce, na szczęście, już powoli mija. Czytałam, że wyrzucamy na śmieci około dziesięciu procent zakupionych produktów, bez otwierania, i prawie czterdzieści procent napoczętych i niedojedzonych. Straszne, prawda?

– Prawda – przytaknęli zgodnie Robert z Bartkiem.

– Coś mi nie pasuje z tym syndromem reglamentacyjnym. Gdyby tak było, mój syn i mąż musieliby spędzić kilka lat w faszystowsko-komunistycznych obozach zagłady na terenie Konga. Taką mają kumulację syndromu. Zresztą, sama widzisz... – Z dumą spojrzała na Dominika, pakującego leczo do pełnych jeszcze ust. – Jak to wytłumaczysz?

– Bardzo prosto: poprzednim wcieleniem. Wtedy na pewno nie dojadali albo nawet umarli z głodu. Bodziec, zapisany w najgłębszej podświadomości, wpłynął na ich obecne życie.

– Wierysz w reinkarnację?

– A wy nie? – zdziwiła się szczerze chabrowa panienska. – Wiecie, że...

Jezu! Skąd Bartek wytrzasnął tę idiotkę? Czemu zamienił fajną, normalną Beatę na buddyjskie wcielenie Miss Polonia? – zastanawiała się, słuchając opowieści o wędrówce dusz.

– Ja byłam kiedyś bogatą magnatką, a potem pierwszą damą w pałacu Ludwika XVI... We wszystkich wcieleniach otaczał mnie pałacowy luksus i fortuna...

To tym razem się nie udało, malutka! – nawet jeśli Bartkowi dobrze się powodzi, w Buckingham na pewno nie mieszka.

– Wokół mnie zawsze pełno było adoratorów i atrakcyjnych mężczyzn...

Bidulko! Co za parchate wcielenie ci się teraz trafiło: zamiast tłumu atrakcyjnych adoratorów jeden

facet w wieku tatusia. Na dodatek rozwodnik z dzieckiem i alimentami.

No! Ale jednak zawsze lepsze to niż zakolczykowana unijna krowa z automatyczną dojarką przy cycach.

– Bączek był marynarzem na statku Kolumba...

Może racja? Indie z Ameryką pomylił, a do tego na zębach ślady szkorbutu – wypisz wymaluj marynarz ze statku „Santa Maria”.

– Walczył pod Monte Cassino...

Ba! Przecież trudno, żeby Bączek splamił się klęską pod Cecorą.

– I nigdy nie miał szczęścia do żon...

Ooo, tym razem przegięłaś!

– Może w poprzednich wcieleniach. Natomiast w tym miał bardzo dużo szczęścia. Poznałaś Beatę?

– Zabrakło okazji.

– Więc czemu mówisz o czymś, o czym nie masz pojęcia? – Marta kątem oka widziała nerwowe ruchy Bartka i Roberta, ale niewiele ją obchodzili. – Beata to fajna babka. Była wspaniałą, kochającą żoną.

– Ty chyba też nie wiesz, o czym mówisz. – Usta Sandry wessały się do wewnątrz prawie w całości. – Nie rozbiłam ich małżeństwa. Dawno się rozleciało. Formuła: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”, jest dobra dla minimalistów. Jedni się na to godzą... – spojrzała przeciągle na Roberta – ... a inni w końcu mają dość... – mrugnęła do ukochanego. – Kwestia gustu. Bączek nie jest stworzony do cierpienia, więc odszedł. Gdyby nie znalazł mnie, znalazłby inną. I tyle na ten temat! – Skierowała uśmiech ku Marcie. – Przepraszam, że przyszłam zamiast niej, i rozumiem twoją niechęć. Patrzysz z innej perspektywy niż ja, dlatego mnie nienawidzisz.

Zbita z tropu, nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Zabrakło jej odwagi, by powiedzieć, co myśli o nawiedzanej panience.

– Ty też patrzysz z innej perspektywy? – spytała Bartka, który wyglądał na mniej pewnego siebie niż madame Cabernet.

– Daj spokój. – Przyglądził kołnierzyk koszuli. – Takie jest życie: wszystkim nie dogodzisz.

Martę zatkało. „Takie jest życie: wszystkim nie dogodzisz”?! Niby sześć marnych słów, a perpetuum mobile na każdą okazję!

Rozwiązuje wszelkie problemy. Poczynając od jajecznicy – glut czy omlet? – zrobić byle jak, podać na stół i oznajmić: „Takie jest życie: wszystkim nie dogodzisz”, a kończąc na spakowaniu się i porzuceniu rodziny. Bo przecież takie jest życie.

Prawdopodobnie, zanim Bartek wypłynął z Kolumbem i wojował u boku Andersa, zaliczył wcielenie filozofa. Oczywiście wybitnego hedonisty.

– No fakt, wszystkim nie dogodzisz... – skrzywiła się w wymuszonym uśmiechu.

Trudno, trzeba wytrwać przy stole i pogodzić się z obecnością bezczelnej tupeciary. Ale nie zaszkodzi sprawić, by przez chwilę poczuła się obco i zamknęła wyszczekany pysk.

– A co u Oli? Masz jej zdjęcia? Co studiuje? – Chociaż wbiła wzrok w Bartka, zdołała zarejestrować, że cekinowa lejdi zaplata ręce na piersiach i opiera się o kanapę, oddając pola. Trafiona, zatopiona! Teraz trzeba, ile się da, gadać o dzieciach: powspominać ich zabawy, rodzinne wyjazdy... A potem wyciągnąć albumy ze zdjęciami. Ha!

– Ola mieszka z matką w Poznaniu – niechętnie wyjaśnił Bartek. – Studiuje psychologię w Poznaniu. Spotykamy się rzadko, bo ona tam, ja tu...

– Ale macie kontakt? Przyjeżdża czasami do Szczecina?

– Po co ma przyjeżdżać?

– Do ciebie.

– Nie przyjeżdża. Rozmawiamy przez telefon albo Skype’a.

– Ale wakacje na pewno razem spędzacie. Pokaż zdjęcia.

– Dominik, spędziłeś ostatnie wakacje z tatą? – Sandra odkleiła plecy od kanapy i zatańczyła włosami.

– Pokaż zdjęcia.

– To żart? – Chłopak beknął, odsunął talerz, a potem krzesło. – Idę do siebie. Majka czeka. – Zamachał rozbłyskującym bez przerwy ekranem telefonu. – Bawcie się dobrze. Cześć!

– Widzicie? – Madame Cabernet uśmiechnęła się do drzwi, za którymi zniknął. – Każdy wiek rządzi się swoimi prawami. Ale mnie daleko do ich pokolenia. Moi rówieśnicy to społeczne kaleki. Pozamieniali żywych ludzi na internetowe fantomy z gier albo z dziwnych portali. Dlatego pokochałam Bączka. On jest realny, dojrzały, mądry... Dzisiaj nie ma już takich mężczyzn jak wy. – Mrugnęła na Roberta chabrowymi oczętami. – Słodkie dinozaury z was. Głupie te, które was tępią, zamiast wsadzić do rezerwatu i pilnować, żebyście nie uciekli.

Na chwilę zapadła cisza. Bartek wrócił do rytmicznego ugniatania łokcia Sandry, a Robert – z braku łokcia Sandry – ugniatał plasterki na palcu.

– No, chyba wcale nie jest realny, skoro córka zna go wyłącznie z telefonu i z Internetu? – Marta ani myślała odpuścić. Beatę przemilczy, okej. Ale z dzieckiem się przecież nie rozwiódł, więc temat Oli nie powinien stanowić tabu.

– Słyszałaś, co przed chwilą powiedział nasz syn? Gdyby mieszkał w Poznaniu, też pewnie widywalibyśmy go tylko na Skypie, i to raz na miesiąc, przed pierwszym.

– Siedz cicho, z tobą później porozmawiam! – syknęła. – A sytuacji nie da się porównać, bo nasz syn ma normalną rodzinę. Czuje się tak samo kochany przez matkę i przez ojca.

– Faktycznie, widać, że emocjonalnie jest z wami silnie związany i bezwarunkowo go kochacie... – Poważnemu tonowi Sandry przeczyło kpiące spojrzenie. Patrzyła na miejsce Dominika: odsunięte od stołu krzesło, poplamiony obrus, brudny talerz, niedopitą szklankę herbaty z odciskami zabrudzonych sosem palców. – Wasze zdrowie! – Uniosła lampkę wina, zatrzymując dłoń centralnie nad środkiem blatu i patrząc tylko na kieliszek.

Marta doskonale zrozumiała ten sygnał: „Nikogo nie zmuszam do sojuszu. Czekam na dobrowolne poparcie”.

Oby Robert też to zrozumiał i zignorował. Aż tak głupi chyba nie jest?

– Nasze! – Dwaj mężczyźni ochoczo stuknęli szklaneczkami o lampkę wina.

– Za spotkanie!

– Oby nie ostatnie!

– Jak dobrze, że przypieprzyłem wózkem w tę beemwicę.

– Gawron, czułem, że zanim umrę, znowu cię odnajdę.

– *Kiedyś cię znaaajdę...! Znajdę cię. W końcu znaaajdę...! Jestem coraz bliżej, wiem!* – fałszował

Robert, wymachując drinkiem. Przy każdym machnięciu zahaczał delikatnie kieliszek Sandry i szklaneczkę Bartka. – Bąku! Co było, to było. I co złego, to nie my. Prawda? – Obejrzał się, szukając poparcia żony, ale Marty nie było w pokoju. – Dokąd odleciała moja... Pszczółka? – parsknął, ubawiony własnym żartem.

– Do ula! – chichotała Sandra, wskazując na miejsce, gdzie przed momentem znajdował się zostawiony przez Dominika chlew. Po brudnych nakryciach nie było śladu. – Prawdziwa z niej robotnica. Nie to co wy, trutnie darmozjady.

– A ty? Jesteś robotnicą czy trutniem?

– Ledwo przestałam być larwą. Dopiero się uczę życia i wciąż nie wiem, kim chcę być i z kogo brać przykład.

– Bierz przykład z mojej – poradził Robert. – Cwana robotnica. Ciągłe nas szantażuje żarciem. Wie, że

do serca trafia się przez żołądek.

– Znam atrakcyjniejsze skróty. Prawda, Bączku?

– Oj, znasz, znasz...

– No to za moją nieatrakcyjną obwodnicę! – wykrzyknął Robert.

Ryms! – z kuchni dobiegł odgłos tłuczonych naczyń.

Skulili ramiona, pomrugali wesoło i wypili, cichutko wznosząc dwuznaczne toasty za skróty i za obwodnice.



ŻADNA KOBIETA NIE JEST GENIUSZEM:  
KOBIETY SĄ DEKORATYWNĄ PŁCİĄ.  
NIE MAJĄ NIC DO POWIEDZENIA,  
ALE CZYNIĄ TO W SPOSÓB CZARUJĄCY.

(Oscar Wilde)

Śliskie talerze nie wiadomo kiedy wyleciały z rąk i rozsypały się w drobny mak.

Gówniarz marudził, że mało sosu, a upieprzył nim każdy centymetr. Pies by kulturalniej zjadł! – Marta równocześnie wściekała się na syna i go błogosławiła. – Z drugiej strony życie mu zawdzięczam. Jeszcze chwila i wylewu bym dostała, gdybym została przy stole, a tak pozmywam po nim i przy okazji trochę odpocznę od bandy idiotów. Tylko ich uprzedzę, żeby mnie nie wołali...

– Wybaczcie, muszę sprzątnąć kuchnię. Ktoś wejdzie, poślizgnie się, pokaleczy i nieszczęście gotowe. Prawda, kochanie? – Zajrzała do salonu i posłała mężowi czarujący uśmiech. – Szczególnie dla ciebie jest tam bardzo niebezpiecznie. Siedź i zabawiaj ich swoimi cudownymi żartami. A wy... – splótła błagalnie ręce ku gościom – pod żadnym pozorem nie pozwólcie mu wstać z fotela! Pilnujcie go jak oka w głowie! – I uciekła.

Podtrzymując obolały kręgosłup, klapnęła na czysty kawałek podłogi. Rozłożyła wokół siebie szmatki, papierowe ręczniki i spryskiwacze z detergentami, a potem, kafelek po kafelku, zbierała okruszki porcelany, myła glazurę, szorowała fugę wokół płytki i przecierała płynem do szyb. Gdy w nieskazitelnie czystej powierzchni widziała odbicie każdej swojej zmarszczki, przechodziła do następnego kafla. Pracowała powoli i precyzyjnie niczym egipski archeolog.

Oczywiście, przy pomocy odkurzacza i mopa mogłaby załatwić sprawę w dwie minuty, ale chodziło przecież o coś innego – im później wróci do „filmowego towarzystwa”, tym lepiej. Poza tym odkurzacz zagłuszyłby ich rozmowy, a nie zamierzała uronić ani słowa. Sunęła zatem na tyłku od fugi do fugi i pilnie strzygła uszami, z coraz silniejszym przekonaniem, że ktoś tu jest nienormalny. Tylko kto?

– Wierzysz w reinkarnację i na tym koniec? Czy coś więcej? – Zgodnie z poleceniem Robert zabawiał gości. A konkretnie Sandrę.

– „Więcej”?

– No: ezoteryka, guru, wegetarianizm. Pytam, czy jesteś hinduistką.

– Nie jestem. Chociaż mam swojego guru. Znasz go dłużej niż ja, prawda? – zaśmiała się głośno. – Wegetarianizm, owszem. Od ponad czterech lat nie jem mięsa, dlatego...

Mimo strzyżenia uszami Marta słyszała tylko ciszę. Prawdopodobnie Sandra na migi przeproszała za niekorzystanie z uginającego się pod żarciem stołu. A mogłaby! Porowy krem, pomidory z mozzarellą i... – analizując menu, nie znalazła więcej bezmięsnych potraw. Skąd mogła wiedzieć? Urobiła się po łokcie i gówno z tego wyszło! Najpierw Robert z Dominikiem wybrzydzała, że nie poda żeberka ani golonki, a teraz chabrowa lafirynda grymasi na brak schabowych z soi.

– Co w takim razie jadasz?

– Na śniadanie przygotowuję nam owsiankę...

– Nam?

– Oczywiście! Bączek początkowo się wzbraniał, bo wyrobiono mu złe nawyki żywieniowe, ale nauczyłam go nowej kultury jedzenia i wyzwoliłam z syndromu reglamentacji. Sam się przekonał, że warto. Skóra jak pupcia niemowlaka. Nie widzisz? Żadnego wykwitu, krostki. Jest mięciutki i gładziutki. Cudo, prawda?

– Może i cudo. Trudno, żeby chłop chłopu się przyglądał, czy mięciutki i gładziutki... – Robert zawiesił głos, zapewne przyglądał się kumplowi. – Trzyma się nieźle jak na nasze lata, fakt.

– A co wy macie za lata? Najlepsze. Najatrakcyjniejsze. Faceci w waszym wieku ogromnie pociągają kobiety. Zobacz choćby amerykańskie kino: Robert Redford, Michael Douglas, Pierce Brosnan... Za młodu chałturzyli, a dopiero koło pięćdziesiątki osiągnęli apogeum sławy, szczyt męskości.

Marta zasłoniła usta ścierką, żeby w salonie nie dosłyszano jej śmiechu.

Chryste Nazareński! Oby jełop nie uwierzył, że jest Brosnanem. Agent 007, którego zabija karnisz i który mdleje na widok strzykawki? I kąpie się z tamponem na palcu, żeby mu plasterki nie zmokły? Ciekawe, co Sandra by powiedziała na widok tego faceta w najatrakcyjniejszym wieku, który cały się trzęsie, gdy wchodzi do basenu, a zimą śpi w kałesonach?

Czekała na skromny protest męża z nadzieją, że jest świadomy własnych ułomności.

– To co jadacie? – Z tonu wywnioskowała, że uwierzył jednak, że jest Brosnanem. Albo Redfordem; bo przynajmniej imię się zgadzało.

– Musisz przygotować trzy pojemniki. Jeden na płatki owsiane, zwykłe górskie. Czasami mieszam je z jęczmiennymi i razowymi.... – instruowała go Sandra. – Wszystkie wyglądają tak samo, tylko nieznacznie różnią się kolorami. Drugi pojemnik na suszone owoce, żurawinę, goji, wiśnie... A trzeci na ziarna: słonecznik, pestki dyni, siemę lniane, orzechy niesolone... Zależy od gustu.

Marta zakneblowała się czystym końcem szmaty. Komedialna na żywo! Widok pojemników o podobnej zawartości Robert skwitowałby krótko: „Wywal na śmieci albo chomikom rozdaj!”. Przerobiła to podczas diety antycholesterolowej, gdy próbowała przekonać go do musli z odtłuszczonym jogurtem.

– I teraz tak: na śniadanie sypiesz do miseczki trzy, cztery łyżki płatków, łyżkę owoców i łyżkę ziaren. Zalewasz gorącą wodą i odczekujesz chwilkę, żeby napęczniało. A potem urządzasz żołądkowi prawdziwą ucztę. Żołądkowi i całemu organizmowi – zaznaczyła uczenie Sandra. – Po pięciu godzinach wypijasz sok ze świeżej marchewki albo pomidorowy, albo wielowarzywny. Po godzinie, półtorej obiad z kaszy jaglanej, ewentualnie warzywa bez ziemniaków. Najważniejsze, żeby było dużo kiszzonek: ogórki, kapusta, czosnek... Kiszony czosnek nie śmierdzi, więc można jeść do oporu. A na kolację zupa jarzynowa na wodzie. Wolno ją jeść po dwudziestej drugiej. Nawet trzy miski! A zamiast kawy sok z buraków. Poza tym dużo ziół. Są lepsze i skuteczniejsze niż antybiotyki.

– Bardzo ciekawe menu... – Robert najwidoczniej dostał amnezji. Aż się prosiło, by opowiedział o niskosodowej soli himalajskiej i o cukrze z Madagaskaru, i o poświęceniu się żony, która tarła biodynamiczne buraczki i hodowała zioła w korytkach, żeby poprawić mu poziom lipoprotein. Nie skojarzył jednak faktów. – Widzę, Bąku, że nieźle się urządziłeś. Dbają o ciebie.

– Nie przeczę – odpowiedział Bartek, wyraźnie zadowolony z karmienia owsianką tudzież zupą jarzynową na wodzie, której aż trzy miski wolno bezkarnie zjeść. – Pszczołka trzyma dietę, mobilizuje mnie do uprawiania sportu, a do tego wciąż nasłuchuje, czy coś mi nie szwankuje. Ostatnio uznała, że ciężko oddycham, i siłą zaprowadziła do kardiologa. Mówiła, że fantastyczny lekarz, i miała rację. Wystarczyło pięć minut i przestałem martwić się o serce.

– Jakaś nowa metoda? – Robert, trzęsący tyłkiem przed każdym białym kitlem, lubił błyskawiczne

wizyty, więc gdyby (nie daj Bóg) na serce niedomagał, chętnie poszedłby do tego samego lekarza i skorzystał z nowej, pięciominutowej terapii kardiologicznej.

– Metoda stara jak medycyna! Zapytał, co mi jest, ja na to prawdę: że nic, że dziewczyna mi kazała, bo ponoć ciężiej oddycham. Pogadaliśmy chwilę. Ani mnie nie osłuchał, ani EKG nie zrobił. Potem zawołał sto pięćdziesiąt złotych, wsunął kasę do szuflady, podał rękę i powiedział: „do widzenia”. Gdyby mi coś dolegało, dostałbym zawału, a nawet się specjalnie na gościa nie wkurwiłem, to wiadomo, że serce mam zdrowe, nie?

– Ale ty naprawdę czasami nierówno oddychasz. – Głosik Sandry ledwo przebijał się przez chóralny męski rechot. – Posapujesz ciężko.

– Przy tobie, Pszczółko, każdy zdrowy mężczyzna nierówno oddycha i posapuje. To się nazywa podniecenie i jest nieuleczalne, prawda, Gawron?

– Bo ja wiem? Od dawna oddycham równiutko i nie posapuję.

Tym razem do męskiego rechotu dołączył szczebiotliwy sopran.

Marta wstała z podłogi. Do wyczyszczenia zostało jeszcze kilka kafelków, ale potrzebowała przerwy. Stawy piekły ogniem, więc stłumiła stękanie i przeszła do lodówki takim krokiem, jakby tańczyła lambadę. Miała nadzieję, że Robert nie wyniósł całego alkoholu i całej popitki. Gdy szarpnęła za chromoniklowane drzwiczki, odetchnęła z ulgą – zrobiła mocnego drinka i wychyliła go duszkiem. Drugiego sączyła powoli. Stała, zataczając biodrami szerokie koła, żeby przegonić ból z lędźwi, i słuchała dalej.

– Ona jest rozkoszna... – Bartek niestrudzenie zachwalał Sandrę. – Kwintesencja kobiecości: codziennie rano wrywa brwi i przykleja rzęsy. Niepojęte, prawda? A miesiąc temu przysłała i oznajmiła, że jest Królowną Śnieżką, więc musi wymienić wszystko: ciuchy, kosmetyki, buty, biżuterię, lakiery do paznokci i sam nie wiem, co jeszcze. Powiedziałem, że niech wymienia, co chce, oby tylko nie wymieniła mnie na siedmiu krasnoludków.

– Znowu się ze mnie nabijacie. Ostrzegam: jeszcze raz i się obrażę! To, że jestem ładna, nie znaczy, że głupia.

Obaj mężczyźni zaczęli prześcigać się w zapewnieniach, iż widzą w niej wyłącznie pokłady intelektu, oraz tłumaczyli, na czym polega ich prymitywny dowcip wyrobiony dawno temu – w czasach młodzieńczej przyjaźni. Bartek żarliwie zachęcał ją do opowiadania o przyczynach zmiany garderoby, Robert zaś domagał się wyjaśnień na temat Królowny Śnieżki.

– Zdecydowałam się na skorzystanie z usług wizażystki – zaczęła łaskawie Sandra. – Powiedziała, że jestem zimna, w typie Królowny Śnieżki. Czyli czarnowłosa i blada jak trup. I to jest moim największym atutem, który powinnam podkreślać, zamiast się palić na solarce. Spodobało mi się. Przecież wiadomo, że promieniowanie słoneczne jest szkodliwe dla skóry, prawda? Więc dlaczego nie połączyć przyjemnego z pożytecznym? Mariolka, czyli ta moja wizażystka, powiedziała, że mam urodę dobrze urodzonych inteligentnych kobiet z wyższych sfer. A one zawsze były blade. Opalenizna uchodzi jedynie u prostych chłopiek.

– Zgadza się – potwierdził Robert. – Kiedyś prawdziwe damy zasłaniały się przed słońcem parasolką.

– Dlatego nie protestowałem. Każdy woli damę od chłopki, nie? – dodał natychmiast Bartek.

– Musiałam zmienić garderobę. – Sandra, zachęcona ich entuzjazmem, nabierała wigoru. – Mariolka kazała mi chodzić w bielach, turkusach, niebieskościach, kobaltach oraz fuksjach. Przekonała mnie też do beżu. Zawsze wydawał mi się nudny i bezpłciowy, a nie miałam pojęcia, że posiada tyle odcieni: cielisty, nude, cappuccino, wanilia... Zaprowadziła mnie do sklepu, gdzie na stole wielkości tego tu weselnego stały same beżowe buty w dziesiątkach tonów. Różne fasony, z różnymi dodatkami. Przekonała mnie, bo faktycznie wysmuklają sylwetkę i optycznie wydłużają nogi.

– Czyli warto inwestować w wizażystkę? – dopytywał Robert.

– Początkowo się wahałam, ale kiedy mnie ubrała, dorzuciła szarą filcową torbę z czerwonym kogutem i zrobiła makijaż nude z fuksjowymi ustami, to aż mnie zatkało. Bączka zresztą też. Pamiętasz?

– Pamiętam. Następnego dnia wysłałaś mnie do kardiologa, bo całą noc ciężko oddychałem i sapałem.

Salonem wstrząsnął chóralny wybuch śmiechu.

Marta zrobiła sobie kolejnego drinka. Rozgoniła w międzyczasie ból, więc klapnęła na podłozie, by dokończyć mycie kafli. Popijała, szorowała i słuchała...

– Poza tym Pszczółka ma jeszcze jedną cudowną zaletę. – Bartek wyraźnie reklamował towar, z którym przyszedł. – Nie pozwala mi niczego robić w domu.

– Kłamczuch! Przecież razem gotujemy, sprzątamy i chodzimy na zakupy. Robuś, nie słuchaj go! Żyjemy w prostym układzie: zgadzam się być kurą domową, pod warunkiem że on będzie kogutem.

Pszczółka, bączek, kura, kogut... – nie wiedziała, czy kręci jej się w głowie od alkoholu, od wdychanych detergentów czy może przez cudaczny zwierzyniec okupujący salon? A „Robuś”? Infantylnie zdrobnienie! – Upiła spory łyk drinka, zatrzymała go w ustach i przelewała między zaciśniętymi zębami z policzka w policzek. – Chociaż, z drugiej strony... Całkiem trafnie spieściła imię niedorozwiniętemu, dziecinnialemu leniowi. Kupuję to! Z zemsty za dzisiejszy wieczór będę teraz nazywać go Robuś. Z odpowiednią intonacją i spojrzeniem, oczywiście. Niech nie liczy na słodki głosik i trzepanie przyklejonymi rzęsami spod wyrwanych brwi!

Chyba że zaczniesz zjeść na śniadanie polane wrzątkiem pestki dyni, na obiad – kiszony czosnek, a na kolację – utopione w wodzie jarzyny. I pod warunkiem, że razem to ugotują, a potem wspólnie posprzątaj.

Oszołomiona tą fantazją, wypadła chwilowo z podsłuchu.

– Moja Pszczółka postanowiła przemeblować cały dom – opowiadał Bartek. – Do późna siedziałem w robocie, a ona fruwała po sklepach. Wiedziałem, że planuje kupić nowy żyrandol. Tymczasem okazało się, że oprócz żyrandola przywiozła zasłony, firany, kapy, poduszki i rustykalną farbę do mebli. A potem zadzwoniła do firmy „Mąż na telefon”. Wiedziałeś, Gawron, że wymyślili podobne udogodnienia?

– „Mąż na telefon”? Pierwsze słyszę... – zaśmiał się Robert. – Wolałbym, żeby moja nie szukała męża przez telefon.

– Zaraz naprawdę się obrażę! – nadała się tradycyjnie Sandra. – „Mąż na telefon” jest firmą świadczącą wszelkie męskie usługi, poza tymi, o których myślisz. Dla samotnych kobiet: jak im się zlew zapcha albo drzwi się nie domykają, bo sąsiad zalał i podłogę wypuczyło... Przyjeżdżają w ciągu godziny.

– Przecież nie jesteś samotna.

– Nie jestem. Ale, Robuś, zastanów się... Bączek od rana do nocy w pracy, pełno stresów. Niedawno wrócił na szczeciński rynek, wciąż walczy o klienta, a ja będę mu kazała żyrandol wieszać, gdy wreszcie wróci do domu? Postanowiłam, że sama urządzę nasze gniazdko. Dlatego zadzwoniłam po „Męża na telefon”. Facet przyjechał, przeszkolił mnie w zdzieraniu papierem ściernym politory i w malowaniu mebli. Na dodatek obrócił kilka razy do sklepu. Okazało się, że zapomniałam o rozcieńczalnikach, a potem musiał znowu jechać, żeby zamontować żyrandol. Bo transformery nie pasowały.

– Mówi o transformatorach – wyjaśnił ze śmiechem Bartek. – Ale tak sobie myślę, że chłopaki mieli niezły pomysł na biznes, nie, Gawron? Szkoda, że my nie wpadliśmy na coś podobnego. Jedziesz do panny, naprawiasz kontakt albo przetykasz wannę i parę stówek do kieszeni wpada.

– Racja. Szkoda, że nie my to wymyśliliśmy...

Szkoda? Chyba chwala Bogu, a nie szkoda?! – Marta wyczyściła ostatnią linię brudnych kafli. Odłożyła ścierki i oparła zbolące plecy o ścianę: przerwa drinkowa. – Robert jako mąż na telefon? Dobre sobie!

W pierwszym dniu by się połamał, ewentualnie prąd by go zabił. Jedyne usługi, jakie potrafi świadczyć, to zdawanie relacji ze wszystkich dyscyplin sportowych, których ktoś nie mógł obejrzeć. Ciekawe, ile dostałby zleceń?

Natomiast Sandra... No cóż, potwierdza, że kobieta to idealny kandydat na męża... Sama pojechała, kupiła, zaaranżowała, zorganizowała montaż, a Bartek przyszedł na gotowe. Bajka!

Nic dziwnego, że bez przerwy ją gładzi po rączkach od góry do dołu i patrzy jak w obrazek. Też bym tak Roberta gładziła i wgapiła się w niego cielecym wzrokiem, gdyby był Sandrą. Męską Sandrą, oczywiście – piękny, młody, zaradny, nadskakujący...

Wzdychając i stękając, zebrała szmaty, pochowała chemikalia, a potem omiotła wzrokiem lśniąca kuchnię: koniec laby, czas wracać na towarzyski ugór.

– Trzypiętrowego tortu nie upiekłam, ale jeśli macie ochotę na coś słodkiego, zapraszam. – Wniosła do salonu ciasto z orzechowo-śmietankowo-jagodową pianką. – Nie ma w nim ani grama mięsa – zaznaczyła ze zjadliwym uśmiechem. – Natomiast uprzedzam, że są kalorie. Grozi utyciem.

– Kalorie mają znaczenie tylko wtedy, gdy szwankuje umysł. – Sandra pierwsza wyciągnęła ręce do patery. – Nie tyje się od jedzenia.

– A niby od czego? – Odkrawając gruby kawałek, Marta niosła go ostrożnie w kierunku nadstawionego talerzyka. – W Oświęcimiu jakoś nikt nie cierpiał na nadwagę.

– Tyje się wtedy, gdy spożywa się więcej, niż się spala. I nie chodzi o spalanie ciałem. Bardziej duchem – wyjaśniła chabrowa panienska, zbierając z kącików ust biało-fioletowe grudki. – Bo ciałem zawiaduje psychika. To ona informuje ciało, jak ma wyglądać.

– No to ładnie mnie psychika urządziła... – Marta nałożyła ciasto Robertowi i Bartkowi, którzy natychmiast wzięli przykład z Sandry.

– Uwierz, że tam w środku jesteś absolutnie szczupłą kobietą. Któregoś dnia twoje wewnętrzne Ja spotka się z twoim Ja zewnętrznym.

– Super! Żałuję, że widać mnie na zewnątrz, a nie od środka... – Obsłużwszy gości, klapnęła na fotel. – Gdybym miała spalać duchem, po wczorajszej wizycie w szpitalu byłabym chudsza niż chart rosyjski.

– Co się stało? Czemu byłaś w szpitalu?

– Zapytajcie Robusia Redforda. Niech się pochwali, co z niego za mąż na telefon i agent specjalny z licencją na zabijanie... wiertarką! – Kiwnęła na Bartka jak na lokaja. – Bączku, polej mi! Muszę wypić wasze zdrowie. Jesteście niesamowici.

Kiedy goście zaczęli dopytywać o wypadek, Robert skromnie wystawił nad stół posklejaną dłoń.

– Nic wielkiego. Przewierciłem sobie palec.

Wyregulowane brwi Sandry stworzyły wąską kreseczkę, a przyklejone rzęsy zmrużyły się w empatycznym grymasie cierpienia.

– Bardzo bolało? Głupio pytam... – Sama siebie pacnęła w czoło. – Bardzo ci współczuję. I podziwiam. Wczoraj szpital, a dzisiaj siedzisz z nami jakby nigdy nic. Jeszcze humorem tryskasz... – Obrzuciła obu panów czułym wzrokiem. – To jest właśnie męska stabilna dojrzałość, o której mówiłam.

– Nie ma o czym gadać. Lepiej...

– Naprawdę?! – Marta weszła mężowi w słowo. – Nie ma o czym gadać? Nie dość, że bohater, to jeszcze skromny? – zaczęła głośno Sandry. – Więc może ja opowiem za ciebie? O twojej stabilnej męskiej dojrzałości?

– Przestań, proszę.

– Wyobraźcie sobie, że Robuś o dojrzałości wie tyle, ile zobaczy w telewizji. Trzeba się nim zajmować jak pięciolatkiem i podobnie też reaguje na widok krwi albo lekarza. Trochę cieplejszy stosunek ma do pielęgniarek, o ile są młode i kitelek ledwo majtki im zakrywa. Na stare reaguje, niestety, identycznie jak

na krew, więc za każdym razem, kiedy idę z nim do gabinetu, modłę się, żeby trafiła nam się jakaś młoda tuż po szkole. Wczoraj się udało. Udawał przed nią gieroja. Ja na podobne traktowanie nie mam co liczyć. Jestem młoda, szczupła i piękna tylko w środku, a na zewnątrz? Każdy widzi... – Z westchnieniem wskazała swoje okrągłości. – Natomiast co do Robusia, muszę was rozczarować. Jest dzieckiem uwięzionym w ciele mężczyzny. Kiedy wychodzi z domu, brakuje mu tylko tornistra. Ale poza tym wszystko się zgadza: co rano, jak dziecko, potrzebuje przyszykowania ubranka i zrobienia kanapek na długą przerwę. I obiadek trzeba ugotować. Taki, żeby nie grymasił. Gdybym podała kaszę jaglaną z kiszoną kapustą, to obok talerza musiałby leżeć pasek do bicia na goły tyłek albo trzeba by go karmić łyżeczką: „za mamusię, za tatusia...”.

Opowiedziała o jego umiejętności spadania ze wszystkiego, na co wejdzie, o diecie antycholesterolowej, o tym, że nie odróżnia lodówki od telewizora, i o wielu innych przypadłościach. Podkreślała za każdym razem, że najbardziej dziecinne jest w nim to ukrywanie przed nią faktów w naiwnej wierze, iż zatrzyma czas i kolejne dni nie wyciągną jego kłamstw na światło dzienne.

– Proszę bardzo, mamy powtórkę z rozrywki. – Wskazała prawą ręką na Sandrę, a lewą na Bartka. – Zapewne nie tak wyobrażaliście sobie nasze spotkanie i w ogóle... jak was powitałam... Ale to nie moja wina! – Z politowaniem spojrzała na męża. – Mój stabilny, dojrzały mężczyzna tak mnie urządził. Was poniekąd też.

Po długim przemówieniu zapanowała równie długa cisza.

Sandra spuściła głowę, a loki zasłoniły jej twarz, Bartek, nie wiadomo czemu, wyglądał na rozbawionego, a Robert patrzył przed siebie wzrokiem, który dobrze znała z domowych awantur – tępym, obojętnym, jakby nie znał polskiego i nie rozumiał słów.

Znowu zwałił na nią całą odpowiedzialność. Znowu miał wszystko w dupie, nie rozumiał nawet, że to jego sprawka. Znowu nie liczył się z jej emocjami, z sytuacją, w jaką ją wpakował... Który to raz, licząc od dnia ślubu? Pięćdziesiąty, setny...? Nieważne. Poprzednie wybryki straciły termin ważności w porównaniu z numerem, jaki dzisiaj wywinął.

Podarował jej najpierw radosną ekscytację – wizję odzyskanej przyjaźni, wspomnienia z przeszłości, które roztrząsała w głowie przez kilka ostatnich dni; nadzieje na odnowienie kontaktu z Beatą, powrót do wspólnych wakacji i ślub Dominika z Olą, a nawet perspektywę zamieszkania na peryferiach Szczecina w parterowym apartamencie z zejściem do przydomowego ogródka.

Potem skazał ją na prace, że Herkules ledwo by wydolił: odnawianie pokoi, sprzątanie, zakupy, gotowanie, odkurzanie albumów ze zdjęciami. Sam w tym czasie bawił się kręglami, oglądał telewizję, a gdy raz go o coś poprosiła, poharatał się, debil, wiertarką i tylko kłopotu narobił.

Najgorszy był jednak finał – przez niego kompletnie się skompromitowała. Poczynając od momentu, gdy wywlekła z windy Sandrę, którą pomyliła z Olą, a kończąc na ciężkiej ciszy, która zawisła nad stołem. Wiedziała, że „stabilny, dojrzały mężczyzna” nie odezwie się pierwszy. Będzie siedział i gapił się tępo w ścianę. Niczego innego przecież nie potrafi...

PO TRZYDZIESTU LATACH BADAŃ  
NAD DUSZĄ KOBIETY  
NIE POTRAFIĘ ODPOWIEDZIEĆ NA PYTANIE,  
CZEGO PRAGNIE KOBIETA.

(Zygmunt Freud)

– Mam dość! – wydarła się, gdy drzwi mieszkania zamknęły się za Sandrą i Bartkiem. – Kim ja tu jestem? Służącą dla dwóch nierobów i dla ich niespodziewanych gości?! Raz Dominik, potem ty! Albo on wpuszcza do domu Maję z migreną, walącą młotkiem w deseczkę, albo ty ściągasz jakąś kretynekę opętaną ziarnami dyni! Moglibyście mnie uprzedzić?!

– O co ci chodzi?

– O gówno! – Zbierała talerze, ledwo utrzymując je w dygoczących rękach. – Rozumiem, że bawiłeś się dzisiaj doskonale? Że tylko ja mam znowu jakiś problem?!

– Nie bawiłem się doskonale... – Instykt samozachowawczy nakazał Robertowi posunięcie się do czegoś, co normalnie przekraczało jego zdolności, możliwości i umiejętności: zaczął pomagać żonie sprzątać stół.

– Zostaw! – Aż nią zatrzęśło, gdy zobaczyła, jak nieporadnie chwyta ręką za uszka trzech filiżanek. Oczywiście zdrową ręką, bo tę posklejaną schował asekuracyjnie za plecy. I oczywiście nie dostrzegł, że jedna z filiżanek jest niemal pełna. Kiedy z dwoma pozostałymi trafiła w jego drętwe paluchy, herbata lała się na dywan. – Zostaw, mówię! Potkniesz się, potłuczysz szkło i nogą wleziesz! Siadaj!

Odstawił filiżanki i usiadł.

– Nie bawiłem się doskonale – powtórzył.

– A to czemu? Nie podobała ci się Sandra? Tyle ci komplementów prawiała, że mało nie pękłeś. Cwana suka!

– Przesadzasz. Całkiem miła dziewczyna. I niegłupia.

– Też byś taką miłą i niegłupią chciał, co?

– Nigdy. Za żadne pieniądze. Nawet gdyby mi dopłacili.

Nie spodziewała się podobnej odpowiedzi, więc stanęła w progu między salonem i przedpokojem, spoglądając na Roberta z zaciekawieniem.

– Po co mi taka? Żebym musiał ją bez przerwy obskakiwać i durnia z siebie robić? – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. – Nie widziałaś? Bąk jak ostatni idiota się zachowywał: podawał, odstawiał, nakładał, głaskał. Tylko czekałem, aż jej...

Przerwał, bo nie miał do kogo mówić. Marta poszła do kuchni. Dobiały stamtąd odgłosy walenia naczyniami i trzaskania szafkami, więc ani trochę się nie uspokoiła. Ale dlaczego? Był pewien, że odpowiedział prawidłowo. Na dodatek szczerze: naprawdę nie chciałby mieszkać z sandropodobną panienką. Owszem, mógłby bzyknąć raz czy drugi, gdyby się najpierw mocno napraszała, a potem zbytnio nie narzucała. Ale dzień i noc wkoło niej latać? Przy soku z buraków, zamiast kawy, słuchać o wędrówce

dusz? Pedałować za nią rowerem po Puszczy Bukowej? Podziwiać, jak wspaniale dobrała razem z wizażystką nudne buty do sukienki? Jezu! Nigdy i za żadne skarby! Nawet nie wiedział, jak wygląda kolor „nudne”, z dziwacznym akcentem na ostatnią sylabę. A gdzie reszta zaległości, jakie musiałby nadrobić przy takiej siksie?

Więc czemu Marta jest zła, skoro jasno zadeklarował, że woli ją od Sandry? Powinna się cieszyć i z wdzięczności dopytać, co zjadłby jutro na śniadanie, zamiast tłuc garami. Niepojęte...

– Dlaczego się gniewasz? – Zlekceważył groźne odgłosy i poszedł wyjaśnić zakłócenia na łączach Mars–Wenus. Żona stała przy zlewie. Przez moment chciał przykleić swój brzuch do jej pleców i przytulić ją, by się uspokoiła, ale uznał, że to i głupie, i niebezpieczne. – Jesteś zła, że podobasz mi się bardziej od niej?

– Milcz! – Zza ramienia Marty wychyliło się ostrze noża z rozmytą gdzieniegdzie śmietankowo-jagodową pianką. – Bo nie ręczę za siebie!

– Czemu?

– Odejdź! – Jeden obrót na pięcie i stanęła z nim twarzą w twarz.

Cofnął się kilka kroków, bo wyglądała równie groźnie, co wystawiony w jego stronę nóż.

– Ty beznadziejny dupku! Ty idioto skończony! – Stuliła usta, jakby chciała go opluć. – Masz mnie za kretynkę? Myślisz, że ci uwierzę? Że podobam ci się bardziej od niej? Nie! – Zaśmiała się upiornie. – Jesteś po prostu do tego stopnia leniwy, że nawet zdradzić byś mnie nie umiał! Za duży wysiłek, prawda? Trzeba obskakiwać: podawać, głaskać... Po co ci to? Jeszcze byś się połamał przy kicaniu, nie? – Z furią cisnęła nożem w chromoniklowany zlewozmywak. – Wygodniej przy mnie siedzieć, co?! Palcem w domu nie kiwniesz, za to ja codziennie cię obskakuję!

Roberta zatkało. Poniekąd odczytała jego myśli. Ale tylko poniekąd. Absolutnie nie godził się na miano leniwego dupka.

– Pracuję. Przynoszę pieniądze...

– Pomnik mam ci za to wystawić? – prychnęła. – Zauważyłeś, że ja też pracuję?! Różnica między nami polega na tym, że ty po pracy musisz odpocząć, a ja muszę dalej w domu dla was zapieprzać! Wyhodowałam dwa bezużyteczne woły... – Głos jej się załamał. – Zejdź mi z oczu!

– Mar...

– Wynoś się! Patrzeć na ciebie nie mogę!

– Nie kłamię, napraw...

– Nie obchodzi mnie twoja prawda! Udajesz niewiniątko, a kto ukrył przede mną, że Bartek rozstał się z Beatą? Wiedziałaś od początku. Czemu mi nie powiedziałaś?

– Bo byś się wściekła.

– A teraz niby jestem zadowolona?!

– Zdecydowanie nie. – Dominik wyrósł w progu kuchni niczym duch. – Mogłabyś być niezadowolona trochę ciszej? Dlaczego krzyczysz na tatę? – Minął rozbujanym krokiem stojących naprzeciwko siebie rodziców. – Głodny jestem. Zostało leczo? – Zaglądał w kolejne garnki. – Zostało! – Pomachał radośnie pokrywką skrywającą jego ulubioną potrawę. – Podgrzej i przynieś mi do pokoju. Maja poszła siku, zaraz wracam na Skype'a... Tylko dorób sosu, żeby suche nie było. – Zniknął z kuchni tak, jak się pojawił: niczym duch.

– Marta...

– Wynoś się! Nie mam czasu! Muszę zrobić sos i zanieść księciu do komnaty!

– To ty rób sos, a ja posprzątam ze sto...

– Wynoś się! – Sięgnęła po rzucony do zlewu nóż. – Kiedyś was obu zabiję!

– Okej. Dobranoc.



Oddalił się do sypialni. Nie rozwikłał nieporozumień w komunikacji między Marsem a Wenus i raczej nie miał już na to ochoty.

Ułożył się, a poharataną wiertarką dłoń ułożył na jaśku w bezpiecznej odległości od ciała, po czym analizował każde słowo awantury, podczas której został wielokrotnie obrażony. Urządził sobie ranking pretensji i po namyśle znalazł laureata.

„Jesteś do tego stopnia leniwy, że nawet zdradzić byś mnie nie umiał!”.

Kobietko, nie prowokuj!

Zasypiając, fantazjował o zdradzie. Ze starą babą, której nie trzeba nadskakiwać i która jemu nie nadskakuje. Wystarczy, żeby się nie darła i nie poniżała przy ludziach... Bogini!

– Kochana jesteś, że znalazłaś dla mnie czas. – Spojrzała z wdzięcznością na przyjaciółkę. – Wariuję w domu z tymi dwoma jełopami. Kiedyś przez nich oszaleję, mówię ci.

– Nie mówisz. Powtarzasz po mnie. – Jolka wzruszyła ramionami. – Dziwię się, że do tej pory nie oszalałaś. Ja już dawno albo bym ich zabiła, albo w psychiatryku wyłądownała... Przywiązana pasami do kozetki.

– Przysięgam! Któregoś dnia wyjadę w cholerę, zmienię imię i nazwisko, operacji plastycznej się nawet poddam, żeby mnie nie znaleźli.

– Na pewno tak zrobisz... – Jolka przytaknęła z grzecznością, a swoje wiedziała. – Wycisz się, powdychaj wiosnę.

Korzystając z ładnej pogody, spacerowały ścieżkami Lasku Arkońskiego, a potem usiadły na tarasie urokliwej knajpy zbudowanej w samym sercu Doliny Siedmiu Młynów. Sosnowe bale oberży i rozświetlana słońcem ściana drzew pozwalały zapomnieć o szaroburym życiu w miejskim gwarze. Okryte kocami siedziały na wyściełanej skórą ławie, delektując się słodkościami. Jolka zamówiła naleśniki z serem na ciepłym sosie malinowym z lodami waniliowymi, a Marta sałatkę owocową. Wolałyby naleśniki i lody, ale ze względu na tuszę wstydziła się jadać publicznie podobne smakołyki. Ludzie od razu by pomyśleli: „nic dziwnego, że taka gruba”. Co innego, gdyby miała figurę Sandry. Wtedy mogłaby pałaszować, co chce, tudzież wygłaszać uczone teorie na temat spalania kalorii za pomocą ducha informującego ciało, że ma być szczupłe...

– Sama sobie wdychaj wiosnę! – Wspomnienie chabrowej paniąki przyćmiło „piękne okoliczności przyrody i niepowtarzalnej”. – Nerwy mi płuca zakleszczyły: obręcz z mięśni, że ani ziewnąć nie mogę, ani nawet porządnie westchnąć.

– Rozumiem... – Jolka błędziła wzrokiem po czubkach drzew. – Olej ich.

– Łatwo z boku radzić.

– Dzisiaj jestem z boku, wczoraj byłam w środku, a jutro? Kto wie? Tak czy siak, wypiętą dupą od świata się nie odgradzisz. Lepiej przyjąć go na klatę.

– Sama przyjmij świat na klatę! – Obojętny ton przyjaciółki irytował Martę. – Nie dość, że oni, to jeszcze Bartek... Opowiadałam ci przecież, jak bardzo lubiłam jego i Beatę. I że on zawsze był dla mnie ideałem faceta.

– I co w związku z tym?

– Ostatni ideał mi się posypał. Czekałam na wizytę twardego faceta, a przyszedł rozmemłany fircyk. Poza tym totalnie nieodpowiedzialny. Do Bartka to zupełnie niepodobne. Gdybym go nie znała, pomyślałabym: bezdzietny kawaler. Jakby nigdy nie miał żony... Dobra! – Machnęła ręką. – O żonie można zapomnieć. Ale on zapomniał też o Oli. Podpytywałam kilka razy, to wciąż ucinał temat.

– Co chcesz? Układa sobie życie od nowa, więc dziecko średnio mu się komponuje.

– Usprawiedliwiasz go?

– Nie. Tłumaczę, czemu ciął temat... – Jolka westchnęła nad naiwnością przyjaciółki. – Czego nie rozumiesz? Zamknął stare życie i nie ma zamiaru do niego wracać nawet myślami, a ty mu wywlekasz trupy z szafy.

– Trupy? Przecież córka to nie trup.

– Oczywiście, że trup. Taki sam jak żona. Popełniłaś ogromną towarzyską gafę, moja droga. Nawet dwie. Bo dobrałaś mu się do szafy w obecności jego panienki. Planował ją zabawić i zrobić z niej gwiazdę wieczoru, a ty co? Zamiast podziwiać i cieszyć się ich wspólną miłością, maglujesz go o jakąś Olę. Dobrze, że nie zapytał: „A kto to jest Ola?”.

– Głupoty gadasz.

– Żadne głupoty. Czy według ciebie mój Filip ma ojca?

– Oczywiście. Spotykają się w miarę regularnie i...

Jolka zaklęła tak głośno, że siedzący przy sąsiednich ławach ludzie obrzucili ich zgorszonymi spojrzeniami. Spuściła głowę, udając, że to nie ona.

– Jakie „oczywiście”? Jakie „spotykają”? W miarę regularnie to się, ku... – zniżyła głos do szeptu. – W niedzielę z księdzem można spotykać, a nie z ojcem! Co ten... wie o własnym dziecku? Zapłaci alimenty, raz w czas kupi buty albo ciuch, zabierze na mecz Pogoni i tyle. Trzy godzinki zarwie, a potem leci do swojej lali i korzysta z życia. Jak sama powiedziałaś, bezdietny kawaler! Cudne, prawda? Też bym tak chciała.

– Oddałabyś mu Filipa?

– Boże! Jak ty wszystko dosłownie traktujesz. – Niezmiennie załamywała ją prostolinijna „interpretacja świata według Marty”. – Nie chodzi o oddawanie dziecka jednemu czy drugiemu rodzicowi. Ale zakładając hipotetycznie... Gdyby sytuacja była odwrotna... – Samo wyobrażenie podobnego scenariusza zaowocowało radosnym rzeniem. – Gdyby sąd oddał Filipa pod opiekę ojcu, bo mnie uwiódłby Robert Redford i wywiózł do Los Angeles... Sądzisz, że przy jakimkolwiek facecie zapamiętałabym się w miłości do tego stopnia, żeby spotykać się z synem od święta? Że codziennie bym nie dzwoniła? A ten skończony... – Tylko z ruchu ust dało się odczytać słowa. – Co robi? Parę godzin, kilka stówek i ciao, ciao: ma w dupie. Żyje sobie jak panisko, na wakacje z dziunią wyjeżdża... No bo przecież nie będzie spędzał wakacji z własnym dzieckiem, prawda? Lepiej dać chłopakowi kasę na lato i niech spada. Po powrocie z urlopu, skurczybyk, dalej ma wolne. Czy on coś wie o problemach Filipa z matematyką? Nie! Nie obchodzą go testy gimnazjalne, a elektronicznego dziennika na oczy nie widział.

Marta, przyłoczona argumentami przyjaciółki, z trudem ogarniała myśli. W sumie Bartek mógł mieć podobne podejście... Ale tak po prostu o wszystkim zapomniał? Była Ola i nie ma Oli?

Facet Jolki, owszem, od początku wyglądał na bezrefleksyjnego ćwoka, ale Bartek? Niemożliwe!

– Elektroniczny dziennik? – powtórzyła bezmyślnie, bo w głowie wciąż latały jej strzępy wspomnień. Próbowała je zebrać do kupy, ale przeszłość splątała się z teraźniejszością i wywołała kompletny zamęt.

– Co to jest?

– Dzieło szatana. Komunikator, który doprowadza mnie do furii. Zamienia rodzica w szpiega, sprawdzającego każdą ocenę. Niby daje możliwość kontaktu z nauczycielem, ale działa w jedną stronę. Na moje pytania nikt nie odpowiada. Prosiłam na przykład panią od angielskiego, by wyjaśniła, jak Filip ma poprawić jedynkę ze słuchania ze zrozumieniem. On twierdzi, że pani nie robi powtórek z klasówki, a wychowawczyni na zebraniu grzmiała, że mamy mobilizować dzieci, bo każdą ocenę negatywną trzeba poprawić. Że teraz za wszystkie jedynki odpowiedzialni są nie uczniowie, lecz rodzice. Niestety, anglistka nie raczyła mi odpisać do dziś. Czy ten... – wkrótkich słowach szeptem mieszała z błotem byłego męża – ...się o to martwi? Nie! Wspaniały tata odhacza wizytę i znika. Dlatego mówiłam, że też bym tak chciała: zero nerwów, zero odpowiedzialności, ale za to sto procent samozadowolenia!

Marta siedziała ze zwieszoną głową. Nie zapamiętała ani słowa z wywodu o elektronicznym dzienniku.

– A wracając do hipotetycznej sytuacji, że uwodzi mnie Richard Gere... – zarżała Jolka. – I decyzją sądu Filip powinien mieszkać z ojcem... To chłopak zostałby bezdomny! Chyba nie sądzisz, że lala mojego eksa by się na to zgodziła? Przecież uwili sobie gniazdko, a tu raptem trzeba znaleźć miejsce na szafę z trupem. Eksowi też by to nie pasowało. Można potańczyć nad zwłokami trzy godziny, ale całodobowe czuwanie to przesada!

– Przestań wreszcie z tymi trupami! – Wzdrygnęła się Marta.

– A ty przestań się wreszcie dziwić, że Bartek unikał gadania o córce. On ma teraz nowe życie.

– Smutne...

– Dla nas smutne, dla nich normalne. Łażą po świecie jak barany po pastwisku, a cała ich filozofia zamyka się w dwóch zajebicie głębokich nurtach! – Jolka wystawiła kciuk i palec wskazujący, a potem zaginając je, wyliczała: – Pierwszy nazywa się: „Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. Wtedy po cichaczku zdradzają i jakby nigdy nic wracają do domu. Natomiast drugi to: „Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”. Wtedy wiją nowe gniazdko i zapominają o byłych dzieciach.

– Byłych dzieciach? Co ty wygadujesz?

– Filip jest byłym synem mojego męża, a Ola jest byłą córką Bartka. „Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”! – Jolka wzruszyła ramionami i wróciła do naleśnika. Rozdzielała go brzegiem widelca na kawałki, tworząc na talerzu czerwono-waniliowe kałuże. – Pycha! – Wpakowała do ust kawał ciasta.

– Ciekawe, którym nurtem popłynąłby mój Robert?

– Żadnym! Przecież jest zbyt leniwy na skok w bok. To baran stacjonarny. Dopóki ma pełny żłób, nie ruszy dupy sprzed telewizora i nie będzie się wysilał na filozofowanie.

– Myślisz?

– Bądź spokojna. – Widząc w spojrzeniu przyjaciółki lęk pomieszany z nadzieją, Jolka poczuła szczere współczucie. – On cię nigdy nie zostawi. Nie martw się.

– Nawet gdyby... Bo kto wie? – Marta siliła się na dzielny uśmiech. – Jestem pewna, że Dominik nigdy nie stałby się dla niego „byłym dzieckiem”. Robert taki nie jest. Nie potraktowałby syna w ten sposób.

– Oczywiście – potwierdziła Jolka. – Tylko czy pamiętasz, co mówiłaś, kiedy łączyliśmy po lesie? Że Bartek zawsze był dla ciebie ideałem faceta, któremu Robert nigdy do pięt nie dorastał? Jeśli ideał skrewił i zapomniał o córce, to...?

– Nie, nie! – Od gwałtownego potrząsania głową Marcie aż coś chrupnęło w kręgosłupie. – Pod względem kontaktu z dzieckiem to on akurat zawsze przerastał Bartka. Nieporównywalne sprawy. Kocha Dominika sto razy bardziej niż mnie. Oni bez siebie nie istnieją.

– Więc niepotrzebnie się martwisz. Ale rozumiałaś przynajmniej, co ci tłumaczyłam? Że strzeliłaś kilka fopasów przy gościach? – Jolka klepnęła ją w ramię. – Luz! Nie ma tego złego. Zachowałaś się tak niewłaściwie, że więcej ich nie zobaczysz. Na bank. Znikną niczym sen złoty.

– Pudło! – Fakt, iż zawsze nieomylna przyjaciółka tym razem trafiła kulą w płot, sprawił Marcie pewną satysfakcję. – Wczoraj Bąk zadzwonił do Roberta. Zapraszają nas na rewizytę.

– Naprawdę? Kiedy idziecie?

– Żartujesz? Ja się nie wybieram! Pokłóciłam się wczoraj z Robertem... To znaczy dawno jestem z nim pokłócona i nie rozmawiamy od tygodnia, ale wczoraj tak się wściekłam, że aż się odezwałam. I jeszcze bardziej się pokłóciliśmy.

– Możesz jaśniej?

– Od czasu wizyty tej... – zająknęła się Marta, szukając odpowiedniego słowa.

– Dziuni, lali? – podpowiadała Jolka.

– Od wizyty tej dziuni i tego...

– Fircyka, palanta?

– Od czasu wizyty tej dziuni i tego palanta mamy w domu ciche dni. Nic nowego. Robert przyzwyczajony, zna instrukcję: siedzieć jak mysz pod miotłą, dopóki mi złość nie minie. Po ostatnim numerze trudno, żeby liczył na szybkie wybaczenie, prawda?

– No.

– Właśnie! A on wpada wczoraj po pracy i jakby nigdy nic, że mamy zaproszenie do Bąków. Rozumiesz? Nie dość, że włazi mi w oczy, to jeszcze nazywa tę... tę...

– Dziunię.

– Nazywa tę dziunię i tego palanta Bąkami! Świętokradztwo normalnie!

Mimo cichych dni bez zarzutu wypełniała swoje obowiązki, zatem gdy Robert wrócił do domu, postawiła mu pod nos kopytka z gulaszem na myśliwskim sosie.

– Cudownie pachnie – zachwycił się nad talerzem.

Żryj! I wyrwij sobie włosy z nosa! – powiedziałyby, gdyby nie wewnętrzna obietnica wytrwania w milczeniu do końca miesiąca.

– Nie uwierzysz, kto dzisiaj do mnie zadzwonił.

Skupiła się na myciu i polerowaniu garnka. Mógłby teraz wrócić na sklepową półkę – nówka sztuka.

– Bartek zadzwonił. Bąki zapraszają nas na przyszły weekend. Masz w co się ubrać? Czy, tradycyjnie, musisz coś kupić?

– Bąki nas zapraszają? – Jego wesolutki głos spowodował, że przerwała śluby milczenia. – Jedziemy w przyszły weekend do Poznania? Do Beaty i Oli? Wspaniała nowina!

– Daj spokój. Wiesz, o kim mówię.

– Jeśli o chabrowej kretynce od słoików z nasionami, to dziękuję! Idź sam. Przygotuję ci kanapki, bo zdechniesz u nich z głodu.

– Co ona ci zrobiła?

– Rozbiła szczęśliwe małżeństwo i odebrała Oleńce ojca. Mało?!

– Posłuchaj... – Robert odsunął talerz. – Nie możemy wtrącać się komuś w życie. Trzeba akceptować cudze wybory.

– Gdzie jest napisane, że trzeba?

– W konstytucji, chociażby – wyjaśnił z uśmiechem. – Wspomniane jest o poszanowaniu autonomii i wzajemnej niezależności...

– Zatem szanuj moją autonomię i odwal się!

– Skoro tak bardzo zależy ci na odzyskaniu kontaktu z Beatą, poszukaj jej przez Internet. Pełno portali społecznościowych, na pewno gdzieś ją znajdziesz.

– Naprawdę nie rozumiesz, o co mi chodzi?

– A czy kiedykolwiek rozumiałem? – odpowiedział pytaniem i ucieszył się, że wywołał na twarzy żony cień rozbawienia. – No właśnie! Teraz też nie rozumiem, więc dajmy spokój z głupotami. Zapraszają na dwudziestą drugą. Trochę u nich posiedzimy, a potem wszyscy idziemy do klubu.

– Wszyscy, czyli kto?

– Kilka osób. Sandra ma urodziny. A ten klub to niespodzianka. Nie wygadaj się... – raportował krótkimi zdaniami między jednym a drugim kopytkiem. – Bąku w tajemnicy zarezerwował knajpę z programem artystycznym. Nie wnikałem jakim: torty, petardy czy tańce? W klubie dołączy reszta towarzystwa, ponad trzydziestka gości. Ale do domu, na wstępną imprezę, zaprosił tylko najbliższych przyjaciół. Miło z jego strony, że nas do nich zalicza, nie?

– A reszta gości? Koleżanki Sandry z ogólniaka?

– Nie wiem. Co mnie to obchodzi?

– Właśnie! – Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. – Jak zwykle. Boże! Żeby ciebie choć raz w życiu coś obeszło!

– Czepiasz się! Potrzebujesz listy zaproszonych z PESEL-ami? Po co?

– Ani mi się śni marnować wieczór dla kretynek pokroju Sandry, a z pewnością tylko takie będą! Skąd Bartek wytrzasnął trzydziestoosobowy tłum? Przecież spalił za sobą wszystkie mosty. Ta cała hałastrza musi być od niej! – Trzepnęła ścierką tuż obok ucha Roberta. – Naiwniaku! Wierzysz, że zaprosił nas do domu, bo jesteśmy jego najbliższymi przyjaciółmi? Nie! Jesteśmy jego jedynymi znajomymi. Je-dy-ny-mi! Chce mieć w pobliżu kogoś w swoim wieku!

– Być może. Ale czy to jest powód, żeby nie iść?

– Szlag by mnie trafił, gdybym znowu musiała oglądać Bartka wchodzącego jej w dupę razem z kwiatkami, tortami i trzydziestką gości! Czemu Beacie nigdy takich urodzin nie urządził? Pamiętasz, jak obchodziliśmy jej urodziny? – Aż dygotała ze złości. – Za każdym razem ledwo żyła, bo przedtem zapieprzała z Olą na rękę po sklepach i po kuchni. Czemu wtedy twój kochany Baku nie wpadł na pomysł wynajęcia knajpy, żeby ulżyć żonie? Komuna komuną, ale lokale działały, mógł zrobić jej niespodziankę. A on? Witał nas w progu, kazał podawać do stołu i nie chciał wypuścić, chociaż Beata zasypiała na stojąco.

– Mieszasz pojęcia. Kogo w tamtych czasach było stać na wynajęcie lokalu i...

– Czasy nie mają tu nic do rzeczy! Czemu nie każe Sandrusi zasuwać jak kiedyś Beacie? Niechby się przeleciała po sklepach! Niechby sterczała przy fajerkach dwa dni! Niechby przyjęła gości z honorami! – Kurczowo zaciskała palce na ścierce z mikrofibry. Wedle reklamy tkanina była idealna do osuszania i polerowania szklanek, sztućców oraz naczyń. Nie pozostawiała smug, posiadała innowacyjną strukturę włókien, wielokrotnie cieńszych od jedwabiu, przez co efektywnie usuwała brud. Marta odkryła, że poza wymienionymi zaletami ma również działanie terapeutyczne: można ją miętolić i robić w niej dziury paznokciami. – Ale gdzie tam! Sandrusi nie wolno hańbić pracą. Skandal! Przecież Pszczółka została stworzona wyłącznie do uchylania nieba i zapyłania! Toż to Messalina po reinkarnacji! Tyrać mogła tylko stara, poczciwa Beata!

– A ty ciągle o Beacie...

– Wcale nie o Beacie! O nas mówię!

– O nas? – Robert wytrzeszczył oczy. – W jakim sensie?

– W dosłownym!

– Nie załapałem, kiedy zmieniłaś temat...

– Wpadłbyś na pomysł urządzić mi potajemnie urodzin w nocnym klubie?

– Nigdy. – Ponieważ sytuacja wyglądała groźnie, zdał się na prawdomówność.

– Czemu?

– Po pierwsze, gdy otwierają nocne kluby, ty już dawno śpisz...

– Bo ze zmęczenia na pysk padam!

– A po drugie, wiesz, że nienawidzę tańczyć. Trudno, żebym sam sobie krzywdę robił, nie?

– Więc po cholere się pchasz na te urodziny?!

– Zlituj się... – Żuł kopytko i powoli tracił apetyt. Chciał tylko spotkać się z kumplem, a zanosilo się na wojnę trojańską. – To zwykła impreza, a nie Taniec z gwiazdami. Siądziemy za stołem, pogadamy z Bakiem, napijemy się i cześć.

– Ja akurat wolę tańczyć, niż pić! Uwielbiam tańczyć! Ale ciebie w ogóle nie interesuje, co ja lubię?

– Jezus Maria! – Odepchnięty talerz zatrzymał się na przeciwległym skraju blatu. – Uwielbiasz tańczyć i właśnie ci mówię, że idziemy na imprezę z tańcami, ale twierdzisz, że nie pójdziesz, bo mnie nie

interesuje, co ty lubisz?! – Za talerzem poleciały sztućce. – Kobieto! Ciebie Einstein z Salomonem by nie zrozumieli!

– Jasne! Ty jesteś bezgrzeszny, a ja niedobra? – Maltretowana ściereczka z mikrofibry dorobiła się kolejnej dziury.

– Znudziło mi się. Idziesz w sobotę do Bąków?

– Do jakich Bąków?! Bąki to on i Beata, a nie ta... ta...

– Idziesz?

– Sam idź!

– Dobrze. Pójdę sam!

Robert opuścił kuchnię, a Marta zaczęła sprzątać. Pomyła naczynia, zwinęła zachlapany sosem myśliwskim obrus, zaścieliła stół czystą serwetą i przeszła do łazienki: jeśli plamy zaschną, nie sposób ich wywabić. Szkoda by było ulubionego obrusu...

Gdzie ty, pierdoło, beze mnie pójdziesz? – kpiła w myślach, nastawiając programator na najwyższą temperaturę. – Tuż za progiem potkniesz się na wycieracze i nogi połamiesz.

– Masz pojęcie? – Grzebała łyżeczką w sałatce owocowej. – Pieprzy głupoty, a mówi, że Einstein z Salomonem by mnie nie zrozumieli.

– Zrozumieliby, zrozumieli... – zarżała Jolka. – Einstein i Salomon były kobietami. Tak samo jak Kopernik.

– Z nim się nie da gadać: ja o niebie, on o chlebie. Przecież chodziło mi o to, że...

– Błagam! Nie tłumacz. Doskonale wiem, o co ci chodziło, i w zupełności się z tobą zgadzam.

Marta któryś już raz stwierdziła, że kobieta jest najlepszym kandydatem na męża – chwytą w lot najdrobniejszą myśl i rozumie każde uczucie. Do Roberta docierały jedynie służbowe mejle i krótkie esemesy.

– Puścisz go na te urodziny?

– Wątpię, żeby sam poszedł. Ale jeśli chce, droga wolna.

– Nie boisz się, że wyrwie go jakaś sandropodobna amatorka reinkarnacji albo inna maniaczka od feng shui?

– Na pewno się o niego pobiją! Sandropodobne potrzebują obskakiwania, a przecież powiedział, że nie ma na to ani siły, ani ochoty. Te od reinkarnacji zobaczą w nim wyłącznie zwłoki czekające na nowe wcielenie, a te od feng shui nie wpuszczą go do domu, bo z przyrośniętą do kanapy dupą zakłóci im przepływ energii.

– Uważaj. Niektóre bywają zdesperowane. Wezmą nawet zwłoki wrośnięte dupą w kanapę: dziadek nie dziadek, byleby miał spadek.

– Niestety. Robert to tylko dziadek. – Marta dawno nie miała okazji do równie szczerego śmiechu. – Zamiast spadku generuje długi. Dobrze, że gość od skasowanej beemwicy zgodził się na transze. Do wakacji jakoś go spłacimy.

– A jeśli spotka jeszcze bardziej zdesperowaną: w miłość nie wierzę, byleby miał „wieżę”?

– Chyba ruiny po „wieży”? On tylko w gębie jest mocny. – Marta straciła humor. – Opowiadałam Bartkowi o Dominiku i Mai, jak mu prezent robiła z wbitych w deskę gwoździ... Pamiętasz? Mówiłam ci kiedyś, że obudziło mnie: „łup, łup, łup”.

– Co z migreny ją wyleczyłaś musującym wapnem?

– Dokładnie! – potwierdziła Marta. – Niestety, nie zdążyłam dojść z opowieścią do migreny i wapna, bo Sandrusia uraczyła nas kretyńskimi pomysłami na temat łupania i uprawiania seksu na gwoździach. Oczywiście panowie natychmiast podchwycili temat. Robert się przechwalał, że też jest fakirem, że niby

w genach sprzedał synowi łupanie, choćby i na gwoździu.

– Uwierzyła? – Wystarczył jeden rzut oka na minę przyjaciółki, by Jolka odpowiedziała sama sobie. – Uwierzyła!

– Na dodatek zaproponowała tym swoim infantylnym głósikiem, żebyśmy stawiali w sypialni kreski za każdym naszym „łup” i za każdą „łupaniną” Dominika. Z góry przewidziała wynik.

– Że niby co? Że Robert okaże się lepszy?

– Oczywiście! – Marta zaraziła się radosnym rzeniem Jolki. – Przecież wciąż powtarzała, że młodzi chłopcy wolą się bawić ciężarkami na siłowni i penetrować strony internetowe od obcowania z realną kobietą, a dojrzała faceci są nie do zdarcia.

– Siedziałaś cicho?

– Do czasu. Dałam się dziewczuszcze wykazać dowcipem, a starym ramolom popisać libertynizmem. Żal było przerywać, bo nie wiem, kto był śmieszniejszy.

– Ale w końcu nie wytrzymałaś? Wygarnęłaś?

– Co miałam wygarniać? Niech się bawia... – Trzymając między dolnymi i górnymi jedykami zielone winogrono, Marta uśmiechała się złośliwie. – Powiedziałam tylko, że jeśli w naszej sypialni pojawią się kiedykolwiek kreski z okazji: „łup, łup, łup”, to wyłącznie przez moje bicie głową o ścianę. I że w tej kwestii Robert faktycznie jest nie do zdarcia: dostarcza tylu atrakcji, że mogę walić całą noc! Natychmiast się zamknął i spuścił łeb. – Zagryzła zęby i ochlapała brodę sokiem ze zmiażdżonego winogrona. – Bez obaw. Nie boję się desperatek ani od spadku, ani od „wieży”. Niech idzie na te urodziny. Ja wskoczę z książką pod kołdrę i będę się modlić, żeby wrócił z kaczem, a nie z wywichniętym biodrem.

BLUSZCZ TULI SIĘ  
DO PIERWSZEGO DRZEWA, JAKIE NAPOTKA  
– OTO POKRÓTCE HISTORIA MIŁOŚCI.

(Napoleon Bonaparte)

Nieco zaskoczył go fakt, iż przedsiębiorczy kumpel pomieszkuje w dwóch pokojach ze ślepą kuchnią, ale warunki lokalowe nigdy nie zaprzętały Robertowi myśli, więc średnio się przejął skromnym metrażem. Zresztą, czym tu się przejmować, skoro Bąk tryskał szczęściem?

– Wiem, co myślisz, ale lepiej mi w tych klitkach niż na poznańskich hektarach. Co z tego, że był dom z ogrodem, jak żadnej z tego przyjemności nie było.

– Rozumiem.

– Gawron! Bo my zawsze się rozumieliśmy, nie? – Klepnął Roberta po łopatkach. – Nasze kawalerskie! – Stuknął szklaneczką o szkło przyjaciela. – Marta nie przyszła?

– Jutro musi wstać o szóstej. Nagłe zastępstwo wy...

– Nie pieprz farmazonów! Bojkotuje Pszczółkę?

– Absolutnie! Wypadł jej niespodziewany dyżur za koleżankę, więc musiała się poło...

– Druha drużynowego okłamujesz? – Bąk machnął ręką. – Szanuję twoją żonę i w ogóle... Żadnych pretensji... Najważniejsze, że ty jesteś! Że tobie nic nagłego nie wypadło. Bracie, tyle lat i znowu razem!

– Złapał Roberta za szyję. – I znowu młodzi, szczęśliwi! Jak kiedyś w akademiku. Pamiętasz imprezowe zagnieżdzenie? – Wskazał na usłaną gośćmi podłogę. – Pszczółka mi młodość wróciła!

– Obgadujecie mnie? – Sandra zjawiała się zniecka i przyłgnęła do Bartka.

– Obgadujemy. Właśnie powiedziałem, że wróciłaś mi młodość.

– Bączku, jesteś tu najmłodszy, najładniejszy i najprzystojniejszy! Tak!

Robert rozejrzał się po pokoju. Z pewnością Bartek nie był tu ani najmłodszy, ani najładniejszy, ani najprzystojniejszy. Wręcz przeciwnie. Obaj odstawali od towarzystwa, które miało średnio tyle lat, co metraż wnęki kuchennej i pokoju, w jakim się tłoczyli – trzydzieści kilka...

– Robuś, cieszę się, że przyszedłeś. – Sandra posłała mu promienne spojrzenie. – Bączek przebąkiwał... – Zachichotała z zachwytem nad grą słów. – Uwielbiam jego nazwisko! No więc Bączek przebąkiwał, że być może nie przyjdiesz, a ja się z nim założyłam i proszę bardzo! – wskazała na Roberta – wygrałam! Pamiętasz, kochanie, o co się założyliśmy?

– Pamiętam. Dotrzymam obietnicy.

Sądząc po spojrzeniach, Robert obstawiał wieczorny seks w lesie bądź poranny w kuchni... to znaczy... we wnęce kuchennej, ledwo mieszczącej lodówkę i zlew. Może jednak las?

Nieważne, ale miło, że samą swoją obecnością wpłynął pozytywnie na życie erotyczne kumpla. Szkoda, że on, dokładnie z tego samego powodu, doczeka się odwrotnego efektu – kolejne ciche dni, a nawet tygodnie.

– Czemu nie ma Marty? Ogromnie ją polubiłam.



– Nagłe zastępstwo. Też żałuję, że nie przyszła. – Bartek wyręczył kolegę w kłamstwie.

– Kiedy od was wróciliśmy, mówiłam Bączkowi, że bardzo ją podziwiam. Mówiłam, prawda? – Gdy Bartek potwierdził, Sandra skinęła głową. – Ja nie mogłabym pracować ze starymi ludźmi... Chociaż, przyznaję, że czasami potrafią być zabawni. Pamiętasz tego dziadka wczoraj? – Bartek znowu przytaknął, a ona znowu skinęła głową. – Stanęliśmy w kolejce do bankomatu. Przed nami pieniądze brał jakiś dziadek. Aż się dziwiłam, że jeszcze widzi i na dodatek potrafi obsłużyć bankomat. Wiesz? Żeby wziąć pieniądze, trzeba najpierw zabrać kartę, nie? – Tym razem to Robert kiwnął głową. – I dziadek zabrał, ale tak się ślimaczył, że kiedy wyciągnął rękę po gotówkę, bankomat ją akurat połknął. – Sandra pękała ze śmiechu, a Bartek jej wtórował. – Stwierdziliśmy, że w menu bankomatów powinna być opcja „slow”, jak w grach.

– No! Powiedziałem do Pszczółki: „Teraz wiem, czemu moja matka chodzi po pieniądze do banku”.

– Marta pracuje z ludźmi, którym opcja „slow” nie pomoże. Oni nie kojarzą ani pieniędzy, ani bankomatów. – Robertowi wcale nie było do śmiechu. Choć żona starała się nie „przynosić pracy do domu”, znał jej mroczne nastroje i wiedział, jak bardzo angażuje się w opiekę nad pacjentami. A przecież zdawała sobie sprawę, że żaden nie wyzdrowieje, że dziś lub jutro odejdą. Robert nie pytał, ona nie mówiła, ale bezbłędnie rozpoznawał dni, gdy traciła któregoś z podopiecznych.

– Dlatego ją podziwiam – zapewniła Sandra. – Nie dość, że starzy, to jeszcze chorzy! Masakra. Nawet gdybym chciała, tobym nie mogła. Mam mizofonię.

– Co masz? – Przez głośną muzykę i gwar toczących się obok rozmów Robert nie usłyszał ostatniego słowa.

– Mizofonię. – Sandra powtórzyła tonem, jakby mówiła: „diamentową tiarę”. – Jestem uczulona na powtarzające się ludzkie dźwięki. Najbardziej na mlaskanie, a starzy ludzie bez przerwy mlaszczą, prawda?

Bartek tradycyjnie jej przytaknął, ale Roberta ciut zatkało.

– Dostaję szału i muszę uciekać jak najdalej, żeby kogoś nie uderzyć albo nie krzyżeć. Nie znoszę ciamkania, pociągania nosem, chrząkania... – Wzdrygnęła się ze wstrętem. – Na samą myśl wpadam w złość i w panikę! Brrr! Dość o tym! – Potrząsnęła jędrnym ciałkiem. – Bączku, chodźmy do naszych gości! – Lewą ręką pociągnęła Bartka. – Robuś, czas na integrację, bo będę zazdrosna, że kradniesz mi mojego faceta! – Prawą ręką wlokła za sobą Roberta.

Obaj potulnie dołączyli do rozsianych na meblach i podłodze gości.

Został usadzony obok dziewczęcia w zielonej sukience przetykanej czymś mocno kolorowym. Nie był pewien, czy to coś stanowi element stroju, czy może jest dodatkami do kreacji, ale kłuło po oczach odbitym światłem, niczym dyskotekowa kula. Gdyby nie te efekty świetlne, w życiu by nie zwrócił uwagi na jej kieckę.

Wewnątrz kiecki tkwił słodki młody głuptak – aż zaczął podejrzewać, że Sandra specjalnie wybrała mu taką miejscówkę, z zemsty za bojkot Marty.

Dziewczę, które od razu skojarzyło mu się z bożonarodzeniową choinką, przez godzinę snuło opowieść o czymś, co wymagało maksymalnie pięciu minut, a co on zrelacjonowałby w pięć sekund. Przez mnogość szczegółów nie zapamiętał ani słowa. Nie był nawet pewien, czy Choinka mówi do niego – tak się pograżała w narracji. Puszczając mimo uszu jej trajkotanie i patrzył z niepokojem na Bartka. Kumpel wiódł rej wśród gości: zagadywał, nalewał drinki, przytulał krążącą wokół niego Sandrę... Obyś tylko, chłopie, ciamkać nie zaczął – martwił się Robert, wpatrując się w szczęki przyjaciela. – Żuchwę jeszcze nieźle trzymasz, ale za pięć, dziesięć lat...

– Lubisz podróżować? – Po godzinie Choinka włączyła tryb dialogowy. – Ja uwielbiam!

– A ja nie – odpowiedział zgodnie z prawdą i nie widział potrzeby rozwijania wątku.

- Czym się interesujesz?
- W zasadzie niczym. Żyję z dnia na dzień.
- Wolisz książki czy filmy?
- Mecze. – Jej wścibstwo przypominało policyjne przesłuchanie, poczuł się osaczony.
- Masz ulubione danie?
- Mam. Żeberka.
- Dasz mi przepis? Zgadzasz się z tym, że mężczyźni są lepszymi kucharzami niż kobiety?

Jezu! Ona zadaje sto pytań na minutę!

Najchętniej by wstał z podłogi, pożegnał dyskretnie gospodarzy i zwiął do domu, pod kołdrę. Wolał jednak umrzeć pod naporem pytań zielonej kataryny, niż dać satysfakcję Marcie – dopiero by się nasłuchiwał złośliwości. Wybierając między dżumą a cholera, postanowił świętować urodziny Sandry aż do rana. Przynajmniej nikt go nie będzie wyzywał...

– A co byś zrobił, gdybyś był milionerem? – niestrudzenie dociekała Choinka. – Dokąd byś pojechał? Wolisz góry czy morze?

Odwrocił głowę i udawał, że nie słyszy, że pochłonęła go tocząca się w szerszym gremium dyskusja o jakimś Patryku.

– Pamiętacie, jaki był cudny? Każda by życie oddała, żeby z nim chodzić. Wypisz wymaluj Ryan Gosling, nie?

Robert nie miał pojęcia, kim jest Patryk oraz Ryan Gosling, ale pozostali zdawali się kojarzyć jednego i drugiego. Zaczęli wspominać studniówkę i zorientował się, że znają się z czasów szkolnych. Przypomniał sobie kąśliwą uwagę Marty: „A ta trzydziestka gości? Koleżanki Sandry z ogólniaka?”.

Skąd wiedziała?

„Bartek spalił za sobą wszystkie mosty. Ta cała hałastrą musi być od niej”.

Zerknął na kumpla. Sądząc z miny, Bąk również nie miał pojęcia, kim jest Patryk ani Ryan Gosling, ale dzielnie się uśmiechał, obejmując chichoczącą Sandrę.

„Naiwniaku! Wierzysz, że zaprosił nas do domu, bo jesteśmy jego najbliższymi przyjaciółmi? Nie! Jesteśmy jego jedynymi znajomymi. Je-dy-ny-mi! Chce mieć w pobliżu kogoś w swoim wieku!”.

W sumie prawda... Rozglądając się wokół, Robert niechcący zahaczył oczyma o panią Choinkę.

– Czym się zajmujesz? Lubisz swoją pracę? – Natychmiast wykorzystwała okazję.

„Ani mi się śni marnować wieczór dla kretynek pokroju Sandry, a z pewnością tylko takie będą!”.

Czyżby ożenił się z prorokiem?

– Wolisz psy czy koty?

Ponownie odwrócił głowę, by posłuchać dyskusji o Patryku, który ponoć wyglądał na studniówce niczym Ryan Gosling. Kimkolwiek ten Ryan był...

– To teraz sobie wyobraźcie mój szok! Ledwo go poznałam. Oblesny łysy grubas. Zamiast Goslinga Danny DeVito!

Teraz życie Patryka poddane zostało zbiorowej analizie.

– Przecież wiadomo, że jeśli facet jest utuczony, to znaczy, że ma głębszy problem. Rekompensuje jedzeniem brak harmonii między życiem zawodowym i prywatnym... – Sandra postawiła diagnozę, na co Robert natychmiast poprawił marynarkę, by zakryć swój wydatny dowód braku harmonii.

– Racja! Wypalił się zawodowo i ma depresję – poparła ją Choinka. – Stres w pracy, w domu... Znienawidził społeczeństwo, więc zamiast wyjść, zażera smutki golonką. Nie może ani do siłowni, ani na basen, ani na rower, bo wszędzie natknie się na ludzi.

– Trzeba uważać z siłownią i basenem. Najwięcej zawałów zdarza się w niedzielę takim, co cały tydzień w korpo zasuwiają, a potem w jeden dzień nadrabiają braki w ruchu.

– Naprawdę nasz Patryk źle wygląda? – Jednej z pań nie mieściło się w głowie, iż studniówkowe bożyszczcze zamieniło się w Danny’ego DeVito. – Chyba przesadzasz.

– Przysięgam! – Dziewczę, które po latach natknęło się na Patryka, zabębniło pięścią w pierś. – Kałdun wylewał mu się ze spodni prawie do kolan. Musiałby mnie zmusić siłą, żebym się z nim bzyknęła. A kiedyś o tym marzyłam.

– My też... – W zbiorowym damskim westchnieniu dało się słyszeć nawet Sandrę.

– Cieszymy się, że nas nie chciał. Dzisiaj łąziłby po chałupie ze zwisającymi znad gaci oponami. Superafrodyzjak!

Pokojem wstrząsnęło głośno: „Bleee!”.

Robert szczerzej zwarł poły marynarki i zakrył kałdun. Znowu poczuł przemożną chęć ucieczki do domu.

– Czemu się kręcisz? – przemówiła Choinka. – Niewygodnie ci? Może wyjdziemy na balkon? Też chętnie zaczerpnęłabym świeżego powietrza.

– Za gruby jestem. Zarwę balkon.

– Przestań. Wiem, że masz specyficzne poczucie humoru. Sandra mnie uprzedziła, jaki z ciebie żartowniś. – Ponieważ spojrział na nią z sympatią, rozkręciła się od nowa. – Co wolisz: dowcip sytuacyjny czy słowny? Lubisz komedie? Jaki jest twój ulubiony film? A kino akcji? Podoba ci się?

Czy ta kobieta choruje na język?

Dyskusja o Patryku przeniosła się na szersze, damsko-męskie wody.

– Ludzi najpierw łączą feromony, potem dzieci, a potem nic już ich nie łączy. Najwidoczniej nasz Ryan Gosling szybko doszedł do „nic” i z rozpacy się spaść. Ciekawe, z kim się hajtnął? Wiesz?

– Nie wiem. – Kobieta, która go spotkała, rozłożyła ręce. – Z przerażenia odjęło mi mowę. Coś wspominał, że teściów ma w Hiszpanii, więc może ożenił się z Hiszpanką?

– Czyli leczy trypra! Czytałem, że Hiszpanki puszczają się z kim popadnie. Mają największy odsetek chorób wenerycznych. Kochanków w bród, ale wychodzą za mąż tylko za bogatego frajera.

– A ja czytałam, że najgorszymi sukami są Anglosaski i Żydówki. Każda szuka lekarza albo inżyniera, a w praktyce, ze strachu przed samotnością, łapia, co się da, i najdalej po pięciu latach się rozwodzą. W sumie nic dziwnego...

– Masz swój ulubiony typ kobiecej urody? – Choinka zgrabnie nawiązała do tematu. – Bardziej podobają ci się blondynki czy szatynki?

– Rude.

– Jakie rude? – Opryskliwa odpowiedź wcale nie zniechęciła Choinki. – Jesienny kasztan? Tycjan? Wiśnia? Wiesz, że długo farbowałam się na rudo? Ale znajomi mówili, że lepiej mi w blond. Jak myślisz?

Może jej było lepiej, ale Robertowi było coraz gorzej. Wolał jednak cholere niż dzumę...

Zapewnił Choinkę, że bez względu na kolor włosów jest śliczna, a potem rozplótł kolana i uwolnił oponę, wyhodowaną w efekcie braku zawodowo-osobistej harmonii.

– Miło było cię poznać. – Uśmiechnął się do zielonej sukienki. – Pożegnaj ode mnie jubilatkę. Wracam do...

– Gawron! Druhu drużynowy! – wydarł się Bartek. – Właśnie miałem zarządzić wymarsz, a ty mnie uprzedzasz: wstajesz i psujesz niespodziankę.

– Jaką niespodziankę? – Sandra natychmiast zawisła mu u szyi. – Jaki wymarsz?

– Wytrzymaj jeszcze troszkę, Pszczółko... Ludzie! Zbiórka!

Wśród okrzyków wesołości i wydzwaniania po taksówki Robert znalazł się w centrum ła, czyli obok Bąka i Pszczółki.

– Pakujesz się do naszej taryfy – oznajmił kumpel, zaganiając towarzystwo ku drzwiom. – Ostatni zamyka chatę i oddaje mi klucze! Wszyscy wiedzą, dokąd jedziemy?!

– Ja nie wiem, ja nie wiem! – piszczała Sandra.

– Wystarczy, że ja wiem, kochanie.

– Bąku... – Robert stanął za plecami kolegi, gdyż z przodu nie miał dojścia: Sandra wciąż na nim dyndała. – Wybacz, ale pożegnaj się z wami tutaj. Łeb mnie napieprza. Nie wytrzymam w knajpie.

– Co ty gadasz? – Rozdając na prawo i lewo uśmiechy oraz komenderując ruchem w ciasnym mieszkanku, Bartek ledwo na niego spojrział. – Bez ciebie nie ma imprezy. Jeśli ty nie idziesz, ja też zostaję. – Wbrew słowom zbliżał się do drzwi, ciągnąc za sobą zwisającą u szyi Sandrę i opierającego się Roberta. – Dawaj! Nie wydziwiaj!

– Chcesz wracać do domu? – Pszczółka dopiero teraz zorientowała się, o czym rozmawiają. – Absolutnie się nie zgadzam! – Nadąsała się uroczo. – Jesteś najważniejszym gościem na moich urodzinach i pójdziesz dopiero wtedy, gdy ci pozwolę.

– Czyli jestem niewolnikiem, a nie gościem.

– Uwielbiam twoje poczucie humoru i gdyby nie Bączek... – Rzuciła okiem na Bartka, który odszedł na chwilę do grupki rozgadanych gości. – Ho, ho... Kto wie, czy nie na ciebie zagięłabym parol?

– Trudno! – Udał zasmuconego. – Jeśli nie mam szans na zaginanie parola, tym bardziej mogę wracać do żony.

– Przecież mówiłeś, że dyżur jej wypadł. – Kłamstwo obróciło się przeciwko Robertowi. – Do żony bym cię puściła, ale do pustego domu nigdy!

– Nie taki pusty. Dominik jest.

– Jasne! Siedzi z dziewczyną i rozpacza nad wolną chatą. Miejmy nadzieję, że znaleźli sobie jakieś zajęcie. Może wbijają gwoździe w deseczkę? – chichotała. – Łup, łup, łup... Bierz z nich przykład. Co ci szkodzi?

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Ale zrobiłeś minę! – Pogroziła mu palcem. – Nie namawiam cię do grzechu. Chodziło mi o to, żebyś wziął z nich przykład i wyluzował. Wiem, że tam w środku... – oparła dłonie o jego klatkę piersiową i stukając opuszkami palców, dokończyła znacznie poważniej: – ...tam w środku siedzi uroczy mężczyzna: wesoły, inteligentny, pełen energii, a nawet nastoletniego szaleństwa... Nie zaprzeczaj! – nakazała szeptem, widząc, że Robert otwiera usta. – Pasjonuję się irydologią. Wiesz, co to jest?

– Nie.

– Czytanie z tęczówki oka. Są w niej zapisane wszystkie informacje o naszym stanie fizycznym, psychicznym, a nawet o dziedzicznym zagrożeniu chorobami.

– Aha. I co zobaczyłaś? Mam nadzieję, że nie trypra. Ani moja teściowa, ani żona nie pochodzą z Hiszpanii – kpił, choć walczył z dziwnymi emocjami.

Z jednej strony sytuacja była absurdalna: laska, która cierpi na mizofonię oraz pasjonuje się irydologią, wygłosi zaraz, niczym delficka Pytia, diagnozę jego tęczówek – jeśli nie zakrawa na psychiatryk, to przynajmniej na izbę wytrzeźwień.

Z drugiej strony całkiem mu się to podobało. Miał wrażenie, że są sami i rozmawiają w kompletnej ciszy – jakby rozwrzeszczany tłum gości dawno wyszedł, a on czuje, że wreszcie usłyszy o sobie jakieś dobre słowo.

– Skupiam się na sferze duchowej, a nie fizycznej – zgodnie z przewidywaniami odezwała się głosem wieszczki. – W twoich oczach widzę radość, młodość, zapał, wariactwo... Jednak tylko w oczach. Twoje zewnątrz blokuje dobrą energię. Dlaczego? Co cię dusi? Co hamuje cię przed szaleństwem? Otwórz się, wyluzuj. Niczego sobie nie narzucaj. Nie musisz być ani dorosły, ani rozsądny, ani

odpowiedzialny. Nie zabiegaj bez sensu o akceptację innych, zaakceptuj sam siebie. Jesteś mądrym facetem, prawda?

– Bo ja wiem? – Odpływał w nieznanym mu świecie miłych słów. Do tego Sandra tak niespodziewanie przeistoczyła się z infantylnego Pszczółki w niesamowicie dojrzałą kobietę, że kompletnie pogubił myśli. – Może jestem...?

– Jesteś! I nigdy nikomu nie pozwól, aby w to wątpił. Nie daj się upokarzać ani poniżać! – Paznokciem rysowała mu na koszuli wykrzykniki. – Ale jeśli jesteś mądrym facetem, uwolnij w sobie szalonego chłopca, który wyrывa ci się z tęczy. Okaż mu litość. Uwolnij go. Dopiero wtedy naprawdę...

– Gotowi? O czym gadacie? – Bartek wpadł między nich i walnął kumpla po ramieniu. – Przekonuję go, żeby nie wracał do domu. – Pytia zniknęła w ułamku sekundy, a Sandra zawisła ponownie na szyi Bąka i słodko ćwierkała. – Powiedziałam, że jest naszym najważniejszym gościem. Prawda? – Rzuciła mu spojrzenie spod długich rzęs. – Zostaniesz z nami, prawda?

Robert znacznie gorzej radził sobie z powrotem do rzeczywistości, więc tylko kiwnął głową, choć nie wiedział, czemu i komu przytakuje.

– Dzięki, Gawron! Wiedziałem, brachu, że można na ciebie liczyć. No to jedziemy! Taryfa już czeka... – Obejrzał się na gości. – Pamiętajcie! Ostatni zamyka drzwi i pilnuje kluczy!

– Bączku, zabierzemy Irenkę?  
– Oczywiście. Jedno miejsce mamy wolne.

– Irenka! Jedziesz z nami. Chodź! – Sandra zamachała ręką.  
– Wolisz siedzieć z przodu czy z tyłu? Wiesz, że ponoć najbezpieczniejsze miejsce w samochodzie to fotel pasażera za kierowcą? Bo w behawioralnym odruchu osoba prowadząca auto zawsze będzie się chronić... Myślisz, że to możliwe? Że gdyby obok ciebie siedziało twoje dziecko, odbiłbyś kierownicą i skazał je na śmierć? Ja nie wierzę. A ty? – Choinka Irenka zalała Roberta serią pytań.

Znowu wolałby wrócić do domu, ale postanowił, że jako mądry i dojrzały facet okaże litość szalonemu chłopcu, którego tyle lat trzymał w niewoli gdzieś głęboko w środku. Gdy dotarli do klubu, przekonał się, że ułaskawiony jeniec nijak nie chce wyjść na wolność i wyluzować.

Bartek, chociaż przez całą drogę zapewniał Roberta o swoim oddaniu oraz przyjaźni, zupełnie o nim zapomniał. Ledwo przekroczyli próg lokalu, skupił się na Pszczółce i częściej rozmawiał z kelnerami niż z kumplem. Sandra również jakby doznała amnezji. Liczył, że znajdzie choć minutkę, by ponownie opowiedzieć mu, co widzi w jego tęczy, ale ona wzięła się na parkiecie, czym doprowadzała Bartka niemal do wzrodu.

– Zdaje się, że taniec nie jest twoją pasją? – Choinka wierciła się na krześle, podrygując nóżką.  
– Nie.

– Cudownie razem wyglądają, prawda? Trochę Sandrze zazdroścę. Też chciałabym kiedyś znaleźć taką miłość.

– Proście, a będzie wam dane, mawiał święty Łukasz. A może święty Mateusz?  
– Jesteś wierzący? Co sądzisz o rozdzielności państwa od Kościoła? Zgadzasz się na opodatkowanie księży?

Irenka ewidentnie miała robaki. Nie dość, że w dupie, to i w języku.  
– Przepraszam. Muszę do toalety. – Wstał. Postanowił wyjść po angielsku.

Nieco rozczarowała go brakiem pytań: „Wolisz szary papier czy kolorowy? Masz rozwolnienie czy zatwardzenie?”.

– Idź, idź... Poczekam... – Wyrzuciła nogi przed siebie i kręcąc pięcinkami, patrzyła na tańczących ludzi.

Odebrał z szatni płaszcz, zadzwonił po taksówkę. Czekał, wspominając słowa Sandry: „Nigdy nikomu

nie pozwól, aby wątpił, że jesteś mądrym facetem. Nie daj się upokarzać. Uwolnij szalonego chłopca w sobie”.

No cóż. Szalony chłopiec też chciał wracać do domu. Chyba nie był jeszcze gotowy na szaleństwa.

– Dobry wieczór. – Wskoczył na najbezpieczniejsze miejsce, za kierowcą. – Poproszę na Kazimierza Królewicza.

W drodze powrotnej roztrząsał każde wyczytane w tęczęwkach zdanie. Niewiele tego było, ale co za jakość! Miał wrażenie, że Sandra go zaczarowała: przeniosła w inny świat, pokazała życie od kolorowej, nieznanej mu wcześniej strony.

Wcale się nie dziwił, że Bartek stracił dla niej głowę.

– Co to za adres miał być? – Taksówkarz leżał na kierownicy, ledwo turlając auto. – Tu same niskie numery, a pan mówił, że pięćdziesiąt...

– Gdzie my jesteśmy? – Wyrwany z marzeń, spoglądał nieprzytomnie na ślepy zaułek z trzema kamienicami na krzyż. – Co to za ulica?

– Jana Kazimierza.

– A ja chciałem na Kazimierza Królewicza.

– Cholera jasna! Przepraszam najmocniej. Dwunasta godzina za kółkiem... Przystałem kojarzyć. – Samochód ruszył z piskiem opon. – Odliczę od rachunku...

– Powoli. Nie spieszy mi się – mitygował kierowcę, bo żołądek i głowa źle reagowały na ostrą jazdę. – Niedobrze pracować przez dwanaście godzin.

– Panie kochany! Co pan? Pracowałem dwie godziny, a dziesięć stałem na słupie! – Gwałtowny skręt w lewo wbił Roberta w siedzenie.

– Mimo wszystko długo... – Wspomagana alkoholem grawitacja wciąż przeszkadzała w powrocie do pionu. – Czas na fajrant, do domu... – Zaparł się o ściany auta w pozycji: „Krakowiaczek jeden miał koników siedem”.

– Nie mam dokąd wracać, dopóki nie zarobię. Baba mnie nie wpuści bez dwóch stów w zębach – burczał taryfiarz, wywijając kierownicą równie energicznie, co Choinka nóżką. – Kredyty, rachunki... Szkoda gadać.

– Szkoda gadać...

Szczęśliwy, że dojechał cały i żywy, z trudem trafił kluczem w zamek. Z trudem odnalazł również drogę do łóżka. Zdejmował z siebie ubranie, zataczając się na boki. Nie potrafił ogarnąć skomplikowanych połączeń między guzikami a dziurkami. Tym bardziej że dysponował wyłącznie jedną ręką – chorą wciąż przecież oszczędzał.

Szarpnął zatem mocno najpierw koszulą, a potem spodniami. Udało się – niczym chippendale – został w samych gatkach. Zachwycony własną zaradnością, poczołgał się ku kołdrze. Zasnął dumny i zadowolony z siebie. Zrealizował plan: wytrzymał na imprezie niemal do końca, czym sprawił przyjemność Sandrze, a Marcie przykrość. Niech sobie, jedna z drugą, nie myślą, że wymięka! Że nie da rady do rana...

Z KOBIETĄ NIE MA ŻARTU,  
W MIŁOŚCI CZY W GNIEWIE.  
CO MYŚLI, NIKT NIE ZGADNIE.  
CO ZROBI, NIKT NIE WIE.

(Aleksander Fredro)

Realizacja wrednego planu niesie za sobą ryzyko odwetu, więc liczył się z zemstą, jednak stopień okrucieństwa przerósł jego oczekiwania.

Pomylił się już na wstępie, gdy założył, że co najmniej przez trzy dni Marta będzie milczała i nie spędzi z nim nawet minuty w jednym pomieszczeniu; że jak zwykle oznajmi lodowato: „Obiad na stole”, po czym wyjdzie z kuchni, bo sama zjadła wcześniej. A gdy on, skończywszy posiłek, wróci do salonu, ona ucieknie, żeby pozmywać, posprzątać, potrzaskać garami. Wieczorem powie: „Kolacja na stole”, i wszystko od początku – jutro, pojutrze... A może cały tydzień pobawią się w chowanego?

Obstawiał kilka scenariuszy, prócz jednego – że w ogóle nie będzie cichych dni.

– Halo! Słyszysz mnie?!

Z trudem rozklejał powieki.

– Co to ma być?! – Cisnęła w niego znalezionymi na podłodze ciuchami. – Pytam: co to jest?!

– Która godzina? – wybełkotał, odsuwając z twarzy utrudniającą oddychanie tkaninę.

– Twoja ostatnia! – Wyszarpała z bezwładnej dłoni koszulę i cisnęła nią w Roberta.

– Aha... – Cios odzieżą nie zabija, więc również on uszedł z życiem. Przytulił koszulę. – Pozwól mi przeżyć ostatnią godzinę tak, jak chcę. Dobranoc... – Naciągnął kołdrę i zwinął się w pozycji embrionalnej.

– Dzień dobry! Wstawaj!

– Dobranoc...

Kołdra nie rozdarła się na dwie części jedynie dlatego, że Robert wciąż walczył z bezwładem, a do tego posiadał tylko jedną sprawną rękę. Trudno, żeby wobec przeważającej siły wroga wygrał ten nierówny pojedynek.

– Popatrz na siebie. I na to... – Wskazała walające się po dywanie guziki. – Nie wstyd ci? Od zawsze jesteś idiotą, ale czegoś podobnego nigdy nie zrobiłeś.

– Czyli...? – Zamykające się oczy z trudem rejestrowały obraz. Ledwo widział żonę, a co dopiero małe okrągłe plastikowe zatopione wśród puchatej wykładziny. – Co zrobiłem?

– A ja nie wiem! Ja się właśnie pytam! Może koleżanki Sandry cię upiły do nieprzytomności, a potem rozszarpały na tobie ubranie? Zapakowały do reklamówki, a ty przyjechałeś w samych majtkach i wysypałeś mi na środek sypialni podarte szmaty?!

– Dokładnie tak to wyglądało. Jakbyś przy tym była.

– Pięknie!

– No. Mnie też się podobało – przytaknął. – A moja ostatnia godzina to konkretnie która?

– Siódma piętnaście.

– Boże... – Pamiętał, że zamawiał taksówkę o trzeciej z minutami. – Muszę pospać... – Wyciągnął ręce po zagrabioną kołdrę. – Oddaj...

– Chciałbyś! – Zacisnęła dłonie na łupie. – W trumnie się wyśpisz. I lepiej mnie nie prowokuj, bo jeszcze dzisiaj się doczekasz. Wstawaj!

– Co mam robić o siódmej rano?

– Kiedy ty wczoraj rwałeś guziki w spodniach, żeby zabawić Sandrę i jej koleżanki, ja leżałam w łóżku. Czekałam sobie. Czytałam książkę. Niezbyt ciekawą, ale byłam pewna, że zaraz wrócisz, więc brnęłam, rozdział za rozdziałem, chociaż wcale mi się nie podobała.

Po cholere ją zatem czytałaś? – zuchwałe pytanie, dlatego zadał je tylko w myślach. Bardziej od przyczyn interesowały go konsekwencje brnięcia. Wszak miały go bezpośrednio dotyczyć.

– Rozumiem, że od dziś wciąż będziesz gdzieś wychodził z Bartkiem, z Sandrą i z jej koleżankami z podstawówki?

– Co w związku z tym? – Nie zaprzeczył, bo szkoda energii na niedorzeczne dyskusje.

– Musisz zapewnić starej żonie godziwe warunki do czekania i czytania. – Wskazała na szafkę z nocną lampką. – Za słabe światło. Potrzebuję czegoś nad głową, zaraz za oparciem.

– Zrobi się. – Znowu wyciągnął ręce po kołdrę. – Oddaj. Zimno...

– Samo się nie robi. Wstawaj!

– Każesz mi jechać o siódmej rano po żarówkę? Nawet gdybym chciał, to niestety... – Skulony kręcił palcami wokół zbolałych skroni. – Wyśpię się, wytrzeźwieję, zjem coś... Pojadę... Kupię ci... – zasypiał – ...takie na klamerkę... przyniesiesz sobie...

– Wstawaj, do jasnej cholery! Trzeba było nie chlać z panienkami! – wydarła się na cały regulator. – Kolejny bezdzietny kawaler się znalazł! Też chciałbyś zapomnieć o żonie i dziecku, co? Bawić się do rana i spać do wieczora! Marzy ci się życie beze mnie i bez Dominika, prawda?! A tu proszę: przykra niespodzianka. Jesteśmy!

– Co? – Nie pojmował ani słowa z wykrzykiwanych bzdur. – Łeb mi zaraz pęknie...

– Masz rację, pęknie. Rozwalę ci go osobiście, jeśli za sekundę nie wstaniesz.

– Po co mam wstawać w niedzielę o siódmej rano?

– Chyba nie do kościoła! Chociaż... Może przydałaby ci się spowiedź po wczorajszym? – Spojrzała zaczepnie. – Ksiądz byś zgorszył, co?

– Bo ja wiem? Niczego nowego by się ode mnie nie dowiedział. W konfesjonale większe świństwa słyszy. W sumie niewdzięczna robota, nie? Dobrze, że sami mężczyźni... – Uśmiechnął się bezczelnie. – Dobrze, że kobiety nie noszą sutanny i nie udzielają pokuty. Faceci chodziliby wtedy wytarzani w smole i pierzu. A ja musiałbym się dzisiaj cały dzień samobiczować. Prawda? – Widząc zaciętą twarz Marty, westchnął i ruchami dżdżownicy zaczął przesuwając się po łóżku. – Wstaję. Zrób mi jajecznicę z dużą ilością boczku, pilnuj, żebyś placka nie usmażyła, bo ostatnio tak ścięłaś jajka, że nożem trzeba było kroić.

– Oczywiście. Śniadanie za dziesięć minut.

– Za dwadzieścia. Idę pod prysznic.

– Oczywiście. Śniadanie za dwadzieścia minut. A tampon masz?

– Jaki tampon?

– Do kąpieli. Na palec.

– Idź już lepiej!

– Oczywiście. Już idę.

Rozeszli się w „idealnej zgodzie”.



Robert, zanim wziął porządną kąpiel, wsadził głowę pod kran. Prychał niczym Kmicic, który na trzaskającym litewskim mrozie kazał wachmistrzowi Soroce polewać się kubłami zimnej wody. Taki już los imprezujących macho – w którymkolwiek stuleciu by żyli, muszą szybko wytrzeźwieć, gdy wymaga tego sytuacja.

Z braku wachmistrza Robert obsłużył się sam, ale z podobnym do Kmicica efektem: odzyskał rześkość ruchów oraz jasność myślenia.

Przeanalizował dzisiejszy poranek i stwierdził, że Marta jest nienormalna. A do tego złośliwa, wredna, nieludzka, cyniczna, szydercza... Generalnie – jędza.

Przypomniał sobie związek Bartka. Czy Sandra dzisiaj zwlekła Bąka o siódmej rano? Rzuciła w niego ciuchami i ubliżała? Kazała wstawać i natychmiast jechać po jakąś głupią lampkę?

Był rozgoryczony. Podejrzewano go nie wiadomo o co, podczas gdy nic złego nie zrobił. Tylko na złość żonie wytrzymał do rana na beznadziejnych urodzinach w towarzystwie Choinki Irenki. Z nikim nie tańczył, średnio się bawił...

Ale Marta pod żadnym pozorem nie może się o tym dowiedzieć. Dopiero sprawiłby jej satysfakcję narzekaniem i krytykowaniem gości. Jeśli ona traktuje go nieludzko, on też ma prawo podnieść jej ciśnienie.

Pojedzie i kupi tę kretyńską lampkę, ale złamać się nie da. Za dużo tego było, za długo trwało...

Ponownie stanął mu przed oczyma obraz przyklejonej do Bartka kobiety: ćwierkającej, wpatrującej się z zachwytem, która spija mu słowa z ust.

Przypomniał sobie również, co Sandra mówiła do niego: „Widzę radość, młodość, zapał, wariactwo... Co cię dusi? Co hamuje przed szaleństwem? Nie musisz być ani dorosły, ani rozsądny, ani odpowiedzialny. Zamiast bez sensu zabiegać o akceptację innych, zaakceptuj sam siebie. Otwórz się, wyluzuj”.

A może by skorzystać z tej rady? – Wystraszony zuchwałą myślą, znowu oblał głowę zimną wodą. – Boże! Jak mnie ssie... – Rozdął nozdrza i wdychał docierający przez dziurki w łazienkowych drzwiach zapach smażonego boczk. – Oby placka nie zrobiła zamiast jajecznic...

Marta z równą skrupulatnością śledziła zegarek na ścianie, co i konsystencję biało-żółtych glutów na patelni. Postanowiła, że w dwudziestej pierwszej minucie zamienią się w placek. Jeśli Robert zdąży, dostanie glut, jeśli nie – będzie potrzebował noża, by zjeść śniadanie.

Szczerze mówiąc, wolałaby, żeby się spóźnił i dał jej powody do kolejnych złośliwości.

Ledwo panowała nad nerwami. Kiedy małżonek poszedł do Bartka i długo nie wracał, ani jej w głowie było czytanie książek. Zadzwoniła do Jolki i zwierzyła się z rozterek. Razem obmyśliły zemstę. W zasadzie Jolka obmyśliła...

– Przestań się mazać! – zrugła przyjaciółkę. – Przestań myśleć, co i z kim teraz robi! Lepiej kombinuj, jak go ukarać.

– Jak? – Marta czuła się zagubiona w najnowszych wydarzeniach.

– Wstanie na kacu, nie?

– Jasne.

– Więc go obudź możliwie najwcześniej i zrzuć na łeb coś wyjazdowego i głośnego. Żeby wiertarka była potrzebna.

– Wiertarka? Ledwo się zagoił po karniszu.

– Trudno! Albo będziesz miłosierna, albo wszechmogąca. Co wolisz?

– Wszechmogąca! – odpowiedziała bez namysłu. – Ale co mam wymyślić?

– Bo ja wiem? Coś, żeby ci się naprawdę przydało. Przyjemne z pożytecznym. Nie potrzebujesz

niczego? Pomyśl!

– Marzy mi się lepsze światło na łóżkiem... – bąknęła z obawą, czy jej skromne wymagania zyskają uznanie koleżanki.

– Super! Niech ci zamontuje światło nad łóżkiem. Bez wiertarki nie da rady, a wiertarka na kaca najgorsza. Pamiętaj! Nie daj się złamać! Będzie jójczyć, marudzić... Nie daj się!

– Dobra!

Nie dała się. Obudziła Roberta i wymyśliła zadanie z wiertarką – gorsza pokuta niż tarzanie w smole i pierzu.

Napakowana mściwymi poradami zrobiła zeza, by jednym okiem skontrolować zegarek, a drugim patelnię.

– Ależ pachnie! – Robert wszedł do kuchni trzy sekundy przed czasem.

– Siadaj. – W ostatniej chwili poderwała patelnię z ognia i przełożyła, a raczej przelała jajecznicę na talerz. – Zaraz zrobię ci coś do picia.

– Kawę. I nie zaraz, tylko teraz.

– Przed kawą musisz wypić coś na kaca. Przestałeś śmierdzieć wódką, ale na pewno jeszcze sporo jej masz we krwi. Okropnie wyglądasz.

– To nie od wódki. Wyglądam okropnie, bo za długo spałem – odpowiedział z przekąsem. – Rób tę kawę!

– Oczywiście.

Kiedy ekspres zaczął bulgotać, przysiadła na krześle obok męża.

– Za godzinę otwierają sklep. Jedź ostrożnie, żebyś znowu nam kłopotów nie narobił. I żadnych lampek na klamerkę. Raz-dwa zawiasy się wyrobiją, będzie spadać. Kup coś porządnego, do montowania na stałe do ściany. Nad samym łóżkiem ma wisieć, żeby mi żaden cień z boku nie padał. Rozumiesz?

– Pojedźmy razem, bo jak zwykle skończy się zrzędzeniem, że kupiłem nie to, co chciałaś.

– Zrzędzeniem? – Bezsilnie potrząsnęła głową. – Bądź spokojny. Jeżeli kupisz lampę, a nie telewizor, słowem nie pisnę.

– Wolałbym jednak...

– Koniec dyskusji! – Huknęła pięścią w stół. – Wystarczy, że wczoraj robiłeś to, na co miałeś ochotę. Dzisiaj moja kolej. Wyjeżdżam nad morze i wrócę późnym wieczorem.

– Nad jakie morze?

– Bałtyckie. Przecież mówiłam, że wrócę wieczorem, więc chyba logiczne, że nie nad Adriatyk, prawda?

– Po co jedziesz?

– Po sieci do łapania dorsza! – odpłaciła z nawiązką za jego wcześniejsze złośliwości. – Poza tym liczę na złowienie kilku młodych przystojnych rybaków. Też potrzebuję czasami odmiany. – Krytycznym spojrzeniem omiotła męża. – Kto jak kto, ale ty powinieneś mnie rozumieć.

– No właśnie nie rozumiem. – Uśmiechnął się krzywo. – Jak zwykle zresztą. Możesz powiedzieć normalnie, dokąd i z kim jedziesz?

– Jolka zaproponowała niedzielę nad morzem: plaża, rybka w smażalni, gofry na molo. Obydwe jesteście wykończone i marzy nam się chwila spokoju. Nic szczególnego: połazimy, pogadamy, odpoczniemy... – Ugryzła się w język. Nim się obejrzała, wypadła z roli, którą wczoraj tak starannie nakreśliła jej przyjaciółka. – A w międzyczasie zabawimy się z rybakami, więc nie czekaj na mnie! Chyba nie będziesz miał pretensji, jeśli wrócę dopiero jutro rano? Tobie wolno, a mnie nie?

– Aha... – Słowo „Jolka” wyjaśniało wszystko. Zrozumiał wreszcie irracjonalne zachowanie żony: poranną pobudkę, wykrzykiwane pretensje, domaganie się lampy nad łóżkiem, niespodziewany wyjazd

nad morze oraz pomysł na zabawy z młodymi rybakami. Strach pomyśleć, co jeszcze nakładła jej do głowy. Oby nie kazała go zabić. Wiedział, że była do tego zdolna, ale liczył, że Marta nie posłucha i zatrzyma się na przytykach popartych tupaniem nogą. – A obiad dla mnie i dla Dominika? – Nie wątpił, iż znajduje się w lodówce, bo nigdy nie skazałaby ich na głód. Obstawiał żur albo kapuśniak. Na pewno, gdy tylko rozłączyła się z Jolką, pobiegła do kuchni i ugotowała coś kwaśnego. Na pewno pomyślała o jego kacu...

– Obiad? – Odniosła do zlewu czysty talerz, który wypucował, zbierając chlebem resztki biało-żółtych glutów. – Ciesz się, że śniadanie dostałeś! Co mnie wasz obiad obchodzi? Radźcie sobie... – Wzruszyła ramionami. – Idę pod prysznic. Nie mam czasu. Jolka podjedzie za pół godziny. – Zanim wyszła z kuchni, obrzuciła go pogardliwym wzrokiem. – Pamiętaj! Jeśli nie chcesz, żebym jak zwykle zrządziła, kup kinkiet, a nie telewizor albo komputer. I uważaj z wiertarką. Nie mam zamiaru wozić cię potem po szpitalach i palić się za ciebie ze wstydu, donżuanie za pięć złotych.

– Miłego dnia! – Dopiero teraz zagotował się z gniewu: ani żurku, ani kapuśniaku, ani nic...

– Mam nadzieję, że będzie tak samo miły jak twój wczorajszy wieczór! – Bujając biodrami, poszła do łazienki.

– Z całego serca ci tego życzę... – burknął, chociaż już go nie słyszała.

Naprawdę tego jej życzył – niech się męczy i wróci późno tylko po to, żeby zrobić mu na złość.

Męczyła się okropnie.

– Może zadzwonię? Kiedy wychodziłam, Dominik jeszcze spał.

– Martwisz się, czy obudził się z czystą pieluchą? – Jolka szła mokrym brzegiem morza, uciekając przed falami. – Nie histeryzuj. Nie dzwonią, znaczy, żyją.

– A jeśli Roberta złapała drogówka? Do rutynowej kontroli? Kazali mu dmuchać i wyszło, że pijany? Po co go wysyłałam z samego rana? Wiesz, jaki on pechowy...

– Przestań! Ciesz się chwilą. Pomyśl choć raz o sobie, a nie o nich. Wdychaj jod i wyluzuj.

– Pewnie zamówili pizzę...

– Od pizzy się nie umiera.

– Powinam zrobić im żur. Dominik uwielbia, a Robert na kacu ze trzy talerze by zjadł...

– Weź się ogarnij! – Podenerwowana Jolka nie dostrzegła nadciągającej fali, która zmoczyła jej spodnie niemal do kolan. – Obiecałaś, że będziesz twarda i się nie dasz. – Wyżymała nogawki dresów. – Ani słowa o nich. Zabraniam!

– Dobrze. Ani słowa...

Przeszły plażą od Pobierowa do Pogorzeliczy i z powrotem, co zajęło im niemal cały dzień. Kiedy ledwo żywe zasiadły w smażalni ryb, Marta popatrzyła na przyjaciółkę wzrokiem zbitego psa.

– Wciąż cisza. Ani telefonu, ani esemesa... Albo kupił następny telewizor, albo wiertarka go w końcu zabiła...

– Wykończysz mnie! Zabiła, to zabiła. Wielka mi strata.

– Mało śmieszne... – Marta ledwo skubała rybę. – Wracajmy już.

– Jeszcze czego! Nie możemy wrócić przed północą. Wyjedziemy stąd najwcześniej o dwudziestej drugiej.

– Zasnę w samochodzie.

– To zaśniesz. Kto ci broni?

– Wracajmy.

– Nie! Nie po to obmyśliłyśmy plan, żebyś zjechała do domu przed czasem. Jak ich znam... i ciebie... – Jolka zgromiła ją spojrzeniem. – Ledwo wrócisz, zabierzesz się do gotowania żuru i klejenia ruskich

pierogów, bo im się nagle zachce. Dosyć tego!

Długo tłumaczyła, na czym polega walka o samostanowienie i godną pozycję w rodzinie, a Marta pokornie słuchała, przyjmując na klatę lawinę krytyki. Potakiwała, bo bała się przyznać, że z przyjemnością wróciłaby do domu i podała swoim chłopcom żur i pierogi.

– Zimno mi – bąknęła nieśmiało. – Jeszcze piątej nie ma. Co będziemy tu robić do dwudziestej drugiej?

– Fakt. Liczyłam, że da się strzelić jakieś przypadkowe zdjęcie z fajnymi chłopakami, a tu o... – Jolka rozejrzała się niechętnie po stołach, za którymi siedziały grupki niemieckich emerytów, całorocznie okupujących zachodni brzeg Bałtyku. – Zaliczymy gofry na molo i wracamy. Pojedziemy do mnie. Kupimy winko, przykryjemy się kocykami, obejrzymy film, zagramy w scrabble. Nie martw się. Coś wymyślimy, żebyś wylądowała w małżeńskim łóżu pijana i zmęczona.

– Nie chcę gofrów i nie chcę winka. Ani pić nie mogę, ani siedzieć u ciebie do północy. Jutro o szóstej idę do roboty. Muszę się wcześniej położyć.

– Ja pierdziele! – Twarz Jolki krzywiła się bardziej z każdym wypowiedzianym przez Martę zdaniem. – Okej! Przed samym wyjściem ode mnie hukniesz jedną lampeczkę, żebyś wiarygodnie śmierdziała, a w domu podrzesz na sobie ciuchy i sztywno walniesz w wyro. Chyba potrafisz udawać zalaną w sztok?

– Nigdy się w sztok nie zalałam, żeby sztywno na wyro padać.

– Jezu! A w kinie albo w telewizji nie widziałas takich akcji? Aktorzy grają na trzeźwo, to i ty pojedziesz.

– Bo ja wiem?

– Pojedziesz! Proste. Przecież nie będziesz odstawiać umierającej Kleopatry. Nawet słów nie musisz się uczyć, po prostu bełkocz.

– Nie obraż się, ale wystarczy na jeden raz. Robert dostał już po nosie: ledwo się położył, już go zerwałam z łóżka, zostawiłam bez obiadu, kazałam na kacu kupować i montować kinkiet... – Aż ją serce zakłuło od nagłego przyływu współczucia. – W życiu takiej kary nie dostał...

– Doskonale! Bo w życiu nie zrobił ci podobnego świństwa? Zapomniałaś? – Jolka ze skrupulatnością księgową wyliczała przez kilka minut przewinienia Roberta, coraz bardziej krusząc współczucie Marty. – A pamiętasz, co mi wczoraj mówiłaś zryczana? Taka byłaś pewna, że nigdzie bez ciebie nie pójdzie, że weźmie twoją stronę, a on co? Połażł i bawił się w najlepsze. W dupie miał ciebie i twoje uczucia!

– Bartek i Robert są najlepszymi kumplami, więc...

– Nie pieprz! Najlepsi kumple, a sto lat się sobą nie interesowali i nie utrzymywali żadnego kontaktu. Faktycznie: przyjaźń na śmierć i życie, a kumpel ważniejszy od żony, nie? – ironizowała Jolka. – Kochana, obydwie dobrze wiemy, że nie o Bartka tu chodzi. Gdyby twój mąż poszedł z nim wczoraj na piwo i wyłącznie we dwójkę uchłaliby się do nieprzytomności, to nie rwałabyś włosów z głowy i nie dzwoniła do mnie z płaczem. Zamiast jechać nad morze, ugotowałaś mu żur, a potem przez tydzień milczała obrażona. Czyli byłoby jak zwykle, prawda?

– No.

– Wcale nie zachowujesz się jak zwykle.

– Bo ty mi tak kazałaś.

– Niczego ci nie kazałam. Sama prosiłaś o pomoc i pałałaś żądzą zemsty. Ja tylko podsunęłam pomysł, a ty skwapliwie się zgodziłaś. Pierwszy raz, odkąd się znamy, postanowiłaś dać mu porządną nauczkę. Czemu?

– Czemu? – Marta nie była pewna, czy zna prawidłową odpowiedź.

– Bo tym razem przegiął. To już nie wybryk niedorozwiniętego chłopca, ale jawna zdrada.

– Zdrada?!

– Ojej! Mówię o zdradzie mentalnej, społecznej, lojalnościowej... – Machnięciem ręki Jolka ucięła

wyliczanekę. – Ale jeśli będziesz się z tym godzić, doczekasz się fizycznej, zanim się obejrzysz.

– Niemożliwe. Sam twierdził, że by mu się nie chciało nadszukiwać obcej pannie. Jestem pewna, że mówił prawdę.

– Byłaś też pewna, że nie pójdzie bez ciebie na urodziny Sandry. I co?

Nad stolikiem zawisła ciężka cisza.

– To co mam robić?

– Po pierwsze, nie wierzyć, że z lenistwa będzie wierny, a po drugie, działać!

– Jak?

– Skończ z rolą potulnej żonki, pokaż pazury, udowodnij, że znasz swoją wartość, że jesteś człowiekiem, kimś, o kogo trzeba zabiegać, a nie traktować gorzej od służącej. Niech teraz on odgaduje i wyprzedza twoje życzenia.

– Życzenia? Jakie życzenia?

– Widzisz? – Jolka załamała ręce. – Zobacz, co on z ciebie zrobił. Doprowadził do stanu, że ty nie masz żadnych własnych życzeń. Może poza jednym: żeby jajecznicza była płynna. Mało wyszukane, przyznaj.

– Nie dręcz mnie. – Marta schowała twarz w dłoniach. – Za późno na rewolucje.

– Na rewolucje nigdy nie jest za późno! Wstawaj! Jedziemy!

– Dokąd?

– Do mnie. Upić cię nie mogę, bo idziesz o szóstej do roboty.

– A co z wiarygodnym śmierdzeniem?

– Zajedziemy do monopolowego po piwo bezalkoholowe. Mam nadzieję, że przynajmniej smród w butelkę wsadzili. Bezalkoholowe nie znaczy bezzapachowe, chyba?

– Odpuść. Chcę do domu.

– Zapomnij!

W drodze do Szczecina Jolka niestrudzenie urabiała wąpiącą przyjaciółkę.

– Zrozum przede wszystkim, że Robert nie dostał od ciebie żadnej porządnej kary. Nie współczuj mu i nie rób sobie żadnych wyrzutów. Cóż złego, że go obudziłaś, ledwo się położył? Gdyby wrócił wcześniej, toby się wyspał, nie? – Puściła kierownicę i wykonała gest: „ależ to oczywiste!”. – Przestań też dramatyzować, że zostawiłaś go bez obiadu i kolacji. Bądź pewna, że głodu nie cierpiał: albo z Dominikiem zamówili coś z miasta, albo zżarli na surowo dwa kilo kaszanki bez użycia talerzy czy sztućców – prychnęła. – Natomiast co do kinkietu... Gratuluję pomysłu. Udowodniłaś, że masz własne i bardziej wyszukane życzenia niż jajecznicza al dente.

– Ale...

– Żadne „ale”! Chcesz się, jak to mówi twój mąż, wytarzać w smole i pierzu za jeden krótki wypad nad morze? Czemu sumienie cię dręczy? Przecież niczego złego nie zrobiłaś. Nie masz prawa do odpoczynku? Nie wolno ci odejść ze służby na parę godzin? Czegokolwiek dwa leniwe woły by nie zmajstrowały, wiecznie musisz przy nich trwać? Bez względu na własne zdrowie i potrzeby? – zarzuciła Martę dziesiątkami podobnych pytań.

– Okej. Jedziemy do ciebie. Postaram się wytrzymać do północy. I ani minuty dłużej!

– Brawo!

Resztę drogi pokonały w błogim milczeniu, z którego obydwie czerpały zadowolenie – Jolka, osiągnąwszy cel, pragnęła odpocząć od roli psychoterapeuty, a Marta rzygała radami koleżanki i marzyła o końcu brutalnej terapii.

Liczyła mijane co sto metrów słupki, odmierzające dystans dzielący ich od Szczecina. Skupiła się na białych pachółkach, by odgonić dręczące ją myśli. W zasadzie jedną myśl: „Co w domu?”. Kryło się za nią wiele innych myśli: „Czemu mąż ani razu nie zadzwonił?”, „Czy pojechał, kupił i zamontował

lampkę?”, „Co zjedli na obiad?”, „Jak z Dominikiem?”, „O czym rozmawiali, gdy syn wstał i stwierdził, że nie ma matki?”, „Maja przyszła? Ugotowała im coś? Zostaje na noc?”, „Kto pilnuje Roberta i wiertarki?”...

Męczyła się okropnie.

WSZYSCY MĘŻCZYŹNI SĄ TACY SAMI.  
MAJĄ TYLKO RÓŻNE TWARZE,  
ŻEBY MOŻNA BYŁO ICH ODRÓŻNIĆ.

(Marilyn Monroe)

Robert tymczasem odwiedził supermarket i kupił lampę. Nabył porządne, montowane do ściany oświetlenie: „Nad samym łóżkiem ma wisieć, żeby mi żaden cień z boku nie padał. Rozumiesz?”.

Rozumiał. Do południa uwinął się z robotą. Gdy Dominik wyszedł ze swojego pokoju, było po wszystkim.

– Muszę szybko coś zjeść i się wykapać. – Chłopak wsadził rękę w slipy i podrapał się po przyrodzeniu. – Gdzie śniadanie?

– Matka wyjechała nad morze. Wróci wieczorem. – Te dwa zdania oznaczały: „śniadania brak”.

– Nad jakie morze?

– Bałtyckie. Wróci wieczorem, więc chyba logiczne, że nie wybrała się nad Adriatyk? Tak mi powiedziała.

– Ostro! – Błądząca w majtkach dłoń znieruchomiła. – A z kim?

– Z Jolcią.

– No to przerażane. Na bank zrobi jej z mózgu jajecznicę... – Ostatnie słowo trafiło wprost do pustego żołądka Dominika. – A śniadanie gdzie? Zostawiła w lodówce?

– Nie zostawiła ani śniadania, ani obiadu.

– Wkurzyłeś ją, bo zabalowałeś do rana, i z zemsty prysnęła nad morze? Mam rację? – Kiedy ojciec przytaknął, syn wkurzył się nie na żarty. – Super! Ty bawiłeś się wczoraj, ona bawi się dzisiaj, a ja płacę głodem za wasze kłótnie!

– Ciesz się, że nie musiałeś wstawać o siódmej i jechać po lampkę nad łóżko. – Robert delikatnie oparł głowę o fotel i zajęczał. – Godzinę temu używałem wiertarki. Wciąż ją czuję we łbie.

– Słyszałem hałasy. Myślałem, że sąsiad z dołu remontuje... – Dominik uważnie zlustrował ojca od stóp do głów. – Potem znowu zasnąłem... – Odetchnął z ulgą, gdy nie znalazł żadnych plastrów ani bandaży. – Opowiadaj, co mnie ominęło. – Przysiadł na oparciu kanapy, zapominając o głodzie.

Robert zrelacjonował ze szczegółami zarówno nocną imprezę w klubie, jak i poranną „imprezę” w sypialni, po czym obaj doszli do wspólnego wniosku, że Marcie coraz bardziej odbija.

– Ojciec, luz. Zadziałam: pogadam, wejdę jej na sumienie... – Na potwierdzenie tych słów z jego brzucha rozległo się głośne burczenie. – Na dzisiaj też coś wymyślę! – Dominik dłuższą chwilę drapał się po bokobrodach. – Ale najpierw muszę się wykapać.

– Zrobić ci kanapkę? – Półżywe oczy Roberta błagały: „Powiedz: nie! Powiedz: nie!”.

– Nie.

– Synu, tylko ty masz nade mną litość! – Oklapł bezwładnie w fotelu. – Złoty z ciebie chłopak.

– Zaraz przyjdzie Maja. Gdybym wciąż był w łazience, otwórz jej, dobra? Niech wejdzie do mojego

pokoju i poczeka.

– Dobra – zgodził się niemrawo Robert. – Wychodzicie gdzieś?

– Planowaliśmy. Jednak w zaistniałej sytuacji trzeba te plany zmienić.

– To znaczy?

– Wypasiony obiad! – zaśmiał się Dominik. – Majka ugotuje. Jest w fazie autoreklamy: będzie szczęśliwa, że może się o nas zatroszczyć. Szczególnie o teścia.

– Naprawdę? – Już czuł zapach kapuśniaku. Niebo w gębie! – A jeśli się nie zgodzi?

– Przestań. Zobaczysz, że się posika ze szczęścia.

– Synu. Trzymaj się jej mocno.

– Pożyjemy, zobaczymy. Młody jeszcze jestem... Nie zaśnij, dobra? Wpuść ją i niech mi najpierw śniadanie zrobi.

– Oczywiście! – Robert wyprężył się w fotelu. Niczym bezbronny generał czekał na odsiecz wszechmogącego adiutanta, a gdy Maja stanęła w progu, omal jej nie zsalutował.

– Wejdz, Majeczko. Pięknie wyglądasz, jak zwykle zresztą.

– Dziękuję. – Nieco zaskoczona napadem szarmanckości, pozwoliła zdjąć z siebie płaszcz. – Za to pan, przepraszam, chyba dzisiaj w kiepskiej formie? Stało się coś? Gdzie Dominik?

– Pod prysznicem. Prosił, żebyś weszła i zaczekała. – Suszem rzucił się ku drzwiom prowadzącym do pokoju syna. – Zapraszamy... – Wykonał szeroki gest.

– Co się stało?

– Nic. Absolutnie nic. Dominik zaraz przyjdzie. Wstyd mi za niego. Ja bym nie pozwolił na siebie czekać takiej dziewczynie... – Domykał kłamkę z wyjątkową starannością, jakby sprawdzał zatrask pułapki, a potem bezszelestnie przemknął do łazienki.

– Jest! Idź do niej – zachrypiał synowi w ucho.

– Tak mam iść? – Dominik wskazał gołe mokre ciało, które ledwo wyszło spod prysznicza.

– Nie. Wytrzymaj się.

– Ojciec!

– Bo niby nie widziała cię nago? Spoko. Ja nie matka. – Mrugnął łobuzersko Robert. – Mniejsza z tym. Idź mokry albo wytarty, tylko załatw, co trzeba. Pamiętaj: kapuśniak. Koniecznie na żeberkach.

– Każesz mi uprawiać seks w zamian za kapuśniak? – Chłopak ryknął śmiechem. – Obrażasz mnie!

– Ciszej! Usłysz!

– Ojciec, nie rób zamieszania, okej? Dam radę. Zaufaj.

– Ufam, ufam... Już mnie nie ma.

Kiedy suchy i ubrany Dominik poszedł do swojego pokoju, Robert zasiadł w fotelu i mocno zacisnął kciuki – nie chodziło przecież o obiad, ale o wygraną batalię z Martą. Oby pierworodny nie zawiódł!

Nie zawiódł.

Maja – wedle przepowiedni jedynaka – z entuzjazmem objęła we władanie królestwo Marty, a Roberta odesłała do sypialni, żeby trochę się zdrzemnął.

Anioł nie kobieta! – zdążył pomyśleć, nim zasnął.

Dominik miał gorzej – został wciągnięty w sprawunki i targanie zakupów. Okropnie się przy tym natrudził i namarudził, ale w nagrodę dostał słodkiego buziaka, obietnicę na coś więcej oraz czas wolny. Schował się u siebie, by Maja nie kazała mu jeszcze szatkować śmierdzącej kapusty albo ciąć żeberek na kawałki – chłopak od urodzenia brzydził się surowym mięsem.

Niepotrzebnie się martwił.

Maja napawała się niepodzielnym panowaniem nad całym domem Gawronów. Cieszyła się, że nie ma Marty, która bez przerwy patrzyła na nią niczym transplantolog na ofiarę wypadku, a poza tym przez kilka



chwil chciała poczuć się jak żona Dominika.

Stanowili parę od pierwszego dnia studiów, więc oczekiwała zaręczynowego pierścionka i po każdym tekście: „Majka! Szykuj się na wieczór. Niespodziankę mam”, spodziewała się, że padnie na kolana z pudełeczkiem w dłoni. Niestety, dotychczasowe niespodzianki dotyczyły wyłącznie tańszych wypadów na kręgielnię bądź siłownię, które wyszukał na Grouponie. Ale czy nie mógłby oświadczyć się w kręgielni albo w klubie fitness? Na wszelki wypadek malowała rzęsy wodoodpornym tuszem, żeby się nie rozmazać, gdy zapłacze ze wzruszenia, mówiąc: „tak”. Po każdym rozczarowaniu obiecywała sobie, że jutro postara się bardziej – przywiąże go do siebie, skusi, udowodni, jaka jest fajna...

Nic zatem dziwnego, iż możliwość zaopiekowania się męską częścią rodziny Gawronów wydała się doskonałą okazją, o jakiej marzyła. Była gotowa zrobić na obiad łososa nadziewanego kasztanami w kremie z wasabi, a co dopiero zwykły kapuśniak? Wprawdzie o przepisie na jedno i drugie miała identyczne pojęcie, ale od czego Internet? Z mnóstwa porad wybrała „Przepis mojej babci. Podała dziadkowi, a on zaraz potem poprosił ją o rękę”. Ha! Niech żyją kulinarne blogerki! Maja spisała produkty gwarantujące rychłe oświadczyń: pół kilograma kapusty, cebula, wędzony boczek... Skupiła się na przyprawach, gdyż właśnie w nich upatrywała magii: kminek, majeranek, ziele angielskie...

Gdy z długą listą sprawunków poszli do sklepu, Dominik włókł się między regałami, ledwo pchając przed sobą wózek.

– A żeberka?

– Żeberka? – W przepisie nie było o nich słowa.

– No. Ojciec inaczej nie zje.

– Mhm... – Przygryzła wargi: przecież to nie Robert miał się jej oświadczyć... – Wystarczy, że boczek stopię. Za tłuste wyjdzie. Mówiłeś, że ojciec ma problemy z cholesterolem. – Wolą nie dodawać żeberka, bojąc się, że zniszczą babciną recepturę na złapanie męża.

– Proszę cię... – Dominik kiwał głową w kierunku właściwego stoiska. – Chcesz złapać punkty u mojego ojca, to nie wytykaj mu cholesterolu. Jestem pewien, że prędzej zabije go gadanie matki niż boczek z żeberkami. – Na widok wahania dodał: – Ja tu poczekam. Nie mogę patrzeć na żywe mięso. – Lekko klepnął w drobne plecy Majki. – No idź, idź...

Maja kupiła nieszczęsne żeberka. Zrobiła kapuśniak wedle innego, niż planowała, internetowego przepisu, który owszem, uwzględniał kawał wieprzowej tuszy i zachwalał niezapomniany smak, ale słowem nie wspominał o konsumpcji zakończonej oświadczynami.

No i się sprawdziło, niestety.

– Coś wspaniałego! – Po kilku godzinach snu i sutym obiedzie Robert wyglądał na bardziej zakochanego w Majce niż syn. – Pojęcia nie miałem, że jesteś i śliczna, i mądra, a do tego tak utalentowana. Mistrzostwo świata po prostu! Nadajesz się na synową, nadajesz.

– Dziękuję. – Pokraśniała od pochwał. – A tobie smakowało? – Spojrzała na swojego chłopaka.

– Może być. Tylko te... – Podłubał paznokciem w zębach. – Przesadziłaś z zielonymi farfocłami.

Faktycznie. Aby odczarować żeberka, podwoiła zalecane w babcinym przepisie przyprawy: sypnęła szczerze kminkiem, majerankiem, suszonymi korzeniami warzyw, a szczególnie lubczykiem, bo forumowiczki cuda o nim pisały.

– Ale smakowało?

– Może być – powtórzył Dominik.

Cichutko westchnęła – cholerne żeberka zniszczyły misterny ślubny plan. Tyle dobrego, że przynajmniej Robert zobaczył w niej dobrą kandydatkę na synową.

– Dostanę teraz kawkę? – Przyszły teść rozejrzał się po kuchni. – I coś słodkiego do kawki?

Wbiła spłoszony wzrok w Dominika.

– Ojciec, nie marudź. Zamawiałeś kapuśniak z żeberkami. O słodkim nie wspominałeś.

– Sądziłem, że to oczywiste.

– Więc się myliłeś. – Syn wstał od stołu. – W szafce za drzwiami na pewno znajdziesz jakieś ciasteczka. Matka chowa tam wszystko, co nielegalne. A jak ci nie pasuje, wal do cukierni. My już wystarczająco nalataliśmy się dzisiaj po sklepach, prawda?

– No – przytaknęła nieśmiało i znowu się zaróżowiła. Tym razem od rozpierającej ją dumy, iż rycerz Dominik uratował ją z opresji.

Też miała dość. Pierwszy raz w życiu zasuwała pełną parą nad garami i patelniami, czujnie pilnując, by nic się nie przypaliło i za bardzo nie wystygło – intensywność doznań porównywalna ze skokiem z samolotu bez zapasowego spadochronu: albo się uda, albo nie.

Udało się. Pomijając wpadkę z nadmiarem zielonych farfocli, sukces.

Ale adrenalina z każdą minutą spadała, więc Maja marzyła o słodkim odpoczynku ze swoim rycerzem Dominikiem u boku.

– No dobrze. Trudno... – Robert wstał od stołu. – Przynieś mi, kochanieńka, kawkę do salonu. Sypaną. Bez żadnych białych udziwnień, broń Boże! – Wygrzebał z szafki za drzwiami czekoladę i paczkę cukierków. – Opuściłem prawie całą pierwszą połowę Pogoni z Wisłą. Ale twój obiadek wart był grzechu zaniedbania.

– Ja pierdziele! Na śmierć zapomniałem! Przecież mogliśmy jeść i oglądać! Ojciec, lecimy! Krakusy muszą dostać dzisiaj łupnia w rewanżu! Włączaj sprzęt!

Dominik wybiegł do salonu, a Robert podążył za nim, powtórzywszy na odchodne prośbę o sypaną kawkę.

Maja usiadła ciężko na krześle, którego nawet nie raczył po sobie zasunąć. Oparła łokcie o blat, splótła dłonie, ułożyła na nich podbródek i podtrzymując w ten sposób głowę, rozglądała się po bliższej oraz dalszej okolicy: brudne talerze, zachlapany obrus, rozdeptane na kuchennym szlaku kawałki jedzenia, zalana kipiącym kapuśniakiem płyta, zlew pełen garów i patelni...

Najpierw zaniósła do salonu kawę, a potem sprzątała kuchnię. Musiała zostawić ją w nienagannym stanie, bo wiedziała, że Marta – gdy wróci znad morza – odsądzi ją od czci i wiary za najmniejszą smugę odkrytą w spodzie któregoś naczynia bądź na fragmencie szafki.

Głupie żeberka! – zżymała się, pucując palniki. – Wszystko zepsuły! Następnym razem bardziej się postaram i dopilnuję przeznaczenia...

Myła podłogę, gdy nagle leżący na stole telefon zadrżał i rozległo się głośne „Wow!”, a zaraz głos Jamesa Browna. Mimowolnie podchwyciła – zbliżyła do ust końcówkę mopa: *I feel good, I knew that I wouldn't if* – zaśpiewała.

– Panie Robercie! – zawołała, po czym przeszła ze śpiewu w taniec. – Komórkę pan zostawił! Dzwoni!

– Niech dzwoni! – odkrzyknął z salonu kandydat na teścia. – Pewnie żona się dobija!

– Wyświetla się: „Bąku”!

– Lecę! – Tempo, w jakim Robert znalazł się w kuchni, pozwoliło mu zobaczyć wijącą się przy kiju Maję. Dziewczyna kręciła pupą i śpiewała, wyrzucając w górę zaciśniętą pięść: *I feel nice, like sugar and spice. So nice, so nice, I got you.*

Jemu też było miło, bo wyglądała smakowiciej niż cukier i przyprawy – szczególnie te, którymi niepotrzebnie zabagniła zupe.

– *Really?* – Oparł się o futrynę drzwi.

– Przepraszam... Proszę... – Zawstydzona podała Robertowi wydzierający się aparat i wróciła do mycia podłogi. – Zaraz skończę.

– Jak dla mnie możesz nie kończyć. – Pozwolił Brownowi pośpiewać jeszcze chwilę. – Że też moja

żona nie umie się tak ładnie bawić mopem. Ślicznie się razem prezentujecie. Oczu nie można oderwać.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się słodko, ale gdy tylko Robert przeszedł do sypialni, by swobodnie pogadać z Bąkiem, jej twarz zamieniła się w gradową chmurę.

Zajebicie! – klęła w duchu. – Jutro wrzucę hit dnia do sieci: „Kapuśniak na wyrwanie starucha!”.

– Jak po imprezie? Straciłem moment, w którym zniknąłeś. Wypadało się pożegnać.

– Nie chciałem was odrywać od zabawy.

– Sandra była rozczarowana, że uciekłeś.

– Przepróż ją w moim imieniu.

– Co jest? Marta na podsłuchu? – Bartek próbował odgadnąć przyczynę zdawkowych odpowiedzi.

– Nie. Wyjechała nad morze.

– Mówiłeś, że ma dzisiaj dyżur. Że dlatego nie mogła z tobą przyjść.

– Yyy... – W kłamaniu Robert radził sobie gorzej niż w pracach domowych. – Odwołali jej ten dyżur. Znaleźli kogoś, się okazało... Skorzystała i wyskoczyła z koleżankami na rybkę.

– Fajnie, że odwołali. – Bąku od początku wątpił w przyczyny nieobecności Marty, a teraz był ich pewien. – Oboje na tym skorzystaliście, co?

– W jakim sensie?

– Ona wdycha jod, a ty spokojnie dogorywasz. Kac bez żony? Marzenie!

– No...

Robert nie zamierzał relacjonować kłótliwego poranka. A tym bardziej wizyty w sklepie. Sprzedawcy patrzyli na niego jak na idiotę: niedziela, pustki między regałami, a on wpadł, ledwo otworzyli, i zaangażował całą ekipę do poszukiwań lampy idealnej, która odpowiednio świeci, nie rzuca cienia z boku, daje się zamontować tuż nad wezglowiem łóżka i nie skryje ani literki z rozłożonej książki.

Wspólnie wybrali odpowiedni model. Niezbyt urodziwy, ale spełniający wszystkie wymienione warunki. O urodzie, kolorze ani fasonie Marta nie wspominała, więc uznał, że przynajmniej w kwestiach estetyki dostał wolną rękę. Kupił i przytwierdził w miejscu, w którym wyrwała na tynku paznokciami znak iksa.

Wykonał. Zapomniał. Nie chciał do tego wracać.

– Co jest? – Bartek zaniepokoił się lakonicznością Roberta. – Obraziłeś się? Sorry. Zrozum: urodziny Pszczółki, musiałem przy niej być i...

– Rozumiem.

– Na pewno? Dziwnie gadasz.

– Dziwnie gadam, bo też mam w kuchni Pszczółkę. Kazała mi spać, zrobiła kapuśniak, a teraz sprząta i śpiewa do mopa.

W słuchawce zapadła pełna zdumienia cisza.

– Gawron? Wyrwałeś wczoraj coś, o czym nie wiem? Dlatego zniknąłeś z imprezy? – W głosie Bartka słyhać było uznanie. – Marta wyjechała nad morze? Czy się wyprowadziła?

– Nikogo nie wyrwałem. Mówię o Mai, dziewczynie Dominika. Idealny materiał na synową.

– Aaa... – Uznanie zniknęło. – W sumie nieźle się urządziłeś. Dziewucha chce się podlizać, wyłazi ze skóry, nie gdera i niczego w zamian nie chce. Jeśli się dopomni rewanzu, to tylko u Dominika, a ty śmietankę spijasz. Pozazdrościć sprytu.

– Pozazdrościć? Czyżby Sandra wystawiła ci cennik za niegderanie?

– Żart? Pszczółka nie z tych. Ale pamiętam, co było z Beatą... – Bartek westchnął nad zmarnowanymi latami przy boku upierdliwej małżonki. – Czyli nie masz do nas pretensji? Za mało się tobą zajmowaliśmy jako honorowym gościem. Mieliśmy nadzieję, że Irenka...

– Wytłumacz Sandrze, że mną nie trzeba się zajmować. – Zarechotał na wspomnienie o Choince. – I przestań mnie maglować jak Irenka. Boże, co za egzemplarz! Bywa u was? Jak ją znosisz? Zgadzasz się ze stwierdzeniem, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem? Wolisz mówić czy milczeć? Co starasz się przemilczeć? O czym lubisz mówić? – Śmiejąc się do rozpuku, naśladował natrętnie entuzjastyczną intonację dziewczyny. – Chłopie! Ona albo coś wstrzykuje, albo wciąga. Innej opcji nie ma.

– To najbliższa przyjaciółka Pszczółki. Nie zauważyłem, żeby coś wciągała... – Bartek delikatnie grał adwokata. – Typowa współczesna fajterka. Niezła szycha: ma pod sobą prawie setkę ludzi.

– Setkę ludzi pod sobą? – pokpiwał Robert. – Kosi trawę na cmentarzu?

– Pracuje w banku, ale nie przy pieniądzach. Psycholog biznesu, rozumiesz? Szkolenia, treningi osobiste, te sprawy. Jeśli doradza szefom banku, jak prowadzić interes, to chyba jest lepsza od nich, nie?

– No. Mnie wczoraj zdecydowanie przetrenowała. Mam przez nią zakwasy w uszach.

– Ale sympatyczna, co?

– Aż za bardzo – stęknął Robert. – Najwidoczniej psychologia biznesu polega na dręczeniu przeciwnika. Skutecznie, muszę przyznać. Gdyby powiedziała: „Weź pół bańki kredytu, a przestanę gadać”, natychmiast podpisałbym wszystkie papiery.

– Może po prostu się jej spodobałeś?

– Nie strasz! Mów lepiej, jak tam u was po imprezie. Sandra zadowolona z urodzin?

– Bardzo. Zmartwiło ją tylko twoje wczesne wyjście. Irenę zresztą też.

– Bąku, skończ temat, dobra?

– Jasne...

Bartek, urabiany przez Pszczółkę do zeswatań kumpla z Irenką, starał się, jak mógł, odpowiednio zareklamować towar, ale czuł, że jeszcze nie pora. Chociaż, z drugiej strony, nagły wyjazd Marty nad morze rokował pomyślnie. Po wizycie u Gawronów Sandra natychmiast zorientowała się w małżeńskiej pomyłce. Bartek również pragnął uratować przyjaciela.

– Zastanowiłeś się nad majówką? Mówiłeś już Marcie? Jedziecie z nami?

– Nie było okazji. Minęliśmy się. Spałem do południa, a kiedy wstałem, już jej nie było – konsekwentnie trzymał się swojej wersji. – Może dzisiaj wieczorem poruszę temat? Chociaż wątpię. Spać mi się chce, a ona pewno późno wróci. Znowu się miniemy.

– Mijacie się w łóżku? – zaśmiał się Bartek. – Przecież to najlepsze miejsce do załatwiania każdej sprawy. Aż tak u was źle?

– Źle? Normalnie, a nie źle... – Łóżko od dawna przestało kojarzyć się Robertowi z żoną, seksem, rozmowami. – Poza tym ja dzisiaj do niczego się nie nadaję. Nawet gębą nie chce mi się ruszać i średnio pamiętam szczegóły, a Marta zawsze dopytuje o detale.

– Jestem pewien, że na słowo „Paryż” zapomni o detalach. Kobitki mają fisia na punkcie Paryża. Może wieża Eiffla coś im przypomina? – zarechotał lubieżnie Bartek. – A jeśli chodzi o szczegóły, to wspomnij o apartamencie z wyjściem na dach. Dachy też na nie jakoś dziwnie działają. Sandra już mruczy jak kotka.

– Ile osób jedzie? – Robert nijak nie potrafił sobie wyobrazić mruczącej na paryskim dachu małżonki. Sandrę i owszem. Widział ją wyraźnie, łaszącą się o nogi i szepczącą: „Otwórz się, wyluzuj. Niczego sobie nie narzucaj. Nie musisz być ani dorosły, ani rozsądny, ani odpowiedzialny...”. Słuchać podobnych słów, patrząc na wieżę Eiffla – bezcenne.

– Planujemy wyjazd na osiem sztuk. Zmieścimy się wtedy wygodnie w dwóch samochodach. Nie ma co zagęszczać, bo apartament jest wprawdzie czteropokojowy, ale małe klitki. Za to wielki taras i jeszcze schodki na małą półeczkę w dachu. Fajny bajer: coś jak wnęka między ścianami kondygnacji. Mieści się tam tylko ławka, ale z jakim szerokim siedziskiem! Wszystko można na nim zrobić. Francuzi to jednak sprytni chłopcy. Jak już coś wymyślą, tylko do jednego się nadaje.

– Byłeś tam? – Sprośny rehot kumpla nieco drażnił Roberta. – Skąd masz taką orientację? Wiesz, że katalogi potrafią kłamać?

– Wiem. Ale meta sprawdzona. Nie z katalogu. Irena spędziła tam ostatni urlop. Pokazywała zdjęcia i filmiki. Siwy dym!

– Aha... Czyli Choinka jedzie z nami?

– Choinka? Na co ci choinka w majówkę? Gawron! Zасыpiasz? Obudź się!

– Prawie... – Zagryzając usta, Robert hamował śmiech. – Mówiłem ci, że krucho ze mną. Od rana jestem między dniem a snem, a ty mi każesz namawiać Martę na wnękę w dachu. Zdzwonimy się jutro, dobra? Bo znowu zapomniałem: ile samochodów, pokoi, osób?

– Dwa, cztery, osiem. Parzysta sekwencja. Tylko nie przestaw. Żebyś jej nie palnął, że jedziecie we dwójkę do ośmiu pokoi czterema samochodami. Faktycznie, krucho z tobą.

– No – odpowiedział Robert rozkojarzonym głosem, bo w całym domu rozległ się radosny wrzask Dominika: „Jeeeeest!”. – Bąku, nie oglądasz Pogoni z Wisłą?

– Nie. Szkoda oczu. Mam lepsze widoki.

– Mnie też szkoda oczu. Biorę azymut na wyro. – Dla wzmocnienia efektu ziewnął w słuchawkę.

– Bierz. A jutro daj znać, co z Paryżem. Pozdrów Martę.

– A ty Sandrę.

Zamiast na wyro wziął azymut na salon.

– Walnęliśmy krakusom bramę? – Usiadł obok syna.

– I to jaką! Myślałem, że zasnąłeś. Długo cię nie było.

– Gadałem z Bartkiem.

– Tak długo? O czym?

– Planują wyjazd na majówkę. Zapraszają nas... Dajesz, dajesz, dajesz! – Podbramkowa akcja wymagała natychmiastowego dopingu.

– Dobrze! Kiwaj go! Teraz!

– Wał, durniu!!! Na co czekasz?!

Dureń za długo kiwał i piłka wróciła na środek boiska, a oni do rozmowy.

– Dokąd ten wyjazd? – zaciekawiał się Dominik.

– Do Paryża.

– Do Paryża? O rany, jak cudnie! – zapiszczała Maja.

Gdy skończyła porządki, liczyła na miłe chwile ze swoim chłopakiem, ale on ani myślał odkleić się od kanapy i telewizora. Zasiadła zatem w fotelu, przerzuciła nogi przez oparcie i powoli suwając palcem po komórce, przeglądała najnowsze wiadomości z Facebooka i różnych plotkarskich portali. Znudzona, wybrała jakąś głupią gierkę: zabijała zielone potworki, które coraz szybciej i w coraz większych grupach zalewały ekran. Zauważyła, że zdolności strzeleckie znacznie zyskują na impecie i celności, gdy myśli o żeberkach, kapuśniaku i sprzątaniu.

Zupełnie inaczej mieli spędzić niedzielę, ale się dostosowała i słowem nie poskarżyła. Ba! W pewnym momencie odczuwała nawet satysfakcję, iż została zakwalifikowana na próbny staż przedmałżeński. Starła się ze wszystkich sił, by „pracodawca” ją pochwalił, docenił wysiłek, pogłaskał po głowie, a w nagrodę zabrał do kina albo na spacer, albo chociaż do swojego pokoju. Na nic podobnego się nie zanosilo, więc musiała zapomnieć o marzeniach i czekać na nagrodę, aż sędzia odgwizdże koniec meczu.

Tuż po wyjściu z kuchni chciała opowiedzieć Dominikowi o tym, jak Robert przytapał ją na tańczeniu i śpiewaniu; jak uznał, że ślicznie się prezentuje razem z mopem, i jak żałuje, że jego żona, niestety, nie dorównuje tej przyjemnej dla oka prezencji...

– Nie przeszkadzaj, wkurzony jestem. Nie widzisz, co robią? – przerwał, nim dokończyła pierwsze

zdanie. – Podajesz! Szmaciarzu, oślepiłeś?!

Staż nagle przestał jej się podobać – zapieprzała jak głupia, a w zamian dostaje „nie przeszkadzaj”? Wytłumaczyła sobie szybko, że mecz trwa zaledwie dziewięćdziesiąt minut. Czymże jest dziewięćdziesiąt minut wobec całego wspólnego życia?

Zajęła się zielonymi ludzikami, które kosiła z rosnącą skutecznością – za kapuśniak, za mopa, za „nie przeszkadzaj”! Pochłonięta grą nie reagowała ani na strzelonego krakusom gola, ani na powrót Roberta do salonu, ani na niedawną gorącą akcję w polu podbramkowym, która – ku rozpaczycy obu panów – zakończyła się fiaskiem. Postanowiła ostentacyjnie się od nich odciąć, ciekawa, który z nich pierwszy dostrzeże niemy bunt i zapyta ją o cokolwiek. Hasło „Paryż” zniweczyło test na męską inteligencję emocjonalną.

– O Boziu! – Oderwała się od telefonu, co zielone potworki natychmiast wykorzystały i wysadziły w powietrze długo bronioną fortecę. – Paryż w maju? Zazdroszczę...

– Czego? – Dominik rzucił krótkim spojrzeniem. – Dwa procent Francuzów. Reszta to Arabowie, Murzyni i prostytutki. Rzeczywiście: „O Boziu!” – przedrzeźnił entuzjastyczny dziewczęcy głosik.

– Paryż jest cudowny!

– Taaa... W amerykańskim kinie! Z każdego okna widać wieżę Eiffla, a każdy pościg jedzie pod Łukiem Triumfalnym, przez Pola Elizejskie i tunele pod Sekwaną... Czego gwizdziesz?! Gdzie spalony?! Nie było spalonego! – Dominik zapomniał o Mai. – Ojciec, był spalony?

– Gównu! – Robert po kpiącym komentarzu syna wolał nie wspominać, że Bąki proponują wyjazd jak z amerykańskiego filmu: może bez pościgów, ale za to z widokiem na wieżę Eiffla. – Ciekawe, ile sędzia wziął w łapę?

– Pana żona na pewno się cieszy, że jedziecie? – Dziewczyna usiłowała ratować ginący w krzykach wątek.

– Jeszcze nie wie.

– Zrobi jej pan niespodziankę? Super! Też bym tak chciała...

– Nie przeszkadzaj! – fuknął Dominik. – Masz rację, ojciec. Sprzedany mecz.

Otworzyła głupią grę z zielonymi ludzikami. Tym razem obroniła fortecę, wybijając wroga w pień.

WŁAŚNIE POZNAŁAM  
WSPANIAŁEGO MĘŻCZYZNĘ.  
JEST POSTACIĄ FIKCYJNĄ,  
ALE PRZECIEŻ NIKT NIE JEST DOSKONAŁY.

(Woody Allen)

Jolka usiłowała wyciągnąć Martę z sennej nirwany – otwierała okno, by wpuścić chłód wiosennej nocy, i nastawiała muzykę z wiosny ich życia.

– *You take my self control...*! – śpiewała stary przebój, nieświadoma, że dwadzieścia lat temu, w rozlatującym się akademiku polibudy, dokładnie te same słowa nucił Bartek, dowiedziawszy się, iż jego najlepszy kumpel przedwcześnie zostanie ojcem. Na szczęście Marta również nie miała o tym pojęcia, więc zamiast płakać, ziewała.

– *Words don't come easy to me!* – darła się Jolka niezrażona jej ziewaniem. – Wiesz, czemu znam tę piosenkę na pamięć?

– Dlaczego?

– Bo straciłam przy niej cnotę. A ty?

– Też straciłam cnotę... – Wyrwana z nirwany po raz kolejny, rozciągała palcami powieki.

– Ale przy czym straciłaś cnotę?

– Przy jajeczkowaniu, niestety.

– Naprawdę? Wpadłaś za pierwszym numerem? Bez muzyki na dodatek?

– Jezu! Kto by to pamiętał? – Choć nie wypięła grama alkoholu, zatoczyła się, gdy wstawała z kanapy. – Jolcia, puść mnie. Obiecałam zostać do północy, ale padam na twarz.

– Przestań!

– Muszę się położyć.

– U mnie przenocuj.

Kto wie, ile by się przepychały, gdyby nie Filip.

– Mamo, możesz nie śpiewać? – Stanął w progu salonu. – Uczę się. Obie będziecie za karę robić przysiady!

– Przysiady? Już wychodzę... – Marta, zwijając manatki, posłała naburmuszonemu gimnazjaliście przepraszający uśmiech. – Ucz się, dziecko, ucz.

– Bo nauka to potęgi klucz! – podchwyciła Jolka. – A jak zbierzesz dużo kluczy, to zostaniesz woźnym! – Poczochrała Filipowi włosy. – Ucz się, ucz... Obiecuję, że nie będę już śpiewać. Odprowadzę ciocię do taksówki i zrobię ci sałatkę z rzodkiewki. Czytałam ostatnio, że rzodkiewka ma dobroczynny wpływ na szare komórki.

– Moim szarym komórkom wystarczy cisza. – Chłopak wycofał się z pokoju.

Zatrzasnął drzwi i nawet się nie pofatygował, by odpowiedzieć Marcie „do widzenia”.

– Widziałaś? Słyszałaś? To jest właśnie to, o czym ci mówiłam, kiedy byłyśmy w Lasku Arkońskim,

pamiętasz? Mój eks razem z ukochaną lafiryndą mogą do woli przyjmować gości, śpiewać, puszczać głośno muzykę... Bo kto zabroni się bawić bezdzietnemu kawalerowi? Przecież Filip nigdy do nich nie wpadnie i nie będzie ich uciszał. Tatuś dba, żeby odwalić widzenia z synkiem w bezkolizyjnych godzinach. A ja? – Jolka dygotała ze złości i zimna, wypatrując zamówionej taryfy. – Niczego mi nie wolno. Nawet z przyjaciółką nie mogę się powyglądać. Muszę być dwadzieścia cztery na dobę porządna i poukładana. Bo jeśli głośniej zaśpiewam, zrujnuję karierę naukową syna, prawda? Każdy sąd mnie wtedy odsądzi od czci i wiary i uzna za patologiczną matkę. A ja tak bardzo bym chciała mieć tydzień wolnego od życia i choć kilka dni побыć bezdzietną panienką... Czy raczej starą panną? Kimkolwiek! Byleby tylko, zamiast przejmować się dzieckiem, zająć się sobą. Wyobrażasz sobie podobny luksus?

– Nie. – Nocny ziąb wybudził Martę i przywrócił jej pamięć. – Ale w Oberży mówiłaś, że nawet gdyby Robert Redford cię uwiódł i zabrał do Hollywood, dzwoniłabyś codziennie do Filipa, żeby być na bieżąco z jego dziennikiem elektronicznym, problemami i w ogóle umarłabyś bez kontaktu z synem.

– Bo to prawda!

– Więc jakim cudem wytrzymałabyś ten tydzień, o którym marzysz?

– Boże! Ty wszystko tak dosłownie bierzesz. – Prostolinijna interpretacja „świata według Marty” załamała Jolkę. – Tydzień! Wtedy mówiłam o całym życiu, a teraz mówię tylko o siedmiu dniach bez przyrządzania energetycznych kanapek z rzodkiewką i bez elektronicznych dzienników. Widzisz różnicę?

– Nie. Możesz udawać kogoś innego najwyżej przez kilka godzin, ale nie przez siedem dni. Zadręczałabyś Filipa telefonami, wpytując go o skład każdej kanapki i o każdą lekcję... – Marta ścisnęła dłoń koleżanki. – Jolcia, ja też czasami marzę. Ale nie jestem pewna, czy byłabym szczęśliwa, gdyby te marzenia się spełniły. Z marzeniami trzeba uważać.

– Na drugie mam: Uważna. – Jolka popatrzyła współczująco. – Za to ty: Bezkrytyczna.

– Ano mam – zgodziła się wesoło Marta. – I taksówkę też już mam. Dzięki, kochana! Dobrze zrobiła mi plaża i pogaduchy z tobą. Nie martw się o nic i przeproś Filipa. Mam nadzieję, że nie dostanie przez nas jedyńki? – pokrzykiwała, domykając drzwi taryfy. – Dzięki!

– Drobiazg! – Jolka pomachała jej na pożegnanie i wróciła do mieszkania, by cichutko, jak najciszej, przygotować synowi kanapki.

Wraz z nastaniem wiosny kobiece pisma mocno skupiały się na cudownych właściwościach nowalijek. Zachwalały rzodkiewki. Wyczytała, iż niepozorne warzywo zawiera witaminy A, B i C oraz minerały: potas, siarkę, cynk, fosfor i żelazo. Prozdrowotne referencje rzodkiewki mówiły o zbawiennym działaniu na serce, mięśnie oraz mózg. W przypadku Filipa należało skupić się zarówno na mięśniach, potrzebnych do robienia tysiąca przysiadów dziennie, jak i na mózgu, niezbędnym do rozwiązywania zadań matematycznych. Karmienie rzodkiewkami winno dotlenić mu obie półkule, poprawić koncentrację tudzież usprawnić procesy myślowe.

Nie miała wyboru – syna należało wypchać rzodkiewką jak pluszowego misia trocinami.

Marta wysiadła z taksówki obudzona i pobudzona, jakby była ósma rano, a nie północ. Doskonale wiedziała, że stan nienaturalnej rzeźkości zapowiada bezsenną noc: przewracanie się z boku na bok i spoglądanie na zegarek: jeszcze sześć godzin, pięć, cztery, trzy, dwie... – a mózg buzuje, jakby naćpał się rzodkiewką. W ostatnich minutach, gdy trzeba już wstawać, szare zwoje wrednej pomarszczonej łachudry zapadają w głęboki sen, który zostaje przerwany natarczym głosem budzika. Koszmar!

Potem wychodzenie spod kołdry, odzyskiwanie władzy nad ciałem, przygotowanie kanapek dla chłopaków...

Makabra!

A potem trzeba iść do roboty i biegać między pacjentami, którzy tracili resztki rozumu, więc nigdy nie



wiedziała, co przyniesie dzień. Dbała o nich najlepiej, jak umiała, ale wyrzucała ich z pamięci, gdy tylko zamykała drzwi ośrodka. To był jedyny sposób, by nie zwariować od myśli o ponurym pograniczu życia i śmierci, gdzie ludzie nie są już ludźmi, bo choroba odbiera im człowieczeństwo. Nie przypominali roślin, bo chodzili i mówili; nie przypominali dzieci, bo cofali się w rozwoju; nie przypominali też zwierząt, bo zanikały im nawet podstawowe instynkty.

Przez długie lata uczyła się trudnej sztuki panowania nad emocjami i nieprzywiązywania się do pacjentów. Początkowo przychodziło to z trudem, ale w końcu zdołała wykształcić prawidłowe mechanizmy. Gdy opuszczała świetlicę, wraz z pielęgniarskim kitlem odwieszała do służbowej szafki całą swoją pracę: wszystkich podopiecznych oraz personel.

Tylko takie postępowanie gwarantowało powrót do rzeczywistości i pozwalało – po bezsennej nocy i ośmiu godzinach obcowania z odczłowieczonymi ludźmi – iść na zakupy, przygotować obiad, zrobić pranie, posprzątać. Dotarcie do domu wcale nie oznaczało odpoczynku – było to raczej przejście z jednej pracy do drugiej. Wciąż się zastanawiała, jak zawsze daje radę wszędzie ze wszystkim zdążyć...

Cud!

Dokonywała cudów, odkąd poślubiła Roberta, więc powinna przywyknąć, ale coraz gorzej znosiła okazywanie – codziennie i na każdym kroku – dowodów swojej nadprzyrodzonej mocy. Z upływem czasu traciła „boską potęgę”: wcześniejszą mobilizację zastąpiła frustracja, szybciej opadała z sił, a kręgosłup bolał niemiłosiernie.

Na przestrzeni lat tylko jedno się nie zmieniło: Robert – od zawsze obiekt jej miłości, motor działania oraz przyczyna wszelkich rozczarowań – Jaśniepan Konstans Wiekuisty!

W pełni zasłużył na ten tytuł. Bez względu na poprzednie i obecne stulecie, na porę roku, na stan Odry w Raciborzu, Miedoni i w Ścinawie, godnie reprezentował stałe elementy świata – zero ewolucji.

Tkwiał w tym samym miejscu, zastygły, niczym dumny ateński Akropol, oczekujący wyłącznie troski, chuchania i podziwiania. Kazać mu się ruszyć do przodu, dostosować do rzeczywistości, to jakby kazać Akropolowi stanąć na placu Czerwonym i wdziąć bizantyjskie cebulaste, złote kopuły.

Absurd!

Świat składa się z ludzi Akropolu i z ludzi konserwatorów sztuki – odkryła podczas pewnej nieprzespanej nocy. Pierwszym wystarcza świadomość, że są. Natomiast ci drudzy wiedzą, że muszą być. I wiedzą, co powinni robić, by dzieło sztuki, o które dbają, zawsze lśniło pełnym blaskiem.

Stworzyła wiele górnołotnych metafor, gdy przewracała się w łóżku z lewego boku na prawy; raz odrzucała kołdrę na bok, a raz zakrywała się nią od pięt po przedziałek. On, oczywiście, ani drgnął. Odliczaniu godzin zawsze towarzyszyło przeraźliwe chrapanie Jaśniepana Konstansa Wiekuistego – tracił przytomność, ledwo przyłożył głowę do poduszki.

Jego błyskawiczny i donośny sen zwielokrotniał złość Marty – przecież tylko bezrefleksyjny idiota zasypia tak szybko! Każdy średnio inteligentny osobnik boryka się z wydarzeniami minionego dnia, planuje następny...

Jej małżonkowi nigdy się nie zdarzyło rozmyślać w łóżku. Potrafił jedynie chrapać. Ewentualnie zalegać, w ramach rekonwalescencji, po licznych urazach.

Wiedziała, że czeka ją bezsenna noc odmierzana tykaniem wskazówek i chrapanieciami Roberta, a potem cały dzień biegania w kołowrotku obowiązków.

– Witam panią... – przemówiła do lustra w windzie. – Jak się pani miewa? Do której będziemy dziś lunatykować? – Wykrzywiła się w złośliwym uśmiechu. – Miejmy nadzieję, że panowie już śpią. A jeśli nie? Może siedzą i czekają na ciasto albo pierogi? Co pani na to? Będziemy piec i kleić? – Odbicie pokazało Marcie język. – Już panią lubię! – zachichotała jak rasowa furia. – Rozumiem, że rezygnuje pani

z pieczenia i klejenia? Ale na wspólne lunatykowanie mogę liczyć? – Lustro odpowiedziało potakiwaniem. – Dziękuję. Dobra z pani kobieta...

– Piętro ósme. – Rozsunęły się drzwi windy.

– Dziękuję uprzejmie. – Marta sparodiowała komputerowy głos. – Dobranoc.

Próbowała stąpać na palcach, ale nogi zaprotestowały bólem. Wredne rosnące halluksy – padła ich ofiarą przez kolejny skandal i kolejne oszustwo na tym świecie! Na paczkach papierosów piszą, że „Palenie tytoniu powoduje powolną i bolesną śmierć”, a na plakatach w monopolowym ostrzegają: „Kobieto! Łóżysko przewodzi alkohol. Nie zabijaj swojego dziecka!”. To czemu na każdej ścianie w obuwniczym czy na każdym kartonie ze szpilkami nie ma informacji: „Kobieto! Noszenie wysokich obcasów i wąskich czubów powoli i boleśnie zniszczy twoje stopy!”? Gdyby się uprzeć, można by pozwać do sądu co większe koncerty i co wymyślniejszych kreatorów mody – że nie uprzedzają zawczasu. Dobry adwokat na pewno wygrałby miliony dolarów odszkodowania dla miliarda starych kobiet ze zdeformowanymi nogami.

Niezły pomysł na spore pieniądze, ale niestety – Marty nie było stać na wojnę z Christianem Louboutinem ani Manolem Blahnikiem. Tym bardziej że w młodości nie nosiła ich butów i nawet nie wiedziała, że istnieją. A firmy obuwnicze, z usług których była zmuszona korzystać, nie dało się o nic pozwać, bo od lat nie istniały. Zniknęły wraz z kartkami na buty. A halluksy, cholera, zostały!

Sycząc z bólu, szła na palcach od windy do wycieraczki krokiem skradającej się małpy. Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała odgłosów z mieszkania. Cisza...

Po lekkim naciśnięciu klamki bez przeszkód weszła do ciemnego przedpokoju. Panowie najwidoczniej spali: nie dostrzegła światła w żadnym z pomieszczeń.

Leniwe gnojki! – zmeęła w ustach soczystą wiązanekę. – Nawet drzwi na noc nie chce im się zamykać! Złodziej może wynieść ich razem z łózkami i okraść cały dom!

Marzyła o szybkim prysznicu, bo nadmorski piasek miała dosłownie wszędzie. Pojedyncze ziarenka, gryzące każdy centymetr ciała, stanowiły kolejny powód rosnącej złości: Cholera jasna! Zwykły spacer, a jakbym szpagaty robiła na plaży nudystów!

Gdy stanęła obok łazienkowej kabiny, spojrzała niepewnie na szklaną obudowę. – A jeśli ich obudzę? Wyleżą z pokojów jak dzikie wilki. Osaczą mnie, zapędzą do garów, wjadą na sumienie. Będą się bezczelnie i przymilnie domagać zaległego obiadu!

Wiedziała, że się im podda i, nie bacząc na późną godzinę, odpali kuchenkę.

„Coques ergo sum”...

Oni są Akropolami, a ona zwykłym konserwatorem...

Nie dzieła sztuki zostały stworzone dla konserwatorów, lecz konserwatorzy dla dzieł sztuki... Czy gdyby grecka świątynia zaczęła się nagle rozpadać w środku nocy, zespół fachowców czekałby do rana, by temu zaradzić? Z pewnością nie. Zatem i ona by nie mogła...

Wycofała się z łazienki. W dupie mam piasek! – stwierdziła zgodnie ze stanem faktycznym.

Szła przez ciemny przedpokój do sypialni. W pewnym momencie kopnęła niechcący jakiś but, który hałaśliwie potoczył się po kafelkach. Zamarła i płochliwie obserwowała wszystkie drzwi, ale na szczęście nigdzie nie zapaliło się światło i nikt się nie odzywał.

Posuwała się dalej, polując na obuwie, które Robert albo Dominik rzucili pośrodku korytarza. W kościele byli? Łupnęło ciężką skórą i solidną zelówką – analizowała niedawny hałas. Ani adidas, ani mokasyny... Garniturowe pantofle któryś włożył... Po co?

Tuż przed drzwiami sypialni trafiła na kopnięty but. Podniosła go z podłogi i znowu krew ją zalała: dziesięciocentymetrowy obcas jednoznacznie wskazywał winowajcę.

Rzuciła wściekłym wzrokiem na pokój Dominika. Majeczka! Cóż się podziało, że u nas nocujesz?

Współlokatorka za głośno puszcza muzykę? A może Robert cię namówił, żebyś została? Przecież nikt nie rozumie młodzieży tak doskonale jak on, prawda?

Odstawiła delikatnie damskie czółenka, choć wolałaby po nim skakać, aż zamieni się w placek. Jedyłą pociechę dawała myśl, że Maja na starość dostanie jeszcze większych halluksów. Dobre i to!

Trzęsąc się ze złości na wszystko i wszystkich, dotarła w końcu do miękkiego materaca, ciepłej pościeli oraz... chrapiącego męża.

Ba! Gdyby równomiernie chrapał, dałoby się przy nim spać. Ale on najpierw leżał kilka minut w bezdechu, a potem niespodziewanie wyrzucał z siebie głośne i okropne dźwięki – jak słoń, któremu zassało trąbę do środka głowy.

Zastała męża w fazie bezdechu, więc usiadła na brzegu materaca i przyglądała mu się z cierpko-gorzkim niepokojem. Tyle razy mówiła, że ma iść do lekarza; tłumaczyła, że traci tlen, że saturacja spada mu bardziej niż na Mount Evereście, nadciśnienia się dorobi, arytmii... A on jak zwykle: „Sracja nie saturacja! Idź zrób porządne śniadanie. Ty smacznie spałaś, a ja w tym czasie obkoczyłem z góry na dół cały Mount Everest. Mam prawo być głodny, nie?”.

Jasne, smacznie spała! Zapomnia...

– Chryyyuuchyywryybuuchhry! Chrrryyy! Ochchchrrryyy!

Złapała się za serce.

Wiedziała, że długą martwą ciszę przerwą przerażające odgłosy, ale nigdy nie była na to dość przygotowana.

– Chryyyuuchyywryybuuchhry! Chrrryyy!

Dalszy ciąg „Requiem słońia” nie robił już na niej wrażenia, więc spokojnie wkładała nocną koszulę, pozbywając się przy okazji setek upierdliwych wszędobylskich ziarenek piasku.

Powinna rozebrać się w łazience. Z dywanem nie pójdzie tak łatwo, jak z kaflami; większość piachu utknie w puchatych włóknach.

Postanowiła oddać go do czyszczenia. Może nawet jutro? – Popatrzyła na męża. – Przed pracą zwinie i zawiezie...

– Chryyyuuchyywryybuuchhry! Chrrryyy! – zarządził Robert. – Oochchchrrryyy!

Odetchnęła głęboko i próbowała się wyciszyć, ale kto zdoła się wyciszyć u boku konającego słońia?

Furia w niej narastała – jakby złe lichy weszło w mózg i nakręcało go sobie na palec: dwa Akropole w domu, dziesięciocentymetrowe obcasy w przedpokoju, niedotleniony himalaista w sypialni... Poza tym: budzik, dywan, praca, odkurzacz, piasek, Maja, śniadanie, syn, Jolka, rzodkiewki, kanapki... – wszystko naraz przelatywało jej przez głowę, siejąc spustoszenie. Marta ścisnęła skronie: „Ile wytrzymam?”.

Wytrzymałaby dużo, gdyby nie coraz częstsze bezsenne noce. Właśnie witała się z kolejną.

– Chryyyuuchyywryybuuchhry! Oochchchrrryyy! Chrrryyy!

Chętnie udusiłaby Roberta. Między „chrrryyy” i „oochchchrrryyy” z dziką satysfakcją zatkałaby mu nos i usta poduszką.

Miała świadomość, że w ciągu najbliższych kilku godzin nie ma co liczyć choćby na krótką drzemkę, a jałowe leżenie, rozmyślanie i kontrolowanie godziny tylko pogłębi depresyjny stan, który i bez tego osiągnął niebezpieczny poziom agresji.

Od dłuższego czasu jedynym lekarstwem na nocne frustracje pozostawała książka – odwracała myśli, przyspieszała tykanie budzika, koila nerwy. Marta czytała wszystko: kryminały, biografie, poradniki kulinarne, literaturę historyczną i przygodową. Zaliczyła nawet kilka pozycji z gatunku fantasy, chociaż niezbyt za nimi przepadała.

Nie trawiła natomiast romansów, które nazywała „ecie-pecie o facecie”: śliczna bohaterka poznaje

księcia z bajki. Wprawdzie na pierwszych stronach dziewczę nosi krzyż, za to na ostatnich stąpa po płatkach róż, które on sypie jej pod nogi. Żeby było śmieszniej, im bliżej końca, tym częściej książę wali teksty, jakich żaden normalny facet nie wymyśli. Chyba że w stanie upojenia alkoholowego. A ten z książki na trzeźwo gada! Może tylko Bartek potwierdzał istnienie takiego gatunku w realnym świecie: obskakiwał Sandrę i chrzanił farmazony zupełnie jak amant z harlequina. Ale w powieści dłach mężczyzna jest znacznie młodszy od teścia i kroczy sprężystym krokiem. Bąk nie spełniał tych (oraz wielu innych) warunków. Mówiąc krótko: amant z niego taki jak z Marty baletnica!

Nie miała pretensji do męża. Czego można wymagać po latach od starego dziada, skoro młodzieńki i świeżo zakochany Dominik wcale nie był lepszy?

Gdy tuż po rozpoczęciu studiów przedstawił im Maję, Marta w ramach integracji zaproponowała wspólną wycieczkę do Puszczy Bukowej: przecież dziewczyna powinna poznać cały Szczecin, a nie tylko galerie handlowe. Marta tłumaczyła, że na pewno wszystkim będzie bardzo przyjemnie przejść się wokół Jeziora Szmaragdowego, pooddychać świeżym powietrzem, uciec od miasta...

Chociaż młodzież nie tryskała entuzjazmem, a Robert błagał o litość, dopięła swego i pojechali całą czwórką.

Gwizdała na świeże powietrze; chciała przyjrzeć się Mai, chwilę z nią pogadać, zorientować się w sytuacji. Ale chytry plan spalił na panewce. Dziewczyna, przyklejona do Dominika jak mucha do lepu, odpowiadała półsłówkami, a gdy Marta kolejny raz o coś zagadnęła, wyrwali sto metrów do przodu.

Kiedy wrócili na parking, dzień żegnał się z Puszcą Bukową cudnym październikowym zachodem słońca: czerwona kula płonęła żywym ogniem i opadała powoli za linię drzew, pstrzących się milionem jesiennych odcieni.

– Zobacz, misiu! – Maja aż jęknęła z wrażenia i wtuliła się w chłopaka. – Coś pięknego, nie?

– No, jakby się las jarał. – Dominik na sekundę oderwał się od telefonu. – Cholera! Albo komórka mi siada, albo coś z zasięgiem nie teges.

– Raczej zasięg. Też mam ledwo pół kreski. – Skrzywił się Robert, sprawdzwszy ekran swojego aparatu. – Twoja matka oderwała nas od cywilizacji.

– Misiu, ale popatrz na...

– Nie nazywaj mnie misiem! – Chłopak wciąż grzebał w klawiaturze. – Super! Będziecie mi teraz kupować nowe podręczniki. Przez waszą wycieczkę odpadłem z licytacji na Allegro!

– Wypraszam sobie! Nie mam z tą wycieczką nic wspólnego. – Robert obrzucił żonę kpiącym wzrokiem. – Mamusi podziękuj. Niech ona da ci teraz kasę na książki.

– Wielka sensacja, że mam mu dać kasę! – Odpłaciła mężowi podobnym spojrzeniem. – Przecież od dwudziestu lat niczego innego nie robię.

– Przepraszam bardzo! Ja się na świat nie prosiłem!

– Jedźmy wreszcie... – westchnęła. – Nie mam do was siły...

Trasa Puszcza Bukowa–Kazimierza Królewicza upłynęła im w ponurej ciszy.

Pobrazali się na siebie we wszystkich możliwych konfiguracjach: młodzież na starych (zmusili do bezsensownego spaceru), starzy na młodzież (albo milczy, albo pyskuje), Robert na żonę (zmarnowała mu niedzielne popołudnie), Marta na męża (jak zwykle stanął po stronie syna), Dominik na Maję (nazwała go misiem), Maja na Dominika (odepchnął ją jak psa), syn na matkę (wypomniała mu utrzymanie), matka na syna (gbur jak jego ojciec).

Spacer po Puszczy Bukowej wyleczył Martę z potrzeby rodzinnych integracji, a ponadto utwierdził w słuszności czytanych lektur.

Preferowała normalne książki – o uciekających z niewoli Arabkach, o kucharkach, które robiły karierę, lepiąc biskupom pierogi, o żonach mordujących mężów, o kochankach Napoleona, o aferach politycznych

rozgrywanych pod dyktando ukrytych w tle kobiet...

Samo życie!

Nie jakieś „ecie-pecie”, gdzie facet nigdy nie skomentuje zachodu słońca słowami: „No, jakby się las jarał” ani nie obrazi się za brak zasięgu lub nazwanie go misiem. Poza tym księżę z bajki wiecznie patrzył w ukochaną jak w obrazek, a Dominik – w telefon i komputer.

– Jak czas leci... – zadumała się Jolka kilka miesięcy po tej nieudanej wycieczce do Puszczy Bukowej.

– Tak krakałaś, a zobacz! Już prawie rok są razem. Czyli prawdziwa miłość, co?

– Bo ja wiem? – Marta skrzywiła się niepewnie. – Maja na pewno się zakochała, ale on? Czasami wydaje mi się, że jest z nią, bo ktoś musi mu podać ładowarkę. Wykapany ojciec...

GDY NIE STAĆ NAS NA MIŁOŚĆ,  
STAĆ NAS ZAWSZE NA ZAZDROŚĆ.

(Maria Dąbrowska)

– Chryyyuuchyywryybuuchhryy! Chrrryyy! Oochchchrrryyy!

Przy akompaniamencie „Requiem słońca” mościła się w łóżku. Sięgnęła po książkę, wyjątkowo nudny kryminał, ale wrodzony zadaniowy charakter nakazywał jej robić do końca wszystko, do czego się bierze: poczynając od trudnego małżeństwa, a kończąc na nietrafionej lekturze.

Kiedy zapaliła nocną lampkę i zobaczyła padający na kartki cień, poczuła mrowienie w mózgu: postępująca skleroza często odzywała się w ten sposób, na znak, że Marta powinna sobie przypomnieć o czymś ważnym. Bywało, że denerwujące mrowienie bezskutecznie męczyło ją godzinami, ale tym razem właściwa „szufladka” otworzyła się po sekundzie.

Światło! Miał zamontować porządne światło! Jaką krzywdę zrobił sobie tym razem? – odwróciła głowę, by zbadać zakres obrażeń na ciele małżonka, ale wstępne oględziny nie wykazały żadnych opatrunków.

– Chryyyuuchbuuchhryy! Chrrryyy! – W rozwartych ustach doliczyła się kompletu zębów.

Czyli nie zrobił! Czyli mnie olał, jak zwykle! Skacowany przebimbał cały dzień, cholerny wałkoń! – Agresja osiągnęła najwyższy poziom. – I bardzo dobrze! Nie będzie jutro zawoził dywanu do czyszczenia. Sam go wypierze i wydrapie własnymi pazurami każde ziarenko piasku! A ja mu zaraz wydrapię taką dziurę pod kinkiet, że wiertarki nie będzie potrzebował! – Klęknięta na materacu i odwróciła się do ściany, by odnaleźć punkt, jaki narysowała dziś rano paznokciem, zaznaczając najlepsze miejsce dla montażu oświetlenia.

Klęknięta i... klapnęła pośladkami o pięty.

Nad przynależną jej połową łóżka wisiała nowa lampa.

Lampa? Nocny koszmar!

Nie zauważyła jej wcześniej, bo była wąska, długa i ledwo odstawała od ściany. Przypominała odwrócone do góry dnem metalowe korytko.

– Chrrryyy! Oochchchrrryyy! – Mąż wciąż się prosił o uduszenie jaśkiem.

Dobra! – Ledwo panując nad nerwami, ponownie ułożyła się na poduszkach. – Grunt, że zamontował i niczego sobie przy tym nie złamał ani nie porzucił.

Jedną ręką sięgnęła po odłożoną książkę, a drugą wymacała włącznik na biegnącym po ścianie kablu. Nacisnęła przyczek i...

– O Boże! – wrzasnęła z przerażeniem, gdy korytko rozbłysło mocniejszym światłem niż lotnisko w Hongkongu. Zacisnęła oczy, ale boleśnie oslepiona, widziała setki tęczy kół, które pływały, spadały, leciały do góry... aż ją mdliło. – Ratunku! – Zasłoniła twarz okładkami nudnego kryminału.

– Co...? Co...? – mamrotał Robert. – Co się stało...?

– Idioto! Prosiłam cię o lampę do czytania czy o solarium?! – darła się. – Jutro rozwalę to ohydztwo!

Przysięgam, że nożyczki pójdą w ruch! Potnę kabelek na kawałki i zrobię z niego spaghetti! Zeżresz na obiad! Przysięgam!

– Co...? Co...?

– Gównu! – Cisnęła książką o podłogę. – Nie umiesz jednej rzeczy normalnie kupić?! Najpierw, zamiast lodówki, przywozisz telewizor! A teraz to?!

– W dzień, w sklepie, nie dawała tak ostro... – Robert zerkał przez rozcapierzone palce. – Myślałem, że będziesz zadowolona.

– Z czego?! Że zawiesiłeś mi nad głową jupiter?!

– Zgaś. Razi... – stęknął. – Śpijże, kobieto...

Tego było za wiele: coś w niej pękło, coś się przelało – hamulce puściły.

Leżał spokojnie, przeczekując napad złości. Żałował, że uszu nie da się zamknąć równie skutecznie, co oczu – opuszczenie powiek natychmiast odcięło go od ostrej żarowy.

Gdyby można tak samo opuścić uszy i odcinać się od dźwięków? Wtedy dałoby się wytrzymać. Być może nawet liczba rozwodów by spadła? Kto wie?

Niestety. Tradycyjnie wykrzyczała mu każdą jego wadę. Siebie żałowała, a jego wyzywała od najgorszych. Sto razy powtórzyła, że ma dość, a dwieście – że w końcu z Dominikiem pożałują. Co ciekawe, między wierszami wielokrotnie podkreślała, jak mocno ich kocha. Uznał, że tę swoją miłość okazuje w bardzo wyrafinowany sposób – pięć razy w tygodniu awantura i obrzucanie epitetami, a w pozostałe dwa dni „idylli” cyniczne komentarze zamiast przystawki do posiłku.

– Gorzej od służącej mnie traktujesz! Nie liczysz się ze mną! Nie szanujesz!

Jasne! Gorzej... – przecież każda służąca wyzywa pana od najgorszych i drze się na niego w środku nocy, że złą lampę jej zamontował.

O szacunku i liczeniu się z drugim człowiekiem też miał odmienne zdanie, ale zachował je dla siebie.

Awantura przypominała wszystkie poprzednie, więc niezbyt skupiał się na treści. Nowinkę stanowiły tylko drwiące aluzje na temat Bartka, Sandry i jej koleżanek z podstawówki. Ale to również już było – nie dalej jak dziś rano – zatem wciąż spokojnie leżał, ignorując sarkastyczne zaczepki.

– Doskonale potrafisz zabawiać do rana obce panienki, ale własną żonę normalną lampą zadowolić to już za ciężko, co? Mnie można byle czym obkoczyć?

Nie miał sił ani ochoty dyskutować z podobnymi absurdami, chociaż mógł krzyknąć jeszcze głośniej: „Zabawiać się z Jolą na plaży potrafisz doskonale! Ale własnego męża zadowolić obiadem i dobrym słowem to już za ciężko, co? Kupiłem, co kazałaś: cień nie pada, wszystkie litery widzisz, a ty dalej się wydzierasz!”.

– Mamo, możesz ciszej? – Dominik pojawił się nagle w sypialni i przerwał Marcie awanturniczy manifest. – Obudziłaś nas. Jutro idziemy na ósmą, a ty...

– A ja idę na siódmą!

– Więc tym bardziej śpij, zamiast wydzierać się na cały blok. – Nie dostrzegł jej wściekłego spojrzenia, bo zrobił z dłoni daszek nad oczyma, aby ochronić zaspane źrenice przed ostrym światłem. – Śpij i daj spać innym.

– Jak mam spać pod czymś takim?! – Obejrzała się na przymocowany do ściany koszmarek, przez co znowu straciła wzrok na kilka dobrych sekund. – Widziałeś, co twój ojciec kupił?! Oślepiłam przez niego!

Chłopak głęboko westchnął. Nie odrywając dłoni od czoła, minął drącą się Martę, podszedł do ściany za łóżkiem i nacisnął zwisający na kablu przyczek. W sypialni zapadła ciemność oraz błoga cisza.

– Dzięki, synu. – Z głosu i intonacji Roberta można było wyczytać szeroki uśmiech.

– Drobiazg. Trzeba było jej powiedzieć, że jak wciśnie ten mały prostokącik w drugą stronę, to lampa

się wyłączy. – Dominik opuścił sypialnię, życząc rodzicom spokojnej nocy, z naciskiem na: „spokojnej”.

Siedziała w osłupieniu, spoglądając raz na drzwi, za którymi zniknął syn, a raz na męża, który opatulął się kołdrą i układał do snu.

Co za bezczelne chamy! Ja im pokażę!

– Chryyyuuchyywryybuuchhryy! Oochchchrrryyyy!

Padła na poduszkę. Ponieważ ręce przycisnęła z całych sił do uszu, nie miała czym wycierać łez.

– Wczoraj nie było kiedy pogadać, bo... – Robert na chwilę się zaciął. – Dzisiaj wcześniej wstałaś... –

Znowu się zaciął. – No właśnie... Pogoda nad morzem dopisała? Zjadłyście rybkę?

Ani myślała odpowiadać. Nie dość, że zabił ją światłem z korytka, to w ogóle go nie interesowało, czemu zjawiała się w domu dopiero przed północą. Ciekawe: gdyby została u Jolki, spytałby, gdzie i z kim spędziła noc? Zapewne nie. Oby tylko wróciła nad ranem zrobić im śniadanie, a potem obiad.

– A jak Jola? Filip zaliczył matkę?

Zamiast włożyć garnek do zlewu, rzuciła nim z wysokości kilku centymetrów. Pomogło – zamilkł, skupiając się na kłopsach. Niestety, tylko przez chwilę.

– Kiedy byłaś nad morzem... – Ignorował coraz głośniejsze łomotanie garnka o zlew. – Bąk dzwonił z ciekawą propozycją. Co powiesz na majówkę w Paryżu? – Marta zastygła w bezruchu. Uznał to za dobrą wróżbę. – Podobno fajny apartament. Nie widział osobiście, bo też nigdy nie był w Paryżu, ale znajomy mu polecił i pokazywał zdjęcia: wielki taras ze schodkami w dachu i z widokiem na wieżę Eiffla. Samo centrum, piechotą dochodzisz do... – Głos ugrzął mu w gardle, gdy zobaczył jej zwężone oczy i kpiąco wygięte usta.

– Bartuś zabiera Sandrunię do Paryża? – odezwała się po raz pierwszy od czasu awantury. – Na majóweczkę nas zapraszają? Cudownie!

– Tak myślisz? – Obawiał się, że sarkastyczny ton oraz złośliwe zdrobnienia wróżą jednak źle. Bardzo źle.

– A jak ci się wydaje? – Ciasno splotła ramiona.

– Bąk mówi, że każda kobieta kocha Paryż.

– Ma rację – przyznała z dziwnym uśmiechem. – Każda, bez wyjątku.

– Czyli jedziemy?

Splecione ręce gwałtownie opadły i zadyndały bezwładnie.

– Wiesz co? Całe życie się zastanawiam, który z was jest głupszy. Byłam pewna, że ty, ale jednak on.

– Nie rozumiem. O co ci chodzi? Z czym masz problem? – zadał swoje ulubione pytania.

– Skoro twój Bartuś wie, że każda kobieta kocha Paryż, to czemu swojej żony nigdy tam nie zabrał? Czemu zamiast apartamentu z widokiem na wieżę Eiffla fundował jej zapyziałe domki kempingowe bez kuchni i toalety?

– Kiedy to było? Nikt wtedy nie jeździł za granicę. Trzymali paszporty pod kluczem i wypuszczali nas najdalej do NRD z taką ilością marek, że ledwo na parę butów starczało.

– Jednak jesteś tak samo głupi jak on – orzekła ze smutkiem. – Szkoda na was czasu.

– Nie rozumiem. O co ci chodzi?

– O to, że kiedy już zniknęło NRD i oddali paszporty, Bartek z Beatą wciąż byli małżeństwem. Wcale nie biednym!

– Skąd wiesz? Do portfela mu zajrzałaś?

– Dostał kredyt na budowę domu pod Poznaniem, więc raczej w Caritasie się nie stołowali, prawda?

– Być może... – Robert nie widział związku między kredytem w Poznaniu a majówką w Paryżu. – Co z tego?



– To z tego, że było go stać na zabranie Beaty do Paryża. I to pewnie niejednym razem!

– Pewnie tak... – Wzruszył ramionami.

– Więc czemu jej nie zabrał?

– Skąd mam wiedzieć? – szukał sensownego rozwiązania. – Też cię nigdy nie zabrałem do Paryża i żyjesz! – Tropiąc kobiecą logikę, wybrał wyjątkowo niewłaściwą drogę.

– No właśnie! Nie zabrałeś, bo do Paryża nie wozi się żon! Żony są od pilnowania budowy, spłacania kredytów, odstawiania dzieci z wypiędziejewa do centrum i z powrotem...

– Słucham?! – Zaczął się obawiać, że Marta podczas spaceru po plaży uderzyła głową w falochron. – O czym ty gadasz? Przecież nie mamy żadnego kredytu ani budowy. I mieszkamy w centrum, a Dominik sam jeździ na uczelnię.

– Żony są od gotowania, sprzątanego, prasowania, podawania obiadków... – Zabrała mu spod nosa pusty talerz i cisnęła do zlewu. – Żonie można zamknąć usta domkiem kempingowym bez kuchni i kibla, zrobić jej dzieciaka, wcisnąć w pieluchy... I do śmierci mieć ją w dupie! Wracać z roboty, uwalniać się przed telewizorem i czekać na gotowe... Bo żona całą noc chrapała, a potem przez osiem godzin siedziała w spa, więc jest wypoczęta i wymasowana, prawda? Nie to co ty, biedaku! – Obróciła się na pięcie z powrotem do zlewu. – Ty musisz jechać do Paryża, żeby porządnie wypocząć. Należy ci się!

– Uważaj... – Obserwował z troską, jak Marta stara się wyjąć ze zlewu kawałki rozbitego talerza. – Pokaleczysz się.

– Spokojnie. Nic mi nie będzie. Nie mam tak delikatnej skóry jak ty. Idź stąd!

Bez problemu udało jej się wyrzucić fajansowe okruchy, ale z Robertem nie poszło tak łatwo: wciąż siedział przy stole, na przemian wzdychał i chrząkał.

Bardzo chciał dokończyć temat majówki. Wyjazd nęcił go ogromnie, ale wciąż nie wiedział, czy Marta w końcu się zgadza, czy nie. Zadał proste pytanie, a ona wyrzuciła z siebie tysiące zdań. Niby powiedziała, że jada, ale w natłoku pretensji o jakieś kredyty, pieluchy i domki kempingowe nie był pewien, czy dobrze ją zrozumiał. Długo zbierał się na odwagę, aby ponownie zadać jedno proste pytanie. Liczył, że może tym razem uzyskać równie prostą odpowiedź: „tak” lub „nie”.

– To co z Paryżem? Jedziemy?

– Myślałeś kiedyś o prewencyjnym leczeniu w moim ośrodku? – Bardzo powoli odwróciła głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem. – Na pewno dogadasz się z moimi chorymi. Wciąż wypatrują wolanta i koni, bo muszą zdążyć na majówkę w Wilanowie albo w Łańcucie. Ciebie, po znajomości, zapoznam z tymi, co czekają na karetę do Wersalu.

No i doczekał się „prostej” odpowiedzi.

– Możesz jaśniej? Co mam przekazać Bąkowi? Obiecałem, że dzisiaj zdecydujemy i dam mu znać, co o tym myślisz.

– Przekaż mu, żeby się wypchał! Razem ze swoją Sandrunią!

– Dlaczego? Ja bym chętnie pojechał...

– To jedź! Kto ci broni?

– Ale z tobą bym pojechał...

– Nie chrań! Gdybyś naprawdę chciał jechać ze mną, już dawno byś mi to zaproponował! – Biedny rondel musiał wytrzymać następny atak przemocy. – Czemu wcześniej na to nie wpadłeś? Czemu nigdy nie pomyślałeś, żebyśmy wybrali się do Paryża? Czemu?!

– Pieniędzy nie było... – Jezu! Skąd miał wiedzieć „czemu?!”. Nie wpadł wcześniej, to nie wpadł. Ale w końcu wreszcie wpadł, więc o co chodzi?

– A teraz niby pieniądze są? Wygrałeś w totka? Czy naźarłeś się papieru, popiłeś zieloną farbą i srasz stuzłotówkami?

– Jesteś złośliwa i wściekasz się, jakbym coś złego ci zrobił.

– Bo zrobiłeś! Zrobiłeś mi to samo, co Bartek Beacie!

– Ja?! Czy ja się z tobą rozwiodłem i znalazłem nową?

– Matko jedyna! Ileż można tłumaczyć? Wiesz, czemu nigdy mnie nie zaprosiłeś do Paryża?

– No? – Sam był ciekaw.

– Bo nigdy nie chciałeś tam ze mną jechać. Ani Bartek z Beatą. Żaden z was nie wpadłby na pomysł urządzania nam urodzin niespodzianki w knajpie czy majówki na paryskim dachu. Wiesz, dlaczego nie zapytaliście nas: „Kochasz Paryż jak każda kobieta? Więc może się wybierzemy?”.

– Oświeć mnie.

– Bo obydwaj umieliście zapytać tylko o jedno: „Co na obiad?”.

– To teraz, dla odmiany, pytam: może się wybierzemy do Paryża? – Kompletnie nie pojmował, o czym Marta mówi, więc zacytował podyktowane przez nią zdanie, w nadziei, że załagodzi sytuację. Tradycyjnie się przeliczył.

– Nigdzie się nie wybieram! Porzygam się od patrzenia na dwóch stetryczałych bawidamków obskakujących półgołe lafiryndy. Obrzydlistwo!

– Nie jestem stetryczałym bawidamkiem. Jeśli nie przestaniesz mi wymyślać...

– To co? Obrazisz się i zarządzisz strajk głodowy? Błagam! Zrób to!

– Nie jestem bawidamkiem!

– Jasne, że nie jesteś! Tylko ciekawe, dlaczego tak ochoczo poleciałeś na urodziny Sandry i wróciłeś nad ranem? Kogo zabawiałeś? Jej mamusię?

– Owszem, zabawiałem. Bardzo sympatyczna kobieta. Fajnie nam się gadało.

Nie kłamał.

Barbarę, matkę Sandry, poznał w knajpie. Miło im się rozmawiało i z przyjemnością spędziłby całą noc w jej towarzystwie, ale wszędobylska i ciekawska Choinka Irenka skutecznie przerwała im konwersację i zawlokła Roberta na drugi koniec stołu.

A szkoda, bo Barbara emanowała radością oraz wewnętrzną harmonią, która, jakoś tak samoistnie, natychmiast mu się udzieliła: poczuł spokój, zadowolenie, pewność siebie. Wystarczyło kilka zdań, by się zorientował, po kim Sandra odziedziczyła magiczną moc, słodki głos i obiecujące spojrzenie.

– Żałosne tłumaczenie! Dość tego!

– Nie mam z czego się tłumaczyć.

– Dość, powiedziała! Idź, pakuj się do Paryża i nie zawracaj mi...! – Marta machnęła ścierką w stronę drzwi.

– Żebyś wiedziała, że pojedę!

– Szerokiej drogi! Przyślij mi pocztówkę z wieżą Eiffla. I zbieraj już na wycieczkę do Tajlandii.

– Jakiej Tajlandii? – Zatrzymał się w progu.

– A co? Myślisz, że Sandrusię zadowoli jedna majówka we Francji? Jeśli Bartuś chce, żeby przy nim siedziała, będzie się musiał nagimnastykować. Po Paryżu Tajlandia, potem Seszele albo Malediwy. Przyjdzie nam sprzedać nasze mieszkanie, żebyś za nimi nadażył!

– Chcesz być dramatyczna, a jesteś komiczna. Nie widzisz tego? Nie słyszysz się? Wszystko psujesz.

– Wynocha! – Trzepnęła ścierką za oddalającym się mężem.

Debil! – Ze zdwojoną siłą maltretowała rondel. – A wystarczyłoby: „Martuś, oczywiście, że tylko z tobą chcę zwiedzać Paryż. Przepraszam, że wcześniej na to nie wpadłem. Niech oni sobie jadą, kiedy chcą, i mieszkają, gdzie chcą. Zostaw te gary; Dominik i Maja pozmywają, a my poszukamy w Internecie. Znajdziemy fajną miejscówkę, niekoniecznie z tarasem na dachu, byle we dwoje...”.

Wyśmiała w duchu mrzonki rodem z literatury „ecie-pecie o facecie”.

Robert nie chciał z nią wyjechać. Nawet w domu rzadko przebywali razem w jednym pomieszczeniu, a jeśli czasami się zdarzało, każde z nich zajmowało się sobą.

– Cześć, Gawron! I co? Rozmawiałeś z Martą?

– Właśnie skończyłem. – Za drzwiami sypialni niepotrzebnie ściszał głos, bo łomoczące naczynia i trzaskające kuchenne szafki zagłuszyłyby go, nawet gdyby krzyczał w słuchawkę. – Marta nie może. Za późno się dowiedziała i nie da już rady zmienić grafiku dyżurów. Wzięła za koleżanki długi weekend, bo one dawno coś planowały.

– Cholera. Szkoda. Liczyłem, że napijemy się Château Bournac pod Notre Dame i sprawdzimy, czy na la Place Pigalle lepsze są kasztany, czy...

– Co ja słyszę? Zaliczyłeś przyspieszony kurs językowy? – przedrzeźniał francuszczyznę Bartka wibrującym „r” i akcentem stawianym na ostatnich sylabach.

– Nie śmieć się. Zdziwiłbyś się, ile już umiem! – Na potwierdzenie kumpel uraczył go kilkoma zdaniami w języku Charles’a de Gaulle’a.

– Nie poznaję kolegi. Skąd te umiejętności?

– Pszczołka ściągnęła z Internetu samouczek i szlifujemy... *Ensemble cette belle langue française!* – znowu się popisał, choć nie do końca był pewien, czy wymawia prawidłowo. – Odkąd postanowiliśmy, co z majówką, ma jazdę na wszystko, co francuskie.

– O! To i w łóżku zrobiło się ciekawiej? – Robert odchrząknął znacząco.

– Wcześniej też nudno nie było, ale... Masz rację! Odezwij się do Marty kilka razy po francusku. Zdziwisz się, jaka różnica! – zaśmiał się głośno.

Robert zastanawiał się, co tak nagle rozweseliło Bąka: jego własne wspomnienia czy może wyobraźnia podsunęła mu obraz Marty? Jego wcale to nie bawiło. Gdyby chciał przeprowadzić w swojej sypialni podobny eksperyment, musiałby nauczyć się po francusku zdania: „Gdzie mam przymocować lampę i jaką konkretnie moc żarówek sobie życzysz, byś była wreszcie usatysfakcjonowana, do jasnej cholery!?”.

Bąk może się śmiać: Sandrze wystarczy internetowy samouczek. A Robert – by pokonwersować z żoną w łóżku – musiałby skończyć filologię romańską i napisać magisterkę o kłopotach ze sprzętem gospodarstwa domowego.

Smutne...

Bartek wraz z kochającą i uroczą Sandrą planują teraz wyjazd: razem wybierają atrakcje turystyczne, uczą się języka, szukają adresów fajnych knajp, studiują listy kultowych win... A on? Zalicza kolejną awanturę.

Żeby chociaż jedno dobre słowo; żeby umiała cokolwiek obrócić w żart – choćby tę nieszczęsną lampę. Fakt, wypalała oczy, rzeczywiście mógł to sprawdzić i kupić inną... Ale czy naprawdę zasłużył na budzenie w środku nocy, rzucanie książką, wyzywanie od głupków?

Od dawna miał dość. Siedział jednak cicho, przekonany, że tak już musi być, i dopiero spotkanie z Bartkiem pokazało, że może być inaczej – wesoło, kolorowo, ciekawie... Im dłużej obserwował kumpla i Sandrę, tym jaskrawiej wyświeślał mu się negatyw własnego małżeństwa, a przyszłość jawiła się wyłącznie w czarnych barwach.

Wiedział, że cokolwiek by zrobił, jaką lampę albo lodówkę by kupił, ile karniszy zamontował, Marta i tak nigdy mu nie powie: „Jesteś mądrym, dojrzałym facetem. Nikomu nie pozwól, aby w to wątpił. Nie daj się upokarzać ani poniżać. Przestań więzić w sobie szalonego chłopca. Uwolnij go”.

Choćby na rzesach stanął, czegoś podobnego nigdy nie usłyszy. Ona powie co najwyżej: „Cud, że zrobiłeś i jesteś cały. To teraz listwy popraw. Od pół roku ci o nich gadam, a ty jak zwykle...” i tak dalej.

Więc po co stawać na rzesach?

– Gawron, nie masz pojęcia, jak bardzo żałuję, że nie jedziecie. – Bartek wreszcie się wyśmiał do woli i już poważnie informował o programie majówki, by kumpel wiedział, co traci. – Pomijam Sekwanę, impresjonistów, Mona Lisę i celę Marii Antoniny... Chłopie, wynegocjowałem Disneyland! Najpierw nie chciałem się przyznać, że rajcuje mnie rollercoaster w kopalniach Indiany Jonesa i lot w kosmos, ale w końcu powiedziałem. Pszczółka uznała, że to urocze, chociaż ona absolutnie nie wsiądzie. Za to obiecała robić mi zdjęcia: jedno przy wejściu, jak się cieszę, a drugie przy wyjściu, jak idę na czworakach, zarzygany po pięty... Widzisz? Miało być zajebiście, a ty dzwonisz, że odpadacie. Nie da się przełożyć tych jej dyżurów?

Nawet gdyby dyżury Marty były prawdą, Robert wcale nie chciałby walczyć o ich przełożenie. Po co? Zepsułaby wszystkim majówkę i kpiłaby z Disneylandu. Robienie zdjęć zarzyganemu mężowi wypadającemu z wagonika Indiany Jonesa wydrwiłaby w pierwszej kolejności. A ile by się przy tym nasłuchał!

– Niestety. Jej dyżury są zaklepane na sztywno. Ale... – Miał wrażenie, że stoi na barierce mostu z uciepioną do nóg liną bungee. – Ale ja żadnych dyżurów nie mam, a zaległego urlopu tyle, że na dziesięć majówek mogę wyjechać. – Skoczył! Niech się dzieje, co chce!

W słuchawce zapadła pełna zdumienia cisza.

– Brachu, nie mów, że...

– Mówię! Wypijemy szatę bordo, czy coś w ten deseń. W kosmos też cię samego przecież nie puszcę.

– Jedziesz z nami?

– A jak!

– Gawron! Ja... – Bartka zatkało. Kiedy minął pierwszy atak radości, wróciła zdolność myślenia. – Jakim cudem Marta się zgodziła? Nie jest zła?

– Zawsze jest zła, więc co mi zależy? – Przestał zastanawiać się nad czymkolwiek, bo cóż innego pozostaje człowiekowi lecącemu głową w dół?

– Ale ten, no... Do końca tygodnia trzeba kasę wpłacić.

– Ile?

– Dwa tysiąki zaliczki. Reszta na miejscu.

– Gotówka? Przelew? – Bał się, że zaraz zacznie rozpaczliwie machać rękoma, by wrócić na barierkę mostu. Wpłacone pieniądze gwarantowały nieodwracalność decyzji, więc chciał jak najszybciej mieć to z głowy. – Podaj numer konta.

– Bez paniki. Założymy za ciebie. Oddasz przy okazji. Nawet w Paryżu, tylko wtedy w euro bym wolał...

– Dyktuj namiary!

– Nie znam. To Irena organizuje majówkę. Ona wszystko załatwia, bukuje, przelewa kasę, rezerwuje bilety... – Bartek silił się na obojętny ton. – Zawsze na pierwszej linii i pełna kontrola nad sytuacją. Rewelacyjnie ogarnia tematy. Dać ci jej telefon?

Irena! Wspomnienie Choinki kastrowało z animuszu. Bez przesady z bungee – jeśli się roztrzaskać, to przynajmniej na ciekawszym podłożu.

– Nie chcę jej telefonu. Naprawdę nie problem, żebyście za mnie założyli? Przywiozę ci te dwa tysiąki na dniach.

– Mówiłem przecież, że nawet do majówki poczekam.

– Nie, nie. Oddam najdalej za tydzień.

– Najważniejsze, że jedziemy razem. Pszczółka zaraz zadzwoni do Ireny i powie, że dochodzi jeszcze jedna osoba...

Rozmowie przysłuchiwała się Sandra. Zrozumiała, że Robert weźmie udział w majówce, ale wciąż nie

wierzyła, by Marta dobrowolnie spuściła go ze smyczy. Szczególnie w ich towarzystwie!

Przez cały spędzony u Gawronów wieczór czuła złość bijącą na kilometr od starego upierdliwego babsztyla. Wyłącznie ze względu na Bączka znosiła jej głupkowate docinki; tłumaczyła sobie, że ani to koleżanka, ani nawet znajoma, i że niedługo opuszczą ten okropny dom, więc po co robić dym?

Szkoda tylko Roberta. Dowcipny, inteligentny, fajny facet musi się męczyć z beznadziejną żoną, która zamiast docenić, co ma, ośmiesza go przed ludźmi. Niejeden odwinąłby z nawiązką, a on ze spuszczoneym łbem przeczekuje chamskie ataki.

Równie mocno jak od Marty biło złością, tak od niego na kilometr biło spokojem, samokontrolą, cierpliwością, męską pewnością siebie... Przypominał w tym Bartka i być może dlatego natychmiast go polubiła.

Wrodzona empatia kazała jej działać: uwolnić wartościową jednostkę spod bezwartościowego nadzoru. Od razu pomyślała o Irencie...

– Jedzie bez niej? – zapytała bezgłośnie.

– Dziewczyny wszystko załatwią. Nie martw się, Gawron, o nic... – Kilka razy przytaknął, wystawił do góry kciuk, a potem wskazał jej szafkę, na której ładowała się wymalowana w kwiatki komórka. – Jeszcze dzisiaj zabukują ci cały paryski pakiet.

W podskokach biegła do telefonu, by przekazać Irencie wspianiałą nowinę, a Bartek, obserwując jej podrygujące pośladki, z wysiłkiem wrócił do rozmowy.

– Pamiętasz, jak dzieliliśmy się w akademiku ostatnim plasterkiem mortadeli? Pomyślałbyś wtedy, że za życia wylądujemy w Paryżu?

– Nigdy! O ryżu, a nie o Paryżu, wtedy marzyłem.

Powspominali studenckie czasy, ale terażniejszość znowu wzięła górę nad przeszłością.

– Na pewno nie będziesz miał przez nas nieprzyjemności w domu? – zapytał Bąk.

– Ja mam wyłącznie nieprzyjemności. Jedna w tę czy w tamtą nie robi różnicy. – Robertowi coraz bardziej podobało się skakanie na bungee. – Czyli co? *Vive la France!* Dobrze powiedziałem?

– *Tu es magnifique!*

– Tyłem Mania fik? – powtórzył, akcentując ostatnie sylaby. Rechotał i było mu obojętne, czy łomoczące po kuchni garnki aby na pewno zagłuszają jego beczelny śmiech. – Ciekawy język. Chyba też zacznę się uczyć.

– Polecam.

– Mersi, Bąku! Odezwę się niedługo. Podrzucę dwa tysiąki zaliczki.

– Mersi, Gawrą. *Au revoir.*

– Rezerwuar!

Pozegnali się. Robert opuścił sypialnię i poszedł oglądać telewizję, a Bartek dołączył do podrygujących pośladków, którym towarzyszyła komórka w kwiatki.

– Kto by się spodziewał, że ta hetera puści Robcia? Irena się ucieszyła. Zaskoczona bardziej niż my, ale już się wzięła do roboty. Powiedziałam, że jutro rano przeleję kasę na jej konto... – Sandra złapała Bartka za szyję. – Chyba nam się wreszcie uda, co nie? – Lekko podskoczywszy, zawisła na nim, zaplatając nogi wokół jego bioder. – A nie mówiłam?

– *Tu es magnifique!*

– *Je t'aime!*

– *Je aussi...* Nie! – Palnął się w czoło i szybko wrócił ręką do podtrzymywania słodkiej pupci. – *Moi aussi!* Prawda?

– Nieważne, czy *je* czy *moi*. Ważne, że *aussi*.

– Pszczółko, czegokolwiek byś zapragnęła, zawsze będę *aussi*...

NIE MA NIC TRUDNIEJSZEGO DLA KOBIETY,  
JAK POWIEDZIEĆ “DO WIDZENIA”  
W MNIEJ NIŻ DWUDZIESTU PIĘCIU SŁOWACH.

(Dorothy Parker)

Marta wertowała kolorowe czasopismo; kolejny raz czytała tę samą stronę. Wmawiała sobie, że jest okej, i bez problemu mogłaby się skupić, gdyby po pokoju nie latało bez przerwy stado rozwrzeszczanych bab.

Niestety. Właśnie się przekonała, że nie są niczemu winne. Poszły nad morze, a ona – mimo błogiej ciszy – nadal bezmyślnie przewracała stronę za stroną. Gdy dotarła do końca, ponownie otworzyła czasopismo – tym razem się uda!

„Gęstsze włosy bez Photoshopa! Karina z Dębicy odkryła substancję, dzięki której odzyskała bujną fryzurę w piętnaście minut!”. – Słowa z trudem łączyły się w całość, a obraz Kariny, łysej „przed” i kudłatej „po”, ledwo trafiał do mózgu.

Marta pośliniła palec i przewróciła stronę. Co dalej?

„Trwa batalia sądowa. Para, która kiedyś pięknie opowiadała na naszych łamach o swojej miłości, zdążyła się odkochać na dobre. Dziś żywią do siebie wyłącznie pretensje i wzajemnie obwiniają o...”.

Wróciła do poprzedniej strony, by zająć myśli cudownym eliksirem Kariny z Dębicy, ale na ucieczkę przed demonami było już za późno. Złe wspomnienia czyhały na każdą chwilę słabości – zabijały na raty, dręczyły bezlitośnie po nocach i dopadały za dnia. Czasami wystarczyło jedno słowo, obrazek czy sytuacja.

Wspólne życie z drugim człowiekiem przez ponad dwadzieścia lat powoduje, że w zasadzie wszystko się z nim kojarzy, i dlatego nie miała dokąd uciec od rozszarpujących ją bestii – siedziały wszędzie i tylko czekały na okazję. Nawet w Kołobrzegu ją dopadły.

Tym razem przez kilka głupich zdań z jakiegoś szmatławca. Nie musiała wiedzieć, kim jest owa para, która kiedyś opowiadała brukowcom o swojej miłości, a teraz obrzuca się błotem... Chwilę potem ściany pokoju odbiły żaloszny szloch.

Przykryła głowę poduszką, zwinęła się w kłębek i rozpaczała, dopóki starczyło jej łez i siły w płucach. Potem zawsze popadała w drugą skrajność – obojętniała, drętwiała, traciła dobre i złe emocje. Teraz również wgapiła się w sufit, licząc tępym wzrokiem hotelowe plafony.

Chociaż od rozwodu minęło kilkanaście miesięcy, nie potrafiła się pogodzić z rzeczywistością. A tym bardziej z przeszłością. Poświęciła Robertowi całe życie, a on ją zdradził i zostawił – musiałyby być idiotką, by podpisać porozumienie stron albo zgodzić się na śmieszne mediacje! Przecież tylko ślepy nie dostrzeże jej krzywdy!

Zapomniała, że Temida jest ślepa...

Nie była w stanie zastanawiać się nad swoim wyglądem ani myśleć, w co powinna się ubrać na

pierwszą rozprawę. Na szczęście Jolka fachowo zajęła się sądową stylizacją: poczynając od zawleczenia Marty do znajomej gorseciarki, a kończąc na zakupie odpowiedniej sukienki i butów. Nowa bielizna dokonała cudu: zmniejszyła kciekę o dwa numery, a wnętrzości sprasowała lepiej niż włókninę w ściernicy.

– Zaraz się uduszę! – Marta ledwo rozpoznała własny głos, więc odchrząknęła kilka razy. – Co jest? Przeziębienie mnie bierze?

– Żadne przeziębienie. Przeponę masz zasznurowaną razem z żebrami.

– Słabo mi!

– Nie marudź. Zachowuj się jak dama: oddychaj płytko, od niechcenia... – doradzała przyjaciółka, podziwiając własne dzieło. – Zobacz, jak bosko się prezentujesz! Wcięcia gdzie trzeba, kolory jak trzeba, długość jak trzeba... – Obracała Martę przed lustrem. – Sądy uwielbiają smutne szarości z urzędowymi granatowymi lamówkami.

– Nie ubierasz mnie do sądu, tylko na pogrzeb. Do trumny.

– Kochana... – Jolka wzięła się pod boki. – Przed tobą nowe życie! Za rok, dwa Bogu będziesz dziękować. Ale niech ci będzie: ubieram cię na twój własny pogrzeb. W końcu zmartwychwstaniesz. Jak już będzie po wszystkim, do raju trafisz, zobaczysz. A teraz koniec kwękania! Wyprostuj się! Cyc do przodu! Nogi w szpile!

– Za wysokie... – Z trudem zginając stopę, Marta wciskała halluksy w lakierowaną skórę. – To bez sensu. Boli! – Złapała się za upchany w gorsecie kręgosłup. – Niczego nie zmienię ciuchami ani obcasami. On do mnie nie wróci.

– I dobrze! Odcięłaś cegłę od szyi. Nie rozumiem, czemu ryczysz.

– Bo go kochaaaam! – Atak płaczu połączony ze sznurkami gorsetu omal jej nie zabił. – Zdejmij mi to! Zwymiotuję!

Demony chwyciły za gardło: wyła, krzyczała, bluźniła, rzucała butami, a gdy wreszcie zabrakło jej tchu, przycichła i popadła w otępienie: beznamiętnym głosem zapewniała, że zadba o każdy detal stylizacji, i przyrzekła, że na rozprawie godnie zaprezentuje uciśnione – przez facetów i bieliznę – kobiety.

Kiedy nadszedł sądny dzień i spotkały się pod drzwiami okazałego gmachu, liczyła na pochwały.

– Oczko ci poszło... – Jolka ani myślała chwalić przyjaciółkę.

– Mam to w nosie!

– A ja nie. Prędeż bombę tu podłożę, niż pozwolę, żebyś się rozwodziła z oczkiem.

– Z mężem się rozwodzę, nie z oczkiem.

– Wzięłaś zapasową parę? – Widząc nadciągające łzy, Jolka złapała ją za ramiona i mocno potrząsnęła.

– Nie rycz! Za rogiem jest kiosk. Polecę, kupię. Zdążysz się przebrać.

– Nie przebiorę się! Przez ten pieprzony beton przestałam się zginać w pasie!

– Doceń, zamiast wyklinać. Może pieprzony beton w końcu cię wyprostuje? Dość się w życiu nazginałaś! – Mrugnęła do przyjaciółki, posłała jej całusa i pobiegła. Wróciła błyskawicznie, machając płaskimi kartonikami. – Mam! Trochę ciemnawe, ale trudno. Grunt, że bez dziur. Na wszelki wypadek wzięłam trzy pary. Ławki pewnie drewniane, o następną katastrofę nietrudno... Idziemy!

– Nie wejdę. – Marta zaparła się przed dębowym skrzydłem drzwi jak dzieciak pod gabinetem dentystycznym. – Nie wejdę do tego budynku... – Skrzywiła usta w podkówkę.

– Kobieto, odczep się od budynku! Wiesz, że właśnie tutaj rozwodzili się Doda i Radzio? Pomyśl! Masz farta. Ja żegnałam się z moim debilem na prawobrzeżu, w beznadziejnym szklanym pawilonie. – Jolka zadarła głowę i podziwiała architektoniczny rozmach, po czym spojrzała na zegarek. – Zobacz, która godzina! Spóźnisz się i twój leniwy wół natychmiast wykorzysta sytuację: „Proszę bardzo! W domu też się wiecznie spóźniała. Z kolacją co najmniej pięć minut, a z podaniem obiadu to nawet sześć albo

i siedem”.

– Dawaj te rajstopy! – Marta szarpnęła klamkę ciężkich drzwi. – Poszukajmy toalety...

Stojąc za barierką, płonęła z upokorzenia. Niby gorset – cztery razy droższy od dwa razy mniejszej kiecki – niby szpile i rajstopy bez oczka, a czuła się publicznie obnażona, kiedy zmuszono ją do opowiadania ze szczegółami o dowodach ofiarności i oddania rodzinie.

Na pierwszy ogień poszła dieta antycholesterolowa: indyk w jogurcie, biodynamiczne buraczki, ksylitol, mielone z kurczaka i z warzyw rosołowych, ciasto na siemieniu i na otrębach, zioła uprawiane w korytkach, krew płynąca po tarce, godziny spędzone między kuchnią a sklepami ze zdrową żywnością...

Gdy się już wyzaliła na swój ciężki los, opowiedziała o wysokooktanowych kebabach i trujących hot dogach podjadanych na stacjach CPN.

– Wysoki sędzie, proszę o pozwolenie na zadanie pozwanej kilku pytań. – Adwokatka Roberta wstała i uprzejmie skinęła głową w kierunku sędziny.

– W tej chwili?

– Moje pytania są bezpośrednio związane z tym, co przed chwilą usłyszeliśmy.

– Wyrażam zgodę. – Sędzina odpowiedziała podobnym skinieniem.

Gdy miesiąc wcześniej Marta dostała stosowne papiery, ucieszyła się, że sprawa trafi pod młotek kobiety – solidarność jajników gwarantowana! A tu proszę: zdrada na całej linii. Sędzina przypominała zimnego sfinksa – aż się miało ochotę odstrzelić jej nos.

Zimną Sfinksicę jeszcze by zdzierzyła, ale żeby Roberta reprezentowała kobieta?! A była pewna, że mąż wynajmie adwokata podobnego do siebie – starego leniwego dziada.

– Czy uważa pani, że powód jest osobnym, niezależnym człowiekiem? – zapytało młode dziewczę.

– Do czego powód?

– Powód, czyli pani małżonek.

– Robert?

– Tak. Chodzi o pana Roberta Gawrońskiego – potwierdziło dziewczę z uśmiechem. – Pytam, czy według pani może on stanowić o własnym istnieniu.

– Oczywiście.

– Dlaczego zatem narzuciła pani niezależnemu człowiekowi własną dietę? Na mocy czego?

– Na mocy wyników badań! I to nie była „moja” dieta! – Woląla jednak gadać ze Sfinksicą, więc zwróciła się tylko do niej. – Gdyby wiedziała pani, że mężowi grozi miażdżycy, to co? Pozwoliłaby mu pani jeść hot dogi?!

– Proszę zachować spokój i mówić wyłącznie o sobie. – Jajniki ewidentnie uległy wycięciu; nie było co liczyć na żadną solidarność. – A na przyszłość zwracać się do sądu: „wysoki sędzie”.

– Przepraszam... – Chętnie wyrzygałaby się na obie prawniczki.

Ciekawe, co porabiają, gdy już wrócą do domu? Pewno nawet nie wiedzą, gdzie jest kuchnia, a do sprzątania mają gosposię. Spędziłyby parę dni z Robe... z powodem i z jego synalkiem, od razu inaczej by zaśpiewały: cieniutko i wysoko – jak przystało na wysoki sąd.

– Kontynuujemy rozprawę. – Jedna z drugą ponownie wymieniły ukłony.

Skąd one się urwały? Co to za język?!

– Wracając do pytania... – Dziewczę w todze wciąż uśmiechało się dyplomatycznie. – Dlaczego uznała pani, że ma prawo dowolnie kierować moim klientem, ustawiać mu priorytety, zaszczepiać pożądane przez siebie zachowania?

– Że niby ja nim kierowałam, jak mi się podobało? – Marta wytrzeszczyła oczy. – Ja? Nim? Dobre



sobie!

– Usiłowała pani zmienić jego myślenie o stylu i jakości życia oraz narzuciła mężowi...

– Sprzeciw, wysoki sędzie. Zdaje się, że moja szanowna koleżanka błędnie interpretuje fakty – odezwała się obrończyni Marty. – Czy mogę wyjaśnić, że mija się z prawdą?

– Proszę – zgodziła się Sfinksica. – Ale krótko.

– Wysoki sędzie, pozwana ani nie manipulowała mężem, ani nie ingerowała w jego autonomię. Niedorzecznością jest twierdzenie, iż swoją dietą pragnęła pozbawiać go niezależności. Jedynym celem pozwanej było poprawienie stanu zdrowia ukochanej osoby. Być może jej reakcje wydają się nazbyt impulsywne, jednak proszę wysoki sąd o wyrozumiałość. Jako oddana i wierna żona dbała o dobro rodziny, powód zaś dziesiątki lat korzystał z troskliwej opieki, nie upatrując w niej zamachu na swoją suwerenność. Moja klientka nie rozumie zatem nagłej zmiany jego stanowiska...

– No właśnie! – Marta zgadzała się głównie z tym, że „nie rozumie”. Po jakimu one gadają?! Zamach na suwerenność? Pogwałcona niezależność?

Kiedy ktoś tu pomyśli o jej autonomii, którą Robert z Dominikiem gwałcili, kiedy im się podobało? Wykrzyczałaby chętnie prawdę o swym zniewoleniu, ale poczuła na ramieniu stalowy uścisk adwokatkki.

Dostała na nią namiar od Jolki. Przyjaciółka zachwalała prawniczkę, że wygrywa większość spraw rozwodowych. Podbudowana optymistyczną rekomendacją, szła na pierwsze spotkanie pełna radości i dobrych nadziei, ale szybko spuściła z tonu.

– Byłoby dobrze, gdyby zdecydowała się pani na rozstanie za porozumieniem stron. Zaoszczędzimy w ten sposób nie tylko czas i pieniądze, ale przede wszystkim nerwy. – Kobieta, mniej więcej w wieku Marty, długo opowiadała o zaletach rozvodu bez orzekania o winie.

– Wolne żarty! Ani mi się śni na cokolwiek zgadzać! Wina jest oczywista! Kto kogo zostawił? Ja jego? Czy on mnie? Kto sobie znalazł kogoś nowego? Ja? Czy on? Wszystko proste i jasne jak słońce!

– W opinii sądu nic nie będzie ani proste, ani jasne. Jeśli odrzucimy ofertę złożoną przez pani męża, czeka nas seria rozpraw. Usłyszymy nieprzyjemne oskarżenia i zeznania bliskich pani osób, które poświadczą, że przyłożyła się pani do rozpadu małżeństwa. Nie raz, nie dwa zabolę do żywego... – Kobieta smętnie pokiwała głową. – Porozumienie stron uchroni nas od przykrości, skróci rozwód o kilka miesięcy, a może lat. Dobrze też skorzystać z pomocy mediatora, ale i na tę propozycję męża się pani nie zgodziła. Dlaczego?

– Chyba źle trafiłam. Przepraszam, że zajęłam czas... – Marta wstała. – Chłop mnie zostawił, a każą mi przyznać, że ja jestem temu winna. Świat zwariował... Oczywiście! Jestem winna, bo mu dupę ptasim mlekiem smarowałam i po szpitalach woziłam dwanaście razy w roku... – Zarzuciła na ramię torebkę. – ...żeby dwanaście! Dwadzieścia cztery, albo i czterdzieści osiem! Proszę wybaczyć, ale... – Ruszyła do drzwi, próbując trafić rozdygotanymi dłońmi w rękawy płaszcza.

– Pani Marto, spokojnie... – Prawniczka wskazała jej krzesło. – Ja tylko przedstawiam najkorzystniejsze dla nas rozwiązania. Zechce pani usiąść i porozmawiać rozsądnie?

– Od początku rozmawiam rozsądnie!

– Niestety, nie. Brakuje pani dystansu. Taką postawą skazuje się pani na przegraną. Bez zmiany retoryki nie ma pani szans w starciu z mężem. A raczej z jego adwokatem...

– On znajdzie jakiegoś adwokata? Przecież nikt go nie wybroni.

– Powiem brutalnie: ja bym go dzisiaj wybroniła. W ciągu jednej rozprawy bym udowodniła, że jest pani niezrównowazona psychicznie i stanowi bezpośrednie zagrożenie dla jego życia.

– Pani jest bezczelna! – Marta postanowiła jeszcze dziś wieczorem zabić Jolkę za namiar na tę babę. – I bezlitosna!

– Bezcelne jest prawo, a bezlitosny jest sąd. Od godziny staram się pani uświadomić nasze położenie, ale zamiast współpracy widzę jedynie dziecinny bunt. Zechce pani usiąść? – Prawniczka kolejny raz wskazała krzesło po drugiej stronie biurka. – I razem z płaszczem odwiesić swoje emocje? Postaram się zarysować pani wszelkie aspekty sprawy. Potem przedyskutujemy ten, który uznamy za najważniejszy.

– Jeśli mamy dalej rozmawiać, proszę nie nazywać mnie dzieckiem, dobrze? – Z oporami wróciła na miejsce. – Od ponad dwudziestu lat wychowuję dwójkę dzieci. A urodziłam tylko jedno.

– Niech więc pani o tym opowie. Muszę wiedzieć wszystko od momentu, gdy poznała pani męża, aż po dzień dzisiejszy. Ważny jest każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.

Przegadały ponad godzinę – jedna prowokowała treść ewentualnych pytań ze strony sądu, a druga burkliwie odpowiadała, wplatając w swoje wypowiedzi liczne przekleństwa.

– Pani Marto, obawiam się, że rozprawa z orzekaniem o winie nie jest dla pani. Może jeszcze raz zastanowimy się nad porozumieniem stron?

– Cholera jasna! Czy tak trudno zrozumieć, że nie chcę żadnego porozumienia i żadnych mediacji? Ja chcę wojny!

– A jeśli przegramy?

– Nie szkodzi. Wystarczy mi satysfakcja, że krwi mu napsuję!

– A jeśli to on napsuje pani krwi?

– Kobieto! Ja się już niczego nie boję. Co on mi może jeszcze zrobić?

– Oj, może. Uprzedzałam, co nas czeka, jeśli nie pójdziemy na ugodę.

– Jakie „nas”? Jakie „my”? Ja się rozwodzę, a nie pani! – Marta wzięła się pod boki. – Albo ucinamy jałowe gadanie i się żegnamy, albo siadamy i planujemy wojnę!

– Skoro odrzuca pani pokojowe rozwiązania... – westchnęła prawniczka. Jej rozjuszona klientka nie zdawała sobie sprawy, że to ona, a nie jej mąż, stanowi największe zagrożenie dla zwycięstwa.

Z drugiej strony rozumiała ją. Rozumiała ból i gniew podsycany zazdrością – już nie o samego męża, lecz o jego szczęście – o jego radość, opłaconą jej łzami. Taka mieszanka złych emocji zaślepi nawet sokoła, a co dopiero porzuconą kobietę.

Wiele podobnych żon gościła w kancelarii, ale mimo długiego stażu pracy nigdy nie spotkała równie zdesperowanej krzykaczki. Może dlatego, że żadna z dotychczasowych klientek nie robiła w domu za darmową służącą? W przeciwieństwie do tej dzisiejszej, która niby drze gębę od ucha do ucha i wciąż się rzuca, a ponoć dwadzieścia lat była cichą kucharką, potulną pokojówką i garderobianą, i nadworną „spełniaczką” męskich zachcianek. Coś się tu nie zgadzało, coś zgrzytało...

Czujny prawniczy nos nakazywał mieć się na baczności i odpowiednio przygotować wojenną strategię.

– Pani Marto, zaklinam! Na sali rozpraw nie podnosimy głosu. Pod żadnym pozorem nie wolno krzyżeć, bo zrazimy tym sąd. Cały czas panujemy nad emocjami: mówimy rzeczowo, nie stroimy min, nie pryhamy, nie parskamy, nie komentujemy... – Prawniczka zacisnęła palce na jej ramieniu. – Umówmy się, że kiedy tak mocno panią złapię, pani natychmiast milknie.

– Postaram się, cho...

– Ściskam i cisza! – Nie dość, że zaczęła miażdżyć obojczyk, to przebiła się paznokciami przez oczka wełnianego swetra. – Jeśli nie pasuje, przeprośmy się wzajemnie za zabieranie czasu i pożegnajmy raz na zawsze.

– Postaram się. Ale nie gwarantuję, czy dam radę wytrzy... Auć! – Marta uwolniła plecy z imadła. – Dobra. Już milczę.

RACJA JEST JAK DUPA,  
KAŻDY MA SWOJĄ.

(Józef Piłsudski)

– Zgódźmy się z przeciwną stroną, która zarzuca nam wygłaszanie niedorzeczności. Przyjmijmy, iż pozwana troszczyła się o rodzinę, a narzucona gwałtem dieta wynikała wyłącznie z troski o męża. Założmy, że wszelkim jej posunięciom przyświecał szczytny cel. Uznajmy za prawdziwe stwierdzenie, iż latami tkwiła przy małżonku, choć ten w zamian ją ciemnił domowymi obowiązkami, nie pomagając i traktując jak służącą... – Dziewczę na jednym oddechu przeszło do natarcia: – Proszę w takim razie o wyjaśnienie, dlaczego oddana kobieta, gdy mąż odmawia spożywania posiłku, przystawia mu nóż do gardła i grozi: „Nie zabije cię miazdźcyca. Ja to zrobię, idioto skończony”. – Wskazała Martę i zaatakowała jeszcze ostrzej: – Jak to możliwe, by ta tłamszona ponoć kobieta bezpardonowo kopała męża, bo ośmielił się przynieść do domu nowy telewizor? – Rozłożyła ręce i ze zdumieniem popatrzyła na Sfinksicę. – Czy podobnych słów i czynów dopuszcza się kochająca żona? Czy na takie zachowania pozwala sobie uciemieżona służąca? Kto w domu państwa Gawrońskich był naprawdę nieszanowany? Pozostawiam ocenę wysokiemu sądowi. – Adwokatka przywołała na twarz uprzejmy uśmiech. – Nie mam więcej pytań. Dziękuję.

– Co na to strona przeciwna? Czy podobne fakty miały miejsce? Czy pozwana rzeczywiście dopuściła się przemocy fizycznej wobec małżonka?

– To cyrk, a nie sąd! – Marta poderwała się z ławki, zanim dyscyplinujące imadło zdążyło zmiażdżyć jej ramię. – Ja go nigdy nie kopałam. Może tylko lekko kapciem wtedy szturchnęłam, ale tak dla żartu...

– Uważa pani, że szturchanie kapciem mogło się wydać mężowi zabawne? – zapytała Sfinksica beznamiętnym głosem.

– Wyrwacie z kontekstu przypadkowe sytuacje! Lodówka się nagle popsukała, to go wysłałam po nową. Pojechał, a ja w tym czasie rozmroziłam starą. Do tego całą kuchnię umyłam, zabezpieczyłam jedzenie, żeby się nie popsukało, i mało nie umarłam ze zmartwienia, że coś mu się stało, bo nie wracał i nie wracał... – wyjaśniała chaotycznie. – Ciasto poszło do śmieci, bo z pianką jagodową... to przecież nie zmieszczę blachy na parapiecie ani w termos nie wsadzę, a on wciąż nie wracał i nie wracał...

– Nie rozumiem, o jakiej lodówce pani mówi – przerwała jej sędzina.

– Tej od telewizora! Znaczy zamiast telewizora. To znaczy... – Ponownie zamilkła na widok wyciągniętej dłoni wysokiego sądu.

– Proszę, by odpowiedziała pani w jasny i precyzyjny sposób. Po pierwsze, czy powód kiedykolwiek zwrócił się do pani obraźliwymi słowami, na przykład „ty idiotko”? – Sfinksica mówiła nienaturalnie wolno. – A po drugie, czy powód kiedykolwiek, tak tylko dla żartów, szturchnął panią kapciem?

– Całe życie mnie szturchał! Może nie kapciem, ale nie trzeba kapcia, żeby szturchnąć! Jak się chce psa uderzyć, kij zawsze się znajdzie!

– Proszę o konkretną odpowiedź. Czy mąż kiedykolwiek nazwał panią idiotką bądź szturchnął panią

w sensie dosłownym, fizycznym?

– Nie! – burknęła Marta po namyśle.

– Wysoki sędzie. – Jej obrończyni wstała z ławki. – Jak wszyscy widzimy, powód siedzi na sali cały i zdrowy. Zaznaczam, że siedzi wygodnie... – Wskazała w odpowiednim kierunku. – Nie dostrzegam również na jego szyi śladów po podrzynaniu gardła. Pozwalam sobie zatem podtrzymać opinię na temat wygłaszanych wcześniej niedorzeczności. Rozumiem irytację mojej klientki. Według mnie potrzebuje ona czasu, by nabrać dystansu oraz przygotować się do właściwej odpowiedzi na zaskakujące zarzuty. Dlatego proszę o zamknięcie rozprawy w dniu dzisiejszym i wyznaczenie kolejnego terminu.

– Strona przeciwna się zgadza?

– Tak. Od początku do końca będziemy wykazywać dobrą wolę i szukać porozumienia.

– Odraczam rozprawę. Strony zostaną powiadomione o nowym terminie. – Gdy Sfinksica dźwigała się z krzesła, sędziowski łańcuch rozbujał się tak, że wiszący na nim orzeł przywalił łbem w kant stołu. Marta miała ochotę zrobić to samo.

„Wykazujemy dobrą wolę i szukamy porozumienia”?

Ludzie! Czy wyście powariowali?!

– To, co pani zrobiła, jest karygodne.

– Cóż takiego zrobiłam? Karygodne jest to, co tam się działo! Mało mnie szlag nie trafił!

– Możemy na chwilę usiąść i porozmawiać? – Obrończyni wskazała ławkę schowaną w zakamarkach pustego korytarza.

– Dobrze. Ale... – Marta rozejrzała się dookoła. – Przyjaciółka na mnie czeka... Najważniejszy świadek... – Szukała rozbieganym wzrokiem Jolki. – Pewnie na kawę poszła. Zaraz zadzwonię. Nie uwierzy, co za cyrk urządzili...

– Proszę nie dzwonić. Porozmawiamy w cztery oczy.

Marta potulnie schowała telefon i ruszyła w zaciszny kąt ogromnego holu.

– Słucham. Że się trochę uniosłam? Na moim miejscu nawet święta Teresa by się wściekła.

– Wrócimy do tego. – Adwokatka machnęła ręką. – Teraz ważniejsze są fakty, które pani przede mną ukryła. Prosiłam o szczerłość. Przestrzegałam, że nie będą się z nami patyczkować, dlatego muszę znać każdy szczegół. Jeżeli nadal będzie pani grać nieczysto, zginiemy w tej wojnie. Z pani winy przegrałyśmy pierwszą bitwę.

– Zaraz odwiozą mnie do wariatkowa. To chyba jedyne wyjście, nie? Skoro oszukuję ludzi, podrzynam im gardła, ukrywam fakty... Boże! Za co ta kara? – Marta mówiła z coraz większym trudem. – Czemu każdy na mnie pluje? Każdy obwinia, o co mu się podoba... – Gorset wypychał wnętrzności do góry, a wyobraźnia niespodziewanie podsunęła obrazek wymiotowania jelitami. – Ile jeszcze wytrzymam? Ile... – Wystraszyła się własnego bełkotu. Miała wrażenie, że język spuchł do rozmiarów krowiego ozora, a drgające szczęki za chwilę go odgryzą. Zaliczyła pierwszy atak histerycznego płaczu i duszącego lęku, które wkrótce stały się nieodłączną częścią jej życia.

– Przepraszam... – Po kilku minutach wydmuchała nos. – Już w porządku! – Cieszyła się, że szybko pokonała napad słabości. Nie wiedziała, że za nim przyjdą następne: coraz silniejsze i dłuższe. – Straciłam fason, z nerwów pewnie... Ale już się pozbierałam! – Hardo zadarła podbródek. – Dlaczego uważa pani, że przeze mnie przegrałyśmy bitwę? Co ja zrobiłam? I w czym niby panią oszukałam?

– Na pewno wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Śmiało!

– Pani Marto... Naprawdę szturchała pani męża kapciem i wygrażała mu nożem? Gdybym o tym wiedziała, potrafiłabym odpowiednio zareagować i jakoś nas wybronić. Nie wolno ukrywać przede mną takich rzeczy.

– Niczego przed panią nie ukrywam, ale jak mam odtworzyć na zawołanie każdy szczegół? Przez dwadzieścia lat tyle zwałało mi się na głowę... Gdybym wiedziała, że czeka mnie rozwód, pisałabym pamiętnik albo kamery w domu zamontowała... – westchnęła żałośnie. – Czemu nikt mi nie wierzy? Nawet pani. Niech mi ktoś wytłumaczy, co oni tam ze mną zrobili?

– Na pewno jesteśmy gotowe do rzeczowej rozmowy?

– Tak.

– Po pierwsze, wierzę pani i chciałabym, żeby pani mi wierzyła. Zgoda?

– Zgoda.

– Po drugie, oprócz kapci i noża było coś jeszcze?

– Absolutnie nic! – zapewniła, ale po chwili mina jej zrzedła. – Znaczy... Nie wiem. Nie pamiętam... Normalnie, jak to w małżeństwie... Ale nie podrzynałam mu gardła! – parsknęła szyderczo. – Szok! Tłumaczę się z niepodrzynania gardła? Nie do wiary!

– Proszę sobie przypomnieć wszelkie, nawet najdrobniejsze utarczki. Towarzyszące im zachowania, wymiany zdań.

– Jakim cudem?! To było prawdziwe życie, a nie sztuka teatralna z wyuczonymi kwestiami, które mogę w każdej chwili powtórzyć! Trudno, żebym zapamiętała wszystko, co mówiłam i robiłam. Przez skończonego debila byłam bez przerwy wkur...

– Stop! – Prawniczka boleśnie ścisnęła jej obojczyk. – Po trzecie, nie wygramy ani takim językiem, ani wybuchami złości. Widziała pani zachowanie męża na sali rozpraw?

– Nie! W ogóle nie patrzyłam w jego stronę! I nigdy nie spojrzę!

– A słyszała go pani?

– Nie!

– No właśnie. On współpracuje z wymiarem sprawiedliwości.

– Chyba wymiarem niesprawiedliwości?!

– Mniejsza z tym. Ale grunt, że sprytnie schował się za plecami prawniczki i udaje baranka, który gładzi grzechy świata. Złoty chłopak.

– Czyli zauważyła pani jego wredność? – Marta wreszcie spojrzała na siedzącą obok kobietę jak na sojusznika. – Chce pani posłuchać historii o lodówce i telewizorze?

– Chcę wiedzieć wszystko. O lodówce, telewizorze... Chociaż obawiam się, że sąd już nie wróci do tego tematu. Podejrzewam natomiast kolejne pułapki zastawiane przez obronę męża. Sprawdziłam ją. Młoda gniewna wilczyca z prestiżowej szczecińskiej kancelarii. Osobiście znam jej szefa – wyleje dziewczynę na zbity pysk za najmniejszy błąd. Mamy więc zdesperowanego przeciwnika: ze skóry wylezie, żeby się wykazać. Będzie ostro kąsać. Dlatego bardzo proszę o wytężenie pamięci. Drugi raz nie mogę się znaleźć w równie niezręcznej sytuacji. Poza tym sąd nie zgodzi się na kolejne odraczenie rozpraw. Dzisiaj był dla nas wyjątkowo życzliwy. Aż się zdziwiłam, że tak gładko poszło.

– Naprawdę nie umiem niczego odtworzyć. – Marta przygryzła wargi. – Przykro mi. Rozsadzało ją poczucie nieuzasadnionej krzywdy i poniżenia.

– W porządku. Proszę teraz nie dręczyć pamięci. Umówmy się, że dziś i jutro odpoczywamy, pojutrze myślimy i mobilizujemy szare komórki, a w poniedziałek spotykamy się u mnie w biurze. Ale mam jedno ważne pytanie, na które muszę znać odpowiedź już teraz. Bezwzględnie prawdziwą.

– Słucham.

– Czy stosowała pani wobec męża przemoc fizyczną?

– Nie rozumiem. Chodzi o... czy go biłam?

– Tak.

– Pani też jestnienormalna?! Jak tamci? – Kiwnęła w stronę sali rozpraw. – Kto dał wam prawo

traktować ludzi w ten sposób? Co wy macie zamiast serca i mózgu?!

– Znowu pani podnosi głos, a uprzedzałam, że to działa przeciwko nam. Krzyk świadczy o braku samokontroli, o tym, że człowiek nie panuje nad emocjami. Agresja werbalna jest poważnym przewinieniem. Statystyki dowodzą, że pomiędzy agresją werbalną a fizyczną przebiega bardzo cienka granica, przed którą trudno się zatrzymać. – Uśmiechnęła się. – Brawo! Wysłuchała mnie pani do końca bez krzyku i wyzwisk.

– Bo mnie zatkało – wyznała Marta, zgodnie z prawdą. – A potem się zorientowałam, że przedrzeźnia pani tę wredną sukę bez jajników.

– Znowu to samo... – Kobieta rozpięła górę adwokackiej togi, by udręczone ciało łyknęło trochę świeżego powietrza. – To nie jest żadna su... To jest wysoki sąd.

– Wielce mi wysoki! Metr pięćdziesiąt na obcasach! Idzie i łańcuchem po ziemi ciągnie. Kurę powinna na końcu zawiesić zamiast orła!

– Na litość boską!

– No co? – Marta wściekle wzruszyła ramionami. – Naprawdę nie dostrzega pani, że to jedna wielka komedia? A raczej tragikomedia? Albo farsa? Chociaż w sumie cyrk chyba przypomina... – Machnęła ręką na poszukiwania sztuki, którą dałoby się porównać z tym, co przed chwilą przeżyła. – Karmicie się nawzajem ukłonami, grzecznymi słówkami: „Dziękuję bardzo. Proszę bardzo”... Niby taka kultura, nie? – Cmoknęła z udawanym zachwytem. – A w rzeczywistości stado ślepych i bezdusznych sępów! Siedzicie w tym gmaszysku i tylko czekacie, by rozszarpać każdego, kto przekroczy próg. Oczywiście przedtem uprzejmie zapytacie: „Co na to strona przeciwna? Rozszarpujemy na miejscu czy na wynos?”.

– Pani Marto...

– Teraz ja! – Wbiła paznokcie w togę. – Oświadczam, że nigdy nie stosowałam przemocy fizycznej wobec tego... tego... tego powoda! Chociaż teraz żałuję, bo powinnam go zabić, a nie tylko bić. Zamiast bić i zabić, tyrałam jak koń! Dogadzałam, rozpieszczałam, woziłam po lekarzach, znosiłam hipochondrię, dbałam o niego! Bałam się na przykład, że ten skończony... Że powód skończony, nim dolezie do końca drabiny, spadnie i rozbije sobie głowę. Dlatego sama malowałam sufity, chociaż kręgosłup napierdalał mnie potem trzy dni! – Na grymas dezaprobaty zareagowała mocniejszym ściśnięciem szacownego prawniczego obojczyka. – Przepraszam, wysoki sądzie, ale nie da się tego inaczej powiedzieć! Kręgosłup boli mnie bez przerwy, natomiast przez tamte trzy dni mnie na-pier-da-ła! – dobitnie wyskandowała przekleństwo. – A ten skończony... powód w tym czasie oglądał mecz! Po meczu przyszedł do kuchni i wybrzydzał, że na kolację kanapki. Powód nie lubi kanapek. W ogóle nie lubi niczego na zimno. Każdy posiłek, czy rano, czy w nocy, ma być na ciepło! Podawałam trzy obiady na dobę, a teraz się okazuje, że go biłam, poniżałam, podryzałam mu gardło... Cyrk! – Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. – Nikt nie widzi, że to on jest winny? Znalazł nową babę i mnie zostawił. Powinniście mi współczuć, a wy się nade mną pastwicie i podejrzewacie o przemoc. Cyrk! I to nie ja za kłowna w nim robię!

– Mogę już się odezwać? – Obrończyni zerknęła na wpijające się w nią paznokcie.

– Jasne. – Zabrała paznokcie. – Pod warunkiem że wreszcie usłyszę coś mądrego.

– Pani Marto, doskonale rozumiem pani emocje. Porozmawiamy sobie o tym szczegółowo w poniedziałek, u mnie w kancelarii. – Rozpięła togę i wachlowała się obiema połamiami. – Trzeba oswoić się z faktem, że istnieją ogromne różnice między pani punktem widzenia i punktem widzenia sądu.

– Jakże?

– Odpocznijmy przez weekend...

– Jakże?

– Wyjaśnię w poniedziałek.

– Nie wytrzymam do poniedziałku! Głowę i serce mi rozsadzi. Co to za fakty, że mam się oswoić z punktem widzenia sądu? Czy jakoś tak... Boże! Po jakimu wy gadacie? Życie jest proste, a wy bez sensu je gmatwacie! Odraczacie do poniedziałku, z ofiary robicie kata... – Marta ledwo panowała nad nerwami. – Wał, kochana! Gdzie te ogromne różnice między mną i sądem? I nie oszczędzaj mnie.

– Skoro tak... – Prawniczka wstała, zdjęła togę i przerzuciła ją przez oparcie ławki. Marta żałowała, że nie może zrobić tego samego z przeklętym gorsetem. Postanowiła go spalić, gdy wróci do domu. – Chciałam wyjaśnić to w poniedziałek, u mnie w kancelarii, kiedy opadną emocje, ale... – Uśmiechnęła się. – No to słuchaj, kochana...

– Przepraszam, że na „ty” do pani powiedziałam – dopiero teraz zmitygowała się Marta.

– Okej, mówmy sobie po imieniu. Może tak będzie lepiej? Klaudia jestem. – Po szybkiej wymianie uprzejmości równie szybko wróciła do sedna. – Jeśli mamy wygrać wojnę, musisz zrozumieć podstawową kwestię.

– Mianowicie?

– Sąd skupia się zupełnie na czymś innym niż ty.

– Mianowicie?

– Sąd skupia się na przyczynach, a ty na skutkach.

– Według mnie przyczyną jest to, że mój mąż znalazł sobie nową babę, a skutkiem jest rozwód. Coś pomyliłam?

– Zasadniczo.

– Bo?

– Bo to, że twój mąż znalazł sobie nową babę, w opinii sądu jest skutkiem, a nie przyczyną. Natomiast sprawa rozwodowa zmierza do ustalenia przyczyn. Rozumiesz już? – Oczy Klaudii błagały o potwierdzenie.

– Chwila. Daj pomyśleć... – Trudno było ogarnąć pokrętną logikę. – Czyli we mnie będą szukać przyczyn? Że niby przeze mnie on znalazł nową babę? Taka byłam okropna, że nie miał wyjścia? Sama go wepchnęłam w jej łapy?

– Wreszcie pojęłaś!

– Zdradził mnie przeze mnie? I mnie przeze mnie zostawił? To znaczy... zostawił mnie przeze mnie? – Zaplątała się w tym jednym zaimku.

– Właśnie.

– Niby rozumiem, ale dopiero teraz naprawdę zgłupiałam. Czyli jestem główną podejrzaną o ten rozwód? – upewniała się. – A że on znalazł sobie inną, nie ma dla sądu znaczenia?

– Mhm. Mniej więcej tak to wygląda. – Klaudia obawiała się kolejnego napadu łez i wyzwisk, ale jej klientka siedziała cicho i tarła w zadumie czoło.

– Zobacz... – odezwała się po długim milczeniu. – Czyli faktycznie, prawda jest jak dupa, każdy ma swoją?

– Nie. Prawda jest jedna. To punkt widzenia jest jak dupa.

INTELLIGENTNI LUDZIE  
SĄ CZĘSTO ZMUSZANI DO PICIA,  
BY BEZKONFLIKTOWO SPĘDZAĆ CZAS  
Z IDIOTAMI.

(Ernest Hemingway)

– Nienawidzę czapek! Z wzajemnością... – Elwira, ledwo weszła, stanęła przed lustrem; jedną ręką unosiła grzywkę, a drugą tarła zaczerwienione czoło. – Jakąkolwiek francę bym włożyła, każda mnie gryzie.

– Też je zacznij gryźć. Może odpuszczą? – Magda padła na łóżko w kurtce i zapiaszczonych butach. – Podobno u psów i wilków ta metoda się sprawdza.

– Nie jestem psem.

– Ale za to suka z ciebie niezła! – Wybuch śmiechu usłyszał zapewne cały hotel.

– Czapka z Kołbaskowa na pewno by mnie nie pogryzła... – Poczochrawszy grzywkę, Elwira dokonywała oględzin reszty twarzy. – Mogłam ją jednak kupić.

– O czym mówisz?

– Parę dni przed naszym wyjazdem byłam w sklepie sportowym...

– Ty? W sportowym? Drzwi pomyliłaś czy przed burzą uciekałaś?

– Córca potrzebowała adidasów, ale nie znalazła w Szczecinie odpowiednich. Musiałyśmy jechać pod Kołbaskowo, do molochów. Wiesz gdzie...? – Zaczęła naciągać skórę: raz na boki, a raz w górę i w dół.

– Młoda przymierzała buty, a ja, żeby mnie szlag nie trafił, przymierzałam czapki. Znalazłam jedną, w której nieźle wyglądałam. Od wewnątrz polar, od zewnątrz kilka haftów i bogaty pompon na czubku.

– Pompon? – Magda zachichotała. – Otwory na kitki i kokardy też były?

– Spadaj! Dobijam pięćdziesiątki, to mam się zawinąć w prześcieradło i turlać w stronę cmentarza? – Elwira westchnęła, odwróciła się od lustra i dołączyła do koleżanek na łóżku. – A tamta czapka... Naprawdę, jak dla mnie szyta.

– Dlaczego nie kupiłaś?

– Bo kosztowała dwieście czterdzieści dziewięć złotych. Po przecenie z czterystu dwudziestu dziewięciu. Super, nie? Postanowiłam więc kupić czapkę w wielobranżowym za rogiem. Dałam dziewięć złotych. Po przecenie z dwudziestu.

Spoglądały co jakiś czas na łóżko przy oknie. Były pewne, że Marta udaje głęboki sen. Donośną rozmową i śmiechem obudziłyby nieboszczyka, ale ona, odwrócona do nich plecami, leżała nieruchomo.

Ani myślały sprawdzać, czy żyje.

Żałowały, że zgodziły się zabrać ją do Kołobrzegu. Uległy namowom Jolki – tygodniami wierciła im dziurę w brzuchu opowieściami o tragicznym losie przyjaciółki i jej kiepskim stanie psychicznym.

Magda z Elwirą nie dostrzegały w losie porzuconej żony ani tragedii, ani katastrofy. Zaliczyły niejedną rozwód i życiowy zawód – kula ziemską się z tego powodu nie rozleciała, a one żyły dalej: parły do



przodu bez zadreczania ludzi żalobą.

Szybko przekonały się, że ich obawy były uzasadnione. Rozdygotaną, szlochającą i przewrażliwioną na swoim punkcie babę już w pierwszym dniu ochrzciły Jęczącą Martą, na cześć bohaterki z *Harry'ego Pottera*. Obmyśliły nawet niecny plan, by ją przenieść z pokoju do łazienki, żeby mogła tam straszyć lub rzucić się w czeluść muszli klozetowej, zamiast psuć im wyjazd.

Oczywiście Jolka nie miała pojęcia o tych złośliwościach – rozciągnęła ochronny parasol nad przyjaciółką, bez przerwy ją tłumaczyła i usprawiedliwiała zmienne humory.

– Idźcie do pokoju – zaordynowała po wypadzie na plażę. – Rozejrzę się za winkiem. Dziś ja stawiam. Powiedzcie Marcie, że zaraz wracam. Szkoda, że nie poszła z nami, co?

– No – przytaknęła zwięźle Magda.

– Szkoda – potwierdziła z przekąsem Elwira.

– Bądźcie dla niej miłe. Zrozumcie. Piekło przechodzi.

– Jasne! – zapewniły Jolkę, a gdy wyszła, pozwoliły sobie na kilka ironicznych uwag.

– Co obstawiasz na wejście?

– Jęcząca Marta z wypiętym na nas tyłkiem zalega w łóżku i udaje, że śpi. Założysz się?

– Dobra. Ale tylko o to! – Elwira wyciągnęła z kieszeni znalezione podczas spaceru dwie muszelki.

Zdziwiłyby się, wiedząc, jak bardzo ją irytują.

Nie chciała jechać do Kołobrzegu. Nigdzie nie chciała jechać. Wprawdzie po zakończonej niedawno terapii stanęła mocniej na nogach, ale wciąż zdarzały jej się gorsze dni. Dziś marzyła o łysej górze z platformą widokową na pełnię i z mikrofonem niosącym jej skowyt aż po księżyc.

Ale Jolka wierciła dziurę w brzuchu, opowiadała z entuzjazmem o koleżankach, które też są po przejściach, więc doborowe towarzystwo zadziała lepiej niż psychologiczne terapie. Znały się z pracy i zaliczyły już kilka wspólnych wyjazdów.

– To fajne dziewczyny. Każdego rozruszają. Nie możesz wciąż siedzieć i płakać. Musisz wyjść do ludzi, zapomnieć przynajmniej na chwilę... A one są do tańca i do rózańca. Zobacysz, będzie wesoło. Daj się namówić! To tylko trzy dni... – przekonywała. – Do tego hotel za śmieszne pieniądze. Magda jest mistrzynią internetowych okazji i to ona wynalazła dla nas świetną ofertę. Natomiast Elwira zapewnia transport. Zawsze jeździmy jej autem, bo nie nadaje się na pasażera; żaden kierowca nie wytrzymał z nią więcej niż piętnaście minut.

– Międzyzdroje pod nosem. Po co Kołobrzeg?

– Bo tam Magda wynalazła tę ofertę! Poza tym spokojna głowa: z Elwirą szybciej zajedziesz do Kołobrzegu niż ze mną do Międzyzdrojów. Na cztery za paliwo zapłacimy grosze, więc nie wydziwiaj!

– Ja się naprawdę do ludzi nie nadaję... – jęczała Marta.

– Nadajesz się! Jeśli będziesz chciała troszkę poryczeć, to pójdziesz sobie nad morze. W środku marca tak wieje na plaży, że wszystkim łyzy lecą strumieniami. Nikt nie zauważy, że ty akurat płaczesz z innego powodu... – „Jak byś miała po kim!”, dodała w duchu. – A potem wrócisz sobie do nas, do hotelu. Będziemy sobie gadać, pić winko do rana, nabijać się z facetów... Mówię ci! Magda i Elwira są w tym bezkonkurencyjne. Gwarantuję, że przez te trzy dni częściej poryczysz się ze śmiechu niż z żalu. – Złożyła błagalnie ręce. – Nie daj się prosić! Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób to dla mnie.

– Dla ciebie? – Marta spojrzała na przyjaciółkę ciepło. – Z tobą bym pojechała, ale one? Od pewnego czasu nie cierpię ludzi, bo muszę przed nimi udawać, że się trzymam, że mi wesoło... W ogóle wszystkiego nie cierpię! – zadeklarowała głosem smerfa Marudy. – Lepiej zostanę w Szczecinie. Przynajmniej nie popsuję Magdzie i Elwirze weekendu.

– One nie pozwolą ci niczego popsuć, nawet gdybyś bardzo się starała. Tyle przeszły, że posiadły już

ostatni szczebel wiedzy tajemnej: „przejmuj się sobą i własnymi dziećmi, a reszta świata niech sobie radzi”. Nie licz zatem, że będą cię pocieszać albo przytulać. O współczuciu również zapomnij... – uprzedzała lojalna Jola. – Ale dzięki temu nie musisz przed nimi niczego udawać i robić dobrej miny do złej gry. Mają to gdzieś.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście! W najgorszym przypadku cię oleją, gdybyś się mocno uparła na psucie im weekendu. Nie oskarżam ich o kompletną znieczulicę, chociaż... Gdyby powiedziały coś niemiłego albo dokuczyły, też się nie martw. Olej je i pamiętaj: masz się przejmować tylko sobą i Dominikiem, a reszta świata niech sobie radzi! – Kiwnęła głową. – No! Dość marudzenia o Kołobrzeg! Co ci szkodzi? To tylko trzy dni!

– Trzy dni chyba wytrzymam... I może one ze mną wytrzymają...

– Zobaczysz, pokochasz je! Fajne babki!

Wcale ich nie pokochała.

Trasa Szczecin–Kołobrzeg przypominała rajd Paryż–Dakar, pierwszy wieczór zaś potwierdził, że powinna zostać w domu. Pragnęła ciszy, spokoju i ukojenia nerwów, a one zachowywały się niczym dzikuski: wrzeszczały, rechotały z byle czego i nawet filmu nie dały spokojnie obejrzeć.

Hotel rzeczywiście był luksusowy. Na cztery gwiazdki składały się między innymi królewskie łoża przykryte złoto-czerwonymi kapami oraz gigantyczny telewizor zawieszony w sposób tak zmyślny, że ekran widać było z każdego miejsca. Mimo tych udogodnień trzy nimfy stłoczyły się na jednym łóżku, które szybko zmieniły w zalany winem i zasypyany chipsami chlew.

– Chodź! – Jolka machała do przyjaciółki. – Zobacz, ile miejsca. Zmieścimy się we cztery.

– Nie. Ja wolę dalej od telewizora i bliżej kaloryfera – odparła Marta, oparta na swoim łóżku o grzejnik. – Wygodnie mi tu.

– Ale sama siedzisz w kącie, jak sierota.

– Daj spokój! Nie kiwa się, czyli choroby sieroczej nie ma. Zwykła krótkowzroczność i słabsze krążenie. Jak tu przyjdzie, oślepnie i wpadnie w hipotermię. – Elwira obejrzała się na Martę. – Dobrze ci tam, sieroto boża?

– Dobrze.

– Wino masz?

– Mam. – Uniosła do góry pełny kieliszek.

– Żarcie masz?

– Mam. – Wskazała na leżącą obok miseczkę pełną orzeszków i chipsów.

– Czyli koleżanka zadbana lepiej niż dziecko w okienku życia u nazaretanek. – Elwira wzruszyła ramionami. – Co oglądamy? Która ma pilota?

Jolka jeszcze kilka razy próbowała nakłonić przyjaciółkę, by do nich dołączyła, ale bezskutecznie. W końcu skapitulowała. Wiedziała, że wypadało iść do Marty i razem z nią oprzeć się o ciepły kaloryfer, ale z drugiej strony nie mogła bez przerwy jej niańczyć – albo kobieta się pozbiera, albo da się zabić. Już dawno minął czas na czepianie się pomocnych rąk; najpierw podsunęła jej bardzo dobrą prawniczkę, a potem najlepszą psycholożkę. Reszta zależała już od Marty. Niby wylazła z najgorszego kryzysu, ale do sukcesu sporo jeszcze brakowało; wciąż miewała chwile załamania i nierzadko uciekała przed ludźmi – jak teraz, kiedy zaparła się, że zostanie na swoim łóżku. Nie mogła zwać do domu, więc zwała pod kaloryfer. Smutne i śmieszne jednocześnie. Ale skoro tam jej lepiej, niech siedzi.

Jolka również hołdowała zasadzie przejmowania się głównie sobą i Filipem – reszta świata niech sobie radzi, nawet jeśli resztą świata jest Marta.

Po burzliwej awanturze na temat gustów i wrywaniu sobie pilota wyszukały w końcu wspólnie jakiś

film. Na chwilę przycichły, spoglądając w telewizor z rosnącym zaciekawieniem, ale i rozbawieniem.

Zdradzona żona pakuje walizy i wyjeżdża na odludzie w poszukiwaniu samotności. Korzysta z zaproszenia koleżanki – posiadaczki domku na plaży.

– Niech żyje Hollywood i reszta przynależnej do niego Ameryki! – Elwira wzniosła toast tak zamasyście, że zalała kolejny fragment złoto-czerwonej kapy, na której się gnieździły. – Widzicie? Kumpela oddała jej wypasioną chatę na przemyślenia, a ja muszę się szarpać w moich ciasnych czterech ścianach. Dlaczego? – Stuknęła lampką o kieliszki Jolki i Magdy. – Bo przyjaźnię się z beznadziejnie biednymi babami!

– Nasza wina, że nie mamy domków na plaży? Jakbyśmy miały, też dałybyśmy ci klucze, żebyś się szarpała do woli.

– Zamknijcie się! Czuję, że zaraz będzie jeszcze śmieszniej... – Magda pogłodziła telewizor i obejrzała się na łóżko pod oknem. – Słyszysz?

– Słyszę. – Marta zalewała się łzami. Wstrząsnęła nią jakże prawdziwa rozmowa męża ze zdradzoną żoną oraz typowo kobieca ucieczka donikąd. Rozumiała nagłą potrzebę znalezienia mysiej dziury i skrycia się w niej na zawsze.

– Czemu płaczesz? – Wysoko uniesione brwi Magdy wyrażały szczere zdumienie. – Co się stało?

– Pewnie skropliła się od kaloryfera. Daj jej spokój! Cicho!

Do domku na plaży zbliżał się huragan. Ale przedtem zbliżył się ktoś inny. Główna bohaterka, zadumana tudzież lekko wystraszona, otworzyła drzwi.

– Oczywiście! Któż by inny jak nie Richard Gere? – kpiała Jolka. – Do mnie zapukałby Rowan Atkinson. Kiedy mężczyzna z filmu okazał się znanym kardiochirurgiem, znowu zanosły się śmiechem.

– Oczywiście! Któż by inny jak nie kardiochirurg?

– No. Trzeba przyznać, że kobieta ma wyjątkowego farta.

– Idę o zakład, że do mnie zapukałby co najwyżej inkasent z zaległym rachunkiem za prąd.

– A do mnie bezdomny menel uciekający przed huraganem.

– Czas emigrować, tu nie ma dla nas życia!

Tarzały się ze śmiechu po łóżku, a Marta wycierała łzy wzruszenia. Z czego one się nabijają?

Żałowała, że swoim rzeniem zagłuszają filmowe dialogi. Szkoda – były wyjątkowo czułe, przesiąknięte wzajemną szczerością zagubionych ludzi, którzy powoli i ostrożnie otwierają się na drugą osobę. Na dodatek, gdzieś w tle, ona odbiera telefon od męża, który błaga ją o wybaczenie. A gdyby Robert teraz zadzwonił i też tak błagał...?

– Pogoń go! – krzyknęła Jolka w stronę telewizora. – Niech spada na drzewo!

– Powiedz, żeby ci głowy teraz nie zawracał, bo wpadł do ciebie Gere! – doradzała bohaterce Elwira.

– Właśnie! – Magda dorzuciła swoje trzy grosze. – Na cholere ci stary tojtoj?!

Spojrzały na nią zdziwione.

– O przerośnym kiblu mówisz?

– No! A w przerośni o jej mężu.

– Dla koleżanki już tylko mineralka. – Elwira stuknęła paznokciem kieliszek Magdy. – Oddaj grzecznie.

– Dobra Madzia, dobra... – przemawiała łagodnie Jolka, próbując zabrać lampkę wina z wyciągniętej do góry ręki. – Nie gryź. Nie wolno. Oddaj paniom...

– Przestańcie! – Magda stanęła na łóżku. Materac ugiął się od nagłych przechyłów i czerwono-złota kapa zarobiła następną plamę. – Nie jestem pijana! Mówię o jej mężu, czyli facecie typu „tojtoj”: cieszy się z każdej nowej dupy, jaka na nim siada.

Jolka z Elwirą przez kilka sekund w milczeniu przyswajały metaforę, a potem popatrzyły z uznaniem na Magdę.

– Na ostatnim Tall Ships’ Races łąziłam od rana do nocy między żaglowcami i nawet łyka wody do ust nie wzięłam, bo bałam się, że siku mi się zachce. Tak się brzydzę tojtojów, że wolałabym zlać się w gacie, niż skorzystać.

– Czyli życia sobie nie ułożysz i umrzesz samotna!

Ich przekomarzanie na długo zagłuszyło filmowe dialogi.

– A ty masz czym wypić zdrowie swojego tojtoja? – Elwira obejrzała się na Martę.

– Mam.

– Zagryzkę masz?

– Mam.

– Nie wiem, czemu cię zostawił. Jesteś tania w utrzymaniu: trzecia godzina i wciąż niczego ci nie brakuje.

– Dołącz do nas! – zapraszała Jolka. – Nie siedź tam sama.

– Dzięki. Wygodnie mi tu.

– Chodź do nas! Chodź do nas! – skandowała Elwira z palcami ułożonymi w literę „V”. – Popłaczmy razem, popłaczmy razem, popłaczmy razem. Ja i ty, ty i jaaa...! – zanuciła.

– Nie wywołuj wilka z lasu. Zdaje się, że zaraz naprawdę zapłaczymy. On się chyba topi? – zaniepokoiła się Magda.

– Chwała Bogu, bo jeszcze kilka tekstów i bym umarła ze wzruszenia.

– Niech się topi. Zapamiętamy go jako czułego kardiochirurga.

– No i się utopił... – westchnęły po kilku minutach śledzenia akcji. – Cześć jego pamięci!

Pierwszy wieczór, a Marta już miała dość. Pocieszała się, że czeka ją tylko jeden weekend w ich towarzystwie, i tłumaczyła sobie, że nie ma tego złego...

Jolka, uradowana zgodą przyjaciółki na wypad do Kołobrzegu, zaczęła natychmiast snuć plany wakacyjne – dwa tygodnie fantastycznej zabawy w gronie koleżanek. To dopiero byłby koszmar. Dobrze, że tu przyjechała. Swoje przecierpi, ale przynajmniej uratuje sierpniowy urlop. Nigdy w życiu nie spędzi go z Elwirą i Magdą.

Drażnił ją cynizm, zblazowanie, szyderstwo współlokatorek. Kpiły ze wszystkiego, bo – o ile zdążyła się zorientować – nie istniały dla nich żadne świętości. Powierzchniwnie oceniały ludzi i obchodziły się z nimi bez skrupołów, nie zastanawiając się, że swoim zachowaniem lub złośliwymi docinkami mogą sprawić komuś przykrość. „Przejmuj się sobą i własnymi dziećmi, a reszta świata niech sobie radzi” – przypomniawszy sobie ich mantrę. Wydawały się jej przestrzegać tylko połowicznie; nie zauważyła bowiem, by szczególnie przejmowały się własnymi dziećmi. O nich również mówiły raczej z ironią niż z miłością.

– No i proszę, jak ślicznie się pomieściliśmy! – Elwira oglądała łazienkowe półki, które zapełniły tuż po wejściu do apartamentu. – Gdybym przyjechała z córką, nawet szczoteczki do zębów nie miałabym gdzie wetknąć. Mówię wam! Ona cierpi na jakąś chorobę psychiczną. Kosmetoschizofrenię albo kosmetomanię? Uwierzycie, że do samych włosów potrzebuje baterii specyfików? Żele nabłyszczające, lakiery matujące, skręcacze, ochraniacze przed prostownicą... – Popukała się w czoło. – Ewidentne rozdwojenie jaźni. Zobaczycie, że niedługo od ciągłego skręcania i prostowania zacznie lunatykować i mnie we śnie zamorduje.

– Moja też cierpi na kosmetoschizofrenię – pocieszyła ją Magda. – Ma oddzielne kremy do wszystkiego: oczu, pięt, ud, pośladków, dłoni, biustu... Jakby się, kuźwa, z oddzielnych kawałków składała! Za kilka lat wyląduje na rencie, bo nadgarstki jej wysiądą od odkręcania tubek.

– Cieszcie się, że macie córki. – Jolka ani myślała im współczuć. – Filip przedwczoraj oznajmił, że wyprowadzi się z domu w dniu osiemnastych urodzin, bo ciągle naruszam jego prywatność. A ja tylko

odkurzałam mu pokój. Znalazłam dziewięć butelek po wodzie mineralnej i kilka par brudnych skarpetek.

– U nas niby inaczej? Myślisz, że prostownica, skręcarka, nabłyszczająco-matujące żele stoją na baczność? Albo że butelki po mineralnej same maszerują do śmietnika? Zapomnij!

– Albo że puste opakowania po kremach do pięt i do pośladków dobrowolnie opuszczają łazienkę?

– O nie, nie! Mylicie się... – Jolka odrzuciła argumenty koleżanek. – Wam bałagani estrogen, a mnie testosteron.

– Co za różnica?

– Zasadnicza. Bajzel estrogenu zamienia pokój w buduar, a syf testosteronu czyni go jaskinią. –

Odwróciła się do przyjaciółki. – Prawda, Martuś? Powiedz im, co przeszłaś ze swoimi dwoma testosteronami: młodym i zjełczałym.

– Położę się. Kręgosłup mi pęka.

– Idź, idź. My zaraz dołączymy. Trochę poleżymy, a potem pójdziemy na plażę. W drodze powrotnej trzeba kupić wino. Wieczorem wypijemy, pogadamy, obejrzymy jakiś film.

Marta schowała się pod kołdrę i udawała, że śpi. W ogóle nie miała ochoty na spacerowanie z nimi po plaży.

Faktycznie, mogłaby długo opowiadać o wieloletnich próbach zamienienia jaskini w buduar, ale po co? Wiedziała, że zamiast w spokoju wysłuchać, a potem jej współczuć, wciąż by się darły, a każde zdanie skwitowały szyderczą uwagą. Dość się nastąpiła pod pręgierzem...

JA ZAWSZE PRAWDĘ MÓWIĘ (...).  
TYLKO NIE WIEM, CZY TO ZAŁETA.

(Monika Szwaja)

– Wysoki sędzie. Moja klientka niejednokrotnie dowiodła, że jest oddana mężowi. Przytoczyłam wiele potwierdzających to faktów, które chciałabym poprzeć stosunkowo świeżym wydarzeniem, sprzed niespełna roku, kiedy to powód wyjątkowo ponoć odczuł brak troskliwości oraz uczuć wyższych ze strony partnerki. Czy mogę?

– Proszę. – Sfinksica splotła dłonie. – Słucham.

Klaudia streściła historię z telewizorem i lodówką, wspomniała o skasowaniu beemwicy sklepowym wózkiem, a w konsekwencji – spotkaniu Roberta z Bartkiem i przygotowaniach Marty do podjęcia gości. „Mimochodem” podkreślała, że Marta pokornie godziła się z rzeczywistością i spełniała zachcianki beztroskiego męża, choć ten niemal codziennie zaskakiwał ją drobnymi kłamstwami.

Zakończyła szczegółowym sprawozdaniem z feralnego dnia wypadku z wiertarką i karniszem, nie mogła się też nachwalić kobiecej anielskiej troskliwości oraz wytykała męskie hipochondryczne zachowania.

– Pragnę podkreślić, że moja klientka przyszła mężowi z pomocą natychmiast po powrocie do domu. Nie zważała przy tym na własne dolegliwości i na wyczerpanie pracą! – Klaudia zaakcentowała słowo „własne”. – Nie zważała na obowiązki związane z przygotowaniem uroczystej kolacji, jaką zorganizował powód, bez zapytania żony o zgodę... – Ukłoniła się stronie przeciwnej. – W tym miejscu wyręczę szanowną koleżankę i wystąpię w roli obrońcy pana Gawrońskiego. Rozgrzeszam go i doskonale rozumiem. Po co miał o cokolwiek pytać żonę? Skoro przez dwadzieścia lat godziła się na wszystko, dlaczego miał konsultować z nią swoją kolejną zachciankę?

– Sprzeciw, wysoki sędzie! Oskarżenia o hipochondrię i czytanie w myślach to psychologiczne pseudoanalizy niemające odzwierciedlenia w faktach. – Młoda wilczyca z prestiżowej szczecińskiej kancelarii uśmiechnęła się pod nosem. – Oczywiście wycofam sprzeciw, jeśli okaże się, że moja koleżanka dysponuje wykształceniem psychodiagnostycznym lub posiada orzeczenie lekarskie stwierdzające jakieś zaburzenia u mojego klienta.

– Czy któryś z warunków jest spełniony? – Sfinksica spojrzała na Klaudię.

– Nie, wysoki sędzie.

– Zatem podtrzymuję sprzeciw. Czy możemy uznać temat za zakończony?

– Chciałabym jeszcze przedłożyć stosowną dokumentację szpitalną, zawierającą datę oraz dokładne godziny przyjęcia i wypisu. Liczę, że zostanie włączona do akt... – Sędzina wyciągnęła rękę, a Klaudia wyszła z ławy i podała jej papiery. – Na koniec pragnę zadać dwa proste pytania. Czy żona, która zaniedbuje męża, zawozi go na pogotowie tylko dlatego, że drasnął się w palec? Czy brakiem troskliwości nazwiemy pomoc niesioną mimo własnego niewyobrażalnego zmęczenia? Rozstrzygnięcie tych kwestii pozostawiam wysokiemu sądowi. Dziękuję.

– Strona przeciwna ustosunkuje się do przedstawionych informacji? – Sfinksica, nawet nie zerknąwszy

na papiery, przekazała je siedzącej obok protokolantce.

– Oczywiście. Ustosunkujemy się do ostatniego przykładu rzekomej miłości i troskliwości, jaką wykazywała się pozwana... – Dziewczę wbiło wzrok w Martę. – Z tego, co przed chwilą usłyszeliśmy, pani Gawrońska z detalami zapamiętała tamten wieczór, gdy zawiozła męża do szpitala. Chciałabym uściślić pewne fakty.

Za zgodą sądu Klaudia i Marta krótko poszeptały. Ta pierwsza uprzedzała przed zasadzką, a ta druga zapewniała, że nie ma niczego do ukrycia.

– Słucham. – Wstała. – Niech pani uściśla.

– Usłyszeliśmy tutaj historię państwa małżeństwa od dnia ślubu aż po szpitalny wypis...

– Bo tak było!

– Przyjmijmy, że tak było. Nie polemizuję. Ale czy pamięta pani równie szczegółowo, co działo się po wyjściu ze szpitala? Jak wówczas pomogła pani mężowi i jaką troskliwością się wykazała?

– Zawiozłam go do domu. Co innego miałabym zrobić? Odstawić do hospicjum? – Marta zignorowała szarpnięcie za poję spódnicy. – Potem zmieniałam mu opatrunki, niańczyłam, donosiłam gazety. Zasuwałam w kuchni, a on leżał i udawał chorego, dopóki goście nie przyszli.

– Zbyt daleko wybiegła pani w czasie. Chodzi mi o moment między wyjściem ze szpitala a zawiezieniem męża do domu.

– Nie rozumiem. – Wzruszyła ramionami. – Wysłałam, zawiozłam...

– A przypomina sobie pani wyzwiska, które były już przytaczane na tej sali? Na przykład: „skończony idioto”, „sieroto boża”, „pierdoło ostatnia”? Groźby: „Kiedyś cię zabiję. Pójdę siedzieć, ale przynajmniej sobie odpocznę”? Troskliwe ponoć polecenia w stylu: „Jazda do samochodu i albo za mną zdążysz, albo dzwoń po taksówkę”? Ewentualnie: „Przestań jęczeć i szybciej szuraj nogami”? – Adwokatka odwróciła się do Sfinksicy. – Wysoki sędzie, strona przeciwna zgłosiła wniosek o dołączenie do akt kopii szpitalnej dokumentacji. Popieram, gdyż w materiałach niewątpliwie znajduje się wpis o zaordynowanym mojemu klientowi zastrzyku z debecyliny. Poprosiłam dwóch niezależnych lekarzy, by wyrazili opinię na temat skutków podobnej iniekcji. Każdy z nich wspomina o możliwym częściowym paraliżu okolic pośladków, chwilowym bezwładzie kończyny, przeszywającym bólu. Czy zebrany przeze mnie materiał również może zostać włączony do akt? – Dziewczę ochoczo przekazało ekspertyzy. – Na koniec ja także pragnę zadać dwa proste pytania. Czy kobieta, która dba o męża, ignoruje jego nagły częściowy paraliż? Czy troskliwością nazwiemy wyzwiska i groźby wysyłane pod adresem kogoś, kto cierpi niewyobrażalny ból? Rozstrzygnięcie owych kwestii pozostawiam wysokiemu sądowi. Dziękuję. Ale proszę jednocześnie o zaprotokołowanie, iż wobec zaistniałych wątpliwości postaramy się znaleźć świadków, którzy pozwolą nam rozjaśnić rozpatrywane dziś fakty.

– Zamiast bez przerwy płakać, zacznij wreszcie myśleć! – Klaudia przesuwiała papiery, żeby zrobić miejsce na filiżanki z kawą. – Ukrywasz grzeszki, licząc, że nie wyjdą na jaw? Kiedy, do cholery, zrozumiesz, że oni obrócą przeciwko tobie każde słowo i każde zdarzenie? Przestań mnie w końcu okłamywać!

– Nie okłamuję cię! – Gorset wylądował w śmieciach zaraz po pierwszej rozprawie, więc Marta mogła szlochać pełną piersią. – Przysięgam!

– To czemu nie wspomniałaś o waszej awanturze przed szpitalem? – Prawniczka puknęła się w czoło. – Co ja mówię?! Nie o waszej, lecz o twojej awanturze! On mdlał z bólu, a ty się nad nim pastwiłaś. On jęczał, a ty okazałaś najgorszą formę znieczulicy: wydrwiłaś i upokorzyłaś cierpiącego człowieka, który potrzebował pomocy! Nie patrz tak na mnie... – ściszyła głos. – Wiem, że to bzdury, ale tak właśnie oceni cię teraz sąd. – Podała Marcie świeżą chusteczkę. – Pamiętasz naszą rozmowę? Prawda jest jedna,

ale punkt widzenia jest jak dupa: każdy ma swoją. A ty dałaś dzisiaj sądowi dupy, aż przykro było patrzeć.

– No jeszcze mnie dobij! – Zza chusteczki rozległo się żalosne jęknięcie.

– Przykro mi, muszę cię dobić... – Marta i tak płakała podczas każdego spotkania. – Sto razy powtarzałam: sama tego chciałaś. Nakłaniałam cię do rozwodu za porozumieniem stron, ale domagałaś się orzeczenia winy. Byłaś pewna, że wina leży po jego stronie, prawda? Bo przecież odszedł do innej... Oczekiwałaś, że już na pierwszej rozprawie sąd pogłaszczę cię po głowie, a twojego męża wtrąci do lochu. Czemu wciąż kurczowo się tego trzymasz?! Obudź się! Fakt, że on znalazł sobie inną kobietę, nie jest winą, lecz skutkiem. Skutkiem! – Klaudia dla uspokojenia pociągnęła łyk kawy. – Natomiast rozprawa ma rozstrzygnąć: czyjej winy.

– Wiadomo, że jego! – zaburczała Marta między solidnymi smarknięciami. – Ja mu tę francę naroiłam? Nie! Sam ją znalazł. To znaczy... z drobną pomocą Sandrusi... Sam to on nigdy niczego nie znalazł. Nawet czystych gaci na własną dupę!

– Posłuchaj i zastanów się, zanim odpowiesz, dobra? – Prawniczka przemawiała łagodnym głosem. – Masz świadomość swojego apodyktycznego charakteru? Zdajesz sobie sprawę, że daleko ci do ideału żony? Bierzesz pod uwagę, że być może to jednak ty mu tę francę naroiłaś? Nie osobiście i nie dosłownie, rzecz jasna. Ale czy przypadkiem nie stworzyłaś w waszym związku takiej atmosfery i takich warunków, że poniekąd sama go popchnęłaś w ramiona innej? Nie pomyliłaś dyżuru z małżeństwem? Nie za dużo było w tobie obowiązku, a za mało uczuć?

Z każdym pytaniem wyzierające zza chusteczki oczy robiły się coraz większe. Rosły i rosły, napełniając się nowymi łzami.

– Jakich warunków? Jakiej atmosfery mu brakowało? Czemu wszyscy oskarżają mnie o brak uczuć? Przyjdź na jeden dzień do mojej pracy i zobacz mój dyżur... Co ty o tym wiesz? A przede wszystkim co on o tym wie? Co on wie o troskliwości? Agent ubezpieczeniowy od siedmiu boleści, tworzący przyszłość polskiej likwidacji. Głupi palant, bezmyślny debil...

– Ubliżałaś mu, kiedy byłaś zła? – drążyła Klaudia, nie zważając na atak płaczu klientki. – Nazywałaś pierdołą, idiotą i debilem?

– A ty byś nie ubliżała? Wracasz z roboty zmęczona jak pies i dalej zapieprzasz, bo trzeba mu obiad i kolację na ciepło podać. Szlag by cię nie trafił? Co on wielkiego robi? Mizdrzy się do klientów i umowy podpisuje. Wielkie halo! – krzyczała Marta, pochlipując. – A ja...? Uwierz, że tyram... Ale nigdy nikt nie pomyślał, że po powrocie do domu muszę odpocząć. Nawet ja o tym nigdy nie pomyślałam... Wkładałam kaptcie, szłam do kuchni i tłukłam kotlety. Potem podawałam, zmywałam i pytałam, co chce na kolację. Nie wiedział, bo był najedzony po obiedzie, ale koło dziewiętnastej dochodził do wniosku, że ma ochotę na ruskie pierogi. To gniołłam ciasto i farsz, lepiałam... Koło dziesiątej podawałam. Potem sprzątałam kuchnię, ledwo stojąc na nogach. O kręgosłupie nie wspomnę... – Spojrzała z wściekłą kpina na Klaudię. – Jak nic moja wina, że odszedł, nie?! Który by to wytrzymał?!

– Kiedy tłukłaś kotlety, podawałaś, zmywałaś i lepiałaś pierogi, zdarzało ci się podnieść głos? Powiedzieć coś przykrego?

– Nie, kurwa! W podskokach i z uśmiechem wszystko robiłam! Na dodatek w czerwonych szpilkach i z puszystym ogonkiem królika na dupie! – Marta rwała mokrą chusteczkę i wałkowała strzępy. – Normalna jesteś?!

– Wydaje mi się, że jestem... – Takich opowieści uciemnionych kobiet Klaudia wysłuchiwała już setki. Teraz wolałaby poznać choć jeden szczegół kryjący się za kuchenną martyrologią. – Zrozum, musisz mi mówić o wszystkim. Odszukać w pamięci każdy wybuch agresji...

– Agresji?! Przecież nie rzucałam w niego pierogami! Ja go nimi karmiłam! Karmienie to agresja?!



– Na litość boską, współpracuj! – Obie dały ponieść się emocjom. – Gdybym wiedziała, co wydarzyło się przed szpitalem, dzisiejsza rozprawa inaczej by wyglądała. Nie obronię cię, jeśli będziesz opowiadać bajeczki, w których ty jesteś ta dobra, a on ten zły! Przyznaj wreszcie, że nie byłaś ideałem. Zaczniij patrzeć z perspektywy: „ja”, a nie tylko: „on”! W przeciwnym wypadku rozniosą nas w pył! Od początku zbieramy cięgi, bo wiecznie jestem niedoinformowana. Ciągłe mnie coś zaskakuje! Przez ciebie!

– Przeze mnie?

– Tak! Z twojej relacji wynikało, że znalazłaś w sypialni zakrwawionego męża, zabrałaś go do szpitala, przeciągnęłaś przez kilka gabinetów zabiegowych, odstawiłaś do domu, zaopatrzyłaś jak należy i cudem wrócony do życia wstał na kolację, przy której nawet nie kiwnął palcem, za to ty uwijałaś się od tygodnia.

– Bo to prawda! – Marta huknęła się w piersi. – Święta prawda!

– A gdzie prawda o tym, co się działo po zabiegu? O wyzwiskach? O szantażu, że go tam zostawisz?

– Tak tylko gadałam...

– Chcę wiedzieć, co „tak tylko gadałaś” przez ostatnie dwadzieścia lat. – Odstawiwszy filiżankę, Klaudia złożyła ręce. – Błagam! Przypomnij sobie każde słowo.

– Jak mam sobie przypomnieć?! – wydarła się Marta. – Od dnia ślubu wiernie mu służyłam, wychowywałam dziecko, lepiłam pierogi, nie puszczałam się z innymi i tego człowieka niczym nie obraziłam!

– Uprzedzam. Z takim podejściem przegramy sprawę.

– To przegramy! – Marta zadarła podbródek i odśpiewała *Albo na dnie z honorem lec, z honorem lec*.

– Uśmiechnęła się przez łzy. – Niech będzie moja wina. Grunt, żeby z honorem.

– Spokojnie. Zapomnij o orzeczeniu twojej winy. Tym bardziej że on jest nastawiony pokojowo...

– Wywleka najgorsze brudy i wciąż mnie atakuje, a ty uważasz, że jest nastawiony pokojowo? Chyba zaraz padnę!

– Znowu się mylisz. – Klaudia nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać nad swoją niepokorną klientką.

– On nie atakuje. On się broni. Jestem pewna, że gdybyś poszła na ugodę, natychmiast by się wycofał. Nie chce udowadniać twojej winy, więc bądź spokojna. W najgorszym razie wybronimy obopólną...

– Obopólną? Nie zgadzam się! Co ja takiego zrobiłam?

– Ty jednak jesteś niereformowalna...

– Nie dam sobie wmówić, że jestem wielbłądem. Nigdy!

– No dobrze... A możesz powiedzieć, co takiego zrobiłaś, że jego adwokatka prosiła, by zaprotokołować powrót do szpitalnego wątku, gdy powołają swoich świadków? Kto według ciebie mógłby zeznawać w tym temacie?

– Chyba tylko lekarz dyżurny i pielęgniarka zażenowana smętnym podrywem tego starego... – Marta skrzywiła się w cierpkim uśmiechu – ...powoda! Tyle że oni mogliby być moimi świadkami, a nie jego.

– A wasz syn?

– Przecież Dominik odmówił zeznań.

– Więc kto? – Klaudia znowu złożyła błagalnie ręce. – Pomyśl!

– Nikt!

– Widzisz? Dlatego przegramy... Chociaż mam stuprocentową pewność, że zastawili sidła, jestem bezradna. Zapowiedzieli, iż jeden ze świadków ma coś do powiedzenia na temat szpitala, ale ty się upierasz, że nie ma kogoś takiego.

– Bo nie ma!

– Albo sobie przypomnisz, albo z honorem legniemy na dnie.

– Dostałaś z sądu listę ich świadków? Łatwiej by mi było wytypować.

– Twierdzą, że chcą ugody, i na dowód nie zgłosili żadnych świadków, więc nie ma listy. Ale jego prawniczka to cwana sztuka. Sprytnie wykorzystuje luki w przepisach. Będzie wyciągać króliki z kapelusza, tłumacząc, że pięć minut temu się o nich dowiedziała, więc prosi o dopuszczenie do wokandy poza standardową procedurą. Dlatego skup się wreszcie!

– Dobra. Daj pomyśleć... – Marta przyknęła piekące oczy. – Jolce mówiłam... Dominik nie zeznaje... Mai nie było, jak wróciliśmy ze szpitala... Aptekarce wspominałam przy kupowaniu płynu do dezynfekcji, ale bez żadnych komentarzy, bo po co się obnosić z mężem idiotą?

Ale pamięć była w kondycji równie słabej, co kręgosłup – od dawna szwankowała.

– Zabij, nie zgadnę. – Skrzywiła się płaczliwie.

– Nie ja cię zabiję. Tajemniczy świadek to zrobi. – Klaudia ciężko westchnęła. – A ja znowu będę mogła tylko się przyglądać...

– Czy podczas wizyty w domu państwa Gawrońskich dało się dostrzec jakiegokolwiek oznaki czułości bądź serdeczności ze strony pozwanej?

– Przepraszam, nie zrozumiałam. – Sandra zabujała lokami. – Z jakiej pozwanej strony?

– Pytam, czy w czasie przyjęcia, na które panią zaproszono, pozwana Marta Gawrońska okazywała swojemu mężowi czułość, serdeczność lub choćby sympatię? – wyjaśniła adwokatka. – Zrozumiała pani moje pytanie?

– Tak. Nie. To znaczy... – Chabrowa panienska uśmiechnęła się ze skruchą. – Tak, zrozumiałam, i nie, nie okazywała.

– Chciałabym skupić się na fakcie, iż niespełna dwadzieścia cztery godziny przed tym towarzyskim spotkaniem mój klient uległ poważnemu wypadkowi i był hospitalizowany...

– Sprzeciw, wysoki sędzie! Hospitalizacja oznacza pobyt w szpitalu przez co najmniej jedną noc i wiąże się z wykonywaniem badań diagnostycznych. – Klaudia, nieprzygotowana do obrony, ratowała sytuację. – Powód przebywał wyłącznie w izbie przyjęć oraz przynależnym do niej gabinecie zabiegowym. Trwało to zaledwie kilka godzin. Być może spędziłby tam mniej niż kwadrans, gdyby nie stawiał czynnego oporu podczas opatrywania skaleczonego palca. Moja koleżanka narzuca tej sytuacji sztuczną dramaturgię.

– Sprzeciw podtrzymany. – Sfinksica skinęła głową.

– Dobrze, zapytam inaczej... Czy wiedziała pani, że tuż przed waszym spotkaniem mój klient uległ poważnemu wypadkowi?

– Ponowny sprzeciw! Dwadzieścia cztery godziny nie mieszczą się w definicji: „tuż przed”. I nalegam, by nie nadużywać określenia: „poważny wypadek”. – Klaudia sięgnęła do notatek. – W karcie szpitalnej napisano, że pacjent został przyjęty w stanie ogólnym dobrym, niezagrażającym życiu, z powierzchowną raną palca wskazującego prawej ręki, bez uszkodzeń mięśni oraz nerwów odpowiadających za podstawowe funkcje dłoni.

– Sprzeciw podtrzymany. – Beznamiętny wzrok Sfinksicy spoczął na adwokatce Roberta. – Proszę jaśniej formułować zdania.

– Oczywiście, wysoki sędzie... – Dziewczę ukłoniło się. – Czy wiedziała pani, że dwadzieścia cztery godziny wcześniej mój klient skaleczył się w palec na tyle głęboko, że rana wymagała fachowej pomocy medycznej?

– Teraz ja? – Sandra pogubiła się w słownych utarczkach kobiet w togach. – Już ja mam mówić?

– Tak.

– Ale co?

- Czy po przyjeździe do domu państwa Gawrońskich posiadała pani wiedzę, iż dwadzieścia cztery godziny wcześniej mój klient skaleczył się w palec na tyle głęboko, że rana wymagała interwencji chirurga?
- Posiadłam wiedzę... – Odchrząknęła niepewnie Sandra, żyjąca dotąd w przekonaniu, że osiąść można tylko faceta. – Klient miał zaklejoną palec, krzywił się z bólu i nawet małego półmiska nie dawał rady podnieść. Ale czy równo dwadzieścia cztery godziny wcześniej się to stało? Nie wiem. Nie było mnie przy tym.
- Pytam teraz, czy w czasie przyjęcia pozwana Marta Gawrońska okazywała swojemu mężowi czułość, serdeczność lub choćby drobne współczucie z racji bolesnego okaleczenia?
- Nie. – Sandra wreszcie zrozumiała pytanie.
- A jak się zachowywała?
- Wściekła była i trochę niemiła. Ale to chyba przeze mnie. Ona bardzo lubiła żonę mojego Bącz... mojego partnera, ale on zostawił żonę, a ona o tym nie wiedziała. To znaczy żona oczywiście wiedziała, tylko Marta nie wiedziała...
- Zostawmy towarzyskie niuanse. – Młoda wilczyca jednym ruchem dłoni ucięła temat. – Proszę się skoncentrować na relacjach między powodem a pozwaną, czyli między Robertem Gawrońskim a Martą Gawrońską. Dostrzegła pani między nimi serdeczność okazywaną gestem bądź słowem?
- Nie – odpowiedziała bez namysłu Sandra. – Wręcz przeciwnie. Od początku wiedziałam, że to porażka, a nie małżeństwo.
- Dlaczego?
- No bo on taki biedny i stłamszony, a ona wciąż miała o coś pretensje.
- Potrafi pani przytoczyć konkretny przykład?
- Mówiła na przykład: „Siedź cicho! Jak zwykle nie wiesz, co mówisz. Z tobą później porozmawiam”.
- Czy dyskredytowała go w oczach gości?
- Nie wiem. Stół zastawiła jak na wesele, ale nie było innych gości. Tylko my.
- Czy w obecności pani i partnera pozwoliła sobie na złośliwe komentarze wobec męża?
- Tak. Opowiadała nam, że Robert...
- Czyli powód? Mój klient?
- No. Opowiadała, że klient jest niedojrzały, ma rozum pięciolatka, dorosłość zna z telewizji i tornistra mu tylko brakuje... – wymieniała Sandra, bujając lokami. – Że się histerycznie boi krwi i lekarzy. A pielęgniarki, to zależy od wieku... Że wciąż kłamie jak małe dziecko... Generalnie żal mi go było. Fajny facet, a dał się wdeptać w ziemię.
- Po szczegółowym rozwinięciu wszystkich motywów Sandra niezbitnie dowiodła, kto zamienił małżeństwo państwa Gawrońskich w porażkę. I jak na początku wyglądała na głupiotkę, tak potem zadziwiająco mądrze snuła wątki.
- Czy strona przeciwna ma pytania?
- Owszem, wysoki sędzie. Mam kilka pytań.
- Proszę. – Sfinksica skinieniem ręki rozporządziła Sandrą jak niewolnicą. – Przekazuję świadka.
- Słuchałam pani wywodów na temat miłości i czułości, jakie powinni okazywać sobie małżonkowie na co dzień, a nie tylko od święta... – Klaudia starała się uśmiechać równie zachęcająco, co poprzedniczka. – Czy była pani kiedyś mężatką?
- Nie.
- Pani wiek?
- Trzydzieści dwa.
- Ile lat trwał pani najdłuższy związek z mężczyzną?
- Yyy... prawie rok.

– A ile razy była pani gościem w domu państwa Gawrońskich?

– Raz.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań. – Odwróciwszy się plecami do Sandry, ukłoniła się lekko Sfinksicy.

– Wysoki sędzie. Zważywszy na młody wiek, brak doświadczenia w trwałych związkach oraz jednorazowy incydent towarzyski proszę o nieprzykładanie wagi do zeznań świadka. Są to bowiem wyłącznie psychologiczne pseudoanalizy. No, chyba że... – Uśmiechnęła się pod nosem. – Wycofam obiekcje, jeśli świadek dysponuje wykształceniem psychodiagnostycznym i przedłoży na to stosowne świadectwa.

– Czy świadek spełnia postawiony warunek? Posiada stosowne świadectwa?

– Nie, wysoki sędzie – odpowiedziała młoda wilczyca, gdy zorientowała się, że Sandra nawet nie wie, że o niej właśnie mowa. – Lecz nie bagatelizowałabym obserwacji osoby postronnej. Świeże spojrzenie często wnosi więcej niż przymykane latami oko. By jednak zadowolić stronę przeciwną, zaprosimy świadka, który często bywał w domu państwa Gawrońskich. Być może on potwierdzi to, co usiłuje się tu podważyć.

MIŁOŚĆ TO SPRAWA IDEALNA,  
MAŁŻEŃSTWO – REALNA.  
POŁĄCZENIE RZECZY REALNEJ Z IDEALNĄ  
NIGDY NIE UCHODZI BEZKARNIE.

(Johann Wolfgang von Goethe)

Na szczęście Klaudia tym razem bezbłędnie rozszyfrowała tożsamość powołanego świadka.

Choć Marta uparcie trzymała się wersji: „nie wiem, co ona złego może o mnie powiedzieć”, prawniczka wreszcie poczuła względny komfort – znała dane przeciwnika, więc potrafiła rzetelnie przygotować się do potyczki. Wymagłowała z tej okazji pamięć Marty.

– Przecież ta historia nijak się ma do mojego rozvodu. Nic nie rozumiem...

– Nie musisz rozumieć. Mów. Opowiedz wszystko; powoli, logicznie, z detalami. – Klaudia wydobywała wspomnienia, pytała i od czasu do czasu robiła notatki w rozłożonym na kolanach zeszyście.

– Mów, mów... Śmiało! – zachęcała, gdy jej klientka zaciągała się, patrząc niepewnie na śmigający długopis. Po kilkugodzinnym przesłuchaniu prawniczka zamknęła kajet i odłożyła go na biurko. – Wystarczy! – Z zadowoleniem klepnęła się po udach. – Przepraszam, że tyle cię męczyłam. Idź teraz do domu, odpocznij.

– Chyba faktycznie czas odpocząć. – Dźwignęła się z fotela. – Jutro do roboty... Wstaję o szóstej, a dzisiaj jeszcze muszę Dominikowi kolację podać i przygotować mu kanapki na rano... – Do stękań dołączyły pełne troski westchnięcia. – Biedny chłopak. Zamknął się w sobie, pyskuje na wszystko i wszystkich... Strasznie przeżywa wyprowadzkę ojca. Pewnie ma wyrzuty, że odmówił mu składania zeznań. Z jednej strony mi go szkoda, ale z drugiej cieszę się, że zachował neutralność. Przynajmniej na niego mogę liczyć. Dobrze i to, prawda?

– Tak – przytaknęła Klaudia bez entuzjazmu. – Dobrze i to.

– Często przebywała pani w domu państwa Gawrońskich?

– Bardzo często.

– Czyli?

– Prawie codziennie. – Maja błędziła wzrokiem po suficie, bojąc się patrzeć komukolwiek w oczy. – Dominik jest moim chłopakiem. Spotykaliśmy się u niego, bo wynajmuję stancję na spółkę z koleżankami, więc nie ma warunków na...

– Na intymne spotkania? – podpowiedziała adwokatka Roberta.

– Tak. – Maja oblała się rumieńcem.

– Jak oceniłaby pani atmosferę panującą w domu państwa Gawrońskich oraz ich pożycie małżeńskie?

– Przychodziłam do Dominika. Siedziałam w jego pokoju i nie podsłuchiwałam jego rodziców. – Dziewczyna, niemal dziesięć lat młodsza od Sandry, zachowywała się tak powściągliwie, jakby była jej ciotką. Stała niczym posąg i ani myślała bujać włosami. – Nic nie wiem o pożyciu państwa Gawrońskich.

– Często się kłócili?

– No... Normalnie. Jak to w domu... – starannie ważyła słowa. – Moi rodzice też się czasami kłócą...

Jak każdy chyba...

– Czy podczas awantur słyhać było głównie panią Martę, czy pana Roberta?

– Nie wiem. Za każdym razem Dominik puszczał głośniejszą muzykę, więc nigdy niczego nie słyszałam.

– Proszę spojrzeć mi w oczy. – Prawniczka musiała troszkę poczekać, zanim spojrzenie Mai oderwało się od sufitu. – Dziękuję... – Nawiąawszy kontakt wzrokowy, zachęcająco się uśmiechnęła. – A teraz proszę się zastanowić, czy naprawdę nigdy pani niczego nie słyszała. Przypominam, że zeznaje pani pod przysięgą, a za składanie fałszywych oświadczeń grożą sankcje karne.

– Raz słyszałam... – Maja dla odmiany pobladła.

– Co takiego?

– Kiedyś, jak spałam u Dominika... Bo uczyliśmy się do późna i jemu nie chciało się mnie odprowadzać, a martwił się, że będę sama wracać po nocy... – plątała się w obawie, że sypianie w domu chłopaka może komuś wydawać się niewłaściwe. – Powiedział, żebym została. Tym bardziej że następnego dnia zaczynaliśmy zajęcia o ósmej... I od niego mamy bliżej na uczelnię...

– Proszę się nie tłumaczyć. Oboje dawno osiągnęliście pełnoletność, a oszczędzanie czasu to nie przestępstwo. Podobnie jak punktualne przychodzenie na zajęcia. – Kiedy na sali rozległo się krótkie stuknięcie młotka, adwokatka przeprosiła wysoki sąd i wróciła do urwanego wątku. – Co pani słyszała tamtej nocy?

– No... dość głośną kłótnię...

– W jakich okolicznościach wybuchła kłótnia? Wymiana zdań była dwustronna czy tylko jedna osoba podniosła głos?

– Nie znam okoliczności. Tego dnia pani Marta wyjechała z koleżanką nad morze, a kiedy wróciła, już spaliśmy.

– Ktoś was obudził?

– Tak.

– Kto? Czyj krzyk wyrwał panią ze snu?

Dziewczyna zagryzła wargi, milcząc długą chwilę.

– Kto?

– Pani Marta... – odpowiedziała w końcu.

– A mój klient?

– Nie słyszałam pana Roberta.

– W ogóle? Nawet słowem nie zareagował?

– Nie.

– Proszę uściślić: „nie”.

– Nawet słowem nie zareagował. To znaczy... Może zareagował, ale ja nie słyszałam. – Maja na przemian bladła i się czerwieniła. – Naprawdę niczego nie wiem... – Głos jej zadrżał, jakby miała się rozpłakać, ale zamiast tego odchrząknęła i rzuciła hardo: – Chodziłam do swojego chłopaka, a nie do jego rodziców. To znaczy, przy okazji, do nich też... Ale nie śledziłam ich, żeby teraz dokładnie powiedzieć, co robili i mówili.

– Czego dotyczyła awantura, której była pani świadkiem?

– Chodziło o jakąś lampę. Że za jasno świeciła czy coś w tym stylu...

– A konkretniej?

– Nie wiem. Kiedy obudziły nas krzyki, Dominik poszedł do sypialni rodziców i zaraz potem zrobiło się cicho. Znowu zasnęliśmy.

– Czy zanim powstrzymała matkę przed kolejnym napadem furii, rozróżniła pani jakieś słowa? Obelgi? Pretensje?

– Dlaczego „kolejnym”? Przecież o żadnym wcześniejszym napadzie nie mówiłam... Poza tym nigdy nie byłam świadkiem żadnego napadu jej furii. Pani Marta w porównaniu z moją mamą to chodzący anioł.

– Rozumiem, że pozostawałyście w dobrych stosunkach? Przyjaźniłyście się? Dlatego chroni pani pozwaną?

– Nie przyjaźniłyśmy się... – Dziewczyna, po raz pierwszy, odkąd weszła na salę, spojrzała na „teściową”. – Ale... Ona jest naprawdę w porządku.

Klaudia czuła dziką satysfakcję – maglowany podstępnie świadek nie dość, że złego słowa nie dał z siebie wydusić, to został im nader szybko przekazany. Ochoczo podniosła się więc z dębowej ławy.

– Chciałabym porozmawiać o Dominiku Gawrońskim. A konkretnie o was...

– Sprzeciw! Syn powoda i pozwanej został wyłączony ze sprawy. Skorzystał z prawa do odmowy zeznań! – przerwała natychmiast wilczyca. – Oświadczenia na jego temat nie wniosą niczego istotnego.

– Wysoki sędzie, zapewniam, że dowiodę ścisłego związku moich pytań z toczącą się tu sprawą. Poprę go stosownymi ekspertyzami. Jeśli można, przedstawię je później wraz z wnioskami własnymi.

– Sprzeciw uchylony.

– Dziękuję... – Po ukłonie w stronę Sfinksicy Klaudia patrzyła już tylko na świadka. – Czy określiłaby pani swojego chłopaka w roli mężczyzny jako równorzędnego partnera?

– Równorzędnego? – Twarz Mai znowu się zarumieniła. – Czyli?

– Oboje macie identyczne prawa i obowiązki.

– My tylko ze sobą chodzimy. Nawet zaręczeni nie jesteśmy... – Spojrzała na Klaudię spode łba. – Jakże ja mogę mieć prawa i obowiązki?

– Na przykład miłość, wierność, uczciwość.

– Aha, tak. Oboje jesteście uczciwi, wierni i bardzo się kochamy.

– W jaki sposób chłopak okazuje pani swoje uczucia, dające tę pewność?

– Przytula, całuje, spotykamy się codziennie, uczymy się razem i w ogóle... – Maja zagryzła wargi. – Co miałyby robić? Wystrzelić nad Odrą napis: „I Love You” z fajerwerków?

– Pytam o mniej spektakularne przejawy. Czy kiedyś w czymś panią wyręczył, gdy była pani zmęczona? Albo zrezygnował dla pani z oglądania jakiegoś bardzo ważnego meczu? Ugotował romantyczną kolację? Zaprosił do kina na film, którego sam nigdy by nie obejrzał?

– Lubimy te same filmy. Nie mamy problemu z repertuarem.

– A wyręczanie? Z tym też nie ma problemu?

– Nie ma! Na przykład co drugi tydzień wyręcza mnie w chodzeniu na wykłady i podpisuje za mnie listę.

– A kto chodzi i podpisuje listę co pierwszy tydzień?

– Ja! – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Przecież sama pani powiedziała, że jesteśmy równorzędnymi partnerami, prawda?

Klaudia musiała przyznać, że nie doceniła niepozornego świadka. Słuchała, jak dzielnie odpiera ataki przeciwnej strony, nachyliła się nawet do Marty, by szepnąć, że Dominik będzie idiotą, jeśli kiedyś zostawi taką dziewczynę. Nie spodziewała się jednak, iż jej pytania doczekają się równie zaciętego oporu.

Trudno. Mocniej ją przyciśnie. Tym bardziej że wyczuła obiecujący trop.

Z doświadczenia Klaudia wiedziała, że niemal większość świadków zajadle broni strony, która ich powołała, i równie zajadle opluwa stronę przeciwną – krzyczeli, tupali, opowiadali niestworzone historie, a nawet wpadali w histerię, byle udowodnić, jakież cudowny człowiek z tego syna, sąsiada czy

kumpla, w sprawie którego zeznają: „Skandal! Ślepi chyba jesteście, jak ta wasza Temida! Żeby ludzkiej krzywdy nie widzieć? Żeby kazać się dobremu tłumaczyć, zamiast złemu ukreślić łeb? Rozbój w biały dzień!” – podobne teksty należały do sądowego standardu.

Nikogo tu nie dziwiło zaangażowanie świadków – niemal codziennie z sali rozpraw wyrzucano jakiś nazbyt rozemocjonowany egzemplarz, bo ludzie w obronie bliskiej osoby często zatracali się w emocjach.

Znikomy odsetek stanowili natomiast świadkowie milczący i powściągliwi, wręcz bezstronni. Ci zostali zmuszeni do zeznań. Pozwolili się wciągnąć w bagno, ale szybko próbowali się z niego wydostać i otrząsnąć ze śmierdzącego błota. Stali sztywno za drewnianą barierką, uciekali oczyma na boki, burczeli, zamiast mówić, manifestowali niechęć zarówno wobec wysokiego sądu, jak i prawników.

Maja ewidentnie należała do drugiej grupy. Kto ją zmusił, by wdepnęła w to bagno?

Klaudia знаła odpowiedź, ale wiedziała, że dziewczyna sama musi wyznać prawdę. Dzisiaj. Tu i teraz.

Doceniwszy potencjał świadka, obchodziła się z nim nader delikatnie, wykazując cierpliwość i psychologiczną precyzję. Nie było to łatwe, gdyż adwokatka Roberta zasypywała ją sprzeciwami, które sędzina na szczęście uchylała. Niestety, każda przerwa cofała przesłuchanie o kilka kroków – Maja znowu wystawiała kolce, więc trzeba ją było od nowa oswajać. W końcu się udało. Za którymś razem sprytnie pompowany balon pękł, a Maja, ledwo hamując gniew, poszła z zeznaniami jak po sznurku. Klaudia dostała wszystko, co chciała, a nawet więcej.

Zostało już tylko ostatnie posunięcie: nieco ryzykowne, bo oparte na kobiecym przeczuciu i doświadczeniu zawodowym.

– Dobrze zgaduję, że pani nie chciała tu przyjść?

– Dobrze.

– Więc dlaczego pani przyszła?

Dziewczyna wbiła wzrok w sufit.

– Dla kogo pani to zrobiła? – Wobec zaciętego milczenia Klaudia odpowiedziała za nią: – Dla Dominika. Tak?

– Nie chciałam zeznawać przeciwko rodzicom, ale głupio mi było, że odmówił tacie. Zgodziłam się, bo...

– To mi wystarczy. Nie mam więcej pytań. – Uśmiechnęła się delikatnie do Mai, a potem zgięła w ukłon w kierunku Sfinksicy. – Czy wysoki sąd pozwoli, że przedstawię stosowne wnioski oraz ekspertyzy dopiero po wyjściu świadka?

Gdy Maja opuściła salę, Klaudia skłoniła się prawnicze strony przeciwnej.

– Dziękuję. Powołanie Mai Woźniak było doskonałym posunięciem. Jak rozumiem, chodziło o zeznania osoby, która regularnie przebywała w domu państwa Gawrońskich? Słusznie! Albowiem w rzeczywistości nikt z nas nie wie, co tam się działo; nie wiem tego ani ja, ani moja szanowna koleżanka, ani wysoki sąd, prawda? Natomiast Maja Woźniak, w odróżnieniu od nas, posiada wiarygodną wiedzę. Mało tego! Poprzez wieloletni związek z synem państwa Gawrońskich skupiła w sobie, jak w soczewce, obraz tej rodziny; panujące w niej obyczaje, relacje międzyludzkie, interpretacje płci...

– Sprzeciw! Pani Woźniak wyraźnie powiedziała, że nie posiada takiej wiedzy. Zeznała, iż przebywała wyłącznie w pokoju swojego chłopaka i nigdy nie podsłuchiwała, co dzieje się w innych pomieszczeniach. Jej słowa nie mogą zatem stanowić deskrypcji stanu faktycznego.

Sfinksica uniosła wysoko brwi i spojrzała na Klaudię.

Marta wstrzymała oddech. Wciąż nie oswoiła się z faktem, że syn ją zdradził.

– Przed kilkoma minutami moja szanowna koleżanka sama wypytywała panią Maję Woźniak, bo nie wierzyła, że choć codziennie przebywała u państwa Gawrońskich, niczego nie widziała i nie słyszała.



Jestem gotowa ustąpić, jeśli zobaczę dowód, iż pani Woźniak faktycznie przez dwa lata przebywała wyłącznie w pokoju swojego chłopaka. Wprawdzie musiałaby wówczas wchodzić i wychodzić przez okno, co wydaje się wątpliwe, zważywszy, iż Gawrońscy mieszkają na ósmym piętrze...

– Skłaniam się ku hipotezie, iż korzystała z przedpokoju. Ale czy szybkie pokonanie kilku metrów holu jest podstawą do wnioskowania o tym, co dzieje się za drzwiami kuchni, sypialni czy salonu? – Prawniczka Roberta natychmiast odbiła piłeczkę.

– Przywołuję obie strony do porządku i apeluję, aby nie pogrążały się w absurdach! – Sfinksica znowu użyła młotka. – Sprzeciw uchylony. Proszę kontynuować.

– Dziękuję. Wysoki sędzie, nadal twierdzę, iż ostatni świadek pozwala nam wiarygodnie ocenić małżeństwo państwa Gawrońskich. Wcale nie dlatego, że słyszał bądź widział kłótnie między moją klientką a jej mężem. Nie! – Klaudia pomachała palcem. – Możemy się wszystkiego dowiedzieć z kopii zachowań. „Jakie drzewo, taki klin, jaki ojciec, taki syn”, brzmi przysłowie... Czego się przed chwilą dowiedzieliśmy? Że powód wraz z synem skupiają się wyłącznie na własnych przyjemnościach...

Wyliczyła wszystkie – zadziwiająco wspólne – bolączki Marty i Mai: mecze, kapuśniaki na żeberkach dla skacowanego męża i „teścia”, emocjonalną obojętność, prehistoryczny podział obowiązków, większą wrażliwość na brak telefonicznego zasięgu niż na romantyczny zachód słońca, żenujące teksty do młodszych o pokolenie kobiet...

– Od czasu do czasu odzywają się w nas zwierzęce instynkty. Dlatego nie potępiam dojrzałych panów, którzy na widok śpiewającej i tańczącej ze szcnotką dziewczyny wyznają: „Szkoda, że moja żona nie umie się tak ładnie bawić mopem. Oczu nie można oderwać”. Staram się ich zrozumieć... – Litościwy półuśmiech wskazywał, że mimo starań Klaudia ma z tym jednak problem. – Natomiast nie rozum...

– Sprzeciw, wysoki sędzie! Za chwilę mój klient zostanie oskarżony o pedofilię. Po pierwsze, nie związał się nigdy z kobietą, która mogłaby być jego córką, a po drugie, prawienie komplementów młodym dziewczynom jest naturalnym odruchem zdrowego mężczyzny. To nie zboczenie, lecz przejaw sympatii. Gdyby podobne zachowania uznać za przestępstwo, ani jeden mężczyzna nie chodziłby dziś na wolności.

– Sprzeciw podtrzymany.

– Przepraszam, wysoki sędzie... – Klaudia zgięła kark. – Wróćmy zatem do stwierdzenia, iż pani Maja Woźniak, pozostając w poważnym związku z synem państwa Gawrońskich, odwzorowywała los mojej klientki. Rzecz jasna w znacznie mniejszej skali, ale i to pozwala wyciągnąć wnioski na temat relacji panujących w tej rodzinie.

– Sprzeciw! Nie są to stwierdzenia ani wnioski, jedynie hipotezy. Do tego artykułowane przez niekompetentną osobę.

– Sprzeciw podtrzymany.

– Zacznę więc od stwierdzeń osób kompetentnych. – Klaudia wzięła do ręki plik papierów i rozłożyła je w wachlarz. – Wysoki sędzie, przedłożę kilka specjalistycznych ekspertyz. Jest wśród nich opinia biegłego psychologa z miejscowego sądu rodzinnego, są też inne... – Zwinęła wachlarz w jeden pęk dokumentów. – Dzieci, wedle tych opinii, nie zdając sobie z tego sprawy, albo powielają obserwowane w domu wzorce, albo je odrzucają i popadają w drugą skrajność... – Uniosła głowę znad kartek. – Mam nadzieję, że podczas przesłuchania świadka dowiodłam, iż syn państwa Gawrońskich zdecydowanie skłania się ku pierwszej opcji i wiernie naśladuje swojego ojca?

– Sprzeciw! Mój kli...

– Sprzeciw uchylony.

– Dziękuję. – Klaudia skłoniła głowę. – Otóż eksperci zgodnie twierdzą, że dziecko życia uczy się w rodzinie. Latami rejestruje, co dzieje się w domu, a potem na ten wzór powiela zachowania, wchodzi

w interakcje typu: kobieta – mężczyzna. Bądź też, jak wspominają specjaliści... – Trzepnęła dłonią w plik papierów. – ...i o czym już mówiłam, całkowicie te wzorce odrzuca. – Spojrzała na Sfinksicę. – Czy wysoki sąd potwierdza, iż relacja syna i ojca w rodzinie państwa Gawrońskich jest silna i opiera się na miłości?

– Tak.

– Czy możemy zatem przyjąć, iż nie neguje modelu jego osobowości?

– Tak.

– Czyli nie odrzuca, lecz powiela sposoby jego postępowania. Bierze z niego przykład. Zatem należy uznać zeznania pani Mai Woźniak za wiarygodne źródło informacji o stosunkach panujących między moją klientką a jej mężem. Ich syn, jak matryca, powiela wdrukowane mu role społeczne.

– Sprzeciw! – Wilczyca poczerwieniała na twarzy. – Syna państwa Gawrońskich wychowywała również matka. Teraz usiłuje nam się wmówić, że odpowiedzialność ponosi wyłącznie mój klient. Czy pozwana niczego nie wdrukowała dziecku przez te lata?

– Proszę odpowiedzieć.

– Z przyjemnością, wysoki sądzie. Owszem, pozwana wdrukowała mu wiele złych przykładów. Pamiętajmy jednak, że dla wymiaru sprawiedliwości najważniejsze są motywy działania. Moja klientka kierowała się miłością, troskliwością oraz dbałością o najbliższych. Motywy szlachetne, choć przyznaję, że efekt fatalny... – Na wszelki wypadek nadepnęła stopę Marty. – Ale skąd mogła wiedzieć, że traktując męża jak niedołęznego króla, wyhoduje niedołęznego księcia?

– Sprzeciw! To są obelgi pod adresem mojego klienta!

– Sprzeciw podtrzymany. Oczekuję profesjonalizmu i przeprosin za niewłaściwe słowa.

– Bardzo przepraszam pana Gawrońskiego. Przepraszam za „niedołęznego”, a jeszcze bardziej za „króla”... – Klaudia uśmiechnęła się niewinnie.

– Ekspertyzy psychologiczne trafią do akt sprawy. – Sfinksica wyciągnęła rękę po papiery. – Czekam na wnioski końcowe.

– Oczywiście! – Toga ledwo nadązała za Klaudią, która najpierw żwawo ruszyła z całą dokumentacją ku sędziowskiemu stołowi, a potem równie energicznym krokiem wróciła za ławę. – Ustaliliśmy, iż zachowanie syna państwa Gawrońskich można uznać za odzwierciedlenie zachowań jego ojca. I na tym koniec. Nie sformułuję żadnych wniosków, gdyż wydają się oczywiste. Zamiast tego wyłuszczę kolejne, według mnie wyjątkowo symptomatyczne, podobieństwo między tymi mężczyznami. Czy mogę?

– Tak.

– Nie znamy syna państwa Gawrońskich, odmówił bowiem składania zeznań. Pragnął zachować neutralność w konflikcie rodziców. Jakże to szlachetne i prawe! – zachwycała się sztucznie Klaudia. – Czy aby na pewno? – zamilkła, dając wszystkim kilka sekund na refleksję. – Nie! Wcale nie zależało mu na neutralności! – odpowiedziała. – Stanął po stronie ojca, lecz bał się do tego przyznać! Bał się tu przyjść i zadeklarować własne zdanie. Co zatem zrobił? Schował się za plecami dziewczyny. Wbrew jej woli, co przyznała pani Maja Woźniak, wysłał ją do nas, by odegrała rolę sekundanta w pojedynku między jego rodzicami. Patrząc z boku, chłopak ma sumienie czystsze niż kryształ, prawda?! – Westchnęła, sapnęła, odetchnęła. – A teraz, na koniec, ostatnie zdanie dotyczące symptomatycznego podobieństwa... Wysoki sądzie! – Ukłoniła się. – Najmocniej przepraszam za zachowanie mojej klientki. Pozostawiało wiele do życzenia... – Tym razem nadepnęła but Marty, jakby wciskała pedał hamulca po wtargnięciu pieszego na jezdnię. – Jej mąż prezentuje się na sali wzorowo. Wielokrotnie ubolewałam w duchu, iż muszę go atakować, zamiast bronić. Od pierwszej rozprawy dziwiła mnie natomiast jego bierna, milcząca postawa. Utożsamiałam ją z rozwagą, powściągliwością, introwertyzmem... Dziś, niestety, zrozumiałam, że powód ani nie jest bierny, ani powściągliwy. On się, po prostu, schował za

czyimiś plecami. Sumienie ma czystsze niż kryształ, prawda? – Pokręciła z niechęcią głową, pomilczała, powzdychała i ruszyła ku mecie. – Wysoki sędzie... W ostatnim słowie raz jeszcze przepraszam za moją klientkę oraz za Jolantę Grabowską, jej świadka, którą wysoki sąd na poprzedniej rozprawie ukarał grzywną tysiąca złotych oraz wyprosił z sali za niewłaściwe zachowanie.

– Sposób bycia oraz język świadka licowały z powagą tego miejsca – oznajmiła Sfinksica. – Pani Grabowska nie pozostawiła sądowi wyboru.

– Oczywiście. W pełni zgadzam się z wymierzoną jej karą, choć ubolewałam nad przerwanyimi zeznaniami. Ubolewałam! – powtórzyła głośniejszą Klaudia. – Nieprzypadkowo podkreślam czas przeszły...

– Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Dzisiaj już nie ubolewam, gdyż znaleźliśmy lepszego i bardziej wiarygodnego świadka, czyli Maję Woźniak. Chciałabym zatem podziękować stronie przeciwnej. – Skinęła uprzejmie głową. – Same nigdy nie powołałybyśmy pani Woźniak, albowiem wydaje nam się niemoralne wplątywanie młodej osoby w sprawę rozwodową ludzi de facto jej obcych, a z drugiej strony przecież bliskich. Wszak są rodzicami ukochanego chłopaka i...

– Sprzeciw! Moja szanowna koleżanka mija się z prawdą. Twierdzi, że nie wplątałaby świadka w sprawę rozwodową państwa Gawrońskich, a tymczasem urządziła mu przesłuchanie, które mogłoby być szkoleniem na temat tego, jak wykorzystać młodzieńczą naiwność i jak rozpalić na własną korzyść niedojrzałe uczucia.

– Kto powołał na świadka panią Maję Woźniak? – spytała beznamiętnym głosem sędzina.

– My. Ale...

– Sprzeciw uchylony. Czy to wszystko, co strona chciała powiedzieć? – zapytała Klaudię.

– Tak, wszystko. W zasadzie... – Prawniczka wlepiała oczy w Sfinksicę.

– Słucham?

– Proszę, aby podczas rozważania wyroku sąd okazał wyrozumiałość mojej klientce i puścił w niepamięć jej emocjonalne reakcje.

– Z jakiego powodu? Czy istnieją nieznane nam okoliczności łagodzące?

– Istnieją. – Klaudia pierwszy raz pozwoliła sobie na obdarzenie Marty ciepłym, przyjacielskim spojrzeniem w obecności wysokiego sądu. – Te okoliczności to jej życie i małżeństwo. Zawsze nadstawiała pierś i nigdy nie chowała się za czyimiś plecami. Bo, niestety, nawet gdyby chciała, nie miała się za kogo schować...

TYLKO BARDZO GŁUPI LUDZIE  
MOGĄ ZAWSZE MÓWIĆ MĄDRZE.

(Lucy Maud Montgomery)

– Po powrocie z Kołobrzegu urządzą imprezę pożegnalną! – zadeklarowała Magda, gdy Richard Gere się utopił, a przez ekran telewizora przeleciała lista osób zaangażowanych przy melodramatycznej produkcji. Zapewne każda z nich zdziwiłaby się, że w opinii trzech sfrustrowanych pięćdziesięcioletnich Polek stworzyli nędzną tragikomedie dla kretynek.

– Kogo będziemy żegnać? – Elwira wepchnęła do ust garść chipsów.

– Moje piękne lata.

– To mocno spóźniona ta impreza... – Jolka, najstarsza z towarzystwa, ani myślała współczuć „smarkuli”. – Co się stało, że wreszcie oprzytomniałaś?

– Pamiętacie? Mówiłam wam, że z nogami mam problem i dostałam skierowanie na badanie żył?

– No – przytaknęły.

– I się okazało, że nie jest dobrze. Odwlekłam kurację zastrzykami, bo mi się wpierniczyła w sam środek naszego wyjazdu. Nie będę przecież latać po Kołobrzegu z wbitą w brzuch strzykawką. Zacznę od poniedziałku.

– Co ma do tego twoja pożegnalna impreza? Niemowlętom i dzieciom też robią zastrzyki.

– Ale nie każą im nosić wstrętnych grubych pończoch na żyłaki! – Skrzywiła się Magda. – A mnie lekarz powiedział, że mam sobie jak najszybciej kupić.

– Kup – doradziła Jolka. – Tylko nie wkładaj.

– Wkładać też kazał...

– Świnia nie lekarz!

– Nie histeryzuj. – Elwira sięgnęła po kolejną garść chipsów. – Weźmiesz od naszej koleżanki Jolanty zamiar na gorseciarkę. Tak ci stuninguje ortopedyczne pończoszki, że jeszcze będziemy je od ciebie pożyczać.

– Najlepiej niech zrobi z nich kabaretki! – W pokoju rozległo się donośne rżenie. – Z czerwoną podwiązką na górze.

– No właśnie! – Okruchy chipsów spadły na łóżko. – Przestań się wreszcie krzywić, bo taka choroba to żadna choroba, ale wygrany los na loterii! Pończocha jest ściągająca, więc noga ci się wyszczupli o dwa numery. Baby płacą kupę kasy u chirurgów plastycznych za taki cud, a ty? Na koszt państwa się wyrzeźbisz! – Z ciężkim westchnieniem Elwira pociągnęła łyk wina. – I jak w tym kraju ma być normalnie? I co się dziwić, że fundusz narodowy zdycha?

– Dostałyście z ZUS-u najnowszą symulację emerytury?

– Jezu... Dostałam... – Magda osunęła się po wezgiłowie łóżka. – Można gdzieś zablokować korespondencję z nimi? Czy ja ich proszę o durne listy? Po cholere to ludziom wysyłają? Żeby szybciej umarli?

– Żeby się rozpili! – Rozglądając się za butelką, Jolka spojrzała na łóżko Marty. Przyjaciółka, przykryta kołdrą po czubek głowy, leżała odwrócona do nich plecami. – Ciszej bądźcie... – ściszyła głos. – Chyba zasnęła.

– To wynieśmy ją z pokoju i przerzucimy przez płot. Obok nas jest jakieś sanatorium, nie? Tam już na pewno wszyscy śpią! – Elwira nie spuściła z tonu nawet o decybel. – W domu mnie terroryzują, w pracy terroryzują... Cholera! Przyjechałam, żeby robić, na co mam ochotę, i znowu mam na kogoś uważać?

– Właśnie! Śpi? Niech śpi! A jak się obudzi, to znaczy, że już się wyspała – przytaknęła Magda. – Też chcę odpocząć od terroru.

– Dobra. Ale zgaszę górne światło. – Jolka wiedziała, że im bardziej będzie je uciszać, tym głośnieiej będą krzyczeć. – Trochę romantyzmu nie zaszkodzi.

– Rób romantyzm – zgodziły się. – Obyśmy tylko nie straciły kontaktu wzrokowego z flaszkami i z drogą do łazienki.

Po krótkim zamieszaniu znowu gnieździły się na jednym łóżku, w towarzystwie kilku napoczętych butelek wina, małej nocnej lampki oraz wielkiej miski chipsów.

– À propos ZUS-u... Co powiecie na to, żebyśmy – już jako emerytki – wyjechały razem na wieś, do jakiegoś popegeerowskiego pustostanu pod Szczecinem? Nie żeby od razu pałac po Hohenzollernach w ruinie, ale przynajmniej jakaś skromna chałupka z dwoma, trzema izbami? – Magda uciskała bolące łydki. – Zrzucimy do kupy to, co nam hojna ojczyzna proponuje, i może przeżyjemy?

– Niezły pomysł – zadumała się Jolka. – Najważniejsze, żeby starczyło na prąd i podatek gruntowy. Z resztą jakoś damy radę.

– No! – Elwirze spodobał się genialny plan. – Nazbieramy opału w lesie i przezimujemy.

– Kto pójdzie, ten pójdzie... – Magda wałkowała nogi pięściami. – Czuję, że emeryturę powitam z balkonikiem. Ale nic to! Zostanę w domu i będę wam gotować.

– Znalazła się wygodnicka Pippi Pończoszanka! Jazda do lasu! Zrobimy ci uchylny balkonik. Rozumiesz? Fik! I jesteś z nosem przy ściółce. Fik! I znowu w pionie.

– Niby rehabilitacja w pakiecie?

– A jak! Kto bogatemu zabroni?

– Mogłybyśmy robić biżuterię z drewna i sprzedawać na odpustach. Do tego prace sezonowe, na przykład w okresie Zaduszek albo Bożego Narodzenia niebanalne stroiki?

– Zapomnij! Będziemy już wtedy miały reumatyzm w palcach. – Elwira zgasła ideę Magdy. – I ręce nam będą drżały.

– Drzenie da się leczyć winem. A wino zrobimy z owoców leśnych. Trochę wypijemy, trochę opchniemy w geesie.

– No! Poza tym zajmiemy się zbieraniem, suszeniem i sprzedawaniem ziół... – chichotała cichutko Jolka, wciąż oglądając się na łóżko przyjaciółki. – Nauczymy się też drutów, szydełka, filcu, makramy, utkamy gobeliny...

– Jak mam tak zapierniczać na starość, to mnie zastrzelcie już teraz! Wino rozumiem, trzeba robić. Chrust zebrać i coś ugotować od czasu do czasu? Zgoda! Ale zioła, szydełka, gobeliny? Nie dam rady! – Elwira sięgnęła po butelkę. – Której polać?

– Poproszę... – Magda nadstawiła kieliszek. – I przestań się buntować. Pomyśl! Gdybyśmy zasiały odpowiednie zioła, a potem utkały z nich gobelin? Idealny patent na przemysł narkotyków, nie?

– Może być trudno o odbiorcę. Mało kto potrafi wciągnąć nosem gobelin.

– Oj! Półprodukt byśmy eksportowały. Po okazyjnej cenie, z odliczeniem kosztów przeróbki na pełnowartościowy towar. – Jolka również podsunęła dopitą w pośpiechu lampkę. – Zobaczycie! Założymy spółdzielnię i będziemy się tarzać w pieniądzech.

– A da się tę spółdzielnię przenieść do Indii? Bo oglądałam niesamowity reportaż... – Elwira od początku dyskusji na temat emerytury wiedziała, że powinna sobie coś przypomnieć à propos błogiej, leniwej starości, i wreszcie jej mózg zaskoczył. – Ponoć Indie to raj dla emerytów. Pokazali polskie małżeństwo, które tam wyjechało. Za dwa tysiące złotych, po przeliczeniu na tamtejszą walutę, wynajmują mieszkanie nad samym morzem, żywią się, kupują leki... Mówili, że prywatne gabinety lekarskie i apteki kasują o osiemdziesiąt procent mniej niż u nas... Mało tego. Cztery razy w tygodniu przychodzi do nich gosposia! – Napełniła po brzegi własny kieliszek. – Zatem wy sobie tkajcie, szydełkujcie i plećcie stroiki, a ja spadam do Indii.

– A oni tam przypadkiem nie traktują źle samotnych kobiet?

– U nas też źle traktują, więc co za różnica: tu czy tam?

– Fakt – zgodziła się Jolka po namyśle. – Ostatecznie można by oprócz gosposi wynająć męskiego figuranta, żeby nas dobrze traktowali, nie?

– Za co? Wedle najnowszych obliczeń mogę tylko marzyć o dwóch tysiącach... – Magda się skrzywiła.

– Nie histeryzuj. Spokojnie uzbieramy. Przecież zamieszkamy razem, a nie każda na swoim.

– A nie mówiłam, że będziemy tarzać się w pieniądzach? I to w Indiach... – Twarz Jolki pokraśniała ze szczęścia. – Gwarantowana pogoda: ciepło, słońce, żadnych mgieł, mrozów ani trzymiesięcznych deszczy. Zapomnimy o ischiasie, reumatyzmie, lumbago, zwyrodnieniach stawowych... Rewelacja! Też jadę.

– Ani chrustu byśmy nie zbierały, ani syropu z malin nie robiły. Po cholere dogrzewać się w Indiach, nie? A ile służby byśmy miały, gdybyśmy się zrzuciły emeryturami? I ilu męskich figurantów? Prędzej za dziwki nas wezmą niż za samotne kobiety.

– Poczekajcie, trzeba ustalić, czy dadzą nam pić! – Magda odstawiła kieliszek na przyłóżkową szafkę. – Zanim wyemigruję, muszę wiedzieć, w co się pakuję. Zaraz wygoogluję. Gdzie... w In... diach... mo... zna... wy... pić... – sylabizowała półgłosem, stukając palcami w telefon. – Słuchajcie! „Najbardziej pijackim stanem Indii jest Goa, zakupicie tam bez problemu bajecznie tani alkohol. Wszystkie knajpy serwują drinki, piwo i mocniejsze trunki. Butelka Royal Stag kosztuje na nasze dwadzieścia złotych”... – Uniosła głowę znad komórki. – Co to jest Royal Stag?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi! – Elwira machnęła ręką. – Sprawdź lepiej, czy ten stan leży nad morzem.

– Stan... Go... a... In... die... – dukała Magda. – Jest! „Stan na zachodnim wybrzeżu Półwyspu Indyjskiego, nad Morzem Arabskim, turystyczny region...”.

– Mamy to! Znalazłyśmy swoje miejsce na ziemi! Czyli jedziemy do Indii, wynajmujemy domek na plaży, zatrudniamy gosposię, popijamy Royal Stag i czekamy, aż do drzwi zapuka Richard Gere. Ależ to banalne! – Jolka wybuchnęła gromkim śmiechem, jednak szybko zasłoniła usta i przeszła w szemranie. – Do Indii potrzeba jakichś szczepień albo wizy? Gdzie najbliższa ambasada?

– Ustalimy, gdy przyjdzie czas. Tylko pamiętaj... – Elwira po raz pierwszy ściszyła głos. – Ona z nami nie emigruje! – Wskazała wzrokiem nieruchomą kołdrę. – Drugi raz nam jej nie wciśniesz!

– Nie bądź wredna. Marta to fantastyczna i wesoła babka...

– Właśnie widzę. Leży sztywna, bo umarła ze śmiechu?

– Mówiłam wam, że niedawno mąż ją zostawił i...

– Cud, że dopiero teraz. Ja bym się z nią rozwiodła po jednym dniu.

– Trochę czasu i się ogarnie. Przejdzie fazę buntu i zaprzeczenia, a potem będzie taka sama fajna jak my: wredna, złośliwa i bezlitosna. Przysięgam!

– Myślisz...? – Elwira obejrzała się na pobliskie łóżko. – Naprawdę wierzysz, że ta kołdra z wypiętą dupą to kokon anioła?

– Sto procent! Przecież ją znam. Będzie z niej lepszy anioł niż my trzy razem wzięte. Tylko dajcie mu się wykluć.

– Zdąży do emerytury?

– Pożyjemy, zobaczymy – wtrąciła względnie pojednawcza Magda. – Żeby Jolka nie marudziła, zabierzemy Martę do Indii, ale nie zamieszka z nami w stanie Goa – uspokoiła Elwirę. – Trudno! Jakoś wytrzyma w jednym pokoju bez służby i bez wyjścia na plażę. A my będziemy ją odwiedzać raz w miesiącu i sprawdzać, czy to, co się wykluło, można już zabrać do Goa – tym razem uspokoiła Jolkę: – Czyli zabierzemy ją, ale najpierw pójdzie na kwarantannę. Pasuje?

– Pasuje! – Trzy kieliszki stuknęły o siebie zamaszycie, plamiąc hotelową kapę trzema różnymi kolorami: białym, różowym i czerwonym. A wszystko pod trzy toasty:

– Za Indie!

– Za anioły!

– Za nas!

Trzy gwiazdy z Bollywood! – Marta dusiła się pod kołdrą z gorąca i złości. Ścierpł jej prawy bok, ale postanowiła, że prędzej dostanie odleżyn, niż się poruszy, by dać im powód do kpin: „O! Jednak żyje. Jednak nie umarła ze śmiechu”; „O! Czyżby kokon pękał?”.

Niech myślą, że śpi, i niech pieprzą do rana farmazony, których nie da się słuchać ani na trzeźwo, ani po pijaku. Każde zdanie okraszały głupkowatym śmiechem, zniekształcającym słowa, więc nie wszystko rozumiała. Ale to, co dotarło do nakrytych kołdrą uszu, wystarczyło, by ją rozeźlić i na dobre wybić ze snu.

Czemu przypuszczały, że zechce wyjechać z nimi do Indii? Pomijając hindusko-emerytalny absurd, skąd przyszło im do głowy, że to one dyktują warunki i dobierają towarzystwo? Przyszło którejs do głowy, że mieszkanie z nimi, nawet w domku na plaży, byłoby dla Marty karą znacznie gorszą niż wysokość polskiej emerytury?

Z Jolką, owszem, wyobrażała sobie wspólną starość – włącznie ze zbieraniem chrustu, robieniem na drutach i pędzeniem wina „Dary Lasu” – bez hałaśliwych koleżanek nadawała się do tańca i do różańca, natomiast w połączeniu z Magdą i Elwirą nie nadawała się do niczego. Marta nie umiała wyjaśnić tego fenomenu: były bardzo do siebie podobne, więc na zdrowy rozum powinna je polubić tak samo jak Jolkę, ale czuła do nich jedynie niechęć. Postanowiła, że po powrocie do Szczecina pogada szczerze z przyjaciółką i raz na zawsze podziękuje za zbiorowe wyjazdy. Jolcia zrozumie, a może nawet się ucieszy? Też pewnie ma dość ciągłego tłumaczenia się z niechcianego gościa i pilnowania, by w nocy nie został wyniesiony z pokoju i przerzucony za płot pobliskiego sanatorium.

Kochana Jolcia! Zawsze można na nią liczyć. Szkoda, że tak ją w sądzie poniosło...

– Ona sobie żyły wypruwała! Zapieprzała, nie zwracając uwagi, czy jest zmęczona, czy coś ją boli. Od zmęczenia i bólu specjalistą był on! Ten... – Obrzuciła Roberta wściekłym spojrzeniem. – Ten leń i obibok cholerny!

– Zwracam świadkowi uwagę, że znajduje się w sądzie. Jeśli świadek nie zmieni języka, będę zmuszona ukarać panią grzywną...

– Doskonale wiem, gdzie się znajduję! Dlatego powiedziałam: „zapieprzała” i „obibok cholerny”. W innym miejscu użyłabym dosadnych określeń. Mniej delikatnych! – Jolka szarpała drewnianą barierkę, jakby chciała ją wyrwać. – Niech ten beznadziejny tchórz, zamiast spuszczać łeb, podziękuje, że tak grzecznie o nim mówię!

– Nakładam na panią karę w wysokości stu złotych za...

– Z przyjemnością! Dam pięćset, bylebym mogła wszystko do końca zeznać! Wystarczy, że na swoim rozwodzie siedziałam cicho. Na dobre mi to nie wyszło, więc teraz zapłacę, ile trzeba, ale nikt mi ust nie zamknie! Ta rozprawa to jedna wielka kpina!

– Proszę nie urządzać spektaklu, dobrze? – Zaciskające się szczęki Sfinksicy przeczyły spokojnemu tonowi. – Dlaczego uważa pani rozprawę rozwodową państwa Gawrońskich za kpinę?

– Bo każecie udowodniać człowiekowi, że nie jest wielbłądem! – Skinęła na Martę. – Co ona złego zrobiła, że ma być niby współwinna? Może za dużo pracowała? Albo przesadziła z dbaniem o... żeby nie ubliżyć... o jakieś coś, co odbiera bodźce wyłącznie przez żołądek? Pamiętam, jak kiedyś u nich byłam, podała mi na obiad drobiowe piersi upieczone z cebulką i serem. Do tego ogórki w ziołowym sosie na oliwie z oliwek. I co? Chamisko wróciło, rozwaliło buciory po kątach, siadło za stół i zamiast podziękować, pół godziny gderało! A to, że wolałyby normalną mizериę, a to, że profanacja schaboszczaka... Wysoki sędzie! W domu rodzinnym robiłam obiady dla ojca i dwóch braci. Żaden nigdy nie powiedział, że gówna nagotowałam. Jeśli im nie smakowało, jedli coś innego, ale przynajmniej okazali szacunek cudzej pracy. Nawet mój były mąż, choć niewiele dobrego da się o nim powiedzieć, pod tym względem trzymał poziom. A on? – Jolka skinęła na Roberta. – Bezwstydnny buc! Nie przeszkadzało mu, że kobieta z rozlatującym się kręgosłupem maluje za niego sufity, targa stukilowe siaty i niańczy, jakby ta męska pierdoła rąk ani nóg nie miała! Wozila go po szpitalach, opatulała bandażami i pielęgnowała symulanta! Cwaniak wykorzystywał ją przez dwadzieścia lat, a teraz udaje świętego? Rzygać się chce!

– Sprzeciw! Proszę o upomnienie świadka. Mój klient został wielokrotnie obrażony.

– Ile, dziecko, dostałaś za obronę tego zera?! – wydarła się Jolka. – Powinnaś się brzydzić każdą złotówką.

– Dosyć! – Sfinksica huknęła młotkiem. – Świadek ma natychmiast opuścić salę rozpraw.

– Z przyjemnością! – Jolka zarzuciła torebkę na ramię. – Żałuję tylko, że moja przyjaciółka musi tu zostać. Trzymaj się... – Mrugnęła do Marty. – I nie pozwól, żeby ci garby wmówili. Jesteś czysta jak łąza.

– Proszę wyprowadzić świadka.

– Spokojnie. Świadek sam się wyprowadzi... – Wyciągniętą dłonią powstrzymała idącego w jej stronę mundurowego. – Do widzenia!

Wysoki sąd na pewno posiada sumienie, więc rozgrzeszy Jolkę. A może przy okazji i nadwrażliwą pozwaną? Puściła więc mimo uszu krakanie Klaudii, bo zaufała potędze sfinksowej mądrości.

– Ledwo marzec, a już czwarty raz w tym roku ląduję na izbie przyjęć! Na bank mam guza mózgu, więc nie pieprz mi o psychosomatyce! – Wlały w siebie tyle wina, że nawet Jolka straciła przyzwoitość. – Czacha dymiła, jakbym rodziła Atenę, rzygałam po ścianach, a ty gadasz, że lekarzom dupę zawracam?! –

– Oczywiście! – Wszechwiedząca Elwira również nie miała zamiaru udowodniać swoich racji normalnym tonem. – A dostałaś kiedyś ataku migreny w środku tygodnia?! –

– Nie. Zawsze w weekend.

– No właśnie!

– Niby co?

– No właśnie, psychosomatyka! W niedzielę wieczorem mózg daje sygnał, że jutro do roboty: wyrzuca mieszankę adrenaliny z kortyzolem i wszystko przestaje cię boleć. Od poniedziałku do piątku żadnej migreny nie będzie. A w weekend... – zaśmiała się Elwira. – Ile prochów dzisiaj łyknęłaś?

– Dwa w samochodzie, dwa tu na miejscu...

Marta musiała przyznać, że coś w tym jest. Kręgosłup wielokrotnie przewracał ją na łóżko i odejmował władzę w nogach bądź rękach. Ale nigdy nie zdarzało się to w pracy. Przy pacjentach tu strzykało, tam



chrupało, ale zawsze jakoś działało...

Szybko jednak odrzuciła szansę porozumienia z Elwirą. Głównie dlatego, że za sprawą swoich psychosomatycznych wywodów przypominała jej przemądrzałą Sandrę, święcie wierzącą w reinkarnację, w syndrom reglamentacyjny oraz w spotkanie szczupłego wewnętrznego ja z otyłym ja zewnętrznym.

Porównanie z chabrową panienką nikomu nie mogło wyjść na dobre, więc Marta zatrzęsała się pod kołdrą i postanowiła, że jutro nie wróci na obiad.

Wstanę, wyłączę telefon, pójdę na długi spacer po plaży... Potem zupa rybna w tawernie i znowu spacer... Żeby się nawzajem nie męczyć... Wrócę dopiero na kolację... Na kolację wrócę... tak koło osiemnastej... wrócę... – pogubiła myśli przez ich donośny śmiech.

– Widzisz?! Zamiast zwracać lekarzom głowę, wystarczyło leżeć i czekać do poniedziałku, aż mózg znowu wywali ci koktajl z adrenaliny i z kortyzolu! – Magda jak zwykle włączyła się do dyskusji dopiero pod koniec. – Nie wiem, jak u mnie z kortyzolem, ale na adrenalinę nie narzekam. Wszak mam dziecko, prawda? – Wzięła potężny haust wina, że aż na łóżku pod oknem było słychać ruchy grdyki. – Moja córcia też wyjechała na weekend ze Szczecina. Do Nowego Warpna, ze szkolnym towarzystwem. Północ dawno minęła, a ja dostałam od niej jedną marną wiadomość. Zaraz zacytuję... Mam... O piętnastej zero siedem napisała: „Jestem w NW”. Koniec! Kur... – Zapiła przekleństwo różowym alkoholem. – Wylewność ma po ojcu!

– Odpisałaś?

– Jasne. Zdałam relację, co u nas, i zapytałam ją o pierwsze wrażenia, ale wciąż cisza. Przypomnijcie, żebym przed snem wyłączyła komórkę, bo w środku nocy pokłóci się z chłopakiem albo z chamską kumpelą i wtedy sobie o mnie przypomni.

– Standard! – Żadna życiowa sytuacja nie była w stanie zaskoczyć Elwiry. – Jeśli moja córcia nie pisze, to wiadomo, że jest git. A jeśli nie jest git, natychmiast dzwoni: „Mamo, słuchaj...”, i przez godzinę kataryna nadaje mi do ucha. – Naśladowała przewijaną w przyspieszeniu ścieżkę dźwiękową tak komicznie, że nawet schowana pod kołdrą Marta musiała się uśmiechnąć. – Trzeszczy w słuchawkę, trzeszczy... Ja tylko przytakuję, a na koniec pytam: co w związku z tym mam zrobić? Czasami trzeba po nią jechać, ale na ogół mówi: „Życie nie ma sensu, więc dobij mnie kaloriami”. Więc w te pędy piekę jej ulubioną karpatkę, a jeśli brakuje czasu, lecę po coś z drobiu.

– Udko?

– Ptasie mleczko – wyjaśniła ze śmiechem Elwira. – Działa na nią lepiej niż psychotropy. Po wciągnięciu pierwszego piętka od razu zyskuje odpowiednią perspektywę.

– To ona się nie odchudza? – Magda nigdy nie widziała nastolatki zjadającej pół pudełka czekoladek naraz. – Moja wyłącznie marchew z sałatą wpiernicza. Generalnie nie wiem, po co się tyle namordowałam z porodem. Zamiast tego mogłam sobie królika kupić w zoologicznym. Gdybym go dobrze wytresowała, też by umiał napisać esemesa: „Jestem w NW”. Dieta podobna, komunikacja również... A przynajmniej dałby się pogłaskać.

– Moja się nie odchudza. Twierdzi, że nie ma odwagi podejść do wagi.

– A moja częściej się waży, niż sika. Zastanawiam się, czy najpierw powinnam iść z nią do psychiatry, czy do urologa.

– Poradź jej, żeby inaczej się ważyła. Niech się położy na plecach, uniesie nogi do góry i położy na nich wagę. Od razu będzie zadowolona i zrezygnuje z marchewkowej diety. Jolka ma dobrze, nie? – westchnęła Elwira. – Trafił jej się syn, więc może się z nas śmiać.

– Nie śmieję się z was, tylko z tego, co mówicie. Faktycznie, obce mi tematy. Raz, że płęć, a dwa, Filip jest o dychę młodszy od waszych córek. Zobaczymy, co z niego wyrośnie. Ale bez obaw, każdy dźwiga

swój krzyż. Chwilowo mam dziennik elektroniczny...

– Jezu! Jeśli się wybiorę z moim króliko-dzieckiem do psychiatry, przy okazji ciebie zapiszę. Masz jakąś manię prześladowczą. Wiecznie o nim gadasz!

– Ewidentnie kwalifikuje się na leczenie! – Elwira natychmiast poparła diagnozę koleżanki. – Na szczęście kiedy chodziłyśmy do szkoły, nie było komórek ani Internetu. Oj, marnie by moja młodość wyglądała, marnie... Wypijmy za socjalistyczną cywilizacyjną stagnację! Do dna! – W pokoju zabrzęczały trącane o siebie kieliszki.

– Racja... Spytajcie dzisiaj mojego ojca, czym pasjonowałam się w młodości... Pardon... – Magda przeprosiła za odgłosy z żołądka, który wypił „Do dna!”. – Dam sobie głowę odciąć, że opowie wam o mojej licealnej fascynacji siatkówką. Co sobotę wyjeżdżałam na międzyszkolne i międzywojewódzkie mecze, a każde dłuższe wolne spędzałam na zgrupowaniach kadry wybitnych szczecińskich siatkarek. Jasne! Zdziwiłby się! – zarechotała wesolutko. – Codziennie po lekcjach trenowałam, ale palenie papierosów i picie kawy w Marzeniu, natomiast w weekendy grupowałam się na rozgrywki z chłopakiem. Gdyby wtedy istniały elektroniczne dzienniki, moi rodzice na pewno napisaliby skargę, że sport za bardzo mnie absorbuje, a efektem jest coraz gorsza średnia.

– Fakt. Gdyby moi starzy mieli nieograniczony dostęp do dziennika, osiemnastki bym nie dożyła! – zakwiczła Jolka. – Mieszkałam w pipidowie bez kawiarni, ale to też miało swoje plusy. Po dwudziestą zero komunikacji. A co sobotę musiałam jechać na sąsiednią wioskę, żeby uczyć się z koleżankami do klasówki. Nie miałam jak wrócić, więc zostawałam na noc. Koleżanki miały na imię Piotr. Cztery lata starszy i kupował papierosy w Peweksie. Kodzaki... takie cienkie, ciemnobrązowe ze złotym paseczkiem na ustniku... – Po krótkiej ciszy rozległo się głośne rżenie. – Gdyby się wtedy wydało, matka by mnie przez miesiąc trzymała w piwnicy o głodzie i chłodzie, a zamiast posiłków dostawałabym trzy razy dziennie wpierdziel. Ale to było niesamowite uczucie konspiracji, ciągła adrenalina... Może dzięki temu wytrzymuję dzisiaj najgorszy stres? – Znowu zamilkła, tym razem na dłużej. – Mój Filip wszystko mi opowiada, nawet to, czego wolałabym nie wiedzieć. Pewnie pogodził się ze stałą kontrolą i woli sam się przyznać... Aż mi go teraz żal. Wiecie co? Macie rację z tym elektronicznym dziennikiem. Dziwne czasy nastąpiły...

– Nie dziwne, tylko inne – poprawiła ją Elwira. – Dzieci inne, rodzice inni... Kiedy miałam osiemnaście czy dwadzieścia lat i szłam na imprezę, do łba mi nie przyszło zapytać, czy potem ktoś po mnie przyjedzie albo choćby wyjdzie na przystanek, bo ciemno. A wam?

– Przestań. Ojciec nawet by nie usłyszał, że coś do niego mówię, a matka by powiedziała, że skoro boję się ciemności, to mam im głowy nie zawracać i na tyłku w domu siedzieć.

– A ja w ramach kary za bezczelność byłabym pół roku jedyną wynosicielką śmieci i dostawcą ciepłych bułek na śniadanie.

– No właśnie. A teraz co? Pępowina się ciągnie za człowiekiem od Nowego Warpna po Nową Zelandię. Wciąż się martwisz, wozisz, przy...

– Stop! – przerwała jej Jolka. – Tylko za matką się ciągnie. Za ojcem to najwyżej ciągnie się smród palonych zelówek. Bierze nogi za pas i czasem rzuci za siebie pieniądze, żeby dzieciak się zatrzymał i zbierał kasę, zamiast go gonić. Co taki wie o pępowinie? Nie rozśmieszaj mnie!

Marta miała ochotę wychynąć ze swojej jaskini i poprosić o lampkę wina. Wreszcie zaczęły gadać po ludzku, więc z przyjemnością usiadłaby razem z nimi i podzieliła się spostrzeżeniami z porozwodowych miesięcy.

PRZEPRASZAM WSZYSTKO,  
ŻE NIE MOGĘ BYĆ WSZĘDZIE.  
PRZEPRASZAM WSZYSTKICH,  
ŻE NIE UMIEM BYĆ KAŻDYM I KAŻDĄ.

(Wisława Szymborska)

Była pewna, że rozpad małżeństwa nie wpłynie na kontakty ojca z Dominikiem, a nawet ulegną one zacieśnieniu. Wszak synalek okazał lojalność – oficjalnie nie stanął po stronie Roberta, ale zadbał, by w sądzie przemówiła jego emisariuszka. Na szczęście zeznania Mai obróciły się na korzyść Marty; w przeciwnym razie serce matki pękłoby z żalu. Nie pękło, ale i tak bolało...

Kiedy wybuchła „paryska afera”, panowie często wychodzili z domu, by spokojnie pogadać. Nie wiedziała, dokąd idą ani kiedy wrócą. Nie miało to już znaczenia, gdyż wraz z nią w rodzinnej żałobie pograżyły się wszystkie kuchenne urządzenia – komu miała gotować i po co? Niech ich karmi ta szmata!

Płacząc dniami i nocami, nigdy nie zapytała, gdzie jedzą ani co jedzą. Czy są to wysokooktanowe hot dogi na CPN-ie? Czy może domowe obiady u francuskiej francy? Nie miała pojęcia, czy Dominik już ją poznał, czy jeszcze nie. Tak więc Marta sobie płakała, a oni sobie wychodzili i przychodzili, kiedy chcieli. Nie miała do kogo otworzyć ust, więc wyła w sypialni, która teraz należała już tylko do niej. W zasadzie przez większość dnia cały dom należał do niej.

– Czemu Maja cię nie odwiedza? – zagadnęła któregoś ranka, gdy mijała się z Dominikiem w progu łazienki. – To, co jest między mną i tatą, nie powinno was dotyczyć. Nie bójcie się, nie będziemy was męczyć.

– Już tu nie przyjdzie. Zerwaliśmy.

– Ojej... Kiedy? Dlaczego?

– Doskonale wiesz dlaczego. I nie udawaj zmartwionej. Nigdy jej nie lubiłaś, to się ciesz! – Syn zatrzasnął za sobą drzwi.

Po miesiącu Robert się wyprowadził. Dominik nosił mu kartony, żeby tatusiowi dysk nie wypadł. Wrócił krótko przed północą.

– Gdzie byłeś do tej pory?

– U nich. Pomogłem się rozpakować, zjedliśmy kolację... Bo co?

Poprzysięgła, że nigdy nie odreaguje na dziecku własnych frustracji, ale nerwy zrobiły swoje. Zbyt ciężki dzień miała za sobą, by utrzymać je na wodzy.

– Ta... ta... ta kobieta – zapanowała przynajmniej nad językiem – rozbiła kochającą się rodzinę, a ty z nią kolacyjki jadasz? Gdzie masz sumienie?!

– Kochającą rodzinę? – Dominik popatrzył na matkę z litością. – Odkąd pamiętam, bez przerwy czepiałaś się taty i mu dokuczałaś. Wcale się nie dziwię, że zwiął. Zobaczylabyś, jak ona go traktuje, to...

– Milcz, szczeniaku! Zejdź mi z oczu!

– Powiedziała kochająca matka do kochanego syna? – Wzruszył ramionami. – Schodzę z oczu. Dobranoc.

Zaczęła się bać, że jeszcze dwa, trzy takie wyskoki i straci również Dominika.

Przecież Robert jest jego ojcem... – przemawiała do własnego rozsądku. – Od ponad dwudziestu lat jest nie tylko idealnym ojcem, ale i najlepszym, bezkrytycznie wspierającym go kumplem. Trzeba to uszanować. Żeby mnie krew miała zalać, słowem nie pisnę!

Dotrzymała obietnicy. Wprawdzie zostawiła w gabinecie psychologa sporą sumkę, ale było warto! Terapeutka uspokajała, że sytuacja w końcu ulegnie poprawie. Przynajmniej z punktu widzenia Marty...

– Pani mąż, delikatnie mówiąc, posiada dość prostą psychikę; odbiera wyłącznie pozytywne bodźce bezpośrednio, więc nie zachowa więzi z synem. Gdyby razem mieszkali, tatuś nadal traktowałby go jak oczko w głowie, ale tatuś się wyprowadził do nowej narzeczonej, zatem sprawa wydaje się być przesądzona.

– Nie rozumiem.

– Ten typ osobowości nie pogodzi dwóch bytów w jednej głowie. Skoncentruje się na wygodniejszym, czyli bezdzielnym, z nową partnerką. Wcześniej czy później ograniczy kontakty z synem, bo chłopak zakłóci mu obraz świata, okaże się zawadającym elementem przeszłości.

– Obawiam się, że mija się pani z prawdą. – Wysoki sąd nauczył Martę sprzeciwiać się inteligentnie. – Oni by za sobą w ogień skoczyli. Jestem pewna, że Robert nigdy nie odepchnie Dominika. Prędeż zostawi tamtą kurew! Przepraszam...

– Nie ma za co. Proszę sobie nie żałować. Tutaj może pani upuścić całą złość; z nikim się nie cackać. Nawet ze mną! – Uśmiechnięta przyjaźnie terapeutka w niczym nie przypominała Sfinksicy. – Natomiast co do syna i męża... Obawiam się, że mam rację. Z pani opowiadań wynika, że w życiu osobistym, czyli w domu i w rodzinie, mąż stosował strategię unikania problemów. Teraz także zastosuje: zamknie biografię A i przejdzie do biografii B. Połączenie obu życiorysów okaże się zbyt kłopotliwe, a on nie lubi kłopotów. Byle jemu było dobrze, prawda?

– No.

– Dlatego powoli zacznie ograniczać relacje z dzieckiem. Nie zrobi tego jednym cięciem. Nie powie: „Synu, układam sobie życie od nowa. Nie przeszkadzaj mi”. – Psycholożka pokręciła głową. – Zamiast tego zacznie robić uniki przed spotkaniami, wymyślać coraz to nowe wymówki. A to się auto zepsuje, a to ząb go rozboli, a to w pracy każą mu dłużej zostać.

– Nie wierzę! – Proroctwa szczerze rozśmieszyły Martę. – Może nieco przesadziłam z najeżdżaniem na niego? Wciąż jestem wściekła i same złe rzeczy o nim mówię... Ale grzech bym popełniła, gdybym mu coś zarzuciła jako ojcu.

– Nie musi pani wierzyć, natomiast powinna być pani na to przygotowana. Dominik dostanie niedługo bolesną lekcję dorosłości. Ciężko będzie mu się pogodzić z odseparowaniem, szczególnie że ich dotychczasowe relacje były bardzo silne. Właśnie wtedy pani pomoc okaże się nieodzowna.

– Wciąż nie wierzę, ale... gdyby... Co mam zrobić?

– Spokojnie. Nie mówimy o najbliższych dniach. – Terapeutka przerzucała kartki terminarza. – Zdamy.

– Kiedy to się stanie? – Marta patrzyła na wertowany kalendarz jak na tarota. – Za ile?!

– Nie jestem wróżką. Ale... osobowość pani męża, jak mówiłam, wydaje się raczej szampowa. – Psycholożka na chwilę oderwała wzrok od szeleszczących kartek. – Rozwód był w marcu... Teraz mamy listopad... Dziewięć miesięcy? Ojej! Czyli wkrótce coś się urodzi.

– Niech mnie pani nie strasz! Co się urodzi? Co mu pani wyliczyła?

– Jemu? On jest bezdecyzyjną, uciekającą od problemów marionetką, którą zawsze porusza kobieta,

więc skupiłam się na...

– Na tej jego...?

– Właśnie o nią mi chodziło.

– Co ona ma wspólnego z nim i z Dominikiem?

– Wszystko. Ona pisze pani mężowi biografię B i ona rozdaje za niego karty. – Terapeutka wzruszyła ramionami. – Wytrzyma programowe dziewięć miesięcy. Może dziesięć? Jest kobietą, a nie ciężarną słonicą.

– Jaśniej! Czuję się gorzej niż w sądzie! – Marta załamała ręce. – Jakie dziewięć miesięcy? Przecież ona nie jest w ciąży!

– W największym i najbrutalniejszym skrócie... Gdyby pani mąż nosił w spodniach przysłowiowe jaja, nikt nigdy nie rozdzieliłby go z synem. Każdej nowej partnerce postawiłby warunek: „Bierzesz mnie z dzieckiem i ono jest dla mnie najważniejsze”.

– Robert na pewno tak jej powiedział!

– Niewątpliwie. Wiosną w Paryżu. Czarował ją wzruszającymi tekstami o miłości do syna, a ona się zachwycała. Ale to była wiosna ubiegłego roku. A mamy listopad tego roku.

– I co w związku z tym?!

– Od rozwodu minęło dziewięć miesięcy. Jeśli jest mądrą kobietą, zorientowała się, że zamiast jaj upolowała wydmuszki, z którymi robi, co zechce, ale do ogłoszenia wyroku musiała się konspirować. Wybrała zapewne kryptonim „Cicha”. Wysłała z ukrycia dopiero wtedy, gdy sąd rozwiązał wasze małżeństwo. Czyli jawnie działa dopiero od dziewięciu miesięcy... – Długie czerwone paznokcie zastukały w kalendarz. – Rozumie pani teraz?

– Nie! – Mózg Marty przypominał gulgoczący bigos: wszystko w nim się mieszało, wrzało, parowało. Jolka, kiedy pisała jej namiary na najlepszy w mieście gabinet psychologiczny, wspominała o niebanalnej terapii, ale mogła uprzedzić, że wysłała ją do kobiety odurzonej wyziewami z polickich zakładów chemicznych. – Zechce pani wysławiać się nieco jaśniej?

– O książkowym schemacie obchodzenia się silnej kobiety ze słabym mężczyzną? – Marta przytaknęła, a terapeutka zaczęła odliczać na palcach: – Pierwszy miesiąc: podziwiać ojcowską miłość, przytakiwać i cmokać. Drugi: to samo, ale wrzucać mimochodem krótkie komentarze: „Naprawdę?!” albo „Nie do wiary!”. Trzeci: wciąż piąć z zachwytem, rozbudowując swoją rolę: „W życiu nie spotkałam równie czułego, dobrego i troskliwego człowieka jak ty. Mam nadzieję, że syn kiedyś cię doceni”. Potem zaczyna się ofensywa... – Zagięła wskazujący palec. – Czwarty miesiąc to dyskretne ataki: „Nie uważasz, że twój syn jest zbyt rozpieszczony? Żeby przy tak odpowiedzialnym ojcu wyrosnąć na kogoś, kto wciąż ogląda się na rodziców?”. On powoli przejmuje jej sposób myślenia i broni się tylko dla zasady: „Głównie matka go wychowywała. Nie miałem nic do gadania”. W piątym miesiącu całkiem się z nią zgadza: „Masz rację, kochanie, ale co ja mogę w tej kwestii...?”. W szóstym odkrywa, z drobną podpowiedzią, że dzieciak faktycznie zbyt ich absorbuje częstymi wizytami, i dochodzi do wniosku, że coś w tej kwestii może działać. Dlatego w siódmym, całkiem już samodzielnie, odwołuje kilka spotkań, bo są ważniejsze sprawy, a syn powinien w końcu dorosnąć i radzić sobie sam. W ósmym chłopak myślał, że pojedą razem na mecz albo po wymarzone adidas, ale nic z tego. Zamiast meczu i nowych adidasów dostaje opieprz: „Życie nie składa się wyłącznie z rozrywek. Zastanów się nad sobą i nad naszymi relacjami. Zdaje się, że od pewnego czasu kojarzę ci się wyłącznie z pieniędzmi. Powinieneś odróżniać ojca od bankomatu!”. A dziewiąty miesiąc? Wiadomo: odcięcie pępownicy. Zostaną sporadyczne spotkania, wymuszane przez święta, imieniny, urodziny. No i przez poczucie ojcowskiego obowiązku, oczywiście.

– W ich przypadku pani teoria kompletnie nie trzyma się kupy! – Pogadanka ubawiła Martę. –

Zapewniam, że na mecz zawsze pójdą. Byłe się urwać z domu. Mój mąż i ważniejsze sprawy? Dobrze sobie! Po wyjściu z pracy nigdy nie miał żadnych obowiązków, więc skąd by mu się teraz raptem wzięły? Niby jakie?

– Na przykład remont łazienki, zakup nowych kafelków, załatwienie fachowców, dopilnowanie ich...

– Niech mnie pani nie rozśmiesza! – Zastanawiała się, czy ta kobieta nie kupiła przypadkiem dyplomu psychologa na bazarze. – Pierdoła skończona nawet nie wie, gdzie w Szczecinie są sklepy z kafelkami. A gdyby mu jeszcze kazać znaleźć i dopilnować fachowców? Wolałby się w studni myć i po klepsku chodzić, niż dać się zatyrać na śmierć. Wciąż mi tak gadał. Prosiłam go, na przykład, o przykręcenie jednej śrubki, a on: „Chcesz mnie zatyrać na śmierć?”.

– Ale teraz jest w innym związku.

– Co z tego? Sama pani mówiła, że psychika człowieka się nie zmienia, a on jest dość sztapowaty. Więc raczej nie zamieni się nagle w kafelkowego supermena, prawda?

– Zamieni się.

– Jakim cudem?

– Ona.

– Ta zdzira?

– Jak zwał, tak zwał...

– Dwadzieścia lat nie dałam rady, a ona robi to w kilka miesięcy? Jakim cudem?

– Zanim odpowiem, zadam pani kilka pytań. Czy słusznie założyłam, że pani mąż zamiast jaj nosi w spodniach wydmuszki?

– Oczywiście! – przytaknęła Marta mściwie. – Aż w nich wiatr świszczel!

– Właśnie... Wiatr w nich świszczel, a pani je przez dwadzieścia lat miażdżyła. Natomiast ona, jeśli jest mądrą kobietą, przez kilka miesięcy robi z nich jaja Fabergé i wmówi mu, że w prostej linii pochodzi z dynastii Romanowów. Kto takiemu zabroni być supermenem? – Widząc zatkaną na amen pacjentkę, psycholożka lekko się uśmiechnęła. – Tego typu mężczyzna, odpowiednio dopieszczony, jest łatwiejszy w obsłudze od hulajnogi. Z braku własnej osobowości przejmuje ją od partnerki: mówi to, co ona, myśli to, co ona, robi to, co ona. Jeżeli oboje mają dzieci z poprzednich związków, z biegiem czasu więcej zainteresowania poświęca jej dziecku niż własnemu. Poza tym uwierzy, że od urodzenia marzył, by kupować kafle i remontować łazienki, ale nikt nie pozwolił mu rozwinąć skrzydeł.

– Ona Fabergé z wydmuszek, a ja... dwadzieścia lat miażdżyłam...? – Martę faktycznie zatkało. Niespodziewane zarzuty przywołały wspomnienia absurdalnych sądowych rozpraw. – Ja mu jaja miodem smarowałam i znowu jestem czemuś winna? Czy wy w zмовie jesteście, do cholery?! Gdziekolwiek pójdę, wszędzie się mnie czepiają. Powariowaliście wszyscy?!

– Zdaje się, że dotarliśmy wreszcie do właściwego początku. Że tak powiem, do dna terapii, od którego możemy się odbić. Bardzo mnie cieszy, że sama pani zauważyła, iż nie jest w tym wszystkim bez winy.

– Słucham?!

– Przyszła tu pani, by szukać pomocy w nawiązaniu więzi, a także by ułożyć w głowie życie, które panią przerosło. Tak przynajmniej mi pani powiedziała na pierwszej wizycie.

– Bo to prawda!

– Więc proszę wierzyć, że uda nam się to jedynie wówczas, gdy skupimy się na pani, a nie na innych osobach. Musimy panią przerobić jak podręcznik, strona po stronie. Znaleźć czarne plamy i białe plamy. Naprawić czarne i wzmocnić białe. To pani musi się zmienić, by nie powielać złych nawyków w dalszych kontaktach, zarówno z synem, jak i z innymi ludźmi.

– O jakich czarnych plamach i moich złych nawykach pani mówi?

– Wiara we własną nieomyślność i bezgrzeszność, brak tolerancji dla cudzych słabostek... – Wylizanie znowu towarzyszyło zaginanie palców. – Wygórowane wymagania w stosunku do siebie i do innych...  
– Aha! Czyli ja jestem winna? Rewelacyjna terapia! Nie do wiary, że za nią płacę! – Marta poderwała się z fotela. – Dziękuję!  
– Nie zmierzy się pani ze światem, dopóki nie posprząta własnego podwórka. Uprzedzałam, że czeka nas długa i trudna droga, rozszarpywanie przeszłości...  
– Zapewniam, że na moim podwórku jest czysto. A pani nigdy mi nie pomoże! – Wkładała w pośpiechu płaszcz. – Wedle uczonej teorii z pani kalendarza zaraz minie dziewięć miesięcy i nastąpi dramat, a ja panią zapewniam, że na żadne odcięcie pępownicy się nie zanosi! Nie zna ich pani. Dlatego gada bzdury!  
– Oni są poza kontekstem. To ona rozdaje karty. Być może pomyliłam się w obliczeniach, ale prędzej czy później teoria się sprawdzi. Wbrew pozorom psychologia i fizjologia są ze sobą powiązane. Kobieta wytrzymuje w niewygodnym, choć niby błogosławionym stanie, około dziewięciu miesięcy. Ale nie o nich teraz chodzi. Chodzi o panią...  
– O mnie proszę się nie martwić. Żegnam! – Marta strzeliła drzwiami i uciekła od kolejnej wrednej baby. Doprawdy, jakby się zmówiły.  
Nim dotarła do domu, odebrała esemesa: „Ma pani prawo się na mnie złościć i przerwać terapię. Gdyby moje przepowiednie jednak się sprawdziły i nie wiedziałyby pani, co z tym zrobić, zapraszam”.  
Gównie się sprawdzi! – miała powyżej uszu jałowych dyskusji z pożałuj Boże psychoamatorką...  
– Zjadłbym coś. – Dominik zajrzał pewnego wieczora do wielopoziomowej lodówki. – Nic nie ma?  
– Są wędliny, ser, pomidory...  
– Ale na ciepło bym zjadł.  
– Skąd mogłam wiedzieć, że będziesz dzisiaj w domu. Nie wychodzisz z ojcem?  
– Nie... – Drzwi lodówki bujały się w lewo i prawo. – Nawet żadnej sałatki nie zrobiłaś? Czemu?  
– Komu mam robić? Sobie?  
– Też bym zjadł... – Chłopak kiwał się na boki, jakby tańczył z uchyloną chłodziarką.  
– Zamknij, bo się przeziębisz! – Patrzyła na niego z mieszaniną litością i złości. – Wykapany tatuś: „Daj, zrób, zgadnij, na co mam ochotę”! Tramwaj go przejechał, że tu jesteś?  
– Nie wiem. Może przejechał. – Dominik wzruszył ramionami. – Długo się nie odzywa.  
– Dzwoniłeś do niego?  
– Dzwoniłem. Jakiś nienormalny ostatnio się zrobił...  
– A który z was jest normalny? – Odepchnęła syna. – Albo coś bierz, albo zamykaj! Lodówkę rozmroziysz!  
– Zrób mi coś. Umieram z głodu.  
– To jazda do tatusia i tej jego... pani! Od roku przesiadujesz tam częściej niż we własnym domu, a teraz: „Zrób mi coś”? Co to? Stoliczku, nakryj się?  
– Znowu się drzesz.  
– Gdyby tatuś raczył odebrać telefon i poszlibyście w miasto, miałbyś w dupie i mnie, i zawartość lodówki! – Jeszcze bardziej podniosła głos. – Ale tatuś nie raczył! Daj Boże, że wpadł pod tramwaj, choć wątpię. Prędzej komórkę pierdoła zgubiła... – Machnęła ręką. – Nieważne! Ważne, że ty głodny, a ja mam natychmiast cię karmić. Czymś na ciepło, ot tak: pstryk! – Zagryzione usta Dominika odczytała jako niemy wyrzut: „znowu się drzesz”. – Drę się! I będę się darła! I nic ci nie zrobię na kolację! Ale z głodu nie umrzesz. Masz wszystko do kanapek... – Przycichła, widząc wbite w nią oczy. – Ser, wędlinę, warzywa... Sam sobie zrób... – dokończyła niepewnie. – Dość traktowania mnie w ten sposób.  
– W porządku. Tylko przestań krzyczeć i płakać.  
– Co? – Otarła policzki. – Nie płacę. Drę mordę! – Próbowwała zapanować nad łamiącym się głosem.

– Tata nie jest niczemu winny...

– Oczywiście! Jakże tata mógłby być czemuś winny?! – Bardziej rzuciła, niż wyłożyła chleb. – Rób kanapki i mnie nie wk... – Ugryzła się w język. – A na przyszłość uprzedzaj, kiedy zostajesz w domu na obiad albo na kolację.

– Skąd mam wiedzieć? Najpierw się umawia...

– Zrozumiesz wreszcie, że mam was gdzieś? Koniec z usługiwaniem!

– Mamo...

– Nie czaruj! Myślisz, że głupia jestem? Że nie wiem, czemu się przymilasz? Bo ci się nie chce nawet chleba masłem posmarować! Milcz! – Uniosła palec, kiedy syn próbował otworzyć usta. – Skończyło się babci sranie! Rób kanapki, żryj i daj mi spokój! Jesteś taki sam jak twój głupi ojciec! Może powinieneś się do niego wyprowadzić? Wprawę już masz; dobrze ci szło z targaniem jego kartonów. To jazda! Pakuj teraz swoje i wynocha! Niech tam ci robią sałatki i kolacyjki na ciepło! – Puściły hamulce i zanim rozum wrócił, wyrzygała synowi wszystko, włącznie z pretensjami o wysłanie Mai na sprawę rozwodową. – Czy zastanawiałeś się, co ja wtedy czułam?! Może byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, co szykujecie. Ale nie! Knułeś za moimi plecami, jakbym była twoim najgorszym wrogiem! A co ja ci zrobiłam?

– Nic. Chciałem pomóc tacie...

– W czym, do cholery? W rozwalaniu rodziny? Milcz! – Ponownie uniosła palec. – Okej! Niech będzie. Wtedy ty mu pomagałeś, niech teraz on pomoże tobie! Zapamiętaj: albo samoobsługa tutaj, albo wyprowadzka do ojca. Zrozumiano?! Bo ja mam ciebie dość!

– Masz mnie dość?

– Jak każdy na dłuższą metę! Myślisz, że dlaczego Maja kopnęła cię w tyłek?

– Razem podjęliśmy decyzję...

– Dzieciaku! Takie bzdury możesz opowiadać ojcu i tej jego...! – prychnęła. – Rozmawiałam z Mają. Przyszła mnie przeprosić, wypiliśmy kawę, pogadałyśmy... – Z satysfakcją obserwowała blednącą twarz syna. – Prawda jest taka, że to ona cię zostawiła. Nie było żadnej wspólnej decyzji. Dzwoniłeś do niej, błagałeś, obiecywałeś gruszki na wierzbie... Czemu się tym nie pochwaliłeś? Czemu kłamiesz? – Widząc spuszczoną głowę, odpowiedziała za niego: – Bo jesteś wykapany tchórzliwy tatuś!

– Nie mów tak! – chłopak przekrzyczył matkę. – Naprawdę się wyprowadzę!

– A kto cię trzyma? – Wskazała drzwi. – Droga wolna!

Następnego dnia wyszedł z domu i nie wrócił. Nie zabrał nawet szczoteczki do zębów, ale Martę średnio to obeszło. Przecież tatuś z pewnością zadba o wygody syneczka. A jego zdzira zacznie wylażać ze skóry, żeby przeciągnąć Dominika na swoją stronę. Poda trzy ciepłe posiłki do wyboru i wysłucha, jaki podły los – zamiast kolacji – zgotowała mu zła matka.

Serce bolało od samego myślenia o podobnym scenariuszu, ale Marta naprawdę miała dość. Także własnego dziecka. Czuła się zaszczuta, odepchnięta, niechciana... Marzyła o kilku dniach samotności. Trudno! Niech się dzieje wola nieba – najwyżej umrze pod kołdrą od zachłyśnięcia się łzami, ale przynajmniej dokona żywota godnie, w iście literackim cierpieniu: bez wrzasków i awantur.

Sowicie zakrapiane łzami oczekiwanie na wolę nieba przerwało pojawienie się kuriera, który uparcie domagał się opłaty tudzież podpisu Dominika.

– Da mi pan wreszcie spokój? Ile razy mam powtarzać, że on tu już nie mieszka i że niczego nie będę za niego płacić? – Spojrzała z niechęcią na pokaźny pakunek. – Co to w ogóle jest?

– Według faktury obuwie sportowe.

– Tym bardziej nie reflektuję. Nie uprawiam sportu, a poza tym buty będą na mnie o sześć numerów za duże. Żegnam i proszę mnie więcej nie nachodzić, bo wezwę policję!



– A gdzie mogę znaleźć pana Dominika Gawrońskiego? Pod jakim adresem?

– Nie znam adresu. – Zaczęła przymykać drzwi. – Na pewno podał numer telefonu. Niech pan zadzwoni. I odczepi się ode mnie raz na zawsze! Do widzenia.

– Od wczoraj dzwonię bez przerwy, ale nikt nie odpowiada. – Drzwi stawiały opór. – Jeżeli kupujący nie odbierze przesyłki...

– Jak to nie odpowiada? Od wczoraj? – Marta spoglądała podejrzliwie na kuriera. – Może źle zapisał pan numer?

– Może? Zechce pani sprawdzić? – Wskazał na przyklejoną do paczki karteczkę. – Zgadza się?

– Tak... – potwierdziła, gdy odczytała znany na pamięć dziewięciocyfrowy ciąg cyfr. Zagryzła paznokcie, aż ją zęby rozboleły. A jeśli stało się coś złego? – Niech pan wejdzie i poczeka... – zaprosiła doręczyciela do przedpokoju i wskazała mu pikowane siedzisko. – Spróbuję. Może ode mnie odbierze?

Dominik wyprowadził się cztery dni temu. Nie kontaktowali się w tym czasie nawet esemesowo. Podejrzewała, że rozkoszuje się sielanką w nowej rodzinie, więc być może odrzuci połączenie od podłej matki. A jeśli nie odrzuci?

Kiedy kurier przysiadł na pufie, Marta zamknęła się w sypialni, by nie słyszał jej żenującej rozmowy z synem, ale niepotrzebnie obawiała się kompromitacji. „Tu Dominik. Wiesz, co robić” – uzyskała połączenie tylko z pocztą głosową. Ani myślała się nagrywać.

Westchnęła i obejrzała się na drzwi. Przez mleczną szybę widziała sylwetkę dostawcy. Umiłał sobie czekanie równomiernym kiwaniem się na wszystkie strony. Może też go boli kręgosłup? Spojrzała na komórkę, westchnęła i z odrazą wyszukała numer Roberta. Od ponad roku nie rozmawiała z mężem... z byłym mężem. Kilka razy chciała go wyrzucić z telefonu, ale łączyło ich przecież wspólne dziecko, czego żaden rozwód nie zmieni... Oboje zawsze będą syna kochać najbardziej na świecie, nawet jeśli od początku mieli odmienne poglądy w kwestii wychowania.

Bez względu na poziom gniewu Marta nie odważyła się usunąć Roberta z telefonu. Musiała mieć z nim kontakt, gdyby coś się działo. Gdyby Dominik zachorował albo zaczął brać dopalacze, albo... gdyby wyprowadził się do ojca i zapomniał zmienić adres w sklepie internetowym. Beztroski idiota!

– Co się stało? – Robert odebrał po pierwszym sygnale. Czyli wie, kto dzwoni. Też nie usunął jej z książki adresowej. Również ma świadomość, iż mimo rozvodu są w pewnym sensie skazani na siebie aż do śmierci.

– Mógłbyś przypomnieć Dominikowi, że zamówił adidas? Nie odbiera telefonu, a buty właśnie przyszły i kurier chce ode mnie wasz adres – wyrzuciła na jednym oddechu.

– Jakie buty?

– Skąd mam wiedzieć? Są w zaklejonym pudełku. Nie mam rentgena w oczach! – zareagowała złością na pogubiony i rozwlekły głos Roberta. Jakby déjà vu doznała: ta rozdziawiona gęba, ten głupkowaty uśmiech... – On na pewno będzie wiedział jakie. Powiedz, że albo tu zaraz przyjdzie i za nie zapłaci, albo podaj mi adres.

– Jaki adres?

– No twój... Wasz...

– Nasz adres?

Miała dość otaczających ją zewsząd niedorozwiniętych ludzi. Czas rozprawić się z nimi raz na zawsze.

– Daj go do telefonu!

– Kogo?

– Dominika!

– Skąd ci go wezmę? Od ponad miesiąca się z nim nie widziałem... Dzwonił pięć, sześć dni temu... nie pamiętam dokładnie... Nie wspominał o żadnych adidasach. Marta, nie rozumiem, dlaczego chcesz

odprawić kuriera pod mój adres. Co ja mam z tym wspólnego? Wysyłam przecież co miesiąc alimenty na konto Dominika. Tysiąc złotych za mało na jedne buty? Zamówił, niech płaci. Ma z czego.

– Oczywiście. – Zachowanie normalnego tonu wymagało jeszcze więcej siły niż wykonanie tego połączenia. – Myślałam, że jest u ciebie. Widocznie skoczył z kolegami na piwo.

– Wyłumacz mu, że albo wydaje kasę na piwo, albo na adidas. Połowa polskich rodzin żyje za tysiąc złotych miesięcznie. Regulują rachunki, kupują jedzenie, odkładają na czarną godzinę. A jemu nie wystarcza na własne wydatki? Ile jeszcze chce się...

– Muszę kończyć. Zdaje się, że Dominik wrócił. Na razie! – Rzuciła telefonem i wytarła rękę o sweter z takim obrzydzeniem, jakby przed chwilą trzymała śliskiego węża.

Po wyjściu z sypialni posłała kurierowi przepaszający uśmiech, wcisnęła mu w dłoń pięć stówek, a gdy chciał wydać resztę, zaprotestowała.

– Nie trzeba. Napiwek za fatygę oraz zamieszanie... – Otworzyła przed nim drzwi. – Co złego, to nie ja. Do widzenia panu!

Osunęła się na pikowane siedzisko. Gdzie jest Dominik?

GDY SIĘ CIĄGLE ŻYJE  
NAD BRZEGIEM PRZEPAŚCI,  
JUŻ SIĘ JEJ NIE DOSTRZEGA.

(Pola Negri)

– Cześć, Maja.

– Dobry wieczór.

– Może nie w porę?

– Spoko. Mogę gadać.

– Wybacz za zawracanie głowy.

– Co się stało?

– Dominik kilka dni temu wyprowadził się z domu. Byłam pewna, że do ojca, ale właśnie się dowiedziałam, że od miesiąca się nie widzieli. Nie wiem, gdzie jest i czy w ogóle żyje. Od zmysłów odchodzę...

– Żyje. Niech się pani nie martwi.

– Bogu niech będą dzięki! – Wielki gład stoczył się z matczynej piersi. – Czyli do ciebie się wyprowadził, a nie do ojca?

– Bez przesady... – Dziewczyna lekko się nadała. – Nie wiem, dokąd się wyprowadził, ale żyje. Widziałam go dzisiaj na wykładzie z historii architektury współczesnej.

– A gdzie on mieszka?

– Nie mam pojęcia. Pewnie waletuje w akademiku albo na czyjejs stacji.

– Nie pytałaś go? – Marta bezwiednie podniosła pełen żalu głos. – Został zupełnie sam! Na pewno potrzebuje przyjaznej duszy...

– Średnio mnie to interesuje. Też zostałam sama i nie każę nikomu nade mną skakać. Niestety, nie powiem pani niczego więcej o Dominiku. Zmieniłam grupę, widuję go tylko na wspólnych wykładach, ale trzymamy się od siebie z daleka; zero kontaktu.

– Wybacz. Nie myśl, że mam pretensje... – Dobrze kilka minut poskramiała złośnicę. – Kiedy macie następny wykład z historii współczesnej albo z czegoś innego? – zagadnęła przyjaźnie, gdy wreszcie się uspokoiły i nawzajem sto razy przeprosiły za brak kontroli nad emocjami. – Muszę z nim porozmawiać.

– Chce pani przyjść na uczelnię?

– Widzisz inny sposób? Wyłączył komórkę.

– Odradzałabym. Jak mu pani narobi obciachu przed ludźmi, jeszcze bardziej się wkurzy.

– Matka szukająca syna, który uciekł z domu, to obciach? – znowu bezwiednie się uniosła. – Gdzie wy macie serce? Co wy macie w głowach?

– Na mój gust znacznie więcej niż nasi rodzice! Gdybym dorównywała głupotą mojej mamusi, Dominik siedziałby teraz obok mnie. Nieważne jaki: pijak, cham, pierdoła, zimny leszcz. Byleby był! – Maja ze swadą odparowała atak. – Chwilowe zamroczenie każdemu się może zdarzyć, ale całe życie z byle

kim zmarnować?! Chyba faktycznie mam serce gdzie indziej.

– Wybacz. Źle się wyraziłam... – Marta nawet nie próbowała zrozumieć pyskatego dziewczęcia. Przecież Dominik nie był ani pijakiem, ani chamem, ani pierdołą. Czyli, na zdrowy rozum, powinien teraz siedzieć obok Mai. Ale nie siedział. Trudno! Grunt, żeby ustalić, gdzie przesiaduje od czterech dni, i poważnie z nim porozmawiać.

– Majeczko, błagam! – zaapelowała po kolejnej serii wyjaśnień i przeprosin. – Wymyśl coś!

– Dobra... – Dziewczyna, zmiękczona pokorą, postanowiła pomóc starej histeryczce. – Ale robię to wyłącznie dla pani! Bo jemu akurat przydałby się solidny kop w tyłek i kilka dni życia na własny rachunek. Niech się pani zastanowi, czy warto od razu lecieć i go przytulać? Może niech dostanie po dupie, to zacznie myśleć i wreszcie stanie się mężczyzną, a nie czterolatkiem? Przecież on samodzielnie tylko sika i myje zęby.

– Zrozumiesz, gdy będziesz miała własne dzieci. – Krytyka bolała, ale Marta nie mogła pozwolić sobie na złośliwą ripostę. – Zobaczysz! Też zrobisz wszystko, by uchylić im nieba.

– Dobra! Mniejsza z tym! – Maja uznała, iż szkoda czasu na resocjalizację kogoś, kto urządza sobie piekło, by uchylić nieba innym. – Jutro zagadam do niego przed wykładem z teorii ochrony zabytków. I powtarzam, wyłącznie dla pani to zrobię.

– Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczna! – Nie wnikała, czy oprócz teorii uczą ich również praktycznej opieki nad zabytkami. – Co mu powiesz?

– Powiem, że jeśli jutro do pani nie zadzwoni, to pojutrze urządzi mu pani wjazd na wydział. Powinno pomóc.

– Czyli zadzwoni do mnie?

– Tak myślę.

– Postaraj się go przekonać. Majeczko, błagam cię! Powiedz mu, że na niego czekam!

– Dobrze.

Następnego dnia odebrała upragniony telefon o siódmej pięćdziesiąt rano.

– Cześć. Czego robisz dym? Po cholere mnie szukasz? Przecież marzyłaś, żebym się wyprowadził. Streszczaj się. Zaraz mam teorię zabytków.

– Domiś!

– Nie czaruj. Myślisz, że głupi jestem?

– Dominik, wróć do domu. Czemu nie powiedziałaś, że z tatą się od miesiąca nie widziałeś? Byłam pewna, że...

– Nie mogę teraz gadać!

– Ja tym bardziej... – Obserwowała czujnie pacjentów, z którymi akurat pracowała; część z nich okazywała rosnące zagubienie.

Personel miał zakaz korzystania z telefonów, gdyż każdy obcy dźwięk i każda zewnętrzna rozmowa mogły wytrącić chorych z równowagi. Marta przestrzegała regulaminu, ale dzisiaj musiała go złamać – przemyciła komórkę w kieszeni kitla.

– Mam nadzieję, że tylko straszylaś? Nie będziesz mnie ganiać po uczelni?

– Będę. Zobaczysz, że obciachu ci narobię. – Głaskała podopiecznych po ramionach i uśmiechała się do nich szeroko, przez co wesoły ton, na jaki się siliła, zabrzmiał naprawdę szczerze. – Chyba że przyjdiesz dzisiaj na obiad i porozmawiasz ze mną jak z człowiekiem.

– Nie dam rady. O piętnastej jestem umówiony z promotorem. Pewnie, jak zwykle, godzinę się spóźni, drugą godzinę ponudzi, a potem zacznie truć, co muszę doczytać – stękał Dominik. – Zapieprz, że szok, a ty mi jeszcze dokładasz!

– Dwudziesta? – Szybko sumowała w pamięci godziny profesorskiego spóźnienia, nudzenia i trucia.

– To już bardziej...

– Co chcesz na kolację?

– Obojętne... – rzucił nonszalancko. – Ale gdyby zostały ci jakieś żeberka albo leczo...

– Zobaczę, co da się zrobić... – odpowiedziała równie lekko.

Tylko się z nim droczyła. Wiedziała, że do dwudziestej da radę zrobić jedno i drugie.

Szykując kolację, poruszała się, jakby urosły jej skrzydła u ramion.

W życiu by się nie spodziewała, że Dominik tak szybko je podetnie. Oczekiwała cudownego wieczoru, podczas którego ona nakarmi go leczo i żeberkami, a on w zamian uraczy ją gorącymi przeprosinami i szczerą skruchą. Niestety...

Smarkacz ani myślał oczyścić brudne sumienie, a na dodatek miał minę, jakby swoją wizytą uczynił jej wielką łaskę: zachowywał oficjalny chłód i nawet dochodzące z kuchni zapachy nie wywoływały choćby jednej ciepłej iskry w jego oczach.

Natychmiast dopadły ją wspomnienia i gorzkie wnioski z minionych dwudziestu lat – jest służącą, od której wymagają, ale nie dają nic w zamian.

Pohamowała rosnący gniew. Zamiast krzyczeć, rzucała ironiczno-żartobliwymi komentarzami w stylu: „Chwała Bogu, że nie kupiłeś żadnych kwiatów. Przynajmniej mam o jedno zmartwienie mniej. A ja, głupia, zastanawiałam się, jaki wazon przygotować: kupisz na przeprosiny różę czy może bukietik konwalii? Powinnam przewidzieć, że kto jak kto, ale kochany synek zmartwień mi nie dołoży!”.

Liczyła, że zaczepnymi tekstami naprowadzi go na właściwy trop i doczeka się wreszcie tego magicznego słowa. Niestety... Dominik tylko przewracał oczami i stroił miny, więc nadwyreżone hamulce w końcu puściły – Marta dała upust matczynemu gniewowi. Nim zegar wybił dziewiątą wieczór, siedziała już sama, lejąc rześiste łzy na nietknięte półmiski ze smakowitościami i na banknoty stużłotowe, które Dominik rzucił na stół, po czym zabrał dostarczone dzień wcześniej adidas.

Gdy rozpacz ustąpiła miejsca rozsądkowi, wydzwaniała do niego co minutę. Nie odbierał. Postanowiła skontaktować się z Mają. Dziewczyna odrzuciła połączenie, za to wysłała esemesa: „Bardzo Pani współczuję. Proszę jednak nie wplątywać mnie więcej w Wasze rodzinne relacje. Pozdrawiam i życzę jak najlepiej”.

Ty mała gnido! – Marta aż się zatrzęsała ze złości. – Mieszkałaś u nas, jadłaś, spałaś, wbijałaś gwoździe w debilną deseczkę i w mój zmęczony łeb, wylałaś hektolitry wody na poranne i wieczorne kąpiele... A teraz nie życzysz sobie wplątywania w nasze rodzinne relacje i zbywasz mnie esemesem? Pomocy! Jolka, wracaj ze szkolenia! Muszę z kimś pogadać!

Przypomniała sobie ekscentryczną psycholog. Przecież sama prosiła, by Marta wróciła na terapię, gdy przerośnie ją brutalna rzeczywistość. Odnalazła wizytówkę i nie bacząc na późną porę, wybrała numer podany w kąciku białej karteczki.

– Witam, pani Marto. Cieszę się, że pani dzwoni.

Jezu! Nie dość, że ktoś wreszcie odebrał telefon, to jeszcze się cieszy? Szkoda tylko, że to obcy człowiek...

– Halo! Pani Marto! Jest pani na linii?

– Jestem – wychrypiała. – Skąd pani wie, że to ja?

– Z wyświetlacza na komórce. Mam tu wszystkich pacjentów.

– Przecież... zrezygnowałam z terapii... Nie usunęła mnie pani? Bo ja panią wykasowałam... Dobrze, że wizytówki nie wyrzuciłam... Przyjmie mnie pani z powrotem? – dukała. – Strasznie mi wstyd. Wszystko się sprawdziło. Przepraszam...

– Niechże pani nie przeprasza! – Głos w słuchawce brzmiał ciepło i przyjaźnie. – Silne emocje często

zmuszają nas do natychmiastowej ucieczki. Tak reaguje wielu pacjentów.

– To już się nie powtórzy.

– Nawet gdyby się powtórzyło, najważniejsze, żeby potem znowu pani do mnie wróciła; zadzwoniła, napisała wiadomość. Gratuluję z całego serca.

– Czego mianowicie?

– Odwagi. I potrzeby działania.

– Żartuje pani? – Marta wiedziała, że przypomina żalostną kupkę nieszczęścia.

– Absolutnie! Koniec z uciekaniem, prawda? Znalazła pani w sobie odwagę, żeby się zatrzymać i stanąć twarzą w twarz z problemem. Rozwiązać go. Dlatego pani zadzwoniła.

– Czy ja wiem...? – Marta wolała trzymać się faktów. – Po prostu nie mam z kim porozmawiać...

– O kim chciałaby pani porozmawiać? – terapeutka weszła jej w słowo.

– O mnie – wykrztusiła w końcu Marta. – Chciałabym wiedzieć, co robię nie tak.

– Jeszcze raz gratuluję odwagi. Może być pani z siebie dumna!

– Że coś robię nie tak?

– Zajrzała pani w siebie. Pewnie na razie tylko przez malutką szparkę, ale wystarczy. Wsuniemy nogę w uchylone drzwi, a potem wdrzemy się do środka. Wpadnie pani do mnie?

– A kiedy są wolne terminy? – Marta spanikowała: wdzieranie się do środka brzmiało dość brutalnie, ale miała nadzieję, że duchowa wiwisekcja zostanie odwleczona w czasie. Przecież kalendarze wziętych specjalistów pękają w szwach.

– Jutro o dwudziestej pierwszej?

– Jutro? – odchrząknęła, żeby zamaskować panikę. – Znaczy... tak późno?

– Nie ma co czekać: chwycimy byka za rogi. Ucieczka nie ma sensu. Byk i tak panią dogoni.

– Byk mnie dogoni? – Do paniki dołączyło zwątpienie: czy dziwacznie metaforyczna kobieta rzeczywiście potrafi jej pomóc? Może lepiej poczekać na powrót Jolki? Przyjaciółka wysłucha, pogłaska po głowie i na pewno nie będzie jej straszyć Pampeluną w Szczecinie. – Dwudziesta pierwsza? Bardzo późno... Wstaję do pracy na siódmą, więc o dwudziestej pierwszej leżę już w łóżku.

– Mogę panią przyjąć dopiero po ostatnim zapisanym na jutro pacjencie. Rzeczywiście późna pora, ale inaczej się nie da.

– A w przyszłym tygodniu?

– W przyszłym tygodniu i w następnym miesiącu też dysponuję wyłącznie godziną dwudziestą pierwszą.

– No to może za dwa miesiące? Żebyśmy koło siedemnastej weszła.

– W porządku – westchnęła terapeutka. – Zajrzę do terminarza. Zapraszam o szesnastej bądź siedemnastej dnia... – W tle słychać było szelest kartek i mamrotanie. – Tu dwudziesta... Tu też za późno... Tu jestem na sympozjum... Dwudziesta trzydzieści, czyli odpada... Konferencja we Wrocławiu, nie ma mnie... Zobaczmy dalej...

– Proszę nie szukać! – przerwała jej Marta. – Będę jutro. Muszę jak najszybciej się dowiedzieć, co źle robię, a żadna koleżanka nie powie mi tego tak jasno jak pani.

– Niczego nie robi pani źle. Wręcz przeciwnie: wszystko robi pani za dobrze. Nad tym popracujemy i tego właśnie trzeba panią oduczyć.

– Od roku mi wmawiają, że byłam złą kobietą, a teraz się okazuje, że jestem zbyt dobra? Paranoja!

– Raczej rzeczywistość. Przegadamy szczegółowo temat, gdy spotkamy się w moim gabinecie. A na dzisiejszy wieczór i jutrzejszy dzień zadaję pracę domową. Proszę powtarzać: „Nie muszę być idealna. W ogóle niczego nie muszę. Ewentualnie mogę. O ile mi się zachce”.

– Słucham? Nie rozumiem...

– Podobnych rzeczy się nie rozumie. To się przyjmuje jak dogmat i wyznaje. Nad tym właśnie będziemy

pracować.

Praca była ciężka. Czasami przykra, częściej jednak przyjemna i budująca. Wprawdzie nie dokonał się cud uzdrowienia, ale Marta nauczyła się radzić, a nie wadzić z rzeczywistością – rozumieć i akceptować pewne zachowania, swoje i innych. Oswoiła się z napadami płaczu, które wcześniej ją przerażały. Teraz wiedziała, że ma do nich prawo, i próbowała je nawet polubić – kojarzyć z oczyszczającą, ożywczą kąpielą.

– Większość ludzi przynajmniej raz na dobę myje całe ciało, ale niestety mało kto dba o higienę wnętrza. A przecież umysł i dusza brudzą się tak samo jak nogi i śmierdzą gorzej niż spocone pachy – przekonywała terapeutka. – Mózg też trzeba sobie od czasu do czasu porządnie wyszorować. Nawet lepiej niż ciało, bo jest podatniejszy na odciski i pryszcze, więc peeling mu się przyda. Płacz lub konstruktywny gniew świetnie się do tego nadają.

– Nic nie rozumiem. – Marta wzruszyła ramionami. – Dwa dni temu mówiła pani, że mam przewagę procesów... co ja mam?

– Ośrodki pobudzania przeważają u pani nad ośrodkami hamowania.

– Właśnie! Mówiła pani, że to źle, bo przez ośrodki pobudzania wybucham gniewem. A teraz każe mi pani wybuchać, żeby mózg wyszorować. To w końcu wybuchać czy nie wybuchać?

– Z gniewem jest jak z cholesterolem: może być dobry, może być i zły – wyjaśniła z uśmiechem psycholożka. – Dobry gniew to taki, który pani służy: wraca pani do domu i żeby rozładować emocje, tłucze z hukiem kilka talerzy, wyobrażając sobie, że są ludźmi lub sytuacjami, które doprowadziły panią do tego stanu. I dobrze: mózg wyszorowany, a talerz ani podłoga nie odpłacą pięknym za nadobne. Natomiast zły gniew to taki, który szkodzi nie tylko pani, ale również rodzinie, przyjaciołom, sąsiadom: wraca pani do domu i żeby rozładować emocje, traktuje ich wszystkich jak talerze. Wtedy nie jest dobrze: bliscy albo odpłacą tym samym, albo odejdą. Jedni za pierwszym razem, drudzy za sto pierwszym, jeszcze inni za tysiąc pierwszym. A do tego zły gniew jedynie pozornie czyści mózg. W rzeczywistości bardziej go brudzi.

– Niby czemu? – skrzywiła się Marta.

– Z natury nie chcemy przecież ranić ludzi, których kochamy i lubimy, prawda?

– Bo ja wiem? – Przysięgła sobie szczerą, szczerą i jeszcze raz szczerą, więc nie mogła teraz kłamać. – Czasami chciałam im dopiec do żywego.

– Zapytam inaczej. Czy leżąc wieczorem na kanapie i planując następny dzień, pomyślała pani: „Jutro na obiad będą mielone, a po obiedzie będzie awantura. Tak im dam popalić, że kacie pogubią!”.

– Nie!

– Otóż to! Nie chciała się pani z nikim kłócić, ale nagle ktoś coś zrobił nie tak. Nerwy puściły i poszło! – Terapeutka wyrysowała w powietrzu wielką falę. – Wyzwiska, pretensje, krzyki, dopiekanie do żywego na wszelkie sposoby. A potem...? – Dłoń kreśląca falę gwałtownie opadła. – Ciche dni: zacięte milczenie, ostentacyjny chłód i wzajemna obojętność.

– Jakby pani przy tym była – przyznała niechętnie Marta. – Co z tego? We wszystkich domach tak jest. Wiem od koleżanek.

– Rozmawiamy o pani, nie o koleżankach.

– To wróćmy do szorowania mózgu złym gniewem. – Marta powoli przyswajała psychologiczne przenośnie. – Czemu brudzi, zamiast wyczyścić?

– Bo mózg nie włącza trybu: „ciche dni”. Usta milczą, ale on zapiernicza pełną parą i przerabia dane. Kiedy wszystko, co najgorsze, zostało wykrzyczane, a złe emocje gasną, człowieka dopadają wyrzuty sumienia. Wszak skrzywdził kogoś bliskiego: ubliżył mu, brutalnie wytknął ułomności, obniżył jego

wartość. Uuuu...! – Terapeutka popukała się w skroń. – Wyrzuty sumienia bardzo nie pasują naszemu mózgowi, więc musi się ich jak najszybciej pozbyć. Ma dwie drogi. Pierwsza to posypać się popiołem: „Przepraszam, kochanie. Wiem, że czepiam się drobiazgów, na które szkoda życia. Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa. Zrozum, że się wściekłam, kiedy powiedziałeś... kiedy zrobiłeś... Czy mógłbyś na przyszłość...”. – Palce rysowały w powietrzu wielokropki. – Jednym słowem: rozmowa. Dobrze wyjście?

– Bo ja wiem? – Marta nie czuła się przekonana. – Trzeba by się zastanowić...

– Ale mózg się nie zastanawia. To, o czym tyle czasu mówię, przelatuje przez zwoje w ułamku sekundy. Wpada bodziec, czyli wyrzut sumienia, i szybko po nim musi nastąpić reakcja: usunąć ten wstrętny wyrzut! Sypanie łba popiołem odwleka reakcję; zmusza do myślenia i stawia nas w pozycji winnego bądź przynajmniej współwinnego. Uuuu...! – Tym razem opukała skronie z dwóch stron. – Mózgowi bardzo się to nie podoba. Wszak jest święcie przekonany o własnej niewinności. Dlatego chętniej wybiera drugą drogę: zero analizy, zero myślenia. Natychmiast pozbywa się wyrzutów, idąc tropem: „Jestem niewinna! Natomiast on to zło wcielone!”. Mózg cudownie zgrywa się wtedy z cichymi dniami: ma czas, by wywlec z zakamarków pamięci i przemielić wszystkie krzywdy tudzież obgadać problem z koleżankami, które ochoczo potwierdzą, że dobrze zrobił. Bo one też zawsze tak robią. Mózg upewnia się więc, że wybrał właściwą drogę, a zatem przy pierwszej lepszej okazji znowu z niej skorzysta. Finał okazuje się zazwyczaj smutny: zostaje sam i chociaż taki niby mądry, nie rozumie przyczyny. Nie wie, że to przez zły gniew, który tylko do czasu ułatwiał mu życie, a potem go zniszczył.

W gabinecie zapadła długa cisza.

– Aż się boję tego, co noszę pod czaszką... – przemówiła w końcu Marta łamiącym się głosem. – Wolałabym nie wiedzieć, jak to działa.

– Niech pani nie hamuje płaczu.

– Dziękuję... – Skorzystała z podsuniętego pod nos pudełka chusteczek. – Nie sądziłam, że tyle mnie to będzie kosztować...

Terapeutka, ucieszona, że wreszcie dotarła do zapiętego w złym gniewie umysłu, zaczęła przywracać mu wiarę w siebie i obiecywać powrót do normalności. Mówiła, mówiła, mówiła... Aż w końcu zamiast łez zobaczyła uśmiech.

– Zatoki puste: dojazdówka do mózgu przejezdna! – Marta oddała pudełko z chusteczkami. – Czyli, jakby co, mam się zamknąć w kuchni i napieprzać świąteczną zastawą po kaflach?

– Jeśli pomoże, zalecam. Jest pani aktualnie na granicy wyczerpania psychicznego, szorowanie mózgu nie przypomina zatem pieszczot. Ale z czasem nauczy się pani ciekawszych metod dbania o higienę wewnętrzną: sport, muzyka, układanie puzzli, szydełkowanie, gotowanie, poe...

– Jeżeli gotowanie, to w środku jestem czystsza niż na zewnątrz! – prychnęła Marta. – Mózg aż mi błyszczy!

– Wspominałam o gotowaniu jako o przyjemności. O czymś, co daje człowiekowi radość, relaks, ucieczkę od obowiązków. W pani przypadku kojarzy mi się to raczej z Golgotą.

– Lubię gotować! Czytam różne gazety z przepisami, eksperymentuję...

– Teraz to ja nie rozumiem. Świetnie się pani bawiła, a potem robiła z tego główne zarzuty wobec męża i syna? Że panią zmuszali, wykorzystywali, traktowali jak służącą? Należałoby się raczej cieszyć. Nienasyconymi żołądkami motywowali panią do pełniejszego rozwoju pasji i zainteresowań. W czym zatem tkwi problem?

– Jak to w czym? – Ośrodki pobudzania znowu przeważały nad ośrodkami hamowania. – Jeden chciał jajecznicę w glutach, a drugi ściętą na beton! Jeden się brzydził kremowych zup, a drugi warzyw. Cudowna motywacja, prawda? Nic, tylko się rozwijać! Oni by wykończyli nawet szefa kuchni z Radissona, a co dopiero mnie?



- Dlaczego się pani na to godziła?
- Na co?
- Choćby na stopień ścięcia jajecznicy.
- A jakie miałam wyjście?
- Bardzo proste – powiedzieć: „Drodzy chłopcy, jajecznicę robicie sobie sami. Jeden na glutę, a drugi na beton. Zawołajcie, kiedy skończycie. Ja zjem każdą”.
- Chyba żart?! – zaśmiała się Marta. – Nie wiedzieliby, gdzie szukać patelni.
- „Drodzy chłopcy, patelnia jest w dolnej szafce”.
- Żaden by nie pomyślał o wylaniu tłuszczu przed smażeniem!
- „Drodzy chłopcy, zanim wbijecie jajka, rozgrzejcie na patelni olej albo masło. Masło znajdziecie w lodówce, olej w górnej szafce” – ripostowała z uśmiechem terapeutka.
- Prędzej by wyszli bez śniadania, niż własnoręcznie usmażyli jajecznicę.
- No to by wyszli.
- Bez śniadania miałabym ich wypuścić do pracy i do szkoły?
- Nie mieści się to pani w głowie, prawda?
- Chyba żadnej normalnej kobiecie się nie mieści.
- A dlaczego uważa pani, że wyszliby bez śniadania? Mogli przygotować kanapki.
- Ale oni nie chcieli kanapek! – Marta załamała ręce. Patrzyła zdumiona na wykształconą kobietę, która niby zna sto naukowych twierdzeń o mózgu, a najprostszej rzeczy nie pojęła. – Oni nie chcieli kanapek! – powtórzyła wyraźnie, jakby przemawiała do czytającej z ust głuchoniemej. – Oni chcieli ja-jecz-ni-cę!
- A pani? Czego pani wtedy chciała?
- Ale w jakim sensie?
- W dosłownym. Oni chcieli ja-jecz-ni-cę... – Tym razem to terapeutka wyginała nienaturalnie usta. – A pani?
- Żeby zjedli i wyszli mi wreszcie z kuchni. Żeby w spokoju mogła po nich posprzątać i wypić kawę.
- Jakie przyjemności sobie pani sprawiała przez ostatnie dziesięć lat? Mówię o czymś wyłącznie dla siebie. O czymś wybitnie egoistycznym.
- Ja? – Długo szukała w pamięci. – Czasami szłam z przyjaciółką do galerii i kupowałam bez opamiętania ciuchy albo buty.
- Nie o to mi chodzi. Polski klimat zmusza nas do noszenia ubrań oraz obuwia, więc pomińmy konieczności i skupmy się na przyjemnościach. W jakiej duchowej rozpuście się pani wytarzała przez te wszystkie lata małżeństwa?
- W rozpuście? Duchowej? Ja...? – Zawiesiła głos. Mózg też się zawiesił. – Wieczorem lubię czytać książki! – Chwała Bogu przypominała sobie, że przed zaśnięciem przeżywa w łóżku literackie orgie. – Czytam, dopóki nie padnę.
- Fajnie... – Pochwała daleka była od entuzjazmu. – Myślę, że musimy porozmawiać o wszystkim dobrym i złym...
- I sobie porozmawiały: o dobrym i złym gniewie, o dobrym i złym gotowaniu, o dobrym i złym egoizmie, o dobrym i złym traktowaniu bliskich ludzi.

Mimo drobnych buntów Marta posłusznie poddała się terapii, bo bardzo chciała odzyskać wiarę w sens życia, a jeszcze bardziej – naprawić kontakty z Dominikiem. Minęło kilka tygodni i kilkanaście spotkań, zanim dostała zgodę na spotkanie z synem.

– Myślę, że jest pani na tyle ustabilizowana emocjonalnie, aby do niego zadzwonić. Przedtem szczegółowo omówimy ewentualne scenariusze. Zaczniemy od złotego dekalogu i przerobimy go punkt po

punkcie. Musi to pani wykuć na pamięć.

NIE POZNASZ NAPRAWDĘ MĘŻCZYZNY,  
DOPÓKI SIĘ Z NIM NIE ROZWIEDZIESZ.

(Zsa Zsa Gabor)

Już następnego dnia wyrecytowałaby dziesięć przykazań nawet przez sen:

1. Poproś go (grzecznie!) o rozmowę.

2. Poproś (grzecznie!), żeby to on wyznaczył czas i miejsce.

3. Powiedz, co czujesz. Krótko i tylko o emocjach! Nie dotykaj swoich przekonań, a tym bardziej jego przekonań.

4. Ani jednego złego słowa o jego ojcu. Najlepiej w ogóle o nim nie wspominaj.

5. Nie zrzedź, nie gderaj, nie powtarzaj wielokrotnie tego samego – nie przeżuwasz słów!

6. Nie krytykuj. Nie mów z pozycji mądrzejszej. Uważaj na ton głosu! Pamiętaj, że to twój równorzędny partner do dyskusji, a nie głupi smarkacz.

7. Przyznaj, że się boisz, co dalej między wami będzie.

8. Zapytaj, jak on to widzi. Podpowiadaj, ale nie naciskaj!

9. Jakkolwiek by się ta rozmowa potoczyła, na koniec zapewnij, że będziesz go kochać bez względu na wszystko, aż do śmierci.

10. Przy pożegnaniu powiedz wyraźnie, dwa razy (ale nie więcej niż dwa!), że w domu czeka na niego pokój, do którego w każdej chwili może wrócić.

Dekalog posiadał postscriptum. „Przed akcją idź na siłownię, tłucz talerze, spaceruj po lesie albo zrób jajecznicę taką, jak ty lubisz. Wymyśl cokolwiek. Nieważne co. Ważne, by to coś doprowadziło cię do stanu: poziom agresji – zero!”.

Zdecydowała się na spacer po lesie. Po kilku godzinach ostrego zasuwania między drzewami była tak zmęczona, że wszystko się jej zataczało: nogi, ręce, język oraz z trudem doszorowany mózg. Piszczele włąziły w tyłek, kręgosłup pękał, a halluksy wyły o uwolnienie z butów.

Zdaje się, że osiągnęłam pożądaną stan! – wzdychając z bólu, usiadła na leśnej ławce, sięgnęła po telefon. Poziom agresji: zero.

Zadzwoiła do syna. Grzecznie poprosiła o rozmowę. Gdy spotkali się w wyznaczonym przez niego miejscu i czasie, mówiła tylko o własnych emocjach i lękach, nie podnosiła głosu, nie przeżuwała słów, nie krytkowała i ani słowem nie wspomniała o Robercie. Chłopak słabo współpracował, a w zasadzie – wcale. Siedział ze spuszczoną głową i stroił głupie miny na wynurzenia matki.

Nic tu po mnie – uznała. – I tyle kasy wydanej na terapię wyrzucone w błoto! Lepiej było iść do wróżki albo nowe ciuchy za to kupić.

– Widzę, że nie chcesz rozmawiać. W porządku. Nie naciskam... – Uśmiechnęła się. – Nie będę cię więcej zmuszać do żadnych spotkań. Ale pamiętaj, że Kocham cię najbardziej na świecie. Twój pokój też za tobą tęskni.

– Mój pokój? – Dominik uniósł głowę i po raz pierwszy spojrzał jej w oczy.

– Czasami tam wchodzę, siadam na kanapie... Niczego nie ruszyłam. Tylko firanki i zasłonki wyprałam. Ale jedną brudną skarpetę na środku podłogi zostawiłam. Żeby było jak dawniej; takie tam, drobne wspomnienia... – Parsknęła śmiechem. – Wrócisz, wypierzesz. I rozrzuć następne, nie? – żartowała, choć serce pękało od zimnego spojrzenia Dominika. – Przepraszam, że kiedyś robiłam o to awantury. Szkoda życia na szarpanie się z brudnymi skarpetami. Rozrzucaj, ile chcesz. Byle nie za próg swojego pokoju, bo tego nie zdzierzę! – Pogroziła mu palcem. – No dobra, już nie truję! Ale pamiętaj, ja i twój pokój bardzo cię kochamy. Możesz do nas przyjść o każdej porze dnia i nocy... – Wstała z kawiarnianego krzeselka. – Idziemy? Jestem samochodem. Podrzucić cię gdzieś?

– Do akademika na Szwoleżerów, gdybyś mogła.

– Jasne. Poczekaj, zapłacę rachunek. – Marta rozejrzała się za kelnerem.

– Ja zapłacę. Ja cię tu zaprosiłem.

– Dzieciaku, nie żartuj! Studenta oskubywać z ostatniego grosza? Grzech!

– Mam pieniądze. Ojciec wysyła mi co miesiąc alimenty.

– Twój ojciec i jego alimenty...! – Głos jej zafalował. Na szczęście ośrodki hamowania w porę zadziałały: „Ani jednego złego słowa o ojcu. Najlepiej w ogóle o nim nie wspominaj!”. – Alimenty dostajesz na wikt i opierunek, a nie na fundowanie mi kawiarni – dokończyła spokojnie. – Dominik, pozwól, że zapłacę. To ja nudziłam o spotkanie.

– Możemy rozliczyć rachunek na pół? Odwozisz mnie do akademika, a benzyna przecież kosztuje.

– W porządku. Niech każdy płaci za siebie... – zgodziła się, powtarzając w duchu: „Nie mów z pozycji mądrzejszej. Pamiętaj, że to równorzędny partner”.

Łatwo nie było, bo język swędział, jakby pokrzywy lizała: chętnie spytałaby go, kiedy i skąd się dowiedział, że benzyna kosztuje. Wcześniej jakoś nie przychodziło mu to do głowy – korzystał do woli i nigdy nie zastanawiał się nad ceną pełnego baku. A teraz raptem dokonał odkrycia – „benzyna kosztuje”. Szok!

Poczuła satysfakcję, że nie tylko jej Robert przysporzył cierpień, ale nie dała nic po sobie poznać.

– Zaparkowałam za rogiem. – Domknęła drzwi kawiarni. – Na lewo.

– Pokazujesz na prawo! – Stał niepewnie.

– Na prawo, ale lewą ręką. Czyli na lewo. – Popchnęła go we właściwym kierunku. – Przecież to proste!

– Proste lewo i proste prawo? – zaśmiał się syn. – Pamiętasz, jak jechaliśmy na wczasy do Karpacza i prowadziłaś tatę przez Wrocław?

Pamiętała. Nie było wtedy GPS-ów, nawigacji ani nawet telefonów komórkowych. Dostała od Roberta mapę Wrocławia – miała być pilotem.

– Chyba zbłądziliśmy. Wpadliśmy w centrum zamiast na obwodnicę. Mów, dokąd teraz. Jaką ulicą stąd wyjedziemy?

– Żółtą – odpowiedziała, kręcąc planem miasta, by ustalić zgubiony azymut.

– Jesteśmy... – Robert spojrział na mijaną przydomową tabliczkę. – Na Uniwersyteckiej. Zobacz, gdzie się krzyżuje Uniwersytecka z Żółtą.

– Ale z którą żółtą? Na tej mapie każda większa ulica jest żółta! Skąd mam wiedzieć, o którą ci chodzi?! – Cisnęła w niego planem Wrocławia. – I nie my zbłądziliśmy, tylko ty. Więc sobie radź!

W drodze na Szwoleżerów wspominali zabawne momenty. Cieszyła się, że Dominik zaczął wreszcie z nią rozmawiać i żartować jak dawniej.

– A pamiętasz, jak poszłaś kupować grające światełka na choinkę? – rechotał tubalnie. – Nieźle mi

numer wyszedł, nie? Chociaż całkiem niechący.

– Myślałam, że cię wtedy uduszę!

Miała bzika na punkcie kolędy *Cicha noc* – za każdym razem się wzruszała, a gdy zaczynała ją śpiewać, łzy same napływały do oczu. Kilka lat temu, przy okazji wymiany bożonarodzeniowych ozdób, postanowiła kupić sznur lampek grających tę właśnie kolędę. I miała w nosie sarkastyczne komentarze domowników.

– Bez obawy. Nie zwariujecie od śpiewających w choince zadziwionych pastuszków. Takie prymitywne organizmy jak wasze potrzebują do życia wyłącznie światła, więc dźwięk włączę, kiedy was nie będzie. Lepiej się zamknijcie i gapcie w swoją szopkę! – Machnęła ręką na telewizor, ucinając dyskusję.

Jak postanowiła, tak zrobiła. Wrzuciła niewielki kartonik do torebki i ruszyła do innych sklepów po prezenty. Kiedy błądziła między regałami, jej torebka zaczęła nagle grać *Cichą noc*. Pograła, pograła i przestała.

Ki czort? Zwarcie w lampkach? Trzeba oddać wadliwy towar. Na szczęście nie miała daleko.

– Same się uruchomiły? Bez prądu? – Sprzedawczyni spoglądała na kartonik jak na ducha, a na Martę jak na idiotkę. – To niemożliwe.

– Podejrzewa mnie pani o omamy słuchowe? Jak mówię, że grały, to grały! Mogę wymienić na inne? Inne, ale z tą samą melodią.

– Oczywiście. Dobrze, że była awaria terminalu i nie zdążyłam nabić na kasę... – Ekspedientka zdjęła z półki identyczne pudełko, które Marta wrzuciła do torebki i poszła szukać prezentów. Gdy oglądała męskie koszule, znowu usłyszała *Cichą noc*.

Mocno już wkurzona, ponownie cofnęła się na stoisko ze świątecznymi ozdobami.

– Te też same grają! Jakaś trefna seria! – Cisnęła kartonik na blat. – Dość mam biegania tam i z powrotem! Nie chcę wymieniać. Proszę mi oddać pieniądze.

Kobieta stanęła okoniem, tłumacząc, że terminal w międzyczasie naprawili, kwota została zaabonowana na kasie fiskalnej, a odzyskanie pieniędzy może nastąpić jedynie drogą reklamacji.

– No przecież reklamuję! Głucha pani jest?

– Chodzi o reklamację oficjalną. Należy wypełnić druk...

Rozpętała się dzika awantura, kompletnie niepasująca do wiszących wokół bombek i uśmiechniętych mikołajów. Zwyciężyła Marta – nie wypełniła żadnych druków, ale odzyskała gotówkę. Z osobistej portmonetki sprzedawczyni, ale trudno! Niech wredny babsztyl płaci za wciskanie ludziom chińskiego chłamu!

Dziarskim krokiem oddaliła się do oglądanych niedawno męskich koszul i w końcu wybrała coś dla męża. Potem ruszyła do działu z młodzieżowym asortymentem, zastanawiając się, co wolałby Dominik: bluzę czy skórzane rękawice? Zanim rozstrzygnęła ten dylemat, z torebki rozległa się *Cicha noc*. Tak ją to przeraziło, że z wrażenia upuściła trzymany w dłoni wieszak. A torebka dalej grała kolędę, chociaż nie było w niej nic prócz portfela i telefonu...

– Że ja cię wtedy nie udusiłam? – śmiała się Marta, dojeżdżając do studenckiego miasteczka. – Gdybyś uprzedził, że po kryjomu zamieniłeś mi w komórce zwykły dzwonek na *Cichą noc*, nie urządziłabym tej kobiecie karczemnej awantury o samogrające światełka. Do dzisiaj mi wstyd.

– Skąd mogłem wiedzieć, że tak się to skończy? – rechotał Dominik. – Kiedy oznajmiłaś, że wybierasz się po grające światełka, i nabzdyczona poszłaś spać, podebrałem twoją komórkę, ściągnąłem *Cichą noc* i ustawiłem jako sygnał wszystkich połączeń. Tata był zachwycony. Powiedział: „Genialne! Matka się

poryczy za każdym telefonem i ze wzruszenia nie da rady gadać. Odpocznie od tej swojej głupiej Jolki, a to nam wyjdzie na zdrowie!”.

– Śmieszne. – Nadrabiała miną. – No to szkoda, że pokrzyżowałam wam szyki i poprosiłam, żebyś z powrotem nastawił mi normalny dzwonek.

– Poprosiłaś? Ładne mi proszenie! Kilka dni po kątach się chowaliśmy, a co który wyrzał, zaraz obrywał. Pamiętam, bo po raz pierwszy ochrzciłaś mnie wtedy smarkatym profanem... – Syn śmiał się szczerze, bez udawania. – W sumie fajne wyzwisko, z klasą. Ojciec mi zazdrościł. Jego jak zwykle nazwałaś starym idiotą.

Marta otworzyła usta, by wytłumaczyć się z dawnej nadpobudliwości oraz zapewnić, iż obecnie pracuje nad lepszym funkcjonowaniem ośrodków hamowania, ale nie zdążyła.

– Ja pierdziele, co my za ubaw z ciebie wtedy mieliśmy! – ciągnął Dominik. – Tata płakał ze śmiechu: „Smarkaty profanie, wiesz, czym się różni stary idiota od starej idiotki? Tylko jedno z nich wierzy w samogrające lampki!”. Nie mogliśmy się nadziwić, że zamiast śmiać się razem z nami z fajnego numeru, zrobiłaś dziką awanturę. Zjeżyłaś się, że aż się ciebie bałem, ale tata mnie uspokajał: „Synu, musimy się ukrywać do Wigilii. Wieczorem sama zawoła nas na kolację. Zaśpiewamy jej ulubioną kolędę, kobieta się wzruszy i do sylwestra będzie git!”. I tak było. Pamiętasz?

– Pamiętam. Było git... – przytaknęła i ugryzła się w język: „Ani jednego złego słowa o jego ojcu. Nie zrzędź. Nie gderaj. Nie przeżuwasz słów. Nie krytykuj. Nie mów z pozycji mądrzejszej. Uważaj na ton głosu”. – Wiesz co? Z bólem serca przyznaję, że mieliście wtedy rację. Zachowałam się gorzej niż stara idiotka... – wykrztusiła. Jeśli jej za życia nie beatyfikują, to nie ma sprawiedliwości na tym świecie! – No i proszę, jesteśmy na miejscu... – Uśmiechnęła się, parkując pod akademikiem. – Dziękuję, że zgodziłeś się spotkać i porozmawiać... – Wyłączyła silnik.

Spędzili parę chwil w kompletnej ciszy. Dominik nie zbierał się do wysiadania.

– Dziękuję, że zgodziłeś się spotkać i porozmawiać – powtórzyła. – Pamiętaj: ja i twój pokój wciąż na ciebie czekamy – bąkała niepewnie, gubiąc się w psychologicznych domysłach: czy aby nie „przeżuwa słów”? – Boję się, co będzie dalej. Wciąż nie wiem, jak to widzisz. Nie będę naciskać...

Przedłużające się milczenie przerażało bardziej niż pusta torebka grająca *Cichą noc*.

– Jesteś pewna, że mnie chcesz?

– Słucham?

– Pytam, czy jesteś pewna zaproszenia. – Dominik mrugał powiekami, jakby dostał po oczach wiązką lasera. – Ojciec też mnie kiedyś zapraszał, ale mu przeszło. Czasami go nienawidzę.

– Nie mów tak. Zły chwilowo jesteś i tyle. Minutę temu wspominałeś go jak najlepszego kumpla... – Z trudem panowała nad buzującymi emocjami. – Wcale się nie dziwię, że trzymaliście sztamę przeciwko mnie z okazji samogrających światełek. Od zawsze trzymaliście sztamę. Jesteście nierozłączni. Smarkaty profan zawsze dogada się ze starym idiotą! – Żartem próbowała rozładować rosnące napięcie.

– Kiedyś tak było... – Syn zacisnął powieki. – Ale teraz w ich domu nie ma dla mnie miejsca. Jestem gościem jak każdy inny: ledwo przyjdę, czuję, że powinienem wyjść. Widzę, że oboje tylko na to czekają.

– Przesadzasz.

– Nie! Nawet jeśli raz w miesiącu łaskawie mnie zaproszą, to pitolą banały, jak do siedmiolatka: „A co na uczelni?”, „A ile egzaminów w tej sesji?”, „A gdzie na praktyki?”. – Przeciągał sylaby, złośliwie przedrzeźniając monotonną intonację. – Potem lecą teksty w stylu: „Ty się, synu, poważnie zastanów. Najwyższy czas dorosnąć i pomyśleć o samodzielności”. Ona mu wtóruje: „Twój tata ma rację; zastanów się, gdzie pójdziesz na praktyki, bo przecież pracujesz na CV. Studiami w Szczecinie nikomu nie zaimponujesz”. – Spojrzał ze złością na matkę. – Przestań chrzanić, że trzymamy z ojcem sztamę, a ja strzelam focha. Nic nie wiesz!

Marta patrzyła w przednią szybę, zaciskając palce na kierownicy tak mocno, że aż jej kłykcie zbieleły. Wyobrażała sobie, że zamiast kierownicy lewą ręką trzyma szyć eksmeża, a prawą dusi jego wredną babę. Kto dał jej prawo wygłaszać uwagi o nie swoim dziecku? Kto?

Przez głowę przelatywały chaotyczne wspomnienia. Przypomniała sobie nocne harce sprzed lat, kiedy próbowała ułożyć do snu maleńkiego synka, a tatuś wracał z pracy, sadzał go sobie na ramionach i udając konia, galopował po ciasnej kawalerce. Potem wakacje w towarzystwie Bąków – Bartek z Beatą popijali wieczorem piwko, bo ich Ola dawno spała, a ona – patrząc zazdrośnie na tę idyllę – czekała, kiedy Robert przyniesie wreszcie umorusanego, nieprzytomnego ze zmęczenia Domisia. Potem wspólnie rozgrywane i oglądane mecze, męskie porady z okazji pierwszych miłości, bal maturalny, prawo jazdy, studia... Aż po świeże wspomnienia: pomaganie ojcu w wyprowadzce, wysłanie Mai na świadka...

Na żadnym etapie dorastania nie dało się ich rozdzielić. Od zawsze i w każdej sytuacji stawiali za sobą murem. Kto zatem dał tej wstrętnej babie prawo do wtrącania się między nich? Kto?

Skołowana pamięć podsunęła kilka innych scen oraz zasłyszanych niedawno prorocत्व: „Tego typu mężczyzna jest łatwiejszy w obsłudze od hulajnogi. Z braku własnej, przejmuje osobowość partnerki: mówi to, co ona, myśli to, co ona, robi to, co ona...”, w siódmym miesiącu odwoła kilka spotkań, w ósmym ochrzanił dzieciaka za brak samodzielności, w dziewiątym odepnęła pępówinę, zostaną sporadyczne kontakty wymuszane przez święta, imieniny, urodziny...

Marta wciąż ścisnęła kierownicę, choć wolałaby ścisnąć się za głowę. A jeszcze lepiej – wrócić do domu i wytłuc wszystkie talerze. Dominik nie zauważył miażdżącego uchwytu, a długie milczenie i wpatrywanie się w przednią szybę zrozumiał opacznie.

– Nie chcesz, nie wierz – burknął. – Ostatni raz widzieliśmy się w moje urodziny. Z tej okazji wreszcie doczekałem się zaproszenia. Było zajebiście! Cały czas przekonywali mnie, żebym wyjechał z Polski, i dziwili się, że sam dotąd na to nie wpadłem. „Synu, ten kraj nie daje szans młodym ludziom. Gdybym miał twoje lata, już dawno bym stąd uciekł”. – Chłopak przeciągał monotonna sylaby. – „Twój tata ma rację. Każdy, kto stąd wyjeżdża, żałuje tylko jednego. Że tak późno wyemigrował...”. – Przedrzeźnianie głupawego sopranu Dominik przyplącił kaszlem. – Szybko wyszedłem. Ostatnio gadka się nie klei, więc rzadko do siebie dzwoniemy.

– A chce ci się wracać do domu? – Marta puściła kierownicę.

– A nie znudzę ci się za jakiś czas?

– Smarkaty profanie, nie obrażaj mnie! – Oderwała wzrok od szyby i wybuchnęła nienaturalnym śmiechem. – Od pewnego czasu długo myślę, zanim się odezwę, więc jeśli już mówię, biorę pełną odpowiedzialność za swoje słowa. Wracasz?

– A poczekaś pół godziny? Muszę się spakować.

– Pół godziny?! – Wytrzeszczyła oczy. Nie spodziewała się, że tak szybko go odzyska. Nastawiała się na wiele trudnych rozmów, a nawet brała pod uwagę, że Dominik nigdy już nie wróci do domu, nawet jeśli się pogodzą. – Spakować się?

– Fakt. Przesadziłem. Jedna półka w szafie, dwa wieszaki, trochę zeszytów i książek, laptop... – wyliczał. – Piętnaście minut? Góra dwadzieścia.

– Jasne...

Wysiadła z auta, zamknęła drzwi, popatrzyła z nienawiścią na przednie lewe koło i z całej siły w nie kopnęła. Potem jeszcze raz i znowu, i jeszcze... Za każdym razem mocniej.

Dupku skończony! Nie umiałeś bez niego żyć, a teraz go namawiasz, żeby wyjechał z Polski? Boże! Gdybym kiedykolwiek o tym wspomniała, kazałbyś mi się natychmiast samej pakować do Anglii albo do Irlandii i zostawić was w spokoju. Umarłbyś na myśl, że stracisz z oczu synka; wymyśliłbyś tysiące powodów, obiecałbyś mu złote góry, by tylko nie emigrował! – Opona dostała ze szpica i z obcasa. –

Głupi piździelcu! To ona cię przekabaciła, prawda? Wiesz co? Nigdy nie będziesz miał jaj Fabergé! Nigdy! Urodziłeś się i zdechniesz z wydmuszkami w gaciach.

– Coś nie tak? Złapała pani gumę? – Idąca do akademika dwudziestoparoletnia studentka zatrzymała się obok Marty. – Zawołam kolegów... – Kiwnęła głową w kierunku wejścia do Domu Studenta. – Pomogą zmienić koło.

– Nie, nie, dziękuję! – Przestała kopać samochód i pomachała stopą na wszystkie strony. – Skurcz mnie złapał, próbuję rozgonić. – Skrzywiła się w grymasie udawanego bólu. – Gimnastykuję nogi. Już mi lepiej.

– Rozumiem – uśmiechnęła się dziewczyna. – Powinna pani chyba zacząć brać magnez...

– Tak zrobię – zgodziła się Marta. Podziękowała i pochwaliła uczynną młodzież, po czym schowała się w samochodzie.

Rozładowana kopaniem i nabuzowana szczęściem, sięgnęła po komórkę. Bardzo chciała opowiedzieć o swoim sukcesie komuś, bez kogo nie byłby możliwy.

– Dzień dobry. Bałam się, że pani nie odbierze, że jakiś pacjent akurat siedzi... Ale zdaje się, że trafiłam w wolną chwilę? Tak? Mogę mówić? – trajkotała jak nakręcona. – Dominik właśnie się pakuje, a ja czekam na niego pod akademikiem. Bardzo, bardzo, bardzo dziękuję! Nie wiem do końca, na czym to polega, ale zadziało. I w ogóle wszystko się sprawdziło: z Robertem i jego zdziurą, z ich ciężką, z jajami Fabergé i z wydmuszkami... – relacjonowała chaotycznie. – Pani jest genialna!

– Orientuję się po prostu w schematach ludzkiego postępowania, a one są banalnie proste. Nie ma za co dziękować.... – tłumaczyła spokojnie terapeutka. – To raczej pani jest genialna. Zdołała pani nakłonić syna do powrotu szybciej, niż się spodziewałam. Sądziłam, że zmięknie dopiero przy trzecim, czwartym spotkaniu. Gratulacje. Opowie mi pani szczegóły podczas następnych spotkań.

– Następnych? Po co? Przecież go odzyskałam.

– Wydaje mi się, że jednak chce pani czegoś więcej...

Nienawidziła zawieszonoego głosu swojej psycholożki. Wiedziała, że oznacza on doping do samodzielnego myślenia, a mózg już dawno jej się przegrzał.

– Czego mogę więcej chcieć...? – zapytała.

– Fajnie, że syn wraca do domu. Trzeba go jednak oduczyć starych złych nawyków i nauczyć nowego traktowania matki. Dlatego pytam, kiedy zaczynamy drugi etap terapii.

– Czyli to nie koniec?

– Nie, pani Marto. To dopiero początek. Dzisiaj posprzątała pani przeszłość, a od jutra bierzemy się wreszcie za przyszłość! Nic w niej nie będzie takie samo. A już na pewno nie pani syn. Moja w tym głowa!

Dwa miesiące później, któregoś wtorku, Marta obudziła się koło południa. Całą noc biła się z myślami, trochę popłakała, trochę poczytała i dopiero nad ranem zapadła w mocny, zdrowy sen. Na szczęście nie musiała iść do pracy: zamiast pieniędzy za nadgodziny poprosiła o wolny dzień. Zgodnie z psychologicznymi zaleceniami od czasu do czasu urządzała sobie święto – słodkie nicnierobienie i dogadzanie wyłącznie sobie – środek tygodnia, inni zasuwiają, a ona niczego nie musi. Jest królową!

Taka rola była jej zupełnie obca, więc w pierwsze święto „królowa” wypucowała wszystkie okna, a że zostało jeszcze pół dnia, wyprała firany, zasłony, wyczyściła karnisze i kaloryfery. Terapeutka zmyła jej za to głowę i dwie godziny bezlitośnie nad nią pracowała, by zmienić umacniane latami stereotypy zachowań.

– Pani Marto, miałam nadzieję, że będziemy teraz pracować głównie nad Dominikiem, ale widzę, że się pomyliłam. Oboje wymagacie solidnej korekty, tyle że jego trzeba nauczyć współdziałania i szacunku,



a panią lenistwa i egoizmu. W zdrowych proporcjach, oczywiście.

– Lenistwa się uczyć? – Marta parsknęła śmiechem. – To chyba każdy umie?

– Nie każdy. Pani za lenistwo dostaje u mnie solidną pałę! – Psycholożka również się uśmiechnęła. – Czuję, że z tego przedmiotu nigdy nie zrobię z pani wzorowej uczennicy, ale na trzy z plusem albo nawet cztery minus powinniśmy się niedługo wyciągnąć.

Ambitna Marta odrabiała skrupulatnie zadania domowe i powoli podciągała się z lenistwa. Po każdym swoim święcie dostawała coraz lepsze oceny.

Była pewna, że za ten wtorek też nie dostanie pały, choćby dlatego, że chrapała do południa i kompletnie się nie przejmowała, o której syn wyszedł z domu i czy coś jadł.

Kilka godzin porządnego snu należało do rzadkości, więc rozkoszowała się chwilę cudownym samopoczuciem, a potem niespiesznie wstała i poszła do kuchni, zastanawiając się, czym by sobie dogodzić na śniadanie.

Na stole znalazła kartkę.

*Dzień dobry, królowo! Pamiętam, że dzisiaj Twój dzień. W lodówce znajdziesz twarózek ze szczypiorkiem, a na kuchence garnek z jajkiem na twardo. Chleba i wędliny nie kroilem, żeby Waszej Wysokości nie wyschły. Obiad wciągnę w mieście. Wrócę koło 20.00 (najedzony i razem z zakupami – gdyby doszło coś spoza wczorajszej listy, daj znać).*

*Pzdr. D:)*

Zajrzała do lodówki i do garnuszka na kuchence. Naprawdę znalazła w nich twarózek i jajko. Jeszcze raz przeczytała wiadomość od syna. Wróci najedzony... z zakupami...?

Co jak co, ale talent ma po mnie! – stwierdziła, uśmiechając się od ucha do ucha.

JEŚLI KOBIETA MÓWI O SWOJEJ PRZESZŁOŚCI  
– TO JEST SPOWIEDŹ, GDY MĘŻCZYŻNA  
– TO SĄ WSPOMNIENIA Z WOJSKA  
LUB ZWYKŁA BUJDA.

(Janina Ipohorska)

Chętnie wzięłaby udział w rozmowie Jolki, Elwiry i Magdy na temat ciągnącej się pępowiny. Sporo miałaby też do powiedzenia o uciekających ojcach, rzucających za siebie pieniądze, żeby tylko dzieciak przystanął i zbierał kasę, zamiast gonić tatusia.

Wreszcie zaczęły gadać po ludzku, więc postanowiła wyleźć spod kołdry i poprosić o lampkę, a wręcz wielką lampę wina. I śmiać się równie głośno, co one.

– Ćsii... – Jolka uspokajała koleżanki. – Obudzicie ją.

– No to obudzimy! – krzyknęła prowokująco Elwira. – Do cholery, na urlopie jesteśmy! Gdzie mamy się śmiać i bawić, jak nie teraz? A ta twoja smętna dziunia niech się jutro przekwateruje do sanatorium. Jeśli wciąż nas będziesz przez nią uciszać, przysięgam, że zaraz własnoręcznie przerzucę ją przez płot! Po coś ją brała? Cały wyjazd nam spieszyła!

Marta szybko naciągnęła odchylaną kołdrę.

Jutro dzień królowej! – postanowiła. – Wstanę, wyłączę telefon, pójdę na długi spacer po plaży. Potem śniadanie, w knajpcie nad samym morzem. Znowu spacer, a potem kawka i prasówka. Na obiad zupa rybna w tawernie na deptaku, a na kolację dorsz z frytkami i surówką z kiszonej. W międzyczasie zwiedzanie Kołobrzegu, zachód słońca. Może dziś normalnie zasnę?

Rozochoczone winem współlokatorce długo jeszcze śmiały się i rozmawiały, bezlitośnie kpiąc z życia. Słuchając ich, nie mogła się zdecydować, czy stanowczo są z innej bajki, czy też mogłaby się z nimi dogadać. Czasami mówiły do rzeczy, ale czasami przerażały ją infantylizmem.

Zanim rozstrzygnęła dylemat i poszły wreszcie do łóżek, stłukły kieliszek i przewróciły puste butelki. Hałas ogromnie je ubawił. Szczególnie Elwirę i Magdę. Jolka też chichotała, ale pamiętała o śpiącej przyjaciółce i starała się uciszyć koleżanki. Z odwrotnym efektem, bo przecież uspokajanie podpitej kobiety jest równie skuteczne, co gaszenie pożaru benzyną. Nic zatem dziwnego, że zamiast posłuchać Jolki, śpiewały wesoło: *Stara Marta mocno śpi, stara Marta mocno śpi... My się jej boimy, na palcach chodzimy, jak się zbudzi, to nas zje!*

Stara Marta uznała, że naprawdę chętnie by je zjadła.

Po serii rwanych drzemek z pogranicza jawy i snu doczekała się wreszcie godziny ósmej. Założyła, iż w okolicach dziesiątej powinny budzić się turystyczno-gastronomiczne atrakcje Kołobrzegu, zatem gdy skończy spacer po plaży, ruszy na ich podbój.

Bezszelestnie wstała, ubrała się i napisała lakoniczną wiadomość: „Potrzebuję resetu. Wyłączam telefon. Wrócę wieczorem. Życzę miłego dnia”. Chciała dodać: „Pozdrawiam, Stara Marta”, ale darowała sobie złośliwości. Rozejrzała się w poszukiwaniu najlepszego miejsca na zostawienie liściku.

Wszędzie panował bałagan, więc wetknęła kartkę w szczoteczkę do zębów Jolki i cichutko zamknęła za sobą drzwi.

– Marta!

Odwróciła się, gdy usłyszała swoje imię, ale nie zobaczyła nikogo znajomego. Zresztą, kto mógłby ją wołać na kołobrzesckiej plaży? Jolka i jej koleżanki na pewno jeszcze spały, a nawet gdyby postanowiły leczyć kaca jodem, prędzej by uciekły w przeciwną stronę, a nie ją przyzywały. Ruszyła przed siebie, by zakończyć spacer w jakiejś przytulnej kafejce. Podejrzewała, że lokale przy molo otwierają się najwcześniej, więc skierowała się ku wielkim palom, wspierającym nadwodny deptak. Podziwiała z szacunkiem fale tłukące o drewniane słupy i rozbryzgujące się w tysiące fontann. Boże, co za żywioł...

– Marta!

Szukając kobiety wykrzykującej jej imię, przystanąła i uważnie lustrowała idące za nią grupki polskich i niemieckich emerytek. Narodowość tych pierwszych rozpoznała po zdecydowanych kolorach fryzur, a tych drugich – po identycznych drucianych okularach. Wszystkie śmiały się i gadały, nie zwracając na nią uwagi, więc skupiła się na dalszym planie. Zobaczyła dziewczynę rzucającą kij utyłanemu w piachu spanielowi oraz kobietę dziarsko uprawiającą nordic walking...

– Marta!

Zorientowała się, że głos dobiega spod wydm. Dostrzegła filigranową postać, podskakującą i machającą obydwoma rękami. Nie rozpoznała twarzy, więc uznała, że bezpieczniej pozostać w miejscu i nie reagować.

– No chodź! – Ręce nie przestawały machać. – Nie gap się jak gawron w gnat!

Gawron?

Zmrużyła oczy, wpatrując się intensywnie w drobną sylwetkę. Pamięć wreszcie podsunęła jej obrazek: rozciągnięty między domkami kempingowymi sznur do prania oraz dziewczynę stojącą na czubkach palców, by sięgnąć do niego drewnianą klamerką. Też tak podskakiwała: „Nie gap się jak gawron w gnat! Pomóż mi!”.

– Beata?! O rany! To ty? – Pobiegła po piachu. – Beata!

– Ty się w ogóle nie starzejesz! – Po serdecznym powitaniu opuściły plażę i zasiadły w kafejce przy molo, by zjeść razem śniadanie. – Nic się nie zmieniłaś. Natomiast ja... – Marta wciągnęła brzuch.

– Akurat! Ciekawe, czemu ja ciebie poznałam, a ty mnie nie? – Głośnemu śmiechowi towarzyszyło lekceważące machnięcie. – Nieważne, jak wyglądamy. Grunt, że się spotkałyśmy. Cud! Szkoda, że dopiero dziś. Jestem tu od tygodnia i jutro rano wyjeżdżam. Ale nic to! Zapraszam was do Poznania. Wpadniecie, prawda? – Kiedy Marta ni to przytaknęła, ni zaprzeczyła, dostała sójkę w bok. – Ty mi się tu nie krzyw, tylko kładź łapę na sercu i przysięgnij, że przyjedziesz! Wiesz, że przez te wszystkie lata często o tobie myślałam? Co porabiasz i w ogóle...

Trochę zazdrościła Beacie. Ale nie młodzieńczej figury. Bardziej zazdrościła jej entuzjazmu i radości w oczach, twarzy, gestach, a nawet sposobie mówienia.

Pomna psychologicznych szkoleń, odrzuciła złe emocje i zastosowała się do wskazówek terapeutki: „Każda nowa sytuacja uczy czegoś dobrego. Trzeba stanąć z boku i wypunktować rzeczywistość”.

Stała zatem z boku, dokonując bilansu:

1. Beata dzisiaj tryska entuzjazmem i radością.
2. A kilka lat temu Bartek ją zostawił dla znacznie młodszej Sandry.
3. Po odejściu męża na pewno tryskała jedynie łzami.
4. Ale teraz emanuje szczęściem.

5. Czyli ja też za jakiś czas zapomnę, że Robert mnie zostawił.

6. Przestanę ryczeć.

7. Zacznę normalnie spać.

8. Trysnę entuzjazmem i radością.

9. Będę się nadawać do ludzi.

10. Zacznę uprawiać jogę pod wydmami.

Wzorowo odrobiła lekcję.

– Mów, co u ciebie? Jak Robert? Jak Dominik? Wiesz, że moja Olka już na swoim? Długo chodziła z całkiem fajnym chłopakiem. Zdążyłam się do niego przywiązać i mało brakowało, żebym go usynowiła. Ale raptem, ni z gruszki, ni z pietruszki zerwali. Znaczą Olka zerwała. I przyprowadziła nowego amanta. Miłość taka, że motyle latały po domu jak nietoperze po jaskini! – Od spotkania na plaży Beata nie przestawała się śmiać. – Po trzech miesiącach zamieszkali razem i żyją drugi rok na kocią łapę. A Dominik? Mieszka z wami czy z jakąś panną? Planuje ślub czy ucieka jak diabeł od święconej wody?

– Raczej ucieka...

– Dziwna ta dzisiejsza młodzież, nie? Przestałam podpytywać Olkę o ślub albo przynajmniej zaręczyny. Twierdzi, że najpierw muszą się dorobić i ustawić. Jak dla mnie jedyne, co ustawią, to świat na głowie. Kiedyś wszystko było prostsze: dwie biedy się spotkały, pobrały i razem wszystkiego musiały się dorobić. Pamiętasz pralkę na wannie?

Beata wspominała pierwsze „apartamenty” Gawronów i Baków i chichotała, jakby ją ktoś łaskotał, podczas gdy Marta z przymusem krzywiła usta. Do odrobionej niedawno lekcji dorzuciła jedenasty punkt: „Czyli ja też za jakiś czas będę ze śmiechem mówić o przeszłości”.

– Może lepiej, że nie lecą do ołtarza. Mniej ślubów to mniej rozwodów, nie? – Beata znowu zachichotała. – Kiedyś, jak naciskałam Olkę na sformalizowanie związku, powiedziała: „Ty swój sformalizowałaś i co ci z tego wyszło?”. Bo musisz wiedzieć, że rozwiodłam się z Bartkiem – oznajmiła lekko, jakby informowała o wyrzuceniu starych dziurawych butów.

– Wiem, że się rozwiedliście.

– Naprawdę? A skąd? Czyżby szczecińskie brukowce o tym pisały? – parsknęła Beata.

– Po prostu, Robert wpadł kiedyś przypadkiem na Bartka. W jakimś biurze albo sklepie.

– Rozumiem.

– Przez ich spotkanie niechcący zrobiłam ci świństwo.

– Ty? Mnie? A jakie ty mi mogłaś świństwo zrobić? – Dawna przyjaciółka wreszcie spoważniała.

– Bo Robert zaprosił go do nas, ale gnój tchórzliwy nie wspomniał, że się rozwiedliście, więc byłam pewna, że Bartek przyjdzie z tobą. Tak się cieszyłam! Cały dom wysprzątałam, stół zastawiłam jak za króla Sasa, stare zdjęcia z wakacji przygotowałam... – tłumaczyła Marta. – Przysięgam, że gdybym wiedziała, w życiu bym go za próg nie wpuściła i gównem by jadł. Wybaczysz?

– Co mam wybaczać? Fajnie, że Robert zaprosił starego kumpla. Gdzie tu świństwo?

– Bo Bartek nie przyszedł sam, tylko z tą... no wiesz...?

– Nie wiem.

– Z tą swoją... – dukwała nieporadnie. – Z Sandrą przyszedł...

– Pojęcia nie mam, kim jest Sandra, ale potrafię ją sobie wyobrazić. – Beata znowu zaniósła się śmiechem. – Wiecznie go do takich ciągnęło... – Machnęła lekceważąco ręką. – Powiedz wreszcie, jakie to świństwo mi zrobiłaś.

– No... przyjełam ich w domu... wpuściłam... Nie masz pojęcia, kim jest Sandra? Jak to? Myślałam, że dla niej cię zostawił.

– Tak wam powiedział? – Śmiech przybrał na sile.

– Nie wprost. Mało się odzywał, ale z tego, co mówiła Sandra, wywnioskowałam, że...

– Przestań! Jej też pewnie wcisnął ciemnotę, to plotła trzy po trzy i trzepotała rzęsami. Trzepotała? –

Gdy Marta przytaknęła, Beata energicznie kiwnęła głową. – On bardzo lubi młode i trzepoczące rzęsami. Przy nich udaje mężczyznę. Martuś, prawda jest taka, że Bąk latał na prawo i lewo. Znosiłam jego niewierność ze względu na Olkę oraz rodzinno-katolicki anturaż. Tłumaczyłam sobie, że każdy penis ma inną cierpliwość, a mnie się trafił akurat wyjątkowo niespokojny egzemplarz, więc niech sobie śmiga od Sandry do Sandry. Był wrócił i trypra do domu nie przywłókł. Rozumiesz?

– Nie wierzę! Bartek był tojtojem?!

– Kim?

– Takim przenośnym kibelem, na którym każda dupa siada.

– Doskonałe porównanie! Kupuję! – Beata pękała ze śmiechu. – Gdzieś to wyczytała?

– Nigdzie. Usłyszałam niedawno od koleżanki... – Nazywanie Magdy koleżanką wydawało się określeniem na wyrost, ale czy to teraz ważne?

– Nie znam, ale już ją lubię. Zdaje się, że zastąpiłaś mnie równie fajnymi przyjaciółkami. Super! – pochwaliła Beata i wróciła do opowieści. – Tolerowałam więc tego ufajdanego dupami tojtoja, ale kiedy zaczął nawalać z robotą, tworzyć coraz to dziwniejsze firmy i generować długi, zamiast przynosić kasę, powiedziałam: dość. Kazałam mu pakować walizy. Rozwiedliśmy się „po amerykańsku”. Za porozumieniem stron, na jednej rozprawie, bez świadków i całej tej szarpaniny, co kto komu złego zrobił.

– Oduściłaś? Przecież był winny.

– I co by mi to dało?

– A Olka? Jak przez to przeszła? – Marta wciąż się zastanawiała, czy przyznać się do własnego rozwodu.

– Po pierwsze, zanim miarka się przebrała, Olka zdążyła skończyć osiemnaście lat. A po drugie, trzymaliśmy ją z daleka od rozwodu. Robiłam wszystko, żeby nie nastawiać jej przeciwko ojcu. Do dziś nie usłyszała ode mnie złego słowa na jego temat.

– Brawo. Mądrze zrobiłaś! – wyrwało się Marcie. – Niedawno czytałam w jakiejś gazecie porady psychologa dla rozwodzących się rodziców. Tak właśnie kazał postępować...

Do ich stołu podeszła kelnerka, aby zabrać puste talerze po śniadaniu.

– Smakowało paniom?

– Pycha! – pochwaliły jednogłośnie.

– Napiją się panie kawy? A może herbaty? Mamy pyszną szarlotkę. Specjalność firmy.

– Jasne! Poprosimy szarlotkę i kawę. – Beata spojrzała na koleżankę.

– Nie, dziękuję. Dla mnie tylko kawa. Nie powinnam jeść słodczy.

– Przestań chrzanić. Jakbym robiła tylko to, co powinnam, znenawidziłabym własne życie. I wciąż marnowałabym je z tojtojem. Poprosimy dwie szarlotki i dwie kawy – zwróciła się z uśmiechem do kelnerki. – Jeśli ona nie da się skusić, ja zjem obydwie.

– Gdybym wyglądała jak ty... – Skrzywiła się żałośnie Marta, kiedy zostały same. – Wiesz, ile to kalorii?

– W dupie je miej.

– No przecież mam! Nie widać?

– Wydziwiasz. Nigdy nie byłaś chudzielcem...

– Przed ciążą byłam!

– Przed ciążą? – Beata osunęła się po krześle, udając, że mdleje. – Przed ciążą byłaś nie tylko szczupłą, ale nawet dziewicą. Czas chyba pogodzić się z rzeczywistością? Pora na przyjemności, moja droga!

– W sumie... – Słowo „przyjemności” o czymś Marcie przypomniało. – Dzisiaj jestem królową, więc

chyba mogę zjeść szarlotkę.

– Jaką królową?

– Nieważne. Mówisz, że rozwiedliście się po amerykańsku, a Olka ma z Bartkiem dobry kontakt?

– A co? Chwalił się, że ma z nią dobry kontakt?

– Nie. Zapytałam kilka razy o Olkę, ale mnie zbył.

– Przynajmniej tutaj fantazja go nie poniosła. Honor! – Beata zasalutowała na cześć byłego męża. – Co miał wam powiedzieć? Że córka go olewa i w ogóle za nim nie tęskni? Przyznam, że ją podziwiam za godne znoszenie jego wizyt. Na szczęście Bartek pojawia się od wielkiego dzwonu. Częściej Zygmunt bije na Wawelu, niż oni się spotykają.

– Dlaczego go olewa?

– Nie wiem. Ale ja do tego ręki nie przyłożyłam! – Beata wystawiła przed siebie zadbane dłonie. – Chłopak sam na to zapracował. Najwidoczniej uznał, że jeśli się ze mną rozwiódł, to przestał też być ojcem. Rzucił się w wir nowego życia, w którym ona mu tylko przeszkadzała.

– Smutne... – westchnęła Marta, wspominając słowa terapeutki – schematy ludzkiego postępowania są banalnie proste.

– A właśnie że wesołe. Nawiązując do porównania z tojtojem, powiem, że utopił się we własnym gównie. Ja tylko patrzyłam z boku. I stwierdzam, że jestem wredna: sprawiło mi to przyjemność! – Włożyła sobie do ust ogromny kawał szarlotki. – Im dalej od rozwodu, tym bardziej Olka na niego nadawała. Kilka razy musiałam ją upomnieć, żeby się liczyła ze słowami, bo to w końcu ojciec. Teraz już nie upominam. Ona mówi, a ja słucham. Na szczęście roznosi ją tylko po spotkaniu z tatusiem, czyli bardzo rzadko. Gdybyś stała z boku, pomyślałabyś, że od urodzenia jest półsierotą.

– Wciąż do mnie nie dociera. Kto by się spodziewał, że Bartek...

– ...to palant? – dokończyła ze śmiechem Beata. – Też się późno zorientowałam. Grunt, że rozum mi wrócił. Niech go głupsze ode mnie utrzymują! A tak z ciekawości... Pozwól, że zgadnę. Nie ma nic swojego w Szczecinie? Pomieszkuje kątem u tej swojej Sandry?

– Owszem. Ale byli u nas dawno temu. Może coś się zmieniło w międzyczasie?

– Zapewniam, że nie. W najlepszym wypadku tylko imię panienki. Wiszą na nim koszmarnie długi. Musiałby wygrać w totka. I to przy niezłej kumulacji! – Beata kreśliła w powietrzu zera. – Trzymam kilka kserokopii z podziału majątku, bo wciąż nachodzą mnie jego wierzyciele. Dostają wgląd w oryginał, ksero w teczkę i kopa w dupę.

– Jesteś pewna, że u niego krucho z kasą? Jechali na majówkę do Paryża. Skąd wziął pieniądze?

– Wziął, debil, szybką pożyczkę na dowód osobisty. Długi nie robią już na nim wrażenia. W zeszłym roku, późną jesienią czy wczesną zimą... odwiedził mnie smutny jegomość ze Szczecina. Domagał się dziesięciu tysiaków, jakie Bartosz Bąk pożyczył u nich, legitymując się dokumentem z niniejszym adresem. Bla, bla, bla... Kto wie? Może właśnie on zasponsorował im Paryż?

– Co zrobiłaś z tym gościem?

– To co zwykle: wgląd w sądowe oryginały, ksero w teczkę i kop w dupę! – Beata wzruszyła ramionami. – Martuś, spójrzmy prawdzie w oczy: wyszłam za dupka.

– W głowie się nie mieści... – Marta zbierała widelczykiem ślady po szarlotce. Powiedzieć czy nie powiedzieć?

– Nie mieści się, bo masz normalnego męża. Gdybym była żoną Roberta, też by mi się nie mieściło. A co tam! Przyznam się. Wiesz, że zawsze ci zazdrościłam? Pamiętasz nasze wakacje? Bartek musztrował mnie i Olkę, a twój chłop bawił się z Dominikiem. Słodkie, aż skręcało! Ty od rana do nocy tresowałaś go jak burego psa, a on zawsze miał do ciebie anielską cierpliwość. Nie zapomnę... – Beata znowu wybuchnęła głośnym śmiechem. – Ty się drzesz i wyzywasz ich od najgorszych, a umazany błotem Robert

stoi potulnie, trzyma na rękach jeszcze brudniejszego Domisia i patrzy rozbijającym wzrokiem: co znowu źle zrobiłem? Pamiętasz jego mantrę: „Brudne dziecko to szczęśliwe dziecko”? Szok, nie tylko na tamte, ale i na dzisiejsze czasy, bo który facet jest matką?! – Westchnęła. – Dlatego ci się w głowie nie mieści. Twój Robert zawsze był sobą, a Bartek dbał jedynie o to, by robić dobre wrażenie. Szkoda, że na innych zamiast na mnie i na Olce... – Machnięciem ręki ucięła temat. – Zamiast gadać o tojtoju, pogadajmy lepiej o ekskluzywnym sedesie, do którego byle dupa nie ma dostępu... – Beacie najwidoczniej spodobało się porównywanie mężczyzn z toaletami. – Co u Roberta? Jest z tobą w Kołobrzegu? Może wpadnie tu do nas na kawę? Jak wygląda? Poznam go? Pewnie wyłysiał i przytył, ale założę się, że oczy ma wciąż te same: zagubione i rozmarzone. Mam rację?

– Tak. Nie tylko oczy. Generalnie jest wiecznie zagubiony i rozmarzony. Nic się nie zmienił. Trochę wyłysiał, kilogramów mu przybyło... – Klamka zapadła: przemilczy rozwód i nie odwiedzi Beaty w Poznaniu, chociaż przysięgała z ręką na sercu. Prawdopodobnie nigdy więcej się nie spotkają. Dobrze, że jeszcze nie wymieniły się telefonami. W razie czego poda numer z „niechący” pomyloną ostatnią cyfrą. Terapeutka zapewne nazwałaby ją tchórzem. Trudno! Stworzyła potwora: przecież królowe nie rozdają telefonów na prawo i lewo... – Robert i Dominik zostali w Szczecinie. Jak ich znam, bawią się teraz w grę: „Zamieńmy dom w chlew”. Jestem tu z koleżankami. Babski wypad: odpoczynek, picie i rozmowy do rana. Ale mi nie zazdrość. Pojutrze będę się bawić w grę: „Zamień chlew w dom”. Sama widzisz, że u mnie nic nowego. Może tylko przestali się tarzać w błocie. Poza tym bez zmian. Drę się, wyzywam od najgorszych, a oni potulnie słuchają i robią swoje... – Tym razem to Marta ucięła temat machnięciem ręki. – Powiedz lepiej, jak ci się teraz układa. Nie żałujesz niczego?

– Żałuję. Że tak późno pogoniłam gnoja! – Beata nie dostrzegła fałszywych tonów w głosie dawnej przyjaciółki. – Układa mi się całkiem, całkiem... – Mrugnęła szelmowsko. – Poznałam fajnego faceta. Jesteśmy razem ponad rok. Odpowiada za logistykę militarnych imprez. Przyjechaliśmy do Kołobrzegu, bo dostał tu grubsze zlecenie...

– Opowiedz, jak się poznaliście! – zachęcała Marta, udając zainteresowaną.

Beata gadała, a Marta słuchała.

– Zanudziłam cię, co? Ale on jest naprawdę niesamowity.

– Cieszę się twoim szczęściem. – Żegnając się z Beatą przed drzwiami kawiarni, Marta starała się trzymać fason. – Dla starej mężatki to film science fiction. Dowód, że gdzieś jest ciekawiej.

– Martuś, czemu płaczesz? Co tobie?

– Nic. Fajnie, że się spotkałyśmy... – Marta ocierała łzy z policzków. – Na ogół się drę i wyzywam, ale czasami zdarza mi się płakać. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Oczy Beaty też się zaszklily.

– Przestań, bo zaraz się poryczę. Nie rób dramatu. Przecież niedługo znowu się widzimy. Zarezerwujcie z Robertem najbliższy wolny weekend i przyjeżdżajcie do Poznania. Mam twój numer i nie zawaham się go użyć! – Złożyła palce w pistolet i wycelowała w Martę.

– Oczywiście. Dzwon! – Podniosła ręce do góry w geście kapitulacji.

Na wszelki wypadek, podając numer, „niechący” pomyliła dwie ostatnie cyfry.

KOCHAĆ PO LUDZKU TO UMIEĆ PRZEJŚĆ  
OD MIŁOŚCI DO NIENAWIŚCI.

(Lew Tołstoj)

Wróciła na plażę i szła brzegiem. Jolka miała rację – to idealne miejsce, kiedy ktoś chce się wypłakać: połowie ludzi porywisty wiatr wyciskał łzy z oczu, więc nikt się nie dziwił, że Marta wciąż wyciera policzki.

Sama już nie wiedziała, nad kim płacze.

Nad sobą, bo zostawił ją podły mąż? Czy nad mężem, którego podle traktowała?

Nad Beatą, bo już się nigdy nie zobaczą? Czy nad Bartkiem, który okazał się dupkiem?

Naprawdę była złą żoną?

Przecież niańczyła Roberta niczym małe dziecko: dogadzała, sprzątała, gotowała, tolerowała jego lenistwo, hipochondrię, kłamstewka, idiotyczne zakupy, wieczorne piwko, niespodziewanych gości, których nie miała ochoty widzieć...

Dlaczego zatem wysoki sąd uznał, iż ona na równi odpowiada za rozkład pożycia, i ogłosił rozwód z winy obojga małżonków?

– Przed uzasadnieniem wyroku pragnę wyjaśnić stronom, iż podstawą do stwierdzenia rozpadu małżeństwa jest zerwanie trzech więzi: duchowej, fizycznej i materialnej. Więź duchowa, czyli wzajemna miłość, szacunek i akceptacja... – Sfinksica łypnęła na Martę i Roberta, jakby sprawdzała, czy rozumieją te słowa. – ...w opinii sądu wygasła więź duchowa, zarówno ze strony powoda, jak i pozwanej. Strony od dawna nie okazywały sobie miłości, szacunku ani akceptacji. Powód ignorował normy cywilizacyjne obowiązujące w naszej kulturze i w naszych czasach. Uznał, iż poza zarabkowaniem nie posiada żadnych zobowiązań. Obowiązki związane z prowadzeniem gospodarstwa domowego zrzucił na barki żony. Skupiony jedynie na sobie, lekceważył jej potrzeby oraz codzienne zmęczenie, które – ze względu na miejsce i charakter zatrudnienia pozwanej – określić należy jako niewspółmiernie cięższe, a zatem wymagające szczególnego poważania. Niestety, zamiast pomagać żonie, traktował ją z pogardą...

Marcie omal mózg nie eksplodował od tych zawilości, ale z grubsza zrozumiała, że Sfinksica dała Robertowi popalić. Gdyby sędzina mogła zdjąć togę i mówić po ludzku, zgromadzeni na sali usłyszeliby pewnie: „Zobacz, coś narobił, ty zacofany, leniwy egoisto!”.

Całkiem sympatyczna i mądra babka! – odkryła Marta, uśmiechając się mściwie ku stronie przeciwnej. Mina szybko jej zrzędła.

– Pozwana również nie okazywała małżonkowi miłości, szacunku ani akceptacji. Sąd nie wątpi, iż prócz pracy zawodowej wzorowo pełniła obowiązki żony i matki, ale dawno zapomniała o podstawowej wartości, czyli o poszanowaniu drugiego człowieka. Jej sposób obchodzenia się z domownikami, głównie z powodem, naruszał ogólnie przyjęte standardy kontaktów partnerskich, co pozwala wnioskować o zaniku głębszych uczuć. Obrażliwe słowa, krytykowanie, naigrawanie się z cierpienia



i jawna wrogość nie stanowią budulca dla związku.

Wredna, durna baba! – Marta skorygowała wcześniejszą opinię.

Bała się, że po półgodzinnym wywodzie o wygaśnięciu więzi duchowej czeka ją równie przykry pręgierz w kwestii pozostałych dwóch – fizycznej i materialnej. Na szczęście potraktowano je znacznie krócej. Niby racja. Po co strzepić język po próżnicy?

Więź fizyczna wygasła – nie obcowali ze sobą cieleśnie na długo przed nieszczęsnym Paryżem.

Więź materialna wygasła – Robert po nieszczęsnym Paryżu porzucił gospodarstwo domowe.

– Ze względu na przytoczone fakty należy uznać za niemożliwe ponowne zespolenie małżonków, to znaczy przywrócenie między nimi więzi duchowej, fizycznej i materialnej. Sąd nie widzi szans na przewycięzenie dzielących ich nieporozumień, zatem uznaje obie strony za winne i orzeka, iż związek pani Marty Gawrońskiej i Roberta Gawrońskiego zostaje rozwiązany – oznajmiła. – Ustanie małżeństwa następuje z chwilą, gdy orzeczenie rozwodowe stanie się prawomocne. Wyrok sądu pierwszej instancji stanie się prawomocny, gdy nie zostanie wniesiona apelacja do sądu drugiej instancji. Apelację można wnieść w ciągu dwóch tygodni od doręczenia stronie wyroku z uzasadnieniem. Wyrok sądu drugiej instancji staje się prawomocny z chwilą ogłoszenia...

Boże! Co ona gada? – Marta marzyła, by uciec. Okazało się to jednak niewykonalne.

– W dalszej części określona zostanie wysokość świadczeń alimentacyjnych na rzecz Dominika Gawrońskiego, który pozostanie pod opieką matki. Czy powód wnosi sprzeciw?

– Nie wnoszę. – Robert odpowiedział krótko, jakby bał się dostać w gardle zakwasów od mówienia.

– Zanim przystąpimy do konkretnych deklaracji, przypominam, iż sąd rozwiązuje małżeństwo, ale rozwiedzeni małżonkowie wciąż pozostają rodzicami. Nie może ucierpieć dobro dziecka. Obowiązku alimentacyjnego nie należy traktować w wąskim rozumieniu zaspokajania potrzeb materialnych, lecz podejść do problemu szerzej, jako do wypełniania obowiązku rodzicielskiego. Rodzic powinien zapewnić nie tylko środki utrzymania, ale zadbać też o rozwój intelektualny, kulturalny, fizyczny i duchowy dziecka. Musi przygotować je do funkcjonowania w społeczeństwie i stworzyć warunki do przyszłego podjęcia pracy zarobkowej. Wypełnienie tych obowiązków wiąże się nieodłącznie z ciągłym dostarczaniem środków materialnych. Czy strony mnie zrozumiały?

Robert skinął głową.

– Nie jestem pew... – Marta poczuła miazdzący uścisk na ramieniu i szybko się wycofała. – Rozumiem.

– Dominik Gawroński jest pełnoletni. Ponieważ wciąż się kształci, ojciec jest zobligowany płacić mu alimenty. Obowiązek dostarczania środków utrzymania trwa dopóty, dopóki syn nie zdobędzie kwalifikacji zawodowych, stosownych do jego uzdolnień i predyspozycji. Świadczenie musi być wypłacane do chwili usamodzielnienia, niezależnie od wieku, w jakim usamodzielnienie nastąpi. Jeżeli jednak dziecko z własnej winy zaniedbuje naukę, nie zdaje w terminie egzaminów lub powtarza rok studiów, obowiązek taki może wygasnąć. Czy strony mnie rozumieją?

– Tak – odpowiedzieli zgodnie.

– Proszę o zaproponowanie wysokości alimentów. – Sfinksica spojrzała na Roberta.

– Teraz? Od razu?

– Tak. Alimenty na dziecko zasądzone są podczas rozprawy orzekającej o rozwodzie rodziców. Słucham pana.

– Tysiąc? – rzucił dumnie, jakby proponował milion.

– Zgadza się pani? – Sędzina przeniosła wzrok na Martę.

– Tak. – Nie rozumiała, dlaczego Klaudia znowu wbiła w nią paznokcie. Przecież grzecznie przytaknęła.

– Informuję, że rodzice zobowiązani są dzielić się z dziećmi dochodami, także wówczas, gdy ich

zarobki są skromne. Zaspokajanie potrzeb dziecka może nastąpić nawet kosztem substancji majątku rodziców. – Sfinksica raz i drugi dziwnie spojrzała, jakby oczekiwała od Marty konkretnej odpowiedzi. Ale jak się połapać w słownictwie typu: „substancja majątku”? – Zasada równej stopy życiowej nie oznacza automatycznego podziału dochodów. Jej istota sprowadza się do zbliżonego z rodzicami zaspokajania usprawiedliwionych potrzeb dziecka przy uwzględnieniu wieku, stanu zdrowia, kierunku szkolenia zawodowego oraz innych indywidualnych okoliczności. Zwolnienie z obowiązku następuje jedynie w razie zupełnego braku możliwości zarobkowych i majątkowych rodziców, z czym nie mamy tu do czynienia, prawda? – Znowu to dziwne spojrzenie. – Prawda?

– Przepraszam, wysoki sędzie, ale nic nie rozumiem... – Po kilku minutach prawniczej nowomowy naprawdę nie wiedziała, czy ma przytaknąć, czy zdecydowanie zaprzeczyć. – Mogę prosić o chwilę przerwy? Moja obrończyni wyjaśni mi normalnie, o co chodzi, a ja wtedy odpowiem. Dobrze? – Popatrzyła na Klaudię, która ochoczo skinęła głową i zaczęła się podnosić, by formalnie wystąpić o kwadrans rozmowy z klientką poza salą rozpraw.

– Uchylam wnioszek! – Sfinksica powstrzymała ją, zanim zdążyła wstać. – Sama wytłumaczę... normalnie... – Coś na kształt uśmiechu przemknęło przez kamienną twarz, ale trwało tak krótko, że nikt z obecnych nie był tego pewien. – Informuję, że po rozwodzie poziom życia waszego syna musi pozostać taki sam jak wasz. Rozumie pani?

– Rozumiem.

– Czyli matka i ojciec mogą zaspokajać tylko te potrzeby własne, które są zapewnione również ich dziecku.

– Rozumiem... – Kiwnęła głową bez przekonania. Czyżby podejrzewano ją o to, że sama zje, a Dominikowi odmówi?

– Na przykład jeśli matka lub ojciec planują wakacje, muszą je zapewnić również dziecku. Za podobną cenę i na podobnym poziomie. Wykluczona jest sytuacja, że któreś z państwa spędzi dwa tygodnie na ciepłej plaży za granicą, a waszego syna nie będzie w tym czasie stać na taki wyjazd.

– Rozumiem – powiedziała, a w duchu zaklęła: Toś mi, kurna, plany pokrzyżowała! A jutro miałam zamknąć młodego w piwnicy i lecieć na Seszele!

– Czyli jeżeli rodzica stać na wiele, nie do pomyślenia jest sytuacja, w której zaspokaja tylko podstawowe potrzeby dziecka i nie łoży na dodatkowe wydatki.

– Rozumiem. – Marta zagryzła usta. Czego ta baba chce?

– Czy państwa syn ma jakieś kosztowne hobby? A może choruje na coś, co wymaga dużego nakładu finansowego?

– Owszem, choruje! – prychnęła. – Jest nieuleczalnie chory na Allegro, co rzeczywiście wymaga dużych nakładów finansowych!

– Czy przy alimentach w wysokości tysiąca złotych nadal będzie mógł dokonywać takich samych jak dotychczas zakupów w sklepach internetowych? – O dziwo, Sfinksica nie stuknęła młotkiem i nie upomniała ani za prychanie, ani za podniesiony głos.

– Przy alimentach...? – Marta zbaraniała. Czyli mowa o Robercie?

Przez wszystkie rozprawy pastwiono się nad nią bez litości, więc nawet do głowy jej nie przyszło, że tym razem to jego się czepiają.

– Wedle oświadczenia złożonego przez pana Roberta Gawrońskiego jego zarobki netto oscylują w granicach pięciu, sześciu tysięcy złotych miesięcznie. Czy powód to potwierdza?

– Tak – potwierdził powód.

– Czy nadal podtrzymuje pani zgodę na orzeczenie alimentów w proponowanej przez powoda wysokości tysiąca złotych? – Sędzina wwierciła się oczyma w pozwaną.

– Podtrzymuję! – Uśmiechnęła się szeroko, nie bacząc, że Klaudia właśnie rozdeptuje jej stopę. Była przeszczęśliwa: wreszcie rozumiała, o co chodzi! – Podtrzymuję, bo co by o nim nie gadać... – Machnęła niechętnie w kierunku Roberta. – ...jest idealnym ojcem. Odda naszemu synowi wszystkie pieniądze i ostatnią koszulę. O wakacje też nie ma się co martwić: razem pojedą. I razem będą latać po Allegro. Przecież sto razy mówiłam, że są nierozłączni i niczym się nie różnią. Mało było dowodów? Widział wysoki sąd, że syn nasłał na mnie swoją dziewczynę, żeby ukochanemu tatusiowi pomóc!

– Zapytam po raz ostatni: zgadza się pani na alimenty w wysokości tysiąca złotych?

– Zgadzam się! – Z wysiłkiem wyszarpnęła stopę spod buta Klaudii.

– Informuję, iż ustalona dzisiaj kwota stanowi umowę pomiędzy powodem i pozwaną, reprezentującą ich syna. Dominik Gawroński odmówił udziału w rozprawie, ale niezależnie od tej decyzji przysługuje mu, jako osobie pełnoletniej, prawo do zmiany wyroku sądu. Może odwołać się od postanowienia i wystąpić jako samodzielna strona, przedłożywszy uprzednio stosowne dokumenty o ciągłości kształcenia, niezdolności do utrzymania się... – Sfinksica wróciła do nowomowy, ale Marta miała to w nosie.

Podobnie jak atak złości, jakim uraczyła ją Klaudia, gdy zostały same.

– Rozum ci odjęło?! – Pukała się w czoło. – Nie widziałaś, co się dzieje? Może i sąd, generalnie, nie był nam zbyt przychylny, ale dzisiaj w kwestii alimentów stał za tobą murem! Naprowadzała cię jak dziecko, żebyś zażądała minimum dwóch tysięcy, a ty co?! „Podtrzymuję...”, „Zgadzam się...” – przedrzeźniała swoją klientkę. – Zgłupiałaś na finiszu?

– Daj spokój! – Marta machnęła ręką. – Chciałam, żeby to wreszcie się skończyło. A wysokość alimentów nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Robert puści na Dominika całą kasę. Znam go. Zobaczysz, niedługo padnie Allegro. Z braku towaru, bo we dwóch wszystko wykupią.

– Ależ ty jesteś naiwna... – Uśmiechnęła się smutno Klaudia. – Obyś miała rację i oby twój mąż okazał się wyjątkiem od reguły...

Patrząc na rozdeptywane malutkie muszelki, wycierała z policzków łzy.

Tym razem płakała nad sobą, a konkretnie nad własną naiwnością. Naprawdę wierzyła, że Robert – jako ojciec – okaże się wyjątkiem od reguły; początkowo zdawało się, że miała rację. Wkrótce przyszło jej pluć sobie w brodę za brak reakcji na delikatne sugestie Sfinksicy i miażdżące uściski Klaudii. Ale skąd miała wiedzieć, że kochający tatuś zamieni się w obojętnego sukinsyna, odliczającego skrupulatnie tysiąc złotych miesięcznie i twierdzącego, że za taką kasę utrzymuje się niejedna wielodzietna rodzina, więc Dominik powinien wreszcie poważnie się zastanowić?

Wróciły słowa Sfinksicy: „Pozwana nie okazywała małżonkowi miłości, szacunku ani akceptacji. Obrażliwe słowa, krytykowanie, naigrzanie się z cierpienia i jawna wrogość nie stanowią budulca dla związku”.

Potem słowa Klaudii: „Masz świadomość swojego apodyktycznego charakteru? Zdajesz sobie sprawę, że daleko ci do ideału żony?”.

Następnie terapeutki: „Pani czarne plamy to wiara we własną nieomyślność i bezgrzeszność, brak tolerancji dla cudzych słabostek, wygórowane wymagania w stosunku do siebie i do innych”.

A na koniec Beaty: „Od rana do nocy tresowałaś go jak burego psa, a on zawsze miał do ciebie anielską cierpliwość”.

Szala przewinień przechyliła się w jej stronę...

Czuła, że zwariuje, jeśli zaraz czegoś nie wymyśli, nie ustali, nie zmieni. Ale niby co ma zrobić? Popatrzyła na niebieski horyzont. Rzucić się do morza?

Odpada! Po pierwsze, umie pływać, więc porządnie się namęczy, zanim utonie, a po drugie, na pewno po plaży łązi jakiś „ostatni Mohikanin”, który rzuci się na ratunek i wyciągnie ją z wody.

Popatrzyła w drugą stronę. Uciec najbliższymi wbitymi w wydniętymi schodkami? A potem na dworzec i do domu? Niezła idea! Zadzwoń do Jolki, żeby spakowała i odwiozła rzeczy...

Dupa! Nie zadzwoni. Zostawiła przecież wygłuszony telefon w pokoju.

W sumie dzięki temu nie mogła puścić Beacie strzałki i podyktowała jej numer z pamięci. A że pamięć już nie ta, „niechący” pomyliła dwie ostatnie cyfry.

Powłóczyła się kilka razy deptakiem tam i z powrotem, intensywnie wążąc wszelkie „za” i „przeciw” à propos wszystkiego i wszystkich. Ostatecznie niczego już nie była pewna. Zaczęła więc przypominać sobie kolejne seanse w gabinecie psychologicznym, dyktowane mantry, sposoby na wychwycenie i ujarzmienie podświadomych myśli. Trochę pomogło – coś poukładała, oszacowała, wywnioskowała.

Dla relaksu weszła do kina na film; nie umiałaby powtórzyć nawet tytułu, a tym bardziej akcji. Odwiedziła dwa muzea i zaliczyła przejażdżkę statkiem wycieczkowym – z podobnym skutkiem, co kino. Niełatwo dogadać się z własną podświadomością...

Kolację zamówiła w tej samej knajpie, w której jadła śniadanie z Beatą. Musiała tam wrócić. Nie wiedziała czemu, ale musiała. Zajęła ten sam stolik i to samo krzesło. Spowiadała się niewidzialnej Beacie z ostatnich lat swojego życia. Ostro z nią dyskutowała, a zakończyła przeprosinami za oszustwo z numerem telefonu. Beata zrozumiała i mądrze pocieszyła. Odwzajemniła się przeprosinami za wychwalanie Roberta.

– Czyli tyle wiemy o cudzych mężach, ile same chcemy wiedzieć? – Uśmiechnęła się i zniknęła.

Marta poprosiła o rachunek, a potem deptakiem wróciła do hotelu. Teraz szła dziarsko, pewna siebie, względnie uspokojona i w miarę rozgrzeszona.

Parter budynku przeznaczono na działalność handlowo-usługową, więc wstąpiła do niewielkiego sklepiku z wielkim asortymentem. Właściciel idealnie rozpracował potrzeby turystycznej klienteli, dzięki czemu można tu było nabyć wszystko, czego dusza zapagnie. Marcie ogromnie spodobało się racjonalne zgrupowanie towarów: chleb obok masła, owoce obok warzyw, prezerwatywy obok czekoladek, alkohol obok proszków na ból głowy albo – co szczególnie ją rozbawiło – gumy do żucia obok kleju do protez. Mądrze! Uwinęła się w pół minuty.

Trochę się bała powrotu do pokoju. Ciekawe, czy towarzystwo siedzi w komplecie na łóżku, czy raczej buszuje po Kołobrzegu? Jak zareaguje Jolka na zniknięcie przyjaciółki? Ile złośliwych komentarzy usłyszy od Elwiry i Magdy? A może postanowiły się obrazić i nie odzywać do Jęczącej Marty?

Ledwo wysiadła z windy, wiedziała, że współlokatorzy nie buszują po Kołobrzegu: głośna muzyka oraz trzy wesołe głosy słyhać było już na korytarzu. Kilka sekund wachlowała palcami nad klamką, zanim odważyła się ją nacisnąć i wejść do środka.

Tak jak podejrzewała, gnieździły się jedna obok drugiej. Każda w pozycji horyzontalnej i każda ubrana w szary dres o jaśniejszym bądź ciemniejszym odcieniu. Stłoczone i szare skojarzyły się Marcie ze śledziami. Trochę bez sensu, bo śledzie przecież nie rżą i nie kotłują się radośnie w rozmemłanej pościeli.

– Wreszcie jesteś! Chwała Bogu! Bałam się, że wróciłaś do Szczecina! – Jolka wyskoczyła z łóżka. – Gdzieś była? Co masz w tych siatach?

– Obstawiam wodorosty! – zgadywała Elwira. – Jak nic nasza maniaczka porządków wysprzątała dziś pięknie całą plażę. Ciekawe, piach też wyniosła?

– Przestań! Chyba pomyślała o dzieciakach i chociaż pół wywrotki na lato im zostawiła? – wyraziła nadzieję Magda. – A jak obstawiasz? Co zrobi z wodorostów? Maseczkę czy zupe?

– Kobieta należy do pracowitych, dlatego obstawiam i maseczkę, i zupe, i przetwory, i sushi, i gąbkę do

kąpieli, i jakiś ekologiczny nawóz... – Wyliczanka zakończyła się na pięciu palcach lewej dłoni. – Ale nie wątpię, że zostaniemy zaskoczone jeszcze inną gospodarczą kreatywnością? – Elwira zamachała do Marty prawą ręką. – Prawda?

– Gówno prawda! – Kreatywna gospodyni ominęła Jolkę i ruszyła w kierunku łóżka. – Zróbcie miejsce, bo muszę wypakować zakupy, a zdaje się, że to wyrko jest naszym stołem? – Zaczęła wyrzucać z reklamówek chipsy, butelki z winem, czekolady, soki. Nie zwracała uwagi, czy spadają na materac, czy na uciekającego „śledzia”. – No! – odsapnęła, gdy opróżniła torby.

– Odbiło ci?! – Elwira masowała łokieć, uderzony przez chilijskie cabernet sauvignon. – Mogłaś nas zabić!

– Nie „mogłam”, tylko „powinłam”. I nie dziś, tylko wczoraj! – Uśmiechnęła się wrednie. – Co wy, do cholery, sobie myślicie? Że macie patent na życiowe mądrości, a ja jestem marudną debilką? Że można o mnie gadać, co się chce?!

– Jolka...? – Hetery spojrzały na koleżankę wzrokiem mówiącym: „zrób z nią coś”.

– Ma rację! I dobrze wam powiedziała! Też mnie czasami wkurzacie, bo wszystkie jesteśmy tak samo głupie, a wy dwie się zawsze upieracie, że jesteście jedyne mądre!

W pokoju zapadła cisza. Darł się jedynie telewizor nadający setną powtórkę jubileuszowego festiwalu piosenki polskiej.

– Wszystkie jesteśmy tak samo głupie, tylko my dwie jesteśmy jedyne mądre? – Elwira przerwała milczenie, z trudem przyswajając zawiłą opinię Jolki. – Że niby ja i Magda w dwójcy jedyne...? – Wsłuchiwała się uważnie w słowa. – Fajnie brzmi. Tak biblijnie.

– W dwójcy jedyne głupie jesteście! – Patrząc na zawalone delicjami łóżko, Jolka starała się odgadnąć nagłą przemianę Marty. – Nie słuchaj ich. Chodź do mnie i powiedz, co się stało. – Rozwarła ramiona.

– Wszystko źle! – Serdeczny uścisk zadziałał jak katalizator: Marta planowała być twarda i harda, a mazała się jak małe dziecko. – Do dupy z takim życiem! – Chlipała przyjaciółce w mankiet. – Zabierzecie mnie ze sobą na emeryturę do Indii?

– Oczywiście! – Jolka głaskała złożoną na ramieniu głowę. – Zabierzemy, prawda? – Posłała koleżankom twarde spojrzenie.

– Nooo... jeśli takie zakupy będzie co wieczór przynosić...? – bąknęła Elwira.

– Też się zgadzam – westchnęła Magda. – Oby tylko nie jęczała.

– Czyli ustalone: emerytura w Indiach! – Jolka oderwała Martę od mokrego mankietu. – Powiedz wreszcie, dlaczego ryczysz.

– A wypijecie ze mną?

– Brrr! – Elwira skrzywiła się z odrazą. – Nawet nie wspominaj o picciu. Ty sobie spacerowałaś, a ja rzygałam jak paw. Godzinę temu przestałam. Jestem dzisiaj na detoksie.

– To sama mam się urżnąć?

– Absolutnie! – Jolka z Magdą rzuciły się do rozsypanych po łóżku butelek. – Urżniemy się wspólnie w zespół, a nasza nienachlana koleżanka, w ramach pokuty, popatrzy z boku.

– W dwójcy jedyne będziecie pić? – zakpiła Elwira.

– W trójcy! – Marta, ocierając resztki łez, wskazała na siebie, Magdę i Jolkę. – A ty zakryj się kołdrą. Poleżysz parę kolejek i usłyszysz, co o tobie myślę. Zobaczysz, jak to miło!

– Proszę bardzo. Jestem przyzwyczajona do obrabiania dupy!

– W jakim sensie? Bo nie wiem, czy ci teraz współczuć, czy zazdrościć? – odparowała, przedrzeźniając znudzony ton.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

– Widzicie? Mówiłam, że jak się wykluje z kokonu, będzie lepsza od nas... – Jolka szeptała do

koleżanek, korzystając, że Marta poszła do łazienki, by przebrać się za śledzia w szary dres. – Nie wiem, co ją dziś spotkało, ale ewidentnie ją to wykluło.

JAKO DZIESIĄTY MÓWCA I PIERWSZA KOBIETA  
CHCĘ POWIEDZIEĆ,  
ŻE KOGUT MOŻE SOBIE PIAĆ,  
ALE TO KURA ZNIESIE JAJKO.

(Margaret Thatcher)

Przy pierwszej butelce Marta mówiła, a one słuchały. Przy drugiej zabierały głos równie często, co ona, przy trzeciej zaś przejęły inicjatywę, by wybić jej ze łba, że jest czemuś winna.

– Niczego złego nie zrobiłaś. Po prostu byłaś głupia i tyle!

– Nie, nie. Mam okropny charakter...

– Pieprzysz!

– Tak? To czemu chcieliście mnie dzisiaj w nocy przerzucić przez płot do sanatorium?

– Bo byłaś głupia. Ale teraz? – Magda popatrzyła z sympatią. – No nie poznaję koleżanki!

– Mówiłam, że jak się wykluje...

– Skończysz wreszcie z tym wykluwaniem? – Magda machnęła na Jolkę. – Znalazł się etno... lolog... emto... log...

– Entomolog! – Elwira korzystała z przywilejów trzeźwości. – Są narąbane, ale mają rację. Nie byłaś złą żoną. Byłaś głupią żoną. A głupie żony się zostawia, niestety.

– Naprawdę? Więc czemu ciebie, taką wielce mądrą, też mąż zostawił?

– Bo też byłam głupia. Myślałam, że jeśli go opiorę i nakarmię, zostanie w domu. Do głowy mi nie przyszło, że potrzebuje czegoś więcej.

– Czego?

– Zrozumienia! – zaśmiała się Elwira, spoglądając prowokująco na resztę. – A poza tym? Powiedźcie jej!

– Czułości!

– Szacunku!

– Komplementów!

– Doceniania!

– Chwalenia!

– Wyrozumiałości! – Magda z Jolką ścigały się w wyliczance.

– Pewnie macie rację, ale przysięgam, że przez dwadzieścia lat Roberta nie było za co chwalić ani podziwiać.

– Gdybyś była mądra, znalazłabyś milion powodów do chwalenia i podziwiania. Że mądry, zaradny albo ma zmysł majsterkowicza...

– Ile czasu zajęło ci zmadrzenie? – Marta, całkowicie już zaprzyjaźniona z Magdą, nadal nie potrafiła przekonać się do Elwiry. Robert majsterkowicz? Dobre sobie!

– Sporo. Najpierw musiałam przepłakać i przemyśleć pewne kwestie.

– I co? Odniosłaś sukces?

– Odkryłam, że kobiety są niereformowalne. Niby wiemy, że oni nigdy nie dorastają, prawda? I wciąż gderamy, że to wieczne dzieci, którym z biegiem czasu tylko zabawki trzeba zmienić, co nie?

– Bo to prawda! – zaperzyła się Jolka.

– Więc wyjaśnij mi, dlaczego, skoro znasz prawdę, nie starasz się do niej dostosować? Jeśli wiesz, że są dziećmi, dlaczego nie traktujesz ich jak dzieci?

– Znaczy jak?

– Boże kochany... – Elwira zamachała rękoma. – Powiedziałybyście do czterolatka: „Mam dość twojej tępoty! Nie denerwuj mnie! Wyjdź stąd i nie wracaj, dopóki nie zmądrzejesz”? Do czterolatka mówi się: „Ojej, dziękuję, skarbie! Ależ cudowną laurkę namalowałaś. Zaraz przyczepię na lodówkę. Jakie piękne kwiatuszki i co za śliczny konik!” – trąkotała słodkim głosem. – A kiedy dzieciak oznajmia, że pokraka z laurki to nie konik, lecz piesek, natychmiast przytakujecie i jeszcze gorliwiej się zachwycacie: „Oczywiście, że piesek! W życiu nie widziałam piękniejszego pieska!”. Zgadza się?

– Zgadza.

– No właśnie! Więc dlaczego, zamiast tak samo gadać do faceta, gasicie go tekstem: „Ty już, kurna, nawet psa od konia nie odróżniasz?”.

Marta, Jolka i Magda wybuchnęły śmiechem, Elwira zaś z powagą groziła im palcem.

– Wstyd! Tak nie można. Trzeba pamiętać, że maluchy są niesamowicie wrażliwe.

– A sprawdziłaś tę teorię w praktyce?

– Oczywiście! Ponad rok jestem z facetem, którego traktuję jak dziecko. I wreszcie wszystko idealnie działa! Ja się nim zachwycam, a on mi maluje laurki. W przenośni, rzecz jasna.

– A w realu? – dopytywała Marta, powoli przekonując się do najgorszej z heter. Co jak co, ale inteligencji nie sposób Elwirze odmówić. – Powiesz coś o malowaniu laurek bez przenośni?

– Służę... – Hetera wzruszyła ramionami. – Niedawno biegaliśmy po sklepach za wiosenną kurtką dla niego. Dziecko grymasiło, bo nóżki bolały od chodzenia, a rączki od przymierzania. Na dodatek nie wiedziało, czego chce. Czy kurteczka z kapturkiem, czy bez kapturka? Krótka czy dłuższa? Gładka czy w kratkę? Z ochotą przełożyłabym gówniarza przez kolano i manto spuściła, ale wciąż sobie powtarzałam, że idę z dzieckiem. Niby ponad pięć dych, niby metr osiemdziesiąt i niby sto kilo, ale jednak dziecko. A dzieci się nie bije, nie obrzuca wyzwiskami i nie zostawia samych w dużym sklepie, prawda? Co się robi, gdy dzieciak ma focha...? – Zawiesiła głos, oczekując odpowiedzi. – Jak należy postąpić z nabzdyczonym czterolatkiem? Słucham?

– Ignorować focha.

– Trzymać z miłością za rączkę i cierpliwie przeczekać.

– Nie odpuszczając. Dalej robić swoje, a na koniec dać nagrodę, że wytrzymał i nie pokopał mamusi.

– Właśnie! – pochwaliła je Elwira. – Dlatego nie rozumiem, czemu kobiety z obojętnym uśmiechem wleką za sobą histeryzujące dzieci, a dla chłopca nie mają cierpliwości. Przecież wiedzą, że jedno od drugiego niczym się nie różni. Wciąż to powtarzają, narzekają, ale żeby jakieś wnioski wyciągnąć? Jakby dostały zbiorowego zaniku inteligencji operacyjnej.

– Co to jest zanik inteligencji operacyjnej?

– Posiadasz patent, którego nie umiesz zastosować. Na przykład znasz wzór na pole prostokąta, ale nie obliczysz siatki potrzebnej do ogrodzenia domu. Wiesz, że facet to dziecko, ale traktujesz jak dorosłego. Skąd nam się bierze ten funkcjonalny analfabetyzm? Pojęcia nie mam.

– Nie filozofuj! – Rozciągała usta w uśmiechu, choć w duchu mocno się krzywiła, bo mądrości Elwiry mocno uwierały. Martę dopadły wyrzuty sumienia, że tak brutalnie obchodziła się z Robertem. Kto wysyła czterolatka z wiertarką na drabinę? Kto dobija złośliwymi komentarzami odwiezione do szpitala



dziecko? Nawet Ksantypa okazałaby więcej czułości! Po drugie, przypomniała sobie wizytę Sandry i Bartka. Chabrowa panienka zdawała się być ucieleśnieniem głupoty, ale okazało się, że to wyjątkowo mądra kobieta. Gdyby zbadać jej inteligencję operacyjną, IQ jak nic wyskoczyłoby powyżej dwustu. Wiedziała, że musi zachowywać się słodko i infantylnie, by dopasować się ćwierkaniem do siedzących obok niej „czterolatków”. Ale numer! Marta zastanawiała się, ile takich odkrywczych życiowych konkluzji ją czeka, ale wolała nie afiszować się z podobnymi rozterkami. Bezpieczniej było popijać wino i udawać wesołość. – Zamiast filozofować, powiedz lepiej, jak się skończyło kupowanie kurteczki.

– Sukcesem! Zignorowane i wleczone za rączkę dziecko wreszcie przestało tupać. Podało się, zrozumiawszy, że bez ciucha nie wyjdziemy, i szybciotko znalazło idealną kurteczkę.

– No to za idealną kurteczkę! – Magda uniosła w górę kieliszek.

– Czekaj z toastem, bo historia dopiero się zaczyna. Dziecko wybrało, sprzedawczyni pakuje kapotę i mówi do mnie: „Czysta bawełna, więc może ją pani spokojnie prać w automacie. Po praniu niech pani mocno wstrząśnie i równo rozwiesi. Zobaczysz pani! Będzie pani naprawdę zadowolona!”. – Zaśmiała się złośliwie. – Rozumiecie? Kobieta mi wmawia, że będę zadowolona od wsadzenia w bęben jego kurtki. A co to? Alternatywna forma endorfin: pioreę, trzepię, rozwieszam i jestem szczęśliwa, że mi pralka dogodziła?

– Litości... I co? Przemilczałaś?

– Milczenie nie jest moją mocną stroną... – Elwira skłoniła się przepaszająco. – Wyjaśniłam jej, że nie znalazłam tego pana w dżungli. I że podczas przymierzania zapinał guziki własnymi rękoma, a nie najnowszymi modelami protez. Dodałam, że należy do gatunku mężczyzn, którzy wiedzą, jak zadowolić kobietę, więc na pewno zaskoczy mnie miłszym prezentem niż płyn do bawełny. Uwierzcie, że był zachwycony. Nie tyle przez moje wychwalanie, ile przez westchnienia i pełne podziwu spojrzenia sprzedawczyni. Patrzyła na niego jak na ósmy cud świata i kilka razy powtórzyła, że prawdziwa ze mnie szczęściara.

– Naprawdę nie upierzesz mu kurtki? Tak bardzo ci to uwłacza? – Relacja Elwiry kojarzyła się Marcie z pretensjonalnym feminizmem, którego szczerze nienawidziła.

Może i dała Robertowi zrobić z siebie kurę domową, ale zawsze lepsze to niż zamienianie mężczyzny w domowego koguta. Natury nie oszukasz. Ile by kury z kogutami nie wojowały, i tak niczego nie zmieniają: jedno będzie jaja nosić, a drugie znosić i wysiadywać. Zatem po cholere sadzać siłą koguta na gnieździe?

– Oczywiście, że wypiorę mu kurtkę. I gacie, i skarpety, i koszule. Wszystko mu wypiorę.

– No to nie rozumiem. – Marta nie kryła zdumienia.

– Ileż można tłumaczyć? Kto dopuszcza czterolatka do pralki? Zafarbuje, nastawi gotowanie zamiast trzydziestu stopni, piana wylezie przez dozownik...

– Więc po co go chwaliłaś, że ma dwie zdrowe ręce i wie, jak uszczęśliwić kobietę?

– Jezus Maria! Kiedy dzieciak wręcza ci laurkę z koniem podobnym do psa, to też chwalisz. Chociaż nie oczekujesz, że jutro namaluje bitwę pod Grunwaldem, prawda? Chwalisz, bo...? – Elwira powachlowała ręką, zachęcając do dokończenia zdania. Nie wiedziała, że wykonuje gest terapeutki, która godzinami uczyła Martę samodzielnego myślenia.

– Bo to dziecko.

– Właśnie. Dajesz mu fajną energię, a ono zaczyna wierzyć, że jeśli chce, to potrafi. Potem sprytnie manipulujesz pochwałami, żeby wychować i rozwinąć w dobrym kierunku. Na finał wcale nie musi uruchamiać pralki, ale musi wiedzieć, że na piękne oczy nic mu się nie należy i za wszystko trzeba podziękować! – Elwira położyła sobie dłoń na sercu. – Przysięgam, że dopóki facet będzie mi okazywał wdzięczność... Oczywiście czynami, a nie pitoleniem w stylu: „Pyszne gołąbki, kochana. Dorzuć mi

jeszcze”. – Popatrzyła przeciągle na Martę. – Jeśli facet będzie robił w domu coś specjalnie dla mnie, to przysięgam, że do śmierci może nie odróżniać programatora od bębna. Wszystko mu upiorę.

– Bo ja wiem? – Marta uciekła oczyma między butelki z winem. Sięgnęła po jedną i napełniła szklaneczkę. – W praktyce nic nie jest proste... Chce któraś? – Zamachała winem.

Jolka i Magda przejęły butelkę bez słowa i uzupełniły swoje kieliszki.

– Masz rację, łatwo powiedzieć... – przytaknęła Elwira, stukając wodą mineralną w szklaneczkę Marty. – Ale chyba wiesz, że Ameryki nie odkryłaś? Bo co w praktyce jest proste? Nic! Nawet ze zwykłą fizjologią musisz się czasami porządnie namordować, więc trudno, żeby wychowanie obyło się bez obstrukcji, nie?

– No... – Marta poczuła się, jakby wróciła na terapeutyczną kozetkę. – Grunt, że ci wyszło z tym facetem.

– Czas pokaże. Wciąż obserwuję go jak mangusta węża. Na dodatek muszę być czujna. Człowiek się miesiącami napracuje, nachwali, nawychowuje, a wystarczy raz iść do sklepu po kurtkę i... – Pięść łupnęła o zagłówek. – Misterny plan runie jak domek z kart! Gdybym w porę nie zareagowała, sprzedawczyni wmówiłaby mi, że pranie jego kurtki uszczęśliwi mnie najbardziej w świecie. Wciąż nie mogę się nadziwić. Żeby kobieta kobiecie robiła krzywdę?

– No... – Marta jednak nie miała ochoty na terapię.

– Dlatego wciąż strzygę radarami i wciąż go zapewniam, że jest wyjątkowy. Wyłazi ze skóry, żeby to potwierdzić. Przedwczoraj pakowałam się do Kołobrzegu, a on zrobił kolację niespodziankę. Chyba konia z psem ugotował! Dwa metry nitki dentystycznej zużyłam, żeby usunąć mięso z zębów. Ale co się nachwaliłam... Pamiętajcie, dziewczyny! – Elwira zmarszczyła brwi jak mądra sowa z kreskówki. – Najważniejszy jest podziw! Jeśli odpowiednio dowartościujecie, pójdzie jak po sznurku.

– Słyszycie? Nie spać! – Marta zakrzyknęła wesoło do Jolki i Magdy. Liczyła, że uwolnią ją od męczącej pogadanki z zakamuflowaną feministką, obmyślającą każdy element tresury czterolatka po pięćdziesiątce.

Nawet jeśli wysoki sąd i psycholog mieli rację i przyczyniła się do rozvodu, to nikt nie może jej zarzucić premedytacji. Owszem, wybuchała, nie przebierała w słowach, narzucała swoją wolę, krytykowała... Ale tylko w nerwach.

Czyli intuicja jej nie zawiodła: Elwira jest z innej bajki. Ale nieprzeciętnej przebojowości nie mogła jej odmówić.

– Nie śpijcie! Bo was przerzucę za płot sanatorium! – Ze śmiechem stukała w kieliszki Magdy i Jolki. – Mówcie coś!

– Nie śpimy. Słuchamy. Odtwarzam sobie w pamięci historię moich nieudanych związków, szukając powodów do chwalenia. – Jolka skrzywiła się sceptycznie. – Ostatniego pogoniłam przez złamany klucz. Otwierałam drzwi i nagle trach! Pół klucza w zamku, a drugie pół w ręku. Szok! Stoję na wycieracze razem z dziesięcioma siatami zakupów...

– Czyli miałaś co jeść?

– Miałam co jeść, ale nie miałam gdzie sikać! A zwieracze gwizdały głośniej niż szybkar! –

– Wybrałaś majtki, wycieraczkę czy reklamówki?

– Wybrałam numer do debila! Liczyłam na pomoc, a on mnie opieprzył: „I po co, idiotko, łamałaś klucz? Radź sobie teraz, skoro taka jesteś mądra!”. Rozumiecie? Po co łamałam klucz? Dla żartu! Żeby urozmaicić nam życie. Gnojek! Nie wiedziałam, czy się nachlać... bo w siatach miałam też wódeczkę... czy wyrąbać łbem drzwi, czy go odszukać i udusić.

– Zdecydowałaś się na...?

– Na sąsiadkę. Kiedy korzystałam z jej toalety, dała mi telefon do ślusarza. Przyjechał, wymienił zamek

i dał trzy klucze. Jeden wzięłam dla siebie, drugi dałam Filipowi, a trzeci sąsiadce.

– A on?

– On dostał walizki i zakaz zbliżania. Nie będzie mnie, palant, od idiotek wyzywał! – prychnęła Jolka.

– Za co miałam go chwalić?

– Choćby za to, że ładnie starał się dopasować do partnerki. Nazywałaś go debilem, więc płaszczyznę porozumienia mógł znaleźć wyłącznie z idiotką. Przyznaj.

– Elwira! Przestań chrzanić! Dobra? – Magdzie plątał się język i zamiast „przestań” wymawiała „przystań”. – Rób wrażenie swoimi teoriami na tych, co cię jeszcze nie znają! – Wskazała Martę. – My z Jolantą już się dawno wykułyśmy... wy... kłęłyśmy... kłułyśmy... i nie wierzymy w twoje teorie! Ona mało nie zaszczesała wycieraczki, a ja mało samobójstwa nie popełniłam, gdy po kolejnym skierowaniu na operację... Pamiętacie ten nieszczęsny rok: cztery operacje i sto zabiegów z okazji powikłań? Jak mnie mój pan, wspinając się na wyżyny uczuć, zapytał: „Ty! Wciąż ci coś wycinają i żyjesz. A co będzie, jak ci w końcu wytną to, bez czego nie możesz się obejść?”. Za co miałam go pochwalić? Słucham? – Pokiwała zachęcająco ręką, przedrzeźniając gesty Elwiry. – No? Oświeć mnie, pani mądralo!

– Trzeba mu było powiedzieć, że niech wytną, co chcą: nerki, serce, żołądek. Oby twarzy nie ruszali. – Elwira dostrzegła pijacką zaczepność, więc opróżniła do dna szklankę z wodą i podniosła się z łóżka. – Zdaje się, że tracę kontakt. Myję zęby i idę spać.

– A bajka z morałem na dobranoc?

– Odwalcie się! – Drzwi łazienki huknęły z fasonem.

– Widzisz? Nie ma się co przejmować – Jolka pocieszyła Martę. – Statystycznie każda z nas przynajmniej raz w tygodniu nadaje się do wywalenia za płot.

– Zgadza się! – Magda, zamiast kiwać głową, bujała nią na boki.

– Przepraszam, wiem, że Elwira jest waszą przyjaciółką, ale dziwna... specyficzna jest. Powinna otworzyć gabinet psychoterapii...

– Coś ty? Chcesz, żeby umarła z głodu? – Jolka zaniósła się śmiechem. – Wkurza ludzi, bo udaje wszechwiedzącą, ale w razie czego możesz na niej polegać jak na Zawiszy. Bardziej niż na nas.

– Chyba wolę polegać na was... To co? Rozchodniaczka?

Długo jeszcze piły rozchodniaczki, gadały, śmiały się, przekrzykiwały i wznosiły toasty za śpiącą królową Elwirę, która od dawna głośno chrapała.

Nic dziwnego, że nad ranem sytuacja się odwróciła: one głośno chrapały, a wyspana do bólu Elwira leżała w łóżku i przeglądała internetowe wiadomości. Nie chciała hałasować nad głowami współlokatorek, więc zabiła głód czekoladowym wafelkiem i zajęła się czytaniem. Lektura dostarczała niezapomnianych wrażeń. Najpierw dowiedziała się, że wiele polskich rodzin cierpi niedostatek; dzieci nie mają na podręczniki, a rodzice na chleb i czynsz. Kilka artykułów później wyczytała, że w ubiegłym roku niemal sześćdziesiąt pięć procent Polek poddało się mniej lub bardziej inwazyjnemu zabiegowi z zakresu chirurgii plastycznej bądź kosmetyki estetycznej. To w końcu jak? Gdyby wierzyć jednym i drugim, należałoby ogłosić sensację opatrzoną tytułem: „Dziecko nie ma na podręczniki, bo matka zrobiła sobie botoks!”.

Wróciła do internetowej prasówki, którą nagle zakryła reklama. Szukając zamykającego ją znaku „x”, rada nierada czytała: „To rozpala je do czerwoności! Potwierdzone naukowo! Ten jeden dziwny trik silnie pobudza podświadomość kobiet i wzbudza dzikie pożądanie! Mężczyźni, którzy go stosują, uwodzą średnio dziesięć kobiet w cztery dni! Kup feromony! Naturalne i bezpieczne dla zdrowia! Dzięki nim zwiększy się twoje poczucie bezpieczeństwa, staniesz się silny, atrakcyjny i męski!”.

Zza ostatniego słowa wychylał się i znikał znak „x”. Musiała urządzić polowanie, by go trafić.

Wreszcie! – odetchnęła z ulgą, gdy pozbyła się śmiecia z ekranu. Mogła dalej przeglądać Internet, ale dała sobie spokój. Reklamodawca osiągnął cel, chociaż zapewne inny od zamierzonego... – No, fantastycznie! Kupić i nic więcej nie robić, bo laski same będą się wić przy nogach jak kotki naćpane kocimiętką! – klęła na producenta feromonów. – A wymyśliłeś, debilu, antidotum dla uwiedzionych kobiet? Bo jeśli facet zaliczy dziesięć lasek w cztery dni, to po miesiącu zostawia na lodzie ponad sześćdziesiątkę dziko pobudzonych pańienek. I co one mają wtedy robić? Co mają łykać albo wachać? Gdzie alternatywna reklama: „To ci otworzy oczy! Potwierdzone naukowo! Ten jeden dziwny trik pomoże ci zrzucić różowe okulary i obudzi twoją świadomość. Koniec z dzikim pożądaniem! Kup, a zobaczysz, że ani on silny, ani atrakcyjny, ani męski”...

Akurat o nas pomyśla! – Elwira wykiła własne rozterki. – I ze wszystkim tak samo! Zarabiają miliardy na komputerach, ulepszają głupkowate gry i latają w kosmos szukać wody. Po cholere mi woda z planety Kepler-452b? Czy ja kranu w domu nie mam? Zamiast wydawać fortunę na bzdury, mogliby wymyślić automatyczny system sprzątania, gotowania, prania, prasowania... Naciskam guzik i wyjeżdżają roboty, a ja nimi dyryguję. Zapewne to całkiem proste i mogłoby już dawno hulać w każdym domu za grosze, ale niestety, świat woli puszczać kasę na udoskonalanie gier komputerowych, budowanie kosmicznych wodociągów i produkowanie feromonów.

Swoją drogą te feromony to są niebezpieczne... – wróciła myślami do upierdliwej reklamy. – Gdyby chłopaczkę z recepcji się nimi popsikał... Oj! W dzikim pożądaniu wciągnęłybyśmy dzieciaka razem z kluczem do pokoju i dopiero by pożałował, że kupił to świństwo... – Internetowe sensacje, zmieszane z refleksją własną, rozkojarzyły ją do tego stopnia, że nie zauważyła wzmagającego się za oknem hałasu.

– Co tooo...? – wymamrotała Jolka, nie otwierając oczu. – Meble przestawiasz?

– Jakie meble? – Elwira dopiero teraz usłyszała dziwny odgłos: ciężki, wprawiający szyby w coraz silniejsze drgania. – O matko! Tsunami w Bałtyku? – Wskoczyła z łóżka, rozciągnęła grube zasłony, a potem zamarła, gapiąc się na ulicę z rozdziawionymi ustami.

– Tsunami? – Magda z wysiłkiem siadła na łóżku. – O czym wyyy...? – Potężnie ziewnęła.

– Pokaż! – Dwie godziny snu nie były dla Marty niczym nowym, zatem szybko opuściła pościel i rześko dołączyła do stojącej w oknie Elwiry. – O Boże!

– Faktycznie tsunami? – Jolka przykryła się kołdrą po dolne rzęsy.

– Nie. Czołgi i piechota. – Marta walnęła się pięściami w żebra. – Słowo!

Po chwili wszystkie cztery stały z nosami przy szybie. Obserwując kawalkadę czołgów i biegnących obok nich żołnierzy, przekrzykiwały się nawzajem.

– Rozumiem, że byliśmy wczoraj za głośno, ale żeby wojsko na nas nasyłać?

– Bronimy się czy poddajemy bez walki?

– Ma któraś białe gacie? Pomachamy z okna i obiecamy, że jutro wyjeżdżamy. Może nie otworzą ognia?

– Polskie wydało mnie plemię: jestem córą Władysława Jagiełły i Emilii Plater. Wolę zginąć!

– Jagiełły? Przecież ty się nazywasz Pietruszka.

– Znacie jakąś bojową piosenkę?

– To co? Stawiamy barykadę? Z czego?

– Barykada musi być porządna i odstraszać wroga.

– Czyli robimy z butów!

– Wiem! Wiem, co się dzieje! – Marta klepnęła się w czoło. – Mówiłam, że Beata... Wczoraj spotkałam ją na plaży! – wyjaśniła szybko na widok sześciorga zdziwionych oczu. – Beata mówiła, że przyjechała tu z facetem, bo on zajmuje się logistyką dużych imprez militarnych i dostał poważne zlecenie na Kołobrzeg. Czyli pewnie rocznica wyzwolenia?

– Zgadza się... – Elwira zerknęła w Internet. – Osiemnasty marca... Zapraszamy mieszkańców,

kuracjuszy i turystów... Rekonstrukcja ostatniej fazy działań wojennych... – czytała. – Wzruszająca scena zaślubin z morzem...

– Głupie morze się zaślubiło, a ja wciąż wolna? Skandal! – Jolka wróciła do łóżka.

– Czuję się rozczarowana! – Magda również zniknęła pod kołdrą. – Wersję: „Tak wczoraj zabalowałyśmy, że aż czołgi na ulice wyjechały”, uważam za ciekawszą. Poza tym lipna ta rekonstrukcja... – Ziewnęła. – A gdzie Szarik? Przecież każdy wie, że tam był. Gdybym ja się wzięła do podobnego przedsięwzięcia, w pierwszej kolejności zadbałabym o Janka, Marusię i Szarika. Ale on, jak znam chłopów, skupił się na wiernych kopiach gąsienic i karabinów.

POZOSTAJESZ NA ZAWSZE  
ODPOWIEDZIALNY ZA TO,  
CO OSWOIŁEŚ.

(Antoine de Saint-Exupéry)

Nie dały rady ponownie zasnąć, więc poszły na spacer. Zrezygnowały z hucznej bitwy rozgrywanej w okolicach pomnika Zaślubin Polski z Morzem; ruszyły plażą w przeciwnym kierunku. Gadały o wszystkim, co chwilę zmieniając temat.

– Ile ona w końcu ma lat? – padło pytanie o jedną z celebrytek. – Bo ponoć prawie dychę więcej, niż twierdzi. Ale zaprzecza.

– Nieważne ile. Ważne, na ile wygląda! – Elwira wzruszyła ramionami. – Przestańcie się zachowywać jak różańcowa kruczata. Co wam przeszkadza?

– Że kłamie! – skrzywiła się Magda.

– A jeśli nie kłamie, niech da dowód! – poparła ją Jolka.

– Po co? I tak nie uwierzycie. Wybierzcie się do Warszawy, znajdźcie ją, rozetnijcie na pół i policzcie słoje.

– Mądrała!

– Próbuję tylko zrozumieć, z czym macie problem. Przecież nie doliczą wam do czynszu jej ukrytych lat. Co komu szkodzi, że się odmładza? Żyjcie i dajcie żyć innym.

Jolka i Magda wymieniły się spojrzeniami nie tylko między sobą, ale również z Martą. Pomyślały mniej więcej to samo: „Żyj i daj żyć innym, ale myśl jak ja”.

– W sumie masz rację... – Uśmiechnęła się pod nosem Jolka. – Co nam szkodzi?

– Racja... – Magda zachichotała w kaptur. – Przepraszamy, Elwirko, że nam przeszkadzało. Dzięki tobie zawróciłyśmy ze złej drogi. Dobrze, że mamy obok siebie kogoś mądrego.

– Nie nabijajcie się ze mnie!

– Ależ skąd! – rechotały bezczelnie.

– Zauważyłaś, że ja się nie odzywam? – Faktycznie, od wyjścia z hotelu Marta milczała. – One głupie są! – Machnęła lekceważąco na koleżanki. – Nie to co ja! Przeszłam porządną kurację psychologiczną i nie obchodzi mnie, kto się postarza, kto odmładza... Moja terapeutka opowiedziała mi pewną przypowieść buddyjską. Powtarzam ją przynajmniej pięć razy dziennie, rewelacyjnie pomaga. Chcecie?

– Dawaj!

– Uczeń w rozmowie z mistrzem utyskuje, że życie jest okropne, a ludzie jeszcze gorsi. Że wokół mnóstwo zła i beznadziei, że wszystko nie tak, że wszystko źle, że celebrytki wiek zakłamują i generalnie nie ma wyjścia: albo zabić świat, albo siebie. Mistrz wysłuchał narzekań, a potem złapał marudę za włosy, szarpnął i zgiał go do ziemi. Uczeń krzyczał: „Puść! To boli!”. Mistrz na to: „Nie szarp się. Wtedy nie będzie bolało”. – Marta zakończyła przypowieść. – Dobre, nie?

– Bzdura! – prychnęła Elwira. – Powinnaś domagać się zwrotu kasy za terapię. Jak można uczyć

człowieka bezwolnej pokory? Ja zawsze będę miała swoje zdanie, nawet gdyby mi wszystkie włosy wyrwali... Co wam? – Patrzyła na ich zgodny wybuch śmiechu. – Nie rozumiem, co takiego zabawnego powiedziałam?

– Nasza Elwirka kochana! – rzała Jolka. – Nasz kochany buddyjski mistrz!

Łażyły po plaży, kłócąc się o stołki mistrza i ucznia oraz wymyślając naprędce różne życiowe przypowieści. I licytowały się, która mądrzejsza.

– Nie rozumiem, jak można być przytomnym przed południem. A ty się zrywasz i latasz po nocy jak -wampir.

– Napoleon mówił, że długo śpią tylko lenie i głupcy – broniła się Marta.

– Napoleon? – Elwira wzruszyła ramionami. – Podobno był genialny, miał podzielną uwagę. Wielka mi sensacja! Ja mam codziennie podzielną uwagę, ale o mnie nie napiszą w podręczniku do historii.

– À propos koronowanych głów, wspominałam, że zamówiłam jajowar? Mają dostarczyć do paczkomatu. Obym umiała odebrać. Jeszcze nigdy nie korzystałam z paczkomatu, a wy?

– Ja też nigdy... – Marta spojrzała na przyjaciółkę. – A co to ma wspólnego z koronowanymi głowami?

– Bo czekam na jajowar równie niecierpliwie, co Wielka Brytania na potomka Kate i Williama.

– Aha. To ja tak samo czekam na przeciwwyłakowe pończochy – westchnęła Magda. – Czuję, że kankana w nich nie zatańczę i będę mnie piły w łydkach.

– Pończochy będą piły w łydkach? – prychnęła Elwira. – Polski jest dziwny, nie?

– Dziwny i śmieszny. Dominik zakolegował się z kilkoma Larsenami...

– Z kim?

– Z Larsenami. Tak mówi na norweskich studentów, bo ponoć Larsen jak nasz Kowalski. Ale mniejsza z tym! – Marta machnęła ręką. – Norwegowie przyjechali do Szczecina i byli zdumieni, że w Polsce, jeśli chce się przejść w tłoku albo wysiąść z tramwaju, trzeba zrobić ustami szybkie: „pszpsz”. Tak ich to bawiło, że specjalnie włązili w największy tłum i robili: „pszpsz”, a ludzie natychmiast się odsuwali. Dopiero po kilku tygodniach ktoś im wyjaśnił, że chodzi o „przepraszam”, a nie żadne „pszpsz”. Dominik nie wierzył, więc sam wypróbował i rzeczywiście: wystarczyło „pszpsz”, żeby się ludzie rozstąpili.

– Nigdy nie byłam w Norwegii. Słyszałam, że to piękny kraj, ale nie mogłabym tam mieszkać. Za mało słońca.

– No! – Magda przytaknęła Jolce. – Też uwielbiam ciepło. Chociaż ostatnie lato niemal mnie zabiło. Myślałam, że się wykończę w tym afrykańskim upale.

– Masz rację. Ja też ledwo przeżyłam. – Elwira, o dziwo, nie zbombardowała ich odmiennym zdaniem. – Łaziłam jak mucha w smole i zastanawiałam się nad wyemigrowaniem do Kamerunu. Tam podobno wszyscy ruszają się pomału i na wszystko mają czas. Wiem, bo znajomi byli przez pół roku i opowiadali.

– Wcale się nie dziwię, że w Kamerunie ludzie wolno chodzą. Cud, że w ogóle chodzą. Ja tutaj nie chodziłam, tylko się skradałam: od kanapy do wanny i od wanny do kanapy. Jedyne plus, że miałam imponującą nadpłatę za ciepłą wodę. Nic dziwnego; przez miesiąc prawie jej nie używałam.

– Mnie się udało. Trafiłam z urlopem i przetrwałam upały w morzu. Szału nie było, bo nagrzało się jak zupa i musiałabym pod Bornholm podpłynąć, żeby się porządnie schłodzić. Samej ciężko, a na materacu ratownicy nie pozwalali się od brzegu oddalać, więc pani... – Magda wskazała na siebie – ...Pietruszka siedziała w słonej zupie.

– Szczęściara!

– Nie do końca. Po powrocie mała zawału nie dostałam. Młoda przez dwa tygodnie była w domu sama. Przysięgała, że nie urządzi żadnych dzikich imprez i zadba o porządek. Weszłam, patrzę: faktycznie idealny porządek. Pochwaliłam dziecko, rozpakowałam walizy, nastawiłam pralkę i poleciałam z kawusią na balkon... – Magda truchtała po piachu, udając, że niesie filiżankę. – Na mój cudowny

balkon, z wielkim fotelem i z tysiącem kwiatów. Otwieram drzwi, a tam pustynia! Wszystko spalone na wiór! Aż się popłakałam. Kochałam każdy kwiatusek, więc czułam się, jakby mi całą rodzinę zabili. A młoda się kajała, że słońce paliło, więc zaciągnęła rolety i nie miała pojęcia, co się działo na balkonie. Wydarłam się: „Cymbalico! Nie uczyli w szkole o fotosyntezie?”. Wytrzeszczała oczy – czyli nie uczyli.

– Albo była wtedy na wagarach. I co? Za karę trzymałaś ją przez dwa tygodnie na balkonie bez wody?

– Nie. Wprawdzie nie znałam jeszcze wtedy przypowieści o mistrzu i uczniu, ale jakoś intuicyjnie wyczułam, że im mocniej będę się szarpać, tym bardziej będzie bolało. Poprzestałam na inteligentnym dokuczaniu. Po dwóch dniach nie zdzierzyła: poszła i za własne kieszonkowe kupiła kwiaty.

– Bravo! – pochwaliły.

– Bo ja wiem? Przyniosła skrzyneczki z pokurczonymi, matowymi główkami bez śladu zielonego listka i zareklamowała: „Aśka pomagała mi wybierać. Pół roku temu razem z mamą obsadziły tym grób babci i ani razu nie podlewały. Odwiedziły niedawno cmentarz i ponoć nic nie zwiędło, a Aśka mówi, że babcia leży jak na balkonie. Znaczy w takim miejscu, że słońce wciąż wali”. – Magda popukała się w czoło. – I co? Mądra ona jest?

– Tym się kończy dokuczanie dziecku: za życia urządzi ci mogiłę. Rozumiem, że ułożyłaś się na balkonie, splotłaś dłonie różańcem i przykryłaś kwiatkami od córki?

– Jeszcze czego! Zasadziłam nową kolorową dżunglę, a cmentarne ohydztwa podlewałam cichaczem co pół godziny. Młoda nie mogła się nadziwić, że zgniły. Razem z Aśką uznały, że pewnie do prawidłowego rozwoju potrzebują słońca w górze i nieboszczyka w dole.

Plotąc trzy po trzy, dotarły na kraniec kołobrzesckiej plaży, gdzie stał nowoczesny hotel z obrotową kawiarnią na ostatnim piętrze. Postanowiły, że zajdą tam na coś słodkiego z widokiem na morze.

– Mam nadzieję, że nie rzygnę od kręcenia. – Chociaż ledwo się wcisnęły do windy, Jolka nie dbała o słownictwo, ponieważ jechały w towarzystwie niemieckojęzycznych emerytów. – W razie czego biorę ciacho i wychodzę.

– Przecież to kawiarnia, a nie karuzela. Chyba że mechanizm nawali i zacznie nami obracać jak kartoflami w siatce. – Magda rozbawiła samą siebie podobnym scenariuszem. – Widzicie to? Latamy w kółko, przyklejone ryjami do szyb. Na glonojada!

– Nie róbcie wiochy.

– Ojoj! – Surowe upomnienie Elwiry rozśmieszyło całą trójkę. – Zapomniałaś już? „Jak można uczyć człowieka bezwolnej pokory?” – przedrzeźniały. – Zmieniłaś zdanie?

– Nie. Wam się najwidoczniej myli pokora z kulturą! – Po krótkim postoju na piątym piętrze zostały w windzie same i Elwira odzyskała donośny głos. – Skąd wiecie, że nie znali polskiego?

– Co z tego? – obruszyła się Jolka. – Przecież nie powiedziałam, że powinni teraz na plaży odgrywać jeńców... – parsknęła. – Coś mi się przypomniało. Kumpela pracuje jako tłumaczka niemieckiego w dużej szczecińskiej firmie. Oprócz codziennych obowiązków musi brać udział we wszystkich bankietach i różnych nieformalnych imprezach finalizujących kontrakty. Za każdym razem trafia się przynajmniej jeden narąbany Polak, który każe przetłumaczyć: „Ty, a co twój ojciec robił w czasie wojny?”.

– No właśnie! – prychnęła Elwira. – Zaścianek z szabelką...

– Chyba na kursach biznesowych szkolą Niemców do rozmów z pijanymi Polakami, bo każdy odpowiada to samo: „Ojciec pracował na kolei”. Przez firmę przewinęła się masa Niemców i każdy miał tatusia kolejarza. Dobrze, nie? – Jolka zignorowała cierpką uwagę o zaścianku.

– Widziałyście, jak na nas patrzyli? – Elwira nie odpuszczała. – Jak na trzodę.

– Żyj i daj żyć innym. Nam też, a nie tylko dzieciom niemieckich kolejarzy! Wychodzimy, proszę



wycieczki! – zakrzyknęła wesoło Magda, gdy winda stanęła na ostatnim piętrze.

Marta wciąż nie mogła się oswoić z ich towarzystwem. Niby się lubiły, a wciąż się o coś szarpały. Niby się szarpały, a zaraz potem gadały jakby nigdy nic. Trudno było przewidzieć, czy wybuchną złością, czy śmiechem. Starła się dostosować, ale czasami wołała dyplomatycznie milczeć; tak jak teraz. Podejrzewała, że uwagi Elwiry płyną z potrzeby bycia oryginalną: dokuczyć, odwrócić kota ogonem, wymądrzyć się i mieć w nosie cały świat. Pewnie się tym dowartościowywała, ale innych męczyła – Martę coraz bardziej drażniły jej chamskie komentarze i patenty na wszystko.

Weszły do sali pełnej niemieckich emerytów i zajęły stolik, po czym długo nakłaniały Elwirę, by usiadła gdzie indziej, bo inaczej spali się ze wstydu, gdy urzędzą tu polską wiochę. Wzajemne złośliwości przerwało nadejście kelnerki.

– Macie sok ze świeżych owoców? – Magda pierwsza składała zamówienie.

– Tak. Z pomarańczy albo z grejpfrutów.

– Niech będzie. I do tego tort czekoladowy.

– Z czego?

– Z czekolady! A niby z czego?

– Chyba jednak się przesiądę... – Elwira spojrzała przeproszająco na kelnerkę. – Koleżanka lekko upośledzona, więc trzeba do niej mówić pełnymi zdaniami: „Tort czekoladowy przyjęłam. A teraz proszę powiedzieć, czy sok z pomarańczy, czy z grejpfrutów”. – Przerzuciła kpiący wzrok na Magdę. – Nie rób wiochy!

– Proszę powiedzieć, czy sok z pomarańczy, czy z grejpfrutów – powtórzyła ze śmiechem kelnerka.

– Z grejpfrutów. I wcale nie jestem upośledzona.

– Jest, jest! – Elwira mrugnęła do kelnerki. – Nie odróżnia żaglowca od poduszki powietrznej...

Marta znowu doszła do wniosku, że do nich nie pasuje. Nie licząc Jolki, oczywiście. Ale Jolka to Jolka. Nie ma co porównywać.

Jadły ciasto i piły kawę. Podłoga kręciła się wolno i nieodczuwalnie, więc nie groziły im żadne skutki uboczne. Chwilę omawiały kwestie zdrowego żywienia, a potem skupiły się na planach co do reszty dnia tudzież wieczoru.

– Na kolację mogłybyśmy pójść tam, gdzie byłam wczoraj z Beatą. Fajna knajpa, normalne ceny i smaczne jedzenie – zachęcała Marta. – Jeśli wam nie pasuje, nie nalegam. Najwyżej spotkamy się dopiero w hotelu, przy winku. Nie wiem czemu, ale muszę tam wrócić. Coś mnie... – Przerwał jej dzwoniący w torebce telefon.

– Wszelki duch Pana Boga chwali... – zamruczała, gdy zobaczyła na ekranie imię syna. – A temu co się stało? Kumpli zaprosił i sprawdza, czy wciąż jestem w Kołobrzegu?

– Może czyste skarpety mu się skończyły?

– Na pewno nie! – Miała ochotę pokazać Elwirze język. – Od kilku miesięcy obsługuje pralkę równie biegle, co komputerowy program modelowania przestrzeni architektonicznej. – Przesunęła palcem po ekranie. – Cześć, synu. – Modliła się, by nie dzwonił z pierdołą, za którą przyjdzie jej się wstydzić.

– Mamo...

– Co się stało? – Serce jej zamarło. – Gdzie jesteś?

– W szpitalu.

– W szpitalu? – Język odmawiał posłuszeństwa. – Wypadek?

– Nie...

– Co się stało?

– Poczekaj. Lekarz chce z tobą rozmawiać...

– Jaki lekarz?

– Dzień dobry. Bogdan Majewski, chirurgia na Unii Lubelskiej w Szczecinie – odezwał się spokojny męski głos. – Pani Marta Gawrońska?

– Co z moim synem?! Czemu jest w szpitalu?

– Dostał bardzo silnego ataku bólu w okolicach klatki piersiowej. Wezwał pogotowie i trafił na nasz oddział.

– Klatki piersiowej? – powtórzyła z trudem. – Miał zawał?

– Gdyby miał zawał, dzwoniłby do pani zakład pogrzebowy, a nie szpital. W jego wieku zawał jest zawsze śmiertelny. Proszę się uspokoić i odpowiedzieć na kilka pytań. Są mi niezbędne do...

– Najpierw niech pan mi odpowie, co się stało. Skąd ten ból?

– Ostre zapalenie woreczka żółciowego.

– Woreczka? Musieliście coś pomylić! To młody chłopak. Nigdy na nic się nie skarżył.

– Wyniki badań nie pozostawiają wątpliwości. Szykujemy syna do zabiegu laparoskopowego, ale przedtem muszę uzupełnić w karcie wywiad rodzinny... – Doktor Majewski należał do lekarzy, dla których empatia to nazwisko jakiejś salowej. Zaczął swoją wyliczankę: – Czy pani lub ktoś z pani krewnych leczył się na choroby układu pokarmowego, poddał się operacjom z zakresu usuwania kamieni, złożeń, przetykania kanałów żółciowych... Czy pani bądź ktoś z pani krewnych chorował na żółtaczkę typu... Czy u pani lub u kogoś z krewnych nastąpiły powikłania pooperacyjne typu... Kiedy, w którym roku, pani bądź ktoś z pani krewnych...

Kelnerka postawiła przed nią szklankę wody, a Marta wypiła łąpczywie, nie zastanawiając się, kto kazał ją podać. Mechanicznie odpowiadała na pytania, chociaż najchętniej nabluzgałaby bezdusznemu medykowi. Ale nie mogła przecież drażnić człowieka, który za chwilę będzie operował jej syna. Dominik w szpitalu, całkiem bezbronny i sam...

Sam? Jak to sam?

– Moment! Skontaktował się pan z jego ojcem?

– Owszem.

– Jest tam gdzieś obok? Proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił. Albo przekazać, że ja zaraz... żeby odebrał mój telefon!

– Ojciec pacjenta poinformował, że nie przypomina sobie żadnych schorzeń ani u siebie, ani w najbliższej rodzinie, natomiast co do historii chorób syna zasugerował rozmowę z panią. Czy syn przechodził wcześniej zabiegi chirurgiczne, był poddawany narkozie, wykazywał alergiczne reakcje na...

– To gdzie on jest? Czemu go nie ma w szpitalu?

– Był w Goleniowie i właśnie wsiadał do samolotu. Uprzedził o braku zasięgu w ciągu najbliższych trzech, czterech godzin i odesłał do pani jako osoby bardziej kompetentnej. Proszę wybaczyć... – W słuchawce rozległo się niecierpliwe cmoknięcie. – Czeka mnie dzisiaj szereg operacji i zabiegów. Nie mam czasu na pośredniczenie w komunikacji między małżonkami. Zechce pani wreszcie współpracować? Co jest teraz dla pani ważniejsze: zdrowie syna czy wyjazd męża?

Przeprosiła i potulnie współpracowała przez kolejnych dziesięć minut. Na koniec zapytała, czy może porozmawiać z Dominikiem.

– Oczywiście. Robimy testy na cito, ale syn jeszcze trochę poczeka na zabieg.

– A gdzie mam dzwonić, żeby się dowiedzieć? – Zorientowała się, że lekarz już oddał telefon Dominikowi. Pieprzony konował!

– Mamo, boję się.

– Skarbie, nie ma się czego bać. Słyszałaś, że to nawet nie operacja, tylko zabieg. Czemu nie dzwoniłaś, że coś złego się dzieje? Gdybyś zadzwonił, już dawno byłabym w Szczecinie, a tak? Boże! Szlag mnie trafi z bezsilności!

– Nie chciałem przeszkadzać. Chciałem, żebyś odpoczęła jak królowa.

Marta dopiła drugą szklanekę wody.

– Synuś, zaraz lecę do hotelu, pakuję się i łapię pierwszy pociąg w stronę Szczecina. Pewnie nie zdążę przed zabiegiem, ale przysięgam, że jak wrócisz na salę, już będę. Nie bój się!

– Zadzwoiłem do taty... myślałem, że... ale powiedział, że już dawno wykupili Paryż... bo niedługo rocznica... żebym nie histeryzował... że to nerwoból na pewno jakiś... trzeba unikać lekarzy... – Głos się mu łamał. – Że on unikał i dzięki temu żyje... Próbowałem wytrzymać, ale bolało coraz bardziej. Wezwałem karetkę, myślałem, że faktycznie nerwoból, i nie zadzwoniłem do ciebie...

– To nie ma teraz znaczenia – przemawiała łagodnym głosem, by uspokoić syna, chociaż kipiała ze złości na bezduszną byłego męża. – Bardzo cię boli?

– W ogóle. Dostałem zastrzyki i leżę pod kroplówką. Wolałbym, żeby bolało jak wcześniej.

– Czemu?

– Wtedy błagałbym o operację, a tak? Mam ochotę stąd uciec. Boję się... – Pociągnął nosem. – Wiesz, że igłę mi w kręgosłup wbijają? Mamo, przyjedź jak najszybciej.

– Będę pierwszym pociągiem! Muszę teraz zorganizować wyjazd, więc na razie kończymy, dobrze? – Marta powoli oswajała rzeczywistość. – Niedługo zadzwonię, a ty ustal szczegóły: oddział, wejście, piętro... Aha! I koniecznie numer telefonu, gdzie coś mi o tobie powiedzą.

– Pielęgniarek też się boję. Wściekłe jak osy! Jedna powiedziała, że przeze mnie czuje się, jakby pracowała na pediatrycznym, a druga, żebym nie histeryzował, bo idę na laparoskopię, a nie na gilotynę.

– Nie ma żadnej fajnej?

– Jest. Pani Joasia. Normalnie rozmawia, nie nabija się, nie dokucza i nawet się uśmiecha.

– Kupię dla niej bombonierkę albo wielką czekoladę. – Uśmiech służby zdrowia stanowił wyczyn godny nagrodzenia. – Ustal z nią namiary, a ja sprawdzę w tym czasie pociąg na Szczecin. Głowa do góry. Nic się nie bój.

– Ale na pewno przyjedziesz?

– Co się głupio pytasz? – zdobyła się na wesołość. – Oczywiście, że przyjadę.

– No bo możesz zostać w Kołobrzegu i dokończyć urlop. Poradzę sobie przecież.

– Jasne! Zostanę, pospaceruję, wypiję wino, pośpię do południa. A ty leż w szpitalu i cierp! – Znowu się zaśmiała. – Chyba przedawkowali ci leki przeciwbólowe. Słuchaj no! Nawet jeśli czasami marzyło mi się bycie królową, to nigdy Królową Śniegu.

– To super. – Głos Dominika brzmiał już spokojniej. – Czekam na twój telefon.

– Niedługo zadzwonię.

Dała sobie minutę na restart. Potem zorganizuje, co trzeba; od wyjazdu z Kołobrzegu aż po rekonwalescencję i dietę wyciętych woreczków żółciowych.

– Jakiś żart, chyba... – Dopiła resztkę wody, oglądając ze zdziwieniem pustą szklanekę. – To wy zamówiłyście? Dzięki... – Uśmiechnęła się do Jolki, Magdy i Elwiry. – Macie pojęcie, co się stało?

– Mamy. Słyszałyśmy każde słowo.

– Całe szczęście, bo nie dałabym rady opowiedzieć... – Osunęła się na krzesło. – Błagam, znajdźcie mi w sieci połączenie do Szczecina. Z nerwów na oczy nie widzę. A ręce...? – Wystawiła przed siebie dygoczące dłonie. – Nie trafię w literki...

– Nie martw się. Już znalazłyśmy połączenie.

– Kochane z was dziewczyny. Ile czasu do odjazdu?

– Zero! – Elwira wstała. – Zostawiłaś w hotelu coś, bez czego się nie obędziesz?

– Raczej nie. Dokumenty mam, karty mam, klucze mam, komórkę mam... – Grzebała w torebce. – Może tylko szczoteczka do zębów i ładowarka?

– Szczoteczkę sobie kupisz. A jak bateria?

Marta rozświetliła ekran telefonu.

– Zostało siedemdziesiąt dziewięć procent.

– Czyli nie ma sensu zahaczać o hotel. Jolka z Magdą cię jutro spakują. Mnie też, bo nie opłaci mi się już tutaj wracać. Dawaj! Lecim na Szczecin.

– My? Nie rozumiem.

– Co tu rozumieć? To ja mam samochód i to ja nie piłam od czterdziestu ośmiu godzin. Ruszaj się!

– Chcesz mnie zawieźć do Szczecina?

– Nie! Do Honolulu!

– Stracisz dzień urlopu, żeby... A czym one wrócą? – Oszołomiona Marta patrzyła na koleżanki.

– Co cię to obchodzi? – Elwira szarpnęła jej krzesłem. – Dzieciak w szpitalu, a ty się głupotami martwisz? Pójdą machać na autostop albo dreżynę porwą. Jeśli się wreszcie zamkniesz, ruszamy za chwilę. Zdamy przed zabiegiem.

– Ruchy! – krzyknęły wszystkie trzy.

NAJGORSZA RZECZ,  
JAKĄ MOŻE ZROBIĆ KOBIETA,  
TO BYĆ Z KIMŚ TYLKO DLATEGO,  
ŻEBY NIE BYĆ SAMA.

(Agnieszka Holland)

Za oknem samochodu zniknął billboard z napisem: „Wróć do Kołobrzegu po niezapomniane wrażenia!”. Fakt, same niezapomniane wrażenia: wyrzucanie za płot, nocne płacze, poranne spacerunki, spotkanie z Beatą, choroba Dominika, no i Elwira... – zerknęła na siedzącą obok kobietę, która jeszcze niedawno strasznie ją drażniła. Od wyjścia z kawiarni nie minęło nawet pół godziny, a one już pruły na Szczecin.

– Chyba nie dam rady ci się odwdziaczyć.

– Gdyby mój dzieciak trafił do szpitala, zrobiłabyś to samo, prawda?

– Wątpię. Nie umiałabym zorganizować wszystkiego w takim tempie.

Rzeczywiście, Elwira zarządzała sytuacją niczym szef sztabu kryzysowego. Najpierw zamówiła taksówkę i zmusiła kierowcę do szaleńczej jazdy na hotelowy parking, a potem kazała mu pilotować ich samochód z dala od zapchanych spacerowiczami ulic i placów: „Rozumie pan? Pięć minut i mamy być na wylotówce!”. Gdy spytał, czy przed czymś uciekają, odpowiedziała: „Przeciwnie. Gonimy!”.

– Wszystko byś zorganizowała. A ja bym przypominała trzęsącą się galarete.

Elwira oderwała na sekundę wzrok od szosy, by wesoło mrugnąć do Marty.

– Jak każda matka. Kiedyś ten instynkt nas zabije, zobaczysz!

– Masz rację... Ale zanim zabije mnie instynkt, najpierw ja, w ramach instynktu, zabiję doktora i dwie wredne pielęgniarki! – Zrelacjonowała rozmowę z lekarzem oraz traumatyczne doświadczenia syna. – Słyszysz to? Pani Joasia jest wyjątkowa, bo normalnie rozmawia, nie dokucza i nawet się uśmiecha. Paranoja! – Popukała się w czoło. – Służba zdrowia kokosów nie zarabia, więc uśmiechnąć za darmo pielęgniarkom się nie chce.

– Nie przesadzaj...

– Zapomniałaś, gdzie i za ile pracuję? Mimo to się uśmiecham i nie dokuczam pacjentom. Co oni winni?

– Zgoda. Ale odpowiadasz za ludzkie życie w mniejszym stopniu niż w szpitalu, nie? Ja bym ich broniła. Zwłaszcza lekarzy, którzy powinni się skupić na krojeniu, a potem solidnie odpocząć, a nie tłumaczyć historię choroby rozhisteryzowanym matkom. – Elwira wzruszyła ramionami. – Gdybym była ministrem zdrowia, natychmiast stworzyłabym na każdym oddziale etat łącznika... pośrednika... Jak to nazwać? Chodzi mi o kogoś, kto na bieżąco informuje pacjenta i rodzinę, co się dzieje i co się wydarzy.

– Dodatkowego lekarza?

– Po co od razu lekarz? Musisz znać budowę mięśni przecinanych przy laparoskopii? Albo jak jest po łącinie woreczek żółciowy?

– Nie.

– A co chciałybyś wiedzieć?

– Czy zrobili wszystkie badania.

– Czyli czy żyła wrotna ma prawidłowy trzon echogeniczny? – Elwira wybuchnęła śmiechem. – Nie patrz tak! Zmyślam na poczekaniu mądre słowa. Takich informacji potrzebujesz?

– Nie. Normalnych... Czy faktycznie wyniki są złe? Czy operacja jest konieczna? Co mu podają w kroplówkach i...?

– A jeśli podają mu antystreptolizyny? – Elwira rzuciła zasłyszonym gdzieś medycznym terminem, choć pojęcia nie miała, czy antystreptolizyny w ogóle da się skropić i zaaplikować pacjentowi. – Zadawalona?

– Przestań! Chodzi mi, czy coś rozkurczowego lub przeciwbólowego, po prostu.

– No właśnie. Dlatego łącznik nie musi być lekarzem, wystarczy ktoś, kto ma dojście do zaplecza i jest w miarę rozgarnięty. Usłyszysz od niego: „Pani Marto. Zrobiliśmy synowi szczegółowe badania, które wykazały ostry stan zapalny woreczka żółciowego. Mało typowe dla osób w jego wieku, ale się zdarza. W tej chwili podajemy kroplówki rozkurczowe i przeciwbólowe. Nie znam godziny zabiegu, ale na pewno odbędzie się dziś. Lekarze zdecydowali się na laparoskopię. Wyjdzie najpóźniej w drugiej dobie. Proszę zostawić swój numer telefonu. Powiadomię panią, kiedy będzie po wszystkim, i podam numer piętra i sali, w której znajdzie pani syna. Przez osiem godzin nie wolno mu niczego jeść, więc proszę nie przynosić żadnych smakołyków”.

– Marzenie ściętej głowy.

– A po zabiegu kolejny telefon: „Pani Marto, syn jest na sali pooperacyjnej. Wszystko poszło dobrze. Lekarze usunęli woreczek z kilkoma kamieniami. Nie powinno być żadnych powikłań. Może już pani odwiedzić Dominika. Jest tu i tu... Pielęgniarki podają mu środki przeciwwymiotne. Bez obawy. Mdłości to częsta reakcja na narkozę. Poza tym czuje się dobrze i prosił przekazać, żeby się pani nie martwiła. Po przyjeździe do szpitala proszę się najpierw zgłosić do mnie. Wyjaśnię, jaką dietę u pacjenta stosować, i odpowiem na wszelkie pani pytania. Z synem też o tym porozmawiam, ale dopiero jutro. Dzisiaj niech odpoczywa. Zaraz do niego idę. Co mam mu powiedzieć? Kiedy zobaczy mamusię?”.

– Bajki opowiadasz.

– Ale przyznaj, że genialne! Jeden łącznik oddziałowy i wszyscy mają bajkę. Nie tylko pacjenci z rodzinami. Lekarze i pielęgniarki też by skorzystali: nikt by za nimi nie łąził i nie przeszkadzał w pracy.

– Genialne.

– No! Jestem pewna, że marudzenie na naszą służbę zdrowia nie wynika przede wszystkim z braku pieniędzy, tylko z braku normalnego traktowania ludzi. Człowiek trafia do szpitala jak ufoludek do tajnej siedziby NASA. Coś mu robią, coś wycinają, ale co? Nie wiadomo. Zmowa milczenia: nikt nic nie wie, nikt nic nie mówi. Jeśli nie jesteś Matą Hari i nie umiesz znaleźć „wtyczki”, nic się nie dowiesz! – Wjechały w teren zabudowany, więc Elwira zmieniła bieg i sycząc ze złości, ciągnęła się czterdziestką. – Niedawno byłam na onkologii. Koleżanka, rak, amputacja obu piersi... Dziewczyna załamana i totalnie pogubiona: mieli obciąć jedną, obcięli dwie. Nie wie dlaczego, ryczy i prosi, żebym zapytała. Nic nie działałam, bo gabinety zamknięte na głucho, a pielęgniarki odesłały mnie do lekarza prowadzącego. Problem w tym, że ona nie znała jego nazwiska: jeden przyjmował, drugi z nią rozmawiał, trzeci operował... Wymieniła kilka różnych nazwisk. Powtórzyłam je pielęgniarkom, a one mi wyjaśniły, że nie są wszechwiedzące, więc nie pomogą.

– Szlag cię nie trafił?

– Trafił. Ale z drugiej strony... Czy te kobiety muszą zajmować się wszystkim? Co z tego, że w końcu bym ustaliła prowadzącego? I tak pocałowałamby kłamkę jego gabinetu. Poza tym chyba lepiej, że się chowają. – Teren zabudowany się skończył, więc docisnęła gaz. – Na onkologii, u koleżanki... Przyszła

godzina obchodu, to wyleźli całą chmarą, niczym partyzanci z lasu. A jaki z tej okazji popłoch na łózkach... Jaka ekscytacja: „Ludziska! Doktory idą!”. – Samochód przyspieszał proporcjonalnie do wzburzenia kierowcy. – Weszli do sali, stanęli nad moją bidułą i jeden z partyzantów... pewnie ten prowadzący... pyta wesolutko: „I co? Jak się czujemy?”. Kurwa! Ani słowa, co robili, czemu obie piersi, jakie wyniki. Nic! Debilny uśmiech i idiotyczne pytanko. Miałam ochotę krzyknąć: „Obetnij sobie oba jaja, to będziesz wiedział, jak się czujemy!”.

– Skończył ci się licznik. Jedziemy sto sześćdziesiąt czy więcej?

– Przeliczasz zdrowie Dominika na kilometry?

– Chciałabym go jeszcze zobaczyć...

– Nie histeryzuj! – Strzałka prędkościomierza zjechała do stu trzydziestu. – Wracając do tematu...

Przyznaj, że mój pomysł na łącznika oddziałowego jest niezły. Tu by pasował psycholog z podstawową wiedzą medyczną.

– Jaka jest szansa, że zostaniesz ministrem zdrowia?

– Żadna.

– Szkoda... – W głębi duszy naprawdę żałowała, że Elwira nigdy nie obejmie ministerialnego stołka i nie stworzy etatu łącznika oddziałowego. O ileż prościej Marcie byłoby zmierzyć się ze szczecińską rzeczywistością. A tak? Jechała w ciemno.

Dominik po rozmowie z miłą pielęgniarzką zadzwonił do matki, ale bez konkretnych informacji. Choć pielęgniarka wciąż „się nawet uśmiechała”, nie знаła odpowiedzi na żadne pytanie, bo – wedle jej słów – o wszystkim decydują lekarze. A lekarzy jak na lekarstwo: od rana są na bloku operacyjnym i nie wiadomo, kiedy stamtąd wyjdą.

Elwira miała rację – albo krojenie, albo gadanie – czas na łączników!

– Chcesz odpocząć? Mam się zamknąć?

– Nie! – Potrząsnęła głową. – Mów. Dobrze mi to robi.

– Mhm. Właśnie widzę.

Przejechały w milczeniu ponad pięćdziesiąt kilometrów. Elwira burczała pod nosem, wyrzekała na głupich kierowców, którzy mimo szerokiego pobocza nie ustępowali jej miejsca, przez co musiała wyprzedzać na przeciwległym pasie.

– Ty dziadzie. Tak to się kombajnem po polu jeździ! – Kilka razy wysuwała się lekko w lewo, ale szybko wracała za zderzak dziada. – Wypuścić chama na asfalt!

– À propos chamów, zabiję Roberta. Łeb za niego w sądzie kładłam, a tu masz. Olał Dominika i do Paryża z pindą pofrunął.

– Myślałam, że przysnęłaś. – Elwira znowu bujnęła samochodem, ale na widok kolumny pędzących z naprzeciwka aut zrezygnowała z manewru. Żeby dokuczyć „kombajniście”, ciągnęła się złośliwie tuż za jego bagażnikiem, w minimalnej, karanej mandatem, odległości.

– Żartujesz? Właśnie przeżywam największe życiowe rozczarowanie.

– Czyli?

– Ojcowską miłość.

– Nie uogólniaj.

– Mówię o byłym mężu.

– No, chyba że tak... – Samochód ostro przyspieszył.

– O Boże! – Marta złapała za uchwyt nad drzwiami i z przerażeniem obserwowała pędzącego z naprzeciwka tira. – Cofaj!

– Spokojnie... – wymamrotała Elwira. Bezpiecznie wróciła na prawy pas i długo nie odrywała oczu od wstecznego lusterka, przyglądając się „kombajniście”, za którym tak długo musiała się wlec. –

Czułam, że burak. Na dodatek z fajansem na łbie. Widzisz jego czapeczkę? Jak odwrócona filiżanka.

– Nic nie widzę. Oślepiłam ze strachu!

– Czemu?

Marta wachlowała twarz połami swetra.

– O mały włos zaliczyłybyśmy czołówkę!

– Przesadzasz...

– Tak? To dlaczego tir trąbił i mrugał na nas światłami?

– Pewnie wpadłyśmy w oko kierowcy. Faceci zawsze tak robią. – Elwira uśmiechnęła się pod nosem. –

Daj mi prowadzić i oszczędzaj nerwy, bo niedługo będą ci potrzebne.

– Mówił ci ktoś, że jesteś okropna? – Niedawne przerażenie zmieniło się w złość.

– Często. Ale mam to w dupie.

– Zauważyłam.

– Trudno. Wolę być diabłem, niż nosić nudną aureolę albo koronę cierniową, jak ty.

– Nie noszę żadnej cierniowej korony!

– Oczywiście, że nosisz. I to jaką! – Rozcapierzone przy czole palce pokazywały długość kolców. –

W porównaniu z tobą Jezus miał wianek z kwiatków.

– Nabijasz się czy naprawdę tak myślisz? – Lubienie Elwiry było zdecydowanie trudnym wyzwaniem. –

Nie masz pojęcia, co przeszłam.

– Obóz zagłady? Ciężę z gwałtu?

– Wiesz, że rozwód porównuje się ze śmiercią najbliższej osoby?

– No właśnie. A wiesz, że codziennie ktoś komuś umiera? Nic szczególnego nie przeżyłaś... –

Samochód znowu pędził w zawrotnym tempie. – Coś ci powiem i nie przerywaj, dobra? Skończ wreszcie z odgrywaniem ofiary losu. Rozwiodłaś się, trudno. Zdarza się. Kobiety dzielą się na byłe rozwódki, przyszłe rozwódki i wdowy. Jeśli same przedtem nie wykitują, każda zaliczy w końcu jakąś traumę. Robisz z siebie wyjątkową cierpiętnicę, a zrozum, do cholery, że twoje męczeństwo nie wyróżnia cię spośród miliona kobiet. Nie oczekuj specjalnego traktowania ani uzalania się nad twoim losem.

– Nie oczekuję.

– Oczekujesz! Źle się czułaś z nami w Kołobrzegu, prawda? Spodziewałaś się, że cały weekend będziemy cię wysłuchiwać i pocieszać. Albo przynajmniej uszanujemy twoją żałobę: w ciszy, z nosami na kwintę, stworzymy ci scenerię do płaczu. Widziałam, jak cię wkurzały nasze śmiechy i nocne popijawy. Zgadza się?

– Nie wymagaj, żeby każdy był zawsze w szampańskim humorze! – broniła się Marta. – I przestań wyprzedzać w wariata. Skąd tyle samochodów?

– Dojeżdżamy do Nowogardu.

Auto zwolniło do czterdziestki, odnosiło się wrażenie, że sunie w żółwym tempie.

– Teraz lepiej? – Elwira przytrzymała kierownicę dwoma palcami. Wolną dłońią masowała kark. – Obraziłaś się?

– Nie ma takiej opcji... – Jak miałyby się obrazić na kogoś, kto przerwał własny urlop, żeby zawieźć ją do chorego syna? – Tylko przykro znowu usłyszeć o sobie coś złego.

– Znowu? Kto ci przedtem nawtykał?

– Sąd, adwokat, psycholog... Teraz ty z koroną cierniową... Odkąd Robert odszedł, wszyscy mnie krytykują. Szlag mnie trafia.

– Jeśli jedna osoba coś mówi, nie słuchaj i olej. Jeśli druga powtarza to samo, zastanów się. Ale jeśli trzeci raz ktoś ci coś zarzuca, to znaczy, że nie ty masz rację.

– Znalazła się ciotka dobra rada – prychnęła Marta. – Ty masz wszystkich w dupie, a mnie każesz się



zastanawiać?

– No! I brać ze mnie przykład.

– Ciężko cię zrozumieć.

– To proste. Umówmy się, że następny weekendowy wypad spędzimy tak: ja będę miała w dupie twoje cierpienie i płacz, a ty będziesz miała w dupie mój dobry humor i głupie żarty. Żyj i daj żyć innym, zamiast strzelać focha.

– O co ci chodzi? – Czyżby Elwira zakładała, że znowu razem wyjadą? – Nie strzelałam żadnego focha.

– Akurat! Robiłaś miny i zabijałaś nas wzrokiem.

– Dobra... Trochę mnie drażniłyście infantylnymi tekstami... Ale, ale! Nie mądrz się. Przecież wczoraj to ja piłam z dziewczynami, a ty poszłaś spać.

– Popsułam wam zabawę? Obnosiłam się z cierniową koroną, że wy pijane, a ja trzeźwa?

– A ja się obnosiłam?

– Szkoda, że cię nie nagrałam.

Milczały aż do wyjazdu z miasta.

Tuż za tabliczką „Nowogard żegna” Elwira wcisnęła gaz do dechy. Na szczęście droga była względnie pusta, więc po dwóch, trzech karkołomnych manewrach aż po horyzont nie miały kogo wyprzedzać. Marta odetchnęła z ulgą.

– Naprawdę myślisz, że miały rację?

– Kto?

– No, sędzina, adwokatka, psycholożka. I ty. Jestem złą kobietą?

– Wcale nie jesteś złą kobietą. Tylko jesteś ogólnie... – Elwira wybuchnęła głośnym śmiechem. – Znasz kawał o gaździe, który zabił żonę?

– Nie.

– No to słuchaj! Gazda zatłukł żonę ciupagą. Przesłuchują go. „Gazdo, czemu ją zabiłeś? Zdradzała?”. On na to: „Dzie tom! Dyc to napozondnijsa kobita na świecie była!”. Sędzia drażył: „To może głodziła?”. A gazda: „Dzie tom! Com kciał, to zem miał: kwaśnice z grolami, moskole, hałuski...”. – Marta zanosila się śmiechem, bo Elwira po mistrzowsku naśladowała gwarę góralską. – „No to może brudno w domu było?”. Gazda się oburzył: „Cyściusko była, ze ino się dziwować, jaka robotna!”. Sędzia nie dał za wygraną: „Dzieci zaniebdywała?”. Gazda zaprzeczył: „Bośkała dziecioki, wsyndyj patsała za nimi!”. Sędzia bezradnie rozłożył ręce: „Więc dlaczego zabiłeś żonę?!”. Gazda podrapał się po głowie: „Bo, ogólnie, menconca była!”.

– Czyli dobra ze mnie kobieta, tylko ogólnie męcząca? – Marta drapała się po głowie niczym gazda. – Nie ma się do czego czepić, ale zostawić można?

– Jak widzisz, mogło być gorzej. Na szczęście za górala nie wyszłaś! Myślę, że o to chodziło sędzinie, adwokatce i psycholożce. Staraly ci się pewnie wytłumaczyć, że częściowo przyczyniłaś się do rozpieprzenia małżeństwa.

– A co ja złego zrobiłam?

– Nic. Podobnie jak żona gazdy... – Wybuchnęła śmiechem. – Przepraszam, nie mogę się powstrzymać! Genialny ten kawał. Stary, ale jary... Pasuje jak ulał... – Zapomniany dowcip naprawdę trafnie opisał Martę: złota kobieta, tylko męcząca – gatunek, który na Podhalu jest trzebiony, a na Pomorzu, nie wiadomo czemu, domaga się specjalnych względów.

– Przepraszam... – Elwira w końcu opanowała śmiech. – Obraziłaś się?

– Mówiłam, że nie ma takiej opcji.

– Więc czemu siedzisz nabzdyczona i gapisz się w boczne okno?

– Myślę.

– Nad czym?

– Nad wszystkim.

– To trochę tego masz...

Marta długą chwilę milczała.

– Co źle robię? – odezwała się w końcu.

– Zapytaj swoją terapeutkę. Nie mam dyplomu do rozstrzygnięcia takich dylematów.

– Dobra. Ale zanim pójdę do psychologa, chcę to usłyszeć od ciebie. Wypowiedz się amatorsko, bez zobowiązań. Co źle robię?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Według mnie strasznie męczysz bukę! – padła zdecydowanie amatorska diagnoza. – Niby znasz przypowieści o mnichu, który się szarpał bez sensu, a i tak się szarpiesz. Zachowujesz się jak dziecko, które raptem odkryło, że bocian mieszka w rozporoku, a Święty Mikołaj nie istnieje.

– Bocian w rozporoku? – Marta odciągnęła pas bezpieczeństwa, czując ucisk na piersiach. Dlaczego wciąż słyszy takie idiotyczne metafory? – Możesz jaśniej?

– No choćby niedawne stwierdzenie, że przeżywasz największe życiowe rozczarowanie, czyli miłość ojcowską... – Ze względu na dużą prędkość Elwira nie puściła kierownicy i nie popukała się w czoło. – Przykro tego słuchać. Czegoś się spodziewała? Że twój były porzuci swoją łaskę razem z walizami na środku lotniska? I że zamiast Paryża wybierze szpital na Pomorzanach?

– Oczywiście.

– Natomiast dzieci przynoszą bociany, a prezenty Święty Mikołaj. Kobieto, nie czekaj na cuda, bo cudów nie ma. Albo to zrozumiesz, albo zamęczysz siebie i wszystkich dookoła.

– Kiedy ja naprawdę nie czekam na cuda – zapewniła Marta i pokręciła głową. – Ale nie jestem w stanie pojąć, dlaczego ten dupek zostawił Dominika. I to w takiej sytuacji!

– Znowu zaczynasz?

– Łatwo ci się mądrzyć, bo ich nie znasz. Uwierz, że Robert nie był zwyczajnym ojcem. Od dnia narodzin syna świata poza nim nie widział. Razem w piaskownicy, razem na meczach, razem przed telewizorem... Wspólne tajemnice, knucie za moimi plecami, ukrywanie grzeszków... Daliby się za siebie pokroić, a mnie olewali i przez dwadzieścia lat traktowali jak zasilek w naturze. Taki do gotowania i prania... – Marta ciężko westchnęła. – Dominik nawet w sądzie stanął po stronie ojca. Wprawdzie sam nie zeznawał, ale napuścił na mnie swoją dziewczynę.

– Czekaj! – Elwira nie miała ochoty wysłuchiwać tej opowieści. – Chodziłaś na terapię, tak?

– No. Kilka miesięcy.

– I co? Psycholożka cię nie uprzedzała przed smutnym scenariuszem? Nie zorientowała się, że to dupa z uszami, a nie facet? Że szybko zapomni o synu, bo woli się bawić nową lalą?

– Uprzedzała. Mało tego. Gdyby nie ona, kto wie, co by dzisiaj było... – W dużym skrócie opowiedziała o tułaczce Dominika po akademikach i o złotych przykazaniach, które pomogły jej naprawić relacje z synem. Wspomniała również o prognozach terapeutki à propos Roberta.

– No, no... – Elwira po raz pierwszy spojrzała na Martę z uznaniem. – Wyjaśnij, z łaski swojej, dlaczego po takich akcjach i przy takiej wiedzy dziwisz się temu, co się teraz dzieje? Powinnaś się cieszyć, że miałaś rację.

– Z czego się cieszyć? Psychologia psychologią, a szpital to sytuacja wyjątkowa. Jeśli mnie przez niego szlag trafia, wyobrazasz sobie, jak bardzo musiało zboleć Dominika? – Do Szczecina zostało jeszcze dwadzieścia kilometrów. – Może zadzwonię i zapytam, czy coś już wiadomo?

– Daj spokój. Pewnie śpi. Zarwał nockę, zanim wezwał pogotowie, teraz dostał środki przeciwbólowe

i padł. Nie budź go bez sensu. Wytrzymaj. Zobaczysz go najdalej za godzinę.

– Racja. Przecież by się odezwał, gdyby go wieźli na stół.

Rozmowa na chwilę się urwała. Marta myślała o Dominiku, a Elwira o Marcie.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Dawaj... – Chwilę się wahała. Nie była przyzwyczajona do kurtuazyjnego tonu i życzliwego wzroku Elwiry, więc nie bardzo wiedziała, co się za nim kryje.

– Z kim przegraliście?

– Kto?

– Ty i twój syn. Co to za lala? Starsza od Dominika czy młodsza?

– Jolka wam nie mówiła?

– Nie pamiętam... – Głupio jej było teraz przyznać, że za każdym razem, kiedy Jolka wspominała o swojej cierpiącej przyjaciółce, Elwira wyłączała odbiór. – Kojarzę, że lala jakoś wiąże się z Sandrą... I z Beatą, którą spotkałaś na wydmach.

Marta z grubsza przedstawiła resztę bohaterów dramatu.

– Teraz już wiesz, kim są: Beata, Sandra, Bartek, Bąki i Gawrony.

– Mhm. I pozwól, że powrózę... – Elwira głaskała kierownicę jak szklaną kulę. – Widzę to... Widzę starszego pana i młodą, szczupłą blondynkę... Patrzę dalej... I co widzę? Banał! – Wybuchnęła śmiechem. – Nowa lala twojego starego jest najbliższą przyjaciółką Sandry? Zgadłam?

– Nie. Nowa lala mojego starego jest matką Sandry.

Elwira z wrażenia zacisnęła ręce na „szklanej kuli”, akurat w miejscu klaksonu.

– Co to? Fanfary? – prychnęła Marta.

Miała dość podobnych reakcji, bo nawet doświadczona adwokatka i profesjonalna psycholożka nie zapanowały nad mimiką, gdy dowiedziały się, że Robert zostawił ją dla starszej i – o zgrozo! – niemal dwa razy grubszej kobiety. Wprawdzie nie zatrąbiły z tej okazji klaksonem ani nawet nie zagwizdały pod nosem, ale widziała, że z trudem ukrywają zaskoczenie i rozbawienie, które po paru sekundach zamaskowały powagą fachowca.

Początkowo za bardzo cierpiała, by zastanawiać się nad detalami, ale z upływem czasu – gdyby mogła wybierać – zdecydowanie wolałaby oddać Roberta sandropodobnej chabrowej panience. O ileż prostszy byłby wtedy rozwód, terapia i rozmowy z ludźmi. Każdy by wiedział, że mu odbiło, a Marta nie ma co walczyć z młodą, szczupłą konkurencją. Natomiast z triumfu starszej i grubszej rywalki nie sposób się wytłumaczyć.

– Jakim cudem z matką? Gdzie ją poznał?

– W Paryżu. Sandra zabrała ją na majówkę.

– Matkę na majówkę?

– Ponoć są najlepszymi przyjaciółeczkami i zawsze miały wspaniały kontakt... – prychnęła Marta. – Podejrzewam, że jest typowym leniwym babsztylem ze słynną teorią partnerskiego wychowania: jedyne, co robię dla dziecka, to akceptowanie wszystkiego, co dziecko robi. Cudowna metoda! Pod tym względem dobrali się z Robertem w korcu maku. On też zajmował się wyłącznie akceptacją Dominika, a ja zapieprzałam od rana do nocy.

– Ty! Z tego kabaret wychodzi... – Elwira próbowała opanować wesołość. – Ja pierniczę. Komedial!

– Ta komedia bawi każdego, tylko nie mnie. Pewnie dlatego, że w niej gram.

– Faktycznie... – Pełne współczucia spojrzenie świadczyło, że Elwira dopiero teraz zdała sobie sprawę, przez co przeszła Marta w ciągu ostatnich miesięcy. – Gorzej nie mógł cię urządzić.

– Prawda?

– Widziałaś ją kiedyś?

– Raz. Z daleka. Po którejś rozprawie. Tuż obok sądu. Schowała się za pomnikiem anioła na placu Solidarności, a że pomnik wyjątkowo szczupły, to jej nie zakrył. Przypadkowo ich zobaczyłam. Też akurat wybrałam tamtą drogę. Gdybym wiedziała... Cholera! Gdybym wiedziała, że ona na niego czeka, przesłabym Trasą Zamkową przez Odrę i wróciła motorówką z Wyspy Grodzkiej.

– Tak dobrze wygląda?

– Wręcz przeciwnie.

– Więc co cię wkurzyło?

– Na powitanie ją pocałował, objął i poleźli w czułych objęciach. Bolało jak diabli. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mnie dotykał na ulicy. W domu zresztą też.

– Ja pierniczę! – Elwira pokręciła głową. – Dajesz radę?

– Staram się, choć łatwo nie jest. Uważałam się za idealną żonę... – Marta uśmiechnęła się krzywo. – A byłam raczej męcząca. Za dużo wymagałam, krzyczałam, wciąż miałam o coś pretensje... Pewnie mu lepiej z kobietą, która jest szczęśliwa nawet wtedy, gdy nie trafi gaciami do kosza na brudy. Przecież to urocze.

– Zdaje się, że odkryłaś przepis na szczęśliwy związek: on nie trafia gaciami do brudów, a ona pieje z zachwytu. Skoro oboje dobrze się przy tym bawią, dlaczego nie?

– Właśnie. Szkoda, że nie potrafiłam się zachwycać syfem.

Elwira biła się z myślami. Z jednej strony polubiła Martę, ale z drugiej rozumiała, czemu ta idealna kobieta została rozwódką. Ileż można wytrzymać z marudzącym sanepidem?

– Jesteśmy w Szczecinie! – zakrzyknęła wesoło, mijając cokolwiek zwieńczony rzeźbą Gryfa Pomorskiego.

– A nie mówiłam, że dostarczę cię do szpitala przed operacją? Dzwon do Dominika. Obudź go i uprzedź, że będziesz za pół godziny.

– Jak ci się odwdzięczę? Rodzony ojciec go olał, a ty nam pomagasz.

– Zapomnij wreszcie o jego ojcu. Co do wdzięczności... Postawisz wino z chipsami i kwita. Czuję, że niejedną butelkę razem wypijemy. Oczywiście pod warunkiem, że nie zamienisz się z powrotem w męczącą jęczybułę! – zaśmiała się Elwira. – Uduszę cię, jeśli się okaże, że cała nasza kołobrzeska edukacja poszła na marne! – Pogroziła jej palcem. – No już... Dzwon do dzieciaka, że zaraz zobaczy matkę.

Czekając, aż Dominik odbierze, Marta układała w głowie menu na dziękczynną kolację. Musi się wykazać, więc przygotowuje dla dziewczyn krwiste polędwiczki w sosie pomarańczowo-imbirowym z ziemniaczanymi dufinkami i z bakłażanową zapiekanką. Do tego krem z porów, kilka sałatek, śledzie w czosnkowej zalewie, koreczki krabowe, półmiski wędlin, deski serów schowanych pod pierzynką z kiełków rzodkiewek i winogron, a na finał ciasto oblane orzechowo-śmietankowo-jagodową pianką.

Ciekawe, jak długo trwa rekonwalescencja po wycięciu woreczka żółciowego? Kiedy Dominik będzie mógł odmalować sufity? W narożnikach poszarzały, jakby w piecu paliła. Przez nawał trosk i kłopotów tak zaniedbała dom, że wstyd ludzi zapraszać...

JEŻELI COŚ KOCHASZ,  
DAJ MU WOLNOŚĆ.  
JEŻELI WRÓCI DO CIEBIE, JEST TWOJE.  
JEŻELI NIE WRÓCI, OZNACZA TO,  
ŻE NIGDY OD POCZĄTKU  
TWOJE NIE BYŁO.

(Salomon)

Cóż, z Salomonem się nie dyskutuje.

# Spis treści

<u>- 1 -</u>
<u>- 2 -</u>
<u>- 3 -</u>
<u>- 4 -</u>
<u>- 5 -</u>
<u>- 6 -</u>
<u>- 7 -</u>
<u>- 8 -</u>
<u>- 9 -</u>
<u>- 10 -</u>
<u>- 11 -</u>
<u>- 12 -</u>
<u>- 13 -</u>
<u>- 14 -</u>
<u>- 15 -</u>
<u>- 16 -</u>
<u>- 17 -</u>
<u>- 18 -</u>
<u>- 19 -</u>
<u>- 20 -</u>
<u>- 21 -</u>
<u>- 22 -</u>
<u>- 23 -</u>
<u>- 24 -</u>
<u>- 25 -</u>
<u>- 26 -</u>
<u>- 27 -</u>
<u>- 28 -</u>
<u>- 29 -</u>
<u>- 30 -</u>
<u>- 31 -</u>
<u>- 32 -</u>
<u>- 33 -</u>